

JÓZEF MACKIEWICZ

NIE TRZEBA
GŁOŚNO MÓWIĆ

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1969

II. 910. 607
II. 779. 151

NIE TRZEBA GŁOŚNO MÓWIĆ

X

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 173

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

dbl 272, 101

JÓZEF MACKIEWICZ

NIE TRZEBA
GŁOŚNO MÓWIĆ

POWIEŚĆ

X

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1969

TEGOŹ AUTORA
W BIBLIOTECE « KULTURY »

Kontra, 1957

Tym, którzy przyszli mi z pomocą materialną w ciągu dwóch i pół lat pracy nad tą książką, umożliwiając mi w ten sposób jej napisanie:

Tadeuszowi Zabłockiemu w Anglii

Juliuszowi Sakowskiemu w Anglii

„Anonimowi”, za pośrednictwem Kiermaszu Książki Polskiej w Szwajcarii

Józefowi Młynarskiemu w Niemczech

Zofii Kirsch w Szwajcarii

Alfonsovi Jacewiczowi w Meksyku

P R Z E D M O W A

Powieść niniejsza jest, chronologicznie, dalszym ciągiem „Drogi donikąd”. To znaczy, przedłużeniem jej w czasie, ale tylko częściowo w tym samym terenie. Niektóre osoby z tamtej powieści grają w tej głównej rolę; o innych nieraz się wspomina.

Akcja powieści toczy się na tle zdarzeń historycznych, ściślej: pewnych fragmentów minionej wojny, i jest z nimi związana. Przedstawienie tych zdarzeń w powieści nie ma na celu narzucania czytelnikowi jakiegokolwiek „tezy”, bądź podejmowania „polemiki politycznej”. Jest wyłącznie próbą opisanego tego co było.

Zastosowałem metodę wprowadzania postaci powieściowych w bezpośrednie zetknięcie nie tylko z autentycznymi wypadkami, ale też z autentycznymi ludźmi działającymi w tamtym czasie. Odbiega to, rzecz zrozumiała, od formy klasycznej powieści. Nie wydaje mi się jednak aby konwencja ograniczająca w tym względzie swobodę autorską była słuszna. Jestem zwolennikiem w twórczości literackiej swobody nieograniczonej. Dziś zwłaszcza, gdy próby obalenia krępujących twórczość kategorii prowadzą do licznych eksperymentów, nieraz daleko idących, jak np. tworzenie z powieści „antypowieści” itp. — surowe przestrzeganie podziału na tzw.: „fiction” i „non-fiction” wydaje mi się anachronizmem. Nie chcę przez to powiedzieć, że jestem przeciwnikiem utartych konwencji. Chcę tylko uprzedzić czytelnika, że moja powieść tych konwencji nie przestrzega.

J. M.

ROK 1941

I

W niedzielę 22 czerwca siedzieli wprost na szynie, na torze głównego dworca kolejowego w Wilnie, i czekali. Był słoneczny poranek. Leon wsadził czapkę pod tyłek, żeby było wygodniej siedzieć. Henryk swoją ściągnął daszkiem na oczy i siedział z głową pochyloną pomiędzy rozstawione kolana, wspierając na nich łokcie. Patrzył na żwir splamiony wagonowym smarem.

— Czekasz. Czeeeekasz i tylko. Zawsze na gorsze niż było wczoraj — ziewnął Leon.

— Chyba, że na wojnę kogo bądź ze Związkiem Sowieckim — mruknął Henryk, nie odrywając wzroku od poplamionego smarem żwiru.

— Tak już kiedyś ktoś mówił.

— Głodnym chleb na myśli.

W tej chwili czekali na pociąg podmiejski, który miał ich zawieźć na rozbudowę lotniska w Porubanku. Przyjmowano każdego kto się zgłosił do roboty. Płacono „dniówki”. Bo tempo rozbudowy „wzięte było po-stachanowsku” — jak żartowano, i w dzień powszedni, i niedzielami, i w nocy przy reflektorach.

Jasne, bez jednego obłoku niebo.

— No, dzień zapowiada się... — Leon zmrzył oczy zadzierając twarz. — Ty myślisz, nie ryzykujesz? — I ziewnął, aż łzy wystąpiły mu w kącikach oczu. — Nie wyspany jestem.

— Eeee, tam. Najgówniejsza policja na świecie. — Nawet był w tym samym swetrze, w którym kilka miesięcy temu wyskakiwał oknem z gmachu NKGB wprost na śnieg zmieciony w kupy na ulicy. — Tylko, że ludzie... Czort ich wie.

Grupy ludzi czekały opodal. Siedzieli, stali. Ten pociąg po-

dawano daleko od głównych peronów, na bocznicę. Ale spóźniał się. Spóźniał się w wiecznym bałaganie. Henryk głowy jednak nie podnosił i nie rozglądał się. Mieszkanie zmienił na wszelki wypadek, a na miejscu pracy spokojnie. Pokażesz cudzy paszport, zapiszą, wieczorem zapłacą. I czekaj dnia następnego.

— Ej! Towarzyszu! Czemu nie ma pociągu?!

Przechodzący kolejarz nawet nie spojrzął w ich stronę.

W niebiosach, wysoko, wyjąc na wirażu przeleciały trzy samoloty. Jakby szły na jednym skrzydle. Typ nieznanym, ale znaków nie rozpoznasz pod takie słońce i wysokość. Teraz wszyscy podnieśli twarze.

— Zdejmę sweter; gorąco.

— Mają jednak i oni...

Dalekie wybuchy wstrząsnęły powietrzem.

— Ćwiczą nieźle.

Henryk ściągnął przez głowę sweter, który był ongiś jasno-rudego koloru, dziś raczej nie wiadomo-brudnego. Ćwiczenia przeciwlotnicze wyznaczono akurat na tę niedzielę. Znowu wybuchy. Z odległego o siedem kilometrów lotniska zaczął się wznosić biały słup jak para z lokomotywy i czerniał szybko. Wzdłuż płotów kolejowych przekwitały białe kasztany między topolami. Wszystko na tle niebieskiego nieba.

— A żeby tak, raptem, wojna! — Klepnął się po kolanie Leon i wstał. Ktoś z czekających odwrócił w jego kierunku nieme spojrzenie.

— Aaaa... — Henryk też wstał ociężale i rozprostował ramiona. Był gruby i ruchy miał ociężałe. Ludzie nic nie mówili, i słusznie. Ostatecznie, Pan Bóg wie co robi. Że sytuacja napięta, że ponoć nawet ostre pogotowie, ktoś tam onegdaj mlasnął językiem. Ale wierzyć w cuda: „Nie przychodzi się. Komu do tego ochota”. W kraju od przeszło roku pozbawionym prawdziwych informacji.

Pociąg podano; trzy wagony. Wleźli wszyscy, i pojechali nibawem. Dojeżdżając usłyszeli nowe detonacje. Tak zaczął się ów poranek.

Pociąg nie zatrzymał się w Porubanku. Maszynista musiał coś zmiarkować. Z okien dostrzegli kompletną „rozbuchę”! Ludzie rozbiegali się we wszystkie strony; konie luzem, konie galopem, ciągnące połamane przodki wozów, duha wisi bokiem, hołble na jebiona mać, przez pola i szyny kolejowe! Za nimi chłopi, ci zegnani na roboty ze wsi okolicznych; kto z batem w ręku, kto z krzykiem tylko w otwartych ustach. Rozbita wieża ciśnień, rozlane wody odbijają sine niebo. Na płaszczyźnie słupy

dymu, które letni wiaterek znosił gdzieś w prawo. Maszynista początkowo machinalnie czy też z wahaniem, zwolnił bieg, i masa ludzi rzuciła się do schodków. Ale w tej chwili nisko nad sosnami ukazały się nowe samoloty. Wtedy maszynista dał parę i nie zwracając uwagi na znaki, pojechał przed siebie. Ci, którzy wdarli się do środka byli zdyszani. Pasażerowie wewnątrz jeszcze nie wierzyli oczom.

— Ćwiczenia?! — pytali.

— Jakie tobie ćwiczenia! Jak dali w samą guszcze! — Był trochę pokrwawiony na twarzy.

— Po swoich, dali?!...

— W jakim ty lesie wyrosłeś! Niemcy! Wojna! — W oczach jeszcze strach i już podniecenie hamowanej radości.

Cały wagon jak na komendę odzyskał mowę, i tak jak milczał przedtem, tak teraz jeden przez drugiego gardłował, do drugiego, do innych, do wszystkich:

„Co mówisz?!... Kazik, ty słyszysz!... Ach, ich, „w niepokonaną czerwoną!”... Bracia, dawajcie!... (Ale co?)... A przecież wczoraj widział jak sowietki z dzieciukami rozłożywszy się były na trawce! Jakże tak nie ewakuowali ich?!... Co im tam ludzie...” „Bożesz-ty mój, dokąd my jedziem?!” biadoliła baba.

Maszynista przejechał cztery kilometry i stanął w lesie. Sam wyskoczył na tor, czarny, oczy błyszczą. Ludzie wysypali się gestykując.

Nie odezwało się ani jedno działko przeciwlotnicze. Ani jeden myśliwiec sowiecki nie poszedł w niebo.

— Chodź! Ja wiem, tu musi mieszkać gdzieś Paweł niedaleko — i Leon szarpnął za sweter, który Henryk zrulował pod pachą.

— Zobaczymy.

— Nie ma pewnie. Uciekał chyba przed deportacją.

Poszli wielkimi krokami na przełaj przez sośniak i wrzosa. Ogarnęła ich cisza. Tylko owady burczały w igłach gałązek.

W osiedlu, z dala już było widać, pełno ludzi na ulicach. Stoją grupkami, gestykują. Zbliżając się dostrzegli wesołe twarze. Najwięcej stłoczyło się koło przewodniczącego sielsowietu, Drużki. Pretensje, nawet groźby rzucane były pod jego adresem, na jakiś dziwnie nietutejszy rozjaśniony wesołością sposób. Stary szewc był Bogu ducha winny i tak się też tłumaczył:

— Bożesz ty mój! Teraz wszystko na mnie! A co ja winien? Teraz wszystko ja. Ja niczemu nie winien. Co kazali, to ludziom obwieszczą!, i cała sprawa.

— Ty obwieszczą! A gdzie mój koń, co tu trawę szczypał?! Pół godziny jeszcze temu.

— Ja twego konia nie ruszał. Milicjant chwycił, wskoczył i pojechał na nim za innymi, uciekając, jak tylko dali z nieba...

— Znaczący ogon zadartłszy, zwiali!

— A ty ile hektarów mnie pod podatek zaliczył?! A?

— Czyż ja tobie liczył! Ty sam dokupił za polskich czasów.

— A listy do wywózki ludzi, kto układał?!

— Ludzie! Raczenko układał, nie ja! Czyż ja w takich sprawach miał głos! Ja buty szył. Wy sami na schodzie mnie wybrali sielsowietem, a teraz...

— „Wybrali”! nazywa się...

— A czyż ja mówię, że z wolnej woli. Nic z wolnej nie działo się, i ja taki sam podniewolny był jak wy. Ludzie — rozkładał ręce — dopiero trzy godziny jak wojna... — Nie ośmielił się jednak dopowiedzieć, że jeszcze pod Sowietami żyją, że może jeszcze... Co chciał dopowiedzieć, można się było domyśleć. Pewnie to, że różny obrót wojna czasem bierze. Nie ośmielił się, bo sam święcie wierzył, że obrót może być tylko jeden, po wszystkim już widać. Tak samo jak nikt inny nie wątpił, że rozpadnie się „niezwyciężona czerwona”, „oswobodzicielka spod pańskiego jarzma”, sowiecka i proletariacka. A skąd wiedzieli, już po trzech godzinach, jeszcze nic nie wiedząc co na świecie się dzieje? To trudno w kilku słowach. Prosto: wiedzieli i koniec, i zachowywali się, jakby tej władzy już nie było. Oni, którzy trzy godziny temu chodzili jeszcze jak należy, rozmawiali półgłosem, i o takich gadaniach jak teraz, straszno było nawet pomyśleć, żeby kto wypowiedział.

Leon przecisnął się i zapytał Drużkę o Pawła.

— Nie wiem ja nic. Uciekł podobno do lasów przed wywózką. Nic więcej nie wiem. I kobietę tę, słyhać, Rojkiewiczowi zabrał.

— Jaką kobietę? A żona?

— Weronikę. Jaką! Obydwie zabrał.

Wesoło gwarzyli ludzie. Wesoło odgrazali się biednemu Drużce.

— Żyliby i drugim dali żyć. To zamiast tego sami nie żyli i innym żyć nie dali.

— No, ale choć nie długo.

— Mówiłem — mruknął Henryk — że jego nie ma. Zajdziemy do tutejszego leśniczego.

— Ty go znasz?

— Znam. — I Leon domyślił się z intonacji, że Jonas Pożelas musiał należeć do litewskiej tajnej organizacji, z którą Henryk utrzymywał łączność. Henryk rozpoznał, że ten się domyś-

lił i dodał, wymawiając bezbłędnie po litewsku: — Lietuviu Aktyvistu Frontas.

— Wiem. „LAF”. Chodźmy.

Pożełas udawał, czy istotnie z byka spadł? Mimo niedzieli, siedział w pantoflach w kancelarii, w domku daleko za skrajem osiedla, w lesie już, pochylony nad wykazami. Pod portretem Stalina, Woroszyłowa i Mołotowa. Przy drugim stole kancelista pisał coś skrzątnie i twarzy nie uniośł.

— Leśniczy! — krzyknął ode drzwi Henryk. — Zdzieraj pan te świństwa ze ściany!

— Co? Hehehe... Za wcześnie jeszcze.

— Jak za wcześnie! Wojna!

— Coo?!

— Ot tobie i raz. Cały świat wie, a on nie. Wojna.

Leśniczy zerwał się. Kancelista wtulił głowę w ramiona, jakby się bał że któryś ze spadających portretów uderzy go kaniem ramy w ciemność. Ale leśniczy nie zrywał portretów. Jak stał w pantoflach nocnych, tak zbiegł po schodach werandy, przed dom, i rozglądał się po kuli ziemskiej drapiąc w zadek. W tej chwili było cicho; w lesie kukała kukułka. Leśniczy nie dziękując, nie rozpytując, nie żegnając, skoczył przez cztery schodki do domu, aby się ubrać.

Wracali przez osiedle, piechotą do miasta. Dwóch krasnoarmiejców rozciągało sznur polowego telefonu. Starszego, który trzymał szpulę, okrzyknął wesoło wysoki, w butach niedzielnych z pół-miejska ubrany młodzieniec:

— No co, towarzysze! Wojna!

— Nieewm — odpowiedział monosylabą. Drugi spojrzął spode łba na rozradowanych ludzi.

Zawsze tak było, że wspólna radość bardziej zbliża ludzi niż wspólne nieszczęście. Henryk i Leon byli dotychczas kolegami niedoli. Stali się raptem przyjaciółmi. Już tego pierwszego dnia nie rozstawali ze sobą, choć może tylko dlatego, że nie było nic innego do roboty jak patrzeć na toczące się dzieje. Chaos w miesiącu wznosił się z godziny na godzinę. Wojska nie było widać, z wyjątkiem kilku źle się prezentujących oddziałów, śpieszących dokądś. Ewakuacja urzędów sowieckich, biur partii, redakcji, tyłowych jednostek wojskowych, milicyjnych, aparatu NGKB i całej zresztą rozległej biurokracji odbywa się najwidoczniej samorzutnie w tempie rosnącej paniki. Palono archiwa i dokumenty. Czarny dym wyrzucał z kominów czarne płyty spalonych papierów. Trzymały się jakiś czas w powietrzu jak ptaki-zwiastuny, bujały popychane podmuchem, osiadały zwolna na dachy i ulice.

Gdy nastąpił trzeci przedwieczorny nalot, ukryli się w bramie

byłego Banku Bunimowicza przy ulicy Wielkiej. Tu widać było przeważnie stroskane twarze tych, którzy uciekali na dworzec i zaskoczeni zostali nalotem bez alarmu. Zresztą mówiono już, że pociągów nie będzie i w wyobraźni rozpościerała się perspektywa pieszej wędrówki przez straszne przestrzenie na wschód, dla tych wszystkich którzy zamierzali uciekać.

— Kogo ja widzę! Pana Henryka! — odezwał się głos z ciżby w bramie.

— A widzi pan. Nie zdążyli wywieźć. Taki bałagan u nich.

— To rzeczywiście, że bałagan — Wulfka przecisnął się bliżej, wyciągając rękę. Spojrzano na nich niechętnie.

— Co słysząc?

— Jakby coś nowego.

— Nie wiesz pan, co z Pawłem, przypadkiem? — spytał Henryk byle coś powiedzieć.

— Wiem. Był w puszczy. Na cudzie w Popiszkach.

— A co pan tam robił?

— Święconą wodą handlowałem.

— Po co?

— Chciałem na niebo zarobić. Zarobiłem na enkagebe. Ale widać Pan Bóg ocenił zasługi i udało się wyskoczyć. Śmiech na stronę. Pan pyta. Paweł znikł w lesie i może go już nie ma powyżej błota.

Leon nachylił mu się do ucha:

— Ale wy, Wulfka, znikajcie też. Wiecie co Niemcy z Żydami robią.

— To prawda? — Wulfka przesunął dłonią wzdłuż potylicy zsuwając czapkę na oczy i w tej chwili, gdy padł nań z przeciwnych dachówek ceglany odbłask zachodzącego słońca, stał się zupełnie do Żyda niepodobny. — Łatwo powiedzieć. Sam wiem, że prawda. Ale widzisz pan to — wskazał ruchem głowy ścisk u wylotu bramy. — Ja najął się za izwoszcika do jednego popa.

Opodal spadła jedna tylko z czterech, lekkich bomb rzuconych na miasto. W głębi bramy uczyniło się zamieszanie. Żadnej obrony przeciwlotniczej. Samoloty typu „Me. 109” wirowały nad dachami jak chciały.

Wieczorem miasto zaciemniło się instynktownie, ale nie było już komu zarządzać godziny policyjnej. Rozstali się w mroku ulic, umawiając spotkanie nazajutrz. Ale Henryk swego adresu jakoś nie wymienił. Leon nie wiedział, że mieszka teraz u Hali, z „Pralni Zakrzewskiego”. Tej „pralni”, która zniknęła wraz z nim raczej w mistyczny sposób. Gdyby wiedział, zadałby sobie naturalnie pytanie: „u Hali”? czy „z Halą”? Bo i jemu kiedyś podobała

się bardzo ta ciemnowłosa dziewczyna, o trochę zalotnym, ironicznym, czy niedopowiedzianym uśmiechu.



Zaskoczenie wojną było zupełne.

Staś Sakowicz, który mieszkał na 9-tym kilometrze od Wilna, w letniskowej miejscowości Ponary, przyszedł do miasta na trzeci dzień, gdy przeszła już i pomaszerowała na Mołodeczno 3-cia grupa pancerna gen. Hotha, niemieckich armii „Środka”, pod wodzą feldmarszałka von Bocka.

Siedzieli w pokątnej knajpie, którą utrzymywał stróż domu przy ulicy Tatarskiej 3, i pili dobry samogon pędzony z litewskiego cukru.

— Chłopcy — zaczął Sakowicz ledwo siedli do stołu — czego ja nie zobaczyłem po drodze! Tu leży czołg sowiecki rozdziałony lufą do nieba, tam w łopuchach maszyna do pisania, tam gumy samochodowe w rowie, tam rozsypane w żwirze patrony, a w jednym miejscu sowiecki strącony samolot. Ludzie schodzą się zbierać części, ale ostrożnie żeby bomb obcasem nie zahaczyć. Spadł, a bomby nie wybuchły. Macie pojęcie? A jeden człowiek przewraca kijem w śmieciach i mówi do mnie: „Patrz pan, jaka mała stopa”. Oderwana ludzka stopa, kobieca. Lotniczki widać. Pies był z nim, powąchał, ale tylko zmarszczył nos, bo benzyną śmierdzi. Ot, tobie i macie.

Henryk milcząc nalał do kieliszków.

— Jakaś ona, u was, ciepła, wódka — rzucił do stróża.

— Jaka jest. Dobrze, że jest. — Odparł oschle tamten.

— Ja byłem jeszcze szpunterem w pierwszą wojnę — ciągnął Sakowicz — ale pamiętam bałagan odwrotu carskiej armii w 1915-tym; pamiętam potem odwrót niemiecki w 1918-tym; widziałem jak cofali się bolszewicy w roku 1919-tym; widziałem rozpad zupełny jak cofaliśmy się do Warszawy w roku 1920-tym, i znowu widziałem ucieczkę czubaryków; i wszyscy widzieliśmy ten nasz burdel w roku 1939-tym...

— Skończ już — przerwał niechętnie Leon.

— ... Ale takiego pogromu-rozgromu, takiego bezhołowania, paniki, takiego rozpędzania na cztery wiatry od pierwszego dnia wojny, nikt chyba jeszcze nie widział!

Henryk skinął głową.

— Frania mówi do mnie — ciągnął dalej Sakowicz — wyjdź, jacyś ludzie u furtki. Wychodzę do ogródka, widzę po przebierani cywile, a po mordach poznać od razu: enkawudziści.

„Gdzie tu droga będzie, pytają, na Nowogródek?” Z Ponar na Nowogródek! Droga! Piechotą, z teczkami. Rozumiecie?

— Nie doczekał Tadzio Zakrzewski — wtrącił, jakby z lekkim sarkazmem, pan o chudym profilu, z zewnętrznego wyglądu: oficer w cywilnym ubraniu. Ten sam, którego Leon poznał swego czasu w „pralni”, a Henryk widocznie znał od dawna, bo skądże inaczej by się tu wziął. — Z całej paczki brakuje jeszcze Pawła! Gdzie on jest?

— Z jakiej „paczki”? — zapytał ciekawie Sakowicz.

— E, tam, Paweł — machnął ręką Leon. — On bardziej od strony romantycznej. Ale Tadeusz...

— Nie ma Zakrzewskiego. A wiecie co by powiedział? — Henryk zabrał głos nie unosząc oczu znad talerza. — Powiedziałby tak: ćwierć wieku największego w dziejach szpiegostwa politycznego, terroru psychicznego, ewidencji ludzkiej myśli; mieszkanców wszystkich swoich krajów zmieniono w szpiclów i donosicieli; przewidziano każdy odruch ludzki, wyniuchano zdawałoby się pod czaszką o czym kto śni w nocy, zarejestrowano w kartotece kiedy chodzi srać i wiele razy dziennie robi siusiu; podsłuchy i mikrofony pod każdym łóżkiem i w każdym wychodku. Wszystko aby uchronić ustrój komunistyczny przed niespodzianką. Zgnojono każdego jednego. I po ćwierć wieku stosowania tego genialnego wynalazku, dają się oni jednego ranka zaskoczyć przez milionowe armie, które raptem wychodzą z krzaków!

— Widzę, że pretendujesz na duchowe przewodnictwo po zmarłym — rzucił pan o chudym profilu z tym samym lekkim sarkazmem. Ale być może nie umiał mówić inaczej jak sarkastycznie.

— Po zabitym — wtrącił Leon.

— Do niczego ja nie pretenduję — odparł Henryk raptem zmęczonym głosem, odrzucając swe pełne ciało na oparcie krzesła. — To łatwo wyobrazić co by powiedział.

— Wiecie gdzie nam teraz trzeba dać się!? — Sakowicz przechylił się ku przodowi, mówiąc głośnym szeptem: — Dawaj, jedziem do Moskwy. Zajmą za tydzień, dwa. To-to interesów tam będzie do zrobienia. Możecie wyobrazić. Teraz rękami nie ma co pracować, trzeba mózgami. Chłopcy.

— Sądzę, że chętnie powita tam pana ambasador Najjaśniejszej Rzeczypospolitej — wycedził chudy profil.

Spojrzeli na niego pytająco. Być może spodziewał się efektu:

— Wczoraj, dokładnie 23 czerwca — cedził dalej, nadając swej twarzy wyraz sarkastyczno-oficjalny — premier Sikorski, przemawiając przez radio, zaofiarował Związkowi Sowieckiemu porozumienie, i wymianę ambasadorów.

- Sam pan słyszał?!
- Sam nie. Ale dokładnie słyszał i dokładnie opowiadał...
- urwał, gdyż stróż z zaciekawieniem zbliżył się do stołu.
- W tej chwili drzwi się otworzyły i w progu stanął Konrad. Sakowicz go nie znał. Inni otworzyli usta w zdumieniu.
- Skąd?!
- Po prostu mieszkam w tym domu.
- Przy Tatarskiej?... — odezwał się Leon, jakby mieszkanie przy ulicy Tatarskiej było czymś zdumiewającym.
- Przecież pan był w więzieniu, nie? — zapytał Henryk.
- Toście nie słyszeli, że kolejarze na dworcu odczepili więzienne wagony i nas uwolnili?
- A enkawudziści? Eskorta?
- Zwiali.
- Kieliszek dla pana mecenasa — zadysponował Henryk.

II

Zaskoczenie było kompletne.

.....

Rok temu, w połowie lipca 1940 roku, Hitler zaważwał do siebie naczelnego dowódcę armii lądowych, generała von Brauchitscha, i szefa sztabu głównego, generała Haldera, polecając im opracowanie planu wojny przeciwko Związkowi Sowieckiemu. W kilka dni później schemat planu w ogólnych zarysach był gotów. 29 lipca generał Jodl powiadomił kierownicze sztaby wszystkich broni, że: „Führer postanowił wyeliminować stałe zagrożenie ze strony sowieckiej”. W sierpniu 1940 naczelne dowództwo przystąpiło do szczegółowego opracowania planu wojny przeciwko Sowiecom. Od listopada 1940 rozpoczęło się stopniowe przesuwanie wojsk z zachodu na wschód. 12 listopada podpisuje Hitler tajną „Instrukcję nr 18” o gotowości bojowej przeciwko Sowiecom. 18 grudnia wydany zostaje ściśle tajny „rozkaz nr 21” zawierający wytyczne planu „Operacji Barbarossa”: szybkie rozbicie armii sowieckich, i zatrzymanie na linii: Archangielsk-Wołga-Morze Kaspijskie. Przygotowania mają być ukończone do dnia 15 maja 1941.

Równoległe do ściśle militarnych przygotowań, cały prawie

aparatu III Rzeszy zaabsorbowany zostaje pracami przygotowawczymi do kampanii wojennej przeciwko Sowietom. Abwehra, SS, SD, Gestapo. Powołane zostają całe sztaby ekspertów od sowieckiego przemysłu, bogactw naturalnych, rolnictwa, lasów, dróg wodnych, administracji. Do opracowania planów przyszłej eksploatacji obszarów wschodnich wciągnięte zostaje ministerstwo wyżywienia i rolnictwa, ministerstwo gospodarki, urząd gospodarki wojennej i uzbrojenia OKW, urzędy Göringa „Planu Czteroletniego”. Przystąpiono do utworzenia „Ostministerium” pod kierownictwem min. Rosenberga. Dnia 10 grudnia 1940 przedstawiony zostaje naczelnemu dowództwu pierwszy skoordynowany plan eksploatacji źródeł naturalnych Rosji. W lutym 1941 powstaje pod kierownictwem generała Thoma centralny sztab gospodarczy Wschód, pod krytonimem „Oldenburg”. Rozpracowane zostają wytyczne dla przyszłej administracji, policji, władz porządkowych; ogólne instrukcje postępowania wobec ludności okupowanych terenów, i wytyczne propagandy.

O przygotowywanej wojnie wiedzą wszyscy urzędnicy resortów wtajemniczonych, a wkrótce i takich, które na razie wtajemniczone być nie mają, jak ministerstwo spraw zagranicznych. Ale Ribbentrop nie chce się dać wyeliminować, i przeforsowuje również swój udział w postaci VAA (*Vertreter des Auswärtigen Amtes*) — przedstawicieli ministerstwa spraw zagranicznych przy armii okupacyjnej. Z początkiem kwietnia 1941 szef generalnego referatu „Wschód”, Eberhard Taubert, tworzy organizację pod krytonimem „Vineta”, w której ma się zespolic całość akcji nadań radiowych, plakatów, ulotek, filmów, płyt, przeznaczonych do kampanii sowieckiej.

Tajemnicą poliszynela objęte są niebawem coraz szersze kręgi. Pozostające w kontakcie z Rosenbergiem, i szefem Abwehry, admirałem Canarisem, organizacje ukraińskie, OUN (Bandera) i OUN (Melnyk), UNR (Ukraińska Narodowa Rada) i kaukaski „Prometeusz” z siedzibą w Warszawie, opracowują ze swej strony plany i memoriały, poczynszy już od kwietnia 1941 roku. Aleksander Siewriuk, ongiś członek delegacji ukraińskiej na konferencję pokojową w Brześciu 1918, układa po cichu listę przyszłego gabinetu ukraińskiego... Kubijowicz i Omelczenko z OUN/M, składają na ręce Hitlera szczegółowy memoriał, przedstawiający Ukrainę jako jedyną na wschodzie pewną ostoję i przeciwwagę „rosyjskim i żydowskim aspiracjom”... Wkrótce przyjeżdża do Berlina z Warszawy i Łodzi delegacja polityczna działaczy białoruskich, i ukonstytuowuje tam „Białoruskie Centrum Narodowe” pod przewodnictwem dr. Mikołaja Szczorsa z Warszawy... Minister Alfred Rosenberg, zdecydowany rzecznik po-

parcia ukraińskich aspiracji narodowych, alarmuje Gestapo, na podstawie doniesienia ze sfer ukraińskich, że emigranci rosyjscy w Warszawie rzekomo układają już listę przyszłego rządu rosyjskiego, a b. generał rosyjski Biskupski w Berlinie gromadzi rzekomo kadry dla obsadzenia kluczowych stanowisk w wyzwolonej od bolszewików Rosji...

Jeszcze wcześniej, bo 17 listopada 1940 roku, były poseł litewski, pułkownik Kazys Szkirpa, organizuje w Berlinie przy poparciu Abwehry, tajną, polityczno-bojową, antysowiecką organizację litewską pod nazwą „Front Litewskich Aktywistów”. W dniu 5 grudnia wydrukowana zostaje w Berlinie tajna broszura po litewsku pt. „Od bolszewickiej niewoli do nowej Litwy”. W kilka dni później kapitan Pranas Gužajtis przedziera się przez granicę sowiecką do Kowna i Wilna z zapasem tej broszury, z instrukcjami dla powstałych w międzyczasie kilku tajnych organizacji litewskich, oraz z wiadomością o mającej nastąpić rychło wojnie. W pierwszych dniach stycznia 1941, Gužajtis, w drodze powrotnej, aresztowany zostaje na granicy Prus Wschodnich przez organa sowieckie. Przewieziony do więzienia w Kownie, następnie w Mińsku, tam też zostaje rozstrzelany... Naturalnie многие są kontakty do Finlandii, Rumunii, Węgier.

W ciągu całego tego czasu poselstwo sowieckie w Berlinie nie wie nic konkretnego. Wywiad sowiecki, zarówno GRU, jak INO-NKWD, oplątane jest skutecznie przez podstawionych ludzi. Jeden z głównych agentów sowieckich, Litwin, Vytautas Pakuātis, dawno już przeszedł na służbę niemiecką. Drugi ważny informator INO w Berlinie, Max Bauer, jest inteligentnym agentem Abwehry. Sugestie niemieckie skierowane są nie tylko dla uspienia czujności pośła Dekanozowa, ale dla wmówienia mu, że pogłoski które do niego dochodzą... — a nie mogą nie dochodzić, skoro prawie od pół roku cały aparat państwowy, i wszystkie agendy pośrednie, przestawione zostały na przygotowania wojenne z Sowietami! — że to jest „wielki bluff”, mający kamuflować niespodziewany atak na Anglię... W tym też sensie informuje Dekanozow Moskwę. Zresztą ku wielkiemu zadowoleniu Stalina.

Dopiero w lutym 1941 agent grupy „Negry” z gaullistowskiej *Résistance* zawiadamia wywiad szwajcarski, że niemieckie dywizje z rejonu Bordeaux przerzucone zostały na wschód. Komunizujący agent wywiadu szwajcarskiego, Bawarczyk, Otto Pünter, kryptonim „Pakbo”, powiadamia o tym rezydenta sowieckiego w Grenoble, „Carlo”. Ale nie zrobiło to na nim większego wrażenia. Mijają dwa miesiące. W maju, agent szwajcarski Ru-

dolf Rössler, pracujący pod kryptonimem „Lucy”, otrzymał z tego samego źródła alarmującą wiadomość, że atak niemiecki na Sowiety wyznaczony jest na 15 czerwca. Udało mu się przez swego przyjaciela Schneidera nawiązać kontakt z Rachelą Dübendorfer, „Sissy”, agentką wojskowego wywiadu sowieckiego GRU (*Głównoje Razwiedywatielnoje Uprawlienije*). „Sissy” kontaktuje „Pakbo” z głównym rezydentem GRU w Szwajcarii, Węgrem, Alexandrem Rado, alias „Dora”, „Albert”, „Kulicher”. Rado, otyły, na krótkich nogach, nieruchawy, wiecznie pochłonięty sprawami finansowymi, przyjął wiadomość sceptycznie.

— Bez sprawdzenia — powiedział — nie mogę alarmować Moskwy.

Wkrótce Rössler otrzymał informacje ze źródła, którego nigdy nie ujawnił, że inwazja przesunięta została na 22 czerwca. Ale było już bardzo późno...

W tym samym czasie dr Ryszard Sorge, b. korespondent „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, radca prasowy przy ambasadzie niemieckiej w Tokio, a komunista z przekonania i tajny agent GRU, dawno już nabrał przekonania, że tzw. „zamknięta dusza wschodu”, o której tyle nasłyszal się w Europie, może być otwarta łatwiej niż inna przy pomocy najprostszycy środków. Zmobilizował sporo agentów spośród japońskich komunistów i niekomunistów. M.in. udało mu się wciągnąć do siatki właściciela ekskluzywnej restauracji w Tokio „Gueyko”, do której uczęszczały tzw. pierwsze osoby w państwie. Właściciel „podstawił” ze swej strony gejszę o wyjątkowej piękności. I ta gejsza doniosła, że z rozmowy którą podsłuchała pomiędzy ministrem spraw zagranicznych Yosuke Matsuoka i księciem Kanin, wujem cesarza, wynikało że Niemcy mają napaść na Sowiety 20 czerwca... Poświadomiony o tym ambasador sowiecki w Tokio, Jakub Malik, statecznie zauważył, iż na podstawie słów podsłuchanych, chociażby przez najpiękniejszą gejszę Japonii, trudno jest stawiać w stan pogotowia wojennego największe imperium na świecie...

Wprawdzie w marcu 1941 podsekretarz stanu Sumner Welles przestrzegł ambasadora sowieckiego w Waszyngtonie o mającej nastąpić inwazji niemieckiej na Sowiety, a w kwietniu powtórzył to ostrzeżenie już publicznie Winston Churchill, ale nie przekonało to Moskwy. Po raz pierwszy też przyszedł z pomocą Sowiетom wywiad podziemny w Polsce, który zidentyfikował około stu wojskowych jednostek niemieckich, grupujących się wzdłuż granicy do ataku na Związek Sowiecki, i przekazał tę wiadomość w depeszy do Londynu, w pierwszej połowie czerw-

ca. Ale i bez tej wiadomości od początku czerwca 1941 płytki wywiad sowiecki i posterunki graniczne wiedziały o stopniowym skupianiu się wojsk niemieckich, gdyż widział to na własne oczy każdy pastuch pasący krowy wzdłuż linii demarkacyjnej. Z braku jednak bardziej konkretnych informacji ze strony GRU, i zresztą sprzecznych z nimi informacjami berlińskiej INO, jawne już prawie ruchy tych wojsk mogły istotnie wyglądać na „wielki bluff”, a wszystkie ostrzeżenia na — „prowokację brytyjską”.

Ze swej strony wywiad niemiecki oparł się głównie na zdjęciach lotniczych dalekosiężnego zwiadu, zmontowanego pod kryptonimem „Aufklärungsgruppe Ob.d.L.”. Już w październiku 1940 pułkownik Rowehl otrzymał od Hitlera osobisty tajny rozkaz: „Zorganizować eskadry dalekich lotów obserwacyjnych nad zachodnią częścią Związku Sowieckiego”. Pierwszy rzut wyleciał z Seerappen w Prusach Wschodnich na „He. 111” o specjalnych motorach wysokościowych, fotografując Białoruś. Drugi na „Do. 215 B-2”, obejmując kraje bałtyckie, aż po jezioro Ilmen, na wysokości 9 tysięcy metrów. Z Bukaresztu, Budapesztu i Krakowa leciały „Ju 88-B” i „Ju 86-P”, osiągając 12 tysięcy metrów. Rezultaty były ważne. To czego zwyczajnie oko nie w stanie byłoby rozeznaczyć, uwidaczniały specjalne filmy: sfotografowano wszystkie lotniska pasa granicznego, lotniska zapasowe i zakamuflowane; skupiska wojsk, czołgów, umocnienia, ruch kolejowy. Wysoko, wysoko w powietrzu panowała cisza, mróz i słońce. Ani razu nie próbował zakłócić pejzażu myśliwiec sowieckiego lotnictwa, ani pocisk Opl. Raz tylko, było to 20 czerwca, na dwa dni przed wybuchem wojny wskutek defektu motoru zmuszona była lądować maszyna niemiecka w rejonie Mińska. Ale załoga zdążyła podpalić samolot zanim wzięta została do niewoli. I na tym się skończyło.



Zaskoczenie było zupełne.

W ciągu czerwca 1941 Niemcy skoncentrowały wzdłuż granicy sowieckiej, na przestrzeni 1.600 km., od Morza Bałtyckiego do Czarnego, 146 dywizji, o łącznej sile 3 milionów żołnierzy, 600.000 wozów, 750.000 koni, 3.580 czołgów, 7.184 armat i 1.830 samolotów. Nie wliczając w to 3-ciej i 4-tej armii rumuńskich na południu, oraz armii fińskiej na północy.

W tym samym czasie Związek Sowiecki miał wzdłuż swoich zachodnich granic zgrupowane 139 dywizji i 29 samodzielnych brygad, o łącznej sile 4 miliony 500 tysięcy ludzi. Na lotniskach samej tylko Białorusi stało 6.000 samolotów, z tego 4.500 przestarzałej konstrukcji, i 1.500 nowego typu.

W niedzielę 22 czerwca, godzina 3.15 rano: wzdłuż całego frontu pluły ogniem wszystkie działa i ruszyły do ataku niemieckie wojska lądowe. Zaskoczenie na przestrzeni 1.600 km. było kompletne. Ani jedna jednostka sowiecka nie była postawiona w stan alarmu, czy chociażby w stan bojowego pogotowia. Nigdzie obsada przyczółków mostowych nie była wzmocniona; punkty ogniowe nie wstrzelane w teren; nie rozwinięte bojowe linie obronne. Na całej przestrzeni od Bałtyku do Morza Czarnego nie zdarzyło się ani jednego wypadku nie-zaskoczenia.

.....

Punktualnie o godzinie 2-giej w nocy, tzn. na godzinę i 15 minut przed atakiem niemieckim, przejechał z Brześcia przez most na Bugu, na stronę niemiecką, do Terespolu, sowiecki pociąg towarowy ze zbożem w ramach dostaw dla Niemiec, przewidzianych we wzajemnym traktacie.

Począwszy od 10 lutego 1940 aż do tej godziny, Sowiety dostarczyły Niemcom półtora miliona ton zboża, milion ton nafty, 2.700 kg. platyny, manganu i chromu. — Niemcy dostarczyły Sowiecom w tym samym czasie różnych towarów na sumę 467 milionów marek, w tym niedokończony krążownik „Lützow”. W momencie napadu zostały jednak winne Sowiecom 239 milionów marek.



Zaskoczenie było kompletne.

Rozkład wojsk sowieckich zaczął się od tego, że trzy dywizje strzeleckie — 12-ta, 89-ta i 103-cia — w Białymstoku, zbuntowały się od razu i po wystrzeleniu, lub ucieczce komisarzy politycznych, przeszły na stronę Niemców.

Dowódca zgrupowania: „Przygranicznej Strefy Zachodniego Specjalnego Wojskowego Obszaru” (w składzie 3-ciej, 10-tej i 4-tej armii) generał Dymitr Pawłow, członek Rady Wojennej komisarz Fominych, oraz szef sztabu gen. Klimkowski, czekali w Białymstoku na rozkazy. Dopiero o godzinie 5-tej rano dowódca 4-tej dywizji pancernej generał Potaturczew otrzymał rozkaz wystąpienia. Już o tej porze brakowało w dywizji około tysiąca ludzi; 30 % czołgów nie nadawało się do marszu, pozostałym brakowało częściowo paliwa. Czołgi skierowane na Grodno, zostały rozbite. Reszta dywizji rozbiegła się, a generał Potaturczew w przebraniu cywilnym, ujęty został w bliskości Mińska.

Generał Pawłow, na wiadomość o klęsce, ratował się ucieczką. Bezdzielne masy jego armii próbowały przebić się na linii Zelwa-Baranowicze. Kolumny piechoty, kawalerii, pociąg pan-

cerny i kilka czołgów typu „T. 26”, daremnie usiłowały przerwać zaporę. Dnia 28 czerwca 20-ta niemiecka dywizja pancerna gen. Stumpffa, minawszy Mołodeczno, zajęła Mińsk. W ten sposób 4-ta i 9-ta armie niemieckie zamknęły w wydłużonym kotle Białystok-Nowogródek-Mińsk cztery armie sowieckie. To znaczy wszystko co pozostało z 43-ech dywizji i 6-ciu samodzielnych brygad. Łącznie 300.000 ludzi, z których do dnia 7-go lipca poddało się 287.704.

III

W każdym grzmocie burzy jest coś z cząsteczki dzieciństwa. Odgłos przewalających się za chmurami pomruków, usłyszanych kiedyś po raz pierwszy, nie da się zapomnieć. Zapada głęboko w organa pamięci słuchowej, i późniejsze burze kojarzą niejasne wspomnienia. Ale podobnie jest też z dalekim pomrukiem artylerii dla kogoś, kto się urodził, wzrastał, chodził do szkoły, i wreszcie zmęźniał wśród ciągłych wojen nawiedzających kraj rodzinny.

W nocy przeciągnęła silna burza z piorunami. Rano wzeszło wymyte słońce, i w jego blasku zaświeciły mokre dachy. Henryk wsparł łokcie na parapecie otwartego okna i wyjrzał. Było mu tak, jakby sobie coś niejasno przypominał z bardzo odległych czasów. Poza tym nie było na co patrzeć. Ulicą szła staruszka z ręcznym koszykiem.

— Co widzisz? — zapytała Hala, wykręcając w dłoniach wypraną koszulę w podstawioną na stołku miednicę.

Henryk ziewnął, i odpowiedział wcale nie to o czym myślał:

— Ech, żeby to można było cały świat odepchnąć od siebie jednym ziewnięciem.

— W taki ładny poranek?

— Patrę oto na pokręconą staruszkę, i zawsze wtedy myślę o jednym: była kiedyś młodą dziewczyną i może miała jędrne uda. To jest tylko dalszy ciąg. Przeszłość, terażniejszość, przyszłość, to słowa, ale nie rzecz. Rzecz jest, jakby to powiedzieć, jedno życie.

— A gdy patrzysz na jędrne uda?

— Myślę o pokręconej staruszce. No, trzeba się golić. Idę do kawiarni. Trzeba kogoś spotkać.

— Po co?

— Może coś przyjdzie do głowy.

Zanim wyszedł, na Placu Katedralnym rozchodził się już tłum gapiów, i te kilkadziesiąt Litwinek w strojach narodowych, które spotykały tu z kwiatami przybycie jakichś wyższych władz niemieckich... Opięte gorseciki wypychające ku przodowi piersi, ładne są w każdym stroju ludowym. Poszedł przez park. Z tumby reklamowej zwieszał się jednym bokiem, zerwany przez burzę, stary afisz o wzięciu stu zakładników spośród ludności żydowskiej i 60-ciu spośród ludności polskiej miasta. Znał go. Poza tym nic jakoś nie zaszło.

Przy dwóch zestawionych pod oknem stolikach siedziało kilka osób. Między nimi Leon. Henryk zmrużył niechętnie oczy i stwierdził, że jednej z tych osób nie zna nawet z widzenia. Na widok wchodzącego Leon zerwał się od stolika.

— Od wczoraj szukam ciebie wszędzie — szepnął. — To znaczy mam polecenie ciebie odszukać. Potrzebny jesteś. Chodź do stolika.

— Zaraz podejść. — Skierował się najpierw w drugi koniec kawiarni, gdzie, samotnie rozparty, siedział leśniczy Pożęłas.

— Łabas.

— Mmm — odmruknął tamten.

Kilku podoficerów niemieckich siedziało w rogu ze sztywną poprawnością i rozmawiało półgłosem. Henryk uczynił ruch podbródkiem, wskazując plac za oknem, i usiadł.

— Kogo tam witali?

— E, kogoś tam. — Leśniczy z niechęcią poruszył czupryną w tamtym kierunku. — Co z tego. A pomagali im jeszcze zdobywać Wilno od bolszewików.

— Kto?

— My. Partyzantka. LAF.

— Przecież pan był w pantoflach.

— To co z tego. Żona pokręciła. Ale partyzanci strzelali.

— No i? Będzie rząd litewski Szkirpy, czy nie?

— Gównno będzie. Nie ma nic.

— To powiedźcie jak jest w ogóle? Słyszałem, że kowieńska radiostacja podobno już na drugi dzień ogłosiła powstanie prowizorycznego rządu.

Leśniczy swoim zwyczajem przesunął palcem pod nosem, i odwrócił głowę w bok. Dopiero po dłuższym milczeniu odezwał się:

— Jak jest? Wszystko jasne. Szkirpę Niemcy zatrzymali w Berlinie. Nie dali pojechać. W zastępstwie jego zaczął coś robić profesor Ambrazavicius. Zwołał rząd. Niby. Niemcy nie uznali, nie pozwolili pracować.

— I?

— Co „i”? Przyjechał od Ribbentropa jakiś Peter Kleist, trzasnął pięścią w stół, i powiedział, żeby „wysoki rząd” nasz przeistoczył się w „mężów zaufania” niemieckiej administracji. A oni, nie. To wtedy Gestapo postawiło voldemarasowców, żeby zrobili „zamach stanu”. No i ci zrobili. W nocy na 24 lipca. — Wzruszył ramionami, patrząc ciągle w bok. — I to dziw że tak jeszcze cackają się. A 28 lipca przyjechał Lohse, Reichskomisarz, i Renteln, generalny komisarz, i ogłosili cywilny zarząd. No to nasz „prowizoryczny rząd”... Przecież on nie miał ani auta, ani maszyny do pisania! Poszedł 5 sierpnia złożyć wieniec na nieznanym żołnierzu, i napisał protest...

— Na czym?

— Na jakimś kawałku papieru. Może od kogo pożyczyl. I rozwiązał się. Teraz jest generał Kubilunas na czele nie rządu, ale, nazywa się, rady „zaufańców”.

— Szkoda. A ja myślałem, że wy sami już ministrem. Słuchajcie, leśniczy, rzecz taka: Jesć trzeba?

— Nu.

— Wy wszystko jedno w jakiś tu władzach, komitecie politycznym czy w czymś jesteście...

— Jaka ja tam władza — machnął ręką strącając muchę.

— Mnie trzeba małą koncesyjkę na piekarenkę-mleczarnię. Tu, naprzeciw, w pół-suterynie, taki lokal jest pusty.

— To na bułkach chce pan teraz zarabiać?

— Nie ja, ale siostra mojej...

— Wszystko jedno. Raz, że nie wiadomo czy da się zrobić, bo reprzywatyzacji nie przeprowadzają. A dwa, nic ja nie mogę. Idź pan do Antanasa, znasz żesz jego. On właśnie do voldemarasowców przytulił się.

— I on, gdzie teraz?

— Przy Niemcach. Gdzieś w urzędzie propagandy.

— Dobra. Poszukam. — Henryk wstał ociężale, rzucając okiem w kierunku zestawionych stolików pod oknem.

— Ja bym tych waszych „londyńczyków” pod kulomiot postawił — mruknął leśniczy, wyciągając rękę na pożegnanie.

— No, a sam pan przecie mówi, że gówno wychodzi z Niemcami.

— To co. Trudno. Nie z bolszewikami że nam iść. My swoją stawkę postawili. Zobaczymy jak dalej. Oj, Polakom będzie źle...

— Zobaczymy, jak dalej — odrzucił Henryk.

Był Konrad, był „chudy profil”, była starzejąca się już nauczycielka Kurczyńska. Jeszcze jeden facet o blond włosach, z lekka falujących. „Radwan”, inteligent linotypista, którego Henryk znał przelotnie. Poza tym Watrycy z fajką w zębach, o góralskich

rysach twarzy i manierach wyobraźnego inspektora Scotland-Yard'u. Sami swoi. Ale był jeszcze młody człowiek, którego widział po raz pierwszy: przystojny, szczupły, o bystrym spojrzeniu, ubrany w elegancką, dwurzędową marynarkę przedwojennego kroju.

— „Towarzysz Gruby” — przedstawił Leon żartobliwie Henryka.

Henryk obejrzał się w koło i przyciągnął sobie między rozstawione nogi krzesło. Nieznajomy ledwo musnął go wzrokiem. Konrad czytał jakąś niemiecką gazetę, i podał dalej Watrycemu.

— Niedopuszczalny jest nastrój tego „entuzjazmu”, nawet wśród niektórych Polaków — nawiązał do przerwanej rozmowy. — W Oszmianie, słyszę, pod egidą jakichś władz wojskowych, utworzyła się nieomal „polska republika oszmiańska”...

— Już zlikwidowana przez Białorusinów — wtrącił blondyn.

— ... W Lidzie powstaje — ciągnął Konrad — samorzutna „polska policja” z białymi opaskami. Do Grodna przywożą Niemcy granatową policję z Warszawy, i już obiegają „entuzjastyczne” pogłoski, że Wilno mają przydzielić do Generalnej Gubernii. I masa takich bzdur. Temu trzeba przeciwdziałać.

— Oni bez nas to zrobią — mruknął znad gazety Watrycy. — Pan wie — zwrócił się do nieznanego, wyjmując fajkę z ust — że oni ogłosili tu, jak weszli, że wzięli 100 Żydów i 60-ciu Polaków za zakładników. Żydów wzięli, ale Polaków nie fatygowali się nawet brać. Tylko ogłosili. To tak jak „kontrpropaganda”, nie?

— Ale w jakim celu?! W jakim celu?! — Zaperzyła się Kurczyńska.

Nieznajomy uśmiechnął się z wyrazem pobłażliwej wyższości.

— My ich znamy od dwóch lat — powiedział. — („Z Warszawy”, potwierdził swój pierwszy odruchowy domysł, Henryk) — Jeszcze ich panowie poznacie, nie tylko z „Bekanntmachungen”. — I zapalił bułgarskiego papierosa z paczki, która leżała przed nim koło filiżanki.

— Można? — spytał Henryk, oglądając paczkę.

— Ależ, proszę bardzo.

— My tu palimy samosiej.

— Tak — wtrącił Leon — „nasza” tu okupacja sowiecka, była może inna.

— Dla odmiany poznacie teraz „naszą”.

— Mogę i ja? — spytał Leon, i nie czekając odpowiedzi wyciągnął z paczki papierosa. — Spodziewam się najgorszych rzeczy. Ale na razie, dla nas, jest różnica ta: siedzimy oto w kawiarni i rozmawiamy o polityce. A pod sowiecką okupacją gość, gdyby

tylko dojrzał od progu, że przy stoliku siedzi ktoś kto by chciał z nim prowadzić takie rozmowy, już dałby chodu na drugą stronę ulicy!... Ludzie bali się mówić w cztery oczy. A cóż dopiero w takim gremium. Ot, jaka różnica.

— Dlaczego? — spytał po prostu nieznajomy.

Tamci spojrzeli po sobie, uśmiechnęli się milcząco. Kurczyńska westchnęła.

— Taaak... — przeciągnął Henryk.

— Pan jest człowiekiem raczej... pełnym — zwrócił się doń nieznajomy. — Nie powinien pan używać pseudonimu „Gruby”.

— Był to oczywiście żart.

— To nie jest mój pseudonim.

Rozmowa przeszła na sklepy i ceny produktów w Warszawie. Wszyscy rozpytywali z jakimś żarłocznym utęsknieniem. Niektórzy słuchali z niedowierzaniem. Nieznajomy opowiadał z widocznym znudzeniem, ale rzeczowo.

— To brzmi jak proniemiecka propaganda... — zażartował blondyn.

Ktoś spojrzął na zegarek. Wstali prawie odruchowo. Wyszli na ulicę zalaną słońcem, główną arterię miasta. Szpalery lip dawno już przekwitły. U wylotu na Plac Katedralny świeżo wbudowany słup wyciągał białoczerne ręce przedziwnych drogowskazów: „Nach Minsk-Orsza-Smolensk”, „Nach Dünaburg-Pskow”, „Riga”, „Polock-Witebsk-Wjelikije Luki”... Nagle nieznajomy wylawirował z grupy, ujął pod łokieć Henryka, i z lekka odsuwając go na bok, powiedział półgłosem:

— Ja mam z panem do pomówienia.

Henryk nic nie odpowiedział.

— Dużo słyszałem o panu... — ciągnął tamten. — Mówiono mi o panu, jako...

— Hm...

— ... O pana wyjątkowej, że tak powiem zimnej krwi i energii. Mniejsza. Słowem polecono mi pana. Poza tym jest pan ponoć dobrym szoferem? Słowem potrzebny jest nam...

— „Nam”, to znaczy tak zwanej „Organizacji”?

— To jest, oczywiście popularno-dyletancka nazwa. Ja przyjechałem z Warszawy...

— To wiem.

— Słowem potrzebny jest nam człowiek dobrze obeznany z terenem.

— Gdzie, tu?

— Nie, tam.

— Dokładniej.

— Powiedzmy, Mińsk.

— I?

— Między innymi chodzi o przewiezienie pewnego bagażu. Niezbyt duży, ale ciężki. Dwie walizy.

— Co to ma być?

— Mocno trefne.

— Druki?

— I gorzej. Poza tym wiem, że pan ma sporo kontaktów z różnymi elementami, ludźmi, nie-Polakami i tak dalej. My rozszerzamy teraz zasięg możliwie daleko na tyły frontu niemieckiego. W głąb.

Henryk wypluł niedopałek papierosa przyklejony do dolnej wargi.

— Nie znam pana. Ale w otwarte karty. Przeciw Niemcom zawsze. Z bolszewikami do spółki, nigdy.

— Tak, tak, naturalnie. To się samo przez się rozumie. Nam chodzi na razie o stworzenie tam punktów oparcia, niejako bazy odcinka, opartej na wypróbowanych ludziach. Może pan tam pozostać? Dokładne instrukcje przyjdą później. Dotychczasowe próby są nie wystarczające.

— Co to ma być?

— Powiedziałbym, wachlarzowate opanowanie na wschód od naszej granicy. W tej chwili, powtarzam, chodzi o wejście w teren. Okres próbny, ale bardzo ważny. Nazwijmy to więc: „Wachlarz”, dobrze?

— No.

— Gdyby się udało, odcinek, nazwijmy go: „czwarty”, obejmowałby Mińsk, Borysów, Orsza, Bobrujsk, Słuck do Baranowicz. W tym rejonie. Chodzi o wytypowanie miejsc i ludzi pierwszego oparcia.

— Nie wąski teren.

— Nie. Przyszłość pokaże. Bezpośrednia zależność od KG w Warszawie.

Odeszli już spory kawałek, rozmawiając. Henryk przystanął, wyjął blaszane pudełko z tytoniem i zaczął skręcać papierosa.

— Niech pan to rzuci. Bułgarskiego?

— Dziękuję, tym razem swojego. Wskazówki, zaczepienie?

— Mamy tam niejakiego Romualda Ławrynowicza, w Mińsku osiadłego od zawsze. Chodziłoby o podparcie jego pracy, no i pewne na nią oko. Adres pan otrzyma. I zobaczy co za jeden.

— Finanse?

— „Świnki”.

— Co to jest?

— Ach, u was się tak nie nazywają? Złote ruble.

- U nas się mówi: złote ruble.
- Trochę „miękich”.
- Nie wiem.
- Banknoty dolarowe.
- To słabsze.
- I „koła”.
- Również nie znam — wzruszył ramionami.
- Dolary złote.
- Dobra rzecz. U nas się mówi: dolary złote.
- Co kraj to obyczaj.
- Słusznie. Papiery? Transport?
- Otóż w tym sęk. Tego brakuje. Żadnego „alibi”. Może

pan wytrzęsie przez swoje znajomości białoruskie. Na razie liczę na transport z Lidy. Jest tam jeden gość: Antoni Gałas. Prowadzi małą fabryczkę tekturową. Podjął się robienia paczek dla niemieckiej poczty polowej. Ma przez to swobodę ruchów. Hasło: „Czy można zrobić tekturowe pudełko dla kwiatów”? To może jednak zawieść. I wtedy liczę na pana własny przemysł. Nie mogłem dostać pańskiego dokładnego adresu. Jeżeli mi pan da, człowiek przyniesie do pana dwie walizy i powie: „świeże ogórki”. Poza tym z Wilnem nie ma pan nic do czynienia.

Henryk milczał. Szedł zamyślony. Myślał o Hali. Miała ciemno-niebieskie, prawie granatowe oczy; szatynka, pięknie zbudowana. Mogła nie nosić stanika. Była inteligentna; czasem mówił jej, że jest „rozumna”. Żył z nią od dłuższego czasu, i żył się. Fakt, że odziedziczył ją niejako w spadku po Zakrzewskim, sprawiał mu przykrość, chwilami budził wprost niechęć fizyczną do niej. Może dlatego, że tamten był przyjacielem, a nie obcym. To nie jest pewne. Nie lubił o tym myśleć. Ona nigdy o tym nie mówiła, ale ciągle wspomnianie Zakrzewskiego przez innych, wywoływało w nim obraz Hali właśnie od strony niechęci.

Zgodził się pojechać. Dał swój dokładny adres.

IV

Gdy Leon z Watrycym opuścili kawiarnię i doszli do ulicy Wielkiej, zobaczyli już z dala zbity tłum, a później oczom ich przedstawił się dziwny widok. Środkiem jezdni spędzano Żydów do getta które, jak mówiono, miało być zamurowane, a przy bramach postawione strażę. Żydzi szli każdy z tym co mógł unieść,

czasem pchając rzeczy w wózkach dziecinnych, lub ciągnąc za sobą w ręcznych kolaskach. Słysząc było szurganie podeszew o bruk, i rzadkie wykrzykniki policjantów litewskich. Kilku zandarmów niemieckich wydawało rozkazy. Tłum na chodnikach milczał. Rzecz by się mogła wydać zupełnie niewyznaczna, gdyby nie oświetlona zwyczajnym pod-jesiennym słońcem. Z oblicza policjantów łatwo wyczytać, że przydawali sobie zaciętość i ponurość ludzką, jaką się wywołuje w sobie sztucznie podczas czynności niemiłych, a nakazanych z góry. Prostackie okrzyki, a nawet niezbyt silne kopnięcie w zadek starego Żyda, który się właśnie zatrzymał pochylony nad rozsypanymi łyżkami, mogło też służyć ku zagłuszeniu własnego sumienia.

— Bbbydłło... — wycedził poprzez fajkę w zębach Watrycy. Kilku ludzi zerknęło nań z ukosa. Jakaś kobieta odstąpiła dwa kroki dalej.

Leon patrzył po prostu, by najwięcej wchłonąć oczami, z tym wewnętrznym usprawiedliwieniem biernej obserwacji, które mie-wają świadkowie dziejów historycznych. Skądciś przyszło mu łacińskie: *Quid vobis videtur?*, co sędzicie o tym? Tak dalece nieuzasadnione bywają skojarzenia myśli.

Tuż po jezdni, wzdłuż chodnika na którym stali, wlokła się stara Żydówka zgarbiona pod ciężarem worka na plecach, lewą ręką ciągnąc za sobą długi zegar szafkowy, który podzwaniał na nierównościach bruku. Widać było, że jest u kresu sił. Nagle z tłumu, z chodnika na jezdnię wyszedł stateczny człowiek o staturze i rysach chrześcijańskiego rzemieślnika (mógł być na przykład majstrem stolarskim), człowiek z wąsami; podszedł do Żydówki i kiwnięciem głowy dał do zrozumienia, że chce jej pomóc. Stara przystanęła, z głębokim westchnieniem postawiła worek na ziemi, i podniosła na człowieka oczy pełne, może tylko udanego, zachwyty; przechyliła głowę, wargi jej zadrgały ni to w płaczkliwym, ni to w dziękczynnym uśmiechu, a starcza łza spłynęła po jej policzku, zlewając się z kroplami potu. Człowiek lekko zarzucił worek na plecy, wziął w drugą rękę zegar, i... wstał na chodnik, po którym Żydom z gwiazdą chodzić nie było wolno, milcząc roztrącił tłum, i poszedł prędko z tym łupem, znikając w bocznej uliczce. Coś jak głębokie stęknienie przebiegło w zamartym nagle tłumie. Ktoś cicho zaklął. Watrycy wyjął fajkę i spojrzał w raportownym osłupieniu za szybko niknącym człowiekiem. Leon otworzył usta. I było po wszystkim. Tylko stara Żydówka stała jeszcze na dawnym miejscu, na bruku, z kamieniejącym na jej twarzy uśmiechem wdzięczności.

— I żeby to coś warte. Ale takie barrachło... — splunął ktoś obok.

Wtedy odwrócili się i poszli swoją drogą. Dopiero po dłuższej chwili milczenia Watrycy zapytał:

— Ty dokąd?

— Ja na Kazimierzowski zaułek. Mam sprawę do załatwienia.

Watrycy przystanął, trochę nieobecny myślami, jakby sobie coś chciał przypomnieć odległego.

— Scena ewangeliczna... Współczesny Szymon z Cyrenei — przypomniał.

— Śmiesznie, bo i mnie przyszło na myśl coś z łaciny — odpowiedział Leon, co już nie miało żadnego sensu.

— No to bywaj. Ja na prawo.



W kilka dni później po drewnianych schodach wiodących na pięterko zajmowane przez Henryka i Halę, zaskrzybiał śpieszny krok Wulfki. Wpadł do mieszkania nie pukając. Drzwi były w pół otwarte.

— Gruby?! — wykrzyknął zdyszany. — Nu i chwała Bogu, że jesteś! Ratuj moją siostrę!

Henryk studiował akurat białoruskie czasopismo „Biełaruski Hołas”, i myślami był w Mińsku. Podniósł głowę i spojrział zezem.

— Nigdy nie wiedziałem, że masz siostrę.

— Ach, kogo ja nie mam! W getcie wszystkich wyduszą. Prędeż, czy później. Ona ma złoto, ona ma brylanty. Jeszcze trzy dni obiecali ją przetrzymać na starym mieszkaniu, nie dłużej.

— Niech pan siada — powiedziała Hala podsuwając krzesło.

— Co pan chce za to? — zapytał Wulfka biorąc za poręcz podsuniętego krzesła.

— A co ja mogę zrobić?

— Ja wiem...!? Tyle, że więcej niż ja.

Henryk wzruszył ramionami.

— A co z tobą samym?

— Mnie obiecał po znajomości schować proboszcz Bernardynów. Tylko on nie chce kobiety. Ale ja sam, mam czas. Ja mieszkam u jednego. A później chce z archimandrytą Serafimem przedostać się na wschód. — I nagle podszedł do okna i delikatnie dotknął palcami płatki kwiatów w doniczce. — O, takie same były u nas w domu, gdy ja i siostra jeszcze małe były.

— To przecież zwyczajne pelargonie — zauważyła Hala. — Ich wszędzie...

— Ja trzydzieści lat, proszę pani, nie miałem czasu patrzeć na kwiatki. Czy one pelargonie, czy one nie.

— A dokąd Serafim chce jechać? — spytał Henryk.

- Do Mińska na razie.
- Henrykowi zaświtała ukryta myśl. Nic jednak nie powiedział, tylko spojrzął pytająco na Halę. Ta wzruszyła ramionami.
- Chyba u Klaudii Kalinowskiej, na wsi — powiedziała.
- Wiesz, ta moja bliska kuzynka. Sama jedna z dziećmi w lesie. Trzeba by pojechać pogadać. Za darmo ona nie zrobi, ale za brylanty...
- To ta fajna blondyna w kierunku na Puszcę Rudnicką?
- zapytał Wulfka.
- A skąd pan wie?
- Gdzie ja z panem Zakrzewskim nie bywałem!
- Cień przebiegł po twarzy Henryka, i tym razem jakby odbił się na twarzy Hali.
- Dobra — zakonkludował Henryk. — Pojadę, spróbuję załatwić. Dziś za późno do godziny policyjnej. Jutro z rana. A gdzie ten archimandryta?
- Sprawa umówiona została w ciągu kilku minut. Spotkanie wyznaczone w mieszkaniu wozaka Anatola Uszkowa, przy ulicy Nowogródzkiej 141. U niego mieszkał na razie Wulfka. Uszkow dużo zawdzięczał Wulfce za czasów bolszewickich.
- To, jak mówią po sowiecku: „błat”. On nie podprowadzi. Od niego niedaleko i Serafim mieszka, ukrywa się.
- A dlaczegoż ten się teraz ukrywa?
- Ja wiem...?! Ma swoje przyczyny.
- Gdy Wulfka wyszedł, Henryk zreflektował się nagle.
- A skąd on właściwie zna nasz adres?
- Hala wygięła usta w nieokreślonym uśmiechu, i po raz wielokrotny tego dnia, wzruszyła ramionami. Nie nosił tego jej trochę, jak mu się zdawało, ironicznego z przymieszką tajemniczości uśmiechu. Ale nic nie powiedział więcej. Ona zaś odezwała się już z wyraźnym sarkazmem:
- Tylko nie nocuj u Klaudii, bo później z tydzień ciebie nie odszoruję.
- Skąd takie dziwaczne imię: Klaudia?
- U niej wszystko trochę dziwaczne.
- Czy ty nie możesz inaczej rozmawiać, bez ciągłego wzruszania ramion?

V

Nazajutrz, wczesnym rankiem, w drewnianym domku Uszkowa, domku jakby zagubionym wśród ogromnego, końskiego po-

dwórza, stajen i wozowni, odbyła się narada. Ułożyło się jednak inaczej niż to projektował Wulfka. Upierał się on bowiem jechać koniecznie razem z „Grubym” do Kalinowskiej. Ale Anatol Uszkow, ugodzony za woźnicę, sprzeciwił się temu stanowczo:

— Nie pojedę ja z tobą, Wulfka. Na wiorstwy dwie Żyda widać. I siedział by ty w ogóle w chacie, a nie biegał chwost zadarłszy. Ty wiesz, jak na końskim kiermaszu u nas mówią: „Jak biażyć, dyk biażyć, a jak abwalicca, dyk i liażyć”! Żeby z tobą tak nie było. Pojadę, ot sam, z panem... — wskazał ruchem brody na Henryka.

Przyszedł też archimandryta, który mieszkał o dwa domy dalej. W przebraniu cywilnym. Henryk wziął go na stronę, i wtajemniczył we własny zamiar udania się wkrótce do Mińska.

— Ma ksiądz tam znajomości i chody?

— „Chodów” na razie żadnych. A znajomości, owszem, mam dużo.

Henryk zaproponował mu wspólny wyjazd. Wszystkie szczegóły omówią za kilka dni. Powrócili do reszty towarzystwa.

— A pan wie — powiedział Serafim, składając ręce na stole — że ja kiedyś pana Zakrzewskiego za prowokatora brałem... Wieczna mu pamięć.

— Nie był prowokatorem.

Archimandryta kiwnął potakująco siwiejącą głową. Widać było, że z projektu wspólnej wyprawy do Mińska raczej się cieszył. Ale i tu okazało się że z Wulfką woli nie jechać: „To tylko narazi, mówił, i jego i nas. Już po jednej wymowie każde dziecko pozna”... — Wulfka słuchał, tracił werwę, malał w oczach za ciężko ciosanym, sosnowym stołem. Jego niespożyta ongiś inicjatywa i energia rozбивały się o rzecz tak podstawową, jak jego własny wygląd fizyczny. Któż ostoi się wobec takiej przeszkody.

— Nu nie ma tobie jak, Wulfka, nie ma jak... — sprecyzował jego sytuację Anatol. — Już za to jedno, że gwiazdy nie nosisz, mogą zabić jak psa na ulicy. A co dopiero myśleć o czymkolwiek.

Wyjechali po godzinie. Dzień był nijaki. Niebo zaciągnięte jednostajną białą pokrywą. Pachniało jesienią. Ostrożnie dojechali do wylotu ulicy, gdzie był skręt na trakt zamiejski. Uszkow dostrzegł idącego od tamtej strony znajomka, ściągnął lejce i przywołał go skinieniem głowy.

— Powiedz mnie, Benedykt, na rozstaju stoją?

— Wczoraj stali. Dwóch policjantów litewskich i jeden z blachą, Niemiec. Dziś nie słyhać. — Przesunął wzrokiem po Henryku obojętnie, i uśmiechnął się do Anatola: — No cóż, Anatol, doczekałeś swego. Mówiłeś żesz: „niech tylko Niemiec podejdzie,

porządek zrobi jak w pietnastym roku". Ot, tobie i porządek!

— Kto mógł wiedzieć... A po drugie, czy to Niemiec winien?

— Wot tobie raz! A kto?

— Polityka ich winna. Jak to mówią: „Nia u tym dziwa, szto kobyła siwa, a tym dziwa, szto wozu ni wiazie”...

Benedykt machnął w zniechęceniu ręką, i poszedł dokąd szedł.

Pojechali, nie śpiesząc, bokiem traktu, na południe. Ogarnęło ich powietrze po-żniwne, i w oświetleniu i w zapachu znajome niby, a jakoś codzień różne od dnia poprzedniego. Trakt nie-łącznikowy, maszyn niemieckich nie było widać, zasychały tylko stare ślady odcisniętych opon, gdzieniegdzie koronkowy wzór gąsienic czołgowych. Ludzie starali się nie jeździć, a bardziej siedzieć w domu. Było cicho. Przed nimi, z kamienia przydrożnego na rozbitą w rowie dwukółkę sowiecką, przeleciała podkamionka, migając żółto-czarno-białym opierzeniem, wołając: „tjok-jiw”, „iw tjok”!

— Tak bardzo to powiedzieć nie można — odezwał się Henryk, nawiązując do powiedzonka Uszkowa — żeby ich kobyła „wozu nie wiozła”. Widzisz, „dowieźli” już pod samą Moskwę prawie.

— To co i z tego. Nic u nich z tego nie wyjdzie. Już po wszystkim widać, że nic nie wyjdzie. Naród darem męczą, zamiast oswobodzić, sami ta bolszewizma rozprawdają. I jeszcze jak na śmiech ludziom, nie jakichś gubernatorów, czy wojewodów, czy naczelników, ale musowo komisaaarów powyznaczali! Czy u nich tam rozumu nie ma za kopiejkę? Toż pomyśleć: bolszewik przyszedł i zagrabił wszystko; a Niemiec przyszedł i sobie zabrał. Rzeczywiście i wychodzi: „grab zgrabione”, jak za Trockiego. Nieee, to nie ten Niemiec, co był przyszedszy w pietnastym, osiemnastym. Taki sam bolszewik, tylko że szczeka jak pies. — Dopiero po dłuższym namyśle dodał: — A że pod Moskwę podeszli, to i Napolion w Moskwie był, a później co stało się. O, tylko krzyżów po dziś dzień ostawił. — Wskazał batem w nieokreślonym kierunku. — I znowu po dłuższej przerwie dorzucił: — A jak czekali, ludzie...

— Bóg raczy wiedzieć, jak to się skończy — mruknął Henryk, myśląc o czekającej go rozmowie z Klaudią.

— Pewnie, że Bóg. Ale już i po ludziach widać. Jak to inaczej złożyło się niż tego spodziewali. Ale i nasz człowiek też, jeżeli już po prawdzie mówić, sumienie u niego czarne jak cholewa. Weź pan na przykład z Żydkami. No dobrze, Gitler ten ich, chce wszystkich Żydów wyniszczyć. To co nam do tego? A zobacz pan, dlaczego ani jeden Żyd zamieszkały wśród chrześcijan, nie może u nas dalej tam mieszkać gdzie mieszkał, czy

przykładem, przeprowadzić się w spokojniejsze pomieszkanie? Niemcy żesz jego sami nie rozpoznają, nie tutejsi, a po drugie u Niemców dużo jest do Żydów podobnych. Oni do tego smiekałki nie mają sami. A dlatego nie może, że rozpoznany będzie przez tych-że chrześcijan naszych. I prędzej czy później wydany. Ot, i cała rzecz. Co tu i gadać!... Ja, ot za tego Wulfki głowę nadstawiam. A czyż ja przed Niemcami nadstawiam? Niemiec do mnie i wody nawet napić się nie zajdzie. Przed swoimi nadstawiam, że nie dziś to jutro doniosą. No, czy nie tak jak mówię?

Od południowej strony troszkę tylko rozpruła się biała pokrywa nieba, i wyrzało stamtąd słońce. Było to senne spojrzenie z obłocznych pieluch, jakby ktoś odsunął choremu firankę i powiedział: „Na, spojrzysz sobie na moment, jak już nie możesz wytrzymać...” I wnet zaciągnął ją z powrotem. Zaledwie złota-
we promyki przemknęły po czubkach karłowatej sosenki, i znowu znikły. Po obu stronach drogi ciągnęły się nieużytki, poręby, stare ugory pokryte bujnym wrzosem, mchem i lichą sośniną. Gdzieniedzie wkroplone, czerniały zielenią małe świerczki i krzaki jałowca.

W takiej to stronie, raczej na wydmie niż wzgórzu, nie ocieniony, z jedną brzoźką przed niedokończoną werandą, stał dom drewniany, zaplanowany wyraźnie w stylu pół-dworku, pół-willi podmiejskiej. Ale nie doprowadzony w budowie do końca przed wojną. Tylko jedna połowa jego wydawała się zamieszkała. Drugiej okna zapchane workami, lub zabite deskami.

Kludzia stanęła w drzwiach w wystudiowanej, jak jej dom, pozie, z ramieniem oplatającym kolumnkę werandy, z głową przechyloną z lekka na bok. Była bardzo ładna. Postawna, o mocnych nogach, a jednocześnie szczupło-wysoka. Miała promieniujące błękitem oczy. Z uchylonych uśmiechem warg przeświecały drobne zęby, widocznie nie czyszczone, bo tkwiły w nich okruszki razowego chleba. Henryk wygramolił się z furmanki i pocałował Kludię w niezbyt czystą rękę. Wiedział, że mąż jej jest oficerem, w tej chwili w niemieckim „Oflagu”, i że ma ona dwoje dzieci. Starsza, dziewięcioletnia Lydia, była wykwintnie ułożona, mówiła monosylabami i miała przerażenie w oczach. Czyniła wszystko na jedno skinienie matki. Chłopczyk, ośmioletni Józio, był bardziej brudny, za to znacznie mniej zastrachany. Duży pokój o weneckich oknach stanowił właściwie całe mieszkanie. W nim płytka zbudowana ze świeżych cegieł, i blaszane rury dymnika prowadzące w lufcik okna. Dzieci jednak sypiały chłopskim zwyczajem na ruskim piecu w przyległej izbie, projektowanej widocznie na kuchnię.

Henryk ze smakiem przyglądał się gospodyni, choć raziała go

trochę jej niechlujność. Była gibka w każdym ruchu, rzucająca powłóczytym spojrzeniem swych niebiańsko-błękitnych oczu. Już po kwadransie mówiła coś o Schopenhauerze, o wierszach Tuwima, wplątała w to „Młodą Polskę”, oceniając na oko, że Henryk nie wyznaje się w tym dobrze. Zresztą przyznała, sama pisywała kiedyś wiersze:

— Ach, jak mój mąż był jeszcze przy mnie...

— Ma pani od niego wiadomości?

— Grałam właśnie Mozarta — powiedziała, wskazując pianino, które stało za ceglana płytka. Przysiadła się na zwykły taboret, przed rozłożone na pulpicie nuty sonaty C-dur. Przy tym tak niefortunnie, czy też umyślnie, że zagięty podoł letniej sukienki odsłaniał jej nogę do pół uda. W tym czasie, biegający po pokoju młody kogucik wskoczył na parapet okna, gdzie stały słoiki z porzeczkowymi powidłami, przewrócił jeden z nich, wdepnął w słodką maź, przestraszył się, zatrzepotał na szafkę a stamtąd na pianino, roznosząc wszędzie czerwone ślady powideł.

— Lydia! — krzyknęła matka z mrozącą surowością w głosie, ale wnet nadała swym oczom ponownie anielsko-uduchowiony wyraz.

Córeczka z przerażeniem zaczęła uganiać się za kogucikiem. Henryk, który siedział na tapczanie, złapał go za nogę w chwili gdy ten zaplątał się w dziurze poszewki na poduszce. Podniósł potem jedną ręką kiwający się tapczan i poprawił podstawiony podeń pieniek, służący za nogę.

— Boże, jaki pan silny... — powiedziała przerywając koncert Klaudia, z tą przyciszoną intonacją podziwu, którą kobiety potrafią zawsze zrobić przyjemność mężczyźnie, mimo iż każdy z nich wie że warta jest akurat tyle co przez niego samego wyrażona kobiecie: „jak ślicznie pani wygląda”. Odwróciła się przy tym do niego na taburecie, a rozchylone z lekka uda zdradziły, że jest bez majtek. — Ach! Przepraszam! — krzyknęła w popłochu, złapawszy jego wzrok, i poprawiając gwałtownie sukienkę. — U mnie taki straszny nieporządek, nieład. Jestem sama. I ta okropna wojna... — Istotnie bielizna suszyła się na sznurze, uwiązany pomiędzy werandą i jedną brzozą przed nią. — Mąż mój... — podniosła oczy — gdy dziś patrzyłam w chmury, zastanawiałem się właśnie, czy może która przeciągała poprzednio nad jego oflagiem...

— Dziś mamy wiatr wschodni. Więc z odwrotnej strony.

— Ależ z pana realista! — Klasnęła dłonią po kolanie z zalotnym wyrzutem.

Henryk pochylony ku przodowi na niskim tapczanie, prze-

niósł wzrok na swe splecione dłonie i zastanawiał się, czy przemocować u niej, czy nie?

— Z namowy pani kuzynki Hali — zaczął — przyjechałem w następującej sprawie... — Wyłożył rzecz możliwie rzeczowo.

Klaudia słuchała go ze wzrokiem skierowanym w nieokreśloną przestrzeń, i z takim wyrazem, jakby złoto i brylanty to były dla niej bezwartościowe pojęcia abstrakcyjne. — Postanowił przemocować.

— Czy zechce pan coś przekąsić?

— Nie chciałbym sprawiać kłopotu.

— Niech pan nie myśli tylko, że to będzie podobne do obiadu. W moim ubóstwie...

— Jest pani zapewne ubóstwiana.

— Ale! Pan nie wie co pan mówi.

— Wiem. — Wyszedł powiedział Anatolowi żeby wracał, gdyż on ma jeszcze jedną sprawę do załatwienia w okolicy. Sam wróci piechotą, chyba.

— A co Wulfce powiedzieć?

— Że załatwione.

Gdy tak stał na werandzie, w tej pustce, poczuł się trochę nieswojo bez pistoletu, który przez ostrożność zostawił w niezawodnym schowku, w domu.

— Aha! I jeszcze powiedz pan temu archimandrycie, że za cztery, pięć, dni najdalej...

Uszkow skinął potakująco, już odjeżdżając.

VI

Dwie walizy ze „świeżymi ogórkami” były już dawno dostarczone. Nie udało się jednak załatwić wyjazdu do Mińska w terminie przewidzianym. Stało temu na przeszkodzie szereg spraw. Przede wszystkim jednak sprawa koncesji na kawiarenkę dla siostry Hali. Henryk chciał mieć już to za sobą, gdy będzie wyjeżdżał.

W tym czasie Leon znajdował się w przygnębiającym nastroju. Konkretnie przygnębiała go wciąż odraczająca się decyzja w sprawie, od której zależał jego najbliższy los. Może pod wpływem tego rozdrażnienia wszystko inne wydawało mu się jakies

beznadziejne rozłóżące między palcami. Akurat w czasie, gdy wszystkie propagandy świata wysiły się z jednej strony w roz-taczaniu optymistycznej rzeczywistości, jaka nastąpi po rozbi-ciu Niemiec... A z drugiej strony „sondermeldunki” niemieckie roz-taczały optymistyczną rzeczywistość wspaniałych zwycięstw na wschodzie... Ta rozpiętość pomiędzy cudzymi słowami, których słu-chał potajemnie przez radio, (bo Polakom radia słuchać nie było wolno), a własną nicością, skrępowaniem ruchów i pustym żo-łądkiem, potęgowała poczucie depresji.

Już pierwsze „Wezwanie” nowomianowanego Reichskomisa-rza Ostlandu, Lohse, z 28 lipca do „ludności byłego wolnego pań-stwa Litwy”, wzywające do pracy i posłuszeństwa, a wyznacza-jące tylko „delegatów z gmin i miast do współpracy w administra-cji”, podcięło definitywnie nadzieje na przywrócenie niezależnych Państw Bałtyckich. Ale następne zarządzenie wytrąciło resztki marzeń na odzyskanie prywatnego bytu i mienia, upaństwowionego rok temu przez bolszewików. Zarządzenie to widniało szeroko rozklejone na murach:

.....
§4 ... Cywilny Zarząd niemiecki przejmuje całość ruchomego i nie-ruchomego majątku Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich, jego państw członkowskich, publicznych korporacji, związków, stowa-rzyszeń, kooperatyw, włącznie do wszystkich roszczeń, udziałów, praw i interesów wszelkiej natury, wg. stanu z 20 czerwca 1941 roku.

§5 — Językiem urzędowym Reichskomisariatu Ostland, pozostaje język niemiecki. W poszczególnych Generalnych Komisariatach do-puszczalny jest język miejscowy. — Kowno, 18 sierpnia, 1941.

Naturalnie możliwe były drobne zabiegi o uzyskanie drobnych koncesyjek na jakąś egzystencję uboczną, ale to wymagało niebyle-jakich protekcji i znajomości wśród uprzywilejowanych „delega-tów administracji”. Właśnie jeden z takich zabiegów, podjętych przez Leona tym razem w sprawie ważnej i trudnej, przewlekał się w nieskończoność.

Powstająca organizacja Podziemia polskiego również rozta-czała optymizm przyszłości, jeżeli kto chciał w to wierzyć. Leon dał się wciągnąć i udawał, że wierzy, może czasem udawał nawet przed samym sobą, ale wewnętrznego przygnębienia nie potrafił się przez to pozbyć, ani zastąpić go szczerą pogodą ducha. Iryto-wało go też, to już ubocznie, że „Gruby” nie dał mu swego adresu, nie może się z nim od dłuższego czasu zobaczyć, porozma-wiać.

— Serwus! — Usłyszał za sobą. Był to były przodownik po-licji, Piątkowski, który go niespodziewanie nagabnął na ulicy.

— Dzień dobry. Gdzie pan był te wszystkie czasy?

— Na tamtym świecie.

— I jak pan stamtąd wrócił?

— Przez zdarzenie. — Piątkowski był rok temu zaaresztowany przez NKGB i osadzony w lokalnym łagrze, w Prowieniskach na Litwie. — Jak zaczęła się ta wojna w czerwcu — opowiada — to straż drugiego dnia związała. Już chcieliśmy wychodzić, zebraliśmy się na placu przed barakami, ale jak to pan wie, człowiek zastraszony, wtedy rusza się jak mucha w kleju. Aż raptem widzimy, czołgi idą. Z daleka wszyscy myśleli, niemieckie. Więc radość, kto jaką szmatę znalazł, wymachuje w powietrzu. A to okazały się sowieckie, cofające się. Straszna rzecz, ludzie zdupieli, i stali sparaliżowani. Oj, myślę, nie dobrze nam będzie... Czołgi wjechały w ogrodzenie, kazano nam wszystkim ustawić się na placu. I my jak było, zamiast rozbiegać się, jak zakłęci stłoczyli się w kupę. Wtedy oni do nas z karabinów maszynowych... — Nagle ton jego niefrasobliwego opowiadania uległ zmianie. Widocznie wizja tamtego przeżycia utknęła mu czkawką w gardle; zaczął mówić z trudem: — To było tak: ludzie w kupę zaczęli się zbijać, zbijać, jeden za drugiego się kurczył w śmiertelnym kurczu, i kupą padali jeden na drugiego. Ja już nie pamiętam ani krzyków, ani jęków... Matka Boska... przytomności nie straciłem. Żadna kula mnie dotychczas nie trafiła. No, taki cud. Zwaliałem się z innymi. I jak już wszyscy leżeli na jednej krwawej kupie, bolszewicy podeszli, i kogo jęczał i ruszał się, tego bagnietem przebijali. A po pewnej chwili zaczęli wołać: „No, kto żyw jeszcze! Nie będziem już więcej kłuć! Kto żyw?!” A ja, wiesz pan, tak leżałem bokiem, podkurczony pod jednym trupem, a tuż koło mojej głowy, głowa drugiego trupa roztrzaskana serią z kaem. To ja szybko zapuściłem rękę w jego czaszkę i całą garść mózgow i krwi maznąłem sobie na twarz, i leżę, dech wstrzymuję... Oni nie mieli dużo czasu. Niemcy, Matce Boskiej podziękować, szli szybko. Bolszewicy siedli w czołgi i odjechali.

— I dużo tam wtedy zabili?

— Z pięćset. Ja, zdaje się, jeden tylko żywy i wyszedłem.

Szli jakiś czas milcząc. Leon, jakby dla odwrócenia uwagi od koszarnej przeszłości Piątkowskiego, przypomniał sobie:

— Niemcy wezwanie ogłosili do byłych policjantów polskich. Żeby zgłaszali się na służbę do Generalnej Guberni. Tam, opowiadał mi jeden, o wiele lżejsze życie niż tu.

— Wiem. Nie pójde ja do nich. Nie pójde nigdzie. Nie będę więcej służył ani jednym, ani drugim, ani trzecim. Ani policjantem ani bandytą. Nikomu. Codziennie ot, idę sobie przed obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej. Niech pan nie myśli, że z podziękowaniem, czy z prośbą. Po prostu żeby mieć gdzie iść. Rodzina

wywieziona do Kazachstanu. Przeżyję tę wojnę, dobrze. Nie przeżyję, drugie dobrze. Postoję pod obrazem i wracam do domu. I jeść nie bardzo się chce. Czemuś najchętniej kiszoną kapustę.

Leonowi, w jego nastroju, ciążył trochę ten towarzysz. Myślał dokąd i pod jakim pretekstem skrócić. I właśnie w tej chwili ziściło się to o czym myślał od rana: spotkać „Grubego”. Henryk akurat przechodził w poprzek ulicy. Leon rzucił Piątkowskiemu na pożegnanie jakieś słowo, i skoczył za Henrykiem.

— Serwus! — powtórzył mimowoli powitanie Piątkowskiego, łapiąc Henryka za rękaw.

— Słuchaj — odwrócił się tamten, wyciągając dłoń na przywitanie. — Czyś to ty nasadził mi na szyję tego bubka z Warszawy?

— Którego?! Aaa... Tego. Nie, niekoniecznie ja. Ja tylko dorzuciłem kilka słów. A bo co?

— W porządku.

— Montuje się solidna organizacja podziemna.

— Coś w tym rodzaju. Zobaczymy.

— Co ty powiesz na tę gazetę w języku polskim.

— Czytałem. Zwyczajna gadzinówka.

— Dowiedziałem się kto ten redaktor, Ancerewicz. To jakiś „mleczarz” z Białegostoku. Pisywał stamtąd korespondencje do tutejszych gazet przed wojną. Ale nie o tym chciałem mówić. Jakie twoje zdanie z „punktu Zakrzewskiego”... Zaczęły wychodzić antybolszewickie pisma litewskie, białoruskie, rosyjskie, łotewskie, estońskie, bo ja wiem jakie. Polskie, mówisz, „gadzinówka”. Słusznie. Ale wypada z drugiej strony tak, że my tylko jedni nie przeciw bolszewikom. To znaczy, ja mówię z punktu Zakrzewskiego...

— Nie ważny jest „punkt”, tylko skuteczność. Już dziś poważnie, a niezadługo wszyscy, będą czytać odwrotnie, cokolwiek przez Niemców lansowane. I w skutku wyjdzie nie propaganda antybolszewicka, lecz probolszewicka. Tak przewiduję. — A w duchu pomyślał: „Ten też mnie pasuje na spadkobiercę. Zakrzewskiego. Ideowego. Czy też dlatego, że odziedziczyłem po nim Hałę?” Miał uraz na tym punkcie.

— Ty znasz Antanasa? — zapytał nieoczekiwanie Leon.

— No.

— Co myślisz?

— Dobra kanalia.

— Oni się chcą teraz wyraźnie odciąć od nas. Poszli na podnózek niemiecki.

— Prawdopodobnie. A już szczególnie Antanas. A po co on tobie?

- Kiosk chcę na dworcu dostać.
- Na dworcu kolejowym kiosk?... Bagatela!
- Za grubą łapówkę — uparł się Leon.
- Nawet.

Leon z nagłym rozdrażnieniem:

- Nie on, to kto inny. Za łapówkę można...
- Chyba za bardzo grubą łapówkę. Skąd ją masz?

Leon nie odpowiedział. Henryk pomyślał, zawahał się, ale dlaczegoś też nie przyznał się Leonowi, że przez tego samego Antanasa wystarał się jednak o koncesję na kawiarenkę w suterynie dla Jadzi, siostry Hali. Leon zaś nie przyznał się Henrykowi skąd ma pieniądze na łapówkę, gdyż o kiosk gazetowy na dworcu starał się nie z własnej inicjatywy, a z inicjatywy organizacji podziemnej, która chce ustanowić tam punkt obserwacyjny... A kto wie, może i dywersyjny. I że pieniądze na ten cel, grube pieniądze, są. Tylko wszystko fatalnie się przeciąga. — Henryk przerwał milczenie:

— Ja będę musiał wyjechać na pewien czas. Na prowincję. Kontakt ze mną utrzymasz zawsze taki: przy Mickiewicza, od placu po lewej stronie, pod apteką, schodki w dół, będzie mała kawiarenka. I w niej będzie „panna Jadzia”. Będziesz jej mógł zawsze powiedzieć, albo zostawić kartkę.

Drogę ich zaczęły się jakby nieznacznie rozchodzić.



Pewnego dnia (Henryka nie było znowu w domu), Hala usłyszała pukanie do drzwi. Gdy je otworzyła stał przed nią nijaki blondyn o lekko falujących włosach. Miał starą teczkę pod pachą, ale dlaczegoś zgadnąć było można, że z podróży. Przystąpił ostrożnie próg i rozglądnął się po skromnej kuchence.

— Pani jest sama?

— Proszę...?

Zamknął cicho za sobą drzwi.

— Czy nie ma tego pana, który chciał kupić „tekturowe pudełko do kwiatów”?

Hala odeszła w róg kuchni, ujęła ręczny tasak i zaczęła nim milcząc strugać łuczywa na podpałkę do płyty.

— Jeżeli go nie ma w domu, a jeszcze nie za późno, i wróci dziś, proszę mu powiedzieć — ściszył głos — że pan Gałas, znajomy w Lidzie, został „spalony”.

Hala strugała milcząc łuczywo.

— I... że Ła-wry-no-wicz, to łatwe do zapamiętania nazwisko, będzie miał dla niego wiadomości.

Hala w dalszym ciągu strugała łuczywo. Nieznajomy skinął głową, ujął za klamkę, chciał jakby jeszcze coś powiedzieć, ale przestał tylko próg, zamknął za sobą drzwi, i słychać było jak schodził po schodach; nie za cicho i nie za głośno, a tak właśnie jak trzeba schodzić ze schodów.

— To tyś dla Klaudii zamówił kwiaty w Lidzie? — Spytała z łagodnym sarkazmem Henryka, gdy wrócił do domu. — W „tekturowym pudełku”?

— Dla Klaudii.

Opowiedziała mu o wizycie.

— Dobrze — mruknął Henryk. I postanowił udać się tam, dokąd już przedtem myślał, że w razie czego się uda.

VII

Znany poeta i dramaturg białoruski, Franciszek Brzozowicz, w latach dwudziestych oczarowany wieściami, które przedostały się zza kordonu bolszewickiego o rozkwicie narodowego, leninowskiego NEPu, przekroczył nielegalnie granicę do BSSR. Przyjęty w Mińsku z otwartymi rękami, poświęcił się tworzeniu nowego teatru białoruskiego. Po dwóch miesiącach aresztowany przez GPU pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Polski, zesłany został w roku 1924 do łagru na Wyspach Sołowieckich, na Morzu Białym. Po siedmiu latach rząd polski uzyskał jego zwolnienie w zamian za wydanie Sowietom aresztowanego w Polsce wybitnego komunisty białoruskiego. Brzozowicz wrócił do Wilna, napisał książkę o Sołowkach, i dostał posadę kontrolera liczników elektrycznych, w magistracie. W znacznej mierze zawdzięczając tę posadę przypadkowej znajomości i protekcji Henryka, który akurat pracował wtedy w tym wydziale magistratu.

Brzozowicz, rodem z b. gubernii Mińskiej, wychowany w kulturze polskiej, za młodzieńczych lat przystał był do wędrownej trupy teatralnej. Umiał i dziś z rozrzewnieniem opowiadać o tych bardzo dawnych czasach, gdy pływali Wisłą od Warszawy do Sandomierza, dając przedstawienia w miastach i miasteczkach okolicznych. Nacjonalistą białoruskim stał się dopiero później; ale też od razu, z całą pasją swej porywczej natury rzucił się do politycznej pracy w narodowo-białoruskim ruchu. Później Polskę zawdzięczał wyzwolenie z łagrów sołowieckich; a gdy po klęsce roku 1939 uciekał przed bolszewikami na Litwę, i graniczna policja li-

tewska nie puszczała osób cywilnych tylko internujące się wojsko, uratowali go saperzy polscy. Wsadzili mu na głowę hełm stalowy, a na ramiona zarzucili mundur, aby się mógł przemycić w szeregach. Jednakże tylko reminiscencje z okresu młodości, najczęściej przy wódce, ożywiały w nim czasem stare sentymenty. Nie zaliczał się do polonofilów. — Podczas okupacji sowieckiej 1940/41 przebrał się w, zbyt może teatralny, strój chłopski i chodził w łapciach i z posochem w ręku, co go omal nie zdradziło, gdyż takich niewielu już bywało po wsiach. Zaprzysięgły wróg bolszewików, zapewne nie uszedłby w końcu tropicielom NKGB. Zbawiła go wojna niemiecko-sowiecka. Od razu powrócił do politycznej roboty białoruskiej, i został redaktorem naczelnym pisma wydawanego w Wilnie pod egidą niemiecką, pt. „Biełaruskij Hołos”. Pił trochę za dużo. — Do niego poszedł Henryk nazajutrz po otrzymaniu wiadomości, że droga do Mińska via fabryczka pudełek kartonowych w Lidzie została „spalona”.

Brzozowicz mieszkał na parterze niedużej kamienicy w bocznej i bardzo cichej ulicy, częściowo wysadzonej topolami. Pomiedzy frontem i chodnikiem ulicznym było trochę miejsca na trawnik, ale trawa nie była zasiana, ziemia zdeptana stopami ludzi i psów. Gdy Henryk zapukał, bo dzwonek nie działał, odezwał się za drzwiami najpierw zaciekły dyszkant foksteriera, później głos kobiecy: „Drożdzyk! Cicho!”. Zawsze brała pieska na rękę zanim uchyliła szparę chronioną łańcuchem. Nie wpuściła też nieznanego aż rozeznał go mąż.

Brzozowicz, krótki, krępy, o siwiejących w nieładzie włosach, miał oczy jasne, powiedzieć by o nich można: prawie natchnione, gdyby nie przesłaniała ich nieuchwytna mgiełka, ni to lat przeżytych, ni to nadużytego alkoholu. W mieszkaniu grało radio, które posiadać miały prawie wszystkie narodowości „Ostlandu” z wyjątkiem Polaków i Żydów. Zaraz polecił żonie nakrywać do stołu, i wyjął z kredensu litrową butelkę nalewki czernicowej.

— Cóż — mówił Brzozowicz — po starej pamięci i z długu wdzięczności, poczuwam się do obowiązku panu pomóc. Redakcja nasza ma przyznany jej „gazik” ciężarowy; benzyny nie trzeba, nikt nie kontroluje przejechanych kilometrów. Muszę wysłać właśnie dwóch ludzi z transportem gazet do Mińska, bo tam jeszcze nie uruchomili drukarni. Ale przy tym taki towar, jak dwóch Polaków... he, he, he, to trochę ryzykowny. W dzisiejszych czasach. Przyzna pan?

— Jeden tylko Polak. Drugi Rosjanin.

— Ech, jak na mój gust to jeszcze gorzej. Po co pan jedzie do Mińska?

— Zobaczyć krewnych to raz. Zarobić trochę, to dwa.

— Na czym?

— Na czymkolwiek. Może na złocie.

— Słyszałem. Tam u nas, tak mówiąc między nami, zarabia na tym niejaki Sakowicz, szef główny naszej policji białoruskiej. Jemu tylko proszę na oczy nie wpadać. On dawno już jest tego zdania, że za dużo Polaków poczęło się w Mińsku kręcić. A tu jeszcze konkurent handlowy, he, he...

— Sakowiczów jest masa.

— Nazwisko rozpowszechnione. Wiem z dawnych czasów, że z pana szofer nie lada; ale czy z „gazikiem” umie się pan obchodzić?... To dobrze.

I stanęło na tym, że wysła ich jako pracowników drukarni, wystawi im zaświadczenia potwierdzone przez przepustki niemieckie, pod słowem wszakże honoru, że po dostarczeniu transportu na miejsce i oddaniu „gazika” w ręce niejakiego Juliana Ławrynowicza...

— Co pan mówi?!... — wykrzyknął nieomal Henryk, ale poplątał się i zamilkł.

— Dlaczego?

— Bo znałem przed laty w Mińsku...

— Ławrynowiczów jest masa. Słowem po załatwieniu dokumenty będą „dokumentnie” zniszczone, i końce całej sprawy w wodę. A tam już panowie muszą się starać własnym przemysłem. Zwłaszcza ten Rosjanin. Jest surowy zakaz władz cywilnych dopuszczania emigrantów na tereny okupowane. W ogóle emigrantów, a rosyjskich w szczególności.

— Dziwne. Mnie się zdawało, że ich się pokazało mnóstwo.

— To robi Wehrmacht i Abwehra — mruknął niechętnie Brzozowicz. — Władze cywilne i SS zakazują. A co się tyczy „dziwne”, pan mówi, to w ogóle jesteśmy w obliczu najprze-dziw-niej-szych zdarzeń. — Ożywił się. Wypił już sporo, i domyśleć się było można, że śpieszy wygłosić jakieś własne, przemyślane tezy, korzystając z okazji szczerzej rozmowy, o którą nie było w tych czasach łatwo. — Niech pan weźmie: Tak zwane wielkie demokracje zachodu związały się z bolszewizmem, i w imię tych demokratycznych wszystkich ich hasła — zrobił ruch kciukiem w kierunku odbiornika radiowego („Znaczą słucho zachodnich stacji”, pomyślał Henryk) — idą przeciw Niemcom. A tymczasem na wschodzie Europy następuje taki paradoks: wszystkie narody chłopskie, czyli wszystkie tak zwane „czarne ręce od pługa”, czyli organicznie demokratyczne, Finowie, Estończycy,

Łotysze, Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Słowacy... wołają raczej Niemców, niż tego sojusznika demokracji światowej!

— To dodaj pan także: i Rosjanie — wtrącił Henryk — bo chodzą słuchy, że witają Niemców aż pod Moskwą.

Ale Brzozowicz puścił tę uwagę mimo uszu, porwany własną wymową:

— ... Tymczasem drugi fenomen: z całej Europy wschodniej, tylko „szlachecka” Polska i „kapitalistyczne” Czechy, czyli „pańskie” i „białoręce”, kumają się z bolszewikami przeciw Niemcom!... Nie, — uczynił ruch otwartą dłonią, jakby bronił się przed repliką, choć Henryk włożył właśnie do ust kęs smażonej kiełbasy — ja nie mówię o szczegółach, a o sytuacji z lotu ptaka. I łącznie z tym, muszę panu powiedzieć, panie Henryku, choć to smuci wszystkich Polaków: Rozwiera się taka przepaść pomiędzy „Koroną” i „Wielkim Księstwem”, jakiej nigdy jeszcze dotąd o tej głębokości w historii nie było. W porównaniu z tym, odrodzenie się naszych narodowych ruchów, białoruskiego, litewskiego, ukraińskiego w XIX wieku, zda się tylko drobną skazą na waszej „idei Jagiellońskiej”. Dziś ona jest rozdarta przepaścią nie do przebycia, i nieodwracalna! Wszystko co było Litwą i Rusią, idzie przeciwko bolszewikom. Wszystko co było Koroną, idzie z bolszewikami.

— No, zaraz: „wszystko”...

— Ja mówię o schemacie. Teraz, to już żadne wasze hasła i haselka: „Za naszą i waszą wolność”, kładek przez tę przepaść z powrotem nie przerzuca. A ta przepaść przebiega właśnie... — Brzozowicz zakrzuszył się, zamachał rękami, zerwał serwetę z szyi i pochyłony wyszedł do drugiego pokoju, skąd dochodził jego gwałtowny urywany kaszel.

— Mój mąż to zawsze tak — powiedziała pani Stefa. — Jak tylko zacznie o polityce, to nie zna umiaru.

— Gdzie pani może dostać dziś taką wspaniałą, doprawdy, kiełbasę?

— To mężowi ze wsi po cichu przywożą.

— Ładnie ludzie robią.

Brzozowicz powrócił, lewą dłonią trzymając za gardło, z dwoma palcami prawej wzniesionymi do góry:

— Przysięgam, że będę już mówił spokojnie.

— Ty byś mniej przysięgał — odpowiedziała żona — a więcej na siebie uważał.

— Na gościa raczej. — Siadł i zaraz nalał do kieliszków.

— Więc tak to jest.

— Ale nie wchodząc w rozbiór pana syntezy — podjął Henryk — mnie interesuje, na czym panowie właściwie budują możli-

wość współpracy z Niemcami? Po tym co się widzi i słyszy, i po tym co już wiemy, nie chcą oni niczego odbudować, nikomu nic dać; traktują okupowane ziemie jak własne kolonie, a ludzi zamieszkałych na nich jak „*unterschów*”. Więc gdzie rachunek?

— Widzi pan, między nami, tak prosto to nie jest. Żyjemy w epoce propagandy, więc wśród pojęć mocno uproszczonych. Tak prosto nie jest. Nie bywało zresztą nigdy na świecie. Ja byłem niedawno w Berlinie. O ile mogłem się zorientować, istnieją trzy główne, że tak powiem trzony, które decydują o polityce wschodniej. Po pierwsze Hitler i partia, a więc takie typy jak Bormann, Himmler, Goering i banda. Po drugie: Ostministerium, to znaczy Rosenberg i cały sztab wcale rozsądnych profesorów i ekspertów. Po trzecie: wojsko. To znów schemat. Pomijam, że w każdym z trzonów są prócz tego tarcia, kłótnie, zwalczania wzajemne, zawiści i inne zdania. Prócz tego odsunięte od wpływów ministerstwo Ribbentropa; prócz tego propaganda, Abwehra, Gestapo, SD, „Plan pięcioletni”... ach, czego tam nie ma! Jedna wielka walka o kompetencje. Wszystko skłócone na noże, lub zakulisowe sojusze dla podstawienia nogi trzeciemu. Labirynt intryg. Ale te trzy trzony są główne. My stawiamy na razie na środkowy: Ostministerium Rosenberga.

— Chodzą gadki, że to wielka kanalia.

— Owszem. Dla Żydów, Polaków i Rosjan. Poza tym niby teoretyk hitleryzmu. Ale trzeba znać kulisy. Goebbels nazwał jego „*Mythos des XX Jahrhunderts*”: światopoglądową czkawką! Hitler go właściwie nie znosi. Naturalnie, że Rosenberg jest ultra-hitlerowiec. Ale jego koncepcja wschodnia: „*Unterscheidungspolitik*”, tj. polityka różniczkowania. Przy tym jego konikiem jest „ukrainofilizm”. I tu najbardziej koliduje z teorią „podludzi”, której przy Hitlerze najgorętszym zwolennikiem jest Bormann, Himmler i kompania. A my przy tym „ukrainofilistwie” chcemy upiec i swoją pieczeń.

— No dobrze. Ale dlaczego w takim razie nie robią panowie stawki na sfery wojskowe? Zewsząd słychać, że są względnie najbardziej przeciwne metodom hitlerowskim, i że tam gdzie rządzi okupacyjna władza wojskowa, jest o wiele lepiej niż pod władzą cywilną Rosenberga.

Brzozowicz przymknął jedno oko.

— Widzi pan, to są subtelności polityczne. My naturalnie liczymy, że polityka Hitlera nie da się utrzymać, bo jest absurdalna sama w sobie, i samobójcza dla samych Niemiec. Że będzie musiała ulec zmianie pod naciskiem konieczności. Ale... — pod-

niósł palec — najgorsze dla nas, gdyby ta konieczność wykazała słuszność sfer wojskowych...

— Nie rozumiem. Paradoks?

— Nie paradoks. Bo wojsko stawia na: „Rosję”... Ot, czego my boimy się najbardziej. Bo sytuacja jest taka: Hitler: wszyscy podludzie, jedna kolonia niemiecka. Rosenberg: wydzielić kraje bałtyckie, dać samodzielność Ukrainie, Białorusi, Kaukazowi, rozczłonkować Rosję raz na zawsze, a z „Moskowią” zrobić rodzaj generalnej gubernii, bez warstwy wyższej. Natomiast Wehrmacht przeciwnie: anektować kraje bałtyckie, dać może tam samodzielność na Kaukazie i innym trochę autonomii, ale w zasadzie, po obaleniu bolszewizmu, odbudować narodową Rosję i szukać z nią trwałego porozumienia. Przyjmując teraz, że koncepcja Hitlera jest z założenia nierealna, największym niebezpieczeństwem byłoby dla nas zwycięstwo koncepcji Wehrmachtu. Bo to doprowadziłoby znowu do „Matuszki Rassieji”. Dlatego fakt, że pod zarządem wojskowym pana generała-kwaternistrza Wagnera jest lepiej niż pod zarządem pana Lohse w Ostlandzie, czy pana Kocha na Ukrainie, nas może cieszyć jako ludzi, ale nie jako polityków... Rozumie pan teraz, gdzie tkwi rzekomy paradoks?

— Istotnie, zawiła kombinacja. Ale przecież Koch gnębi najbardziej właśnie Ukraińców.

— Dlatego jest największym wrogiem Rosenberga. Zresztą Rosenberg nienawidzi także Lohsego... Niech ich zresztą wszyscy diabli wezmą! Naturalnie, jeżeli już mówimy po cichu...

— „Po cichu!” — wtrąciła z wyrzutem żona.

— No więc dobrze — przeszedł na demonstracyjny szept: — Naturalnie, byle Niemcy zmiażdżyły bolszewizm, niech będą zmiażdżone przez Zachód... Niby wszyscy tego pragną w głębi duszy. Ale: po pierwsze stare wzory nie zawsze się powtarzają, a po drugie... jeżeli już mówimy bardzo po cichu, i bardzo między nami, i bardzo przy wódce... z Hitlerem nas łączy to, że „krucjatę antykomunistyczną” bierze poważnie tylko Wehrmacht; zaś Hitler walczy głównie nie z komunizmem, a z Rosją. Nie tyle bolszewizm chce zmiażdżyć, ile raz na zawsze wyeliminować Rosję!... Natomiast stanowisko mocarstw zachodnich, i po obaleniu bolszewizmu, byłoby raczej wątpliwe... Oj, wątpliwe. Posadziliby z powrotem, może nie białego cara, ale w każdym razie „wszechrosyjskiego” Kiereńskiego. No i będą popierać, jak mi mówił pewien Ukraińiec, Rosjan z jednej strony, Polaków z drugiej. A na razie popierają bolszewików. Pan pytał o rachunek. A gdzie tutaj jest rachunek?

Henryk słuchał z zainteresowaniem. Być może była to jego szkoła, którą narzucił ongiś Zakrzewskiemu, choć mogło wyglądać,

że raczej sam ją od niego przejął: jak najwięcej usłyszeć, jak najmniej wdawać się w polemikę. Zresztą czuł się ociężały od wypitego alkoholu i obfitego obiadu. Za oknami, czy to mrok zapadał, czy tylko chmury jesienne się zgęściły? Raz zamierzał już wstać i pożegnać się, ale właśnie w tej chwili ciszę uliczki rozdarł krzyk:

— Uciekaaaj! Uciekaaaj! — akcentem na „aj”. Tupot, strzał! Jeden, drugi. — Uciekaaaj! — Coś przytłumiło głos. Grochem posypało kilka strażów pistoletowych. Jeszcze tupot nóg. — „Drożdzyk” zaszczekał. Brzozowicz skoczył do okna i uchylił firanki.

— Nie podchodź do okna!!! — krzyknęła pani Stefa. Brzozowicz opuścił firankę i wrócił do stołu.

— Nie, teraz niebezpiecznie wychodzić na ulicę. Musi pan przeczekać.

W ten sposób przesiedzieli, przepili z przerwami do godziny policyjnej, i wychodzić już było nie można. Zaczęło ciemnieć, trzeba było zaciągnąć przeciwlotnicze zasłony na oknach, i zapalić światło.

— Pan wie — mówił Brzozowicz — słyszałem naturalnie z trzęcich ust, ale pochodzi od osoby pewnej. Ponoć szef sztabu generał Halder miał opowiadać, że Hitler po zdobyciu Leningradu i Moskwy chce te obydwie miasta zrównać z ziemią! Żeby śladu nie zostało!

— A Mińsk i Kijów dopiero później?... — wtrącił z naiwną powagą Henryk.

— To tak się zdaje tylko, że on wszechmocny. Pan wie, że już 12 maja Hitler wydał rozkaz: „rozstrzeliwać wszystkich komisarzy i politruków wziętych do niewoli”. A gdy generałowie protestowali, to walił pięścią w stół. A wiem z dobrego źródła, że w rezultacie rozkaz został zignorowany... „Nasz” kochany Rosenberg, też ma pomysły niezgorsze. Stworzył swój „Ostland” z Estonii, Łotwy, Litwy i Białorusi, pięść do nosa. Odebrali nam do Reichu Grodno, i „Białorus” wytyczyli na razie do Berezyny. A pan wie, co on chce zrobić w Smoleńszczyźnie? Wysiedlić całą ludność do „Moskowii”, a na ich miejsce osiedlić tam Polaków zgarniętych z Litwy, Białorusi i Ukrainy!... Przetrzymamy te projekty, nie bój się pan, życie samo przetrzyma...

— Ale czy „przetrzymamy”? Pytanie?

— A nadzieje i rozczarowania, wszystkie te rzeczy co opowiadają, co przesadzają, i co naprawdę się dzieją... Ech, działały się odwiecznie i będą się dziać do końca świata... A czy pan zna piękny wiersz Mikołaja Gumilewa, pt. „Teatr”? — W Brzozo-

wiczu obudził się stary aktor. Wstał, oparł się o poręcz krzesła i zaczął deklamować:

*"Wszycyśmy, i święci i złodzieje,
Od ołtarza czy z ostroga,
Wszycyśmy — śmieszni aktorzy,
W teatrze Pana Boga...*

.....

*Mnożą się spytki i kaźnie,
I wzrasta trwoga,
Co, jeśli nie skończy się wieczór
W teatrze Pana Boga?...*

Ech, w jego ręce przepijmy po przedostatnim! Choć to był Moskal. — Siadł i nalał do kieliszków... Już wkrótce potem opuścił posiwiął głowę na złożone na stole ręce.

Pani Stefa dawno już poszła spać.

Henryk przespał się niewygodnie na kanapce.

Nazajutrz rano pani Stefa chciała mu dać śniadanie. Mąż spał jeszcze w swoim pokoju.

— Dziękuję, poproszę tylko o kubek wody.

— Dam panu z sokiem wiśniowym.

— Dziękuję, czystej wody, proszę.

VIII

Czymże „Radwan” był tak zdumiony, gdy wszedł na dworzec kolejowy? Rzecz niby zwyczajna: tumult, ruch, szurganie podkutych butów po kamiennych płytach; kłęby pary wodnej rozpełzające się nad szynami, buchanie lokomotyw; transporty, transporty, transporty. Działa na platformach, czołgi na platformach; w węglarkach, lub wyranżowanych, gdzieś ogniem osmolonych wagonach towarowych, nieskończone sznury stłoczonych do niemożliwości jeńców sowieckich; było im tak ciasno, że mogli tylko stać. Wrzaski konwojentów, poszczekiwanie żandarmów, prze-

mykający się z troską na twarzy ludzie cywilni. Policjanci litewscy, oficerowie niemieccy. Do Cyganów podobni żołnierze hiszpańskiej „Błękitnej Dywizji”... Rzecz zwyczajna dla wyglądu dworca kolejowego. Ale oto w środku tego wszystkiego, dosłownie w środku, bo zaraz na przeciw wejścia głównego, półkole lady dużego kiosku gazetowego, a w środku tego półkola, za tą ladą — Leon! Nie tylko Leon, ale jeszcze pomocnica. A musiało być też więcej, bo zjawiali się tacy z opaskami na ramieniu, którzy brali naręcze gazet, wychodzili na perony sprzedawać. — „Radwan” się zdumiał tą złotą żyłą, którą spostrzegł.

— Jak się udało? — spytał z robioną obojętnością, opierając łokciem o ladę.

— Udało się — odpowiedział Leon na odczepnego, bo już znowu gdzie się śpieszył.

Tak, można powiedzieć szczerze: udało się. Sowiecka flota powietrzna rozbita, więc naloty na dworzec nie grożą; bezpiecznie jak u Pana Boga za piecem. A Leon wciąż się śpieszy. Śpieszy do bufetu, gdzie zna wszystkich bufetowych i usługujące dziewczęta. Stawia kolejkę nielegalnej wódki dyżurnemu przodownikowi policji litewskiej. Już się wita z kolejarzem, i jeszcze jedna kolejka. Sam nie zdąży wypić, ledwo usta umoczy. Czasem rozgada się z feldweblem niemieckim, pocziwym na wygląd. Nikogo ta jego rozrzutność i zaafierowanie nie dziwi. Każdy wie, że to złoty interes taka koncesja na wyłączność sprzedaży gazet, a co sprzedaje pod ladą, na to policjanci nie zwracają uwagi, bo się samo przez się rozumie, że kto chce zarabiać ponad miarę, musi dać, i łapówka rzecz święta. Ale Leon ciągle się śpieszy. Też nic dziwnego. Transporty idą, przewalają się, można powiedzieć; przychodzą paczki gazet, trzeba przyjąć, sortować, sprzedawać. Przepycha się przez tłum żołnierzy, biegnie w inny koniec dworca, chociażby tylko do żołnierskiego ustępu, gdzie często padają jakieś urwane zdania, między przekleństwami, wyrzekaniem. A oto już częstuje tytoniem kierownika ruchu pierwszego odcinka.

Dużo też roboty wymagają rachunki. Trzeba je ciągle notować. Księga leży otwarta na ladzie. Leon obmyślił najprostszy sposób prywatnego szyfru, wyłącznie na własny użytek, nikt go nie zna. Numery pułków, dywizji, ilość transportów; ilości wagonów, częstotliwość przelotu; znaki szczególne, domysły i rzeczy sprawdzone; usłyszane i przekazane mową umowną od pomocników, — wszystko to mieści się w kolumnie cyfr i tytułach gazet niemieckich, litewskich, łotewskich, rosyjskich, białoruskich, polskich, hiszpańskich, włoskich i belgijskich, bo i takie oddziały

tędy przechodziły. Z każdej pozycji cyfrowej może się w każdej chwili wytłumaczyć.

Z tych cyfr i nazw, sporządza później raport dzienny; z raportów dziennych powstają raporty tygodniowe. Ale to już poza dworcem, na pewnej tajnej kwaterze. Jest to robota przyjemna, łatwa, niemal bez ryzyka i bardzo intratna. O niedawnym przygnębieniu Leon już zapomniał; nie ma na to po prostu czasu. W ogóle nie ma czasu na rozmyślania. Raz tylko nasza go chęć refleksji, ale nie wypowiedział jej jeszcze wtedy głośno. Było to, gdy Watrycy powiedział mu prywatnie, iż jest wiadomość, że z Londynu do Warszawy nadeszło podziękowanie wywiadu angielskiego. To nic pewnego; mógł, naturalnie powiedzieć tak sobie, albo dla podniesienia na duchu, a dużo mówiło się teraz w tym właśnie celu. Ale w gruncie mógł istotnie dziękować. Dla czegoż by nie. Wywiad angielski przekazuje te informacje wywiadowi sowieckiemu. Tylko o tym akurat, specjalnie się nie mówiło. Przynajmniej głośno. — Po co? — jak zauważył Konrad.



Ale ani Watrycy, ani Konrad, ani tym bardziej Leon nie wiedzieli jak jest naprawdę, bo zresztą skądże by wiedzieć mogli.

W sztabie Naczelnego Wodza PSZ w Londynie zjawiał się codziennie oficer łącznikowy sowieckiej Misji Wojskowej, major Sizow, z wydziału zagranicznego NKWD (INO-NKWD). Sympatyczny, jak go nazywano w sztabie polskim: „pocziwe chłopisko”; lat około 30-tu, przysadzisty, niewielkiego wzrostu, krępy, o bardzo otwartej twarzy i łagodnych oczach.

— Co nowego, gaspadin pałkownik? — Wyciągał rękę do szefa Oddziału II-go polskiego sztabu, płk. Mitkiewicza. A ten wręczał mu wszystkie wiadomości wywiadowcze o Niemcach, otrzymane zarówno z Polski, jak placówek zagranicznych.

25 sierpnia ustalone zostały zasady ścisłej współpracy wywiadowczej pomiędzy sowieckim Sztabem Generalnym a polskim Sztabem Naczelnego Wodza w Londynie. Po pewnych sprzeciwach ze strony generała Sosnkowskiego, ujęto je ostatecznie w kilka punktów:

„... Zasadnicza wymiana wszystkich wiadomości... W wypadkach wyjątkowych następuje bezpośrednie łączenie Moskwy z Warszawą... Zadania wywiadowcze dla polskiego Podziemia w kraju, otrzymuje w Moskwie mjr Bortnowski, z Misji Polskiej w Sowietach... Polski aparat wywiadowczy „Wachlarz” ma być wysunięty do bezpośrednich tyłów niemieckich”.

Oдноśne instrukcje i szyfry dla łączności Moskwa-Warszawa,

przekazane zostały z Londynu generałowi Roweckiemu („Rakoń”) w Warszawie.



„Radwan” jest daleki od rozporządzania takimi warunkami pracy jak Leon. Jego czynność jest bardziej szara, choć może bardziej niebezpieczna. Oficjalnie pracuje jako zecer w tej samej drukarni co dawniej, gdzie teraz drukują się niemieckie druki; przy ulicy Św. Anny. I ma zlecone sobie wynosić, po prostu w kieszeniach marynarki, czy spodni, garściami, czcionki wykradzione z ręcznych kaszt. Wtajemniczonych jest tylko dwóch, on i zecer uciekinier z Warszawy. Ten opowiada, że już za czasów sowieckich należał rzekomo do tajnej organizacji „PPS-Wolność”. Radwan sądzi po cichu, że to bujda, ale teraz nie ma to znaczenia.

Naturalnie, zacerpnąć z kaszty garść czcionek i wynieść je w kieszeni, nie jest rzeczą pozornie trudną. Ale dzień po dniu, w obecności tylu fachowych pracowników? Czy ich biegają po całej sali, choć mogą to być spojrzenia najbardziej przypadkowe. Kieszeń też nie może być przeciążona ołowiem. Poza tym kraść trzeba nie z jednej kaszty, a z wielu. Z czasem nabiera się wprawy. Z tych czcionek powstaje tajna drukarnia w drugim końcu miasta, na przedmieściu Nowy-Świat, w domku z ogródkiem, gdzie rosną krzaki porzeczek i agrestu, trzy małe wydajne jabłunki, gąszcz bzu i jaśminu; resztę zajmują grzędy warzyw i kartofli; a przed domem rosną dwa drzewa jarzębiny. O tej porze roku jagody jarzębiny nabrały już koloru dachówki, i pasują do małego domku krytego dachówką. W ogrodzie stoi szopa, skład narzędzi ogrodniczych, z jednym okienkiem i dorobionym teraz dymnikiem. Cała ta posesja należy do byłego metrampaża jednego z polskich pism „sanacyjnych”, które już wiek cały, wydaje się, jak przestało wychodzić. Tu się lokuje prymitywna na razie drukarenka. Ma powstać niebawem solidna. Na razie odbitki odbija się ręcznie.

Ubočna przykrość polega na tym, że Radwan ma o wiele starszą od siebie wiekiem przyjaciółkę, wdowę, przed wojną współwłaścicielkę restauracji, zamożną, która wspierała go, aby mógł uczyć się na uniwersytet. Mimo całej konspiracji dowiedziała się jakoś, że metrampaż ma młodą i ładną żonę. I teraz krzywym okiem patrzy na przebywanie „Radwana” na Nowym Świecie, zwłaszcza nocami. Zwłaszcza gdy po pracy w tajnej drukarni popiją sobie trochę, i wraca rankami z odorem alkoholu w ustach. Dochodzi nieraz do ostrych starć w domu.

Zresztą małe potknięcia zdarzają się różnego rodzaju. Tak na przykład akurat wczoraj. Nowy Świat leży po drugiej stronie

dworca kolejowego. Radwan idzie wiaduktem dla pieszych, nad szynami. W prawej kieszeni marynarki ma upakowane czcionki. W lewej pudełko papierosów. Na szynach, pod wiaduktem, stały otwarte lory wypchane głowa przy głowie jeńcami sowieckimi. Radwan stanął nad nimi, żal mu się zrobiło, wyjął pudełko papierosów i rzucił im na głowy. Podniosło się od razu kilkadziesiąt rąk z krzykiem, jak skrzydła wielu ptaków, łapiących jeden marny kąsek. Ale w tej chwili wrzasnął konwojent niemiecki przy wagonach, zerwał karabin i zmierzył się w górę do Radwana. Ten ledwo zdążył uskoczyć na drugą stronę wiaduktu. Kula trzasnęła w kant żelbetonu i zajęczała rykoszetem w powietrzu. Przechodnie rzucili się też na drugą stronę, pobiegli mostem. Na tym się skończyło. Ale gdyby z tego wynikła jakaś łapanka, aresztowania... Mało prawdopodobieństwa, zdarzyć się jednak może. Gdyby zatrzymano Radwana z pełnymi kieszeniami czcionek! Brrr... Mógł narazić w ten sposób podstawy tajnej propagandy, montowanej z takim trudem. Nie, w konspiracji tak się nie zachowuje. Trzeba uważać na każdy krok.

— Alkohol — powiadał zecer z Warszawy — rozpręża nerwy. Powinien być na receptę dawany, w takiej robocie. Mówi się, trudno.

Popijali w miarę. I choć nikt nie znał jeszcze redaktorów mającego powstać podziemnego pisma, zaczęto już, poza ulotkami, składać powoli pierwsze artykuły.

Były to nadesłane przedruki z warszawskiej prasy podziemnej. Widocznie specjalnie wytypowane dla tak niedawnych jeszcze obywateli Związku Sowieckiego, aby pojąć mogli sens polityczny, i skomentować właściwie polsko-sowiecki pakt podpisany w Londynie przez generała Sikorskiego i ambasadora Majskiego, o godzinie 4-tej po południu, 30 lipca 1941 roku.

W szopie, w ogródku, gdy spało wszystko prócz kotów i gwiazd, składał Radwan tajne słowa do Polaków. Artykuł z tajnej „Rzeczpospolitej” warszawskiej z 6 sierpnia:

„... Przez pakt londyński, jeden z jego kontrahentów uczynił honor Imieniu Polski, uznając przed obliczem całego świata Jej wolność i niepodległość, oraz zrzekając się dokonanych uprzednio zaborów ziem polskich...”

— „Pakt Londyński”, trzeba było wersalikami, albo kamiennym... — zauważył towarzysz z Warszawy. Bo korektę robili na zmianę sami. On składał w tym czasie przeróbki artykułu z tajnych „Wiadomości Polskich” z 17 sierpnia:

„Musimy zrozumieć, że w tym momencie nie może być miejsca na naszą neutralność. Moment wojny niemiecko-sowieckiej wymaga od nas nie pa-

sywnego, lecz aktywnego stanowiska i udziału w tej wojnie. Nie możemy w takiej chwili wycofać się ze zjednoczonej akcji antyniemieckiej. W ten sposób skreślilibyśmy siebie samych z historii i utracilibyśmy nasze korzyści moralne, uzyskane dzięki naszemu zdecydowanemu stanowisku jakie zajęliśmy w roku 1939”...

Radwan składał mechanicznie, nie myśląc, jak przywykły do słów zecer:

„Sikorski dokonał nieśmiertelnego dzieła, podpisując umowę ze Związkiem Sowieckim!... Wielka Brytania i wielki, wypróbowany przyjaciel Polski Winston Churchill, są najlepszymi gwarantami tej korzystnej dla Polski umowy...”
„Chcemy podkreślić, że w naszych pismach i naszej propagandzie operować będziemy faktami prawdziwymi. Zdarzyć się, oczywiście może błąd spowodowany brakiem informacji, lub niedość dokładną oceną. Nigdy jednak nie będą one podyktowane tendencyjnością lub chęcią łudzenia własnego społeczeństwa! Naszym naczelnym, i surowo przestrzeganym hasłem, będzie zawsze głoszenie prawdy!”

Gasząc światło, wyszedł ostrożnie za swoją potrzebą do ogródka. Przedmieście spało. Zza włoskiej topoli wytoczył się wielki księżyc. W tej chwili zaszczekał pies z oddalonego podwórka. Jeszcze z bardziej odległego odpowiedział mu inny. Radwan mimo woli się przysłuchiwał. Nic poza tym. Było przez chwilę jakby wojny nie było na świecie, gdyby nie huczał, gdzieś daleko, w dole zapadły, dworzec kolejowy.

Tego to właśnie ranka, po przepracowanej nocy wracając do miasta, zaszedł do głównego budynku dworca.

— ... Udało się, udało się — powtórzył Leon, który gdzieś wyskoczył i wrócił właśnie do kiosku. Radwan stał zmęczony, wsparty o krawędź lady i o nic więcej nie pytał. Sapiąc pod naręczem świeżych gazet, przyczłapała pani Kurczyńska.

— Dzień dobry — powiedziała.

— Pani też tu pracuje?

Kurczyńska obejrzała się ostrożnie. Przez moment byli tylko we troje.

— Słyszeliście — zaczęła zduszonym szeptem — co Stalin powiedział na tę masakrę niemiecką pod Świącianami?... No, w tej wsi, gdzie wystrzelali wszystkich mieszkańców... Powiedział: „Za każdego rozstrzelanego w Świącianach, stu Niemców!”

— Niech pani te gazety tu położy — wskazał Leon. — A hiszpańską „transakcję” zaraz odnieś na miasto, tam gdzie zawsze.

— Dużo pan zapłacił? — zapytała z łapczywą ciekawością.

— Niedużo.

— Idę spać — ziewnął Radwan.

— Smacznego.

W chwili gdy to mówił, z grupy porannych pasażerów pociągu podmiejskiego oderwała się postać, i zatrzymała przy kiosku. Człowiek kupił gazetę, zwyczajnym odruchem rzucił wzrokiem na stronę tytułową, wsadził w kieszeń, zapłacił, i oddalał się odmierzoną krokiem. Radwan spojrzął na Leona. Nie, Leon go nie poznał, a może nie znał.

— To przecie Jakub Wrona — szepnął. — Współpracownik komunistycznej „Prawdy Wileńskiej”. Nie?

— Czort jego wie. — Spojrzeli za nim jak zniknął w tłumie.

Radwan układał się do snu, szeroko ziewając. Z ust jego nie załatywało czadem samogonu, więc wdowa nie czyniła mu żadnych wymówek. A może dlatego, że miała ważniejszą rzecz do zakomunikowania:

— Tyś słyszał, co Stalin powiedział? Że za każdego rozstrzelanego Polaka, każe rozstrzelać stu Niemców!?

— Już całe miasto o tym słyszało — odmruknął, odwracając się do ściany, bo dzień zapowiadał się znowu słoneczny i raził go blask od okna. — Wynieś kanarka do innego pokoju.

IX

Stalin tego nigdy nie mówił. Przypisywano mu inną wypowiedź. Mianowicie, dowiedziawszy się o metodach hitlerowskich na ziemiach okupowanych, miał powiedzieć: „Niemcy już przegrały wojnę”. Ale i to była legenda. Stalin w tym czasie nie miał czasu na wygłaszanie aforyzmów.

Stalin wygłosił 3 lipca wezwanie do ludności terenów okupowanych, aby niszczyła i paliła wszystko, cokolwiek mogłoby się stać pożyteczne wrogowi. Aby szła w lasy, tworzyła oddziały partyzanckie, piesze i konne; na każdym kroku szkodziła wojskom niemieckim, wysadzała mosty, barykadowała drogi, zrywała prze wody, podpalała lasy, składy, napadała na tabory... — „Wojny z faszystowskimi Niemcami nie można traktować jako wojny zwyczajnej. Jako tylko wojny między dwoma armiami. Jest to wielka wojna całego narodu sowieckiego...”

Tymczasem już do dnia 10 lipca poddało się na terenie Białorusi 320.000 żołnierzy sowieckich; 16 lipca w rejonie Smo-

leńska 300.000; pomiędzy 5 i 8 sierpnia, w rejonie Humania, 103.000; do 26 września pod Kijowem 665.0000. Łącznie więc 1.388.000, w ciągu trzech miesięcy. I to na oczach wszystkich sowieckich ludzi okupowanych terenów. Liczyć więc, że słowa Stalina porwą tych ludzi do broni, było trudno. Stalin polecił tedy organizować „bataliony niszczycielskie” dla przerwania ich na tyły armii niemieckiej. Na posiedzeniu CK-Partii padły jednak słuszne uwagi, że nie ma ku temu obiektywnych warunków. Próbowano natomiast obmyślić środki represyjne dla zahamowania klęski.

Dnia 16 lipca wydany został tajny rozkaz nr 0019: „Na wszystkich frontach pojawia się dużo elementów, które opanowane paniką poddają się wrogowi, nawet wychodzą mu na spotkanie, lub przy pierwszym zetknięciu rzucają broń, innych za sobą pociągając. Liczba stanowczych dowódców i komisarzy politycznych jest zbyt mała...”

Ale podobnie jak pierwsze wezwanie publiczne, także i późniejszy rozkaz do wszystkich armii, grożący drakońskimi represjami, nie odniósł skutku.

„Obiektywne warunki materialne” na tyłach armii niemieckich zaczęły się dopiero zarysowywać, gdy Niemcy poczęli zwalniać masę jeńców sowieckich, z którymi nie wiedzieli co robić.



Rosenbergowi udało się w tym czasie, w myśl jego stawki na „politykę narodowościowego różniczkowania”, przeforsować zwalnianie w pierwszym rządzie Ukraińców. Zaczęło się już w końcu lipca. Zjeżdżały się żony i nieżony z całej Ukrainy, szukając swoich mężów. Tłumacz machał wysoko nad głową papierem i krzyczał w słonecznym upale:

„Adolf Hitler darowuje wam znowu swobodę!...” Dalsze jego słowa ginęły w hałasie: „Uraaa!!”...

Wkrótce, 8 września, wydano zarządzenie regulujące porządek zwalniania jeńców według przynależności narodowej. Puszczano w pierwszym rządzie Litwinów, Łotyszów, Estończyków, Polaków, Rumunów, Białorusinów, gdy już Ukraińcy w większości byli zwolnieni. — Dr Mende z Ostministerium zabiegał głównie o zwolnienie kaukazyków i narodowości Środkiej Azji. Opracowany przezeń memoriał przekonywał, iż są to ludy które należy w pierwszym rzucie zużytkować w walce przeciwko „odwiecznej Rosji”. Ale nie miał szczęścia. Przeworsował jedynie zwolnienie

Gruzinów. Zwłaszcza Göring zzymał się na samą myśl uprzywilejowania „Azjatów”!

— Azjatami są też Japończycy... — Ośmielił się wtrącić Rosenberg.

— Niech mnie pan głowy nie zawraca! — I odwrócił się plecami.

Na razie Azjaci i Rosjanie szli za druty. Naturalnie każdy kto mógł, podawał się za „Ukraińca”, „Białorusina”, a nawet „Polaka”. Nie każdy jednak miał strzechę nad głową w okupowanym terenie. Masa była takich, którym się tylko udało, jak udaje się w życiu wygrać los na loterii. Pochodzili po wsiach, popętałi bez dzieła. Poprzyglądali. A życie tej jesieni pozbawione było konkretnych perspektyw. Raczej przeciwnie, metody władz okupacyjnych zniechęcały do życia. Zebranią zresztą żyć trudno.

— Dawaj w partyzany! — mówili najbardziej znudzeni.

Göring przechylił wreszcie szalę: „Zadnych przywilejów dla tych wszystkich *Untermensch*’ów, a zwłaszcza dla wymyślonych przez Rosenberga, jakichś tam Ukraińców i Białorusinów!”. — Już w listopadzie wydano zarządzenie anulujące poprzednie, i rozkazano: „Wyłączyć z powrotem!”

Po czterech zaledwie miesiącach od zwolnienia?!... Akurat! Pooooszl! w lasy!

Feldmarszałek generał Ewald von Kleist wzruszył ramionami:

— Moi panowie, nawet w szaleństwie bywają metody. Ta tu, jest tylko nagim absurdem.

Wtedy to CK WKP (bolszewików), w porozumieniu z Państwowym Komitetem Obrony w Moskwie, przystąpił do pierwszych konkretnych początków montowania wojny partyzanckiej na tyłach frontu niemieckiego. Oficjalnie mówiło się: oprzeć na masie „okrużeńców”, tzn. na rozbitkach błakających po lasach. W istocie byłych jeńcach, którzy nie chcieli po raz drugi iść do niewoli.

Nastąpiło to wszelako już pod zimę. A na razie samo istnienie CK i partii bolszewików, i stworzonego przez nią państwa związkowego Socjalistycznych Republik Rad, zdawało się wisieć na włosku.



W drugiej połowie lipca, po przebyciu 700 kilometrów, armie niemieckie stanęły na linii: Jarcewo-Smołęnsk-Jelnia-Rosławł. Do Moskwy pozostawało jeszcze 350 kilometrów.

Dni trwały upalne; kurz zgrzytał w zębach maszyn i ludzi. Losy spoczywały w ręku Boga. A ludzie, jak to ludzie: „Cóż,

mówili, gorzej niż pod Sowietami nie będzie...”. — Okazywać demonstracyjną radość, lepiej poczekać. Zawsze składniej, gdy kto inny, pierwszy z nią wyskakuje. Nierówny czas. — Ale gdzie mogli, nie dawali chłopci ewakuować Sowietom dobra kołchoźniczego. Gdzie mogli, znaczy, bronili. A że swoje, to po zajęciu Niemców, dawaj teraz dzielić sprawiedliwie. Jeszcze nie było żadnego rozporządzenia, jeszcze minęło zaledwie dwa-trzy dni, a po wielu wsiach rozbierano już to „swoje”. Magiczne słowo. Krowy i konie niechętnie szły od stada. Ale wrota stały dla nich otworem po zagrodach.

— Ach ty, moj rodnienki... — obejmowała gospodyni za grzywe powracającego „do domu” konia, choć urodzony on był w stajni kołchoźniczej.

— Ach ty, karmicielko nasza, krówko ty rodzima, miła, witać na swoim... — Posłuchasz, ładne były zawodzenia, jak w poezji. Bywało nawet, co starsza baba łyzy miała w oku.

„Mhyyyy...” — odpowiadała krowa wchodząc w obce jej obejście, odwracając głowę za stadem.

W większości jednak wsi ludzie spychali czapki daszkiem na oczy, drapiąc się w potylicę: „Nie wiadomo jeszcze co Niemiec powie”...

„Niemiec”, ale tylko w obrębie działań wojska grupy „Północ” i „Środek”, patrzył przez palce, na jesieni 1941, na spontaniczną likwidację kołchozów. („Daj jemu Boże zdrowie!”). Także nie zabronili otwierania szkół początkowych, nie czekając na instrukcje z góry. A już wszędzie pozwolili otwierać cerkwie.

W „graždanską” wojnę ludzie przejawili indyferentyzm religijny, co tu grzech taić. A oto dwadzieścia lat ateizmu spłynęło jak woda z gęsi. Samorzutnie potworzyły się „komitety”, wyznaczano bezpłatne roboty na remontowanie cerkwi przerobionych na kluby, składy, lub porzuconych w ruinie. Najgorzej było z popami. Szukano za siódmą rzeką, gdzie jaki się ukrywał. Po pięćdziesiąt i więcej wiorst jechano sprawdzić. Wciąż nie dostawało. Delegaci parafialni przywozili czasem wcale nie popa, i czasem nawet z teologią nie obeznanego, i zgoła bez świeckiego wykształcenia, byle człowiek czytać-pisać umiał i sływał z uczciwości w okolicy. Brano byłych lektorów, starostów cerkiewnych, członków dawnych rad parafialnych, choć trochę otrzaskanych z liturgią. Jeździli potem za siódmą górę, gdzie pojawił się jaki biskup, aby tych wybrańców zechciał wyświęcić na duchownych. — Bywało zjawiały się małżeństwa, które wiele lat przeżyły ze sobą w cywilnym, sowieckim ślubie, aby teraz połączyć się w cerkiewnym. W niektórych parafiach wypadło do stu chrztów odrabiać dziennie.

— Nie śpieszcie, ludzie! — Mówił wycierając pot z czoła, nowokreowany proboszcz. — Gdzież ja tyle zdążę jednego dnia wodą pokropić.

— Nierówny czas, batiuszka. Kto ich wie, a może znowu zaskoczą nasi, i pokrywka zapadnie... Już potrudźcie się jakoś, z łaski swojej, wychrzycicie.

Szczególny był napływ wzdłuż dawnej „ryskiej granicy” do świątyń, które zostały po polskiej stronie. W Radoszkowiczach, w dniu świąteczne, bywało chrzczono po 250 i więcej. A raz uformował się pochód pod przewodnictwem protojerieja Żurskiego, i poszedł z krzyżami, procesją na sowiecką stronę do wsi Rogowy, gdzie była zniszczona przez bolszewików cerkiew. Otworzono ją, wyświęcono, odbudowano, Niemców nawet nie pytając.

Na dalekich krańcach wojny, niemieccy kapelani wojskowi z reguły okazywali pomoc duchowieństwu prawosławnemu i pośredniczyli do władz wojskowych. Z ich pomocą otworzono uroczyście katedry w Mińsku i Smoleńsku. Gdy to się stało, szef RSHA (Reichssicherheitshauptamt SS), Reinhard Heydrich, założył protest w głównym dowództwie Wehrmachtu (OKW) i w Ostministerium. Rosenberg poparł Heydricha, i 22 sierpnia wręczył Hitlerowi memoriał, wskazujący że: „ożywienie rosyjskiego prawosławia nie leży w interesie Reichu”. — OKW zakazało kapelanom wojskowym „mieszania się nie do swoich spraw”. — Z kolei „rosyjskie gremium”, utworzone przy ministerstwie spraw zagranicznych Ribbentropa, który wszędzie próbował podstawić nogę Rosenbergowi, założyło protest przeciwko decyzji OKW, wysuwając inne argumenty względów politycznych. Wszystko to nęło w pisaninie, memoriałach i kontrmemoriałach.

Tymczasem ludzie nic o tym nie wiedzieli. I tłumy pobożnych wypełniały w dniu świąteczne na nowo otwarte świątynie.

Ach, daleki i piękny jest widok z murowanego ogrodzenia, dumnie na wzgórzu bielejącego soboru smoleńskiego! Na Dniepr, na ulicę w dół, którą szedł Napoleon na Moskwę; ulicę opisaną przez Tołstoją w „Wojnie i Pokoju”. Na gliniasto zielone przestrzenie biegnące do nieboskłonów, po jesiennemu szeroko otwarte, het, za granatową wstęgą rzeki, na wschód. Nad pięciu złotymi kopułami płyną podarte pociskami przeciwlotniczymi obłoki. Poniżej czarne krzyżyki jaskółek. Krzyki kawek na świeżo wzniesionych krzyżach. Wiatr niesie zapachy częściowo nie zżętych, częściowo podeptanych pól, suchego pyłu, wilgotnej bliskości wody. Zalatuje i sosną i spalenizną domów; poniżej wonią chwastów

obrastających górę, łopuchów, ostów, do których przylega pieszczotliwy szczebiot szczygłów. Gdzie rzucić okiem po mieście, wysterczają z pogorzeliisk żelazne ramy łóżek. Kocimi łbami bruku ciągną tyłowe kolumny, tabory konne, na most i dalej na drogę do Moskwy. Słychać jak obracają się koła, dzwonią łańcuchy. Czasem przejdzie kolumna samochodowa. I znowu klekot kopyt, jak 129 lat temu, tyle że błyszczące kaski zastąpione zostały przez mętne garnki stalowych hełmów.

W pierwszych dniach września rada miejska Smoleńska, pod przewodnictwem nowego burmistrza, profesora Borysa Bazylewskiego, uchwaliła darować Hitlerowi jedną armatę napoleońską ze zbiorów muzealnych, i wręczyć mu przy tym memoriał. Zawierał on propozycję utworzenia w Smoleńsku rosyjskiego centrum antybolszewickiego; przekształcenia go następnie w prowizoryczny rząd rosyjski, który ze swej strony powoła pod broń armię ochotników, po stronie niemieckiej.

Dowódca „Grupy Srodka”, gen. Bock, przekazał ten memoriał Hitlerowi, a odpis wręczył swemu pierwszemu oficerowi sztabu, pułkownikowi von Tresckow dla zaopiniowania. Tresckow zainteresował się memoriałem, i dał go głównemu tłumaczowi przy sztabie „Grupy”, kapitanowi rezerwy Strik-Strickfeld, aby opracował konkretny plan zrealizowania tego projektu. Strik-Strickfeld miał lat czterdzieści, pochodził z prowincji bałtyckich; w pierwszej wojnie walczył jako młody oficer po stronie rosyjskiej. Reprezentował pogląd, którym zanudzał czasami kolegów, że Sowiety pokonane być mogą jedynie przy pomocy „wyzwolenczej armii rosyjskiej”, i wykorzystania nastrojów spontanicznej nienawiści do ustroju bolszewickiego wśród ludności. Plan opracowany teraz przez niego przewidywał powołanie prowizorycznego rządu rosyjskiego, oraz armii rosyjskiej, złożonej, według jego szacunku, z 200.000 ochotników. — Tymczasem z głównej kwatery Hitlera nie było odpowiedzi. Tresckow przesłał poszerzony memoriał dowódcy sił lądowych generałowi von Brauchitsch. Zbiegł się on z podobnym memoriałem nadesłanym ze sztabu XXXIX korpusu. Nadeszły wreszcie odpowiedzi. Od generała Brauchitscha brzmiała:

„Uważam projekt za rozstrzygający dla kampanii wojennej”.

Z kwatery Hitlera, podpisana przez gen. Keitel, brzmiała:

„Sprawy polityczne zasadniczo nie obchodzą wojska. Poza tym, pomysły takie, jak ten, są dla Führera nie do dyskusji”.

.....

Dnie stawały się coraz krótsze. Od tygodni wojska niemiec-

kie stały w miejscu, oczekując na spodziewany przez wszystkich rozkaz marszu na Moskwę.

X

Dnia 10 sierpnia główna ostoja wywiadu sowieckiego zagranicą, Aleksander Rado, przekazał szyfrowaną depezę ze Szwajcarii, że atak wojsk niemieckich na Moskwę jest już postanowiony, i osią tego ataku będzie kierunek na Briańsk.

12 sierpnia generał Jeremienko, dowodzący w łuku Jelni, otrzymał od marszałka Timoszenki wezwanie, aby natychmiast stawił się w Moskwie. Przyjął go Stalin w obecności szefa sztabu Szaposznikowa.

— Gdzie chcecie objąć dowodzenie? — zapytał go Stalin.

— Gdziekolwiek wy, towarzyszu, mnie pošlecie.

— Jednakże?

— Tam, gdzie będą zmasowane największe pancerne siły wroga.

— Podoba mi się wasza odpowiedź. W takim razie obejmiecie odcinek Briańska.

W tym czasie gen. Guderian projektował zgrupowane siły pancerne rzucić na Moskwę z rejonu Rosławla, po obu stronach szosy moskiewskiej. Rozkazu z kwatery głównej oczekiwano z godziny na godzinę. O północy 22 sierpnia, zbudził Guderiana we wsi Prudkach, gdzie mieścił się sztab 2-giej grupy pancерnej, telefon feldmarszałka von Bocka: „Niech pan jutro rano przyleci do mnie do Borysowa”.

Była godzina 11 przed południem. Godzinę temu wylądował tu szef sztabu głównego, generał Halder. Przywiózł on dosłowny tekst decyzji Hitlera, znanej już z poprzedniego telefonogramu. Brzmiała jak następuje:

„Najważniejsze przed nastaniem zimy, nie jest wzięcie Moskwy, lecz zajęcie Krymu, przemysłowego i węglowego Zagłębia nad Dońcem, przecięcie dopływu ropy z Kaukazu. Na północy odcięcie Leningradu i połączenie z Finami”.

— To nie może być! — krzyknął Guderian, wbijając oczy w Haldera.

Szef sztabu głównego wrzucił ramionami i zaciął usta w głęboką podkowę, co go zawsze bardzo postarzało mimo 57 lat,

i nadawało twarzy o wysuniętym podbródku wyraz nieco odpychający, nieomal starej baby w binoklach.

— Pięć tygodni walczyliśmy o marsz na Moskwę. 18-go przedstawiliśmy definitywny plan. I oto odpowiedź.

— Co możemy przeciwko tej decyzji podjąć? — spytał von Bock.

— Jest nieodwracalna.

— Musimy ją obalić! — wykrzyknął Guderian.

— Niech pan spróbuje.

O zmroku 23 sierpnia Guderian zameldował się w kwaterze Hitlera w Rastenburgu, w Prusach Wschodnich. Przemawiał pół godziny. Wyłożył znane argumenty: zdobycie Moskwy zadecyduje o kampanii. Obecny był Keitel, Jodl, Heusinger. Hitler słuchał z niespodziewanym spokojem, ani razu nie przerwał. Okna były otwarte, pokryte gęstą siatką, chroniącą od much i komarów, których Hitler nie cierpiał. Stawy i rozlewiska okoliczne były ich pełne. Saperzy kilkakrotnie zalewali je naftą, ale bezskutecznie. Stąd swąd nafty zmieszany z nocną wilgocią, bzykaniem na siatce owadów, przyciągniętych światłem nad mapami. Gdy Guderian skończył, Hitler powstał i szybkim krokiem podszedł do rozłożonej mapy.

— Moi generałowie mają pojęcie o strategii, ale nie mają pojęcia o wojnie gospodarczej!... — Mówił jak przygotowany odczyt: zboże, nafta, masło, jajka, węgiel, minerały... oto co decyduje w wojnie. Dobra materialne, a nie momenty strategiczno-polityczne, propagandowe czy psychologiczne. Uderzenie pójdzie na Ukrainę, nie na Moskwę! Pan, generale, zawraca 25-go całą siłą pancerną na południe. Na Konotop, węzeł kolejowy na linii Kijowa.

Stalin i Szaposznikow trwali przy swoim zdaniu. Nawet wtedy, gdy własne samoloty zwiadowcze doniosły, że cała armada niemiecka wykręciła na południe, i prze w obejście frontu ukraińskiego od północy. — „To fortel”, powiedział Stalin: „To oni Moskwę chcą obejść od południa, a nie Ukrainę od północy”. I rozkazał odcinek Briańska wzmocnić dodatkowo przez 21-szą i 3-cią armie. Tymczasem czołgi Guderiana minęły odcinek Briańska, defilując wzdłuż jego frontu, i 16 września podały ręce 1-szej pancernej grupie „Południe” w Łachwicy, 200 km. na wschód od Kijowa, zamykając w kotle pięć armii sowieckich.

W taki to sposób doszło do owej niesłychanej klęski armii

czerwonych, zakończonej 26 września, w której poddało się 665.000 ludzi. W ręce niemieckie wpadło 3.718 armat i 884 czołgi.



Pogoda wciąż była sucha, o rannych mgłach, ustępujących pod wpływem słońca, w południe.

Dopiero po zwycięstwie na Ukrainie, Hitler uległ naleganiom generałów i zdecydował się podjąć frontalne uderzenie w kierunku Moskwy. Operacji nadano kryptonim „Tajfun”. Ale w dalszym ciągu Hitler nie przywiązywał decydującej wagi do zajęcia Moskwy. Zadanie to polecił wykonać jedynie siłami grupy armii „Środek”, pozostałym siłom wyznaczając inne, ekscentryczne a nie koncentryczne w stosunku do Moskwy zadania.

Hitler lubił się przechwalać, że nie popełni błędu Napoleona. — „Moskwa, mówił do Haldera wiosną 1941, nie jest ważna. Moskwa jest dla mnie zupełnie obojętna”. A teraz oświadczył:

— Co Napoleonowi dało zdobycie Moskwy?! Nic!

Moskwa w roku 1812 miała za sobą 665 lat istnienia od daty pierwszej o niej wzmianki w r. 1147; była już od 484 lat stolicą księstwa, i od roku 1460, czyli 352 lata, stolicą caratu, a następnie imperium rosyjskiego. Wytrzymała najazdy, i przejściowe, dobrowolne jej opuszczenie w roku 1812, nie zagrażało wstrząśnięciem posad tego imperium. Jak nie przesądzało o końcu państwa, zajęcie tej czy innej stolicy europejskiej. Rozumiał to wtedy Aleksander I i rozumiał Kutuzow.

Natomiast Moskwa roku 1941 była zaledwie od 24 lat centralą międzynarodowego komunizmu i ustroju bolszewickiego w Rosji. Otoczona morzem ludności, która zaledwie w nieznanym procencie dała się przekonać, iż ma to być ustrój najlepszy na świecie. Jej zdobycie przez obce wojska oznaczałoby niechybnie koniec tego ustroju, i to niezależnie nawet od dalszych zamiarów i metod politycznych najeźdźcy. Rozumiał to Stalin, i rozumiał KC-Partii bolszewików. Dlatego ze stanowiska partyjnego żadne cele strategiczne, taktyczno-wojskowe, ekonomiczne, żadne dobra materialne, nie usprawiedliwiały opuszczenia Moskwy. Jeżeli bolszewizm ma się utrzymać, Moskwy należy bronić za każdą cenę, dosłownie.

Już począwszy od 27 czerwca, pięć dni od wybuchu wojny, przystąpiono do budowy pierwszych umocnień wokół Moskwy. We wrześniu ściągnięto na obronę Moskwy 40 % wszystkich rozporządzalnych sił żywych; 35 % wszystkich czołgów, 44 %

wszystkich armat, 32 % wszystkich samolotów. Powołano milicje i bataliony robotnicze, oddziały kobiece; po raz pierwszy wystawiono nie wypróbowane jeszcze na innych odcinkach, świeżo wynalezione „Katusze”, masowe wyrzutnie pocisków o morderczym rozprysku odłamków, których później tak obawiali się żołnierze niemieccy, nadając im miano „Stalinorgel”. Ktoś podsunął projekt zastosowania „specjalnych oddziałów myśliwskich”: były to tresowane psy, które z ładunkiem materiałów wybuchowych umocowanych na grzbiecie miały podpełzać pod czołgi nieprzyjacielskie i, same rozrywane na kawałki, czołgi te wysadzać. Do sypania szaniców, umocnień, stanowisk artyleryjskich, murowania bunkrów, przeciągania drutów kolczastych i zakładania pól minowych, spędzano ludność stolicy.

Pięć „frontów” obronnych, z których pierwszy od Białego i Jarcewa poprzez Briańsk wzdłuż Desny; drugi rezerwy od Rżewa na górnej Wodźce, przez Wiaźmę-Suchenicze; trzeci od Kalinina przez Możajsk do Kaługi; czwarty od Klimu przez Narofominsk do Tuły, i wreszcie piąty od Dmitrowa do Kołomy, — opasały bezpośrednio Moskwę.

Generalny atak niemiecki rozpoczął się 2 października. 2-ga pancerna Guderiana, 2-ga armia, 4-ta pancerna, 4-ta armia, 9-ta i 3-cia pancerna, niemieckiej grupy „Środka”, rozbiły w przeciągu kilku dni pierwszy, i częściowo drugi sowiecki front obronny. Wojska Jeremienki na odcinku briańskim zostały otoczone. Sam on, ranny, ratował się ucieczką samolotem. Dnia 7 października 10-ta niemiecka dywizja pancerna od południa i 7-ma dywizja pancerna od północy zamknęły kleszcze wokół kotła Wiaźmy. W bitwie tej doszczętnie zniesione zostało osiem armii sowieckich, w tym 73-y dywizje piechoty i kawalerii, trzynaście dywizji i brygad pancernych. W ręce niemieckie wpadło 1.277 czołgów i 4.378 armat. Poddało się Niemcom 673.000 żołnierzy armii czerwonej. — W ten sposób od początku kampanii, w przeciągu pierwszych niespełna czterech miesięcy, łączna cyfra wziętych do niewoli jeńców wyniosła 2.061.000 ludzi. Niebywała od stworzenia świata i prowadzonych na nim wojen!



Zaraz po tym zwycięstwie Hitler, opierając się wyłącznie na cyfrach materialnych, wykrzyknął w wielkiej mowie wygłoszonej w Berlinie:

„... Ja wypowiadam to dopiero dziś, gdyż dziś dopiero wypowiedzieć to mam prawo! Że przeciwnik jest już złamany i nigdy więcej się nie podniesie!”... Entuzjastyczny ryk słuchaczy zagłu-

szyl na chwilę dalsze słowa we wszystkich radioodbiornikach zdobytej Europy.



Na kilka godzin przed zamknięciem kotła Wiaźmy, w nocy z 6 na 7 października, spadł pierwszy, wilgotny śnieg. Tajał natychmiast. Nazajutrz niebo się nie przejaśniło. Nie było wiatru. Wciąż padał śnieg, ale od południa przeszedł w deszcz. Do wieczora rozpadał się na dobre. Zaczęło lać strugami, dzień i noc następną, i znowu dzień... Minął tydzień, drugi... Deszcz lał bez przerwy.

Dnia 19 listopada w głównej kwaterze sowieckiej zadzwonił telefon bezpośredniego połączenia z Kremlem:

— Tu Stalin. Dajcie mnie Żukowa... Żukow?! Żukow, czy jesteście pewni, że my utrzymamy Moskwę? Co? Pytam was z wielkim bólem w sercu. Odpowiedzcie mi uczciwie, jak komunista!

.....

XI

Na którymś kilometrze Henryk odezwał się:

— W praktyce nie ma właściwie tak zwanych „świństw” w polityce. Jest albo głupota, albo mądrość. — Skąd mu to przyszło do głowy, już nie pamiętał tylko pomyślał od razu, że to wielki banał. Ale archimandryta Serafim odpowiedział mu jeszcze większym banałem:

— Wszystko jest w ręku Boga. I głupota i mądrość.

Jechali na Oszmianę. Było to jeszcze przed spadnięciem deszczów. Droga sucha, w miarę równa.

— Dlaczego właściwie — spytał po pewnym czasie Henryk — chodzi pan dziś w przebraniu cywilnym?

— Bóg i jurysdykcja, to są dwie różne rzeczy. Widzi pan, ja przed wojną byłem przeciwnikiem polonizacji Cerkwi prawosławnej, więc uchodziłem za „rusofila”. Ale byłem stronnikiem kanoniczności autokefalii Cerkwi w Polsce. Dlatego teraz uchodzę za „polonofila”. Dziś jedno i drugie jest złe.

Henryk z łokciem wypartym przez okienko szoferki, wychylił głowę i splunął w kurz drogowy niedopałkiem skrętki. Cała jego mocna, ociężała w ruchach beznamiętna postać, w starej

skórzance, twarz o grubych rysach pod daszkiem czapki zsuniętej z lekka na oczy, zlewała się z maszyną, jak powinna się zlewać sylwetka typowego szofera. Szoferem był dobrym. Jedyńm chyba urzędnikiem magistratu, posiadającym przed wojną własne auto. Od czasu, gdy w zaułku Św.-Michalskim, w nocy, po pijanemu w kłótni, zwałił lewym-sierpowym w szczękę „Lowkę-Króla-Szoferów”, zasłynął poważaniem i wśród szoferów taksówek. Od tamtych czasów datowała się też jego przyjaźń z Wulfką, który z „Lowką” miał swoje porachunki. Dawne, przedwojenne czasy...

Korzystając z urzędowych papierów i przepustek, wyjechali jeszcze przed świtem. Walizy dobrze ukryte były pod gazetami. Tym szlakiem szło dużo maszyn niemieckich. Miało to dobrą stronę, bo nikt papierów nie sprawdzał. Ładowna ciężarówka, w biały dzień, wmieszana w potok wojenny, nie budziła podejrzeń. Droga częściowo była szosowana, czasem brukowana, czasem zdemolowana przez gąsienice czołgów; naprawiana, znów rozjeżdżana. Posuwali się z szybkością nie przekraczającą 30 km. na godzinę, co by wymagało około siedmiu godzin, aby zrobić 190 km. do Mińska; nie licząc postojów, palenia w piecyku pędzonego drzewnym węglem „gazika”. Jechało się z nogą na hamulcu, we mgle kurzu, w napięciu. Dlatego od Oszmiany Henryk postanowił skrócić na drogę boczną. Pora bezdeszczowa, grunt twardy, trzymały nawet polne dróżki. Główny ruch szedł stąd bądź na Smorgonie, Mołodeczno, Radoszkowice, bądź południowym szlakiem na Holszany, Wiszniew, Wołożyn, Raków. Henryk wybrał środek między tymi dwoma szlakami, na Kunczewice, Boruny, Zabrzeż, a dalszy kierunek w zależności od stanu dróg. Jeden tylko cywilny policjant z opaską na ramieniu okrzymał go przy wyjeździe z Oszmiany po polsku:

— Te! Dokąd!?

— Do nieba — odpowiedział Henryk z fachową pewnością siebie, i dodał gazu.

Rozmowę podjęli dopiero na nowo za Borunami.

— A ten biskup co w Berlinie, ogłosił teraz orędzie wzywające do walki z bolszewikami i staniu przy Hitlerze? — Ach, uważać cholernie trzeba było i na tej gruntowej drodze, podziurawionej w wielu miejscach.

— Pan mówi o prawosławnym arcybiskupie? To mój imiennik, Serafim, z rosyjskiej Cerkwi Synodalnej w Sremskich Karłowcach. Ta, po śmierci Tichona, nie uznała nigdy praw metropolity moskiewskiego w „rękach Antychrysta”. Ogłosiła teraz wezwanie rozciągając oficjalnie swą jurysdykcję na: „wszystkie ziemie rosyjskie wyswabadzane od bolszewików”. Niemcy wez-

wanie pozwolili ogłosić, ale Hitler zabronił dopuszczania emigrantów rosyjskich na ziemie okupowane.

— Już raz słyszałem. Więc to prawda?

— Po pierwsze uważa emigrantów za „reakcjonistów”. Po drugie obawia się, żeby nie stali się niebezpiecznym dla Niemiec „bumerangiem”, jak się wyraził. Zresztą wiem, że w lipcu generał von Hassel powiedział naszemu generałowi Biskupskiemu zupełnie otwarcie: „Hitler zdecydował, że wojna prowadzona jest nie przeciwko bolszewizmowi, lecz przeciwko Rosjanom”.

— A skąd pan to wie wszystko?

— Widzi pan, ja pobywałem niedawno w Żyrowicach, w Grodnie, w Pińsku, takich małych miasteczkach... Ale różne bywają nici, i różne kanały. Sieć, którą św. Piotr łowił ryby, to sieć z mocnego szpagatu. Kontakty kościelne sięgają nieraz bardzo daleko. I tym szpagatem przenikają rzeczy czasem bardziej pewne niż po drucie... Więc wiadomo jest, że Hitler nienawidzi religii świętej w ogóle, a Cerkwi rosyjskiej w szczególności. A Rosenberg który stawia na rozczłonkowanie Rosji, podsunął mu taką koncepcję: „Rosyjska Cerkiew grała zawsze poważną rolę przy cementowaniu państwowości rosyjskiej. Dlatego nie można dopuścić do jej odrodzenia jako dośrodkowej siły organicznej. W tym celu trzeba stworzyć odśrodkowe Cerkwie ukraińską i białoruską. Natomiast twierdzić zarówno probolszewicką Cerkiew moskiewską, jak i antybolszewicką rosyjskiej emigracji”. Rozumie pan? Autokefalie.

— No. A jaka pana w tym sytuacja?

— Bardzo prosta: dla jurysdykcji moskiewskiej pod władzą bolszewików, jestem zdrajcą narodu i sprzedawczykiem. Dla jurysdykcji synodalnej Cerkwi emigracyjnej w Karłowicach, jak również dla obecnego tu egzarchy Pantelejmona którego Polacy trzymali w zamknięciu w Żyrowicach, jestem „polonofilem”. Dla Białorusinów, ponieważ przeciwny jestem białoruskiej liturgii, tak samo jak przedtem byłem przeciwnikiem jej polonizacji, jestem „rusofilem”. Dla Niemców, jednym i drugim jednocześnie, i w dodatku emigrantem, któremu zakazany jest wjazd na ziemie okupowane. Dla Polaków, zapewne, potencjalnym „kolaborantem”. A pan się pyta jeszcze dlaczego przemykam się w cywilnym ubraniu?

— Istotnie, zawiłe. Ale ciekawe.

— Jak dla kogo — ziewnął i przeżegnał usta, starodawnym obyczajem.

— Niech pan mówi, niech pan mówi. To skraca drogę.

— Cóż mam panu jeszcze powiedzieć. Chyba to, co opowiadał mi w Pińsku biskup Aleksander... To mniejsza, zresztą kto.

Otóż w Warszawie powstał: „Wschodni Oddział Rosyjskiego Ogólnowojskowego Związku” pod wodzą generała Trusowa. Szeferem zaś całego „Związku” jest b. generał carski Lampe. Ten wszedł w kontakt z „Abwehrą”, która ze swej strony zorganizowała tak zwane „rosyjskie bataliony szkolne”, dla celów wywiadu wojskowego na wschodzie. W ten sposób obchodzony jest tajnie zakaz Hitlera dopuszczania emigrantów na wschód. A w ogóle skomplikowana gra. Zresztą podobno sami hitlerowcy nie zdecydowali jeszcze, jak to mnie powiedział...: „Czy religijnego konia zarżnąć, czy osiodłać?”

— A jak jest na Ukrainie?

— Ooo! Tam jest jurysdykcja metropolitalnej Cerkwi moskiewskiej; jurysdykcja moskiewskich „żywocerkowników”; jurysdykcja Ukraińskiej Autokefalonej Cerkwi; Autonomicznej Ukraińskiej Cerkwi, która rywalizuje z nią; rozłam od tej ostatniej pod jurysdykcję emigracyjnej Cerkwi Synodalnej. A niech pan doda do tego grecki Kościół Unijny, i wreszcie Rzymski Kościół. Wszystko ze sobą skłócone. I jak z tego labiryntu trafić do Pana Boga?

— To po co pan, ojcie archimandryto, w takim razie... Ech! — zaklął Henryk przerzucając koło kierownicy, aby wyminąć wyrwę w drodze. Lewe koło przednie przejechało tuż nad spadzistym rowem, ale szczęśliwie. Dalej był mostek z belek. Henryk zatrzymał maszynę i wyskoczył na drogę. Rozprostował nogi, odlał się do krzaku. Poszedł na mostek. — Wytrzyma? Nie wytrzyma?! — Pokiwał się na belkach, ostukał obcasami, obszedł w koło, zajrzał pod spód. — Wrócił, wskoczył do szoferki z lekkością nieoczekiwaną dla swej ciężkiej statury. — Niech pan zmówi pacierz!

Archimandryta przeżegnał mostek. Przejechali. Dalej był znowu kawał równej drogi.

— To dlaczego pan, ojcie archimandryto, w takim razie — podjął Henryk, ostrożnie dodając gazu — nie uda się lepiej do Generalnej Gubernii, pod swoją dawną jurysdykcję, zamiast jechać w tę oto, otchłań przed sobą?

Serafim nie odpowiedział. I on patrzył przed siebie na drogę. Przecięli tor kolejowy z Mołodeczna do Lidy, zaraz potem most na Berezynie zachodniej, prawym dopływem Niemna. Słońce przebiło się przez mgły. Mgły opadały wsiakając w mech. Rozpostarła się żółto-rdzawa jesień, sypiąca podczerwieniowym liściem osiki, i złotawym brzozy. Ostro zarysowane cienie drzew padały na drogę. Daleko, w prawo, widać było jak chłop z babą wywozili nawóz na pola. Nie było słycać ptaków, a może zagłuszał je tylko

stuk motoru. Ojciec Serafim oderwał wzrok od drogi i powiódł nim po horyzoncie.

— Czasem, w podróży, zdaje mi się — powiedział wolno — że z ludźmi jest tak jak z horyzontami. Jedziesz, jedziesz, patrzysz w dalekość... Ciągnie ku sobie, wabi, napawa sentymentem, wprawia w tęsknotę. A miną godziny, podjedziesz do tego horyzontu, do któregoś tęsknił i... to samo złamane koryto! Ludzie mijani, ludzie z daleka, wydają się nieraz uroczy, i żałujesz że wśród nich nie żyjesz. A pożyczysz z nimi troszki...

— Gorzkie słowa, jak na ojca duchownego.

— Prawda jest tylko jedna. Ani gorzka, ani słodka, tylko jaką ją Pan Bóg stworzył.

Do Zabrzezia dojechali gdy znacznie pocięła. Jesienny pejzaż stał się wyraźny dla oka, jakby leżał na dłoni. W wysokim błękitie dudniły ładowne „Junkersy” z bombami na Moskwę. Na ziemię, z niedosłyszalnym szelestem, opadały wciąż liście.

— Nie chcę skręcać na południe, na Wołożyn — rozważał głośno Henryk — Raz, że trafimy znowu w tłok, a dwa, że zjeżdżać tam na boczne drogi... Za blisko Puszcza Nalibocka... Pojedziemy na północ, na Horodźki.

W Zabrzeziu był posterunek niemieckiej żandarmerii polowej. Żandarm stał i patrzył na zbliżający się samochód. Henryk od razu zajechał i zatrzymał przed nim. Wyjął papiery z kieszeni, wyskoczył, i okazując je zapytał łamaną niemiecką, czy most na Berezynie, na drodze do Mołodeczna, jest cały?

— *In Ordnung* — odmruknął żandarm, ledwo rzuciwszy okiem na papiery.

Niebawem zaczęła się grobla. Nisko nad zieloną trawą i złotymi kitami szuwarów polatywały ptaki wodne.

— Ile tych Berezyn jest na Białorusi? — spytał Serafim.

— Dwie tylko. Przez którą wracał Napoleon, i ta tu.

Za Chożowem spłoszył się koń mijanej furmanki chłopskiej. Henryk zahamował, wylazł, pomógł przeprowadzić stojącego dęba konia, i zapytał o drogę: tak, żeby wyminąć Mołodeczno?

— To tylko na Krywiany i Putniki. Ale wszystko jedno przyjdzie się wam na Radoszkowicze nawrócić, jeżeli do Mińska. Na stary trakt.

— Innej drogi nie ma?

— Dlaczego, jest, furmanką. Ale awtomaszyną nie przejedziesz inną.

— Partyzantów nie widać było?

— A kto ich wie... Pełno tego dobra po lasach. „Okrużeńcy”, nazywają się. A czy oni partyzany? Pełzają jak zaraza. A wreszcie, dzisiaj nie słyhać było.

Na Krywiany znowu wypadło kluczyć ku południowemu wschodowi, prawie pod Gródek. Potem poszła droga jednostajna w szpalerze gęstych zarośli.

— Zjemy co? — Henryk spojrzął na ręczny zegarek.

Wybrali zwałony świerk tuż koło drogi. Po pniu, zwabione ciepłem, chodziły chaotycznie nieliczne mrówki. W niebie szły wciąż pojedyncze samoloty na wschód. Kończyli jeść, gdy raptem z krzaków na drogę, w odległości kilkudziesięciu metrów, wyszli ludzie. Henryk przełknął ostatni kęs, powstał ociężale i podszedł do maszyny, otworzył drzwiczki. Ludzie byli w obdartych mundurach sowieckich, i zbliżali się tyralierą powoli. Trzech. Tylko środkowy niósł automat gotowy do strzału, dwaj inni po bokach, byli najwidoczniej nie uzbrojeni. Henryk, zwrócony do nich lewym bokiem, sięgnął prawą ręką do kieszeni skórzanki, odbezpieczył kciukiem „Mauser 7”, ale wyjął pudełko z tytoniem i zaczął skręcać. Podeszli o kilka kroków.

— Zdrastwujcie — powiedział ten z automatem.

— Wszystkiego.

— Podróżujecie?

— Pomaleńku.

— Dobro niemieckie transportujecie?

— Z braku innego.

— Pełna maszyna, widzę.

— Papieru na skrętki.

— Hoo! Chyba dla całej dywizji.

— Dla całego frontu.

— To i nam może po kawałku dostanie się?

— A ot, możemy pożyczyć, pod zastaw automatu.

— He, he, he... A machorka będzie czyja?

— Może być też kazionna.

Wysoki, starszy już krasnoarmiejec, przewiesił automat przez szyję, i podszedł bliżej. Henryk podał mu pudełko i złożony w nim arkusz bibułki.

— I towarzyszy poczęstujcie — powiedział. Po niepewnych ruchach i wyraźnie wystraszonych oczach tamtych dwóch już zmiarkował że niebezpieczeństwa nie ma. Ostrożnie przesunął w kieszeni bezpiecznik z powrotem: „klik”. Ale sowieciarz nie usłyszał.

— Bierzcie — zwrócił się do swoich. A później do Henryka: — Ot jaka sprawa. Wiedzieć by trzeba, jak daleko jeszcze do starej państwowej granicy?

— Niedaleko. A co tam lepszego, za starą granicą?

— Co taam... — przeciągnął krasnoarmiejec zapalając, i wypuścił kłęb dymu. — No, może naród nie taki zajadły.

— Za bardzo na to nie liczcie. Wy skąd teraz?

— Ciągniem się lasami, od samego Grodna prawie. A tych dwóch, w puszczy Nalibockiej podczepiłem. Chcą iść razem. Niech idą. Ech, żeby tak mapa była, to by nam las niżej oziminy! Ale brakuje.

Henryk pomyślał chwilę, dostrzegł na drodze płaski kawałek gruntu i wziął tamtego za rękaw.

— Chodźcie tu. — Rozczyścił podeszwą buta, przyklepał, podniósł leżący pręt i naszkicował nim schemat mapy na piasku: gdzie jaka kolej przechodzi, ważniejsze miasta i rzeki, które miał w głowie. Sowieciarz przyglądał się uważnie. — To wam tak iść trzeba, o, — objaśniał na piasku. — A czy przeszliście starą polską granicę, czy jeszcze nie, to wiecie jak rozpoznać? — Sowieciarz uniósł milcząc twarz w skupieniu. — Trzeba wyjść wam — objaśniał dalej Henryk — na trakt jakikolwiek, zadrzeć głowę i spojrzeć po słupach telegraficznych. Jeżeli izolatory białe, porcelanowe, to jeszcze polska strona. A jeżeli z zielonego, butelkowego szkła, to już sowiecka.

— Aaa... Dziękuję za objaśnienie.

Podszedł Serafim: — Może wam co do zjedzenia dać? — zapytał.

— Też dziękować będziemy. Ale stać na widoku drogi za długo nie wypada. Trzeba w krzaki.

Serafim dał ludziom chleba i słoniny. Henryk zatarł butem mapę na piasku, i pojechali dalej. Po dłuższej chwili odezwał się archimandryta:

— Myślałem, że to już koniec naszego czasu, jak ich zobaczyłem.

— Mógłby być. A pan się przestraszył?

— Nie będę kłamał. Nie życia, czasu szkoda. Czas, rzecz najcenniejsza. Tylko przy pomocy czasu przygotować się można na wieczność.

— Mnie, bardziej samego życia.

— Życie leży w nas. Ale tajemnica życia leży poza nami.

W tej chwili wyjechali z przydrożnych zarośli, i oczom ich ukazał się kraj płaski, równy, daleki dalekością pustych pól, miejscami podoranych, gdzie indziej pod słomkowo-zielonkawym ugorem; czasem popstrzony ruchomymi, czarnymi punktami gawronów, zbierających się do odlotu. Milczeli zapatrzeni w drogę. Ciężarówka przecięła tor kolejowy z Mińska do Wilna, zadudniła po moście na rzece Uszy. Do Putników zostało kilka kilometrów. Henryk sądził, że Serafim zdrzemnął się po posiłku, zmęczony jazdą. A on, niespodziewanie, zaczął mówić:

— Pytał mnie pan dlaczego po tym wszystkim co opowie-

działem, nie wracam spokojnie pod skrzydła swojej jurysdykcji, a jadę błąkać się w nieznaną? Ale czy uwierzy pan w moją odpowiedź? Wie pan, podczas pierwszej wielkiej wojny, w rosyjskiej armii przeważali analfabeci. I dla tych to żołnierzy, sprytny przedsiębiorca wymyślił: „gotowe listy”, z frontu do rodziny. Gotowe słowa. Bolszewicy udoskonalili ten wynalazek, i całe imperium zaleli nakazaniem z góry, „gotowym słowem”. Ale dziś, i w krajach faszystowskich, i tak zwanych demokratycznych, coraz bardziej zaczyna rozpowszechniać się „gotowe słowo”. Słowo, które nie tyle służy do zakomunikowania prawdy, ile częściej nawet do ukrycia pod nim prawdy. Niestety, trzeba uderzyć się w piersi, że i nasze Kościoły chrześcijańskie nie raz przodowały w tym nadużyciu słowa. I czy przez to ciągłe nadużycie, nie usprawiedliwieni są ci ludzie, którzy słysząc bogobojną odpowiedź na swoje pytania, myślą sobie: „Ech, łżesz ty bracie, a co innego myślisz pod sutanną”... Nie, dziś już to za łgarstwo nawet nie uchodzi. Po prostu za konwencjonalny układ mowy. Czy jeżeli więc powiem teraz panu, że ja naprawdę, wyrzekając się bezpieczeństwa i wygod osobistych, podążam tam, na wschód, wyłącznie dlatego że mnie ciągnie do zburzonych cerkwi, do ludzi pozbawionych opieki duchowej od dwóch dziesiątków lat, bez żadnej innej intencji osobistej i ubocznych celów, to mi pan uwierzy?

— Hm, no, ale o ile zrozumiałem, to własne władze duchowe mogą przeszkodzić w tej robocie. Nie mówiąc o innych.

— Dlatego ja wcale nie mam zamiaru pozostać w Mińsku. Ja chcę pójść dalej, w pas przyfrontowy, niejako w ziemię niczyją.

Henryk spojrział nań z ukosa, i prowadząc uważnie ciężarówkę, zamyślił się nad kierownicą: „Brzydki, mały, starzejący się człowiek, o kartoflanym nosie, wystających kościach czoła i policzków; bez sutanny, rzucają się w oczy jego krótkie, rachityczne nogi. Gdyby tak pędzono go środkiem ulicy w kolumnie skazanych na śmierć, budziłby zapewne w widzach na chodniku, mniej współczucia od innych...” — Wjechali w Putniki, i zaraz potem zaczął się zjazd na główny szlak przez Radoszkowicze do Mińska. W tłoku, kurzu, połajankach, nie było czasu na rozmowę.

Dopiero przed samym Mińskiem odezwał się archimandryta Serafim:

— Więc, konkretnie. Co pan chce, żebym dla pana zrobił?

— Dał mi jeden, trzy adresy, pewnych ludzi.

— Co ci ludzie mieliby czynić?

— Nic. Ludzie, którzy w razie czego... Tylko w razie czego, mnie by nie wydali. A dali dach nad głową. Zresztą na krótki

czas, i za pieniądze. A gdyby można było z nimi porozmawiać, ot tak sobie, jak myśmy rozmawiali po drodze, to jeszcze lepiej.

— Dobrze. Teraz adresów dać nie mogę, bo sam jeszcze nie wiem. Umówić spotkania, też nie możemy z góry, bo ani miejsce, ani czas, ani okoliczności, nie są nam znane. „W razie czego”, jak pan mówi, uda się pan do domu archierejskiego, od bocznej furty. Jest tam stróż. Nazywa się Panisienko. Władimir Leonidowicz. Wymieni pan moje imię.

— P a n i s i e n k o — powtórzył Henryk.

Mińsk pachniał opadłym liściem i zgorzkniałym czadem spalizny.

XII

— Wulfka! Wulfkaaa! — targał śpiącego Anatol Uszkow.

— A...?

— Wstawaj, zbieraj się, wychodź zaraz z domu! Ratuj swoją głowę i naszą.

Jak to bywa w pierwszych sekundach po rozbudzeniu, nie mógł się zorientować o co chodzi. Wulfka rozespał się, rozleniwiał psychicznie, „rozkiśł”, jak mawiała Julia Uszkowa, z bezczynności. Dlaczegoś, dopiero jak spojrzął na zegarek, uprzytomnił sobie, że wyrzucają go z domu. Ale czemu o szóstej rano? Spuścił nogi z łóżka i podrapał się w owłosioną pierś. W pierwszej chwili myślał, że to przez Julię, żonę Anatola. Od dawna już słyszał jej szepty za przepierzeniem, odczuwał rosnący z dniem każdym nieprzyjazny jej stosunek, choć przecie za żarcie i kwaterę płacił złotem. Ale szósta rano?... Ach, on dzwonił wiadrami... Wychodził, znaczy na podwórze, konia poić, mieszanki do żłobu podsypać... Znaczy, z kimś spotkał się, rozmawiał... Od kogoś przyszła jakaś wiadomość... Koniec?

— Wulfka, zbieraj się prędko. Idź do tego księdza, co mówiłeś, że ciebie przyobiecał przechować. Ostrzeżenia mnie dano co tylko.

— Ech, wy! Ludzie!

— Co ludzie?! Co ludzie?! Chcesz siebie zgubić i nas razem? Taaak?! „Ludzie”! Ot tobie ludzie i mówią, cała ulica mówi.. Zaskoczyć mogą każda godzina!

Weszła Julia, ale nie odezwała się. Usta zaciśnięte w podkowę. Niby to wodę zaczęła nastawiać na płycie, drzazgi, jak codziennie, podpalać. Wulfka sięgnął po marynarke.

— Nie trzeba mnie płacić za ostatni twój czas, nie trzeba — denerwował się Anatol. — Niech już tak zostanie. A chcesz, to oddam tobie nawet co dawałeś.

— Nie potrzebuję. Zaraz. Rzeczy złożę.

— Nie bierz rzeczy! Gdzież pójdziesz z rzeczami przez miasto! I tak poznają, a jeszcze z workiem na plecach! Włóż czapkę na oczy, palto, i idź niby to do pracy. A rzeczy ja tobie sam przyniosę do Bernardynów. Księdzu oddam.

Ot i koniec epoki. Kwaśnej, źle wietrzonej izby przy ulicy Nowogródzkiej 141. Dzień pochmurny, ale nie zimny, i nie słotny. Miasto rodzone. Ulice nie ruchliwe. Spokój, i Wulfka czuje z rozpaczą, że w żyłach zaczyna mu płynąć nie krew, a strach. Jak może się zmienić do tego stopnia chodnik, nie zmieniając wcale; każdy przechodzień, jakich widywał zawsze; raptem krok każdy jest krokiem strachu. Ulicą Zawalną idzie naprzeciw trzech żołnierzy niemieckich obarczonych tornistrami.

— Halt!

Wulfka zamarł w miejscu.

— Zum Bahnhof?

— Geradeaus — odpowiada.

— Danke.

I dopiero jak poszli, pot wystąpił mu na czoło ze strachu przed własnym strachem. Dobrze, że jeszcze zamarł, a nie uciekał... Jak mógł rozkleić się do tego stopnia, by zatracić wszelkie baczenie, by odpowiadać po niemiecku! Gdy wiadomo, że w tym mieście tylko Żydzi rozumieją po niemiecku! W dodatku akcent wymowy... Gdyby ktoś usłyszał z przechodniów... I nagle zdaje sobie sprawę, że obcym żołnierzom nawet do głowy nie przyszło zastanawiać się. Że strach dlatego jest tak wielki, bo niebezpieczeństwo tkwi nie w obcym, a w każdym swoim przechodniu miasta... — Ale nie ma czasu na refleksje. Policjant litewski przechodzi przez ulicę. Wulfka skręcił, idzie, idzie i nie ogląda się. „Trzeba się wziąć w karby”, myśli i wie że to pusta myśl. Choć większe rzeczy przechodził w życiu, niż kilka ulic w na pamięć znanym mieście, rodzonym mieście. Złoto ma zaszyte w marynarce. Książd obiecał, na pewno dotrzyma. Poranek chmurny, ale niedżdżysty. Trzeba być dobrej myśli. Nie jest daleko do plebanii kościoła Bernardynów. Rano każdy podąża swoją drogą i mało się rozgląda. Z pozoru przynajmniej, jest człowiekiem jak inni. Trzeba się pocieszać, bo bez pociechy w życiu, nie ma życia. I Wulfka, choć dawno przestał być śmiałym i przedsięwziętym Wulfką, pociesza się idąc zaułkiem Św. Michalskim. To tu „Gru-by” dał w szczękę „Lowce”. Co to były za czasy!...

— Co?!!! — on nie wierzy.

— Mówię już trzeci raz. Księżda proboszcza nie ma! — Rozkrzyczała się gospodyni, zamachała rękami. — Skąd tu?! Po co! Nic nie wiem, proszę wyjść! Gdzie jest?! Wyjechał, wyjechał... — Zalamentowała. — I już rozstrzelany!

Czy powiedziała: „rozstrzelany”? Baba przeklęta. Czarne na nią lata do końca życia, za takie słowa!

— Czego pcha się do plebanii, jak bieluniu najadłszy się! Tu nie bóżnica.

Ot, i koniec nowej epoki. Nad głową chmurne, choć niedźdżyste niebo. Ulica. Rodzone miasto. Nie ma ukrycia. — To antysemitniki wymyślili, że międzynarodowe żydostwo jest potęgą, i tak długo wmawiali, że w końcu Żydzi sami zaczęli w to wierzyć. Ot tobie i potęga... Dobrze, że deszcz nie pada. Zmoknięty, nie wyglądałby nawet z pozoru na zwyczajnego człowieka. Bo zwyczajny człowiek ma siaki-taki dach nad głową. On czapkę zsuniętą daszkiem na oczy. Teraz pozostaje jakie wyjście, śmierć? Bardzo trudno jest w takie rzeczy wierzyć. Więc znaczy jedyny ratunek, przedostać się nieznacznie, bez gwiazdy Dawida, do getta? Byle dostać się z szerokiego świata za mur getta! Żeby wpuścili, nie wydali przy bramie, nie zastrzelili jak psa. Cel sam w sobie.



Pierwszym, który poparł akcję Watykanu, był ambasador niemiecki w Ankarze, b. wicekanclerz, Franz von Papen. Przesłał on na ręce von Ribbentropa memoriał, uzasadniający konieczność oficjalnego zezwolenia Kościołowi katolickiemu na prowadzenie akcji misyjnej w Rosji, na terenach okupowanych przez wojska niemieckie, jak tego chciał Watykan. Ribbentrop, który nie znosił von Papena, pośpieszył z przesłaniem tego memoriału Hitlerowi, spodziewając się że usposobi go jak najgorzej. Po kilku dniach zgłosił się po odpowiedź.

— Führer — oświadczył Bormann — odrzuca z pogardą projekt Papena. Nie może być żadnej, tak powiedział, obcej ponadlokalnej organizacji na ziemiach okupowanych! W naszym interesie leży raczej dopuścić tyle zlokalizowanych i różnorodnych chrześcijańskich wyznań ile wlezie. Aby klechy swoimi krucyfikсами poróżnupały sobie wzajemnie czaszki! W przeciwnym wypadku stworzymy nową wylęgarnię oporu...

Tymczasem Watykan polecił wszystkim biskupom, których diecezje graniczyły z państwem bezbożnego bolszewizmu, aby zgodnie z posłannictwem Chrystusowym podjęli misję głoszenia Słowa Bożego na ziemiach, gdzie było ono przez 24 lata przesła-

dowane; odbudowywali i przywracali zniszczone kościoły, i obejmowali w posiadanie dawne parafie, gdziekolwiek dotarły wojska niemieckie. Zalecało się jednak podjąć akcję bez rozgłosu, nie tylko ze względu na brak zezwolenia ze strony rządu niemieckiego, ale też dla uniknięcia wrażeń i zarzutów ze strony mocarstw zachodnich, że Watykan włączył się w „krucjatę antybolszewicką” pod przewodnictwem Hitlera... W każdym razie rzecz delikatna, i głośno o niej mówić nie należy.

Arcybiskup Jałbrzykowski, metropolita wileński, wysłał zaraz grupę księży katolickich na wschód. W praktyce, podążali oni za wojskami niemieckimi na ziemie wschodniej Białorusi. Rzecz przeniknęła do wiadomości władz niemieckich. Rosenberg, szczególnie wróg katolicyzmu, domagał się aby Ribbentrop złożył formalny protest w Watykanie. Ribbentrop, który nie znosił Rosenberga, nie kwapił się z tym. Generałowie, nawet Goebbels, nawet poszczególni dygnitarze partyjni, wzruszali ramionami: „Co to w gruncie, komu może szkodzić?! Przeciwnie, to wspiera naszą propagandę na wschodzie”. Inaczej Rosenberg. Poza osobistą, głęboką niechęcią do katolicyzmu, miał na względzie jeszcze co innego. Oto znając antyklerykalne, a w gruncie antyreligijne nastawienie Hitlera, obawiał się że ten w jakimś wybuchu gwałtownej reakcji, jak zawsze u niego nieobliczalnej, może zakazać wszelkiej działalności religijnej, a w tej liczbie i autokefalnych Cerkwi antyrosyjskich, z takim trudem montowanych przez Rosenberga. W końcu sierpnia prosił więc o audiencję u Hitlera.

Audiencja przebiegła po myśli Rosenberga. Hitler pochwalił go, co się ostatnio rzadko zdarzało, za jego czujność wobec zakusów katolickich:

— Dobrze, że jest pan bramkarzem wschodu — powiedział. — Zresztą żadnego „Edyktu Tolerancyjnego”, którego domagają się ode mnie różni panowie, nie będzie! Mogłoby to wywołać fatalne reperkusje, i wywołać błędne wrażenie w samych Niemczech. Wszystkie nasze klechy gotowe są jeszcze podnieść głowę!

Rosenberg zaraz po tej audiencji porozumiał się z Heydrichem, szefem państwowego urzędu bezpieczeństwa SS, prosząc go o natychmiastowe przecięcie misyjnej akcji katolickiej na terenie Ostlandu, zwłaszcza na Białorusi. — Wszystkim księżom, którzy już wyjechali w teren, kazano przerwać działalność, i natychmiast wrócić.

Ale nie wszyscy wrócili. Wielu prowadziło swą pracę duszpasterską tajnie. Pięknie odbudowany został kościół w Kojdaniewie... Proboszcz z Iwieńca rozwinął szczególnie energiczną akcję poza starą granicą Traktatu Ryskiego... Ten i ów potajemnie, lub za cichą aprobatą miejscowych władz wojskowych... — Część

tych księży z nakazu niemieckich władz bezpieczeństwa została aresztowana, wywieziona do kacetów.

Arcybiskup Jałbrzykowski wypełniał dalej zlecenia kurii rzymskiej. Na miejsce aresztowanych wysłana została tajnie nowa grupa księży misjonarzy. Niektórzy z nich, mówiono, zostali rozstrzelani pod różnymi pretekstami. Oskarżano ich o tajne chrzczenie Żydów, kontakty z tajną organizacją, lub po prostu pobyt niedozwolony.

W taki to sposób zginął jeden z najodważniejszych księży, nieustraszonego też za czasów bolszewickich, o którym ludzie opowiadali w tamtą okupację legendy. Delegowany teraz na wschód do pracy misyjnej, już nie powrócił...



O tym wszystkim Wulfka wiedzieć nie mógł. Zresztą Żydzi w ostatnich czasach wiedzieli bardzo mało. Wiedział tylko, że stracił ostatnie oparcie i ostatnią nadzieję.

Jego ojciec był kiedyś „średniej ręki” kramarzem. Ale ożenił się ekscentrycznie, jak na „Litwaka”. Matka Wulfki pochodziła z Placu Krasieńskiego w Warszawie, i ukończyła tam szkołę średnią. Miała zwyczaj opowiadać dzieciom bajki i różne historie, w wolne świąteczne dni. Tak na przykład w ósmiodniowe święto Chanukka ku czci ponownego wyświęcenia świątyni po zwycięstwie Machabeuszy. Każdego wieczoru po wyrzeczeniu błogosławieństw nad zapalonymi świecami swym twardym, polskim akcentem, opowiadała rzeczy świeckie, choć to nie było bardzo ortodoksyjnie. Wulfka lubiał najbardziej takie o przygodach wędrownych kupców, het, w latach, gdy jeszcze dawno nie było żadnych kolei... „Rozlewały rzeki, mówiła wierszem, pełne były zwierza bory, i pełno zbójców na drogach...” — „Jaka szkoda, powiedział kiedyś mały Wulfka, że ja lepiej wtedy nie żyłem, niż dziś”. — „I co by ci z tego przyszło, zauważyła rozsądnie matka, to by dziś już ciebie na świecie nie było”. — Wtedy mały Wulfka, po raz pierwszy, pamiętał to, zamyślił się o śmierci.

Dziś, dorosły Wulfka patrzył z daleka w bramę getta, przedzielającą ulicę Rudnicką. Stał u sztachet kościoła Wszystkich Świętych, trzymał kurczowo żelazny pręt, nie chciał go puścić. Czekał niby na jakąś roboczą kolumnę żydowską, w którą uda mu się może włączyć. Wmawiał w siebie obojętność: „Tak, albo inaczej. Nu, nie będzie mnie, nu. Jak nie ma dawno tamtych kupców na drogach”...

I wtedy zdarzyło się zakończenie, jakie się zdarza w bajeczkach dla dzieci: po kamiennych płytach, do kościoła szedł ksiądz

proboszcz. Wulfka wyrwał się nagle z rezygnacji, wskoczył w furtkę i dopędził księdza. Począł mu bardzo prędko, prędko opowiadać swój wypadek. I ten zgodził się przechować Wulfkę w podziemiach kościoła.

Anatol Uszkow, tak jak przyrzekł, poszedł poobiednią porą z walizką Wulfki pod wiadomy adres do Bernardynów. Na jego widok oczy księżej gospodyni zrobiły się okrągłe jak u sowy. Co mu tam powiedziała słowami, już dokładnie nie pamiętał. Ale do domu wróciwszy opowiadał żonie:

— Jak skrzyknie, ta wiedźma kijowska, jak szarachnie drzwiami! Tylko tynk posypał się po schodach!

I rzeczy Wulfki przepadły. Bo proboszcz Wszystkich Świętych zgodził się przechować człowieka, ale nie zgodził się dawać znać o tym jakiemukolwiek bądź innemu człowiekowi na świecie. Więc Uszkow nie mógł wiedzieć dokąd znikł Wulfka. I żyje-li jeszcze, czy już nie.

XIII

Rzadko się zdarza zastać człowieka aż do tego stopnia odmiennego od mniej więcej wyobraźalnej zawczasu postaci. Romuald Ławrynowicz był to jegomość starszy, dużego wzrostu, raczej otyły, o jasno błękitnych oczach, siwiejących włosach, w rozpiętej na szyi koszuli „fufajce”; człapał w czymś rodzaju ciepłych pantofli. Uśmiechał się łagodnie, uśmiechem roztargnienia, stale spoglądając gdzieś w bok. Główną jego cechą charakterystyczną było, że mówił dużo i ciągle o rzeczach oderwanych od spraw bieżących.

Domek Ławrynowicza należał do kategorii nie podlegającej nacjonalizacji w ustroju sowieckim. Był mały, położony na przedmieściu mińskim Lachówka, wśród podobnych mu małych, prywatnych domków drewnianych, otoczonych ogrodem lub niewielkim sadem.

— Prosimy siadać — powiedział do Henryka gościnnie, prawie na niego nie patrząc, i o nic nie pytając. — Marynia — zwrócił się do żony — zrób jajecznicę. Widzi pan, dzień przywiózł pan ciepły jak latem. Siedzę oto przed szybą i patrzę na trzmiela. Odżył pod wpływem słońca, i myśli że wiosna. Ale zobacz pan, co za fenomenalny brak instynktu. Ja mu zrobiłem

szparę. To nie, sto razy minie tę szparę, a będzie obtłukiwał całą szymbę.

Henryk spojrział na okno, na bąka, tłukącego się o szymbę, powiódł raz jeszcze wzrokiem po źle posprzątanym pokoju z masą starych książek, szpargałów i litografii na ścianach. Domek cofnięty był w głąb ogródka, w bocznej ulicy przedmieścia. Mieszkanie wewnątrz było typowe dla mieszkania niezamożnego inteligenta lat przedrewolucyjnych. Zdawało się, że w doniczkach kwitną jeszcze te same prymulki, które posadzone były przed rokiem 1917.

— Proszę bardzo, niech się pan posila — częstował gospodarz, podsuwając talerz. — U nas, niestety, dom nie pijący, i wódki nie ma. Ja muszę jednak otworzyć okno.

— Ach, zamknij okno — powiedziała żona — bo mnie znowu komar ugryzie.

— Po pierwsze komarów już nie ma, a po drugie też muszą z czegoś żyć.

— Ale nie ze mnie.

— Gdyby tak wszyscy mówili jak ty, to by wszystkie komary musiały wyzdychać z głodu. Wstydziałabyś się.

— No czy pan słyszał kiedy, żeby rodzony mąż tak do żony mówił?!

Henryk uśmiechnął się z przymusem, i ukradkiem zerknął na Ławrynowicza. Teraz zauważył, że jego nos, który mu w pierwszej chwili wydawał się raczej mięsisty, ma kształt „orli”, zaś w uśmiechu odrzucona ku tyłowi głowa, coś z rysów rzymskiego senatora. Wyraźnie unikał wzroku Henryka, ale ten uświadomił sobie na czym polega owo dziwne wrażenie jakiego doznawał od początku: oto, że gospodarz nie patrząc nań wcale, jakby nieustannie przeszywał go spojrzeniem jakiejś innej, ukrytej pary oczu. — Na parapecie otwartego okna siedł wróbel.

— Na! — Ławrynowicz rzucił mu okruch chleba. — Cóż to za nachał z tego wróbla, żeby pan wiedział. Na wszystko gotów. Rodzonego ojca zadziobać, wypchać, i polecieć na tołkuczke sprzedać za rubla.

— I pan cały czas mieszkał w Mińsku? — zapytał Henryk.

— Nie mogą wszyscy ludzie mieszkać gdzie indziej. Raz, chyba sto lat temu, byłem w Italii. Cóż, drzewa wiecznie zielone, psy wiecznie głodne, koty miauczą jak dzieci.

— Ale Mińsk nie był nigdy miastem urozmaiconym, co?

— W młodości próbowałem zdawać do Mikołajewskiej Akademii Sztabu Generalnego w Petersburgu. Był tam profesorem generał Zołotariew. I wiadomo było, że na egzaminie zada pytanie: „Co to jest Mińsk”? Na które z góry trzeba było mieć goto-

wą odpowiedź: „Tyłowy węzeł północno-zachodniego teatru działań wojennych”.

— I zdał pan?

— Zdałem.

— A jak żyło się przy bolszewikach, wszystkie te lata?

— Białoruskie przysłowie mówi: „Treba tak żyć, jak nabiazyć”. Jakoś się koniec z końcem wiązało. Ja, widzi pan, więcej zoogeografią, niż polityką się interesuję. Nie wiem, czy pan wie, że byłem nauczycielem przyrody?

— Nie wiedziałem.

Ławrynowicz gościł Henryka, jakby się to samo przez się rozumiało, i nie budziło wątpliwości. Propozycję zapłaty odrzucił, ale unikał rozmowy o „sprawie”. Przywiezione przez Henryka walizy przyjął z uśmiechem, jakby chodziło o stare graty przywiezione z letniska. Henryk czekał; zresztą w obecności żony nie wypadało rozpoczynać, a innej okazji gospodarz nie ułatwiał. Przyjrawszy się jego rysom łatwo było odgadnąć, że ów młody Ławrynowicz Julian, któremu w myśl wskazówki Brzozowicza, przekazali w komitecie białoruskim ładunek ciężarówki, musiał być jego synem rodzonym. Toteż Henryk nie zawahał się wtrącić:

— Poznałem pańskiego syna.

— A, tak, taaak... — odpowiedział.

Później wyszedł na miasto. Widocznie miał coś ważnego do załatwienia, bo wrócił dopiero późnym wieczorem. Henryk, utrudzony podróżą, już spał.

Nazajutrz rano wypadł znowu pogodny, bodaj cieplejszy niż dnia poprzedniego. Przez otwarte okno przedostawał się ten specyficzny dla kontynentalnego klimatu, orzeźwiający oddech jesieni o posmaku zbutwiałych liści, ćwierkanie zimowych ptaków z ogrodu. Przy śniadaniu Ławrynowicz przerzucił ramię przez poręcz, odrzucił swoim zwyczajem głowę ku tyłowi, i patrząc donikąd, powiedział:

— Mówi się, że człowieka to różni od zwierzęcia, że poświęca tyle czasu sprawom wyższym ponad żarcie, duchowym, artystycznym. A weź pan ptaki! Gdyby tak obliczyć statystycznie ilość ich śpiew-godzin dziennie i przedstawić w procentowym porównaniu, okazałoby się, iż żaden człowiek nie traci tyle czasu na dziedzinę artystyczną. Inaczej jest na świecie, niż to ludzie przedstawiają. Niech mi pan wierzy, że gdybym potrafił bocianowi wytłumaczyć czym my się głównie zajmujemy, to by ze śmiechu i żabę z dzioba wypuścił.

— Tak pan myśli? A mnie się zdaje, że ptaki bardziej niż my, tracą czas na prowadzenie między sobą, niekończących się, pustych dialogów, które do niczego nie prowadzą.

— A więc widzi pan! Zgadza się pan ze mną! Z tą różnicą, że ich dialogi są epokowe, wiecznotrwałe. A nasze wiecznoprzejściowe, fałszywe, i na fałszywą nutę nastawione. Dlatego sto razy bardziej bez sensu.

— A co by, zdaniem pana, było dialogiem naszej epoki?

— Nie może być wcale. Czy może pan sobie wyobrazić, żeby na przykład moskiewska *Prawda* zmieniła pewnego dnia swój tytuł na: „Kłamstwo”? Wtedy uwierzyłbym, że istnieje możliwość dialogu, w oparciu o pewne wspólne podstawy. Ale takiej zmiany tytułu ona dokonać nie może, podobnie jak inni nie zmieniają swej arogancji sądów, choćby ich niesłuszność była jasna jak na dłoni. O czym więc gadać.

Po raz pierwszy dotknął mimochodem politycznej struny.

— A co sądzi pan o możliwości niemieckiego zwycięstwa?

— Zapytał znienacka Henryk.

— Co pan z nimi zrobi, proszę pana. Był Chińczyk, nazywał się Sun-Tsu, który już pięćset lat przed narodzeniem Chrystusa wyłożył możliwość wygrania wojny. Między innymi napisał: „Zwycięży ten, kto będzie znał przeciwnika jak siebie samego”. Od tego rozpoznania zależy wszystko. Czy Niemcy mają rozpoznanie w stosunku do przeciwnika sowieckiego? Niech pan sobie postawi to pytanie, i sam odpowie. Ale wybaczy pan, ja muszę pójść do mego węzłowego miasta i wystarać się... O co ja miałem wystarać się, Maryniu? O cukier? Czy o okruchy dla wróbla?

— Ach, tylu rzeczy nie ma w domu! I cukru, i nie cukru...

— A nie mówiłem panu, że człowiekowi brakuje czasu na zajmowanie się sprawami duchowymi? Ja pana do przechadzki po mieście na razie nie namawiam. Wróć wkrótce.

Ale nie wrócił wkrótce. Wrócił bardzo późno, i zamknął się w swoim pokoju. Tak upłynął jeszcze jeden dzień. A trzeci zmienił raptownie całe swoje oblicze.

Od samego rana spowiła miasto mgła tak gęsta, że „choć lampę zapalaj”, jak mówiła Ławrynowiczowa. Po ulicy można było chodzić niby w czapce-niewidce. Henryk spojrzął w mleczną szybę, i mruknął kącikiem ust:

— W taki dzień, tylko z więzienia uciekać...

Istotnie, na ulicy Komsomolskiej, tuż naprzeciw magistratu, zastrzelono bezkarnie kogoś z Gestapo. O czym dowiedziano się dopiero wiele godzin później.

— Nareszcie nic nie widać — odezwał się Ławrynowicz, kończąc śniadanie. — To jest stan odpowiedni dla rodzaju ludz-

kiego. Takim powinien był Pan Bóg stworzyć świat od początku, i basta.

— Nie mógłby pan wtedy stać się obserwatorem przyrody.

— I nie trzeba. Bo my wiemy tylko jedno, co nam wystarcza: że wszystko jest okrągłe, i wszystko obraca się w koło. Ale po co to komu potrzebne, i tak nie dowiemy się nigdy.

— Ja w filozofii jestem słaby — odparł Henryk, niespodziewanie sucho, któremu to błaznowanie gospodarza zaczęło nagle działać na nerwy, i postanowił dziś jeszcze z nim się rozmówić.

— Szczęśliwie — wtrąciła żona — że za tę filozofię jego dotychczas nie aresztowali.

— Mnie się nie zaaresztuje do końca życia — odparł Ławrynowicz, równie sucho, jak poprzednio Henryk, i wstał raptem od stołu. — Chciałem panu pokazać jedną ciekawą książkę.

Wprowadził do swego pokoju, w którym sypiał oddzielnie od żony. Był to w istocie wąski pokój, którego jedną ścianę wypełniało staroświeckie łóżko drewniane, drugą, nieco na ukos, także staroświeckie biurko z lampą o zielonym abażurze. Reszta przestrzeni wypełniona była półkami książek: stara encyklopedia rosyjska „Jefron i Brockhaus”, zakończona w roku 1901; kilka tomów nowej encyklopedii sowieckiej; „Słowniki Polityczne” urzędowego sowieckiego wydania; stare „Życie Zwierząt” Brehma, po rosyjsku; polski podręcznik botaniki Rostafińskiego; trochę klasyków, obok literatury sowieckiej i wiele innych książek leżało bezładnie na podłodze. Tuż para długich, juchtowych butów. Ławrynowicz zajął miejsce przy biurku i wskazał Henrykowi jedyne krzesło fotelowe, przykryte wytartą skórą borsuka. Henryk usiadł, skręcił papierosa. Ławrynowicz sam nie palił, podał mu ognia. Henryk przypalił od zapałki, dziękując podniósł wzrok, i — nie poznał swego gospodarza...

W wyrazie twarzy nie pozostało ani jednego szczegółu z charakterystycznych rysów dawnego Ławrynowicza. Znikł naiwny, miękki uśmiech; usta twardo zbiegały się w kącikach; błękitne oczy nabrały stalowego odcienia i patrzyły przenikliwie wprost; zupełnie inaczej układały się muskuły twarzy: raptem wystąpiły wyraźnie kości policzkowe, i dolna szczęka ku przodowi. — „Zdumiewająca metamorfoza”... przemknęło w mózgu Henryka, ale ani drgnieniem nie zdradził swego zaskoczenia.

— Pan był w grupie Zakrzewskiego? — rzucił Ławrynowicz.

— Nnno, „grupą” nazwać, to może byłoby za ambitnie.

— Mogło z tego powstać coś więcej niż grupa. Pan wie że on docierał do Mińska?

— Mhm.

— Czy wspominał coś o mnie?

— Nie.

— Czy to prawda, że zginął w najgłupszy sposób?

— Jeździł z niejakim Pawłem wykopywać złoto zakopane w jakimś majątku. Tam przypadkowo wpadł.

— A co stało się z jego „pralnią”?

— Był pan tam?

— Raz jeden, w Wilnie.

— Dawno już jej nie ma.

— A co z jego przyjaciółką, zaraz, Hałą?

— Nie wiem.

— Szkoda człowieka... — Ławrynowicz po raz pierwszy odwrócił wzrok od twarzy gościa, opuścił go w zamyśleniu. Ale za chwilę podniósł znowu, patrząc prosto w oczy Henryka. — W każdym razie mogę być z panem zupełnie szczerzy. Słyszałem o panu od Zakrzewskiego. Choć przyznam, że wyobrażałem trochę „grubszego”.

— Z czasem będę.

— Krótka do rzeczy. Tu są pana papiery, które wyrobiłem mu przez mego syna — wyjął z pugilaresu. — A teraz dalej. Otrzymałem o pańskiej roli instrukcje. Najpierw wyłożę panu sytuację. Zaczne od tego, że mi się ona bardzo nie podoba. Pona-jeżdżało tu już przedtem sporo różnych Polaków. Abstrahując od spekulantów. Część zdążyła fatalnie powpadać. Częściowo importowali ich tu sami Niemcy do zarządu cywilnego, z braku innych inteligentów. Stąd wściekłe zwalczanie ich przez Białorusinów, zwłaszcza przez prezydenta „Białoruskiej Narodowej Samopomocy”, dr. Iwana Jermaczenkę i szefa policji białoruskiej Sakowicza, podległego oczywiście SD. Wielkim katolikiem, ale zdecydowanym antypolakiem jest tu też ksiądz Wincenty Godlewski, który usiłuje organizować szkolnictwo białoruskie.

— Tego znam osobiście. Kilku innych też.

— To dobrze. Ale może być również źle. Natomiast względnie dostępny jest wyznaczony burmistrz Mińska, profesor Iwanowski i jeszcze szereg na poziomie, o których później panu powiem. Proszę to wziąć pod uwagę: Iwanowski jest rodzonym bratem znanego członka PPS i przyjaciela osobistego Piłsudskiego. To naprawdę głęboko ideowy Białorusin. Teraz strona sowiecka: cofając się, pozostawili w terenie możliwą ilość agentów z aktywu partyjnego i aparatu NKWD. O ile moje informacje są ścisłe, główne kierownictwo tej sieci jest w rękach sekretarza mińskiego „Obkmo” partii, Wasilia Iwanowicza Kozłowa. Sam on do Mińska nie przyjeżdża, bo go tu znają za dobrze, ale wszędzie ma swoje wtyczki i łączników. Miejscem jego postoju jest tzw. Lubański rejon, prawie całkowicie opanowany przez partyzantów.

Niektórzy z jego ludzi zajmują różne odpowiedzialne stanowiska burmistrzów, przewodniczących kołchozów, niemieckich mężów zaufania, tłumaczy, fachowców i tak dalej. W ogóle główną taktyką komunistów jest wkradanie się w zaufanie niemieckich władz okupacyjnych, aby drogą donosów likwidować rękami SD antykomunistów. Zresztą taktyka skuteczna, i uprawiana też przez innych... Oczywiście jest też i *vice-versa*: podziemie komunistyczne i ich partyzantka, przespikowana jest wtyczkami policji, SD za pośrednictwem Białorusinów i Rosjan, Abwehry, różnych organizacji antykomunistycznych. Przede wszystkim konfidantami wśród ludności. Nienawiść do bolszewików jeszcze przeważa. Dlatego boją się oni każdej wsi, każdej niemal chaty. W miarę jednak zrzucania spadochroniarzy, i brutalności metod niemieckich z drugiej strony, zyskują na popularności. Naturalnie i my, powiedzmy „Wachlarz”, mamy też swoje wtyczki nie tylko u Białorusinów, w policji, w SD i w „Generalnym Komisariacie Białorusi”. A również tak zwane „kontakty” do podziemia komunistycznego. Ale tu zaczyna się: „ale”... — Westchnął i pomilczał chwilę. — Stwierdzam, że nabierają one szczerze charakteru „kontaktów”, a coraz mniej wtyczek. Raczej ich wtyczek do nas, niż odwrotnie... Akcja tego naszego „Wachlarza nr 4” sięga: Baranowicze-Słuck-Żłobin...

— To już wiem.

— Dobrze. Naturalnie bardziej na papierze. To już rzecz KG w Warszawie. Mój odcinek jest wąski. Komunikację uzyskujemy przez garaż tzw. „Domu Prasy”, ściślej, za pośrednictwem kierownika tego garażu: Łotysz, Aleksander Płataitis. Musi pan być z nim bardzo ostrożny. Wiem, że to agent NKWD. Zapoznam pana z moją siatką, i niektórymi ludźmi. Nie przeszkadza, że się wie trochę więcej... Może za dużo, dla niektórych... Zawrze pan znajomość z panem Witoldem Butkiewiczem, oficjalnie naczelnikiem oddziału kontroli w zarządzie miejskim. Pozna pan zapewne przy okazji, pannę Hannę Jużykiewicz... Można mieć do nich względne zaufanie. Bezwzględne nie może mieć pan do nikogo. Zwłaszcza... Jest tu niejaki agronom, nazywa się Azarenko, który mi bardzo nie przypada do gustu. Mówią, że jest agentem Gestapo. Zapewne. Ale z ramienia „Obkomu”... Tymczasem przysłali mi z Warszawy faceta: „Piekarczuk”, który...

Henryk słuchał z napięciem, nie wtrącając słowa, Ławrynowicz znowu przerwał, i jakby wahał się z doborem dalszych słów. Nastąpiła chwila milczenia.

— I co ten Piekarczuk? — przerwał wreszcie milczenie Henryk.

— Piekarczuk, w wydziale „Landwirtschaft”, rolnictwo, ge-

neralnego komisariatu. Wydaje mi się po prostu polski komunistą. Ot co. Nawiasem, Leiter, kierownik tego wydziału rolniczego, to taka sobaka hitlerowska, fanatyczny zwolennik utrzymania kołchozów, który ciągle pisze raporty z donosami na zarząd wojskowy za Berezyną, oskarżając o samowolne rozwiązywanie kołchozów; to jego główne zajęcie. Ale to nawiasem. Piekarczuk jest w stałej łączności z tym agronomem Azarenko. Agronom w „stałej łączności” z terenem. Można się domyśleć, z jakim. Rodzaj tych kontaktów coraz mniej mi się podoba. Mam na to oko przez swego zaufanego, niejakiego Jurczyka, z zawodu kolejarza, a dziś właśnie „pomocnika agronoma”. Dlatego wtajemniczam pana w położenie rzeczy. Może nawet chcę się pana poradzić... — przerwał raptownie.

Henryk przeczekał chwilę milczenie, a potem zadał niespodziewane pytanie:

— Pytał pan o mnie. Teraz ja z kolei pana zapytam: kim pan jest? — I wytrzymał stalowy błysk w oczach Ławrynowicza.

— Jestem mińszczanin rodowity. Wychowany w atmosferze polskiego patriotyzmu starej daty. Były oficer armii rosyjskiej. Później peowiak, oficer polski w kampanii bolszewickiej, oficer drugiego oddziału, entuzjasta idei „federacyjnej”. Tak? Dalej: uczestnik afery tzw. „Zielonego Dębu” na Białorusi, po wojnie 1920 roku. „Rezydent dwójki”, któremu przez dwadzieścia przeszło lat udawało się spokojnie prześlizgiwać przez wszystkie sita Czeki, GPU, NKWD, NKGB. Ławrynowicz to moje prawdziwe nazwisko, rodowe.

— Przepraszam, że przerwę. W połowie lat dwudziestych, w ekspresie Ryga-Moskwa, na terenie Łotwy, zastrzelony został kurier sowiecki. Z ważnymi dokumentami. Ryskie gazety pisały, iż śledztwo wykazało, że sprawcami byli bracia Ławrynowicze.

— Ławrynowiczów jest masa na Litwie i Rusi. Być może, że mają coś wspólnego we krwi. Więc dalej: z wybuchem obecnej wojny, od razu nawiązałem łączność, zerwaną od roku 1939. A teraz przejdźmy...

Henryka nagle olśniło zrozumienie istoty tego przedziwnego kameleonizmu w osobowości gospodarza, którym został tak zaskoczony z chwilą gdy wszedł do tego pokoju. To było więcej niż talent. Musiało się zrodzić z genialnego instynktu samozachowawczego, rozwiniętego następnie w inną naturę w ciągu lat praktyki. Było w tym coś bardziej doskonałego niż „udawanie durnia”, tak nieraz skuteczne w zetknięciu z sowiecką metodą śledczą. Fenomenalny dar tworzenia kreacji, przeistaczającej całą osobowość, która z jakichś nieuchwytnych względów psychologii ludz-

kiej, pozornie niewytłumaczalnej logicznie, usypiała podejrzenia otaczających.

— A teraz przejdźmy — powtórzy Ławrynowicz — do względów tak nie istotnych jak własne sumienie. Całe swoje życie, całe istnienie swoje, poświęciłem walce z bolszewizmem. Przez dwadzieścia cztery lata, ćwierć wieku, zakopany w tym gnoju sowieckim, dzień po dniu, pracowałem, i czekałem w najskrytszych marzeniach na zniszczenie tego gówna, tej plugawej zarazy świata. Tymczasem... Pan wie jaka jest sytuacja. Mam tym bolszewikom pomagać do zwycięstwa?! Pracować z takim Piekarczukiem, który mi powiada, że jemu przy zetknięciu z partyzantką bolszewicką: „wzruszenie ścisnęło gardło, że walczyć będziemy ramię przy ramieniu...” Właśnie w chwili, gdy to łajno psie zepchnięte zostało na brzeg przepaści, ja mam nadstawiać głowę swoją, swojej żony, syna, aby je od tej przepaści ratować. To mnie mierzi w całej naszej sprawie. Znałem nastawienie Zakrzewskiego, wiem że pan był jego przyjacielem, dlatego po raz pierwszy mówię o tym, z panem.

— Dotychczas z nikim?

— Ach, całe życie byłem najostrożniejszym człowiekiem na świecie — i uderzył z lekka dłonią po stole. W tym samym momencie zadzwoniono u furty wejściowej, tak że uderzenie w stół i dzwonek, złały się prawie w jedno.

Mimo woli zastygli w oczekiwaniu.

Bezszelestnie prawie uchyliły się drzwi do pokoju, w ich szparze ukazała się twarz Ławrynowiczowej. Swym grzecznym, zawsze miłym głosem, szepnęła:

— Romuś, jakaś panienska do ciebie.

XIV

Władimir Leonidowicz Panisienko, dozorca archierejskiego domu w Mińsku, miał syna Antona. Ten syn zawdzięczał swój awans społeczny, i nawet małą karierę, całkowicie władzy sowieckiej. To prawda, że był zdumiewająco pracowity. Studiował w Instytucie Przemysłu Górniczego, a jednocześnie był zaocznym słuchaczem Wszechzwiązkowego Pedagogicznego „Wuz'u”, gdzie specjalizował się w dziale filozofii. Ogłosił nawet kilka rzeczy drukiem. Następnie jednak przerzucił się, i ukończył Instytut Inżynierjno-Budowlany. Mieszkał w Moskwie. W roku 1941

uzyskał stopień „wojskowego inżyniera”. Dnia 1 lipca otrzymał wezwanie mobilizacyjne do 557-go pułku artylerii polowej. Za radą swego przełożonego złożył odwołanie, gdyż artylerzystą nigdy nie był, a wiadomo jak potrzebni byli w tej chwili wykwalifikowani inżynierowie wojskowi. Bezpośredniej odpowiedzi nie otrzymał nigdy, natomiast w ogólnym chaosie doszedł go 6 sierpnia nowy rozkaz, zapewne mijający się z poprzednim, objęcia kierownictwa budowy umocnień obronnych w rejonie Sierpuchowa nad Oką. — Odległość, na południe od Moskwy, około 80 km. Komunikacja, zarówno szosowa jak kolejowa, doskonała. Odcinek bezpośrednio nie zagrożony; robota łatwa; wystarczają ogólnie wskazówki i kontrola, a wykonywać mogą podwładni. Panisienko nie przestał mieszkać w Moskwie, wyjeżdżając tylko w teren. Zrazu codziennie, później co kilka dni, a zdarzało się, i raz w tygodniu.

Bywają różni przyjaciele. Anton Panisienko przyjaźnił się z młodym docentem Instytutu Pedagogicznego, Wsiewołodem Jakuszinem. Dziad Jakuszina był jeszcze chłopem pańszczyźnianym; ojciec już chłopem na 12-tu dziesięcinach. Syn kandydatem nauk sowieckiej akademii. Ale Wsiewołod o carze Aleksandrze II-gim nie mówił inaczej, jak z nabożnym szeptem: „Car oswobodziciel”... Naturalnie tylko w cztery oczy. Raz wziął ołówek i wyliczył na kartce papieru, cyfrowo, dokładnie, że chłop rosyjski za czasów pańszczyźnianych miał się trzynaćście razy lepiej, niż kołchoźniczy obecnie. A dokładnie: 27 razy lepiej przy Mikołaju II-gim. — „Tak to, bracie”, zakończył swe wywody statystyczne i podarł kartkę. — Ale czy był to wpływ przemózny Wsiewołoda, trudno twierdzić. Kto jest potencjalnym „kontrą” w Związku Sowieckim nigdy nie wiadomo, i przyczyny nie łatwo da się dociec. Czasem składa się na nią rzecz przeczytana, czasem pieśń zasłyszana. Często, to prawda, tradycje rodzinne, choć nikt z rodziny Antona nie został ani rozstrzelany, ani zesłany.

Grażdanie! Wozdusznojaja trewoga! — Obywatele, alarm lotniczy! — Powtarzało się to od pewnego czasu codziennie, ale nieszkodliwie. Stolica była wciąż dobrze zaopatrzona. Dostać wszystkiego. Tylko mauzoleum Lenina zamknięte, a mumia wywieziona. Anton, po powrocie z Sierpuchowa, chodził zawsze na kolację do restauracji w hotelu „Moskwa”. Pijatyka tam trwała do rana. Od 2 października przyśpieszono ewakuację i zaczęło się wszystko zmieniać. Przede wszystkim pogoda.

W tym czasie bardzo źle było na odcinku 16-tej i 5-tej armii. Napierały na nie 3-cia i 4-ta pancerne niemieckie; podczas gdy

4-ta niemiecka zbliżała się do Sierpuchowa, spychając 43-cią i 49-tą armie sowieckie. A mówiono, że Guderian wziął już Tułę i obchodzi Moskwę od południa, idąc na Kołomnę. — Czego zresztą bo nie mówiono! I to od dłuższego czasu. Rosło jakieś podskórne, zrazu nieuchwytnie, podniecenie.

17 października rano Anton Panisienko postanowił pojechać do Sierpuchowa. W ogólnym rozgardiaszu mógł tego nie czynić. Ale nagle postanowił. Było bardzo wczesnie, gdy wyszedł przed bramę na ulicę, i od razu, instynktem właściwym dla sowieckiego człowieka wyczuł, że jest coś nie tak jak było. Nie, żeby na jezdni coś się działo. Nie działo się nic. Większość okien była zamknięta. Za to tu i ówdzie widziało się ślady rozbitego szkła, i wiatr popędzał po bruku jakieś papiery. Mżył deszczyk z ołowianego nieba. Ale oto w odległości dwustu kroków idzie gromada ludzi środkiem jezdni, jakoś nie po pijanemu, a tylko przewalając szeroko z nogi na nogę, jakby dla podkreślenia swego lekceważenia dla otaczających ich murów. Właśnie w tym chodzie było coś specjalnego. Przypomniał sobie, jak jego ojciec podśpiewywał, dawno, piosenkę kontrrewolucyjną: „My Trockiego poznajemy po jego chodzie!...” — Spojrzał w prawo: milicjanta na skrzyżowaniu nie było.

— Czy nie sądzicie, Anton Władimirowiczu — zapytała go półgłosem dozorczyńni — że te wołania przez radio: „Obywatele, alarm!”, że to już nadaje sam Niemiec?

— Co?!... Nie sądzę — odparł zaskoczony, bo nie zauważył kiedy wyszła za nim z bramy. — Nie, na pewno nie. Zaraz, co to dziś jakoś tak, wygląda?...

— Źle wygląda, Anton Władimirowiczu. Inni mówią, że dobrze... Partia, rząd, mówią, uciekli z Moskwy.

W tym momencie Anton powziął decyzję. Zawrócił bez słowa do domu, zrzucił mundur, przebrał się w cywilne ubranie. Prędko do małego sakwojaża wpakował rzeczy najpotrzebniejsze: prowiant, bieliznę. Pieniądze i dokumenty miał przy sobie. Zbiegł po schodach. Poszedł ulicami. Zatrzymał się, gdy usłyszał w oddali niecodzienny hałas, zawahał się, i poszedł na ten hałas. To na ulicy Sadowej gromiono sklepy „Selekt” i „Prodmag”. Wycie tłumy, brzęk szkła, zgrzyt łamanych żaluzji. Patroli wojskowych nie widać. Ale przejechało kilka ciężarówek wypełnionych żołnierzami. Szofer dał sygnał klaksonem, tłum się rozstał, dał drogę. Żołnierze patrzyli milcząc. Pod nogami rozerwana czyjaś legitymacja partyjna. Anton niechcący ją kopnął w kierunku zlewu i przyspieszył kroku. Przed piekarnią tumult.

— Obywatele trzymajcie się kolejki!

— Akurat, doczekasz ty w kolejce!

— Aż Niemcy przyjdą...

— Tam Żydzi zamknęli się i chleba nie dają ludziom!

Przepychać się było coraz trudniej.

— Towarzysze! Stalin sprawiedliwy, on przepędzi spekulantów!

— To prawda — pyta naiwnie dziewczyna — że Niemcy prowadzą wojnę nie przeciwko Rosjanom, a tylko Żydom?

— Przeciwno ładnym dziewczętom... — podmiguje do niej obdarty żołnierz bez broni.

— Sami uciekli, naród głodny zostawili!

— Ech, czego doczekali... A?

Idą grupy żołnierzy o azjatyckich rysach twarzy, z bronią i bez.

— Którędy tu będzie na dworzec? — pyta jeden.

— A wam dokąd? — pyta Anton.

— Dokądkolwiek.

— Prosto — odpowiedział na odczepnego. I w tej chwili musiał uskoczyć, bo prawie najechała nań ciężarówka.

— Dajcie drogę! Dajcie drogę! — Z szoferki wychylił się cywil.

— Ej, a dokąd to tak śpieszno?!

— Nie twoja sprawa!

— Nie mooooja...? — przeciągnął groźnie facet o szerokiej twarzy. — Ej! Towarzysze! Dobro ludowe wywoź! My drugi dzień nic w gębie, a oni chleb wiozą!

— Stooj! Twoja mać! — Wysoki, czarny na twarzy żołnierz wskakuje na stopień, chwytając przez okienko za kierownicę. — Stop! Bierzcie ich, taka ich mać.

Anton myśli, że jest za dobrze ubrany i sakwojaż za elegancki. Żeby go nie wzięli czasem za przemykającego chyłkiem dygnitarza. — „Ot, do czego przyszło doczekać w stolicy Socjalistycznego Sowieckiego Związku”... Mówią, że na dworcu Kazańskim doszło do regularnej bitwy. Na ulicy Mochowej postrzelono milicjantów... Na Placu Lermontowa leży dwóch zatłuczonych funkcjonariuszy NKWD. Czy to kamieniami ich zatłukli, czy zastrzelili? — Anton zaczyna teraz kołować, aby się wydostać z labiryntu narastającej kontrrewolucji. Bo to już nie są zaburzenia uliczne. To początek...

Jemu trzeba na dworzec Kurski, ale zmuszony jest ciągle kołować i wychodzi nagle na Nowo-Piesoczną. Tu znów tłumy gromią sklepy. Oczy nabiegłe krwią, ręce gotowe do szarpania, do rozszarpywania. Chciał skrócić na oślep w zaułek, ale właśnie z niego wybiegło dwóch żołnierzy. Jednego ręka w gipsie. Drugi wymachuje obydwoma. Za nimi trzeci kuśtyka o kulach.

— Obywateleee! Czołgi niemieckie na Kałużskiej! Już w mieście, już idą! Ratujcie się, kto może, Rosjanie!

Anton wie, że to nieprawda. Jeszcze nie mogły dotrzeć do stolicy. Wczoraj, z tego co wie, byli jeszcze o sto kilometrów. Ale boi się zaprzeczyć, a zresztą po co mu to. Wydostać się, wydostać, da Bóg, raz na zawsze. Nie, on nie ma sentymentu do tej tłuszczy. W tłuszczy niech wierzy Jakuszin, jak wierzyli „narodowolcy”, i wszyscy z prawa czy lewa, stawiający na „masy”. On wie, że od dołu nic się nie robi. Trzeba strzelać, a nie krzyczyć... — O! Patrol zbrojny! Jak dziwnie bezpiecznie czuje się wobec tego patrolu, on który ucieka. Ale patrol się wycofuje. Jeden tylko trzyma automat gotowy do strzału. Ukryli się w bramie domu. Z okien wychylają się ludzie.

— Obywatele! Co się dzieje?!

— Czołgi idą! Czołgi niemieckie!

— Kto widział?!

— Luudzie!

Staruszek szedł wciąż z łopata, może z nakazu kopać umocnienia. Zapomniał rzucić. Dopiero teraz się zreflektował: cisnął łopatę po bruku, aż skry poszły. Zdjął czapkę, pochylił głowę i prędko, prędko jął się żegnać krzyżem prawosławnym. A później podniósł twarz do nieba. Z nieba zaczął już gęsty, ukośny deszcz.

— Ludzie prawosławni! Dzieci chrześcijańskie! Dusze moje kochane! Koniec bolszewizmy!

Chwila zdumionej ciszy wokół starca. Aż ktoś krzyknął z tłumu:

— Doczekaaaaali!

Tłum gęstniał i napierał. Anton nastawił kołnierz, czapkę na oczy, sakwojaż pod pachę. Tak zmoknięty, zabłocony, nie budził podejrzeń. Tłum parł naprzód. Porwał ze sobą zmianę robotników wracających z fabryki. Zaczęło śnieżyć. Gdzieś z bram powyłazili dezernerzy i łaziki. Wszystko porwane wielkim prądem tłumu, nad którym... Powiewać poczęły nagle białe flagi.

— Śmierć komunistom! Wón z Żydami!

— Dokąd? Ludzie!

— Stalin uciekł! Wojna skończona!

— Dzięki Tobie Bogurodzica Święta, Dziewico Przczysta! Matko!

— Boże caria chrani!... — zaintonował zachrypły głos. Podtrzymało nie wielu, reszta nie znała.

— Czapki zdjąć! Czapki zdjąć!

Anton przedostał się jakoś na chodnik, aby skręcić gdzieś nibędz. Ale nie było gdzie.

— Ej, wujaszku — bardzo młoda dziewczyna dotknęła jego rękawa. — Co to oni śpiewają?

— Stary hymn — odpowiedział.

Czasem zwyczajne załamanie muru jest więcej warte niż wszystkie doświadczenia lat przeżytych. Bo w tej chwili u wylotu ulicy ukazał się oddział zagradzający, i bez uprzedzenia dał salwę w tłum! Krzyk, ścisk, wołania o zmiłowanie tratowanych na śmierć, rozdzierający kwik kobiet, jęki rannych, zmieszało się w jedno kotłowisko prace teraz ku tyłowi!... Nie było wyjścia. Anton przylgnął, rozpląszczył się w tym załamaniu muru.

Co się stało z dziewczynką, która go pytała o stary hymn, nie widział.

Plac przed dworcem Kurskim zapchany jest ludźmi, głowa przy głowie. Z daleka tłum ten wygląda twardy jak lawa wulkaniczna, i przebić przezeń nie podobna. Worki, toboły; wymyślania wzajemne. Kobiety po swojemu zawodzą i biadolą. Z jakiejś przyczyny wszystko raptem milknie i stoi tylko. O żadnej planowej ewakuacji mowy być nie może. Ale twarze obrócone są poważnie nie do dworca, a ku miastu. Wygląda ono raptem dalekie, ale jest strasznie bliskie. Najbliżsi skraj patrzą jak zbliża się do nich jeszcze jeden, Anton Panisienko, przez plac.

— Obywatelu — zagadnął go człowiek rozkraczony nad leżącym w nogach workiem — co tam w mieście?

Anton próbował się przepychać.

— Co tam w mieście się dzieje?

— Niic... — odpowiedział, jak odpowiada sowiecki człowiek.

— Dokąd się pchacie! My wszyscy chcemy się przepchać!

— Myśli, że on jeden pojedzie!

Antona olśniła błyskawiczna myśl:

— A ot, jeżeli ja się nie przepcham, to nikt nie pojedzie.

— Jego sakwożaż był podobny do tych, jakich używają kolejarze w podróży. Postanowił udawać urzędnika kolejowego w cywilu.

— Przepuście obywatela! Mnie do kierownictwa ruchu trzeba.

Ten i ów się usunął. Dało się słyszeć kilka głosów:

— Dajcie drogę kolejarzowi! — Ktoś dorzucił zartem: — Dać drogę naczelnikowi stacji, może z całym dworcem nas powiezie.

Przez głośniki nadawano komunikat Sowinformbiura: „W ciągu dnia sytuacja na froncie zachodnim pogorszyła się. Nieprzyjacielowi udało się dokonać przełamania na jednym z odcinków. Trwają walki z jego oddziałami pancernymi i zmotoryzowanymi...”

— Oj, źle — westchnął mu ktoś dusznym oddechem w ścisku, prosto w twarz, po polsku.

Anton, który znał ten język jeszcze z mińskich czasów, za-
pytał:

— A wy dokąd chcecie?

— Byle wydostać się. Na wschód. — Była to ekipa polskich komunistów, która szukała drogi ucieczki w zupełnej bezradności. Dobę już całą siedzą na tym dworcu. Spenetrowali wszystkie możliwości. Od nich dowiedział się przypadkowo, że dotychczas nie odszedł żaden pociąg ewakuacyjny. Odchodzą tylko, z dalszych peronów, „elektryczki” podmiejskie. — „To jest myśl”, przebiegło mu przez głowę. I przepchał się do „elektryczki” idącej jeszcze na południe, w kierunku na Michniewo, Stupino i Kasirę na Ocie.

Raptem chaos, tłum, ścisk i panikę miał za sobą. Pociągnęły się kominy i gmachy fabryczne, niekończące się skręty moskiewskiego węzła kolejowego, przysypane śniegiem płoty, mury, glinianki. Potem przysypane śniegiem niezberane pola kołchoźnicze, lub ustawione w sterty gnijące zboże. Przysypane śniegiem dachy niskich domów, mosty, obciążone śniegiem druty. Stada wron.



Wszystko było inaczej niż się tego spodziewał. Spodziewał się wielkiego ryzyka. A okazało się proste, nieomal po codziennemu pozbawione emocji. Rzecz całą upraszczał przede wszystkim fakt, że poznikali funkcjonariusze NKWD. Ani w pociągu, ani na stacjach nie było komu wypytywać i sprawdzać dokumentów. Pozostała milicja, ale ta zajęta była widocznie czym innym.

Dojechał do krańca podmiejskiej linii, a później złapał pusty zestaw wagonów towarowych, który posyłano w jakimś celu na południe. Ponoć dla załadowania rozbitych czołgów, możliwych jeszcze do reperacji. Raz jeden patrol wojskowy podjął się sprawdzenia dokąd i po co jedzie? Miał dobry dokument i wymówkę: „Do Sierpuchowa linia zablokowana. Chcę osiągnąć drogą okólną”. — Ponieważ nie było z tej strony połączenia bezpośredniego, sami mu poradzili, aby jechał aż do Stalinogorska i stamtąd próbował skrócić na Tułę. Nie skrócił jednak, i dojechał do Uzłowej.

Pociąg dalej nie szedł. Zapadła noc. Na otwartych polach zbierało się na mróz. W rozpiętym nad głową niebie, gwiazdy zaczęły mrugać po zimowemu. To był punkt zwrotny. Patrole wojskowe na stacji. Na szczęście, grupa wyrostków wszczęła awanturę. Gdzieś dostrzegła Żyda i zamierzała go pobić, wznosząc okrzyki:

— Żydzi wszystkiemu winni! Żydzi sprzedali Rosję! Przez Żydów wojna!

Bóg czasem ułatwia ucieczki ludziom samotnym. W dodatku zesłał z nieba alarm lotniczy. Anton wyszedł ze stacji torami, i skręcił w puste pole na przełaj. Skierował się na południowy zachód, przed siebie, orientując się według gwiazd.

I w napotkanych kołchozach nie było straszno. Wszędzie przepełnienie ludźmi ewakuowanymi przymusowo, którzy oczekiwali Niemców aby wrócić do siebie. Pełno dezertarów. Linie tu prawie nie obsadzone, mówili; wojska prawie nie ma. Nie ma jednolitego frontu. Różni było kołchoźnicze i jedli mięso. Za wszystkie czasy postu, mówili, choć raz okazja. Nocował z innymi.

— A sam, skąd będziesz? — pytano go.

— Ewakuowany.

— I mianowicie?

Anton pomyślał i powiedział:

— Z Mińska.

— A z zawodu?

Anton pomyślał, i odpowiedział prawdę:

— Inżynier.

— Aaa, poważny fach. To pewnie rodzinę tam zostawił?

Anton pomyślał i skłamał:

— Żonę i dwoje dzieci.

— No, coś dziwnego, że wraca. Tu człowiekowi dziwić się nie można. Młoda pewnie żona, dzieci... Gdzież jemu podać się jak nie do żony. Nie zostawiać że jej samej na niewiadome czasy. — Gospodyni była gościnna, nie żałowała kołchoźniczego mięsa. Dla wszystkich starczyło.

Mijały krótkie dni i długie noce.

— A ot, powiedz, człowiek uczony jesteś: Niemiec zniesie kołchozy, al nie?

Anton odpowiedział zgodnie z głębokim przekonaniem:

— Naturalnie zniesie. A jakże inaczej?

I później gdziekolwiek nocował, czy odpoczywał tylko po drodze, zawsze główne pytanie: Czy Niemcy zlikwidują kołchozy? — Sam się nawet dziwił, do jakiego stopnia, pod powierzchnią dwudziestu czterech lat wdrażania sowieckich, ten wyłączny problem interesował chłopów rosyjskiego. Nawet gdzie nie dostrzeżało się żadnych przejawów antykomunizmu, zdumiewający zdawał się indyferentyzm w jednakowej ocenie: władzy sowieckiej — władzy niemieckiej w każdej innej sprawie, a jedynie pod kątem: czy życie w kołchozach, czy życie bez kołchozów?

„Nie myślałem”, myślał teraz, „nie wiedziałem, jak dalece wszystko inne jest obojętne. Nad jaką to, wykopaną przez siebie przepaścią, panowała ta władza...”

Takiej masy myszy nie widział też nigdy w życiu i nie wyobrażał sobie że może być. Zboże na polu leżało pod śniegiem niezebrane. Idąc pustymi polami niczyjej, myśli się różne rzeczy. Anton Panisienko myślał: „W którym wieku wzrastającego na świecie z każdym rokiem hałasu, westchnie ktoś może: cóż to za szczęśliwe mogły być czasy, gdy jedynym dźwiękiem jaki dochodził uszu pomiędzy niebem i ziemią, był chrobot myszy!...” Bardzo dalekie dudnienie armatniego huku, już się nie liczyło.

Szli grupkami, i rozchodzili się, i schodzili się. Naturalnie zachowując ostrożność. Raz spotkali cofającą się obojętnie baterię polową. Była z 557-go pułku.

Linie między luźnymi stanowiskami frontu, przeszli w nocy. On skierował się na Smoleńsk.

I dopiero na trzeci, czy czwarty dzień wędrówki już po ziemiach pod okupacją niemiecką, dowiedział się od ludzi, że tylko spontanicznie, tam gdzie ludzie sami, i to nie wszędzie, pod zarządem wojskowym... Ale tam, gdzie Niemcy wprowadzają swój ład, nigdzie, mówią, kołchozów nie rozwiążą.



Niewątpliwie nie mogło to leżeć w jego postanowieniu, gdyż nie wiedział przedtem o oficjalnie zakazanym, ale pod protekcją niemieckich władz wojskowych po cichu zaistniałym w Smoleńsku, prowizorycznym „Komitecie Rosyjskim”. Gdy jednak po wielu dniach, i po wielu sposobach podróży dotarł do Smoleńska, zgłosił się do tego Komitetu. Uczynił to raczej przez ciekawość. Nie potrafił jednak zdobyć się na inne pytanie, jak to: dlaczego Niemcy nie likwidują kołchozów, a utrzymują je nadal?!...

— Bardzo prosto — odpowiedział mu przyprószony siwizną, b. radca miejski Smoleńska, wyraźnie źle usposobiony względem wszystkiego co Niemcy poczynają na ziemiach okupowanych. — Mają tylko swoje dobro na myśli, ale nie nasze! I pokrywka.

— Zupełnie proste nie wydaje się jednak.

— A pan widział, jak oni trzymają naszych jeńców?

— Jeszcze nie widziałem.

— Warto zobaczyć. Bo tego jeszcze świat nie widział.

— I dlaczego oni tak robią?

— A! To już jest ich sprawa.

Nie przedłużał rozmowy. Ludzie ci wspomogli go, i ułatwili przedostanie się do Mińska.

Może to był jednak błąd, po prostu życiowy, z jego strony że się do nich zgłosił. Gdyż rzecz pociągnęła za sobą niebawem poważne dla niego następstwa.

XV

Dnia 5 grudnia na odcinku Kalinina, a 6 grudnia wzdłuż całego frontu obronnego pod Moskwą 88 sowieckich dywizji piechoty, 15 dywizji kawalerii i 24 brygady pancerne przeszło do przeciwnatarcia. Termometr wskazywał 30 stopni poniżej zera.

Niemcy zaczęli się wycofywać w głębokim śniegu, na całej linii. Częściowo porzucając ciężki sprzęt. Oskrzydlające uderzenie sowieckie od Rzewa na północy aż do Liwny na południu zagrażały obejściem i otoczeniem głównych sił niemieckich „armii Środka”.

W tych warunkach jedynym racjonalnym z punktu widzenia sztuki wojennej manewrem, wydawał się śpieszny odwrót gros sił na nowe linie obronne. Niektórzy generałowie chcieli je widzieć w leżach zimowych chociażby pod Smoleńskiem.

16 grudnia Hitler podyktował swój rozkaz zabraniający strategicznego odwrotu w wielkim stylu. Dopuszczał jedynie taktyczne wyrównania, ale kazał stać i „fanatycznie” trzymać się w miejscu.

Po raz pierwszy nie było zgodnego poglądu wśród generalicji, dotychczas niechętnie odnoszącej się do pomysłów „Führera”. Podczas gdy jedni rozkaz Hitlera nazywali kolejnym „szaleństwem”, inni byli zdania, że w tym wypadku ma on rację. Że odwrót w danych warunkach przeistoczyć by się mógł łatwo w ucieczkę, ucieczka w panikę, panika w pogrom.

ROK 1942

XVI

Snieg leżał na ulicach brudny, rozjechany kołami na kaszę, mimo mrozów. Snieg nie nadaje się do trakcji kołowej, a niemiecka armia nie przestawiła jeszcze taborów na płozy. Czas był posępny. I w tym czasie Leon spotkał przypadkowo Halę. Chciał się od niej czegoś dowiedzieć o Henryku, ale ona sama niczego nie wiedziała. Nawet dokąd wyjechał. Leon jej nie bardzo wierzył. Podobała mu się teraz więcej niż kiedyś. Prosił ją o następne spotkanie. A później jeszcze o jedno, pod pretekstem że ma coś do zakomunikowania, co by ewentualnie mogło Henryka zainteresować, gdyby się raptem zjawił.

Leon chciał Hali, jak się chce czegoś z czym można się pogodzić, jeżeli się tego nie otrzyma. To znaczy, poza nawiasem codzienności, jak wygrana na loterii. Oddałby za nią inne kobiety które znał, gdy mógł. Ale że nie mógł, więc pozostawał na razie przy innych. Względy przyjacielskie, na przykład względ na Henryka, nie grały tu żadnej roli. W takich sprawach nie ma wyrzutów sumienia. Kobieta, to nie portmonetka, której się nie wyciąga z kieszeni, a zwłaszcza z kieszeni przyjaciela. Odwrotnie, wyrzuty sumienia ma się w przyszłości, gdy się sobie przypomni, że można było rękę wyciągnąć i tego się nie zrobiło.

To była podświadoma przyczyna, dla jakiej zbiegł kilka schodków w dół do kawiarenki, pośliznął się przetartą podeszwą na ostatnim stopniu, zaklął, odzyskał równowagę i otworzył drzwi. — „Dzyń”!, zadwonił nad głową dzwonek umieszczony w wykroju drzwi. W istocie do Henryka nie miał żadnego interesu. Przy stolikach o pseudo-marmurowych blatach siedziało kilku gości. Wprawne oko dostrzec mogło, że przydają swym twarzom przesadną obojętność gości przygodnych. Znajomych nie było. Od

lady szła szczupłą dziewczyna z tacą w ręku. Była w watowanym palcie i walonkach na nogach. Istotnie, było tu chłodno, a podłoga z kamiennej posadzki.

— Panna Jadzia?

— Takie mi dano imię na chrzcie. — Zatrzymała się.

— A mnie: Leon. Mam się przez panią skontaktować z Henrykiem. Wie pani coś o tym?

— To znaczy, pan przychodzi od niego, czy do niego?

— To znaczy, że go wciąż nie ma?

— Nie wiem. Ale mogę się dowiedzieć. Jutro.

— A... z panią Halą, zobaczyć bym się nie mógł?..

W tej chwili od stolika, gdzie siedziało trzech, oderwał się jegomość w kożuszk, trzymający zajęczą czapkę futrzaną w ręku. Leon nie poznał go w pierwszym momencie, tak dobrze był zakamuflowany w tej odzieży, o tyle odmiennej od eleganckiego garnituru warszawskiego, w którym poznał go latem.

— Cieszę się, że mnie pan nie poznaje — powiedział żartobliwie. — Przysiądźmy na chwilę przy tamtym pustym stoliku. Mam dwa słowa.

— Podróżował pan po prowincji?

— Trochę. Co u pana?

— Robota idzie.

— Słyszałem. Bardzo jesteśmy z pana „kiosku” zadowoleni. W związku z tym omawialiśmy właśnie nowy projekt. Chodzi o przejście całej ekspedycji kolportażowej gadzinowego „Gońca Wileńskiego”. Sprawa już załatwiona z administracją. Podstawiony będzie taki sobie, człowieczek. Ale chcę, żeby ogólny nadzór i cała sieć kolporterów znalazła się pod pana kontrolą, jako, że tak powiem, fachowca od „prasy”. W administracji „Gońca” mamy naturalnie swoich ludzi.

— Na oko sądząc, wydaje mi się, że chyba całe wydawnictwo składa się dziś ze „swoich ludzi”.

— Powiedzmy, prócz Ancerewicza.

— Na niego wydany jest wyrok śmierci, słyszałem.

— I będzie wykonany. Panno Jadziu, popielniczkę proszę! Za dużo już o tym ludzi wie. Niewykonanie poderwałoby nasz autorytet. Ale wróćmy do ekspedycji. Kolporterzy otrzymują dokumenty, przepustki, docierają na prowincję. Słowem „alibi” pierwszorzędne.

— A konkretnie?

— Dużo możliwości. Przede wszystkim jednak znakomite ułatwienie w kolportażu naszego pisemka na prowincję, które teraz rozbudowujemy.

— Dobry pomysł.

— Dobry. Niech pan pojutrze rano będzie na Jagiellońskiej 9. Wejście od ulicy, drzwi frontowe, piętro drugie na prawo.

— Znam ten lokal — Leon przeciągnął ręką po ciemieniu, aby odgarnąć ku tyłowi dawno nie strzyżone włosy.

— To nie dobrze, że tu u was wszyscy znają jedni drugich. Na ten tydzień obowiązuje sygnał: jedno zapukanie, przerwa, dwa, znowu przerwa i jedno. Wypadkowo mogą tam pana nie znać: „Przychodzę z Ostrobramskiej cztery”.

— Będę pamiętał.

— Zapozna się pan z planem. Ze swoim „podwładnym”. Ustali z *nim pseudo... Dziękuję — powiedział do Jadzi, która znalazła wreszcie popielniczkę zrobioną z dna odpiłowanej butelki i wyjął papierosa.

— Dziękuję. Ja też mam teraz dobre. Hiszpańskie, belgijskie; bo przepuszczamy rozmaite „legiony” na wschód. Ale poza tym...

— Nagle Leon coś sobie przypomniał: — Niemcy rozstrzelali tu jednego takiego bubka z dawnej złotej młodzieży, nie wiem, czy pan słyszał, udawał arystokratę. Był agentem NKWD. A jego papa, który stracił majątek, pracuje teraz w hotelu „Georges’a”, zbiera z popielniczki niedopałki po niemieckich oficerach, nabija w tutki sprzedaje. Takie są losy innych.

— Takie są losy — powtórzył tamten machinalnie, wyciągając nogi pod stolikiem i patrząc z roztargnieniem w górne okno suteryny, za którym widoczne były nogi do kolan przesuwających się przechodniów. Wyglądało, że ma jeszcze coś do powiedzenia. Ale pierwszy zaczął znowu Leon:

— Czy to prawda, co słyszałem, że sekretarzem „Niepodległości” został niejaki Wrona?

— Skąd panu to przyszło?

— Mówiliśmy o kolportażu. — Nachylił się nad blatem stolika i rysował na nim palcem koła. — Przecież to bolszewik i były współpracownik „Prawdy Wileńskiej”.

— Wy tu ciągle macie jakieś kompleksy. Nie wiem. Redakcja znajduje się w rękach zasłużonego działacza PPS. Mamy doń zupełne zaufanie. A kto tam sekretarzem, nie wiem. Ale przy okazji... Mówiliśmy kiedyś dużo o „Grubym”... Nikt z nas nie zamierza rezygnować z antykomunistycznego, czy raczej antyrosyjskiego nastawienia. To się samo przez się rozumie. Ale każda przesada jest nie zdrowa. Jediną dewizą w tej chwili jest: bić Niemców. Bić Niemców na każdym kroku. Nic nie może tej dewizy przesłaniać, czy hamować. Pan podziela chyba moje zdanie?

— Dlaczego pan chciał zapytać o „Grubego”? Widział się pan z nim teraz?

— Właściwie, tak tylko wspomniałem...

— Wydaje mi się — Leon zatoczył większe koło palcem po stoliku — wydaje mi się, że dobrze by było, aby wszyscy byli tak głęboko ideowi jak on.

— To istotnie, dobrze. No, na razie — wstał nakładając czapkę. — Pan też wychodzi? Ale po kilku minutach. Nie trzeba żeby nas widziano razem na ulicy. Więc: Jagiellońska 9, tak? Jutro.

— Tak.

Leon nie mógł nic powiedzieć Jadzi o tym wspomnieniu Henryka. Zresztą nie było co. Może, mógłby o tym porozmawiać z Halą. Pretekst był. Ale nagle stracił ochotę, i nawet nie przyszedł nazajutrz do kawiarenki w suterynie, jak był obiecał Jadzi.

XVII

Nazajutrz Hala wybrała się sama do kawiarenki, ale nie żeby zobaczyć Leona. Gdyż Jadzia nie zdążyła jej nawet powiadomić o wczorajszej jego wizycie. Jadzia, wyznaczona między innymi do łączności pomiędzy „Komendą” i „Egzekutywą”, dość zresztą przypadkowo, nie miała czasu. Kontakty podziemne nie były zgrane. Terminy często źle przestrzegane. Szykowało się wtedy morderstwo młodej Wyleżyńskiej, którą oskarżano o styczność z Gestapo; najpierw na podstawie prywatnego oskarżenia, a później bo: „całe miasto o tym wie”. Jadzia biegła dwa razy na Wielką Pohulankę, pod górę. Mróz zelżał, ale zbierało się na zadymkę. Zmrok zapadał wcześniej, godzina policyjna wisiała nad zegarkiem. Nieprzyjemnie było. — „Nie ujutno”, jak mawiał Rogożin, emigrant rosyjski, który prawie codziennie zachodził do kawiarenki, i którego też podejrzewano o kontakty „z Niemcami”; dlatego miała go obserwować i utrzymywać z nim możliwie przyjazne stosunki. — „Nie ujutno”, zacierał zziębnięte ręce, i siadał zawsze przy tym samym stoliku.

Tymczasem dnia poprzedniego, pod pierwsze podmuchy zadymki śnieżnej, Klaudia przysiadła się w sanki do sąsiada, i pojechała do miasta. Rozwidniało się. Śnieg zasypywał tropy zajęce, i szanćcem układał się wokół świerkowego młodniaku. U Hali zjawiała się przed godziną 11 w południe. Całując kuzynkę w policzek, tchnęła w nią mrozem i zwietrzałym kołnierzem palta zi-

mowego. Hala przyjęła ją uśmiechem z lekka szyderczym. Klaudia zrzuciła palto.

— Zmarzłam. Nie mam ciepłych majtek. Patrz, w czym jeżdżę w mrozy — podkasała spódnicę.

— Gdzieś pogubiła? W takich nawet cnoty nie potrafisz utrzymać, nie tylko ciepła.

— Ach! — zachnęła się Klaudia i rozglądnęła z roztargnieniem po pokoju. — Ty sama teraz mieszkasz? — zapytała, zauważwszy na wieszaku letnie męskie palto.

— Wiesz przecie, że z Henrykiem.

— Aaa, tak... Był u mnie. — Spojrzała błękitno niewinnymi oczami w sufit.

— Wiem.

— Nie ma go teraz?

— Potrzebny ci?

— Liczyłam, że mi pomoże w pewnej sprawie.

— Na niego możesz liczyć zawsze — odpowiedziała dwuznacznie — ale nie ma go w mieście od dawna.

— Och jaka szkoda! To może ty mi pomożesz...

— Nie jestem mężczyzną.

— Daj spokój, Hala — Klaudia utraciła raptem robioną miękkość ruchów i spojrzeń, którą normalnie przybierała nie tylko wobec mężczyzn, ale i kobiet. Nie mam czasu na docinki. Nie widziałyśmy się tyle czasu. Chciałabym jak najprędzej wrócić.

Hala wyszła do małej kuchenki, aby przygotować coś do jedzenia, i stamtąd, przez otwarte drzwi, stojąc u płyty rzuciła niespodziewanie brutalnie:

— Ale spałaś z nim?

— No, wiesz!

— Ale spałaś?

— Nie myślałam, że jesteś taka zazdrosna.

Hala wzruszyła ramionami:

— Gdybym była zazdrosna, to bym oblała cię wrzątkiem, a ja ci gotuję z niego herbatę.

— No więc trudno, moja droga, nawet krowę, gdy potrzebuje, to do byka prowadzą.

— Rozmówki! Nie ma co.

— Sama zaczęłaś. Patrz lepiej, co przywiozłam — stanęła w progu, nachyliła się ku przodowi, i sięgając głęboko pod piersi, wyjęła ze stanika i błysnęła złotym węzem bransoletki z kamieniami. — Muszę to sprzedać.

Hala wytarła ręce o fartuch i odważyła bransoletkę na dłoni.

— To od tej Żydówki?

— Mhm. Ile to może być warte?

— Nie wiem. Ale dużo. To trzeba sprzedać przez kogoś zaufanego, kto ma chody. Samemu można wpaść. A ile ona chce?

— Ona... Tu nie o nią chodzi. Ostatecznie ja ją trzymam, karmię, i ryzykuję codziennie głową. Ja mam dzieci. Ryzykuję życiem dzieci. Co tu może być za gadanie. — Wzięła raptownie bransoletkę z dłoni kuzynki, ale ujęła w palce obydwuch rąk i przyłożyła do czoła.

— Patrz! — Istotnie, złoto i szafiry szczególnie rozpiękniały jej jasne włosy nad błękitnymi jak niebo oczyma. Hala ledwo się powstrzymała, żeby nie pogłodzić kuzynki po policzku. — A tu mam jeszcze brylantowy pierścionek — dorzuciła Klaudia od niechcienia, wrzucając bransoletkę za gors, i obracając kamieniem do góry pierścionek na palcu, który przedtem imitował obrączkę ślubną.

— Pójdziemy do Jadźki — zawyrokowała Hala. — W jej kawiarence zbiera się teraz niezła czarna giełda. Poradzimy się jej. Jest tam taki Rogożin.

— Kto to jest?

— Taki, macher.

Obydwie kobiety wyszły wkrótce. Zawieja się wzmogła. Musiały iść trzymając się pod rękę, z lekka pochylone, zasłaniając czasem twarze dłonią w rękawiczce. Rękawiczka Klaudii na średnim i wskazującym palcach była dziurawa.

— Phu!... — Dyszała, wsadzając końce palców do ust.

Jadzi nie było. Zastępowała ją tak zwana „mała Monika”. Za to był Rogożin. Hala przedstawiła go kuzynce i przysiadły się do jego stolika. Później Klaudia musiała wyjść do ciasnej toalety, aby wydostać ze stanika bransoletkę. Gdy wkrótce potem Rogożin oglądał ją dyskretnie trzymając na kolanach pod stołem i grubymi palcami przebiegając po kamieniach, Klaudia przegięła głowę i wzniosła swe błękitne oczy do sufitu, z wyrazem damy która zmuszona jest sprzedawać rodzinne precjoza.

Rogożinowi podobała się widocznie i bransoletka i jej właścicielka. Rozmawiano mniej o transakcji, a bardziej przeplatając, jak to wypada, innymi tematami. Hala wstała i odeszła, by powiedzieć „małej Monice”, co ta ma powiedzieć Jadzi, gdy wróci. Słyszała za sobą śpiewny głos kuzynki: „... Bo niektórzy mężczyźni sądzą, że kobiety to są wampiry, które żywią się sałatką i popijają ludzką krew...” I niski głos Rogożina: „Nigdy nie słyszałem, żeby wampiry jadły sałatę...”

Tego dnia zamach na Wyleżyńską, córkę znanego w mieście muzyka, nie udał się. Młoda dziewczyna nie została zabita. Za-

machowiec w „Imieniu Rzeczypospolitej” celował w głowę, ale stary pistolet zaciął się.

XVIII

RSHA (*Reichssicherheitshauptamt der SS*) uzyskiwał coraz większy wpływ na terenach cywilnej administracji wschodnich ziem okupowanych. Początkowo nie tylko Rosenberg, ale sam Göring krzywił się na to. Niebawem jednak zrezygnował ze swych zastrzeżeń, oddał RSHA do komisarycznego zarządu szereg gospodarczych i handlowych przedsięwzięć, zakładów przemysłowych, a nawet część po-sowieckich dóbr ziemskich, pierwotnie zastrzeżonych dla swego „planu gospodarczego”.

Państwowy komisarz Ukrainy, Erich Koch, popierał tę politykę bezwzględnej policyjnej dyktatury i terroru. Erich Koch był socjalistą z głębokiego przekonania, ongiś prokomunista i gorący zwolennik „polityki Rapallo”, zbliżenia z Sowietami. Nazywano go, do dziś jeszcze, „Erich der Rote” — czerwony Eryk. Gdy przeszedł do NSDAP, nie przestał być stronnikiem najbardziej skrajnego antykapitalizmu. Na stanowisko państwowego komisarza Ukrainy przeforsował go właściwie Göring, jako kierownik „gospodarczego planu czteroletniego”. Chodziło mu wówczas o wybór człowieka, który w eksploatacji żywej Ukrainy okaże najmniej hamulców wobec przesądów „tubylczych praw własności”. Gdy gwiazda Göringa zaczęła nieco blednąć, Koch raczej nie przypominał sobie pierwotnej protekcji, uzyskawszy potężniejszych protektorów w osobach samego Hitlera i Bormanna. Koch był za tym, aby wszystkie „ukraińskie romantyzmy i sentymenty” Rosenberga i kompanii — jak mówił — przekreślić raz i na zawsze! — „Nie ma żadnego narodu ukraińskiego, mówił. To jest rosyjsko-polska mieszanka. Ludzie ci rządzeni być muszą żelazną ręką. Oswobodziliśmy Ukrainę nie po to, aby ją uszczęśliwić. Ukraina ma dać to, czego brakuje Niemcom. Basta!”



Inaczej Wilhelm Kube, generalny komisarz Białorusi, podległy administracyjnie państwowemu komisarzowi „Ostlandu” w Rydze. W mowie, którą wygłosił do ludności, napomknął niewyraźnie o „samodzielnej przyszłości”, wyzwolonej od moskiewskiego bolszewizmu i od feudalizmu polskich panów”. Ingerencja bez-

względna SS na terenach, które Kube chciał uważać za swoją wyłączną domenę, drażniła jego ambicję i krzyżowała jego własne plany.

Urządził się on przyjemnie i wygodnie w Mińsku. Na gmachu swojej siedziby polecił umieścić szyld o półtorametrowych literach: „Generalkommissariat”. 22 października 1941 powołał do życia „Białoruską Narodową Samopomoc” (BNS) pod przewodnictwem dr. Iwana Jermaczenki. — Mimo przyjazdu żony z dziećmi dobrał sobie do osobistej usługi trzy najładniejsze z miejscowych blondynek, z których najukochańszą stała się Maryna. Zresztą i pani Kube polubiła Marynę, i nabrała do niej zaufania. Darowała jej coś niecoś ze swej bielizny, i dwie sukienki, bo była jednakowego z nią wzrostu. Jedna sukienka była różowa, druga żółta. Później Maryna opiekowała się też dziećmi pani Kube, i wprowadzała je na spacer.

Jak to bywa z wielkorządcami, Kube chciał być u siebie, i chciał nawet lubić Białoruś. Mimo, iż ogólna instrukcja nakładała nań obowiązek w pierwszym rzędzie „oczyścić teren białoruski z moskiewskich i polskich wpływów”, zatrudnił w swych kancelariach i na stanowiskach tłumaczy szereg Polaków, którzy znali język niemiecki i byli bardziej obcy niż przedstawiciele inteligencji białoruskiej. Kube lubił wystawne obiady i gości z Berlina, którym mógł zaimponować swoim dworem. Przywoływał wtedy swoje trzy wystrojone dziewczęta, nie po to jednak by podawały do stołu, lecz by wszystkim biesiadnikom podały po kolei rękę. Dwie z nich krygowały się, wstydyły i chichotały; tylko Maryna poważnie obchodziła gości i bez uśmiechu opuszczała salę jadalną. Dania podawała służba męska.

Właśnie podczas jednego z takich obiadów, doniesiono mu co się stało w mieście...



Był to straszny dzień tego stycznia. Po Mińsku krążyły słuchy, które dopowiadano i wyolbrzymiano następnie w zamkniętych domach, gdyż ludzie bali się wychodzić na ulicę.

Od rana tego dnia Ławrynowicz i Henryk czekali na wizytę emisariusza z Warszawy. Owa „panienka”, zaanonsowana swojego czasu przez Ławrynowiczową, była kurierem w przebraniu „Organizacji Todt”, jechała z Warszawy z jakimś zadaniem, — nie powiedziała dokąd, ale Ławrynowicz musiał skądś wiedzieć, że do Smoleńska. Po drodze, w Mińsku, zawiadomiła go tylko, że ma oczekiwać wizyty 4 grudnia. Była istotnie „panienką”, studentką — przed wojną — germanistyki uniwersytetu warszawskiego,

nieskazitelnie wychowana, zawsze grzeczna, zimna i fanatyczna zarazem; skompresowanym fanatyzmem patriotyzmu i bezwzględnej dyscypliny wobec szefostwa; dyskretna idealnie. Nawet Ławrynowicz, od dziesiątków lat otrząskany z tajną służbą, wzruszał ramionami. Widział ją po raz trzeci.

— Zapytaj pan ją — mówił do Henryka — jaka pogoda na dworze? Też nie odpowie panu, jeśli nie posiada ku temu instrukcji. Od niej nie dowie się pan niczego. Myślę, odbierz jej szlachecko-polskie wychowanie, a równa będzie najzacieklejszej komсомоłce, czy ideowej hitlerówce. Niezrównany typ: „Kobieta-Polka”. To nie jest, jak mój wróbel, co sprzedaje rodzzonego ojca na tołkucze dla własnego interesu. Ona sprzedaje i siebie i cały świat, jeżeli jej szef powie, że to potrzebne dla dobra Polski.

Zadnych szczegółów orientacyjnych nie wymieniła. Czekali 4 grudnia cały dzień i cały dzień następny, ale zapowiedziany emisariusz nie przyjechał. Łączność się rwała, i nie można się było niczego dowiedzieć. W tym czasie nie mieli dużo roboty. Ławrynowicza często nie bywało w domu. Wyjeżdżał sam do Smoleńska, do Homla bodaj, nie mówił dokładnie; do Witebska. Zawsze na bardzo krótko. A Henryk miał wyjechać do Bobrujska. Dopiero w pierwszych dniach stycznia zjawił się „Piekarczuk”, z wiadomością, że wizyta wyznaczona została na dzień jutrzejszy. To zaskoczyło Ławrynowicza, chociaż nie dał po sobie poznać, i rozmawiał z „Piekarczukiem” wyjątkowo uprzejmie. Ale po jego wyjściu sposępniał. Henryk nie pytał o przyczynę, ale domyślał się, iż ubodło go to właśnie pośrednictwo „Piekarczuka”, i jego bezpośrednie kontakty z pominięciem głównego rezydenta.

Tymczasem tego właśnie dnia, gdy po raz drugi oczekiwali na wizytę, zaczęło się dziać bardzo źle. Mówiono o masowych aresztowaniach, łapaniach na ulicach, rozstrzeliwaniach. Postanowili nie wychodzić z domu.



Jeszcze niedawno temu generalny komisarz Kube przesłał do Ostministerium tajny raport, jaki otrzymał od swego „Gebietskomisarza” ze Słucka, Carla:

„Metody masakry Żydów są nieodpowiedzialne. Tego rodzaju metodami nie da się utrzymać spokoju i porządku na Białorusi. Poza tym ci żydowscy rzemieślnicy po prostu są potrzebni i nie mogą być zastąpieni. Mimo to, batalion policyjny w Słucku wyprowadził wszystkich Żydów i odtransportował. Na moją interwencję, kapitan policji odpowiedział, że oczyszczanie terenu z Żydów odbywa się ze względów politycznych, i względy gospodarcze nie mogą być przy tym brane pod uwagę. Z brutalnością nie do opisania, zarówno ze strony niemieckich urzędników policyjnych, jak zwłaszcza litew-

skiego batalionu SS, wyciągani byli z mieszkań nie tylko Żydzi, ale i inni mieszkańcy Słucka, i zganiani na kupę. W mieście zapanowała dzika strzelanina i na poszczególnych ulicach gromadziły się trupy zastrzelonych Żydów. Abstrahując od tego, że Żydzi — w tej liczbie pracujący dla nas rzemieślnicy — na oczach całej ludności w straszliwy sposób byli masakrowani, inni mieszkańcy też byli bici kolbami. O jakiejś „akcji żydowskiej” nie było już mowy, całość robiła wrażenie chaotycznej rewolucji... Znęcanie się doszło do tego, że ludzie bywali zakopywani żywcem, a litewski batalion policyjny dopuszczał się niesłychanych gwałtów i rabunku prywatnego mienia. Białorusini, którzy nabrali do nas zaufania, stali wobec tych wypadków zmieszani i zdumieni. Zaklinam Pana, Panie Generalny Komisarzu, aby zechciał Pan zabrać stąd przynajmniej ten batalion policyjny... Heil Hitler!”

Rosenberg, otrzymawszy wówczas ten raport, nie zdecydował się na interwencję u Himmlera, i pozostawił go bez odpowiedzi. Głównie z tego względu, iż rzecz dotyczyła przede wszystkim Żydów, i bał się narazić na zarzut „miękkości”, i kolejną furję Hitlera. A od dłuższego czasu traktowany był przez niego lekceważąco, a często w obraźliwy wręcz sposób pomijany przy decyzjach dotyczących ziem okupowanych.

Zdecydował się dopiero na interwencję po otrzymaniu od Kubego drugiego raportu, tym razem dotyczącego styczniowych wypadków w Mińsku. Raport ten przekazał na ręce szefa kancelarii Hitlera, ministra Hans Heinz Lammersa, z prośbą o pilne zajęcie stanowiska w tej sprawie. W raporcie tym Kube w ten sposób przedstawiał przebieg wypadków w Mińsku:

„...SD wyprowadziło z więzienia w Mińsku 280 cywilnych więźniów, postawiło ich nad rowem i rozstrzelało. Ponieważ dół okazał się dosyć obszerny, i było jeszcze sporo miejsca, więc wyprowadzono dodatkowo 30 więźniów i także rozstrzelano. Między nimi znajdował się pewien Białorusin, który w listopadzie 1941 zatrzymany został na ulicy tylko za przekroczenie godziny policyjnej o 15 minut. — Ale zaszedł poza tym następujący, niesłychany wypadek postępowania SD. Mianowicie rozstrzelano w tej liczbie również 23 Polaków, fachowych robotników, którzy specjalnie sprowadzeni zostali przez nas z jednego miasta Generalnej Guberni, ażeby wypełnić specjalne prace, gdyż tu nie mamy fachowców. Ci polscy fachowcy nigdy nie byli aresztowani. A znaleźli się w obrębie więzienia po prostu dlatego jedynie, że nie było dla nich na razie kwater odpowiednich, więc komendant policji umieścił ich czasowo w budynku więziennym. I otóż tych ludzi, „za jednym zamachem” rozstrzelano też!... Wywołało to powszechną panikę w mieście... etc. — Heil Hitler!”

Rosenberg przedkładając ten raport Lammersowi, dorzucił od siebie, że widzi w tym: „grube wtrącanie się organów policyjnych do powierzonej mi przez Führera administracji wschodnich terenów okupowanych”.

Wyjaśnienie ze strony SS nie dało na siebie długo czekać. Szef RSHA, Reinhard Heydrich, złożył oświadczenie, że rozstrzelanie było konieczne ze względów zdrowotnych. Albowiem w więzieniu zaistniała groźba epidemii, i nie można było jej

inaczej zwalczyć, gdyż zabrakło odpowiedniej ilości kwasu pruskiego dla przeprowadzenia dezynfekcji. Poza tym raport Kube go jest fałszywy. Wszyscy więźniowie byli wywrotowcami. — Do tej odpowiedzi Himmler dołączył pismo, w którym od siebie prosi, aby Ostministerium nie mieszało się do nie swoich spraw, i zechciało łaskawie użycie sił policyjnych na terenach okupowanych pozostawić wyłącznej kompetencji SS. — „Ani Rosenberg, ani pan Kube, nie są żołnierzami. I nie oczekujemy też tego od nich. — Heil Hitler!”

W następnym piśmie uskarżał się Himmler, że z liczby 170 tysięcy Żydów przeznaczonych do zniszczenia na Białorusi, rozstrzelano dotychczas zaledwie około 30 tysięcy. Zarzut był poważny. SS-Brigadeführer Stahlecker bronił się przed nim, w ten sposób wyjaśniał przyczynę niedociągnięć:

„... Żydostwo w tych rejonach przedstawia ogromny procent rzemieślników i robotników fachowych, którzy z braku innych rezerw są obecnie niezbędni. Poza tym „Grupa — A.SS” objęła teren dopiero po nastaniu mrozów, co niezmiernie utrudnia przeprowadzanie masowych egzekucji... — Heil Hitler!”

Niezależnie od tych ostrych wystąpień przeciwko administracji cywilnej, Himmler, już na własną rękę, zarządził ściśle tajnie, aby organa SD w Mińsku miały pilne baczenie i nie spuszczały z oka osoby generalnego komisarza Kube, ze względu na przejawy wyraźnej jego „miękości”.

XIX

Spotkanie nastąpiło o wiele później. Wysłannik z Warszawy przyjechał niespodziewanie. W kozuszkach, czapce zajęczej na głowie, ale w spodniach i trzewikach, co upodobało go do niektórych funkcjonariuszy zarządu cywilnego. Narzekał, że nie zabrał długich butów. Bo śnieg sypał i sypał. Ulice, a i to tylko główne, były źle posprzątane. Na innych koło domów trochę odgarniano, ale stopy tonęły w śniegu głęboko. Wszystko co stało na ziemi nosiło wielkie białe czapy. Henryk wziął z rana drewnianą szufelę, by odgarnąć nieco furtkę, gdy dojrzał zbliżającą się postać.

Ławrynowicz nastawał na rozmowę we trzech. Widocznie chciał mieć Henryka za świadka. Po zwykłych słowach powitania, nie pytając gościa kiedy przyjechał i u kogo w Mińsku się zatrzymał, Ławrynowicz w formie niezwykle kostycznej zaczął wykładać swój punkt widzenia:

— Miałem w ręku wasz „Biuletyn sztabowy”, jak wy go nazywacie. Podobno powielany jest tylko w ilości 30 egzemplarzy. Bardzo słusznie, że dajecie go czytać wyłącznie do „użytku służbowego”. Jest bowiem sporządzany na podstawie oceny sytuacji polityków i wojskowych... angielskich. Całość robi wrażenie angielskiego pisma „dla Polaków”, ale nie pisma polskiego.

— Skąd pan go dostał?

Ławrynowicz puścił pytanie mimo uszu i mówił oschle:

— Ta lektura potwierdziła raz jeszcze moje supozycje, moje przekonanie: panowie robią politykę angielską.

— Robimy taką, jaką nakazuje nam rząd Rzeczypospolitej w Londynie, i władze ZWZ w Warszawie.

— Ostatnie instrukcje, jakie otrzymałem: meldunki o ruchu kolei idących na front wschodni; statystyka ruchu wojsk tam i z powrotem; plany lotnisk, sieci garnizonów przyfrontowych; tajne instrukcje niemieckie; rozpracowanie nastrojów w armii niemieckiej; meldunki dotyczące przemysłu uruchomionego przez Niemców na terenach okupowanych, planów gospodarczych, nowych obiektów. Zidentyfikowanie jednostek niemieckich na froncie wschodnim, i tak dalej, i tak dalej. Mówmy językiem brutalnym w tych brutalnych czasach. Jest to normalne szpiegostwo na rzecz i korzyść bolszewików. To miało iść do Londynu, a idzie do Moskwy. Nawet to nieprawda, że pośrednikami są Anglicy i naszymi rękami, i głowami, chcą wspierać Sowiety. Bo nawiązali panowie łączność bezpośrednią z bolszewikami...

Przybyły zmrużył oczy, nie spuszczać ich z Ławrynowicza.

— Dlaczego używa pan wciąż terminologii hitlerowskiej?

— Jeżeli hitlerowiec na krzesło powie: „krzesło”, to nie znaczy, żebym powiedział, że to nie jest krzesło.

— Skąd pan ma te informacje?

— O krzesle?

— Nie, o nawiązaniu łączności bezpośredniej?

Ławrynowicz puścił pytanie mimo uszu, i mówił:

— W miejscowości Sieriebrjannyj Bor pod Moskwą zainstalowana być ma polska placówka „Wisła”, która będzie bezpośrednio korespondować ze stacjami w Polsce.

— Dowiaduję się od pana — wtrącił lodowato gość.

— ... Rzekomo nie jest nawiązana bezpośrednia łączność z bolszewikami, kurierska i powietrzna. Ale to też nie jest prawda. Nasi kurierzy kontaktują się z tajną siecią sowiecką i przekazują materiał kurierom bolszewickim, który ci przynoszą następnie przez front, bądź wylatują samolotami. Jest to jednostronna robota na rzecz bolszewików...

— Ocena nie leży w pana kompetencji.

— Ja nie oceniam, tylko stwierdzam. Teraz przyjechał niejaki „Czarny” z kilkoma ludźmi. Ma on bezpośrednio polecenie od „Grabicy”, aby tu, w ramach „Wachlarza”, przygotowywać wspólne wystąpienia z partyzantką bolszewicką. Zwrócił się do mnie o pomoc organizacyjną. Muszę panu powiedzieć, że ja przypadkowo znam niejakiego majora Sokołowskiego ze szwoleżerów, jeszcze z dawnych czasów, mniej zapluty niż dziś. To nawiasem. Szczegóły nie podlegają wątpliwości. Otóż ja mam dość. Ja osobiście udziału w tej robocie brać nadal nie chcę, i nie będę. Ja wysiadam z tej roboty.

— Dlaczego?

— Dlatego, że jest to zdrada.

— Wybacz pan, że odpowiem panu równie ostro: głupstwa pan gada, panie Romualdzie. Zdrada jest wtedy, gdy jednostka przeciwstawia się woli całego narodu i decyzji jego prawowitego rządu. A nie może być wtedy, gdy postępuje zgodnie z wolą całego narodu i jego rządu. Cały naród nie może „zdradzać”, jest to forma nielogiczna. Prowadzimy wojnę z Niemcami, a nie z Rosją. Rosja jest w tej chwili naszych sojusznikiem, i wszystko jest w porządku. Po układzie generała Sikorskiego, sytuacja pozbawiona jest komplikacji. Mamy lojalnie wykonywać przymierze, i nie może być mowy o jakiejś „walce z komunizmem”. Chyba, do spółki z Hitlerem... Zresztą przyjechałem tutaj nie po to, żeby prowadzić dyskusje polityczne.

— Polityka w dzisiejszej epoce staje się częścią składową prywatnego życia. Dziś nie może być człowieka, którego „nie interesuje polityka”. Kiedyś rozstrzygała o wolności państwa, czy narodu. Dziś rozstrzyga o wolności jednostki, każdej. Ma pan jednak słuszność, nie mówmy o polityce. Zgadzam się też z pana poprawką co do definicji „zdrady”. Z tym wszakże, że dziś bardziej niż kiedyś, każda „zdrada stanu” jest tylko kwestią... daty. Ja mówię nie o polityce, a o sobie: nie tylko generał Sikorski, ale żeby sama nawet Matka Boska Częstochowska, łącznie z Ostrobramską, wyłoniły się z obrazu, i nakazały: „idź z bolszewikami!”, odpowiem: nie pójdę! Niech mnie później sąd w niebie zsyła za to na Kołymę.

— To już, daruje pan, dziedzina klinicznego fanatyzmu. Więc z kim mamy iść, do diabła, z hitlerowcami?!

— Diabłami niech pan, z łaski swojej, nie rzuca nadaremno — odpowiedział Ławrynowicz lodowato. — W cudzym domu trzeba być grzecznym. Przede wszystkim hitlerowcy nie chcą iść z Polakami, więc to już wyklucza dyskusję. Po drugie będą pokonani przez zachód, to jak pić dać. Ale bolszewicy mogą zwyciężyć przy pomocy tego zachodu. I co wtedy? Nie jestem tak naiwny,

a zbyt dobrym fachowcem, żeby wiedzieć, iż ten nasz udział „wachlarzowaty”, to jest śmieszny bluff i obliczony na propagandę tylko, jako udział „we wspólnej sprawie”. Mamy położyć trochę głów pod nóż, żeby móc krzyżeć: „i my też pomagaliśmy bolszewikom!”. Otóż ja, ani krzyżeć, ani pomagać nie mam ochoty. Osobiście całe życie poświęciłem walce z tym ustrojem. Byłem i jestem człowiekiem ideowym; choć całe życie byłem szpiegiem.

— Ja jednak pana nie rozumiem... Tu, kilka dni temu, w tym samym Mińsku... Ale co ja będę mówił! Czy pan nie widzi wokół, co Niemcy wyrabiają, i do czego dążą?

— Widzę bardzo dokładnie. Dążą do tego, do czego dojść nie jest w ich mocy. A to co wyrabiają, znakomicie wzmacnia bolszewizm. Od roku 1917 nikt jeszcze na świecie nie robił takiej propagandy na rzecz bolszewików jak Hitler. Dlatego widzę naszą rolę odwróconą: zamiast pomagać Hitlerowi w bolszewizowaniu Europy, powinniśmy robić wszystko co w naszej mocy, aby jemu w tym przeszkadzać. To panowie nie dostrzegają tego, co w istocie rzeczy wyrabiają Niemcy. I do czego doprowadzą.

— Czy to pana ostatnie słowo?

— Tak jest, ostatnie.

Henryk w ciągu tej rozmowy nie odzywał się wcale. Siedział z pochyloną nad rozstawionymi kolanami głową i patrzył w podłogę. Od czasu do czasu podnosił wzrok na grubą wstęgę śniegu, która po tamtej stronie framugi okiennej szczelnie przylegała do szyby. W duszy dziwił się głęboko: „Jak może człowiek do tego stopnia obkuty w sprawach konspiracji, jak Ławrynowicz, do tego stopnia dekonspirować się przed byle bubkiem, dla wątpliwej przyjemności prowadzenia naiwnej dyskusji politycznej... Czyżby nie zdawał sobie sprawy, że „wysiąść z konspiracji” to nie wysiąść z tramwaju... I po co ujawnia te wszystkie rzeczy, o których wie?... A może wie o wiele więcej, o czym nie mówi?...” W każdym razie Henryka nie uprzedził o swoim postanowieniu, zaskoczył, postawił przed faktem dokonanym. W jakim celu? Ławrynowicz okazał się mu nagle z trzeciej strony, niespodziewanej; wydał mu się: fanfaronem.

Gość wstał. Henryk był przekonany, że zwróci się do niego, zechce z nim porozmawiać. Może nawet uczyni mu propozycję objęcia opuszczonej przez Ławrynowicza placówki? Stało się inaczej: milcząc podał na pożegnanie rękę, i skierował się ku wyjściu.

Gdy zostali sami, Henryk, aby rozładować napiętą atmosferę, odezwał się pierwszy:

— To nie jest dobre, takie zerwanie.

— Mam ich w dupie — odpowiedział Ławrynowicz.

— Dostrzegam. Ale dobre nie jest.

Było trochę przykro, że Ławrynowiczowa przygotowała w stołowym zakąskę. Jakieś blinki kartoflane, które można było polewać skwarkami bądź śmietaną; trochę cielęciny na zimno; nawet ćwiartkę sowieckiej wódki, rzecz wyjątkowa na tym stole; grzybki, ogórki solone. Niewątpliwie na zlecenie męża. Czy więc spodziewał się on innego zakończenia wizyty? Dziwny człowiek...

— Widzi pan: ja w szczęściu mam zwyczaj milczeć, żeby śmierć nie podsłuchała. A w złości mówić. Ale to się zdarza raz na dwadzieścia lat — powiedział Ławrynowicz.



Choć spodziewał się Henryk, że Ławrynowicz może: „wie o wiele więcej niż mówi”, i choć wiedział on istotnie więcej od innych, i choć władał on pozornie telepatyczną zdolnością — jak się kiedyś wyraził: „wyczuwania informacji”... nie mógł być oczywiście jasnowidzem.

Szczegóły były trochę inne. Generał Sikorski podczas swej grudniowej wizyty w Sowieciech, będąc w Saratowie, zawarł z głównym Urzędem NKWD porozumienie, w którym ogólnie potwierdzono umowę zawartą w sierpniu z pułkownikiem Sizowym w Londynie, o współpracy wywiadowczej ZWZ ze sztabem sowieckim. Wyłoniły się jednak techniczne trudności. Do Londynu przybył przedstawiciel centrali NKWD, towarzysz Cziczajew, aby rzecz raz jeszcze omówić. 1 stycznia odbyła się w Londynie konferencja z udziałem ze strony polskiej: płk. Gano, płk. Rudnickiego i pułkownika Mitkiewicza, ze sztabu Naczelnego Wodza, ze strony sowieckiej: towarzysza Cziczajewa i pułkownika Sizowa. W rezultacie na konferencji tej niczego konkretnego nie zdecydowano, a jedynie wymieniono poglądy i uzgodniono obopólną wolę usprawnienia dotychczasowej współpracy wywiadowczej pomiędzy Moskwą i Warszawą.

XX

Żeby żyć, trzeba było chodzić na „tołkuczkę”. Był to swojego rodzaju rynek-zgromadzenie najbardziej niewinnych twarzy, które z chwilą wkroczenia na plac policji, uśmiechały się tak obojętnie jakby wszyscy byli tu tylko bądź przypadkowo, bądź przez pustą ludzką ciekawość. Ale nie tylko sprzedaż spod poły garstki

machorki, nawet poważne transakcje nie odbywały się bez jakiegoś udziału „tołkuczki”, lub przynajmniej dawały im tu początek. Złoto szło od Smoleńska do Paryża i Pragi, przez Mińsk, Kowno i Berlin. I choć łapówki szły do kieszeni takich, którzy nigdy na „tołkuczce” nie postali, ani w błocie, ani w śniegu, ani przytupywali w trzaskający mróz, przecież pra-cena powstawała tam, dopiero później gubiąc się w skomplikowanych przeliczeniach. Wolnego handlu okupacja niemiecka nie przywróciła, podobnie jak wolnego władania ziemią. Wyznaczyła tylko drakońskie kary za uprawianie handlu czarnego.

Było więc rzeczą naturalną, że Henryk spotkał tam Jurczyka. Onufry Jurczyk liczył sobie chyba lat 28, może więcej. Był piegowaty na twarzy i posiadał nogi czut’ pałakowate. Człowiek nie zgadza się być tym, czym jest. Jurczyk był tylko kułackim synem. Ale w jakimś roku swego życia, pod wpływem jakichś okoliczności, umyślił sobie że jest potomkiem starej, zagrodowej szlachty. Teraz, obydwie ręce w kieszeniach watowanej kurtki, zbliżył się bokiem, i pozornie wyglądało, a nawet na pewno wyglądało, że proponuje nieznanemu szczytę czegoś ukrytego pod połą.

— Bądźcie panowie ostrożni. Chatagow, Chariton Aleksandrowicz.

— Ten Osetyniec? — poruszył wargami Henryk, jakby wymieniał swoją cenę.

— Onże. Kaukazyk, więc dobrze kryty przed Niemcami. Mieszka gdzieś na Storożówce. Kandydat partii. Coś montuje.

— No?

— Chciałem przestrzec. Ale nie chciałem zachodzić. Zauważyłem, że i za mną śleżka idzie.

— Coś poważnego?

— Już ja wiem co mówię. — I oddalił się z miną zawiedzonego sprzedawcy, któremu nie dano sprawiedliwej ceny.

Z baranicy obłoków przebiło jaśniejsze piętno, jakby zamierzało utorować drogę promieniowi słońca, ale zamiar okazał się ponad siły. Mróz skrzypiał pod podeszwą buta. Henryk niby szukał czegoś jeszcze. Zatrzymał na chwilę wzrok na babie, sprzedającej guziki oderwane od odzienia, dwa pudełka zapatek i trzy stare kłódki z zardzewiałymi kluczykami. Przecisnął się między mieszczaninem, który spod poły ukazywał rąbek pudełka niemieckich papierosów, i drugim, co trzymał w rękawicach blaszany lichtarz, zapalniczkę kowalskiej roboty i dwa sznurowadła. Poszedł przepychając się dalej, poprzez stęchłą woń starych ubrań, starego obuwia; między ludźmi sprzedającymi świece domowego wyrobu, kamyczki do zapalniczek, szklanki wypilowane z bute-

lek, i samosiejny tytoń w identycznych szklankach. Młoda dziewczyna zaproponowała mu tabliczkę niemieckiej czekolady. Milczą uczynił przeczący ruch głową.

Rzeczka Niemiga, która płynęła tu kędyś podziemiem i wpa-
dała do Swistolcy, była chyba zamarznięta o tej porze roku. Przekroczył mostek na kanale i zagłębił się w zrujnowane miasto.

Pewnego dnia w południe wracał do domu. Furtka Ławrynowiczów nie była zamknięta na klamkę. Dzwonek na drucie już dawno nie działał, wskutek obciążenia śniegiem. Od furki do domu prowadziła wydeptana w głębokim śniegu ścieżka, ale nie do drzwi frontowych, które na zimę zamykano na głucho, aby nie ziębić mieszkania. Od tej strony było okno pokoju Romualda i dwa okna od niby dawnego saloniku, w którym też nikt nie przebywał zimą. Ścieżka wydeptana, omijając frontowy ganek, obchodziła dom w okół, i prowadziła na drugą jego stronę do sionek drzwi kuchennych, od dziedzińca. Tu wychodziły dwa okna pokoju stołowego, i jedno okno kuchni. Naprzeciw, w oddaleniu kilkunastu metrów, stał mały chlewik, skład na rupiecie; obok złożone były stare cegły i stóg opałowego drzewa. Wszystko ogrodzone niskim płotem obsadzonym wzdłuż szpalerem młodych świerków. W tej chwili świerki, uginając się pod śniegiem, tworzyły rodzaj nieprzeniknionej białej ściany. Za nią ciągnęły się sady i ogrody sąsiadów, takżeo zasypane. Panowała idealna cisza, i to było pierwsze co zwróciło jego uwagę. W następnym ułamku sekundy dostrzegł trzy rzeczy:

Okno otwarte do pokoju stołowego, krew na śniegu od schodków kuchni, i — rzecz nieomylna w jej formie pół łachmana, pół przedmiotu, jaki w pierwszym wrażeniu robi zawsze trup ludzki... To, głową w dół ze schodków, z przestrzeloną czaszką, leżała Ławrynowiczowa. Chusteczka z włosów spełzła jej na czoło; w prawym ręku trzymała jeszcze durchszlak, a w nim przetarte kartofle. I kartofle i trup były już zamarznięte. Henryk jednym susem przeskoczył przez niego, minął kuchenkę, gdzie pod płytą żarzyły dogasające główne, pchnął drzwi do stołowego. Na wprost otwartego okna, na wznak, na podłodze leżał trup Romualda Ławrynowicza. Obok wywrócone krzesło. Siwiejące włosy mokły w niezbyt dużej kałuży krwi. Porcelanowe oczy patrzyły w sufit, bez szczególnego wyrazu. Kolana miał podkurczone. Ręce rozłożone, zgięte w łokciach, dłońmi do góry, jakby chciał nimi podkreślić bezgraniczne zdumienie. Ślady wlotu kul były wyraźne: jedna trafiła w policzek z lewej strony nasady nosa, druga powyżej, nad lewą brwią, w czoło. — Na parapecie otwar-

tego okna siedział wróbel, i przyglądał się Henrykowi przechylając nieco główkę o czarnym podgardlu. Ten sam, znaczy, o którym Ławrynowicz zwykł był mawiać, że gotów rodzzonego ojca sprzedać na tołkuczce... — Henryk sam nie wiedział po co go sploty.

Odtworzyć przebieg morderstwa nie było trudno: musiało się stać podczas rannego śniadania. Na stole stały jeszcze szklanki niedopitej herbaty. W tym czasie żona zabierała się już do obiadu, bo był zawsze bardzo wczesny. Otwieranie okna, chociaż na krótki czas, i karmienie wróbla, było manią Ławrynowicza. Ktoś, kto o tym wiedział, musiał wtedy wejść na podwórze. Zapewne znajomy. A gdy Ławrynowicz stanął w oknie, strzelił doń dwa razy z bliska. Żona wyskoczyła zapewne na ganek, może chciała rzucić się na mordercę, i została zastrzelona. Sprawca pozbywał się jednocześnie świadka. Wyszedł z powrotem, wydeptaną ścieżką, nie zostawiając śladów. Wszystko spowite było watą śniegu, która zasłaniała widok, a zapewne i głużyła odgłosy strzałów...

Nagle przeszła Henryka mroząca myśl: A co, jeżeli za którymiś drzwiami czai się zasadzka i na niego... Nie miał przy sobie broni. Miał ją ukrytą w swoim pokoju na górze, dokąd szło się z kuchni, przez przedpokój, i następnie schodami. Zaciśnął zęby, opanowując jednocześnie nerwy, cichutko przeszedł do kuchni, ujął w prawą dłoń siekiere, i nadśluchiwał. Było zupełnie cicho. Wtedy zebrał się w sobie, gwałtownym kopnięciem buta otworzył drzwi do przedpokoju z taką siłą, aż stara kłamka wyskoczyła i spadła z hałasem, i jednocześnie odskoczył za framugę... Nie, nikt nie strzelił, nikt się nawet nie poruszył. Przeczekał chwilę. Nic. Wtedy poszedł po schodach do swego pokoju, spakował swoje rzeczy, wyjął ze skrytki i odbezpieczył pistolet, i już miał schodzić ostrożnie...

Właśnie w tym momencie usłyszał męskie głosy na ulicy, jak mu się zdawało, przed samą furtką... Ktokolwiek tam mógł być: czy mordercy, czy ci którzy ich ścigają, w jego sytuacji oznaczało katastrofę!... Może to zresztą nie były głosy przeznaczone do tego domu. Bóg wie, Bóg wie... Ale sprawdzić nie było jak i nie było czasu. Pozostawał wyścig kilku kroków o życie, zanim tamci nie obejdą domu od tyłu i nie odetną mu drogi... Olbrzymimi krokami zbiegł ze schodów, już był w kuchni, na ganku, przeskoczył po raz drugi trupa Ławrynowiczowej, i pobiegł w głąb dziedzińca, dobrze wydeptanym szlakiem do wychodka ukrytego za tylną ścianą chlewu. Stamtąd przelazł przez płot i tonąc w śniegu, w gęstych powikłaniach świerków, prętów bzu i gałęzi wiśni, sadem sąsiada na ukos. Oczywiście zostawiał ślady. Ale teraz to już było obojętne. Teraz, tak czy owak, był „spalony”.

Łapał dech. Serce kołatało. — „Trudniej było skakać z okna NKGB”... pocieszał się. Na ukos, zajęczym śladem. Czym mniej psów, tym więcej zajęcy. Do miasta wchodzi. Dobrze, że nie ma psów, podniosłyby skowyt-wrzask... Wydostał się na pusty zaułek. Odsapnął. Otrzeptał śnieg. Żadnej pogoni nie słyszał. Poszedł pędkiem, skręcił w lewo, potem w prawo, wyszedł na większą ulicę. W mróz wszyscy ludzie się śpieszą. Strasznie chciało się zapalić, ale że nikt tego na mrozie nie czynił, więc przemógł się. Skręcił jeszcze kilka razy, przeżegnał się w duchu. Do Jurczyka iść nie mógł: ten mieszkał z całą rodziną i w ciasnocie. Dokąd? W myślach przeliczył możliwe adresy. Żaden nie wydawał się pewny w tej chwili. Wtedy udał się do domu archierejskiego, tak jak go poznał archimandryta Serafim: zadzwonił do bocznej furty, i zapytał czy tu mieszka Władimir Leonidowicz Panisienko?

Starszy człowiek który mu otworzył, zmierzył go od stóp do głów milcząc, pożałował coś szczękami, przeciągnął wierzchem dłoni po rudym zarostku, i dopiero odpowiedział:

— Ja sam i jestem.

XXI

Panisienko przyjął Henryka mrukliwie. Owszem, zgadza się: archimandryta mówił mu, i on solennie obiecał. Ale sytuacja zmieniła się. Przyjechał niespodziewanie syn. Kwatera u nich ciasna. Dobrze, że żona wybrała się akurat na wieś po produkty, i ma wrócić za dwa-trzy dni. A to i pomieścić nie byłoby gdzie.

Na dworze, przed chwilą, pachniało śniegiem i dymem drzewnym, mroźną mgłą z przymieszką benzyny. W mieszkaniu Panisienki: ciepłą stęchlizną starych rzeczy, olejem lampki przed ikoną, i jakby trochę kadzidłem, którym zalatują zazwyczaj klasztor i mieszkania ludzi kościelnych. W głębi, na kanapie o zapadłych sprężynach, siedział młody człowiek.

— Mój syn — powiedział stary. Podali sobie ręce.

— Ja dłużej jak dwa dni, nie przebędę — oświadczył Henryk.

— Prosimy siadać.

— Dziękuję.

Nastało milczenie. Tamci pili herbatę. Na stole posykiwał samowar. Stary nalał szklankę Henrykowi. Herbata nie była mocna, ale gorąca. Zamiast cukru, miód do niej.

— A gdzie teraz archimandryta? — spytał Henryk.

— Nie ma jego.

— Chciał jechać za Berezynę.

— Mhm. Chciał. — Władimir Leonidowicz mówił niechętnie. Cedząc i przeciągając słowa. Dopiero po pauzie dodał: — A pojechał do Rygi. W Rydze on teraz. Tak i powiedział, żeby panu powiedzieć. Jeżeli się pan objawi. Nie za Berezyną.

— Cóż tak? Zmienił postanowienie?

Stary znowu zwlekał z odpowiedzią. Wsiorbał ostatni łyk herbaty, przepłukał nią sobie zęby, przełknął, wytarł wąsy wierzchem dłoni i położył ją ciężko na stole. Pokryta była z góry gęstą rudawą szczecina.

— Nie wiem ja. Ja nic powiedzieć nie mogę. Ale nie dobrze jakoś u nas. Pan może coś przekąsi?

— Nie, jeść mi się nie chce.

— Wychodzi rozrucha zupełna — mówił nalewając sobie nową szklankę. — W statucie tej nowej, niby to białoruskiej Cerkwi, kazali wstawić paragraf, że zabrania się chrzcic Żydów. No jakąż to święta Cerkiew, która zabrania chrzcic kogokolwiek. Śmiech jeden.

— No, „śmiechu”, to chyba nie dużo.

— Ja dlatego mówię — rozgadał się nagle — że w taki sposób to i każde przykazanie Chrystusa Pana można paragrafem zmienić. Jest tu takich trzech popów białoruskich, Łapicki, Kuszner i Kowsz, z naczelnikiem policji do kompanii. Jak tylko pojawi się nowy duchowy, to zaraz piszą donosy, biegają do Jurdy, naczelnika wydziału politycznego w komisariacie. Że to nowy rusyfikator, żeby jego aresztować. Chcą i liturgię zbiałoruszczyć. I świętych, nie według cerkiewno-słowiańskiej transkrypcji, a białoruskiej pisać. A skąd ją wziąć? Układają na kolanie. A taki Kowsz, to przecie bolszewik, jeszcze z Wilna znany. Teraz wysadzić chcą jego świętobliwość metropolitę Pantelejmona. A zresztą... — machnął ręką — i on zgodził się, żeby Żydów nie chrzcic.

— A w Rydze lepiej?

— W Rydze też, nie wiadomo... Tam egzarcha bałtycki, Sergiusz. Z jednej strony sprawiedliwie występuje przeciwko bolszewikom, a z drugiej kanoniczną jurysdykcję Moskwy uznaje. Nie znam szczegółów. Bardzo oni jakoś z sobą pokłóceni wszyscy. Smuta zupełna.

Henryk słuchał z tym przyjemnym uczuciem, z jakim słucha się tematów odbiegających daleko od tylko co przeżytego wstrząsu nerwów. Dopiero teraz poczuł jak bardzo jest zmęczony. Oparł głowę na zgiętym łokciu, drugą ręką mieszał łyżeczką miód w herbacie. Zwrócił twarz do milczącego wciąż syna gospodarza:

— A pan skąd przyjechał?

Odpowiedziało mu zrazu milczeniem. Młody Anton Panisienko, jakby się zastanawiał skąd przyjechał.

— Z Moskwy — wyrzekł wreszcie twardo.

— Piuuu... — przeciągnął Henryk.

Zaczęli ze sobą rozmawiać. Henryk trochę sennie. Odgłosy z ulicy nie dochodziły tu prawie wcale.

— Wie pan — mówił Anton — ja jak patrzyłem tyle lat na ustrój sowiecki to zdawało się, nie może być głupszego. Teraz widzę, że może.

— Sądzi pan?

— Miałem przyjaciela, Wiesia, Wsiewołoda jednego. To ten bywało mówił: „system, w którym człowiek nie ośmiela się przeklinać chleb powszedni, który przedłuża nudę życia”... A jak dziś patrzę, to nie wiem co lepsze.

— Jeszcze nic nie wiadomo — wtrącił ojciec. — W Bogu nadzieja. Po mojemu, jak klin klinem, tak chorobę zniszczyć można inną trucizną. A tam, czekać powrotu do zdrowia.

— Kto doczeka — rzuci Henryk sennie.

— Właśnie! — Podtrzymał go Anton. — Kto tę truciznę przetrzyma.

— Przetrzyma, przetrzyma, nie jeden. To tylko tak mówią i piszą, jakoby całe narody wyniszczają. Już w pierwszą wojnę co było lamentu, że nikogo na świecie nie ostanie. A później, po każdej wojnie, ludzi okazuje się więcej niż było. Tak samo i po tej będzie. Człowieka Pan Bóg stworzył na ziemi i tylko Pan Bóg może go z ziemi zabrać. A nie żadne gazy czy bomby.

— Tak to, tak. — Henryk wsparł głowę na drugiej dłoni. — Ale weź pan Żydów. Nie wiem, czy dużo zostanie.

— A, to masz pan prawie i trochę racji. Z żydkami, to prawda, że jakoś nie ładnie wychodzi. Ale i sami sobie winni. Tyleż to mówiło się, jeszcze do ostatnich czasów: „Żydzi wszystko wiedzą, Żydzi wszystko przewidują”. Gazetom u nas, bywało, nikt nie wierzył, a chodził Żydów pytać. Ot tobie, i przewidzieli! Jak dzieci, gołymi rękami dali się zaskoczyć. A niektórzy, mówią, to jeszcze w ostatniej chwili z Ameryki do Europy powrócili. Ech, inaczej jest na świecie, niż ludzie mówią.

— Jeden mój znajomy, też tak mówił.

— A zresztą ja w mądrość żydków nigdy nie wierzyłem — ciągnął Panisienko. — Pachciarz archierejskich sadów był, Chaim Szpitalnik. To wie pan, co on po rewolucji robił? Skupywał papierowe carskie ruble. Pomyśleć tylko. I co jemu było z nich? W Borysowie!

Zbudził się Henryk nazajutrz z pozycji niewygodnej, w pół ubrany, na przykrótkiej kanapie. Od razu, starym nawykiem instynktu, wiedział gdzie jest. Nie mógł tylko pozbyć się głębokiej, psychicznej przykrości. On, który zahartował się w niebezpieczeństwie i przeciwnościach losu, ze zdziwieniem postrzegając, że śmierć Ławrynowiczów niespodziewanie silnie go obeszała...

Wszedł stary w kozuchu, z ulicy widać.

— Zabili kogoś, wczoraj. Podobno nauczyciela jednego. I jego żonę.

— To za gościnę — Henryk położył na rogu stołu złoty krążek pięciorublowy. — A teraz jest rzecz taka — ciągnął wciągając buty. — W Puszkinińskim Posiołku, zaraz za domem redakcji „Minsker Zeitung”, w takim na żółto pomalowanym drewniak, mieszka niejaki Onufry Jurczyk. Zawołajcie tu jego do mnie. Powiedźcie: „gruby” pilnie wzywa. Ja wychodzić, pokazywać się sam, nie chcę. To będzie wszystko. I zjeżdżam z waszej kwatery.

To jest też sztuka, szybką orientację umyślnie zwalniać. Panisienko posiadał tę sztukę. Nic nie odpowiedział, złotej pięciorublowki jakby nie zauważył. Podreptał do drugiego pokoju. Ale gdy Henryk poszedł do kuchni, aby się ogolić i umyć, a potem wrócił, nie było już monety na rogu stołu, a Panisienki w domu.

Jurczyk przyszedł dopiero pod wieczór. Poprosił o wienik, i długo otrzepywał w sieniach buty ze śniegu. Poszli do przyległej izby. Henryk przywitał go słowami:

— Gdzie młody Ławrynowicz?

— Aresztowali. A pana szukają po całym mieście.

— Za co jego aresztowali, konkretnie?

— Konkretnie! Pan zawsze lekcewał. Ja zawsze mówiłem, że całe SD obstawione jest agentami sowieckimi. I zresztą w komisariacie to samo. Robią co chcą.

— To dlaczego na samego Ławrynowicza donosu nie złożyli, zamiast...

— Ktoś był może zainteresowany inaczej... Nie wiem.

— A co z papierami, materiałem całym?

— Tego już nikt nie odnajdzie. I my byśmy nie znaleźli. Ławrynowicz miał takie schowki, że... To już mogę zapewnić.

— I dodał wymijająco: — Ja z nim nie jeden rok pracowałem.

— Co pan myślisz teraz robić? — spytał Henryk.

— Trzeba musowo uchodzić z tego bajzlu. Innej rady nie ma. Ja jestem kryty, dopóki agronom nie wróci z Orszy. Ale zdaje się, że i on zaczął coś przewąchiwać. Dlatego powrotu jego czekać nie będzie. Jak raz przyjechał wujek, brat matki, saniami, z naszych stron. I chyba dam się z nim w nasze strony. A pan?

— Ja?... — Henryk niby się namyślał. — A daleko stąd?

— My? Daleko. To aż pod Leplem. Właściwie bliżej Czasznik. O — przypomniał sobie. Henryk znał go już z tego, że lubi przeskakiwać z tematu na temat — posłuchaj pan — zniżył głos — co mój wujek opowiada. W Czasznikach naczelnikiem miejscowej policji Niemcy zrobili niejakiego Tyślonka; człowiek on nie tutejszy. Prawda, antybolszewik wielki, ale nic nie rozumie. A główne osoby w komendanturze, to niejaki Popkow, były niby to malarz, członek partii i seksot NKWD, oraz nowy burmistrz Kalina, były inżynier Obłzdrawa. Także seksot. I udało im się do tego stopnia zdobyć zaufanie niemieckiego komendanta, że ich nawet śledczymi zrobił. Zasiadają i przesłuchują aresztowanych. Komendantowi widocznie podobało się, jak oni krzyczą, wymyślają, suną kułakiem pod nos. A sam on nie rozumie słowa. Tymczasem gra polega na tym: jeżeli przyprowadzą kogokolwiek kto przyszedł z donosem na partyzantów, to odwrócą rzecz do góry nogami: z niego samego sowieckiego partyzanta robią, i zaraz „w razchod”! Jeżeli złapią partyzanta, który sypie, albo i chce przejść na drugą stronę: „w razchod”! Tegoż dnia i rozstrzelają. A tego, który nie wyda, po dwóch dniach wypuszczą. Ten Kalina przyjaciel rejonowego lekarza Tereszkowa. A Tereszkow związany z sowieckimi spadochroniarzami. Od niego otrzymuje instrukcje.

— I skąd tak wujek dokładnie wie?

— On, widzi pan — Jurczyk zniżył głos teraz prawie do szeptu, choć i tak rozmowy ich nie było słychać. — On sam był aresztowany za nielegalny samogon. Posadzili do celi, a w niej okazał się przewodniczący kołchozu „imienia Czapajewa” w Tarankowiczach, Kuszelenko. Kiedyś był zajadłym komunistą. Przypadkowo, za dawnych czasów, wujek jemu przysługę okazał. Od tego czasu zostali przyjaciółmi. To on i opowiedział. A później mówi: „Ty nie bój się niczego. Mnie jutro badają i ja za ciebie słówko umowne powiem. Wypuszczą razem, zobaczysz”. I wypuścili. Mało tego, poszli jeszcze na kwatere do takiej Wiery Kiriłówny Taratuto. A u niej stoi pomocnik naczelnika policji. I przez nią, tenże Kuszelenko, trzech partyzantów z oddziału Szczerbina do policji przemycił. Ot jak to wygląda. A ludzie boją się słówko pisnąć. Chociażby mój wujek, szczęśliwy, że do domu powrócił, i Bogu dziękuje. A potem Niemcy jadą i wieś palą, że sowieckim partyzantom pomaga jakoby. A partyzanci śmieją się w lesie. Takiego domu wariatów, jeszcze świat chyba nie widział.

— Tak. Ale powracając do nas. Żeby z naszymi kontakt nawiązać, co? — Rzucił Henryk.

— Z „naszymi”! Kim? Z Piekarczukiem?! Czy z Butkiewiczem, czy tym nowym Kostrowickim? Ja niczego na pewno powiedzieć nie mogę. Ja mogę tylko powiedzieć, że ja nie wiem kto

czyją ręką gra... Jedź pan z nami! Do świtu wyjedziem z miasta, sanna droga, posuniem. Wyniesiemy głowy całe. A tam, zobaczymy.

Henryk wstał ociężale, spojrzął spode łba na Jurczyka. Postanowił wracać do Wilna. Od tamtych czasów tylko dwie kartki zdołał przemyścić do Hali. Żadnej odpowiedzi. Świat szeroki, a w nim ani jednego domu. O swoich zamiarach nie myślał dzielić się z kimkolwiek. Ale to racja, że przede wszystkim wydostać się z miasta, w którym... Dopowiadać nie chciało mu się nawet w myślach.

— Oni z pana na pewno mordercę zrobili — ciągnął Jurczyk. — Ja myślę pod kryminalny fason, nie polityczny. I wykańczać nie trzeba.

— Tak. To może najprostsze będzie — odpowiedział Henryk, nie wiadomo, czy potwierdzając przez to przypuszczenia Jurczyka, czy jego propozycję wyjazdu.

W tej chwili zastukano mocno w drzwi i Panisienko nie czekając stanął w progu:

— No, wizyta! Godzina policyjna...

— Ja mam przepustkę — odpowiedział Jurczyk, ale wstał.

— Dobra — rzucił Henryk, wyciągając rękę. A potem zwracając się do gospodarza: — Jutro wyjeżdżam. Dziś tu jeszcze przenocuję... — Nie dokończył. Raptowne kołatanie do drzwi wejściowych od ulicy, zaparło im dech. W tym samym momencie wpadł Anton:

— Papa! Niemcy! — krzyknął chrapliwie.

Ojciec zbladł. Henryk schwycił swój tobołek, który miał od rana spakowany i włożył prawą dłoń w kieszeń. Jurczyk odruchowo wyjął przepustkę zastępcy-agronoma.

— Tędy! Prędeż! — Panisienko otworzył przejście do rodzaju sionki czy składu narzędzi ogrodniczych. Jurczyk był ubrany, bo nie zdejmował zwierzchniego okrycia, ale Henryk okręcił się na pięcie:

— Mój kozuch!

— Ech, z kozuchami w takiej chwili!... — wycedził nieprzyjaźnie, przez zęby Panisienko.

Anton podał kozuch. Jego ręce drżały z lekka. Wyszli, pochylając głowy w niskim przejściu. Jurczyk potknął się i przewrócił grabie.

— Tsss... — Panisienko pchnął drzwiczki do ogrodu. — A ty, synek — odwrócił się do Antona — idź im otwieraj po malutku, niech nie stukają. — Sam przeprowadził uciekinierów w okół budynku. Było ciemno. Niebo w chmurach. Miasto w zaciemnie-

niu przeciwnym. Przez tylną bramę wyszli na ulicę. Pustą na pozór.

— Budynku nie obstawili — szepnął Jurczyk i odetchnął.

— Jakby tam nie było — odpowiedział Panisienko, zatrzymując za nimi bramę. W jego głosie też rozeznac było nutę ulgi i przez chwilę patrzył jak niknęli w niebezpieczeństwie nasyczonej ciemności.

XXII

— Pan jest Anton Panisienko?

— Ja... — odpowiedział ten machinalnie, z ręką na klamce, otwierając drzwi.

Wtedy Niemiec odwrócił się, odesłał szofera i powiedział:

— Dobry wieczór. Mróz dzisiaj — z lekkim tylko akcentem, ale w bezbłędnym języku rosyjskim. Był w długim wojskowym płaszczu, z odznakami „Sonderführera” na naramiennikach. Kołnierz nastawiony. Zsunął rękawice i pocierał dłonie. Zmarzył czekając. W korytarzu zdjął okulary i przetarł szkła. W posępnym świetle szesnastoświecowej żarówki ukazała się twarz młoda, o krótkim nosie i ciemnych brwiach. Był szczupły, i gdy włożył ponownie okulary uśmiechając się przyjaźnie, robił wrażenie studenta w przebraniu wojskowym.

— Proszę do pokoju — Anton uczynił gest.

— Dziękuję. Ja do pana na krótką chwilę w pewnej sprawie. — Przekroczył próg, obrzucił bez zainteresowania wnętrze i zdjął płaszcz. Mundur pod nim nie miał żadnych szczególnych odznak, które by wskazywały do jakiej formacji należy. — Pozwoli pan, że przedstawię się — wyciągnął rękę. — Nazywam się Hans Müller. Naturalnie Hansów jest wiele milionów, a Müllerów dziesiątki tysięcy. Ale, ja jednym z nich. — To był trochę zabawny początek.

— Mówi pan po rosyjsku, jak rodowity Rosjanin.

— Tak, urodziłem się w Odessie, gdzie mój ojciec stracił w rewolucję bolszewicką dwa domy i młyn parowy. A moja matka jest Rosjanką. Żeby nie zabrać panu dużo czasu: jestem z „Abwehry”. Pan wie co to jest?

— Wiem...

— W Smoleńsku dowiedziałem się o pana przedostaniu się

na tę stronę z Moskwy. Był pan w Smoleńsku? I rozmawiał z...
— Spojrzał bystro na Antona.

— Rozmawiałem. Owszem.

— W porządku. Powtórzono mi nawet niektóre ciekawe pana spostrzeżenia. Bardzo ciekawe refleksje. Chciałbym — poprawił się: — chcielibyśmy, żeby pojechał pan do Berlina.

W tej chwili wszedł do pokoju stary Panisienko. Na twarzy jego malował się hamowany przestach, a w ruchach przesadne ugrzecznienie.

— Mój ojciec.

— Bardzo przyjemnie — Hans wstał i uściśnął dłoń.

Panisienko uchwycił podaną rękę i skłonił się nisko, za nisko oczywiście jak na gospodarza domu. Ale kłaniał się on w istocie wielkiej uldze, jakiej doznał po raz drugi w ciągu zaledwie kilku minut.

— Herbaty panu? Wraz nastawię samowar!

— Z przyjemnością. Zimno. — I znów potarł ręce.

Zapalili papierosy, którymi poczęstował gość. Rozmowa zaczęła się od tej chwili toczyć gładko. Mówił przeważnie Müller. Uprzejmie, ale w tonie dosyć zdecydowanym. Anton nie miał już żadnej wątpliwości, że będzie musiał pojechać do Berlina.

— Przede wszystkim to dla pana własnego dobra. Tu siedząc, prędzej czy później, raczej prędzej, będzie pan aresztowany. I albo posadzony, albo wpakowany do obozu jeńców. Bo przecież pan był tam zmobilizowany, nie? Ten teren, białoruski, szczególnie dla pana nie odpowiedni. Między nami mówiąc, niektórzy obawiają się tu bardziej Rosjan antybolszewickich, niż bolszewickich. Polityka władz cywilnych, oraz głównego urzędu bezpieczeństwa SS nie jest zainteresowana w żadnym politycznym obliczu, które by pan mógł ewentualnie reprezentować. Chciałbym więc, aby przeszedł pan w kompetencje instancji, która może być w tym zainteresowana. Rozumie pan?

Stary Panisienko wysliznął się z pokoju i wrócił niebawem z flaszką nieokreślonej nalewki.

— Dla mnie są to rzeczy nowe — odpowiedział Anton. — Byłem skłonny traktować to wszystko co zobaczyłem za monolit. Jako jedną politykę „niemiecką”, czy „hitlerowską”... przepraszam — speszzył się trochę. — Zresztą powiem panu szczerze, fatalną. Pan kim był w cywilu, przepraszam?

— Studiowałem filozofię w Heidelbergu. Trochę parałem się literaturą.

— To tak jak ja, chociaż z zawodu jestem inżynierem.

Stary nalał do kieliszków i wtrącił z przymilnym wyrazem twarzy:

— Mój ojciec, dziaduś Antona, zwykł mawiać: „czasy dzieła się na takie, w których trzeba mówić i na takie w których trzeba dziób trzymać zamknięty”. Umarł, nieboszczyk, świeć, jemu... Synek nie znał dziadka.

Hans nie zwracając uwagi na wtrącenie starego, powiedział powściągliwie, ale dobitnie:

— W jednolitej postawie i polityce, bywają różne czasem, jakby to określić: prądy, które nie zawsze płyną tym samym korytem.

Stary Panisienko wysliznął się ponownie i wrócił z chlebem i wędliną. Nakrajał. Wypili, zakąsili.

— Więc pan, chociaż inżynier, też się interesował życiem, jeżeli go tak można nazwać: „intelektualnym”? — spytał Müller.

— Owszem. Byłem nawet kandydatem filozofii. Ale jaka tam może być filozofia. Pan sam chyba wie.

— Tak. Przyznam nawet, że właśnie stosunek do sztuki, zrobił ze mnie największego wroga komunizmu. — Odrzucił głowę w tył i błysnąwszy okularami, ciągnął: — Sztuka jest przeżyciem pewnej harmonii w chaosie codziennego życia. Wykrojona z tego chaosu przez artystę, czyli przez innego człowieka. Ale — podniósł rękę — nie przez maszynę. Dlatego nie może być sztuką porządek rzekomej harmonii stworzony przez maszynę komunistyczną. Gdyż wiemy że nawet najbardziej skomplikowana maszyna, nawet posługująca się najbardziej utalentowanymi formalnie artystami, działa na zasadzie z góry ustalonego mechanizmu i nie może być komunikatywna w znaczeniu autentycznego przeżycia. Bo dzieło nie będzie wtedy wynikiem przekazanych widzowi czy czytelnikowi przemyśleń, lecz dostosowaniem obrazu do ram narzuconych. I wie pan co ja myślę, choć może to paradoks pozorny, że dzieła naprawdę szczerego, przekonanego komunisty są niewątpliwie więcej warte od utworów tych w gruncie niekomunistów, a przystosowujących się do „linii”; czy nawet okłamujących siebie i innych, że coś niby to „przemycają między wierszami”... Dlatego, że są bardziej zakłamane. To już jest ścierka, a nie sztuka.

— Zgadzam się, zgadzam — podchwycił Anton, nalewając znowu do kielichków. — Ale czy, przepraszam, nie jest tak, po trochu, i u was?

— Jest różnica pomiędzy systemem rządzenia, założmy nawet najgorszym systemem, a doktryną. A także między trwałą doktryną, a pseudodoktryną. Otóż nie sądzę — mówił ostrożnie dobierając słowa — by w Niemczech dzisiejszych powstawała, zaistniała jakaś trwała doktryna.

— A pan sam, pisze teraz, coś?

— Nie mam na to czasu. Teraz. Dlaczego pan pyta?

Anton czuł się podniecony nie tylko wypitym alkoholem, ale bardziej może dyskusją, której temat go pociągał. Herbata stygła w szklankach. Ojciec obawiając się tego co nazywał „nieostrożnym słowem”, już raz wyciągnął nogę pod stołem i przydeptał z lekka stopę syna. Ale ten tylko odciągnął niecierpliwie swe nogi pod krzesło i nie patrząc na ojca mówił:

— Tak, kwestia autentycznego przeżycia... Tu, w Mińsku koło Parku Czeluskina, założono obóz jeńców. Mówiono sto tysięcy jeńców i czterdzieści tysięcy cywilnych, pod gołym niebem. Na surowej ziemi nie było się nawet gdzie położyć. Wszyscy robili pod siebie. Karmiono brukwią. Dziennie umierało procent... Pan nie wie jaki procent? Ja nie wychodziłem i nie widziałem. Jeżeli jednak jedna czwarta jest tylko prawdy w tym co ludzie opowiadają...

— Na pewno więcej niż jedna czwarta. Chce pan to opisać? Ja, gdybym opisywał, to wybrałbym rzecz gorszą niż w Mińsku. Bo ja widziałem obóz jeńców sowieckich w Stalino na Ukrainie. Ale upewniam pana, że są rzeczy jeszcze straszniejsze.

— Rzeź w Borysowie?

— Chociażby w Borysowie. Mogę panu nawet powiedzieć dokładnie: 7.620 Żydów, 9 listopada ubiegłego roku. Warstwa po warstwie kładziona w rów, na jeszcze nieostygłe trupy, lub tylko rannych, i strzelana na rozkaz policyjnych władz SS. Mężczyźni, kobiety, dzieci; wszystkim przedtem kazano rozebrać się do naga. A dlaczego to panu opowiadam? Bo mój dobry kolega z „Abwehry”, feldfebel Sönnicken, był tam wtedy i przesłał ściśle tajny raport do mego szefa o tym co wyrabia SS. Ja ten raport miałem w ręku i czytałem. A dlaczego w tej chwili zdradzam panu tajemnicę ściśle tajnego raportu? Dlatego, że mój przyjaciel Sönnicken pisał w nim nie tylko co się działo na rozkaz SS ale również kto ten rozkaz wykonywał, mordował. A mordowali wyłącznie, w tym właśnie wypadku, zwerbowani policjanci białoruscy, lokalnego tzw. samorządu. Wszystko byli obywatele Związku Sowieckiego.

— To i Szpitalnik tam zginął... — odezwał się jak do siebie stary Panisienko. I wyjaśnił: — On pracował tam w meblarstwie.

— Na pewno — przytaknął machinalnie Müller, który o Szpitalniku skupującym carskie banknoty nigdy nie słyszał. — Więc widzi pan, powracając do autentyzmu w sztuce, rzecz nie w pseudo-różniczkowaniu, ale stosownie do wielkości, czy straszności obrazu, tym bardziej przydanie godnego mu wyrazu autentyczności. Lepiej pisać literaturę do szuflady, niż kicz na bieżący użytek.

— Dobrze więc. Pan nie ma czasu i nie ma gdzie opisywać. I ja nie mam czasu i nie mam gdzie opisywać. Jesteśmy kwit? Ale do szuflady, na przyszłość, też wolałbym pisać nie o ludziach. Jestem inżynierem. Moja rzecz ryc okopy i budować umocnienia. Ale gdybym był naprawdę literatem i naprawdę miał talent, to bym... Mówiliśmy właściwie o harmonii. To bym opisywał pejzaże. Przechodziłem niedawno po takim pejzażu, gdzie słyszało się tylko: szmer myszy.

Hans zamyślił się.

— Piękno pejzażu, pan mówi... Naturalnie, znam tutejszy aż za dobrze. Tak zwaną melancholię jesienną pustki. Lasy w szadzi, zimą. Dalekości. Ale jest w tym nie tyle przesady, ile trochę jednostronności, umownej, powtarzalnej formy. Bo co to jest piękno pejzażu? Żeby pan widział jak zachodzi czerwone słońce nad czerwonymi klonami, gdzieś nad Neckarem. A tonią płyną białe parostatki, i woda za nimi się marszczy, jakby ją ktoś pod szerść głąskał. I białe mewy nurkują z nieba, jak spadające kornety zakonnice. I nawet kolorowe lampiony na terasach restauracyjnych, to też pejzaż. Dlaczego płoza sanek ma być ładniejsza? I kolorowe tumby reklamowe, osadzone w złotych liściach jesieni. I zapalające się latarnie.

— No, z pana prawdziwy poeta.

— Nie, tylko w taki wieczór właśnie wyruszyłem na wojnę. Więc dlaczego to ma być mniej piękne od mżawki deszczowej nad wyżłobioną koleiną pustej drogi? Nie, to rzecz umowna... — I nagle wyjął zegarek. — Tak, tak, mewy jak kornety zakonnice, nie nad czarnym, a nad granatowym habitem rzeki...

— Aaaa — rozdziawił jamę ustną stary Panisienko, z udanym czy prawdziwym podziwem, ukazując zepsute zęby.

Gość spojrzął w ten otwór, odwrócił twarz i nagle spoważniał. Anton chciał mu dolać wódki.

— Nie, dziękuję — przykrył dłonią kieliszek. — Dość na razie. Mam jeszcze pracę. Więc, odrywając się od literatury.

— Słucham — Anton również odsunął kieliszek.

— A więc przede wszystkim: będzie się pan trzymał „czasu”, który pański szanowny ojciec tak obrazowo nazwał: „czasem trzymania dzioba zamkniętym”...

Więc jednak słyszał dokładnie — pomyślał Anton i poprawił:

— To dziadek jeszcze tak mawiał.

— Słusznie, dziadek. Pojedzie pan do Berlina jako osoba cywilna. W Berlinie uda się pan na Viktoriastrasse 10 i zamelduje u pułkownika Hansa Martin, który oficjalnie jest szefem „WPr IV”, to znaczy „Wehrmichtspropaganda IV”. Ale niech

to pana nie myli. Przedtem skontaktuje się pan tamże z kapitanem Nikolausem von Grote. Taki czerwony blondyn. Jest Niemcem bałtyckim i świetnie mówi po rosyjsku. Aby jednak wszystkim formalnościom stało się zadość, jeszcze wcześniej zamelduje się pan w Ostministerium, przy Luisenstrasse 17. Proszę uważać: nie zamelduje się pan po prostu, formalnie i oficjalnie, bo wtedy mógłby pan wsiąknąć. Poprosi pan o widzenie się z panią Blaser. Nastazja Blaser. Pani Blaser jest to atrakcyjna blondynka, około czterdziestki, rozwódka. Jest rodowitą Rosjanką z domu, córka byłego ministra w rządzie Wrangla, no jakże mu... Mniejsza. Postąpi pan tak, jak ona panu postąpić zaleci i przedstawi się temu, kogo ona wskaże. Stamtąd dopiero uda się pan na Viktoriastrasse 10.

— Co to jest?

— To jest duża elegancka willa. W niej zastanie pan kilka ciekawych i kilka mniej ciekawych osób. Swojego czasu mieszkał tam też niejaki Jakub Dżugaszwili... Zastanie pan na przykład majora Gołowina, szefa sztabu sowieckiego korpusu. Piętnaście, dwadzieścia osób. Wewnętrznym kierownikiem tego „sanatorium”, niektórzy mówią: „laboratorium”, jest Aleksander Stiepanowicz Kazancew. Z nim może pan pogadać. Przeważnie „lokatorzy” są na statucie uprzywilejowanych jeńców wojennych. Dru-tów nie ma, ale wychodzić nie mają prawa. Pani Blaser postara się dla pana o konsekwentny status cywilny.

— Co to wszystko ma być?

— Nie jestem upoważniony do ujawniania szczegółów, z których zresztą wielu sam nie znam. Powiedzmy: towarzystwo „w poszukiwaniu Sidorczyka”.

— Kogo?! — zdumiał się Anton.

— To taki krawiec na Prospeckie Stalina był w... — rzucił ojciec.

— Na pewno nie ten sam — przerwał Hans.

— Kryptonim? Coś w rodzaju konspiracji? — zapytał Anton.

— Formalnie, nie. — Müller wstał. — Dziękuję za poczęstunek. Więc jutro rano wystawię panu potrzebne dokumenty. Niech się pan zgłosi... Nie, jeszcze gdzieś pana gotowi zatrzymać! Przysłę po pana swego człowieka, albo maszynę. — Wciągnął płaszcz, zapiął, postawił kołnierz do góry, włożył rękawiczki, czapkę. I nagle wyprostował się, stuknął obcasami, uniósł rękę i z powagą tak nieskazitelną, że prawie graniczącą z szyderstwem, wyrzucając ku przodowi podbródek, powiedział:

— Heil Hitler!

Stary Panisienko aż zgarbił się, jak pod ciosem. — I później

doszło między nim i synem do różnicy zdań. Ojciec upierał się, że gość zupełnie na poważnie, tak się z nimi pożegnał. Anton zaś twierdził, że na kpinę.

XXIII

Wiele śniegu spadło od tego czasu, gdy funkcjonariusz NKGB Raczenko, starszy lejtenant i były politruk gminy rudomińskiej, po raz pierwszy, jesienią 1941, przekroczył bramę Wojenno-Lotniczej Akademii im. Żukowskiego, ewakuowanej na peryferie Moskwy. Wtedy jeszcze za oknami poruszały się ostatnie liście na wietrze. Dziś było wszędzie białe.

O życiu prywatnym nie ma co mówić. Zawsze niewiele było warte w obliczu zadań służbowych. Dziś: „dżaaask!”, rozrywało się w rękach jak zetłała koszula. Żona została w Litewskiej SSR, okupowanej przez Niemców. On wyszedł cało, dosłownie: wyszedł, bo na piechotę. Akurat podczas ostatniej deportacji kontrrewolucyjnego elementu z LSSR żona jego, Katarzyna, przyznała się że jest w ciąży. Było to w krótką noc czerwową, czy raczej o świtaniu, gdy wrócił z pracy. Był wtedy tak zmęczony, że zasnął nie odpowiadając.

W październiku 41-go wezwany został, jak wielu polit-pracowników obeznanych z terenem za linią obecnego frontu, do Lotniczo-Desantowej Szkoły Specjalnego Przeznaczenia, która mieściła się właśnie w budynkach ewakuowanej Akademii Lotniczej. Mimo późnej jesieni miejscowość wydawała się urocza. Tyle zapachów, ile rzeczy w przyrodzie. Powietrze, że tylko oddychaj! Ludzi dobierano ostrożnie. W owe czasy, nieliczne jeszcze jednostki. Rozmawiał z nim sam generał-lejtenant Głazurow, naczelnik Głównego Politycznego Urzędu Powietrzno-Desantowych Wojsk, któremu bezpośrednio podlegała szkoła.

Wszystkie odpowiedzi na pytania były w porządku. Na pytanie: stan rodzinny i gdzie teraz żona? — nie powiedział jednak, że została konkretnie po tamtej stronie, lecz że zaginęła gdzieś w tumultie ucieczki. W ten sposób nie miało to konkretnego znaczenia. W podobnych wypadkach konkretnych rzeczy należy unikać, gdy konkretności uniknąć można bez ryzyka.

— Może gdzie odnajdziecie — powiedział nawet łaskawie Głazurow.

— Może się zdarzyć, towarzyszu generale — odpowiedział dziarsko, prawie wesoło. Tak i trzeba.

Bodaj, że pierwszego na dziedzińcu spotkał lejtenanta Dederko Michała, starego znajomego jeszcze z pskowskiego Obkomu, i ucieszył się.

— Po czemu idzie? — zapytał.

— I ty tu?! Zaprowiantowanie, fasunek, kurzenie, pierwszorzędne. A poza tym, to w tej szkole, w takim terminie uczą tyle, ile nie uczono jeszcze w żadnej szkole na świecie od początku jego istnienia.

— Nu? — Pokazał zęby w uśmiechu.

— Po trzech dniach nie powiesz: „nu”. Powiesz: „prrr... nie mogę więcej”.

Raczenko poklepał go po ramieniu.

Ale Dederko miał rację: nauka saperska, minierska specjalna, niemiecka technika wojenna, opanowanie wszystkich rodzajów broni własnej i niemieckiej, sposoby nagłej napaści, w lesie, w mieście, w polu; sygnalizacja, szyfry, taktyka partyzanckiej walki, znajomość taktyki antypartyzanckich formacji, taktyka niemieckiego kontrwywiadu, system polityczny wprowadzony na terenach okupowanych. Dalej szło: skakanie ze spadochronem (najmniej 15 skoków), pływanie, nurkowanie, trening w terenie. Wreszcie nauka języka niemieckiego, psychologia oficera i żołnierza niemieckiego, czytanie urywków z „Mein Kampf” Hitlera. Politgramoty w zwykłym ujęciu nie było za dużo. Za to na ściśle poufnych wykładach, wymagających gruntownych komentarzy i objaśnień politycznych, trzeba się było zapoznać z przejawami wszelkiego rodzaju antysowietyzmu wśród ludności terenów okupowanych. Specjalne, zamknięte wykłady dla wybranych dowódców dotyczyły tej pozycji jaką należy zajmować wobec ludności w szczególnie trudnych sprawach:

W pierwszym rzędzie, wychodząc z założeń nauki Lenina-Stalina, żadnych kompromisów, nawet w ujęciu czysto fonetycznym. Wszyscy Niemcy: „faszystowski ludożerca”. Unikać wszelkiego różniczkowania, wchodzenia w faszystowsko-burżuazyjną dyferencjację. Żadnych innych względów narodowych, rzekomych interesów obiektywistycznych itd. Obiektywnie jest tylko jeden wielki, wspólny interes po stronie Związku Sowieckiego. Każdy, kto opowie się po tamtej stronie, bez względu na argumenty, to kułacki wyrodek, b. kryminalista, zdrajca, sprzedawczyk, szpieg, faszystowska sobaka. Określenie globalne: „gestapowiec”. Unikać nawet fonetyki rosyjskiej: „policjant”; używać niemieckiej: „policaj”. — To jest podstawa teoretyczna. Natomiast po zetknięciu z praktyką na miejscu zaleca się stosować każdą taktykę, która okazać się może skuteczną.

Uczono nawet specjalnych dowcipów, z których szczególnie trafny wydawał się Raczence ten „o ziemi”.

— Może się zdarzyć — mówił wykładowca — że faszystowski najeźdźca zmieni taktykę i zacznie rozwiązywać kołchozy. Wtedy nieświadomieni kołchoźnicy, podburzani przez niedobitki kułackie, zaczną używać słów takich, jak: „nadawanie ziemi”, „obdzielanie ziemią” itd. Bo słowo: „ziemia”, jak to pouczał Lenin, posiada dla chłopca magiczno-przyciągający wydźwięk. W takich wypadkach najlepiej nie wdawać się w dyskusję, a zbywać żartem. Na przykład: „A ziemię-to tę, Niemcy ze sobą przywieźli?... Że teraz ją rozdają”...

— Hahaha, he, he, he! — posłyszano się kilka aprobujących śmiezków. Wykładowca spojrzął po sali i odczekał. Po czym spowaźniał i przeszedł do innego tematu:

— Jest jeden problem, towarzysze, szczególnie drażliwy i delikatny. Mianowicie sprawa Żydów. Jak wiadomo, hitlerowcy robią tu różnicę i wyrzynają całą ludność żydowską, jako nie-aryjską, w pierwszym rzędzie. Otóż nie dopuszczać do podkreślania tej różnicy! Odpowiadać: „hitlerowcy wyrzynają wszystkich”. Jeżeli właśnie dokonali gdzie likwidacji getta, mówić o „likwidacji obywateli sowieckich”. Podkreśla się przez to równość wszystkich obywateli w ojczyźnie Związku Sowieckiego, co jest rzeczą zrozumiałą. Ale jest tu inny aspekt sprawy. Jak wiadomo w ciemnych, nieświadomionych jeszcze elementach naszej ojczyzny, drzemie ciągle podskórny antysemityzm. Nawet tu, na naszej „wielkiej ziemi”. A cóż dopiero mówić o „małej ziemi”, wydanej na łup zwyrodniałego okupanta i poddanej nieustannej propagandzie antysemickiej. Ażeby więc wytrącić podstawę do szerzonej wśród wrogiego elementu szeptaniny, że „Niemcy prowadzą wojnę głównie przeciwko Żydom”... starać się możliwie tuszować różnicę pomiędzy ich stosunkiem do Żydów i nie-Żydów. Towarzysze, pamiętajcie: jak najmniej mówić o prześladowaniach Żydów!

— Wszystko to tylko literatura — zauważył raz Dederko.

— Niezła literatura — odpowiedział Raczenko.

— A ot, zobaczymy, jak tam będzie.

— Wyskoczysz i zobaczysz. Zgadza się.

— Ale, czy tak jak uczą? — Dederko był niskiego wzrostu, krępy, silny na wygląd i rysy jego twarzy, na pierwszy rzut oka zdawały się surowe, zimne, nawet złe. Ktoś powiedział o nim, że „skoncentrowany od wewnątrz”. Ten wygląd mógł również mylić. Raczenko nie widział go od roku 1939. A teraz Dederko popadał nagle w zamyślenie i mówił: — Idziesz przez swoją, rodzoną wieś, ciebie znają i mówią: „idzie Kola Raczenko”...

— Teraz, nie zapomnij, ja: Kola Nikitin.

— Nu, Kola Nikitin. A idziesz przez cudzą wieś i wtedy mówią tylko: „idzie człowiek”. A wtedy, czy to ma znaczenie, czy ty nazywałeś się Raczenko, czy Nikitin?

Właśnie przyłączył się do nich Utielnikow, dosłyszał ostatnie zdanie, i uzupełnił:

— A trzeba, żeby mówili: „idzie człowiek sowiecki”.

— Prawidłowo — dorzucił Raczenko-Nikitin.

Dederko nic nie odpowiedział, Utielnikow spojrzął nań z ukosa i złożył raport w Oddziale Specjalnym, co było zresztą jego obowiązkiem, i obowiązkiem wszystkich słuchaczy szkoły. Wezwano Raczenkę któremu Dederko, mimo że dawniej od niego w szkole, miał podlegać w oddziale spadochronowym. Raczenko wzruszył ramionami i zbagatelizował: Nic konkretnego w jego zachowaniu, co by mogło wpłynąć na zmianę dotychczasowej opinii w kartotece. — „Nic konkretnego”, to było na rękę kierownictwu szkoły. Bo brakło i czasu i tym bardziej wykwalifikowanych ludzi. Wojna. Masa ludzi została zwolniona z łagrów. Wprawdzie masa innych osadzona tam, ale nie do użycia na froncie.

I oto przyszedł ten zimowy dzień, gdy ekipę spadochroniarzy, piętnastu ludzi pod wodzą Nikitina, wszyscy członkowie partii, przewieziono ciężarówkami na polowe lotnisko niedaleko Juchnowa. Z północnego zachodu stadami biegły chmury, coraz zakrywając słońce, aż wreszcie zakryły je zupełnie. I wtedy powiał lodowaty wiatr, wyrwijając śnieżek spod ciężkich opon na chodzie. Z białej płaszczyzny po bokach wysterczały samosiejne pędy brzoźek, złamane wiatrem osty, burzany; wszystko to się kiwało, trzęsło i kłaniało podmuchom wiatru. Pogoda nie była „lotna”, to już gołym okiem rozeznac. Trzeba było w ziemiankach na lotnisku czekać na właściwą. Czekano trzy doby. Czwartej nocy załadowano ludzi i dwadzieścia jeden spadochronów z ładunkiem sprzętu: amunicja, aparaty przenośnych stacji radiowych, żywność, medykamenty.

O godzinie 8-mej wieczorem siedem „LI-2” wzniosło się z ciężkim rykiem, i popłynęło w noc księżycową na zachód. Zadaniem było wyskoczyć w rejon Mołodeczna. Nikitin wziął do pierwszego samolotu ośmiu ludzi. Tu był i Dederko, i Utielnikow. Wszyscy stali w pełnym objuczeniu, podtrzymując się wzajemnie. Siedzieć nie było gdzie. Nikt nie zauważył kiedy przelecieli linię frontu. Godziny mijały. Patrząc ku tyłowi, znikwały samoloty towarzyszące; zostały trzy. Wkrótce i te znikły zupełnie z oczu. Co teraz robić? W uszach dudniło. Gdy szturman podał rozkaz: „Przygotować się!...” Nikitin spojrzął na zegarek. Według niego

za wcześnie. — „Bydło, pomyślał, zgubili orientację, czy boją się żeby paliwa starczyło na powrót...” Odmówić skoku? Zbyt wielkie ryzyko. Pewności nie było, tylko podejrzenie... I w tej chwili szturman, przekrzykując nieludzkim wrzaskiem ryk silników, wydał rozkaz:

— Poszliiii!...

Raczenko-Nikitin pierwszy wyskoczył na skrzydło. Opaliło go ni to mrozem wiatru ni to żarem z rury wydechowej. Skurczył się w sobie, skoncentrował wszystkie mięśnie, poczuł w żołądku ucisk strachu, odbił się od płaszczyzny i poleciał głową w dół, w ciemną otchłań. Ze świstem w uszach uleciały wszystkie myśli. Przez chwilę kręciło jak korkociągiem, ale raptowne uderzenie w ramiona i twarz przywróciło przytomność i pionowe położenie ciała. Spadochron się otworzył. Gdzieś daleko ulatywał „LI-2” i zanikał w ciemności jego warkot. Pod nim srebrna cisza łagodnego opadania na ziemię.



Była pełnia nad leśnym zagajnikiem. Wieś w odległości, na oko, trzech kilometrów spała najwidoczniej pod śnieżnym pokryciem strzech. Ani świateł, ani szczekania psów. Spadochron z lekka zaczepił o gałąź sosny, ale się nie zatrzymał. Nikitin spadł w głęboki śnieg, lewym ramieniem boleśnie uderzywszy o stary wykrot. Drzewa stały rzadko, uplecione z koronki księżycowego światła-cienia. Niektóre pękały z mrozu. Było coś rozpaczliwego w tej sytuacji, tylko z dachem czerni, gwiazd, księżycy i straszniego zimna nad głową. Przy jednoczesnej świadomości, że oto z tym bólem lewego ramienia nie może powlec się do chat, prosząc o trochę ciepła. W szkole wdrażano przede wszystkim: ostrożność... — W pewnej chwili pomyślał: „A żeby tak przełamać logikę praktyki, przerzucić się w sferę nagiej teorii i pójść do ludzi czekających wyzwolenia...” Było mu tak zimno, tak samotnie, tak bezradnie w tym zagajniku, o którym nie wiedział nawet w jakiej części kraju się znajduje, o sto wiorst dalej czy bliżej celu, iż w tej chwili musiał przywołać całą siłę woli, by nie skierować pierwszych kroków ku swojej zgubie.

Obciął sznurki spadochronu sztyletem, chciał ukryć pod śniegiem, ale zreflektował się, złożył, wziął pod pachę i powłókł się na skraj. Stąd widać było: stał las sosnowy za dalekim polem. Prowadziła doń droga wyjeżdżona saniami, niebieskawo lśniąca. Poszedł nią, by nie pozostawiać śladów.

Noc, cisza, blask księżycy nad śniegami.

Sygnalizacyjny wabik nastawiony na głos jarząbka był śmiesz-

ny w tej ciszy. — „I czy tu w ogóle zdarzają się jarząbki? Nikt o to w szkole nie zapytał. Przecież to nikogo nie może oszukać... Mógł równie dobrze użyć zwykłego gwizdka...” — Ale las go uspokoił. Jeżeli nie zamrznie do rana. Jeżeli odnajdzie swoich ludzi.

Miał szczęście. Nie tak jak Linkow, który wyrzucony na jesieni dwa miesiące szukał swoich ludzi. Po godzinach brodzenia po lesie usłyszał pierwszy, a potem drugi odzew wabika. Ale raz odezwała się sowa i przeleciała bezszelestnie nad domniemanym ptakiem.

Nazajutrz wiedziano do wieczora, że zrzuciono spadochroniarzy. Na trzeci dzień doniesiono Niemcom. Ale spadochroniarze zdążyli już odskoczyć od miejsca spadku.



Nikitin z ośmiu odnalazł sześciu ludzi. O jednym nie wiedziano zupełnie nic. O drugim opowiadał, najpóźniej spotkany, Tereszczenko. Podobno wplątał się zupełnie w szczyt wysokopiennej sosny. Ale tak gruntownie, że nie mógł się ruszyć, bo widocznie i rękę złamał przy tym. Ani odciąć się nie mógł od spadochronu, ani co. Charczał tylko, a czasem krzyczał.

Szli wilczym sposobem, jak uczono, usiłując trafić w ślad poprzednika. Raczenko słuchał tego opowiadania, zatrzymał się w miejscu:

— Cóż ty, bydlaku jeden, nie mogłeś wleźć na drzewo, wyratować, zdjąć towarzysza?!

— A jakżesz ja zdejmę! — Zakrzyknął tamten zachrypłym od mrozu głosem. — Sosna, o jaka! Jak maszt gładka. Bez gałęzi, oblodzona. Pięćdziesiąt, może osiemdziesiąt metrów!

— Osiemdziesiąt metrów nie bywają sosny — wtrącił któryś.

— Żebym chociaż toporek miał, nadrąbać korę. A on krzyczy z góry. Tak wożąc się koło niego do rana można się przepocić, aż ludzie zbiegną się na ten krzyk, i mnie razem za dupę wezmą. Co mogłem robić?!

— Ech, bydle ty. To nie mogłeś choć zastrzelić jego?

— A po co huku podawać, miejsce wskazywać. Kiedy on i tak zamrznie za kilka godzin, wisząc.

— Poszli — skomenderował Nikitin.

Na pierwszym odpoczynku zbliżył się doń Utielnikow, którego zrobił swoim zastępcą, i powiedział półgłosem:

— On, Tereszczenko słusznie postąpił. Jeżeli zatrzcę śladu i spadochronu, nie dało się, to po co jeszcze alarmować strzałem.

— Który to był?

— Jeden z dwóch. Może Nikołajew.

Raczenko przełknął ślinę, wziął garść śniegu do ust, rozpuścił, wypił. Później odchylił rękaw watówki, spojrzął na zegarek, sprawdził z ręcznym kompasem i poszli dalej. Gęsiego. Przez las.

.....

Przede wszystkim trzeba się było zorientować, gdzie są? Mapa nic nie mówiła. Odskokczywszy od miejsca lądowania, zdecydował Nikitin wysłać dwóch ludzi do wsi pod lasem. Kazał zejść do skrajnej chaty; z resztą, w zaroślach ukryci, stanowić mieli osłonę. We wsi tej szczekał pojedynczy pies. Ludzi nie było widać.

— Dederko! Weźmiesz Waškę i ostrożnie... Granat masz?

— F-1.

— Weź ode mnie „RGD” z uchwytem, jeszcze. W razie czego, rzucasz i zadami.

Dederko wrócił. Przyniósł świeżego chleba bochenek.

— Ależ ty pomyśl sobie, co za... mać ich, mać...! No czy nie ostatnie kurwy! Ty wiesz, gdzie oni nas zrzucili?! Rozpytałem dokładnie. To Czasznicki rejon! Między Dźwiną i Berezyną. To będzie chyba setka kilometrów za krótko. Mołodeczno to aż za starą polską granicą.

Nikitin sprawdził mapę. Mapa nawet nie sięgała. — „Zębami nie zgrzytać, a rwać” — pomyślał. — „Wieczny bałagan, wieczne niedociągnięcia, niepowiązanie”. Ale niczego z tych myśli nie wypowiedział.

— Jak to wszystko trzyma się jeszcze... — mruknął Dederko.

— Ty o czym-to? — Podniósł na niego wzrok znad mapy Nikitin.

Dederko machnął ręką w zniechęceniu.

XXIII

Bitwa nastąpiła nie od razu. Przedtem nastąpiła zmiana pogody.

Nie ma słów, które by potrafiły oddać wiatr południowy, wiejący wśród zimy na północy. Są w nim wszystkie nadzieje i wszystkie pragnienia umęczonego mrozem pejzażu. Nie zestawić z żadnym innym wrażeniem wężowym na świecie tego pomieszania wiosny z korą drzewną, szumu gałęzi z mokrym śniegiem,

odwilży z tlenem; postrzępione wilczymi zębami chmury, biegną nad postrzępionym lasem; raptem przebłysk żółtego pasa na horyzoncie, gdzie niebo łączy się z krańcem błot. — „Kouk-ok-ok”! zerwały się białoskrzydłe pardwy. Bóg wie co jeszcze: W środku zimy wydają się raptem pęcznieć koronki brzoź. Ślad rysia na śniegu odcisnięty jest na pokaz, jakby chciał się pochwalić: „ot jaką mam śliczną łapę”. Wszystko to bardzo nieuchwytne, zmienne i złudne. Tylko pierwszego dnia rozdyma pierś pełnym oddechem. Na trzeci, może się obrócić przeciwko człowiekowi. Ale człowiekowi zawsze jest źle na świecie, i w lesie, i w mieście, i w czas pokoju, i w czas wojny.

Szli wtedy tropami łośiej ścieżki, nie obchodząc ani zamarniętych błot, ani rzek pod lodem. I śnieg, który mięknął pod butami, nie stawał się przez to łatwiejszy do przebycia.

Zadaniem grupy Nikitina było dokonanie sabotażu wokół węzła kolejowego Mołodeczno; następnie przesunięcie możliwie na zachód w tereny dotychczas jeszcze nie osiągnięte przez bezpośrednią dywersję sowiecką; dokonanie w tamtych rejonach pokazowych aktów karzącej ręki Związku Sowieckiego, oraz rozpoznanie, kontakt i ocena tamtejszego podziemia antyniemieckiego. Jego grupa była elitarna. Nie miał się ani krępować, ani związywać z żadnym oddziałem partyzanckim na swej drodze. Całość zadania została przekreślona na razie wskutek wyrzucenia go w fałszywym miejscu, zniknięcia reszty desantu, zaprzepaszczenia radiostacji i prawie całego ładunku. Pozostało mu sześciu ludzi nie wystarczająco wyekwipowanych, ugrzęźłych w śniegach o ponad setkę kilometrów na wschód od punktu przeznaczenia. Nie mając jednak innego wyboru, postanowił posuwać się lasami na zachód. Ciągle w nadziei, że może świeży śnieg zechce zasypać jego ślady. „Biały trop” jest najgorszym tropem w działaniach partyzanckich. A jeść trzeba, i ogrzać się też, osuszyć, od czasu do czasu.

Dederko wyspecjalizował się teraz w kontaktach z mijanymi ostrożnie wsiami. Na własną zgubę, ale to zaszło już po tej bitwie.

Wstąpił do wsi Olchowka, jak zawsze do skrajnej chaty. Zastał tam starych gospodarzy, ich synową, dwoje małych dzieci i młodego, w wieku poborowym chłopaka w sowieckiej bluzie. Synowej twarzy nie dostrzegł, bo usunęła się w cień i zresztą, pochylona przy piecu, przesuwiała tam garnki, odwrócona tyłem. Młody w bluzie siedział na ławie i przyglądał się ciekawie gościowi. — Naturalnie, nikt z rodziny nic nie widział, nikt z nich nic nie słyszał... To już wiadomo z góry. Tyle, że stary potwierdził, iż w ich wsi nie ma policji... — Baba wymownie spojrzała na niego.

— Nu, jak nie ma — odpowiedział na jej wzrok — to nie ma! To i dziecko wie, że nie ma. U nas policjantów nie ma.

— Policajów — poprawił Dederko. Przysiadł się na przeciwległej ławie, automat między kolanami. — A że desant z Moskwy, pięćset ludzi, wylądował, też nie słyszeliście?

— A kto jego wie... Czy pięćset, nie słychać było, a że jakoby jacyś pojawili się, to mówili ludzie... — odpowiedział wymijająco.

— Mało teraz kto, pojawia się po lesie — dorzuciła żona.

— To-to. Prędko z Niemców oczyścimy całą okolicę.

— Może być — zgodził się stary.

— Od tego wojna — westchnęła baba.

— A ty — zwrócił się Dederko do młodzieńca — kim będziesz? Okrużeniec? Gdzie karabin podział, czemu nie w partyzantce? A?

— Nie okrużeniec on, syn nasz. Starszy zaginął, ot młodą żonę zostawił z dziećmi, a młodszy syn został w domu.

— A dużo was tu? — zapytał młody.

— Ot, głupie jakie pytanie zadajesz, Ignat — odezwała się matka.

— Stara kobieta i ta mądrzejsza od ciebie, wojaka — odparł Dederko i spojrzął w okno, jakby oczekiwał towarzyszy. Ale wstał, zażądał tylko chleba i słoniny i wyszedł. Dali mu odrobinę, ale jakoś nie nastawał. I chata ich biedna, i cała wioseczka, kilka chałup, od razu widać, nie ma co wziąć. Czasu szkoda nawet zachodzić. Ledwo odsunął bramę na uliczkę, gdy z tyłu skrzypnęły za nim drzwi na ganku; narzucając kożuszek, ukazał się Ignat, bez czapki. Niby to zszedł obojętnie po schodach, ale oczami dał znak.

— Przejdziem tędy, bokiem — wskazał podbródkiem — widać nie będzie. Ja dlaczego pytałem, ilu was jest. Bo sprawa jedna taka nadarza się...

I opowiedział rzecz następującą: Trzecia stąd wioska, kołchoz Mironowicze, bogata; ich Olchówka, w porównaniu, to uroczyssko... Kilometrów osiem będzie. I tam jutro wieczór, to znaczy na drugą noc od dziś, zapowiedziane wielkie weselisko. Predkołchoza dawny, a dziś burmistrzem u Niemców, Juchniewicz, wydaje córkę za męża. Za naczelnika tamtejszej policji, Bodaja. Też miejscowy człowiek. Broń otrzymali, stare ruskie karabiny i opaski na rękę. Pięciu ludzi. Swoich gnębią. Samogonu, naturalnie, od kilku dni przygotowali. Popijają się, naturalnie, na weselu, w drysk. A więc plan taki: podejść w nocy, otoczyć dom i nakryć wszystkich po pijanemu. A tam i skorzystać będzie można, na wieś kontrybucja nałożyć.

— Ty z „kontrybucją” poczekaj. My wyzwalać przyszli, ale nie kontrybucję nakładać.

— No, to i „wyzwolic” cośniecoś dla siebie... — podmignął chytrze.

— A ja skąd wiem, czy ty nie w pułapkę zwabiasz?

Ignat zastanowił się rzeczowo, przygryzając dolną wargę, i nagle przyszła mu myśl:

— Dawajcie, ja wam sam drogę pokażę i razem pójdę!

— No, dawaj. Zaprowadzę cię do naszego dowódcy.

— To chwileczkę. Ja tylko czapkę zachwycę z domu i coś do zarcia w kieszeń. Zaczekaj pod lasem.

Las był tuż. Kilkanaście kroków od chaty. Dederko wybrał miejsce pod świerkiem. Osłonięty krzakami, oparł się o pień i automat trzymał gotowy. Stary chlew przesłaniał z tego miejsca widok na chatę. Wkrótce usłyszał skrzypnięcie drzwi i widocznie Ignat zbiegł z ganku. W następnej chwili drzwi skrzypnęły po raz wtóry. Młody, kobiecy głos zawołał:

— Ignat! Ignaat!...

— Czego?! Odczepsie! — odkrzyknął ten opryskliwe. — Ja zaraz wracam!

Nikitin długo jego badał. Ignat przyznał się wreszcie, że był w okrażeniu pod Wołkowyskiem, ale Niemcy zwolnili go do domu, w pierwszych miesiącach. Że niezdrów był, chory. Gorączka trawiła i tak dalej. Ale naturalnie, do wiosny, jak tylko pójdzie „czarny trop”, pierwszy do partyzantów przystanie i tak dalej.

— Ty patrz, braciszku, pójdiesz między nami. Jak tylko pozujem zasadzkę, tobie pierwszemu kulę w potylicę wsadzimy.

Ignat chciał się zakląć znakiem krzyża prawosłanego, już było złożył trzy palce i prawie uczynił zamach, ale zreflektował się w ostatniej chwili i powiedział tylko:

— Strzelajcie! Mnie pierwszego!

Nikitin rozkazał go pilnować i, nachmurzony, postanowił dokonać nocnego napadu na wieś Mironowicze. Tym bardziej, że śnieg zaczął padać.



Noc była czarna. Śnieg nie gęsty, ale padał ciągle. Bez przewodnika trudno byłoby trafić i rozeznac się dobrze. Dom byłego przewodniczącego kołchozu stał w środku wsi. Duży, o wielkich oknach. Juchniewicz nie był kułakiem, ale „okułaczył się” — jak określił Ignat — przy Niemcach. Przeniósł się do dawnej świetlicy i rządził we wsi jak we własnym chlewie.

— A dużo on tych córek ma? — pytał w roztargnieniu Utielnikow.

— Jeedyną tylko i ma — odpowiedział z nagłą niechęcią w głosie Ignat. — Teraz zamąż wydaje...

— To policajów, mówisz, pięć?

— Czterech. Piąty ich komendant liczy się. Sobaka prawdziwa.

— A czym on sobaka?

— Sobaaaka — przeciągnął w zamyśleniu Ignat.

— Jak nazywa się?

— Bodaj, jego nazwisko. Psu spod ogona. A teraz waaażny. Rozbogacił się na cudzej biedzie. No to Juchniewicz i bierze jego za zięcia.

— A cóż córka, głosu nie ma swego?

— Maaa... — odparł niechętnie.

W tej chwili zaszczekał pies. Podchodzili cicho, umyślnie nie od strony lasu, lecz pod wiatr, z otwartego pola. I tak nic nie widać. Przerwali rozmowy. Przodem szedł teraz Ignat, za nim z gotowym automatem Utielnikow, trzeci Nikitin z „Mauserem” w rękę. Na końcu oddziału Dederko. Przeszli groblę, minęli mostek drewniany, wyszli w środek wsi. Dochodziła dwunasta w nocy. Ulica wsi opustoszała. Raz, że niby to nie wolno nocną porą włóczyć się, dwa że kto chciał popatrzeć na weselisko ten już napatrzył się i poszedł spać. A stać pod zasłoniętymi oknami na wietrze i śniegu bez celu, w taką czarną noc, że ręki przed oczami nie dojrzysz, komu to ochota! Trzy, że kto był zaproszony, ten był już dawno w środku. Wyszło tylko kilku co wcześniej popiło się, coś krzyczeli, ale nikt na pijane okrzyki nie zwracał uwagi. Nawet, żeby podnieśli alarm. Na to Nikitin słusznie liczył. Któryś przyczepił się do niego, zajrzał w twarz, domacał nawet ręki z pistoletem i krzyknął na całe gardło:

— Partyyyzant!!

Ale Nikitin ogłuszył go uderzeniem kolby w podbródek i zwałił w śnieg pod płot. Ten harmider kilku pijanych był raczej na rękę. Tłumaczył ujadanie psów. Nikt by nawet w okno nie wyjrzał na pijaków patrzeć, nawet żeby było co widać. Tylko Ignat głęboko na oczy nacisnął czapkę.

Dom Juchniewicza oświetlony był od wewnątrz, widać po szparach w zawieszonych na oknach workach. I stamtąd dochodził zwyczajny w takich okolicznościach gwar, trajkot.

Rozstawili się tak: Nikitin z towarzyszem przed gankiem; jeden spadochroniarz od ulicy, drugi od ogrodu. Utielnikow i Dederko mieli wejść do środka z automatami, skomenderować: „ręce do góry”! i wyprowadzić pijanych bezbronnych policjantów. Był projekt zarzucić weselisko granatami przez okna, ale

Nikitin sprzeciwił się: w tłumie akurat może nie trafić w policjantów; rozpełzną się gady na brzuchu — choćby i ranni. Po drugie miał zamiar uboczny: zdjąć z nich opaski policyjne, które mogłyby posłużyć w przyszłości; samych zaś rozstrzelać na podwórzu. Plan był prosty.

Stało się inaczej.

Gdy raptownym pchnięciem rozwalili drzwi, dojrzeli mnóstwo gości i jedną lampę nad stołem, a stół sięgał prawie progu, tak był rozstawiony. W mgnieniu oka gwar urwał w śmiertelną ciszę.

— Ręce do góry!!!... — wrzasnął Utielnikow, kierując automat.

— Ty kto?... — znad stołu wstawał rosły, młody mężczyzna.

— Ręce do góry!!! — zacharczał Utielnikow i poczuł że palec drgnął na spuście, że pociągnie zanim tamten uniesie się do połowy.

Ale w tejże chwili, siedzący prawie pod łokciem gość, błyskawicznym machnięciem dłoni w tył, chlusnął mu w oczy pełną szklankę samogonu! Utielnikow dał serię, ale oślepiony zgórował, akurat po lampie. Nagła ciemność wyzwoliła nieopisany tumult, krzyki, wizgi kobiet, kotłowanie ciał, które gotowe było ich zgnieść i pochłonać. Było za ciasno w tej izbie. Dłaczegoś nad bezkształtnym zamętem wirował rozdzierający babski dyszkant:

— Margoooooola!!!!...

— Nazad stąd! — syknął Utielnikow, kurczowo chwytając Dederkę. Wyskoczyli do sieni. Ale drzwi się zapadły. Nim domacali skobla, już padł za nimi strzał. Wyskoczyli przed dom. Tu Nikitin zajmował pozycję w odległości pięciu metrów od ganku. Utielnikow i Dederko byli jeszcze oślepieni światłem. Nikitin widzi lepiej i celuje dokładnie w drzwi. W tym momencie zamajaczyła w nich postać i jednocześnie zatrząsał ogień. Strzelił tamten fachowo, od razu, z broni trzymanej u biodra, ale w ciemność. Nikitin natomiast miał cel przygotowany i przeszył go serią. Zabity zwał się jak worek na próg. To był sam Juchniewicz. Teraz strzały padły z okna, jeden, drugi. Dederko cisnął granatem, który odskoczył od ramy. Ledwo zdążyli paść na ziemię gdy wybuchł blaskiem, z ogłuszającym hukiem na podwórzu. Omal nie zostali porażeni własnymi odłamkami. Za chatą też padły strzały. I znowu z okien: cała seria. Znaczący nie tylko mieli stare, ruskie karabiny... — Co się działo wewnątrz domu, nie wiadomo, przypuszczalnie goście, a zwłaszcza kobiety poukładały się na podłogę; chronił ich kamienny fundament, który w budowie tego typu wystaje o 25 do 30 centymetrów ponad podłogę chaty. Osaczeni musieli wytrzeźwieć od razu, strzelali wprawdzie w ciemność,

na chybił trafił, ale broń, znaczy, każdy miał przy sobie podczas biesiady.

— Po oknach!!! — krzyknął w opętaniu Nikitin. — Po gadach sobaczych! Taka ich mać!...

Zarechotały cztery automaty bijąc wzdłuż ściany. Razem z brzękiem szyb i trzaskiem rozpryskującego się drzewa, tynku, doszedł krzyk rannego... Nagle! Co to?!... Z tyłu, za nimi, w końcu wsi, strzeliła w niebo padające śniegiem, czerwona rakietka. Zgasła natychmiast, ale i stamtąd rozległy się pojedyncze strzały.

— Na naszych tyłach... — wyszeptał zachrypłym głosem Utielnikow. — Żeby nas nie obeszl, czasem.

Wszystko na nic. Moment zaskoczenia nie udał się, przez to wszystko się nie udało. A ci z tyłu? Zasadzka? Nikitin nakazał odwrót, wprost przez opłotki i pole, do lasu.

— Biej ich! Partyzaanów! — usłyszeli dźwięczny męski głos za sobą. Ale nikt ich nie ścigał. Tylko kule gwizdały beładnie. Za słabe widocznie mieli siły. Na skraju lasu nie brakowało nikogo. O Ignacie zapomnieli nawet. Zawieruszył się gdzieś w ciemności, czy rozgardiaszu bitwy. Natomiast Dederko dostał postrzał w lewe udo. Kulał i kłął.

— W lesie opatrzysz, teraz prędej! — Skomenderował Nikitin.

Rana była niegroźna. Kula przeszła bokiem przez mięsień i wyszła. Obandażowano mu udo dla zatamowania krwi. Iść mógł. Ktoś wyciął mu pałkę, żeby się podpierał. Ale szedł coraz gorzej i na samym końcu. Wszyscy byli przemęczeni, głodni, przepoceni i przemokli od śniegu, który na szczęście padał i zacierał ślady. Po kilku godzinach odezwał się Utielnikow:

— Dederko odstaje...

Nikitin zatrzymał się, przepuścił koło siebie ludzi i zaczął.

— Ty, jak? — zapytał.

— Sunę, jakkolwiek, po maleńku — odpowiedział Dederko.

— Uważaj bracie — upomniał go surowo Nikitin. W ciemności nie było widać wyrazu jego twarzy.

Szli dalej gęstą knieją, trybem leśnym. Zaczęło świtać. Śnieg wciąż padał.

— Dederko odstaje — powiedział jakby w przestrzeń Utielnikow.

Nikitin zarządził odpoczynek. Powoli ze świtu występował las: gałęzie w śniegu; krzaki w białych czapach, nie poznaś nawet; olbrzymie łapy świerków ugięły się pod ciężarem. Iść było ciężko. Ale odpoczęli i poszli. Nikitin z kompasem. Utielnikow, który pilnował z tyłu ludzi, z trudem doczłapał do Nikitina:

— Dederko odstaje zupełnie.

— Prowadź — odpowiedział mu, a sam zawrócił.

Sto kroków w tyle siedział Dederko w śniegu. Na widok zbliżającego się, natychmiast się poderwał, ale zakołysał na nogach.

— Ty, co? Nie możesz iść?

— Trudnowato jakoś... Trudno zupełnie. Może odpoczne chwileczkę, a tam dogonię...

— Ty wiesz jaka jest instrukcja... Regulamin, żywego zostawiać za oddziałem nie pozwala, tak?

Dederko jakby nie rozumiał słów. Było już prawie jasno. Z grymasu jego ust wnioskować by nawet można, że chce odpowiedzieć jakimś żartem. W tej chwili Nikitin wyrwał „Mauser” z kabury.

— Ty, coooo?!... — krzyknął Dederko, z oczami w słup, o wyrazie bezgranicznego przerażenia. Pałka jego upadła w śnieg, a prawa ręka zalatała u boku, jakby chciała sięgnąć po własny pistolet...

I właśnie w to rozwarte „oooo” ust, strzelił Nikitin i cofnął o krok, bo Dederko zachwiał się jakoś ku przodowi i padał na niego na kolana, na czworaki przed nim. Plując krwią, jakby chciał wypluć kulę. Czapka zsunęła mu się z głowy. Nikitin strzelił wtedy drugi raz wprost w ciemność. Trafiony trząsnął głową ku przodowi w dół, wyglądało że chce ubodźić nią Nikitina w kolano, ale zaraz lejąc krew ustami, układał się już bokiem w śniegu, jak w ciężkim śnie.

Nikitin schował „Mauser”, zdjął z zabitego broń, amunicję, przeszukał kieszenie, aby nie zostawić nic kompromitującego i poszedł. Ledwo jednak uczynił kilkanaście kroków, gdy doszło go z tyłu na lewo dalekie wołanie. Odwrócił się. Biegł za nim jakiś człowiek, w rozpiętym kozuchu, wymachując rękami. Znowu wyjął „Mauser”.

— Stać! Ty kto będziesz?!

— Zaraz, zaraz, zaraz... — odpowiedział zdyszany głos. Człowiek śpiesząc, wyraźnie ledwo łapał oddech. Nagle zatrzymał się zdumiony przy trupie.

— No, no!!! Nie ma tam czego wystawać! Podchodź! Ty, kto?

Nieznajomy zbliżył się. Był bez broni. Na oko chłop zwyczajny, w kozuchu, czapce-uszance, w butach. Wyraźnie dopędzał ich.

— Uf, towarzyszu... Ledwo dogoniłem, śladem... Już myślałem...

— A jak śladem, kiedy śnieg zasypuje?

— Oto już właśnie miałem stracić, kiedy szczęśliwie strzały

usłyszałem... W ostatniej chwili... Schowajcie towarzyszu broń. Ja Stasiukowicz, członek partii. Pozostawiony przez Obkom, i zresztą przez CK-partii Białorusi w rejonie, dla roboty podziemnej. Mieszkałem w Mironowiczach. Ech, niepotrzebnie napadaliście...

— Dlaczego, niepotrzebnie?

— Zaraz, niech odsapnę, wszystko opowiem. — Poszli z tyłu za oddziałem. Stasiukowicz opowiedział, że zaraz, tejże nocy, musiał na gwałt uciekać, bo po takim napadzie robią we wsi wielkie śledztwo, a jego już i przedtem uprzedzali że mają go na oku i w podejrzeniu. Ale nie dlatego, mówi, że „niepotrzebnie napadali”, tylko dlatego że sami ledwo nie wpadli. — Ja widzę, u was nie ma kontaktów — zakończył.

— Póki co, nie ma — odpowiedział sucho Nikitin. — Mamy inne zadania.

— To-to ja i widzę. A trzeba było przedtem ze mną nawiązać łączność. A to mogliście głowy położyć.

— A co to, zasadzka była?

— Nie żeby, akurat. Można powiedzieć do połowy...

— Jak to rozumieć?

— Zaraz, powiedźcie, czy was czasem nie pewien Ignat, jak jego... Woronów syn, z Olchówki, nie naprowadził?

— Ignat i był. Z Olchówki. A bo co?

— Aaa, to już dla mnie wszystko jasno, teraz.

— Zdrajca?

— Nie! Rzecz taka: Patrząc wczoraj, ledwo żywa-zadyszana przyleciała ta jego bratowa, żona starszego brata, Naścia jej, zdaje się. Osiem kilometrów piechotą, i zaraz prosto do Bodaja, naczelnika policji naszej. Myślę, czego to ona?... A rzecz taka: ten Ignat, młodszy syn, nieżonaty, wkochał się już dawno, jak bez pamięci chłopak, w jedynaczkę Juchniewiczównę, naszego przedkołchoza córkę. Aż tu czasy poszły inne. Podkreślił się ten, prawda chłopak dorodny, Bodaj. I Juchniewicz swoją córkę za niego wydaje, w dodatku „komendanta”, nazywa się, policji. To Ignat, jakby bieluniu napił się, rozum stracił. Słowem dla niego słońce, księżyc i gwiazdy mniej blasku mają niż to, co Juchniewiczówna między nogami. I nic, tylko o jednym myśli: zabić tego Bodaja. On i do mnie już przychodził tajnie. Rozwiedziały się. Niby to nie wie, a namawia jak zamach zrobić na naczelnika policji. Ja jemu mówię, poczekaj bracie, nie czas. Niemców wygnamy z ziemi sowieckiej, to wtedy i rozprawisz się ze swoim Bodajem. A on mnie: „póki Niemców, czekać, wygnają, to może u niej już pięćcioro dzieci od tamtego będzie!”. A to, mówię, już twoja

rzecz, prywatniacka, a nie nasza patriotyczna. Później, prawda, żałowałem że z nim otwarcie mówiłem, ryzyko. Słowem jemu do głowy zalażło, nic tylko sposobu szukał jak zabić tamtego. Raz, przyznać trzeba, sam strzelił z obrezu w otwarte okno, jeszcze jesienią, ale nie popadł. Na partyzantów poszło. Aż tu w ostatniej chwili, przed nocą ślubną, z wami jakoś zetknął się... — Daleko już odeszli od stygnącego w głębokim śniegu trupa Dederki.

— A przy czym tu jego bratowa?

— A bratowa przy tym, że męża jej zmobilizowali już w maju. I nie powrócił więcej. A młody ten, Ignat, powrócił. To ona z braku... z nim zeszała się. Zaciągnęła do swojej pościeli i zaczęła z nim żyć. Prawie na oczach wszystkich. Starzy chcieli ją nawet wygnać, ale jak wygnasz z dziećmi. Awantury tam. Tym bardziej ona straszną zazdrością zapałała o tę Juchniewiczównę, którą on kocha. Tymczasem on, dureń, ciągle i ciągle odgrażał się, że zabije tego Bodaja. Dziwo nawet bierze, jak to nie doszło, i jego nie aresztowali. A Naścia masierozumieć, po tego policjanta stronie, żeby czym prędzej zenił się z Juchniewiczówną. Wy jej ojca teraz zabili...

— Cóż wy mnie tu, towarzyszu, romans jakiś opowiadacie.

— No więc, nie wiem jak tam w końcu wyszło, że ona dowiedziała się, czy domyśliła się, że Ignat z wami się spiknął. Poleciała do Mironowicz i uprzedziła, że ma być napad. Nie wiem, czy z zazdrości wydała ona swego Ignata, czy inną jaką bajkę wymyśliła. Ale chyba jakąś bajkę, bo wiem że Bodaj nie bardzo jej powierzył, w jej babskie gadania te. I wesela nie odwołał. Na wszelki jednak pożarny-wypadek, surowo przykazał, broń mieć przy sobie pod ręką i być na gotowości. Poza tym dwóch ludzi posłał na patrol z raketnicą. Tylko że oni poszli pilnować od strony lasu, a wy wyszli od strony pola i groblą. Ot i cały, jak mówicie, romans.

— To oni zapewne i strzelali z tyłu.

— Nikt inny.

Za dużo było szczegółów by nie uwierzyć. Stasiukowicz wyjaśnił mu jeszcze, dlaczego w tych okolicznościach nie może pozostać w Mironowiczach. Może miał i inne jeszcze względy, o których przemilczał, czort go wie. Ale Nikitin zadowolony był z tego kontaktu. Jeszcze bardziej, gdy rozpytawszy Stasiukowicza, zorientował się że ten dużo wie, utrzymuje tajną łączność z szeregiem podziemnych ogniw partii. Miał też swojego czasu łączność z oddziałem Szczerbina, którego Nikitin szukał. A sytuacja była zła. Ludzie wymęczeni do ostatnich granic. Bez gorącej strawy tyle

dni, na mrozie, dachu nie widzieli nad głową. Oberwani, Ostatni, nieudany („bałwański ten wypad”, kłął w duchu Nikitin), pogłębił tylko nastrój przygnębienia. Przystąpić próg izby, zdawało się szczytem marzenia. Zatrzymać się by gdzie, pobudować mocne szałas, odpocząć, a przede wszystkim dostać prowiantu. Wypaść porządnie.

I Stasiukowicz mu poradził:

— Nie tak daleko stąd, były kołchoz „imienia Czapaiewa”, wieś Tarankowicze. I tam też, poprzedni predkołchoza został teraz „burmistrzem”, Kuszelenko nazwisko. Ale gracz, oho!...

— Co znaczy?

— Jakby to wam powiedzieć, towarzyszu. Ja, naturalnie, w jego duszy nie byłem, nie wiem co tam dzieje się. Ma czterech braci, wszyscy w czerwonej armii. On niby to sam, na pokaz, z Niemcami trzyma. Nie tylko trzyma, ale w wielkim u nich poważaniu. On i masełka, on i słoniny, i jajeczek tam niemiec kiemu komendantowi wozi. Ich rozkazy wykonuje, obowiązkowe dostawy z rejonu dostarcza, ale swą wieś oszczędza. On i wykopaną broń i nawet karabiny maszynowe, pozostałe z okrażenia, Niemcom odwiózł i nagrodę od nich otrzymał. Ale broń wszystko nie godna do użytku... Z drugiej strony wyraźnie z nami trzyma. Nigdzie tyłu nie ukrywa się okrużeńców, jak u niego w Tarankowiczach. Mało tego, on ukrywającego się okrużeńca, intendanta pierwszej-rangi, Kołożyna, naczelnikiem policji zrobił. On zlikwidował nawet tajniaków, którzy przeszli do policji bez jego wiedzy i aprobaty. Ot, na jakie ryzyko się puścił. I nikt nie śmie pisnąć, bo Kuszelenko ma u Niemców takie zaufanie, że każdego donosi ciela w mig zmiążdży. Łączność z nami utrzymuje, nie jednemu już pomógł i ukrył. Co fakt, to fakt. Kontakt ma z oddziałem Szczerbina i ten jemu w zupełności ufa. To wiem. Prawda... ludzie gadają, że on na dwie strony taką grę prowadzi, a po której stronie sam stoi, to jeszcze nie wiadomo... No, ale to luudzie, ludzie zawsze będą gadać. A wreszcie... Zobaczycie sami. Że on wam na początek krzywdy nie zrobi, to fakt pewny. Obrotny człowiek, co się zowie. I pomoc może, to fakt. Dużo pomóc. Jak chcecie to ja wam z nim spotkanie urządzę.

— Wasze zdanie, słowo uczciwego komunisty?

— Moje słowo: jeżeli on i prowokator, to jeszcze na dzień... pojutrzejszy.

Nikitin rozejrzał się wkoło, podniósł wzrok ku niebu. Śnieg, mokry śnieg, walił teraz dużymi zlepionymi kłakami i od razu zalepiał nie chronione oczy. Dawno już pewno i ślady ich, i trup Dederki pokrył nieprzeniknioną warstwą. Widok lasu zanikał. W kościach czuło się wyczerpanie bez granic.

- Daleka droga?
- Do nocy dojdziemy.
- Prowadź.

XXIV

Uciekali z Mińska, naturalnie, bez dzwonka. W głębokich rozwalinach, w jednego ale dobrego konika. Wujek Jurczyk podkurczył nogi na przedzie, Henryk i Jurczyk głęboko w sianie na tylnym siedzeniu. Wyjechali jeszcze do świtu, przed końcem godziny policyjnej.

— Mam przepustkę — upierał się Jurczyk.

— Jak chcesz ryzykować — odpowiedział obojętnie wujek Sawicz.

Henryk milczał. Niespodziewanie nastąpiła mgła. A powyżej gwiazdy.

— Też, pogoda, jakiej nie bywa — odezwał się na początku wujek, i sunęli płasko, bez słowa. Więcej wujek się nie odzywał. Zresztą nie bardzo było o czym. Niebezpieczeństwo groziło od napotkania Niemców, od napotkania policji białoruskiej, od partyzantów sowieckich, od zwyczajnych bandytów; czasem od zwyczajnych mieszkańców; od wilków. Ale rękę przyłożywszy w to miejsce, gdzie pod baranim kozuchem bije serce, trzeba przyznać szczerze, że od wilków najmniej. Może dlatego, że ludzi jest więcej niż wilków. Wreszcie niebezpieczeństwo groziło od strony zabłąkania. O czym więc tu można gadać. Jechali milcząc, wsłuchani w miarowy tupot konia po śnieżnej drodze. Raz tylko, gdy już zupełnie przeświałało, odezwał się znowu wujek:

— W Małych-Łukach dziesięć Finów stoi, z nartami. — Skręcił w las.

Drugi raz, gdy wyjechali z wysokopiennego lasu. Z nieba padała jasność dnia, ale nie był to promienny uśmiech, lecz wbrew oczekiwaniu, zimne odbicie od białej tafli chmur. Wtedy wujek powiedział:

— I co z tą pogodą wyrabia się, Bóg jeden wie. — Bo po rannej mgle i gwiazdach nad nią, spodziewał się słońca. Tymczasem wyszło inaczej i zbierało się na odwilż.

Nie wszystkie jednak wsie omijali. Raz nocowali w Rudni. Drugi raz w Nowym Wobryniu. Dzień cały popasali w Dowginowie. Znowuż na obiad zajechali do Wilkowiczów. Tu wujek miał cioteczna siostrę za przyrodnim bratem byłego kierownika

MTS, kołchozu „Czerwony Oracz”. A teraz policjanta. Trzeba się było dowiedzieć i zorientować jaka sytuacja na dalszej drodze.

— Zdaje się, niczego takiego nie słychać było... A w lasach, któż może wiedzieć co w lasach. A zresztą zaczekajcie, pod wieczór Konstanty wróci.

Ale Konstanty wieczorem nie wrócił. I nazajutrz znowu wyjechali o świcie. Tyle, że pojechali nie na Lachowicze, a na Pusznierówkę. Zimą jest najgorzej, bo zimą tylko po przetartej drodze można jechać.

W taki to sposób, nie śpiesząc, dojechali do wsi Tarankowicze. Wujek zatrzymał przed domem swego kuma i dobrodzieja, który go z więzienia za samogon uratował, Kuszelenki. Milcząc zszedł z sań i podał lejce Jurczykowi:

— Na, potrzyмай. Zobaczę.

Za chwilę wrócił z chaty z piękną kobietą w zarzuconej na ramiona chustce, która otwarła wrota, prześliznąwszy się czarnymi oczami po siedzących w saniach. Miała lat ze trzydzieści; włosy ciemne, brwi zarysowane wysoko w górę. Rysy regularne jak na pudełku pralinek. Widok był nietutejszy. Henryk nie wytrzymał:

— Ależ i krasawica-razkrasawica!

— Już tam, zaraz! — odpowiedziała, widocznie przywykła do komplementów. — Zachodzić do chaty. — I poszła przodem, chodem twardym, prawie nie kołysząc się w biodrach.

— Żona tego, Kuszelenki — mruknął Jurczyk, w odpowiedzi na pytające spojrzenie Henryka.

— Co ona, Gruzinka jakaś?

— Skąd! Tak może, mieszanka z tutejszymi Tatarami.

Gospodarza nie było. W izbie, na ławie w rogu za stołem, spał na podłożonym pod głowę półkożuszku człowiek. Na wejście obcych zbudził się, widać instynktownie, i jeszcze w półśnie, automatycznie jakoś sięgnął ku prawej kieszeni.



Nikitin na pierwsze spotkanie wybrał się sam, gdy zapadła ciemność, pozostawiając oddział w pogotowiu na skraju lasu. Michał Kuszelenko, uprzedzony już przez Stasiukiewicza, przywiatał gościa z gładkim, może trochę przesadnym ugrzecznieniem. Kazał podać wieszak, a później rozmawiali w cztery oczy, półgłosem:

— Z Moskwy, znaczy? — zagał gospodarz.

— Z samej.

— No, teraz widzicie, jak tu u nas wygląda — powiódł ręką.

- Niedobrze.
- A pod jakim względem zwłaszcza? — spytał podchwytliwie Kuszelenko.
- Pod względem wytrzymałości narodu. Gnie się tu u was, jak ta trzcina na wietrze.
- To co teraz, to jeszcze ujdzie. Żebyście zobaczyli na jesieni co działo się, dopóki Niemca pod Moskwą nie zatrzymano! Kiedy ludzie wierzyli jeszcze, że Niemiec rozpędzi kołchozy, ludziom ziemię odda, i władza sowiecka więcej nie wróci.
- Wróci ona, wróci — z mimowolną groźbą w głosie powiedział Nikitin.
- No, tego to my jeszcze z wami na pewno nie wiemy... — I żeby złagodzić, tę uwagę, zapytał zaraz: — Wy, sami, kto będziecie?
- Mówił chyba Stasiukowicz. Starszy lejtenant, Mikołaj Nikitin. Dowódca oddziału desantowego.
- Stasiukowicz — przeciągnął cicho Kuszelenko. — Wy Stasiukowiczowi dużo mówiliście?
- Mało. A bo co?
- Trudno coś powiedzieć... Ale, jak to mówi się: „Nia zwiedauszy brodu, nia suńsia u wodu”. Zawsze lepiej być ostrożnym.
- Mhm. No, a wy sami, słyszałem, energiczną akcją rozwijacie. Tak? Nawet szeroko dość... zakrojona, mówią?
- Kto mówił? Też Stasiukowicz?
- Po wsiach mówią, gdzie zachodziliśmy.
- Pewnie. „Nia budź ni wojtam, ni swatam, dyk nia budzisz prakliatym”.
- Coś niejasno wyrażacie się, towarzyszu. Ciągłe przysłowiami białoruskimi. A ja, przyznam, w subtelności tego języka nie bardzo jestem wdrożony.
- No to ja wam jeszcze jedno przysłowie powiem, zupełnie nie subtelne: „Nia uwieś toj świet, szto u waknie”. Za oknem dziś nie wiadomo co wyrabia się. Nie siedzieć nam, przecie, z założonymi rękami. Trzeba ruszać się i ludziom i sprawie pomagać. Nie? Czy nie tak i partia uczy?
- Tak jest. Właśnie mnie pomocy od was potrzeba.
- A zapiszę mnie podpiszecie, że pomoc okazałem?
- Zobaczymy jaka będzie pomoc.
- A jakiej wam w pierwszym rządzie potrzeba?
- Kapitan Szczerbin gdzie stoi z oddziałem? Muszę jego zobaczyć. Kontakt macie?
- Fiu! Daleko. On bazuje się teraz już po polskiej stronie. Gdzieś między Połockiem i Królewszczyzną. Ale miał przejść pod Wilejkę. Za to bliżej macie oddziały inne: „Mściciel”, „Walka”,

„Oddział wujaszka Wani”. Nie duże. W stanie raczej organizacji. Z tymi mogę skontaktować.

— Dawajcie. Dalej potrzebne mnie są opaski policyjne. Poza tym żarcie dla ludzi. Różne drobne rzeczy. Chcę wycząć i doprowadzić do porządku.

— W bliskości?

— A ot, żeby do was podać ręką było można — odpowiedział Nikitin, ale wypadło mu to jakoś dwuznacznie. — I wreszcie chcę porozmawiać z intendantem-pierwszego-stopnia, Kołożynem. On u was naczelnikiem policajów?

— Kołożyn, tak.

— Co to za człowiek?

Kuszelenko zakręcił się jakoś na siedzeniu i zawołał:

— Pauliuta! — Zza przepierzenia zawieszono samodziółową, wiejską kotarą wyjrzała twarz pięknej żony. — Narzuc, Pauliuta, kiedy łaska kozuszek; wyjrzyj spojrzeć jak tam, na drzwi... Choć ja tu rządę — zwrócił się do Nikitina — ale zawsze, na wszelki wypadek. Kołożyn, tak. Oficer sowiecki, z okrażenia, autentyczny. Ja go tutaj przymościłem do naszej wsi. Owszem. — Wstał, podszedł do półki, wziął pęczek samosiejnej machorki, deszczułkę, nóż i wróciwszy do stołu zaczął cienko krajać. — Taki wypadek był. Do wsi Domoradzkie zwabili jakoś, kto mianowicie nie ustalono, siedmiu partyzantów, zdaje się z oddziału Czerkasowa. W zasadzkę. I tam ich wymordowali.

— Kto mordował?

— Kto! Ludzie.

— Kiedy?

— No, już kawał tygodni będzie temu.

— To co to ma z Kołożynem?

— Nic, żeby miało. Ale dzisiaj takie czasy. Spojrzysz na konia, to wiesz: koń; spojrzysz na wilka, to wiesz: wilk; spojrzysz na sosnę, to wiesz: sosna. A spojrzysz na człowieka, to kto jego wie, kto on jest. Ja Kołożyna powiadomię, że chcecie z nim porozmawiać.

Rozmowa Nikitina z Kołożynem nie trwała długo. Szybko ustalili okoliczności, w jakich temu udało się wydostać z okrażenia daleko stąd, w rejonie Kojdanowa. Kuszelenko pomógł znaleźć mu dach nad głową i teraz prowadzi się tę „niebezpieczną grę”, jak się wyraził. Nikitin zaproponował mu, by jednak dał spokój tej „grze”, i poszedł do niego do oddziału. I może zabrał ze sobą tych ludzi, których jest zupełnie pewny.

Po twarzy Kołożyna przebiegł cień.

— Zupełnie pewnym dzisiaj, nie można być nikogo.

— Chodźcie sami. Mnie brak wyszkolonych oficerów. Resz-

ta desantu czort wie gdzie została zapędzona. Nie doszło czasem waszych uszu?

— Słyszałem. Jakichś kilku desantowców wyłapali. Ludzie Niemcom donieśli. Kilku podobno do „Wujaszka Wani” przystało. Nie widziałem ich. Ale, czy to wasi?... Co do mnie... — Wyciągnął nogę w prawie eleganckim bucie o obcisłych cholewach i pomacał swoje kolano. — Noga nie w porządku. Kurować jeszcze trzeba. W takie śniegi daleko nie ujdzie. A po drugie... — Widać było, że poszukiwał w myślach argumentów. Palcami prawej dłoni pocisnął jeszcze dwa razy kolano, a później w zamyśleniu przesunął nimi wzdłuż pasa, prawego boku i bardzo nieznacznie, odpiął jakby przypadkowo futerał pistoletu. Ale Nikitin dostrzegł ten dyskretny ruch kącikiem oka. Nie przerywał mu. — Widzicie, towarzyszu Nikitin, w ostatnich czasach tu pojawiło się po wsiach masa jakichś ni to „biednych”, „żebraków”, ni to zwolnionych uprzednio przez Niemców z niewoli, co to uciekają od ponownej ich rejestracji... Ni to jakichś starych „okrużeńców”, diabeł ich wie, kto ich rozsyła. Antysowieckie nastroje rozprawdzają.

— Niemiecka robota?

— Może i Niemcy. Może i ktoś jeszcze. Słowem tu oko trzeba mieć wyostrzone.

— To po co was tu dwóch. Kuszelenko jeden wystarczy.

— Hm. Otóż to. W otwarte karty, towarzyszu Nikitin: dopóki ja w Tarankowiczach, to wiem że ten Michał Kuszelenko nie poda się na tamtą stronę. A jak mnie zabraknie... A on dużo wie.

Ale Nikitin już wiedział że Kuszelenkę z Kołożynem łączy osobista przyjaźń, przynajmniej zewnętrznie. Z drugiej strony, już Stasiukowicz uprzednio, a później zapoznany przez niego tarankowicki gajowy, Hołubko, półgębkiem wtrącili: „Czy on, czasem, ten Kołożyn, nie dobiera się do jego żony”... Zresztą przyczyn mogło być, i mogło nie być, różnych. Dlatego uważał za niewskazane komplikować nawiązanej na razie styczności i nie dał po sobie poznać że nie podoba mu się odmowa Kołożyna. Ku widocznej uldze tamtego, Nikitin wstał i zakończył rozmowę:

— No, nic śpiesznego towarzyszu. Jeszcze pogadamy przy okazji o tym i owym.

W dobrze zakonspirowanym kawałku lasu pobudował mocne szałas, ubezpieczył się wartami, wysłał kilka patroli zwiadowczych w okolice. Zachował w ogóle najdalej idące środki ostrożności i zarządził nieustanną obserwację wsi. Kuszelenko dostarczył produktów „pod rozpiskę”; wysłał łącznikowego do Pasy-

nek, gdzie spodziewał się odszukać oddział „Mściciela”. Dostarczył też kilku opasek policyjnych.

Tego dnia Nikitin przyszedł do Tarankowicz w kolejnej sprawie do Kuszelenki. Gospodarza nie zastał w domu. Postanowił zaczekać. Czuł się jakoś źle. Widocznie przeziębiony. Łamało w kościach i miał dreszcze. Może nawet gorączkę. Pauliuta powiedziała, że mąż zaraz wróci. W oczekiwaniu, Nikitin położył się na ławie, a półkożuszek wsadził pod głowę. Niespodziewanie zasnął.

— Jak mogłam wpuścić? Zwyczajnie, otworzyłam wrota — odpowiedziała hardo Pauliuta.

Kuszelenko ostygł z pierwszego napadu wyrzutów, jakimi przez zaciśnięte zęby obrzucił żonę w sieniach za to, że wpuściła do chaty gości, gdy był w niej Nikitin. Znać jednak, bał się trochę żony, czy też jej ulegał. Przyglądając włosy wszedł z wymuszonym uśmiechem.

Na ławie pod oknem siedzieli Jurczyk z wujkiem. Przy stole, naprzeciw siebie, Henryk i Nikitin.

— Aa! Ot, kogo widzę! Sawicz, kum, odwiedził! — Rozłożył ręce Kuszelenko, udając radość. — I gości przywiózł... — Obrzucił szybkim wzrokiem Henryka.

— To mój siostrzan — powiedział Sawicz. — Znasz chyba. A to, koleżka jego.

Atmosfera była napięta. Rozładował ją dopiero wujek Sawicz, gdy przyniósł z sań litrową butelkę samogonu. Pauliuta postawiła zakąskę. Okna zawieszane zostały szczelnie. Lampa naftowa rozświetlała wnętrze. W jej świetle Henryk starał się przypomnieć, skąd zna te rysy twarzy nieznajomego. Że widział ją już kiedyś, tego był pewien. Nikitin?... Nic mu nie mówiło. — Nikitin odzywał się powściągliwie i grzecznie. Henryk umyślnie trącił się z nim drugą szklaneczką samogonu i po jakimś nieuchwytnym ruchu tamtego, raptem przypomniał sobie: „Ach, to Raczenko z wileńskiego NKGB!... Później gdzieś politrukiem na prowincji był, bodaj w Rudominie?... Ale, czy on mnie poznaje, czy nie? Brał raz udział w badaniu. Czyżby nie poznawał?!...” — Nikitin opowiadał, że widział ślady rysia w lesie, gdyż mówiono o tym, czy wojna niszczy zwierzynę, czy też odwrotnie, uniemożliwiająca polowanie ludności, sprzyja jej rozmnożeniu.

Po piątej szklaneczce Henryk wstał i powiedział, że pójdzie spojrzeć na gwiazdy.

— Drzwi mojej chaty zawsze na jedną i tę samą gwiazdę wychodzą... — zachichotał Kuszelenko.

— Ja przeprowadzę — odezwała się niespodziewanie Pauliuta.

— Nie trzeba. Sam znajdę — odparł brutalnie Henryk.

Gospodarz był niespokojny. Nie wiedział kto to jest i po czyjej stronie. Może być tajniak niemiecki, może być sowiecki. Może być tak tylko, spekulant, może być partyzant. Może być z białoruskiej narodowej, jak oni nazywali „samoobrony”, czy ich policji. Może być antypartyzant od Zacharowa ze Znachorek; oni tam mają takich ociężałych, małomównych starowierów.

Gdy Henryk wrócił, tamci wypili już po szóstej kolejce. Piła również Pauliuta, ale mniej. Gospodarz postawił nowy litr. Pijanili jakoś szybko. Henryk otrząsał śnieg i przerzucił nogę przez ławę siadając na swoim miejscu.

— Nie ma gwiazd. Śnieg pada.

— Daj jemu Boże zdrowie — powiedział z lekkim sarkazmem Nikitin.

— A ty w Niego wierzysz? — raptownie zwrócił się doń Henryk.

— Wierzy, choć nie przyznaje się — zażartowała Pauliuta.

Raczenko-Nikitin wytrzymał wzrok Henryka i odpowiedział z lodowatym spokojem:

— Gdyby Bóg był, takim jak go malujecie, że bez jego woli włos człowiekowi nie spadnie z głowy, to by znaczyło że jest musowo sadystą. My w tej wojnie, możemy temu za świadków być.

Henryk wypił haustem, obtarł usta wierzchem dłoni i zastanowił się czym by przekąsić. Później w zamyśleniu:

— A gdyby Bóg, powiedzmy, sam był właśnie śmiercią. I od śmierci dopiero zaczynało się życie?

— Ech, ty! — Wyszczrzył najniespodziewaniej zęby Nikitin. — Stary kontra! Sam wiesz, że to nieprawda!

— Co ja wiem jeszcze poza tym, to zachowam dla siebie.

— I tylko?!

— Jak mnie drugi raz zaproszą do NKGB, bolszewicka ty chrząstka, to zaświadczę, że piłeś wódkę pod ikoną świętą.

— Nowa — jakby nigdy nic, wskazał na nią ręką gospodarz. — Nie było przedtem. Jak nasza Niezwyciężona Czerwona dała się zwyciężyć, przyszło się kupić i powiesić ikonę dla wszelkiego porządku. He, he, he...

— No to wypijmy za to... — Jurczyk się namyślał i wypalił: — Żeby przyszło się ją znowu zdjąć!

— Dlaczego nie! Wypić można z każdej okazji — uniósł szklaneczkę gospodarz. (Och, jakże nie w smak mu była ta pi-

jana biesiada, w której sam wypadła z tonu). — Byle w porządnej kompanii.

Zaszczekał pies, ale umilkł, jakby znajomego poznał. Dały się słyszeć skrzypiące kroki na ganku. Ktoś wycierał nogi ze śniegu. Pauliuta wstała odsunąć skobel w sieniach. Później słyhać było jej śmiech. Otwarty się drzwi i w progu ukazał się policjant z opaską na ramieniu, w pasie przy którym wisiał z prawej strony futerał pistoletu, a z lewej bagnet, dlaczegoś o niezwykle szerokim brzeszczocie. — Henryk uczynił nieokreślony gwałtowny gest; w oczach Jurczyka załopotał przestraszony. Ale gospodarz pochylił się ku przodowi i szepnął:

— Swój człowiek.

— Cóż to?! — zakrzyknął nowy gość. — Wieczorynka w pełni, a mnie to już nie proszą?!

— Proszą, proszą — popchnęła go z lekka Pauliuta.

— Nasz naczelnik policji, towarzysz Kołożyn — przedstawił Kuszelenko.

Ten obrzucił, siadając, niepewnym wzrokiem nieznanym gości i zatrzymał go o cień dłużej na Henryku.

— Moje nazwisko Raczenko — powiedział głośno Henryk, podrzucając podbródkiem. — Znalicie może takiego?

— Nie, nie miałem zaszczytu — odpowiedział Kołożyn.

Nikitin patrzył na Henryka ironicznie mrużąc oczy, z zimną jakąś nienawiścią, mimo że był pijany i miał gorączkę.

— No to wypijmy pod nieznaną! — Henryk uniósł szklaneczkę.

— Wypijmy — zgodził się Kołożyn bez zastanowienia. Nie mógł domyślać się aluzji. Widział zresztą, że towarzystwo pod gazem. — A gospodyni nie pije? — zwrócił się do Pauliuty.

— Teraz dopiero zacznę.

— Ech, „nia wier kaniu u darozie, a żoncy doma” — odezwał się gospodarz.

— O! Już swoje rozpoczyna... — Pauliuta jednym haustem wychyliła szklaneczkę. Odstawiła. Nagle, błyskawicznym ruchem wyrwała bagnet z pochwy u siedzącego obok niej Kołożyna, mignęła nad stołem i trzymając przed twarzą brzeszczot jak lusterko, poczęła przeglądać w odbiciu stali swoje wargi; czasami macając je palcami lewej ręki, lub wysadzając koniuszek języka. Było coś podniecająco wyzywającego w całym tym zachowaniu. Wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę. Wtedy odezwał się dotychczas milczący Sawicz:

— Wypijem pod to lusterko.

— Ho, i ty stary, widzę... — zaczął gospodarz i nie dokończył.

— Na starość i kot durnieje — odpowiedział.

Pili dalej.

Jakoś rozmowa zesłała na Niemców i Kuszelenko bardzo ostrożnie zrobił porównanie z władzą sowiecką, przy tym wypadło jakby na korzyść tej ostatniej. Sawicz, który pod wpływem alkoholu stał się nagle rozmowny, przytaknął mu:

— Sprawiedliwie mówisz Michajło. Słyszałem ja takie opowiadanie: do wsi, może być do naszego Pohostu, może do Słobódki, czy tam innej jakiej, przyjeżdża Niemiec i dawaj wywlekać z chlewu parsiuka. No, wiadomo, gospodarz zastąpił się, nie daje. To Niemiec w twarz jego kułakiem. A on spojrział tylko na Niemca, jakby myśl jemu jakaś przyszła i mówi: „Bij drugi raz!”. To Niemiec drugi raz jego w twarz uderzył. A on „Bij w trzeci raz!”. Niemiec jego trzeci raz. A on mówi: „Mało tego, bij w czwarty raz”. To wtedy Niemiec zastanowił się i pyta: „A dlaczego chcesz, żebym ja ciebie bił koniecznie?” A on odpowiada: „Bo zasłużyłem na to, żeby mnie bić”. „Czymże takim zasłużyłeś na taką karę?”, pyta Niemiec. „A tym, odpowiada, że was czekałem jak zbawienia losu”...

Wszyscy wybuchnęli pijanym śmiechem. Tylko Nikitin spochmurniał i ścisnął nerwowo w rękę szklaneczkę.

— Kontrewolucyjny to bełkot! Takie dowcipy... — I z widocznym wysiłkiem opanowując się, cedził: — Jakie może być porównanie. Nasza, Komunistyczna formacja uniwersalna, i nie porównywać jej z żadną inną!

— Otóż to, otóż to. W tym i rzecz — odpowiedział z naciśnięciem Henryk.

— Ty w jakim to sensie mówisz?

— W tym samym, uniwersalnym. W tym i rzecz, że „uniwersal-na”... Tak i trzeba ją rozumieć... I zaraza uniwersalna.

Kołożyn jakoś dziwnie przechylił głowę i z zainteresowaniem się przysłuchiwał. Kuszelenko uczynił pobłażliwy ruch dłonią i chciał coś zacząć mówić... Gdy raptem:

Racence uderzyła krew do twarzy. Nie wiadomo, czy pod wpływem gorączki, czy wódki, zdało mu się w tej chwili, w tej właśnie chwili... że to pułapka, że niewyraźne rozmowy jakie prowadzili z nim dni poprzednich i Kuszelenko, i Kołożyn, znajdując konsekwentne zakończenie w niespodziewanym przyjeździe Henryka i towarzyszy... Że po to się zesłali, że teraz mają go schwycić... — Nagle chwycił do prawej kieszeni i błysnął w dłoni matowym połyskiem lufy „Mausera”!...

Ale w tym samym momencie Jurczyk, który siedział po jego prawej stronie, dwoma rękami złapał go za dłoni i przycisnął ramię w dół do ławy. Raczenko lewą pięścią zamachnął się by

uderzyć go w zęby, jednakże w tej sekundzie Henryk palnął go poprzez stół pustą butelką po ciemieniu!... Raczenko-Nikitin zbladł, opuścił głowę i jakby zemdłał.

Biesiadnicy porwali się z miejsc, z wyjątkiem Kołożyna. Siedział on nieruchomo, ręce złożył przed sobą na stole i z niedostrzegalnym sarkazmem w kącikach zastygłych warg, obserwował przebieg zajścia.

Była noc, niezbyt jeszcze głęboka. Śnieg padał nieustannie.

XXV

— Ech, gdyby nie to.

— Gdyby nie co?

Wujek Sawicz począpał walonkami w miękkim śniegu do odryny, nie odpowiadając. Czasem człowiek powie coś takiego do własnych myśli które się kołaczą po siwej głowie, a później nie potrafi tego objaśnić. Niesmak jakiś.

Wstali bardzo późno. Nikitina dawno już nie było. Wczoraj rozbroili, położyli na ławie i nakryli nawet kozuchem. Teraz Kuszelenko mówił:

— Ot widzisz, jak to bywa. Jednemu samogon szkodzi, chociażby mojej Pauliucie; leży, nie wstaje, z bólem głowy. A drugiego leczy. Nikitin wczoraj chory był zupełnie. A jak napił się do stanu zielonej gadziny, wstał jeszcze do świtu; jak ręką odjęło. Zdrow zupełnie, tylko błąd. Podziękował i nawet przeprosił za wczorajsze. Grzeczny człowiek. I poszedł! Po ciemku. Dobrze, że śnieg przestał padać.

— Komu dobrze, komu źle — zauważył Jurczyk.

— I to prawda. Wy teraz jaką drogą?

— Chyba wypadnie dać się na Zaborze — odpowiedział wujek.

Henryk podeszedł do odryny, gdy Sawicz nakładał do sań gospodarskiej koniczyny i zwrócił mu półgłosem uwagę:

— Niepotrzebnie było mówić, którą drogą pojedziemy...

Sawicz westchnął i upychając siano macał coś w saniach.

— Co słusznie, to słusznie. Niepotrzebnie. I ja widzę, że niepotrzebnie. Jak on tak lubi przysłowia, trzeba było odpowiedzieć: „jedu u Rygu, pa sol, pa skrygu” i koniec. Ale na starość i kot durnieje — powtórzył wczorajsze powiedzonko.

Odjazd przewlekał się jednak bez powodu. Po prostu dreptał

w miejscu. Po wczorajszej biesiadzie człowiek czuł się jak zardzewiały. Godzina już była późna. I w rezultacie na zaproszenie gospodarza, pozostali jeszcze przez noc i wyjechali dopiero naza jutrz rano.

Pauliuta wstała z łóżka i ukazała się dopiero, gdy już otwierali bramę. W chusteczce białej i powyżej zarzuconej na głowę i ramiona grubej chustce wełnianej. Na ganku otuliła się nią szczerzej, z dreszczem. Spojrzała jak mąż podparł palikiem wrota, bo wiatr dął z tamtej strony i odezwała się leniwie, przynosząc wzrok gdzieś ponad ich głowami:

— To wam nie bliżej będzie dać się wprost na Stare Chutory. Droga teraz trzyma wszędzie, błota pod lodem.

— Nie, córeczko — odezwał się wujek. — Błoto trzyma, to ono trzyma. Ale zawiana być może, droga tamta. I w Starych Chutorach też, nie wiadomo jak tam... Zostawaj z Bogiem. — Cmknął na konia.

Jeszcze raz wzdrygnęła się z zimna otulając chustką. Nie popatrzyła więcej na nich i poszła swym giętkim krokiem w kierunku stodoły.

Zrazu droga wiodła przez wysokopienny las sosnowy. Później poszła wyrębami, krzakami, zupełnie nie rozjeżdżona. Dalej przez błota kępkowate, gdzie na szczytach kępek wyrastały chude brzoźki, sosenki. Jechali w kierunku zachodnim trochę z odchyleniem ku północy. Słaby wiatr dął im w twarz. Dyszeńc było przyjemnie, rześko. Poza tym panowała cisza. Była odwilż.

— Czemu to ona — przypomniał sobie Jurczyk — suliła nam drogę na Stare Chutory?

— Bóg ją raczy wiedzieć, czemu — mruknął wujek. — Prosto, wstała z łóżka...

Znów wjechali w las, ciemny, duży, świerkowy. Wysoko nad głowami, szeptem rozmawiały na lekkim podmuchu stożkowate wierzchołki. Konik biegł rażno poskrzypując duhą w użwach, choć droga nie była wyjeżdżona po śnieżnych opadach. Gdy wyjechali z lasu świerkowego, poszła ona trochę w górę po płaskim wzniesieniu pokrytym krzakami olszyny i leszczyny naprzemian, w gęstej cizbie zimowych prętów młododrzewia, leśnego bzu, jarzębiny, głogu, wilczej jagody, kaliny... Nie rozpoznać tego drobiazgu. Tu słyhać było gęsty świergot ptaków, dalekie nawoływania, rzekłbyś jak sygnały podawane jedne drugim. Przed nimi, na szczycie pochyłości, rósł przy drodze dąb o skręconych, zardzewiałych liściach i szemrał do siebie. Na tle chmurnego nieba.

Pojechali stępa. Raptem z prawa usłyszeli jęk. Wujek ściągnął lejce, wstrzymał konia. Wyraźnie gdzieś, między krzakami jęczał człowiek.

— A o! — wskazał Jurczyk.

Teraz dostrzegli wszyscy. Leżał, czarny na śniegu, podłużny kształt ludzki, dobrze widziany wśród gołych prętów leszczyny, w odległości kilkunastu, może więcej kroków od drogi. Jurczyk bez słowa zeskoczył z rozwalin pierwszy. Za nim wygramolił się wujek, rzucając sznurowe lejce na przodek sani.

— Stoj, ty — powiedział do konia.

Koń jednak ruszył nieposłusznie.

— Tprrr! — zakrzyknął nań ospale Henryk. Konik zrobił kilka kroków i stanął. Henrykowi, rozłożonemu wygodnie w samym tyle rozwalin, nie chciało się złazić. Odwrócił tylko głowę do tyłu w prawo i patrzył jak tamci, brnąc głęboko, podchodzili do leżącego.

To była zasadzka.

Pierwszy runął Sawicz, przeszyty serią z automatu. Za nim zwałił się na bok Jurczyk. Poderwał się, lewą ręką chwytając i łamiąc gałązkę... Ale w tejże chwili celnym strzałem z niemieckiego „Waltera” w głowę, dobił go Utielnikow, strzelając z leżącej pozycji na śniegu. On to bowiem udawał jęczącego człowieka.

Koń przestraszony strzałami, szarpnął gwałtownie ku przodowi. Ale prawa lejca ześliznęła się z sań, nadeptał na nią kopytem i stanął z podniesionym łbem. Nim Henryk zdążył uczynić ruch, seria z automatu po saniach trafiła go jedną kulą w ramię, drugą w prawe udo, trzecia kontuzjowała go prześlizgując po skroni. Henryk zwałił się na wznak w saniach, a jednocześnie oszalały z przerażenia koń, któremu kula boleśnie oparzyła podbrzusze, stanął dęba, zerwał lejce i targnąwszy z całej siły zaprzęgiem, poleciał przed siebie po drodze.

— Trzyyymaaaj!!

„Trrr-ach-trrr-ach!” Następną serią wzięta za nisko, przejechała się pod płozami, przyskając śniegiem, ale nie sięgając kopyt. Koń z saniami przeleciał koło dębu i znikł za występem wzgórza.

— Trzyyymaaaj! — Dwóch partyzantów pobiegło z automatami w górę. Gdy dopadli dębu, zobaczyli że po pochyłości drugiej strony droga znika skrętami w rojstach, za którymi znikły sanie. Dali dwie długie serie w tym kierunku, pobiegli dalej, ale dalej droga wiła się w nowych skrętach, zasłaniając widoczność...

W tym czasie z gęstych zarośli po tej stronie wzgórza wyszedł Raczenko-Nikitin, nerwowo skręcając papierosa. Przystanął w śniegu, który mu sięgał do kolan, jakiś czas pstrykał zapalniczką

gasnącą na wietrze, zapalił wreszcie, wciągnął głęboko dym i podszedł do trupów. Utielnikow otrzępywał się ze śniegu. Jego projekt i całe zaplanowanie zasadzki, wydawało się w zasadzie słuszne. Miejsce wybrane na wznoszącej się pochyłości, gdzie sanie musiały przejść na stępa, dobre. Twierdził jednak uprzednio, że na pewno wszyscy trzej wyleżą z sań, aby obejrzeć leżącego i nawet wskazał pniak przy drodze, do którego musowo uwiążą lejce. Wtedy i robota będzie zrobiona i nadto cały zaprzęg, nieuszkodzony, dostanie się w ich ręce. Sygnalizacja za pomocą piszczałki, udającej głos jarząbka, działała bezbłędnie. Wiedzieli na wiorstę, kto mianowicie jedzie. Stało się inaczej. — Krew obficie wylana z podziurawionego wujka Sawicza utworzyła w jednym miejscu złodowaciętego śniegu małą kałużę. Nikitin popatrzył w dół na leżących, kazał trupy dobrze przeszukać i nie dopalając, zmiął nerwowo w palcach i cisnął bez powodu papierosa w tę czerwoną kałużę. Niedopałek zasyczał we krwi i pozostał na powierzchni.

O świcie dnia poprzedniego, gdy wrócił z biesiady od Kuszenki, zarządził Nikitin alarmowe ubezpieczenie i nakazał śpieszne zwinięcie obozowiska, możliwe zatarcie śladów, rozparcelowanie ciężarów zgromadzonych zapasów pomiędzy partyzantów. W godzinę oddział miał spożyć śniadanie i być gotów do dalszego wymarszu. Sam z Osipem Anienko poszedł raz jeszcze na skraj lasu dla obserwacji Tarankowicz. Gdy wrócił, wiedział skądciś dokładnie, którędy tamci pojadą nazajutrz...

Teraz nie był zadowolony z przebiegu akcji.

— Utielnikow! — zawołał i patrzył na zbliżającego się. — Śmiech teraz bierze, jak patrzę na wasze zaplanowanie. I że ja, stara wrona, dałem się nabrać! Tyle lat w służbie bezpieczeństwa, pora wam i psychologię ludzi znać. Według wszystkiego, to nasz człowiek: zobaczył w lesie, usłyszał rannego, to batem po koniu! Czym prędzej, dalej od biedy! To znać trzeba. A nie żeby złąził z sań.

— A jednak, dwóch ułożyli.

— Na przypadkach nie buduje się teorii. — I wyjmując mapę i kompas, dorzucił z rozdrażnieniem: — Dwóch!...

Mimo dużego obładowania oddziału kazał maszerować na przełaj. Zmieniając kierunek z północno-zachodniego, na południowy-zachód.

Tymczasem konik wuja Sawicza leciał w dół po pochyłości, zarzucając saniami na zakrętach, od czego bezwładna głowa Henryka

uderzała z boku na bok po wymazanej krwi koniczynie. Przeleciał przez mostek i dalej drogą na oślep przed siebie. Śniegi po obu stronach stanowiły niejaką zaporę, więc koń instynktownie wybierał tor drogi, wciąż drogą, jak wiodła przez las i pola, i znowu las. Aż dopiero po niejakim czasie zaczął ustawać, i podzwaniając zerwaną uzdeczką przeszedł na kłus, a później poszedł krokiem.

Wiatr wykręcił teraz od północy. Jeszcze przed zmierzchem odwilż ustąpiła. Mróz począł zwolna skuwać wilgotne przestrzenie śniegów w stwardniałą skorupę śreni. Rozpadła się też, zwarta dotychczas wełna chmur, niebo przejrzało niedosiężnie wysokie i pociągnęły po nim obłoczki z ceglanym odbiciem zachodu. To, że szło na mróz poznać było i po wronach, które skądś przyleciały, usadawiały się na samych wierzchołkach drzew. Nieraz na gałązkach tak cienkich, że każdemu kto na nie patrzył, musiałyby przyjść zastanowienie: i jak to utrzyma ich, taka cienkość.

XXVII

Szła na wielką skalę zorganizowana, nieubłagana walka z niemieckim najeźdźcą hitlerowskim.

Pod kierownictwem CK-partii Białorusi działała w rejonie Kopyła brygada partyzancka im. Woroszyłowa, dowodzona przez towarzyszy Warwaszeni i Kapustę. Od niej na wschód, połączone oddziały partyzanckie pod komendą sekretarza mińskiego Obkomu-partii, towarzysza Kozłowa. Trójkąt Lenino-Zytkowicze-Starobino opanowany został przez towarzysza Komarowa. Politrak, towarzysz Kejmach, zajął stanowiska obserwacyjne wzdłuż kolei Królewsczyzna-Mołodeczno i Mołodeczno-Mińsk. Kapitan Czerkasow otrzymał rozkaz przebazowania do rejonu jeziora Narocz i pracowania na linii od Wilna do Królewsczyzny i od Wilna do Mołodeczna. Towarzysz Szczerbin przerzucony został bardziej na południe, wsparł się o masyw puszczy Nalibockiej i z rejonu Wołożyna czynił wypadki wysadzając pociągi na linii Baranowicze-Lida-Mołodeczno i Mińsk-Baranowicze.

Jeszcze bardziej na południe, w nieprzebytych lasach i spodziewanych już niedługo rozlewiskach rzek i błot Polesia, gromadziły się oddziały mające wejść pod rozkazy podwójnego bohatera Związku Sowieckiego, towarzysza Kowpaka. W tym też kierunku

posuwał się z Białorusi silny oddział pułkownika Linkowa, przezwany „Batia”, z zadaniem wysunięcia kontaktów na Pińsk, Brześć i dalej na zachód, dla nawiązania łączności z polską armią podziemną.

Tam, gdzie za Polesiem i Wołyniem ukraińskim kończyły się lasy, przechodząc w step, czyli za mocno przez partyzantów obsadzonymi terenami Czernihowszczyzny, Żytomierza, Nieżyna i Briańska, działały oddziały mniejsze. Między Łubnami i Prylukami, między Białą Cerkwią i stacją Cwietkowo; zwłaszcza od Pierwomajaska do stacji Wapniarka, gdzie wzdłuż Siniuchy ciągnie się masyw leśny „Zielona Brama”. Pod Czyhirynem, Matwiejewką i w Zimnym Jarze działał zasłużony sekretarz kamieńskiego rejonu partii, Andrzej Kucenko, po społu z oddziałem towarzysza Mojeża. W kontakcie z nimi — partyzantka Gonczarowa, b. brygadiera z Michajłowskiego kołchozu. W rejonie Kremieńczuga — grupa partyzancka Trofima Karnauchowa, wyspecjalizowana w ekspedycjach przeciwko miejscowym ukraińskim ruchom kolaboracji z Niemcami.

Partyzantki Griszina, Gorszkowa, Sokołowa... nie zliczyć ich wszystkich! Od morza do morza. Od Zatoki Fińskiej po Morze Azowskie czuwał nad tym olbrzymim frontem podziemnym Centralny Komitet Partii Komunistycznej (bolszewików). Na odcinku północnym towarzysz Andriej Aleksandrowicz Zdanow, zasłużony b. członek Wojsensowietu 7-mej armii w wojnie z biało-finami 1939/40, obecnie członek Wojennej Rady Leningradzkiego Frontu. Nie ruszał się on zresztą ze swojej kwatery przy ulicy Dekabrystów 25 w Leningradzie. Na odcinku środkowym, Pantelejmon Kondratjewicz Ponomarienko, sekretarz CK-partii Białorusi, kierując akcją ze swej siedziby przy sztacie frontu Białoruskiego. Na odcinku południowym, obejmującym całą Ukrainę, towarzysz Nikita Siergiejewicz Chruszczow, sekretarz CK-partii Ukrainy, członek Politbiura i Wojsensowietu Kijowskiego Specjalnego Okręgu.

W tym czasie w Polsce, powstałe już dawno państwo podziemne rozrasta się coraz bardziej. Działający dotychczas „Związek Walki Zbrojnej” (ZWZ), przyjmuje z początkiem 1942 roku nazwę: Armia Krajowa, na czele której staje generał Stefan Rowecki, używający pseudonimów: „Rakoń”, „Kalina”, „Jan”, „Grabica”, „Tur”, głównie jednak „Grot”, którym podpisuje dokumenty publikowane w podziemiu. Akcja podziemna w Polsce wspierana jest wydatnie przez, mniej lub więcej regularne, loty i zrzućy z Anglii; z mniejszym i większym ryzykiem lotników i skoczków. Do Polski

przybywa w ten sposób materiał wybuchowy, broń i amunicja, a przede wszystkim dolary papierowe, dolary złote, funty papierowe i suwereny, marki niemieckie i okupacyjne „młynarki”; łącznicy, emisariusze, instruktorzy.

Generał Rowecki zaczął swą karierę w Legionach Piłsudskiego, zaliczał się wszakże do lewego skrzydła obozu piłsudczyków. Mimo iż zachował kult osobisty dla dawnego wodza, stał się oponentem rządów pomajowych w Polsce. Niektórzy twierdzili, iż bardziej emocjonalnym, niż politycznym, gdyż jako oficer zawodowy przestrzegał tradycji bezwzględnego posłuszeństwa rozkazom. Po klęsce wrześniowej zarówno ta jego opozycyjność względem „sanacji”, jak przestrzeganie wierności rozkazom z góry, uczyniły zeń bezwzględnego stronnika nowej polityki generała Sikorskiego. Stąd premier i wódz naczelny w Londynie pokładał w nim pełne zaufanie. Poglądy na sytuację polityczną obydwóch generałów pokrywały się w tym czasie zupełnie.

Jeszcze jesienią nadeszła do Warszawy szyfrowana depesza Naczelnego Wodza z Londynu, datowana 6 września 1941 (Ldz. 2839/41) do Komendanta Sił Zbrojnych w kraju:

„... Oczekuję od P. Gen. meldunku, czy ZWZ może zorganizować inne dywersje przeciw Niemcom w poważniejszym zakresie na terenach sowieckich położonych na wschód od granicy polsko-sowieckiej 1939”.

Połączenia były jeszcze złe i niepewne. Niezależnie więc od tej depeszy, na którą nie nadeszła odpowiedź, generał Sikorski, 29 września 1941 roku, wydał rozkaz swemu szefowi sztabu:

„W związku z zapowiedzianym przyjazdem gen. Żukowa, co nastąpi ok. 3. X. 41 wyda Pan Generał zarządzenie, celem zebrania przez sztab NW elementów niezbędnych do oczekujących mnie rozmów i pertraktacji. W szczególności są mi potrzebne:

a) sformułowanie precyzyjne wzajemnego stosunku Polski i Sowietów w dziedzinie dywersji przeciwko Niemcom, — b) analiza naszych możliwości w tym kierunku na przyszłość, — c) zdefiniowanie konkretne pomocy wojskowo-dywersyjnej, jakiej udzielić możemy Sowietom, prowadząc wspólnie z nimi zdecydowaną walkę przeciw Niemcom.

Zaznaczam, że polska racja stanu wymaga od nas obecnie jak najpoważniejszego w tej dziedzinie wysiłku... Szefowie oddziałów III i IV, opracujcie zatem plan działań dywersyjnych na skalę przystosowaną do wielkich wydarzeń na froncie wschodnim, przerzucając ich punkt ciężkości na wschód”.

Ktoś w sztabie, słowa: ... „Sowietom, prowadząc wspólną z nimi zdecydowaną walkę”... podkreślił czerwonym ołówkiem.

Generał Rowecki był również zdecydowanym zwolennikiem kolaboracji polsko-sowieckiej i on to, z chwilą wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej położył duży nacisk na powiększenie obszaru

dywersji na niemieckich tyłach w kierunku wschodnim, oraz w myśl wskazań gen. Sikorskiego powołał w tym celu organizację wywiadowczą pod kryptonimem „Wachlarz”. Wysłał też do Mińska majora Sokołowskiego dla podjęcia na Białorusi wspólnej z partyzantką sowiecką walki przeciwko Niemcom. Wkrótce potem, 14 lutego 1942, depeszował do naczelnego wodza w Londynie:

„Organizacja Wachlarz jest już mocno ustawiona w terenie. Operacje przerwania wszystkich linii kolejowych mógłbym powtórzyć kilkakrotnie w różnych odstępach czasu i w chwili najbardziej dotkliwej dla transportu niemieckiego, jeżeli otrzymam wydatnie zwiększoną ilość lotów. Dla wydatnego przeprowadzenia operacji konieczne jest zwiększenie zasięgu lotów do rejonu Wilno i rejonu Lwów, co motywowałem w meldunku nr 146”.

W miesiąc później przesyła w meldunku org. Nr 118 za okres 1. IX. 41 - 1. III. 42:

„... VI. a. W akcji Wachlarza przerzucono na wschód przez wszystkie granice cały posiadany materiał wybuchowy (ok. 1.500 kg. szedytu własnej produkcji, 112 kg. plastyk i mat. wybuchowy „808”), *to jest całą ilość jaką w rzutach z 1941/42 otrzymałem*”.

W odpowiedzi z dnia 27. IV. 1942 otrzymuje z Londynu rozkaz: „A.K. musi wykazać szczególną aktywność i zadać nieprzyjacielowi możliwie największe szkody. Spełni przez to nasz obowiązek alianta”. — Między innymi wódz naczelny wskazuje obiekty: Linia Mińsk-Borysów, Mińsk-Bobrujsk, Połock, Witebsk, Połock-Wielkie Łuki, Dźwińsk-Psków.

Niezależnie od tych poczynań, generał Rowecki postanowił rozwinąć aktywną propagandę dywersyjną wśród wojsk niemieckich na wschodzie. — Już w roku 1940 usunął ze stanowiska Biura Informacji i Propagandy, majora Kruk-Strzeleckiego i na jego miejsce mianował szefem BIP-u pułkownika Jana Rzepeckiego, który wydawał mu się bardziej politycznie przydatny. Istotnie, sieć propagandowa rozbudowana przez Rzepeckiego, różnymi kanałami podziemnymi sięgała aż do Witebska, gdzie nawiązała łączność z tamtejszym tajnym Miestkomem-partii komunistycznej. Akcja ta nie odegrała jednak większej roli i po kilku wyspach dała rezultaty minimalne.

Dnia 30 kwietnia generał Sikorski podejmował uroczystym obiadem w hotelu Dorchester w Londynie ambasadora sowieckiego Bogomołowa i attaché wojskowego płk. Sizowa. Obecni byli ze strony polskiej ministrowie: Mikołajczyk, Raczyński, gen. Józef Haller, Modelski i wielu innych. Gen. Sikorski wykorzystał tę okazję, aby podkreślić, że wywiad AK oddaje ogromne usługi

Generalnemu Sztabowi Sowieckiemu. Ambasador Bogomołow nie zaprzeczył. Przeciwnie, przywołał do siebie przybyłego z Moskwy rotmistrza Klimkowskiego, i bardzo komplementował go za usługi oddane sprawie polsko-sowieckiego braterstwa broni.



Nieomal z miesiąca na miesiąc wzbiera rozczarowanie szerokich mas ludności, które tak niedawno witały wkraczające na terytorium Związku Sowieckiego armie niemieckie. Nierozwiązanie kolchozów, okrutne traktowanie jeńców, metody policyjnego terroru, bezwzględność rekwizycji... Ciągłe wrzaski, owej gulgo-czącej w gardle „Kommandostimme”, która nawet niezrozumiała dla tubylców, dawała im poznać, że traktowani są jak ludność kolonialna. Czekano na jakąś deklarację polityczną, na jakąś „Kartę” zapowiadającą, co ma być w przyszłości? Takiej „Karty” nikt nie ogłaszał i coraz szerzej rozchodziła się pogłoska, że jej do końca nie będzie. Propagandzie sowieckiej nikt, naturalnie, nie wierzył, ale patrząc wytrzeszczonymi oczyma na to co się widzi, mimo woli: „zaczyniesz wierzyć w najgorsze”...

Było tak, jakby czarne chmury nie z jednej, a naraz ze wszystkich stron horyzontu zbierały się i płynęły na człowieka.

XXVIII

Coraz więcej ludzi po stronie niemieckiej zaczynało rozumieć, że: „T a k . . .” wojny nie da się wygrać! — Czy nie powiedział kiedyś Clausewitz, że: „Wojna jest przedłużeniem polityki, tylko innymi środkami”?... Coraz więcej osób z różnych sfer i na różnych stanowiskach, z rozmaitych względów, pobudek, przekonań, tradycji, o rozmaitym smaku estetycznym i społecznym, zaczęło się domagać przejścia na: „polityczne prowadzenie wojny”. Do tych głosów w Rzeszy dołączył się dowódca włoskich sił zbrojnych na froncie wschodnim, marszałek Giovanni Messe, domagając się z początkiem roku 1942 jakiejś interwencji ze strony Rzymu.

Pierwsze inicjatywy ze strony subalternych oficerów, najmniej predestynowanych do „mieszania się w politykę”, zostały pod tym właśnie pretekstem lakonicznie przecięte. Stosy memoriałów z innych stron powracały z głównej kwatery początkowo z adno-

tacją: „Nie odpowiada to poglądom Führera”, a później nie powracały w ogóle, lecz szły do kosza. W ten sposób, zepchnięta na boczny tor, rozpoczęła się zakulisowa gra peryferyjnych instancji i osób, gra w której krzyżowały się rozsądne rady i personalne ambicje, przeciwstawne recepty, polityczne namiętności, spekulacje, plany, spiski...

Odsunięty od wpływów na bieg wypadków minister spraw zagranicznych, Joachim von Ribbentrop, dał się namówić do podjęcia pewnej inicjatywy. Bał się, ale przekonał go hr. von Schulenburg, były ambasador w Moskwie, że przez uaktywnienie swego resortu przydać mu może dawne znaczenie. Pretekstem ku temu miała posłużyć interwencja Turcji na rzecz jeńców sowieckich tureckiego pochodzenia, oraz prośba okazania pomocy tureckim emigrantom z Rosji.

Hrabia von Schulenburg czuł głęboką odrazę do hitleryzmu. Z urodzenia, tradycji, z przekonań, i jak to zdarza się u ludzi, z niesmaku do siebie samego za wierną jemu służbę na stanowisku dyplomatycznym, którą rozgrzeszał wzniosłą dewizą: „right or wrong, my country”. Schulenburg znał Rosję i znał Sowiety. Był zdania, że należy proklamować federacyjną, wolną Rosję, poprzeć dążenia poszczególnych narodów do niezależności, ale nie przeszkadzać im w połączeniu się we wspólnej federacji. W ten sposób — rozumował — da się sprowadzić do jednego mianownika zarówno antybolszewickie wyzwolenicze tendencje narodu rosyjskiego, jak i narodów o tendencjach separatystycznych. Koncepcję swoją ujął w: „konkretny program przeistoczenia kampanii wojennej w wojnę domową, w której sami Rosjanie pomogą obalić Stalina”. Program ten sprowadzał się do trzech kapitalnych punktów:

1. — Zapewnienie, że Niemcy nie zgłaszają żadnych terytorialnych pretensji do Rosji.
2. — Zagwarantowanie narodom okupowanych terenów prawa do utworzenia własnych rządów.
3. — Uznanie tych rządów za sojusznicze i zdopingowanie ich do połączenia w jeden wspólny front antysowiecki.

Z jego inicjatywy Ribbentrop zwołał wiosną 1942, w salonach hotelu „Adlon” w Berlinie, konferencję przedstawicieli różnych emigracyjnych rządów i komitetów narodowych przebywających w Berlinie, Paryżu i Ankarze, wszakże ze specjalnym uwzględnieniem narodowości sąsiadujących z Turcją. Zebrało się około czterdziestu przedstawicieli „narodów ujarzmionych”. Przybył hrabia Herakles Bagration, pretendent do tronu Gruzji; Said Szamil, wnuk słynnego Szamila bohatera Dagestanu; generał Kazum Bek, przedstawiciel Azerbejdżanu; reprezentanci Krymu, Ukrainy... — Zapadła jednomyślna decyzja, aby zwrócić się do rządu niemiec-

kiego i domagać się odeń ogłoszenia niepodległości reprezentowanych przez zgromadzenie narodów.

Ribbentrop, namawiany przez stworzone przy ministerstwie spraw zagranicznych „gremium ekspertów rosyjskich”, na czele którego stał właśnie hr. Schulenburg, zaryzykował z uchwałą tej „Adloniady” (jak przezwano konferencję w hotelu „Adlon”), udać się do Hitlera. Wrócił błądy; ręce mu się trzęsły.

— Wszystko to razem jest nonsens, moi panowie — powiedział przez zaciśnięte zęby. — Z waszym uczuciowym podejściem do rzeczy nie osiąga się niczego w wojnie totalnej. Nie łamcie sobie głów nad sprawami, które Führer dawno już sam rozstrzygnął! Zechce pan, hrabio — zwrócić się lodowato do Schulenburga — odwołać wszelkie dalsze konferencje i rozmowy tego typu.



W sprawę wmieszany był minister Rosenberg. Dowiedziawszy się o „Adloniadzie”, od razu nabrał przekonania, że Ribbentrop usiłuje tu przejąć w swoje ręce kompetencje będące oficjalnie domeną „Ostministerium”. Jakkolwiek sam opowiadał się za poparciem nie-rosyjskich narodów sowieckiego imperium, domyślił się — znając poglądy Schulenburga — że w danym wypadku chodzi tylko o przykrywkę dla jego rosyjsko-federacyjnych planów. Wyprosił więc pilną audiencję u Hitlera i zjawił się z pełną listą uczestników „Adloniady” w ręku.

— *Mein Führer* — powiedział — co najmniej połowa tych panów należy do tak zwanych „szczerych demokratów”. A co najmniej dwóch z ich liczby, jest agentami brytyjskiego wywiadu. Minister von Ribbentrop...

— Zawołać doktora Lammersa! — krzyknął Hitler. — Lammers, wystosuje pan natychmiast dodatkowe pismo do Ribbentropa: Ministerstwo Spraw Zagranicznych ma od tej chwili zaprzestać wszelkiej działalności na Wschodzie. Rozpędzić te wszystkie emigracyjne kreatury na cztery wiatry!

Rosenberg mógł być zadowolony z łatwo odniesionego zwycięstwa nad rywalem. Ale i on zdawał sobie sprawę, że: „tak” dalej wojny prowadzić na Wschodzie nie można... Tymczasem zjawił się rywal o wiele potężniejszy, którego znaczenie i wpływ w głównej kwaterze rosły z dnia na dzień: Erich Koch. Nie tylko unicestwił on wszystkie plany Rosenberga w odniesieniu do Ukrainy, ale zaczął wyłączać go w ogóle od wpływu na politykę wschodnią. Wprawdzie z początkiem roku udało się Rosenbergowi przeforsować poufny okólnik zabraniający okładania Ukraiń-

ców pejczem przez urzędników Kocha, ale nie udało mu się podważyć głównej tezy Kocha, że Ukraińcy są także „Untermensch” jak Rosjanie. Gdyż w tym punkcie Hitler skłaniał się wyraźnie na stronę Kocha. Rosenberg, człowiek o słabych nerwach, teoretyk, wiecznie zastroskany, aby nie utracić reszty łaski „wodza”, czuł się wobec Kocha bezradny.

Jego eksperci do spraw wschodnich, dr Mende, dr Kleist, Markull i von Milwe-Schroeden, opracowali na własną rękę tzw. „wielki memoriał” o konieczności zmiany kursu na sowieckich terenach okupowanych. W odpowiedzi przyszło pismo od sekretarza Hitlera, Bormanna, że „Führer odrzuca stanowczo sugestie zawarte w memoriale”... — Spróbowano wtedy z innej beczki: opracowano tzw. „memoriał faktów”. Wymienione w nim zostały najbardziej drastyczne fakty, już nie tylko terroru, ale pogwałcenia zdrowego sensu. Autorzy memoriału wysunęli nową koncepcję, aby: „mglistej deklaracji atlantyckiej wrogich mocarstw, przeciwstawić „deklarację europejską”. Sens walki z bolszewizmem polegać może tylko na wyzwoleniu narodów Związku Sowieckiego. W ten sposób zrobimy z mas ludności sowieckiej swego sprzymierzeńca, bez pomocy którego może nam na tamtych terenach zabraknąć tchu”. — Memoriał wywarł fatalne wrażenie w kwaterze głównej. Akcje Rosenberga spadły gwałtownie w dół.

Pewnego dnia, bez zapowiedzi, zjawił się w Ostministerium Erich Koch, w towarzystwie swego pomocnika Dargela. Podczas gdy sam udał się bezpośrednio do Rosenberga, Dargel, nie pukając wszedł do pokoju radcy von Milwe.

— Tę całą bzdurę z opracowanym przez pana planem szkolnym dla Ukrainy, zechce pan rzucić pod stół!

— Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał mi pan powiedzieć, z kim mam zaszczyt rozmawiać?

— Ach, pan mnie nie zna? To jest charakterystyczne. Jestem Dargel, zastępca reichskomisarza Kocha.

— Osobiście, gdybym miał przyjść kiedy do pańskiego biura w Równem, nie omieszkałbym zapukać uprzednio do drzwi...

— Wizytę taką uważałbym za zbyteczną. Ja i mój szef, jesteśmy do głębi oburzeni opracowanymi przez pana planami. Stoją one w jaskrawej sprzeczności z wolą Führera. Panowie chcą wyhodować wykształconą warstwę ukraińską, podczas gdy my chcemy zniszczyć Ukraińców!

— Zniszczyć czterdzieści milionów?

— Proszę to pozostawić naszej trosce.

— A co ma się stać z samym obszarem?

— Spada pan z księżycy? Musi pan chyba o tym wiedzieć,

że zgodnie z wolą Führera Ukraina stanie się terenem kolonizacyjnym dla niemieckiego chłopca.

— Skąd pan weźmie tylu chłopów niemieckich?

— Chce pan przez to poddać w wątpliwość słuszność planów Führera?

— Mówmy jak ludzie rozsądni, a nie sloganami. Jak pan sobie wyobraża załatwienie obszaru Ukrainy?

— Natychmiast po zwycięstwie zakładamy punkty koncentracyjne za Wołgą.

— To znaczy?

— To znaczy, że zaczniemy tam przeprowadzać całą ludność ukraińską. Pozostawimy tyle, ile potrzeba do pracy w kopalniach. Ale ci nie będą potrzebowali ani szkół, ani wykształcenia! Zresztą pięknie, już widzę jaki tu duch panuje. Mój szef jest właśnie u Rosenberga.

Dziesięć minut później von Milwe wezwany został do gabinetu Rosenberga. Ten siedział za swym biurkiem z wysiłkiem usiłującym zachować ministerialną godność, podczas gdy Koch wielkimi krokami deptał po jego dywanie tam i z powrotem.

— Aa...! Znam pana! — Wykrzyknął na widok wchodzącego von Milwe. — Podczas pracy nad planem czteroletnim w Prusach Wschodnich robił pan jeszcze przyzwoite wrażenie. Teraz dowiaduję się o pańskich wariackich planach, z którymi włązi pan w moje sprawy na Ukrainie. Widzi pan ten pierścień na mojej pięści? Odbił on kiedyś pieczętę na pysku urzędnika, który ośmielił się mieszać do moich rzeczy...

Von Milwe zbladł, ale odpowiedział jak człowiek który w pewnych sytuacjach przestaje się liczyć z konsekwencjami:

— Słusznie pan uczynił. Skoro ten urzędnik nie uprzedził pana...

Koch stanął jak wryty w miejscu, a Rosenberg zawołał:

— Niech się pan uspokoje, Koch! Ja nie jestem przyzwyczajony do takiego tonu!

— Pan nie znosi uczciwego męskiego tonu, to wiem — odwrócił się tyłem do von Milwe.

— O tonie w moim ministerstwie decyduję ja — odparł Rosenberg, ale już znacznie łagodniej, więc nie wypadło to przekonująco. — Chciał pan, żeby radca von Milwe przyszedł. Proszę...

— Nie będziemy się bawić w przewód sądowy. Powiedziałem już: żadnego wtykania palców w żadne szkolne plany! Co ma być na Ukrainie decyduję ja za pełną aprobatą Führera. Bardzo słusznie powiedział mój generalny inspektor pracy przymusowej, SS-Gruppenführer Alfred Fiedler...

— Że?...

— Że dla Ukraińców najodpowiedniejsze wykształcenie to szkoła z drewnianym młotem. Każdy Słowianin uważa łagodne traktowanie za przejaw słabości. Cała ta ludność jest plugawa i leniwa! I odpowiednio do tego winna być traktowana, jako masa roboczo-pociągowa. Mój Kreisleiter, gebietskomisarz Becher, powiedział niedawno, że kto z Ukraińców zdradza inteligencję, powinien być właściwie zastrzelony. Dosadnie, ale trafnie. A więc oświadczam raz jeszcze: jeżeli pan von Milwe, czy inny jakiś sztukmistrz, przyjedzie do mnie na Ukrainę z jakimiś planami uniwersyteckimi, czy nawet szkolnymi, każe go aresztować!

— Nie życzę sobie, aby w moim... — zaczął znad biurka Rosenberg. Odpowiedziało mu trzaśnięcie drzwiami.

Nie mogło być żadnych złudzeń. Władza i prestige Rosenberga leżały podeptane obcasami Kocha. Odwoływać się do Hitlera było beznadziejne. Pozostawało albo zrezygnować, albo szukać na gwałt sojuszników wśród wrogów Kocha. W takim to stanie rzeczy, dr Otto Bräutigam, zastępca szefa głównego wydziału politycznego w Ostministerium, zarazem urzędnik łącznikowy do władz wojskowych, podsunął Rosenbergowi nowy pomysł: nieskuteczne u Hitlera argumenty polityczne zastąpić argumentami interesu militarnego. A te mogą okazać się skuteczne. Bräutigam wrócił właśnie z objazdu terenów frontowych. — Opinia władz wojskowych jest taka, mówił, że militarne powodzenie Niemiec zależy w znacznym stopniu od uspokojenia obszarów zaplecza, gdzie rosnący ruch partyzancki zaczyna przybierać rozmiary już groźne.

— Pod tym względem poglądy są zgodne. Pogorszenie sytuacji przypisuje się traktowaniu ludności metodami tego typu, których klasycznym reprezentantem jest reichskomisarz Koch... — zakończył znacząco.

Nie było wyboru. Rosenberg z ciężkim sercem zdecydował się szukać porozumienia z ludźmi, których plany politycznego rozwiązania problemu wschodniego stały w jaskrawej sprzeczności do jego własnych planów.



Zespół „grupy wojskowej”, która domagała się zwekslowania na tory „politycznego prowadzenia wojny”, reprezentował w tym czasie generalny kwatermistrz, gen. Edward Wagner, oraz dowódca zaplecza armii, gen. von Schenckendorff. Wokół nich skupiały się te sfery oficerskie — przeważnie wrogo nastawione do partii hitlerowskiej — które stanowiły trzon zarówno wydziału propa-

gandy wojskowej, jak też „Obce Wojska Wschód” przy sztabie generalnym. Patronował tej grupie z ukrycia admirał Canaris, szef „Abwehry”, wraz ze swą siatką szeroko zakrojonego wywiadu i kontrwywiadu wojskowego. Jednym z najbardziej czynnych ludzi „grupy”, nieomal jej przywódcą duchowym, był pułkownik Claus hrabia Schenk von Stauffenberg, szef wydziału organizacyjnego przy głównym dowództwie.

Do konferencji w Ostministerium doszło po uprzednim cichym porozumieniu pomiędzy szefem wydziału politycznego Leibnrandtem i generałem Wagnerem. Salę konferencyjną wypełnili wyżsi urzędnicy ministerstwa i niezwykle zgromadzenie oficerów Wehrmachtu różnych stopni, różnych wydziałów sztabu generalnego i zaplecza frontu. Przybyli między innymi: generałowie von Schenkendorff, von Rocques; tacy zdecydowani przeciwnicy *régime'u*, jak Stauffenberg, ppłk. von Schlabrendorff, ppłk. von Altenstadt, Hans von Herwarth i wielu innych.

Wzajemne zapoznanie i rozmowy prywatne na boku wypełniły czas przed otwarciem właściwego posiedzenia, gdyż oczekiwano jeszcze na zapowiedzianych, a spóźniających się, uczestników.

— Właściwie — mówił Stauffenberg do jednego z wyższych urzędników wydziału politycznego — osobiście nie tylko nie podzielam, ale nie pojmuję waszej koncepcji tak zwanego „różniczkowania” politycznego ludności. Chcecie udzielić poparcia narodom nie-rosyjskim o nastawieniu antysowieckim, słusznie. Ale jednocześnie zrobić z Rosji „Moskowię”, i wymazać nawet samą nazwę „Rosja”... Przecież to, między nami, plan szaleńczy, a zarazem najgorsza propaganda.

— Czy panowie słyszeli ten dowcip — wtrącił się do rozmowy młody oficer — o tym jak Stalin wysyłał eskadrę bombowców na Berlin? „Będziecie bombardować, mówił do pilotów, obiekty wojskowe, kolejowe itd. Poza tym śródmieście. Zginie przy tym trochę kobiet i dzieci, cóż robić, to są wymagania wojenne. Ale jeżeli ktokolwiek z was zbombarduje niemiecką propagandę, tego każą po powrocie rozstrzelać na miejscu!”

— Dowcipów jest dużo — odpowiedział urzędnik. — Ten o wystawieniu pomnika Kocha na Czerwonym Placu w Moskwie na rozkaz Stalina, najbardziej może trafny. Z nadpisem: „Erich der Grosse — zbawca bolszewizmu”. Ale wracając do „Moskowi” Nie wchodziż w meritum. Sama jednak fonetyka polityczna nie wydaje mi się tak szaleńcza, jakby się zdawać mogła. Znamy precedensy historyczne. Napoleon na przykład, w pokoju tylżyckim 1807 roku, ustanowił Księstwo Warszawskie, właśnie „warszawskie” a nie „polskie”, aby wymazać słowo „polskie”, które

mogłoby drażnić ucho cara rosyjskiego. I jeszcze wszyscy Polacy uważali go za swego przyjaciela i zbawcę.

— *Comparaison n'est pas toujours raison*. A to nie jest nawet *comparaison*. Napoleon dał coś Polakom, a my chcemy tylko zniszczyć. Wreszcie Napoleon, jeżeli nawet, choć nie zawsze, oszukiwał, to przynajmniej coś obiecywał. Ja miałem w ręku memoriał komitetu rosyjskiego, który utworzył się teraz w Pskowie. Kończy się tymi słowami: „Jeżeli rząd niemiecki uzna za niemożliwe uwzględnienie w rzeczywistości naszych postulatów i próśb które przedkładamy, to prosimy: oszukajcie nas na razie, oszukajcie naród rosyjski, aby tylko pomóc mu w tej chwili do rozbicia bolszewizmu!”... I następowało około stu podpisów.

W drugim końcu sali, dr Gerhard von Mende, kierownik wydziału „Kaukaz” w Ostministerium, mówił swym powściągliwym, cichym głosem do generała von Schenckendorffa:

— Zgadzam się, że sytuacja jeńców sowieckich w naszych obozach jest straszna. Ale ten krzyk zagranicą sojuszników sowieckich i rozdzieranie ich drogich, humanistycznych szat, jest trochę nielogiczny. Niech pan weźmie pod uwagę, generale, że rząd sowiecki nie tylko nie podpisał konwencji genewskiej dotyczącej jeńców wojennych, ale ponadto, rozkazem nr 260 z 15 września 1941, którego odpis jest w naszym posiadaniu, oświadczył że w stosunku do własnych żołnierzy nie zna pojęcia jeńców, a tylko zdrajców ojczyzny. I tak też są oni przez same Sowiety traktowani: jako zdrajcy. Nawet ranni. Do dziś dnia nie wysłano im z Sowieców ani jednego grama żywności, ani przez Czerwony Krzyż ani przez cokolwiek. Nie otrzymali ani jednego listu czy kartki od rodzin. Są to ludzie wykreśleni przede wszystkim przez Związek Sowiecki, z listy ludzi żyjących...

W tej chwili ktoś zaanonsował: — Pan minister Rosenberg! Posiedzenie zaczęło się z opóźnieniem.

— Proszę panów — zagaił trochę niepewnym głosem Rosenberg — wytworzyła się sytuacja, która w interesie całości jest nadal nie do zniesienia. Dzisiejsze spotkanie ma na celu dostarczenie mi materiału, który mógłby posłużyć do wpłynięcia na zmianę dotychczasowej polityki wschodniej najwyższego kierownictwa. Panów, panowie oficerowie, prosiłem dlatego, gdyż względy militarne mają dziś pierwszeństwo przed innymi, dopóki Niemcy znajdują się w wojnie.

Zabrał głos gen. von Schenckendorff. Roztoczył ponury obraz rzeczywistości na tyłach walczącej armii. Grozić to może katastrofą, mówił, a winę ponoszą tu metody polityczne i policyjne, które wszelki rozsądek stawiają na głowie. Zarówno władze cywilne, jak gospodarcze, jak policyjne sztaby SD doprowadzają ludność

do rozpacz i napędzają ją masowo do oddziałów partyzanckich:

— Partyzantka na naszych tyłach rośnie z każdym dniem, panie ministrze! Już dziś przybiera rozmiary katastrofalne! My chcemy i musimy — ciągnął jednym tchem — z wielkim narodem rosyjskim, z którym łączy nas wiele rzeczy wzajemnie uzupełniających, i po wojnie żyć w przyjaźni. W tej chwili jednak jesteśmy na najlepszej drodze, aby sobie tę przyszłość raz na zawsze zamurować!

Po twarzy Rosenberga przebiegł nerwowy tik; ale nie dał po sobie poznać do jakiego stopnia nie w smak była mu tego rodzaju deklaracja polityczna. Nie odezwał się też słowem podczas następujących referatów i przemówień. Von Altenstadt, jako przedstawiciel zarządu wojskowego przy OKH, powiedział że poniewieranie ludności doprowadziło tę ludność do najwyższego stopnia rozczarowania. Wreszcie zabrał głos płk. Hans von Herwath, który w końcu swego przemówienia wypowiedział głośno slogan dotychczas nie wypowiedziany, ale stanowiący motto polityczne „grupy wojskowej”:

— ... Rosja, moi panowie, może być tylko przez Rosjan zwyciężona!

Tym razem Rosenberg wyraźnie drgnął, ale szybko opuścił oczy na leżący przed nim stos notatek. W gruncie rzeczy był uszczęśliwiony z pozyskania nowego, a jak mu się zdawało, potężnego sojusznika w jego osobistej rozgrywce z Kochem. Pomiął też zupełnym milczeniem dyskusję polityczną na temat przyszłego rozwiązania problemu wschodniego. Wstał, podziękował zebrany i zapowiedział, że natychmiast przedłoży wysłuchane postulaty sfer wojskowych najwyższemu kierownictwu państwa.

Istotnie, uczynił to natychmiast. Odpowiedź Hitlera była też natychmiastowa:

„Niech Ostministerium zajmuje się swoimi sprawami, a nie miesza się do rzeczy wojska! Niech panowie oficerowie zajmują się prowadzeniem wojny, a nie mieszą się do polityki!!”



Zanim jednak do tego wszystkiego doszło, o całe miesiące wcześniej, umieszczona przy Viktoriastrasse 10 w Berlinie, pod kryptonimem „Vineta”, grupa ekspertów wschodnich ministerstwa propagandy, opuściła tę willę. Kryptonim został zarzucony, a dom okazał się za mały. Do opuszczonej willi wniosła się inna ekipa. Ekipa, której wewnętrzna tajemnica odgradzona została od zewnętrznej wglądu, pilną ochroną Abwehry. Również przed

niekompetentnym wścibstwem Gestapo i SD. Wówczas jeszcze argument: „konieczność wojenna” potrafił niekiedy korzystać z przywilejów eksterytorialności politycznej.

XXIX

Za oknami wagonów przesuwają się okna kamienic. Pociąg już jechał miastem. Nad rannym Berlinem wisiąca ranna mgiełka, przytłuszczona wyziewami z kominów. Wiadukty, zwrotnice rozbiegających się szyn, znowu zbiegających. Zgrzyt kół, tarcie hamulców. Widać ulicę, z budzącym się ze snu ruchem porannym. Firanki, anteny radiowe na dachach, szare niebo i leniwie wlokące się ku niemu szare dymy. Ktoś w przedziale głośno wytarł nos i odchrząknąwszy chował chustkę w kieszeń spodni. Anton Panisienko znał dotychczas tylko miasta sowieckie, gdzie mieszało się nowe z obłupanym tynkiem starych kamienic. Myślał, że wjazd do Berlina zrobi nań większe wrażenie. Nie zrobił żadnego.

Pani Blaser nie wydała się mu atrakcyjną, jak to zapowiadał Hans Müller. Włosy upięte w wysoką fryzurę, którą często poprawiała, jeżeli w bliskości było lustro. To czynią jednak wszystkie kobiety dobiegające czterdziestki. Mówiła płynnie i bardzo naturalnie; sądząc po wymowie rosyjskiej, musiała pochodzić ze sfery o której w Sowietach czyta się tylko w książkach, albo mijają obojętnie wśród tłumu wysprzedających stare rzeczy na rynku. Co go natomiast zaskoczyło, to brak z jej strony zachowania ostrożności.

— Müller? — zapytała. — Hans? To na pewno pseudonim. Nie znam takiego. Ale to nie ważne. Reszta się zgadza. Przedstawię pana memu szefowi, jeśli nie jest zajęty.

Ale szef okazał się zajęty i na tym skończyły się formalności w Ostministerium. Gdzieś go zarejestrowała sama; poszła, przyniosła mu kartki żywnościowe. Poza tym wszyscy w urzędzie byli grzeczni, zajęci i dobrze ułożeni. Pani Blaser oświadczyła komuś tam, że musi wyjść w sprawie służbowej i nikt jej nie pytał w jakiej i dokąd. Pojechali autobusem na obiad do restauracji „Traube” przy Kurfürstendamm. Tam dopiero opowiedział jej swoje dzieje.

— Czy to prawda — zapytała — co teraz Niemcy wyrabiają z Żydami, tam u was?

— Prawda.

— Brrr...

— A tutaj o tym nie wiadomo?

— Słuchy chodzą po korytarzach. Góra wie. Dół nie pyta. W gazetach nie piszą.

— Ale pani cieszy się chyba wyjątkowym zaufaniem?

— Byłam żoną podpułkownika niemieckiego, który zginął na froncie. Więc wszystkim się zdaje, że to wystarczający honor i legitymacja do bezwzględnego zaufania. Mnie interesuje co innego. Powiem panu może przy okazji. A teraz: czego pan szuka na Viktoriastrasse?

Spojrzał na nią w najwyższym zdumieniu. Żeby tak w Moskwie, sądziłby że początkująca prowokatorka. Ale ona była raczej zamysłona.

— Wybacz pan — podjęła, nie doczekawszy odpowiedzi. — Pan jest tym, co się nazywa „człowiek sowiecki”. Ja jestem Rosjanką. I chciałabym, żeby wszyscy ludzie sowieccy, stali się z powrotem Rosjanami. — Podniosła ku niemu znad talerza twarz o matowej cerze i długich, wąskich, ledwo-ledwo skośnych oczach.

W tej chwili podobała mu się naprawdę i zapomniał o poprzednim zaskoczeniu. — Jest więcej niż atrakcyjna, pomyślał, jest prawie śliczna. — W czarnej sukni, od której odbijała jej upięta w górę blond fryzura; szczupła, gibka; dyskretna kolia pereł, może prawdziwych, spadała z szyi, nie osiagając wykroju piersi; na palcu lewej ręki staroświecko oprawny w diamenty, skromny chryzolit, jaki widywał przechodząc kurs w Instytucie Górniczym; na palcu prawej dłoni dwie obrączki. Anton, przyzwyczajony do samogonu, pił mozelski „Bernkastel”. Ocknął się.

— Pani imię, przepraszam?

— Nastazja Ipolitowna.

— Mnie mówiono, Nastazjo Ipolitowno, że pani jest rozwódką.

— Aaa! — roześmiała się po raz pierwszy. I śmiech ten miał też w sobie coś z poufnego zbliżenia, coś z dziecinnej wesołości lat, których pamięć przechowuje się raczej we śnie. — Teraz już domyślam się, który to „Müller” pana zwerbował!

— Więc dlaczego pani mnie odmawia od Viktoriastrasse?

— Dlatego, że tam idzie stawka wyłącznie na „antystalinizm”.

— A pani zdaniem, powinna...

— Widzi pan, jest tak: biały emigrant to pierwszy stopień do piekła w oczach Iwan Iwanowicza...

— Kogo? Przepraszam...

— Zapomniałam. Muszę pana wtajemniczyć. Wśród Rosjan w Niemczech, pewną najwyższą osobę w państwie, przyjęto nazywać: „Iwan Iwanowicz”. W ten sposób jest się zabezpieczonym

przed podsłuchem i donosem, żeby nawet porównać go do świni. Bo przecież Iwan Iwanowiczów, zwłaszcza ześwinionych, jest u nas bez liku. Ale wróćmy. Wspomniał pan swego przyjaciela w Moskwie, który do dziś czci pamięć Aleksandra II-go. To nic dla takich na Viktoriastrasse. Tam się montuje opozycja wewnętrzno-antystalinowska. Rozumie pan?

— Więc żadna kontrrewolucja?

— Niech pan nie wymawia tego słowa głośno!

— A kto to jest, Nastazjo Ipolitowno, Sidorczyk?

— To jest główna osoba, *in spe*. Której jeszcze nie ma. Stąd „poszukiwanie Sidorczyka”. Kryptonim i hasło, całej tej niby konspiracji. Zaczęło się od Napoleona: „przyjdzie ktoś, kto stanie na czele”. Już taką stawkę robiono przed wojną na Stalina, gdy zaczął likwidować starych bolszewików. Na Tuchaczewskiego, na Blüchera, na Bóg wie kogo. „Poszukiwanie Sidorczyka” to jest przekonanie, że się znajdzie, dziś-jutro, wodza sowieckiego, którego można będzie przeciwstawić Stalinowi. A jak się go znajdzie, wtedy da się przekonać nawet naszego „Iwana Iwanowicza”. Już typowano: Rokossowski, Własow, Malinowski. Niektórzy chcą nawet upolować Timoszenkę.

Anton poweselał bez widocznej przyczyny.

— Ech, Nastazjo Ipolitowno! Mybyśmy z panią cały świat zawojowali, gdyby nam dano!

— Ale nie dają. Więc ja pana, ani oficjalnie, ani nieoficjalnie, od Viktoriastrasse nie odmawiam. Ma pan ognia? Dziękuję. Boże, co za podłe te papierosy wojenne.

— To nas wszystkich łączy, narzekanie na tytoń.

— Tam spotka pan też ludzi najlepszej woli. Niby chcą: „przeistoczyć wojnę zaborczą, w wojnę wyzwolenczą”. Bardzo ładnie. NTS. Za kulisami Bajdałaków. Na widowni Kazancew, człowiek ideowy. Mam wrażenie, że tych paru pułkowników i kapitanów niemieckich jest bardziej pod ich wpływem, niż odwrotnie. Oficjalnie jest to „laboratorium psychologicznej propagandy”. Coś na amerykański ład. W tym zresztą maczają palce i Roenne i Strik-Strikfeldt.

— Tego poznałem w Smoleńsku, przypadkowo.

— Najinteligentniejszy z nich. Ale niektórzy doszli już do głosu tezy: „Z Leninem, przeciwko Stalinowi!”

Była widocznie dobrze zorientowana. Miała łatwość definicji i jasność wyłożenia rzeczy, cechy nie kobiece. Pozostali już prawie sami w olbrzymiej sali. Obca mowa, ubrania na kartki, które wydały się Antonowi wytworne, pnące rośliny i latające swobodnie papużki... Jakże to dalekie od szmeru myszy na kołchoz-

nicznych polach. Losy. Nie wiedział jak się zachować przy rachunku. Uczynił jakiś kanciasty gest. Ona zapłaciła.

— Niech to pana nie peszy — powiedziała tonem koleżeńskim — wartość mają kartki żywnościowe, a nie pieniądze papierowe.

Zawiozła go na Albrechtstrasse, gdzie spadły pierwsze alianckie, jak mówiono, torpedy lotnicze. Pokazać, jak to wygląda. Wyglądało tak samo jak gdzie indziej.

— Dobrze mi się jakoś z panem rozmawia — powiedziała, dyskretnie ziewając. — Nagle, tak prosto. Nie wracam dziś do biura.

Berlińczycy przychodzili zobaczyć te pierwsze w stolicy ruiny. Krążyła pogłoska, że Anglicy celowali w siedzibę Gestapo, wyjaśniła mu.

Nagle przebyli ze sobą cały dzień. Poszli później na kolację.

— Churchill — powiedziała rozkładając serwetę na kolanach — jak słucham jego przemówień przez radio, to jest prawdziwy gentleman. Nie to, co „nasz”... — I znowu się zamyśliła. On nalał wina do kieliszków. Tym razem pili do mięsa „Beaujolais”, rok na etykietce 1939. — Niech pan pójdzie do monarchistów rosyjskich na Bleibtreustrasse.

— A gdzie będę nocował?

— Ach, zapomniałam wystawić panu „order” do hotelu! To chyba u mnie.

Anton znowu nie bardzo wiedział, jakim podziękowaniem na to się odpowiada. Czy jest to grzeczność światowa, czy zachęta do spędzenia nocy we wspólnym łóżku? Dobre serce, czy rozpuśtne zamiary? W Moskwie było wszystko naturalne. Nie wierzyłby takiej agentce ani jednego słowa, udając że wierzy w każde słowo. Ta tu, była dla niego jak wycięta ze stronicy powieści, urokowi której poddaje się człowiek w miarę czytania. Teraz podobał mu się każdy jej gest, ta ciągle idealnie matowa cera, prawdziwa, czy stworzona przez nieznaną kosmetyki.

— A gdzie ma pan walizkę?

— W przechowalni. Pani jest tak dobra i tak się mną zajmuje, że...

— O jedno tylko będę pana prosiła. Mnie zawsze z trudem przychodzi własne pisanie. A będę musiała napisać poufny raport o wszystkim co pan mówił, opowiadał, jakie są pana poglądy. Żeby więc pan sam to napisał, co zechce. Dobrze? A ja przetłumaczę.

— Pani myśli, że ja umiem pisać?

— Wszystko jedno, krzyżykami. — Roześmieli się oboje.

— Jak tu jednak wszystko jest inaczej... — zauważył.

— Niż gdzie?

Uczyliń nieokreślony ruch ręką. A ona powiedziała:

— Jest, niestety, o wiele, wiele gorzej niż było dziesięć lat temu. Dlaczego wszystko idzie zawsze ku gorszemu?

— Mnie się zdaje, że dlatego... Bo ja wiem... Zresztą czy zawsze? Onegdaj byłem jeszcze w tym strasznym Mińsku, a dziś w pani towarzystwie. I... może jutro jeszcze rano?

— Nie, poważnie. Mnie zastanawia tajemnica zła. Sądzę, że to najgłębsza ze wszystkich tajemnic, która odradza się w każdym człowieku codziennie i codziennie. Chyba najbardziej powtarzalna rzecz na świecie. Nieziemna i nie ulegająca ewolucji. A przecież nic nie stoi w miejscu, a ku czemuś się skłania. I otóż ten skłon, spad, wydaje mi się stale ku gorszemu niż było. Dlaczego?

— Chciała pani, żebym poszedł do monarchistów rosyjskich, tak?

— Tak.

— Zrobię, co pani mi każe.

— Ale niech pan odpowie na moje pytanie.

— Myślę, że to złudzenie. Nie jest ani gorzej, ani lepiej. To jest kąt patrzenia. Siedziałem kiedyś pod Sierpuchowem w okopie, który sam zbudowałem. Była noc. Zastrzelono jakiegoś robotnika, który podniósł ulotkę zrzuconą z samolotu niemieckiego i dał ją czytać innym, czy też za coś takiego. Trup leżał w bliskości, miano go odtransportować, ale transport, jak to u nas, nie przychodził. Ludzie trzymali się z dala od trupa. Siedział sam. Na niebie księżyc. A tamten na wznak, twarzą do księżyca, oczy nie migają, tylko dłonie po bokach twarzy, zaciśnięte w pięści. Patrzę ja na tę śmierć bez wzruszenia i wtedy przysłała mi na myśl teoria: my wszyscy, żyjący, patrzymy na śmierć, tak lub owak, ale zawsze trochę z wysoka... Jakby to powiedzieć, zawsze z instynktownym poczuciem własnej wyższości. Nawet przy stracie najbliższych, ten pierwiastek wyższości gdzieś tkwi. A dlaczego? Dlatego, że ot, leży i nigdy już nie będzie wiedzieć co będzie dalej na ziemi. Ja na przykład będę wiedział, czy Niemcy zajmą Moskwę, czy nie. A on, tu leżący, nawet takiego drobiazgu w perspektywie tysiącleci, nie dowie się nigdy. I choć my sami doskonale wiemy, że z nami będzie to samo w stosunku do tych co nas przeżyją, nie jesteśmy w stanie wyzbyć się pewnego lekceważenia, nawet pobłażania do pokoleń, które przeszły. Bo my patrzymy z urojonego szczytu, którego w rzeczywistości nie ma. To co jest, wydaje się najważniejsze. Cierpienia, nie-szczęścia, wszelkie zło. A to co było, to jak widok z samolotu: zabawki dziecinne.

— A jednak takiej masowej rzezi jak ta, jeszcze chyba nie było.

— Dużo zależy od formy. Ja, ot, siedząc w Mińsku, nie wychodząc, żeby mnie nie aresztowali i nie zastrzelili czasem, czytałem z nudów starą historyczną książkę o bitwie pod Lipskiem w roku 1813. Trzy dni tylko trwała. I na małej przestrzeni kilkunastu zaledwie kilometrów poległo 116 tysięcy ludzi. Pani niech sobie przedstawi na odległość dzisiejszych pocisków. A wtedy w ciasnocie, przeważnie własnymi rękami, bagnetem, szabłą, w żywe ciało ludzkie, jeden drugiego, faktycznie zarzynał. To była treść. Ale na obrazkach w tej książce — forma: piękne kaski, pancerze kirasjerów, proporce, szamerowania huzarskie, kolorowe mundury. Tak? A w rzeczywistości, pokryte były mazią rozrąbanych mózgów, krwią, wylazłymi kiszkami. Co to musiał być za straszliwy kwik i jęk.

— Nie znam się na bitwach. Myślę raczej o stosunku człowieka do człowieka.

— Przepraszam, a czy to nie bardzo dawno powiedziano: „człowiek człowiekowi wilkiem jest”?

— To poeta, Titus Plautus, dwieście lat przed Chrystusem.

— Proszę. Pani jest uczona kobieta. A ja synem kościelnego stróża.

— Widzi pan: dziś nie wilk, a olbrzymie stada kolektywnych wilków, prześladują człowieka.

— Stada! A w wojny religijne, to nie były stada?

— Dlaczego pan uciekł z Sowietów?

Anton zwyczajnie podrapał się za uchem, skłaniając przy tym głowę trochę na bok i marszcząc czoło.

— Myślę... Ech, parszywe życie, tam.

W tej chwili podszedł do ich stolika wysoki mężczyzna w cywilnym ubraniu; skinąwszy lekko głową i okazując przelotnie jakby medal na dewizce od zegarka, niezrozumiale coś powiedział. Antoni stropił się.

— W porządku — odezwała się do nieznanomego Nastazja, sięgając do torebki i wyjmując z niej legitymację. Tamten wziął, przeczytał, przeprosił i oddał się. Anton nie pytał. Ona sama powiedziała: — Agent Gestapo. Rozmawiamy głośno po rosyjsku. — Ale nastrój prysł. — Zagadaliśmy się. Chodźmy spać. Pan pewnie zmęczony podróżą.

Miała mieszkankie złożone z trzech pokoi. W domu była kilkulletnia córeczka pod opieką starej ciotki, która przed samą wojną przyjechała z Szanghaju. Córeczka nazywała się Irmgard i już spała. Na przyjście matki zbudziła się i zaczęła dużo opowiadać

o tym, co przeżyła tego dnia. Anton słyszał z drugiego pokoju, że matka z córką rozmawiały po niemiecku.

— Jutro opowiesz. I ja tobie opowiem dużo ciekawych rzeczy. A teraz spać!

Ciotka przyglądała się gościowi nieprzyjaźnie. Posłano mu w stołowym na kanapie. Leżał zmęczony podróżą, przeżytym dniem, rozmową, nagłym oczarowaniem... I po zgaszeniu światła, nawet po zamknięciu oczu, widział jeszcze pod powiekami tę matową cerę z cieniem padającym od rzęs i dłaczegoś myślał, spodziewał się, że przyjdzie. I zasnął.

Nie przyszła, naturalnie.



Gdy zbudził się nazajutrz, jej już nie było. Poszła do biura. Ciotka nałała mu kawy do przygotowanej filiżanki. Pod spodkiem papier, koperta i kartka od niej by nie zapomnieli napisać „raportu” i zostawił w domu w zapieczętowanej kopercie. Obok kartka, z dokładnym adresem na Bleibtreustrasse.

Nie poszedł jednak na tę „Bądź-wierny-ulicę”. Na stole leżał stary numer organu hitlerowców rosyjskich, „Nowoje Słowo”. Według adresu w gazecie, pojechał na Alexanderplatz, stamtąd krętymi uliczkami do lokalu redakcji.

— Chciałbym widzieć redaktora.

Dwóch współpracowników i maszynistka podnieśli głowy, przyglądali mu się ciekawie, milcząc. Wreszcie jeden wstał ociągając.

— Zapytam — mruknął.

Redaktor o czarnych włosach, raczej podobny do Greka, przyjął go, sztywno wskazując krzesło. Odsunął przy tym nieznacznie prawą szufladę. Anton wyjął swój dokument i pokazał. Redaktor przeczytał, zwrócił mu, zaproponował papierosa i odrzucił się jakoś bokiem na oparcie fotela. Patrzył zimnym, opanowanym wzrokiem w twarz przybysza.

— Gazeta pana nie dociera na tereny okupowane — zaczął Anton. — Dlaczego?

— Nie mamy debitu na rosyjskie tereny. Zabronione.

— Właśnie to mnie zainteresowało. Chciałem zapytać pana redaktora... Zdaniem pana... Chciałem zapytać, czy jest jakiś konkretny program niemiecki w stosunku do Rosji?

Redaktor patrzył nań przez jakiś czas milcząc. Może o kilka sekund za długo.

— Jest — odpowiedział sucho.

— Mianowicie?

— Gównno.

Anton uniósł brwi.

— To znaczy co, zaden?

— Dlaczego? Właśnie jest. Zrobić z całego narodu gównno. To ich program. — I patrzył, wciśnięty bokiem w poręcze fotelu.

Panisienko nie uśmiechnął się. Minęła dobra chwila, zanim zapytał:

— Dobrze, a pan?

— A ja, co?

Anton przemilczał. I nagle ten, z pierwszego pozoru zimny i opanowany człowiek, zmienił się zupełnie. Zatrząsł się jakoś na siedzeniu, najpierw dłonie, a później ramiona zaczęły mu latać, wymachiwał nimi wykrzykując:

— A ja, co?! Ja co mogę zrobić?! Ja... Co pan rozkaże zrobić?! Ja... Tylko myślę jak z tego wyskoczyć!... Gdzie się podziać?!... Dokąd?!... Co zrobić?!... Ja... — zakrzuszył się.

Tego Anton nie oczekiwał. „To jakiś chory człowiek”, pomyślał. — Drzwi obok się otworzyły i ukazała się w nich twarz współpracownika z pierwszego pokoju. Redaktor zaciął usta i patrzył w biurko. — Panisienko pożegnał się.

Rozpytał o drogę policjanta na ulicy, siadł do tramwaju i pojechał na Bleibtreustrasse. Dzień chmurny, jasną szarością odbijał od asfaltu. Ulica była pusta. Jedna jakaś dziewczyna szła na przeciw. O dziesięć kroków przed nim zatrzymała się, zakasała spódnice odsłaniając gołe uda przecięte czarną podwiązką i białe majtki, i z nachyloną głową coś niby w nich poprawiała. Nogi miała rzeczywiście śliczne. — „Nie zaryzykowałbym jej zaczepić...”, pomyślał i odwróciwszy twarz, szukał numeru kamienicy. Na parterze, z otwartego okna wyglądało na ulicę dwóch ludzi w paltach. Z nudów śledzili oczami jego zbliżanie. Starszy poziewał, młodszy palił papierosa. Anton spostrzegł numer nad drzwiami wejściowymi i zatrzymał się przed oknem.

— Czy tu mieści się Komitet Rosyjski? — zapytał łamaną niemiecką.

— Zachodźcie, zachodźcie — odpowiedział starszy po rosyjsku.

W obszernych sieniach zęgnął się właśnie z tym młodym:

— No, ja, Iwanie Piotrowiczu, na razie po kartki żywnościowe na Burgstrasse. Zostawajcie z Bogiem.

— Najlepszego — odpowiedział tamten, wyciągając rękę.

Nikogo więcej w lokalu nie było widać. Iwan Piotrowicz objaśnił Antonowi, że przewodniczący jest nieobecny w Berlinie. Ale jest generał... Panisienko nie dosłyszał nazwiska, gdyż stanął w tej chwili w progu otwartych drzwi do wielkiej sali. Ciągnęły

się w niej od ściany do ściany puste, puste, puste rzędy krzesel, a na wprost, z podium, patrzył na te krzesła z olbrzymich ram portretu w całej postaci, cesarz Mikołaj II-gi. Anton po raz pierwszy w życiu widział go takim, w pełnym majestacie, w złoceniach, z koroną Monomacha na głowie, górującego nad masą pustych, giętych krzesel „wiedeńskich”. Dlatego stał urzeczony tą panoramą i zdawało mu się nawet że oczy ich spotkały się.

— Generał prosi — usłyszał głos Iwana Piotrowicza.

Znad biurka wstał na powitanie starszy pan w nieskazitelnym uszytym ciemnym w prążki garniturze. Anton wymienił swoje nazwisko.

— Pana kto skierował?

— Nastazja Ipolitowna.

— Niech pan siada.

Słuchając krótkiej relacji Antona, starszy pan poprawiał na stole staromodne przybory piśmienne.

— Naturalnie to zależy od poglądów i od podejścia do rzeczy. Pan jest z Moskwy. Był pan kiedy członkiem partii?

— Nie.

— Nie? U nas krąży powiedzonko, że na Viktoriastrasse: „człowiek zaczyna się co najmniej dopiero od byłego kandydata partii komunistycznej”... Sprowadzają teraz jakichś młodych studentów z Le-nin-gra-du — wymówił tę nazwę z nieukrywanym obrzydzeniem. — Modna jest teraz „stawka na młodzież”. Cóż, Bogu miłe przedsięwzięcie, gdyby nie musiała być koniecznie „socjalistyczna”. Niech pan nie zapomina, że NSDAP jest partią i „socjalistyczną” i „robotniczą”. — Przytknął wygolony podbródek do krawatu, strzepnął palcami jakiś pyłek z kłapy marynarki, zdmuchnął go jeszcze i znowu podniósł wzrok. — W obozie jeńców Dabendorf, stąd trzydzieści kilometrów, rządzi niejaki Fedor Iwanowicz Truchin, były lektor sowieckiej akademii sztabu generalnego, a ostatnio szef sztabu sowieckiej armii bałtyckiej. Mówią, że porządny człowiek. Tak, otóż tam, w tym obozie wychodzi teraz gazeta, nazywa się „Zaria”. Nie wiem, ale na mój smak, to ten „Świt” jest gazetą marksistowską. A redaguje ją niejaki Miletij Aleksandrowicz Zykow. Nowa gwiazda, którą tamci protektorzy niemieccy noszą na rękach i zamierzają powiesić na firmamencie.

— Może „Sidorczyk”? — wtrącił Anton, spodziewając się że zaskoczy tym sloganem.

— Nie wykluczone. Były zastępca głównego redaktora „Iz-wiestii”, żonaty z córką narkoma oświaty Bubnowa; kwiat leni-nowskiej szkoły. Zresztą Zykow to jest jego pseudonim. Ucierpiał

w okresie stalinowskiej czystki. Wypuszczony podczas wojny i mianowany politrukiem korpusu czerwonej armii na rostowskim odcinku. Gazetę robi doskonale i ostrożnie, to trzeba przyznać. Ale między wierszami przebija jasno hasło: „poprawiać wypaczoną przez Stalina piękną puściznę Lenina...”. Wybacz pan, może jest pan zupełnie odmiennego zdania niż ja. Ale mnie z nimi nie po drodze. Naturalnie nie ma nic do rzeczy śmieszny fakt, że ten Zykow jest w dodatku ponoć Żydem.

— Żyd! U Niemców?!

— Ach, nie takie rzeczy się wyrabia. To zresztą nie ważne.

— Jakaż jest więc nadzieja, generale?

— Nadzieja jedna tylko i jest...

— Zachód?

Starszy pan spojrział bystro na Antona, opuścił powieki i palcami prawej ręki zmiął skórę na podbródku.

— Zadanie główne — podjął równym głosem — polega na tym aby nie dopuścić do znaku równania pomiędzy Rosją i Sowietami.

— Ale przecież teraz, właśnie najbardziej Zachód popiera...

— Co „teraz”, to nie ważne. Tam jest Churchill.

— Więc co robić, generale?

— Trudno jest mnie... — położył nacisk — coś panu radzić. Jakie pan ma dokumenty, po pierwsze?

— Nastazja Ipolitowna...

— To w porządku. Tutaj, cóż pan może robić? Tu nic. Gdyby na przykład pan był w Warszawie...

— To nie na mojej linii, generale. Po mojej linii Wilno-Mińsk-Smołeńsk.

— Też niezła trasa. Aha, gdyby, przypadkowo, zahaczył pan o Wilno... Ja panu, naturalnie, nic nie radzę, a tak tylko sobie mówię, że gdyby pan tam wysiadł, to mógłby pan tam porozmawiać. Nazywa się: Rogożyn, Jurij Wasiliewicz. Adres, — wyjął z szuflady jakąś książkę. Normalną, drukowaną książkę. Powieść chyba. Przerzucał kartki. — Adres: Zwierzyniecka 8. Lepiej nie zapisywać. Łatwiej go pan zastanie zresztą w pewnej kawiarence pod numerem 6-tym, przy głównej ulicy. Od 1914 roku ulica ta chyba dziesięć razy zmieniła nazwę. Więc ciągle zapominam. Główna, słowem, lipami wysadzana.

Anton Panisienko, gdy znalazł się znowu sam jeden na chodniku, przystanął, pomyślał o tym i owym, rozpiął palto, poprawił źle złożony szalik na szyi, zapiął palto. (Patrzącemu nań z boku,

mógł się wydawać zwyczajnie człowiekiem, który się właśnie zastanawia, co ma najpierw załatwić w mieście).

I udał się na Viktoriastrasse 10.

XXX

Dawno już na polach minowych zakwitły kwiaty. Z samosiewu poszły między drutami bratki polne, macierzanka, dziurawiec, rumianek pospolity. Krwawnik przerastał je o głowę, między szafwią i skrzypem polnym. Żółte mleczce oblekały się gdzieniegdzie w pierzaste kule, a wiaterek rozwiewał nasiona nisko nad trawami jak miniaturowe bomby na spadochronach. Nikt tego nie deptał, nie kosił, nie zbierał na lekarstwo. Jeź, po swojemu ostrożnie, rozsnuwał pyszczkiem gęstwę łądyg, przechodził pod drutem kolczastym w pole i miał jeszcze, gdyby chciał, pół kilometra żytem, łąką, sznurem gryki, zanim osiągnął las sosnowy. Zresztą ściana lasu, takiego i siakiego, otaczała wieś ze wszystkich stron.

O tej porze — gdy zaczynało już świecić słońce podczerwcowe, a kopulaste obłoki nie mając nic do roboty stały tylko nieruchome dla dekoracji nieba — wieś Znachorki umocniona była po dwóch przeciwległych rogach, w swoisty sposób. Od południowego wschodu szedł zasiek wysokich na dwa metry drutów kolczastych, dalej wspomniane pole minowe, założone z sowieckich tzw. „piechotek”. Zygzakiem tajne przejście do linii ruchomych kozłów-hiszpańskich, za nimi znowu pas pola minowego i potajemny zygzak przejścia do trójkąta krytej od zewnątrz palisady z mocnych bierwion o bocznych strzelnicach. U szczytu trójkąta gniazdo na ciężki karabin maszynowy z obstrzałem na 180 stopni. Główne wejście do korytarza krytej palisady i całej fortecy znajdowało się od strony wsi, dokładnie z podwórza skrajnej chaty Prochora. Drugie, identyczne umocnienie, oskrzydlało od północnego zachodu. Tylko że tam, od zewnętrznego zasieku drutów aż do młodego lasu, ciągnęły się bruzdy kartoflane. Wieś mogła bronić się skutecznie ogniem zaporowym dwóch przeciwległych kulmiotów, oraz linią strzelców wzdłuż obwarowanych opłotków, wśród gumien, chmielu, pokrzywy i chlewów.



Do takiego ufortyfikowania doszło nie od razu. Poprzedzała je wcale zawiła historia.

Wieś była w większości starowerska, pobożna, w głębokich lasach na południowy wschód od Połocka, po lewej stronie Dźwiny. Od czasów reform patriarchy Nikona w XVII wieku, pokolenia przekazywały tradycję, że światem prawosławnym począł zarządzać Antychryst. Gdy w roku 1918 zszedł on na tę ziemię w dwójcy — (bądź ona przeklęta!) — Lenina-Trockiego, spadały na wieś liczne represje. Głowa rodu, powszechnie szanowany za sprawiedliwość i pobożność, Bazyli Zacharow, który z pierwszej wojny wrócił feldfeblem saperów, był trzy razy przez bolszewików aresztowany. A ostatnio wypuszczony z więzienia dopiero na cztery miesiące przed wybuchem wojny niemieckiej. Latem 1941, spotykali Niemców bardziej niż inni, niskim pokłonem i nawet wychodzili na szersze drogi powitać ich chlebem i solą jako wybawicieli, bo przez znachorskie lasy żaden poważny oddział nie przechodził (w ogólnym marszu na Wielkie Łuki, Toropiec, Ostaszkw nad jeziorem Seliger).

Wkrótce Bazyli Zacharow pojechał do Uszczarów, do pierwszego feldkomendanta z zapewnieniem, że wieś ich wypełni kontyngenty, jeżeli pozwolono będzie rozwiązać kołchoz. Szpakowaty kapitan rezerwy, Krause, w cywilu handlarz firanek w Worms, któremu się zdawało że tak właśnie powinno być, mianował go burmistrzem Znachorek. Na zebraniu gromadzkim wsi, Bazyli zaproponował aby ściśle, według starych wykazów, utrzymać normę dostaw, jak było za kołchozu; wszystko zaś inne, co marnowało się dotychczas na rozmaite obowiązki, zsypy, rezerwy, niszczało, oraz wszystko co wyprodukuje prywatnie chłop, zataić i zabierać sobie. — „To będzie sprawiedliwie” zdecydowało zgromadzenie.

Pierwszy kontyngent dostarczony był akuratnie. Ale jesienią przyszli partyzanci z niedużego oddziału Wasiliewa-Młodszeo, obrabowali wieś, zwołali ze swej strony zgromadzenie i zapowiedzieli że jeżeli dostawy dla Niemców się powtórzą, spalą wieś doszczętnie, a młodych zmobilizują. Chłopi uradzili, że trzeba z Wasiliewym pertraktować. Wasiliew wyznaczył miejsce spotkania w lesie. Zacharow posłał Prochora, człowieka rozsądnego, że przyjść osobiście nie może, gdyż jest chory. Niech Wasiliew przyjdzie sam do wsi, wypiją po jednej-drugiej samogonu i rzecz obgadają w ciepłej izby. Tymczasem kazał po cichu wykopać gdzie u kogo jaka broń była zakopana. I sam wykopał stary „Nagan” jeszcze z pierwszej wojny, ukryty pod klepiskiem gumna.

Bazyli Zacharow był człowiekiem nie pijącym, jak większość starszych wyznawców religii nie skazanej reformą Nikona. Nie palił też „diabelskiego ziela” w postaci tytoniu. Ale był dobrym organizatorem. Kazał więc nawarzyć znaczną ilość samogonu, bo jak raz w tym czasie podkreślił się do nich delegat z lasu, nie od

partyzantów, a od bandy „okrużeńców”, z propozycją sprzedania części broni za chleb i samogon. Widocznie wiatrem jesiennym rozniosła się pogłoska, że wieś ma jakoweś trudności z partyzantami. Trzeba było jednak postępować ostrożnie. Zacharow wysłał tedy do „okrużeńców” swego najstarszego syna, Kuźmę, aby się wywiedział, nie nalegał, nie okazywał zbytniej gorliwości, ale możliwie broń sam nawet obejrzał, co i w jakim stanie... Grał na zwłokę.

Na czwarty dzień — na umówiony znak przegięcia żurawia studziennego do pozycji poziomej, co oznaczało że czekają — przybył z lasu Wasiliew w asyście tylko jednego towarzysza, zaproszeni w tajemnicy do chaty Prochora. Wasiliew był to ogromny, potężnie zbudowany mężczyzna, dlatego obrał sobie przewisoko: „Mały”. Jego towarzysz, „Aliosza”, średniego wzrostu i raczej wątłej budowy. Sądząc na oko, musiał być politrukiem oddziału. Rolę jakby „neutralnego” gospodarza, odgrywał Prochor. Zacharow przyszedł z młodszym synem, Demianem, parobczakiem o głowę wyższym od ojca. Samogon i zakąski były już na stole. Bazyli otwarcie nie pił, umaczał tylko raz-drugi wargi, wygładził brodę i tłumaczył się chorobą; niezbyt kiszek, co było naturalne i usprawiedliwione, boć przecie z powodu choroby nie mógł pójść na spotkanie do lasu. Syn jego skrycie pił mało. Za to tym więcej podlewano gościom. — Czy Prochor był wtajemniczony w plan? Różnie o tym później mówiono. A plan Zacharowa był prosty: gdy goście będą pijani, on sam zastrzeli Wasiliewa; a syn jego, z braku drugiego pistoletu, rozwali czaszkę mniejszemu „Antychrystowi” siekierą. Zakopią i śladu nie zostanie.

Biesiada się przeciągnęła. Bazyli dla zmylenia targował się zawzięcie o warunki porozumienia, podlewał samogonu. Wasiliew jednak miał mocną głowę, nie pjaśniał, podczas gdy jego towarzysz już zaczął się słać na ławie. Dłużej przeciągać było nie podobna.

Zacharow wyrwał raptownie „Nagan” zza pazuchy i strzelił z długiej lufy, nieomal przykładając ją do piersi Wasiliewa. Ten zerwał się jednak, i mimo rany rzucił na Zacharowa, przewracając stół... Omal, a zacisnęłaby nim przeciwnika, łącznie z ławą na której ten siedział mu naprzeciw. Bazyli z niewygodnej pozycji, prawie padając w tył, zdążył jednak strzelić drugi raz, trafiając partyzanta między oczy! Wasiliew okręcił się wokół i runął olbrzymim cielskiem na kant przewróconego stołu... Ale w tej chwili zaszła rzecz nieoczekiwana: syn, Demian, z siekierą w rękę, zbladł, zawałał się, osłabł w nogach, czy nie potrafił się przemóc. „Aliosza” zaś wytrzeźwiał w sekundę i biały jak płótno na twarzy, chwycił dłonią za rękojęść swego „Mausera”... Gdyby zdążył wy-

ciągnąć, miałby przewagę nad Bazylim... Wtedy to Prochor błyskawicznym ruchem wyrwał siekierę z rąk Demiana, i zadał piorunujący cios na ukos przez skroń i policzek bolszewika! Powtórzyl raz jeszcze po ciemieniu i jak w obłądzie, raz jeszcze po rozłupanej czaszce!

Stół, ławy, samodziółowa serweta, spadły na podłogę naczynia i jadło, wszystko pływało w krwi rozcieńczonej rozlanym samogonem, zmieszane z odpryskami mózgu. Nie było czym dyszeć we wstrętnym zaduchu izby. Demian wyskoczył z sieni na podwórze, chciał uciekać przed siebie, ale straszne mdłości zasznurowały mu oddech. Wsparł czoło o belki ściany i rzygał, zdawało się wnętrzności wyskoczą mu przez gębę.

Zdobyli w ten sposób przy okazji, dwa doskonałe pistolety, jedną „pepeszę”, oraz cztery lekkie granaty. Bo goście przyszli uzbrojeni po zęby. Najważniejsze pozbawiono partyzantów za jednym zamachem i ich dowódcy i politruka. A tu w międzyczasie syn, Kuźma, zawarł korzystną transakcję z „okrużnięciami”. Kupił u nich za chleb, kaszę i samogon (ojciec z dobrego serca kazał dorzucić dwa półcie słoniny) pięćdziesiąt sztuk granatów typu obronnego, kilkanaście karabinów z amunicją, oraz dwa ciężkie karabiny maszynowe.

Gdy któregoś dnia, ostrożnie wyłonili się z lasu partyzanci, spotkani zostali ogniem. Następna ich próba również została odbita. A w krótkim czasie jeden ze zbiegów doniósł, że oddział się rozproszył. Niektórzy z nich, opowiadał, poszli szukać mocniejszego oddziału, przyrzekając zemstę.

— Niech straszą. Ja i nie przez takich bywałem straszony...
— odpowiedział Zacharow.

Pojechał do Uszaczów, ale starego feldkomendanta już tam nie było. Mówiono, że na zmianę ma przyjść władza cywilna. To była zła wiadomość. Pojechał tedy aż do Połocka. Przedstawił „Ortskommendantowi” rzecz jak była i jak jest: partyzanci nie dają żyć; trzeba się bronić; broni nie ma itd. — Wiadomość o jego zwycięstwie już tu dotarła. W rezultacie pertraktacji otrzymał stare karabiny sowieckie ze składów zdobyczej broni; kilka furmanek drutu kolczastego; sowieckie miny „piechotki” i podobne graty. Co ważniejsze jednak, polecenie zorganizowania własnej „policji” nie tylko w Znachorkach, ale i w kilku sąsiednich i dalszych wsiach, nad którymi miał sprawować teraz komendę.

— Byłeś burmistrzem, teraz będziesz coś w gatunku „nadburmistrza”, kape? — Poklepał go pobłażliwo-łaskawie tłumacz po plecach. — Tylko dostawy, żeby były regularne! Kape?

Bazyli kiwnął głową.

Saper z wykształcenia wojskowego, ufortyfikował wtedy Znachorki, niby stolicę swej leśnej „respubliki”, do której chętnie włączyły się Kowalewicz, Krasawszczyzna, Wołotowka, Krasnołuki i Wobłoczje.

Lecz oto pewnego dnia przyleciał na spienionym koniu goniec z Wołotowki:

— Niemcy przyszli! Bydło wyganiają!

— Jacy Niemcy?!

— A ch... ich śmiertelny wie! Po znakach, jakby zandary jakieś.

— Dużo?

— Sztuk dziesięć będzie.

— Kuźma! — krzyknął Zacharow. — Bierz, synek, ludzi z pełnym uzbrojeniem, i skacz na wszystkich płozach! Opaski niech włożą! Po drodze zabierz naszych z Kowalewicz. Nie daj brać! Powiesz, umowa stoi z Połockiem, że bez mego pozwolenia ani jednego jajka!

Kawalkada trzydziestu zbrojnych wpadła do Wołotowki jak burza śniegowa! Zdawało się skry pójdą z pod płóz. W tumanie pary bijącej od koni, Niemcy w pierwszym odruchu chwycili za broń, ale rozpoznali opaski policyjne na ramionach. We wsi, w mroźnym powietrzu, wisiał lament bab. Jedną, która upierała się nie otwierać wrót do chlewu, Niemiec pobił do krwi. Chłopi stali w ulicy ponuro milcząc. Kuźma wyskoczył z pierwszych sań z automatem przewieszonym na lewym łokciu.

— *Was ist los?!* — warknął na niego podoficer.

— Gdzie komendant?!

Podoficer mierząc go podejrzliwym wzrokiem, jakoś machinalnie wskazał kciukiem chatę sołtysa. Kuźma wbiegł po schodkach nie otrzepując śniegu z butów.

W sowieckie czasy ukończył on technikum w Mińsku i nawet trochę uczył się języków w własnego popędu. Miał lat dwadzieścia siedem. Postawny, nie tak wysoki jak brat Demian, ale od tamtego silniejszy. Inteligentny, „bystry z natury”, jak mawiał ojciec. — W izbie stał feldfelbel i gardłowym, niezrozumiałym wrzaskiem obrzucał gospodarza. Ten, z umęczonym wyrazem twarzy, naprawdę czy udawał, nic nie rozumiał. Kuźma z miejsca, ostro, łamanym niemieckim zaczął wyjaśniać, że brać nie mają prawa, bo według umowy...

— *Was?! Rrrecht?! Du Schweinehund! Rrraus!!!* — Czerwona twarz aż poburaczała mu z wewnętrznej pasji.

Kuźma nie ruszył się i chciał mówić dalej. Wtedy feldfelbel z całego rozmachu trzasnął Kuźmę w twarz! Ten cofnął się tylko

o pół kroku, ciemne jego oczy zdały się zupełnie czarne na tle poblaskłej twarzy, czut' pochylił się w bok i piorunującym ciosem prawej pięści w szczękę, zwalił Niemca na podłogę. I zanim ten oprzytomniał, zerwał zeń pas z pistoletem.

— *Rrraus!* — krzyknął z kolei Kuźma, wskazując drzwi trzymanym w rękę pistoletem. Instynktowny rozsądek podpowiadał mu aby nie posuwać się dalej. O, Kuźma potrafił w lot chwycić i wyciągać wnioski z sytuacji. Miał to po ojcu, w głowie. Do ostateczności doprowadzić, wiedział, zawsze jest czas. Na razie siła po jego stronie. I tak się też stało.

Ogłuszony feldfelbel wytoczył się z chaty i również ocenił słusznie sytuację, ujrawszy tłum uzbrojonych ludzi pod tak nieustraszoną komendą. Tu samym koszarowym wrzaskiem, nie ułękiesz. A narazić siebie i ludzi, w tej nie zupełnie jasnej sprawie, znaczyłoby narazić się na niepewne reakcje przełożonych. Zawodowy podoficer znał się też cokolwiek na taktyce wojennej: dobre jest to co się udaje, a nie to co się nie udaje.

Niemcy wycofali się z Wołotowki, nie zabierając ani jednego cielaka. Naturalnie feldfelbel złożył natychmiast meldunek, domagając się ukarania winnych, wysłania ekspedycji karnej i rozbrojenia „tej bandy rzekomej policji miejscowej”. Ale nie wypadł mu ten raport zbyt jaskrawo... Fakt, że on sam został uderzony w twarz i zabrano mu pistolet, ze względu na pragmatykę służbową pominął milczeniem. Przeciwnie, rzecz była przedstawiona w ten sposób, że tylko zawdzięczając jego zimnej krwi i zastosowania taktyki dopasowanej do okoliczności, nie doszło do niepotrzebnego narażenia podległych mu ludzi na straty. Niemniej rzecz się wydała i feldfelbel zesłany został wkrótce karnie na front. Nie za to, że zabierał bydło, ale za to, że dał się rozbroić.

W głuche, zaśnieżone lasy, nikt się tak bardzo nie kwapił. Poszły telefony, krzyki w słuchawkę, trzaskania na przemian to dłonią, to pięścią w stół. Najbardziej pienił się za to odpowiedzialny:

— Co za idiotyzm! — ryczał w słuchawkę komendant wojskowy w Połocku. — Ja chcę mieć spokój od partyzantów w terenie i gwarancję regularnych kontyngentów! I gdy wreszcie osiągam jedno i drugie, przychodzi jakaś policyjna Schwein i psuje mi całą akcję! Pod sąd takiego idiotę za sabotowanie interesów wojennych!...



Działo się w czasie konkurencyjnej zwady o kompetencje i *prestige*; w czasie tarć przeróżnych instancji między sobą. Rzecz

komplikowała jeszcze okoliczność, że w istocie nie było jasnego rozgraniczenia i nie wiadomo czy ów teren wchodzi administracyjnie do generalnego komisariatu Białorusi, czy Łotwy, czy zgoła tyłowego zarządu wojskowego. Reichskomisarz Ostlandu, Heinrich Lohse, w notorycznej wojnie o swoje prawa z Rosenbergiem, z ministerstwem propagandy, ze sztabem gospodarczym Göringa, z Saucklem o rekrutację robotników, a z Wehrmachtem w stanie takiego zadrażnienia, iż doprowadziło nawet do osobistego starcia i spoliczkowania generała Braemera, dowódcy wojskowego w Ostlandzie — znajdował się w szczególnie ostrej fazie zatargu z główną władzą policyjną. W tym wypadku było inaczej, niż zazwyczaj. Wewnętrzne fronty poszczególnych instancji przesunęły się nieco ekscentrycznie. Lohse był wściekły na podwładnego mu generalnego komisarza Estonii, Litzmanna, że za jego plecami knuje projekt autonomii, czy nawet przywrócenia niepodległości krajom bałtyckim i konspiruje w tej rzeczy z generałem von Kuchler, dowódcą grupy wojsk „Północ”, a także z przedstawicielem ministerstwa spraw zagranicznych w Rydze, Adolfem Windecke-rem. Nieoczekiwanie projekt „autonomii” został gorąco poparty przez SS-Polizeiführer’a na obszar Ostlandu, postrach ludności cywilnej, Friedricha Jeckeln’a. Temu chodziło bowiem o otwarcie drogi dla jawnej i masowej rekrutacji do pomocniczych wojsk bałtyckich pod komendą SS. A do tego potrzebna była chociaż fasada „niezależności”. Natomiast Lohse obawiał się, że po wprowadzeniu „autonomii” utraci swoje stanowisko. I oto stanął wobec wspólnego frontu, złożonego z szeregu „probałtyckich” urzędników własnej administracji, wojska i SS. Najgroźniejszym przeciwnikiem było oczywiście SS. Rosenberg zajął stanowisko wahające. Wtedy Lohse, ponad jego głowę, zwrócił się wprost do Bormanna, co w praktyce znaczyło: samego Hitlera. — Tamci działali pod przykrywką: „Uproszczenia niemieckiego zarządu”. Lohse zasachował gestem w kierunku „wojska”, uznając, iż wystarczy ten samorząd, który powołały uprzednio władze wojskowe. A o władzach policyjnych wypowiedział się otwarcie: „Jeżeli stosować będziemy dotychczasowy przymus policyjny, to dostaniemy z kraju coraz mniej”.

Hitler, nie wnikając w te kłótnie, odrzucił kategorycznie myśl o jakiegokolwiek autonomii. A Jeckeln, z własnej inicjatywy i na własną odpowiedzialność, rekrutował z Łotyszów i Estończyków oddziały Waffen-SS. Rekrutacja była dobrowolna. Chętnych zgłaszało się dużo.



Wśród takich to nastrojów i powikłań na wyżynach, do któ-

rych strach by nawet było głowy zdrzeć z tej strony lasu — otrzymał Bazyli Zacharow w Znachorkach wezwanie, aby stawił się do Połocka.

— Nie jedź, papko — powiedział krótko Kuźma.

— Nie jedź, lepiej... — doradził po namyśle Prochor.

— Nie jedź, stary — zawyrokowała żona Jewtolia, zwana Jaustolą.

— Dziatki moje, ja i bez was wiem, że nie pojedę — odparł Bazyli. I kazał przez zaufanych pośredników, komendantowi w Połocku odpowiedzieć:

„Albo wszystko zostanie po staremu, albo wsie mogą wprawdzie łatwo spalić, owszem, ale dostaw nie będzie żadnych, a na ich miejsce powstanie taka partyzantka w lesie, jakiej jeszcze nie widział! Ot, jak”.

I zostało wszystko po staremu. Ale od tej chwili autorytet Zacharowa wzrósł w całej okolicy ogromnie. — „Prawda, że jak we własnym, mówili, państwie rządzi i nie boi się nikogo”.

Wezwał on podległych sobie „burmistrzów” na naradę, a właściwie na odprawę. Ustalił kontyngenty. Wyznaczył komendantów policji. Zaopatrzył w broń i amunicję. Ustanowił system sygnalizacyjny i alarmowy. I tylko prosił, żeby za dużo samogonu nie pędzili, zdrowia z łaski bożej danego, nie psuli. No, ale masierozumieć, po zakończeniu odprawy sami trochę wypili na rozgrzewkę. I wyciągnął ktoś harmonię:

*„Ty-ż maja, ty-ż maja,
Przepióreeeeeeczka...”*

A i pogoda jakoś zmiękła. Mrozy ustały. Spokój jednak nie panował długo. Pewnego dnia przyszedł z lasu okrużeniec, zatrzymany przez wartę na południowym umocnieniu Znachorek, powiedział: „chce do waszego naczelnika”.

— Ty co? — zapytał go Zacharow — na przespiegi tu przyszedł, a?

— Nie — odpowiedział przybysz rzeczowo. — Nie na przespiegi, tylko mnie Szczerbin, dowódca oddziału posłał. Z taką mianowicie propozycją: „Was, powiedział, wszystko jedno Niemcy wyduszą, prędzej czy później. Nie darują oni swego. Więc lepiej stare między nami urazy zapomnieć, powiedział, i łączność nawiązać we wspólnej sprawie. Jeden drugiemu pomóc. Czy wy, zapytuje on, gotowi byliby do rozmów w takiej sprawie, czy nie?”

— Ty obiad jadł?

— A gdzie mnie było jego jeść...

— To zachodź do chaty, zjesz z nami.

Podczas obiadu rozmawiano o rzeczach obojętnych. Trochę o gatunkach różnych samogonu; trochę o Bogu, czy jest On, czy nie ma; trochę o okrążeniu latem czterdziestego pierwszego i jak wydostał się z niego; trochę o losie psów.

— Niemcy — mówił gość — chcieli początkowo wyniszczyć wszystkie psy po wsiach, żeby sami mogli niezauważeni zaskakiwać. Ale później postrzegli, że takim sposobem i partyzanci mogą niezauważeni zaskoczyć ich samych. To psów pozwolili zostawić. A teraz partyzanci: też chcieli psów wyniszczyć, bo szczekanie podnoszą jak nocą do wsi podpełzają. A później również przyszli do rezultatu, że lepiej zostawić, bo i Niemcy mogą cicho podpełznąć. Takim porządkiem psy przy życiu zostały. Jak to każda rzecz na świecie, nawet sobaczy los, ma dwa końce pałki.

Skończyli obiad. Zacharow przeżegnał się szeroko, wytarł brodę.

— No to o psach właśnie i ja chciałem powiedzieć. Pójdzies i odpowiesz temu bolszewikowi co ciebie przysłał, tak: Jak spróbuje zbliżyć się tylko do wsi, to mnie i amunicji na niego będzie szkoda. Prosto psami poszczuję. Powtórzysz?

— Cóż, powtórzyć można wszystko.



Sława Bazylego Zacharowa rozeszła się szeroko. Stąd i do Tarankowicz ona dotarła. Michał Kuszelenko, sam, nie raz pomyślał: czy do Niemców na niego jakiś donos zrobić, czy partyzantów na niego napuścić, czy też może poszukać z nim jakiego wygodnego porozumienia?

Tymczasem po ostrej odpowiedzi danej Szczerbinowi, przyszedł okres niepewności. Nie strachu, ale trzeba się było mieć na baczności. Wszystkie sześć wsi postawione zostały w stan ostrego pogotowia. Warty przy umocnieniach w Znachorkach potrojone. A przede wszystkim należało zorganizować sieć głębszego wywiadu. Rozesłano zaufanych pod różnym pretekstem i bez pretekstu, do dalszych wsi, wywiedzieć się co słychać? O czym ludzie gadają?... — I oto pewnego wieczoru przyszedł słuch, prawda-li to, czy tylko tak sobie ludzie w Rejtpolu gadają, jakoby od Berezyny posuwa się jakiś nowy oddział, już nie partyzantów, a desantników z Moskwy. A niektórzy nawet mówili, że na podmołę Szczerbinowi...

Zacharow aż do nocy przeżuwał coś w sobie milcząc, ale przed

pójściem na spoczynek nie wytrzymał i zawezwał do siebie Kuźmę.

— Ot co. Podczepisz jutro do świtu, z Pawłem Chromowym, narty. Jak raz na mroziak poszło i będzie wam wszędzie droga, że w dwie godziny świat oblecicie! Dajcie się na Rejtpole, a stamtąd posuńcie możliwie głęboko na wschód. Popatrzcie okiem, posłuchajcie uchem. Śladów też na śniegu w lasach. Nu, słowem...

Kuźma już wiedział o co chodzi. Narty nie były dawnymi czasy w użyciu w tych stronach. Ale od sowieckich, sport był popierany i przyjęły się. Kuźma i Paweł byli najlepszymi narciarzami w okolicy. Śnieg istotnie, stwardniały u góry, niósł ich z łagodnej pochyłości na drugą jakby wiatrem zamiatał między lasami. Daleko, daleko po zamrzniętych pod białą pokrywą błotach, omijając gąszcze, sięgnęli na wschód.

Raz wypadło przecinać drogę leśną. Aż tu patrzą, koń stoi z pustymi saniami i drży z zimna. Prawa lejca zawinęła się u nogi i drugim końcem pod płożą. Podsiedziolatek zjechał na brzuch. Cała uprząż w nieładzie i porwana. — Nie! Sanie nie były puste! W nich człowiek leżał zsiniały z zimna, czy ze śmierci. Chyba, bo ślady skrzepłej krwi na sianie... Tuż rzeczy: kuferek drewniany, worek z jadem, z owsem, dwie flachy samogonu. Przeszukali leżącego: pistolet w kieszeni, dokumenty...

— Ależ on żyje jeszcze! — krzyknął Paweł.

Kuźma, jak to on: w lot rozeznał sytuację. Kim by tam był ranny i z czyjej strony, zawsze będzie wdzięczny za ratunek. A sądząc z ubrania nie tutejszy chłop. Oczucha się, może być z tego korzyść, może ważne wskazówki. Nie oczucha się, zostanie koń z saniami i rzeczami. Zresztą co tu gadać, ojciec nie pochwaliby, zostawić dać zamarznąć...

— Jak to ich wilki jeszcze nie pożarły? — dziwił się Paweł.

— Pewnie nie dawno tylko zdarzyło się. Może wczoraj, dziś. Dawaj! — Opatrzyli rannego pobieżnie. Wyglądało, że nie od ran, a od przestudy bliski jest śmierci. Zarzucili sianem, okryli znalezionym w saniach dodatkowym kożuchem. Doprowadzili jąkoś uprząż do porządku i popędzili zdobycz do domu.

Śnieg w międzyczasie tak stężał, że można było konia z saniami na wprost, polami po skorupie śreni kierować. O świtaniu następnego dnia byli już w Znachorkach.



Minęło dużo czasu zanim Henryk odzyskał przytomność. Le-

czyła go słynna w Znachorkach, stara znachorka (dawno już żartowano, że od jej sławy i cała wieś tak się nazywa!), Zoja Gudaj.

XXXI

Nie od razu na polach minowych zakwitły kwiaty.

.....

Widać było, jak na zlodowaciałej uliczce wsi marszczyły się od podmuchów wiosennych większe i mniejsze oka wody. Widać, jak trzech chłopów okutanych w kozuchy szło pod wiatr; w niejakich odstępach pochylali się ku przodowi, coraz to który odwracał się, robił kilka kroków tyłem i wtedy sięgał ręką do czapki by nie poniosło z głowy, jak słowa, które zanim wypowiedziane rozprasza wiatr w powietrzu. Widać było jak szła dwudziestodwuletnia Matruna, najmłodsza córka Zacharowa, prawie zgięta w pół, lewą ręką zamykając chustę pod brodą, a prawą, po kobiecemu, przytrzymując w kroku poły kozucha, aby nie rozpadły się i nie podniosły spódnicy. Wracała od znachorki z ziołem do naparzenia dla Henryka, który tego dnia po raz pierwszy otworzył oczy.

Tak zaczęła się wiosna.

Wiatr spadał z wyżyn otaczającego lasu w nieckę polany, rzucał się na wieś, targał rozczochrane pręty wiśni. Pachniało deszczową wodą i dymem przybitym do ziemi.

Później przyszła jeszcze raz duża gorączka i wielka cisza. Mysz tylko chrobotąła-popiskiwała pod szafą. Henrykowi zdawało się, że nie ma czym dyszeć i prosił Matrusię, która koło niego chodziła, aby otworzyła okno w alkowie. Nawiało trochę posmakiem surowej skiby i dalekiej sosny. Zapadł zmrok. Spod powieki obwisłej chmury, ostatnim spojrzeniem od horyzontu, zegnał się z lasami promień słońca. Od niego padło na chwilę oświetlenie sztuczne, jak w dekoracji teatralnej. W głowie szumią, czy od ciszy, czy od gorączki.

— Co to szumi? — wyszeptał.

— Gdzie?

— Szumi...

— To może gęsi lecą — odpowiedziała Matruna, wychylając się z okna. — Cicho wszędzie. Od tego i szumi.

— Ziemia obraca się...

— Jakto, obraca się?

Obraca się, obraca. I w taki to sposób doczekał Henryk czasów, gdy na polach minowych rozkwitły kwiaty.

.....

Bazyli Jakubowicz Zacharow był średniego wzrostu. Nie nosił długiej brody, jakby mu to wypadało, lecz rzadką, podciętą kwadratam. Jego żona Jewstolia (przezywał ją Jaustola) o rok od niego starsza i wyższa. Stąd zapewne dzieci, prócz Matrusi, przewyższały ojca wzrostem. Jaustola trzymała się prosto, chodziła z podniesioną głową. W domu brała zawsze stronę męża. Bazyli był człowiekiem oblatanym. Nie znosił nic-nie-robienia. W pierwszą wojnę dostał się do niewoli austriackiej, nie wytrzymał, uciekł, zobaczył dużo krajów, odznaczony był krzyżem św. Jerzego czwartego stopnia. Dom ich zbudowany był nie na modłę chat białoruskich, lecz z drewnianą wszędzie podłogą, obszerny, gontem kryty.

Henryka przyjął, położył w alkwie i kazał leczyć. Dokumenty, rozumiał, nic nie mówiły; w tych czasach mogły być fałszywe. Rzecz rozstrzygająca, przez jaką stronę był postrzelony?... Gdy ranny po raz pierwszy zaczął bełkotać, przybliżył głowę do poduszki, do ucha i spytał raptem, podchwytliwym szeptem:

— Do was, kto strzelał?

— Gmmmm... Eeee... Partyzany...

Bazyli kiwnął głową i odszedł dlaczegoś na palcach. Rany nie były groźne. Na głowie od kontuzji powstał ropień. Ani w boku, ani w nodze kule nie ugrzęzły. Groźne było natomiast przestudzenie całego organizmu. Zoja Gudaj długo kiwała głową, przypatrując się jakby zezem. Nie miała zwyczaju otwierać szeroko zielonych, przenikliwych (mówiono jak u węża) oczu. Robiła ckłady, gotowała tajemniczy wywar, dorzucała doń bardzo dużo różnych rzeczy, o nic przez nikogo niepytana. Ale znała takie zaklęcia i znaki, że lepiej pomagały od lekarstw. W to Bazyli też wierzył, bo przecie i modlitwa silniejsza bywa od doktorów.

Z kurtki Henryka wypruł dwadzieścia pięć sztuk pięciorubłówek złotych, co również podnosiło wartość rannego. I pierwszego dnia, gdy ten odzyskał przytomność, przyniósł i położył mu je na kocu.

— Tu wszystkie są. Policzone. Dwadzieścia pięć sztuk.

— Schowajcie gdzieś — Henryk poruszył obojętnie wargami, nie odwracając wzroku od pułapu. — A później z trudem wymówił: — Weźcie sobie za ratunek i opiekę.

— Tego u nas nie ma, żeby za takie rzeczy brać. Słowo

Boże jest niezmiennie. Tylko przypadki ludzkie zmieniają się. A złoto, to jest bita w mennicy swoboda życia, na wszystkie przypadki. O, dla Zoji naszej, jeden krążek oddam, to owszem.

Henryk nie pytał nawet, kto to jest Zoja. Było mu obojętne.

Ale, kula się obraca, dnie biegną i przyszedł wreszcie taki dzień gdy zasiadł z gospodarzami przy stole do obiadu. Wtedy po raz pierwszy opowiedział szczegółowo swoje i swej podróży dzieje. Naturalnie, to tylko co uważał za stosowne opowiedzieć. Słuchano go z dużym zainteresowaniem.

— Jurczyk?! — wykrzyknął Kuźma znad drewnianej łyżki, parząc sobie wargi i przyskając zupą szczawiową. — Jurczyk?... Czy nie pracował on czasem w registraturze wydziału planowania mińskiego sowietu, przed wojną?

— Może być, nie wiem. Nie byłem wtedy.

— Porządny chłopiec był? — spytał syna ostrożnie Bazyli.

— Ach, szkoda chłopaka! Szczery chłopiec był.

— To znaczy, sam wyznaczony jemu los dokonał na niego zamachu. Tu już nic nie poradzisz przeciw woli bożej. — I po namyśle dodał: — Jak wiesz kto, to może i wujcia jego będzie można ustalić i swojakom konia z saniami odprowadzić.

— Też, papko, obmyślił — odezwała się dorodna żona Kuźmy. — Saniami po piasku ciągnąć.

Matrusia parsknęła gorącym szczawiem. Matka spojrzała na nią groźnie. Ojciec nawet okiem rzucić nie raczył na kobiety. Umilkły, ale nie były stropione.

— Koń, uprzęż, sanie, wszystko cudze. Akuratnie trzeba zwrócić właścicielowi — zakończył stary.

— A jak żyło się w tamte lata w Mińsku? — zwrócił się do Kuźmy Henryk. Siedział zgarbiony, ociężały jak zwykle, ale wychudły na twarzy. Brał kartofle ze wspólnej miski i ostrożnie dmuchał, zanim poprowadził do ust.

— Jak żyło się?... Była taka pioseneczka, co śpiewano po cichu:

*„Chodzim my pad miesiacem wysokim,
A jaszczce pad GPU...”*

— Masierozumieć — podjął stary — póki żyjesz, nie umarłeś, różnej zmiany możesz się spodziewać. Chociażby ta wojna. Jak wojny czekali! A znowu wyszło inaczej. I nie wiadomo, czy oni tę wojnę wygrają, Niemcy.

— Do Kaukazu doszli — rzucił Kuźma.

— Rzecz nie w Kaukazie!

— A w czym? — spytał obojętnie Henryk.

— Wiedzieć, że słońce jest, że wszędzie jutro, będzie na nie-

bie choćby za chmurami. Ot, w czym rzecz. A po ciemku przyszość macać, to nie rzecz.

— I na wojnie wschodzi słońce. Byliście?

— A sam?

— Ja oficerem rezerwy jestem — odparł krótko Henryk. Uwierzyli mu od razu. Chyba największe wrażenie zrobiło to na Bazylim. Nie dlatego, że starej służby podoficer. Ale on miał zawsze jakieś plany w głowie, tylko nie zawsze je ujawniał.

W tej chwili zastukał ktoś z cicha w okno. Ojciec podniósł wzrok na Demiana. Młodszy syn wstał bez słowa i wyszedł zobaczyć. Wrócił niebawem.

— On z papą chce rozmawiać.

— „Chce” — przedrzeźnił Kuźma. — Kto taki? Wyjmie spod poły żelazo i strzeli w oczy.

— Chamaniuk Wiktor — z niejakim lekceważeniem odmachnął ręką Demian.

Mizerny, niski chłopak stał oparty o kij. Spod daszka czapki nasuniętej głęboko, bystro biegały wesołe oczy. Zacharow znał go dobrze. Przed wojną był pomocnikiem kombajnera w kołchozie krasnołuckim. Pierwszy mandolinista. Z biedniackiej rodziny pochodził. Dlatego z zachowaniem wielkiej ostrożności wyznaczył go teraz na łącznika do partyzantów. A partyzanci zrobili go łącznikiem ze wsią. Naturalnie, wierzyć na sto procent nie mogła żadna strona. Ale komu dzisiaj można wierzyć na sto procent?

— Przysiędziem na ławeczce — zaproponował Zacharow. Było ciepło. Płatanina wiśniowych gałązek nad ich głowami rozpościerała swe liście raz na sinym, raz na białym tle, w zależności kędy górny wiatr przesuwiał obłoki po niebie.

— Ja ostatnio — mówił szybko Chamaniuk — chodziłem do oddziału Nikitina. Szedł on na południe, ale czemuś zatrzymał się czasowo powyżej wilejskich lasów. Razu pewnego widzę nowego człowieka. Dobrze odziany, wysoki, słowem strojny człowiek. Pistolet u pasa, automat. Posłuchałem, mówią to niejaki Kołożyn, oficer sowiecki z okrużeńców. Ostatnio komendantem policji gdzieś był przymoszczony. Ni to w...

— Mniejsza — przerwał Zacharow, który nadstawił uszu, bo co tylko Henryk w izbie opowiadał o Kołożynie w Tarankowiczach. — I co dalej?

— Cóż, dalej. Pobył trochę czasu. Jednego dnia przychodzę, jak umówione, nie ma jego. „Gdzie”? pytam. „A ty czemu interesujesz się?” „Tak sobie tylko”, mówię. A od chłopaków dowiedziałem się na boku, że jego zastrzelili. Podobno podesłany był. A jak naprawdę, kto ich wie. Skorciło dowiadywać się jeszcze, niestrożnie, u jednego, drugiego. Raptem sam Nikitin mnie

wzywa. I tak mówi: „Ty wiesz, Chamaniuk, co jest najbardziej zawodne w człowieku? Nogi, mówi. Nie głowa, nie język, a nogi. Dokąd kogo zaprowadzą nogi, to i będzie miał. Ot ty, na przykład, chodzisz do nas, i żyjesz. Dziewczętom we wsi na mandolinie przygrywasz, szklaneczkę jedną, drugą samogonu wychylisz. A zanosą cię nogi, powiedzmy, z donosem na nas, i cię na świecie już nie ma. I braci twoich nie ma, i mamy twojej nie ma rodzonej, i siostrzyczki. Bo rozmowa u nas wtedy z tobą krótka będzie. Pod ziemię nawet nie schowasz się od nas”. „Czego ja mam iść z donosem na was?”, pytam. „Ja tylko tak, przykładowo mówię”, odpowiada Nikitin. No, jeżeli już przykładowo, myślę sobie, to mnie u nich pokazywać się więcej nijako. I to chciałem wam zameldować, Bazyli Jakubowiczu. Żeby później jakiego nieporozumienia nie wyszło.

— Hm... A jak on wygląda, Nikitin?

— Jak człowiek.

— Dobra. Mnie trzeba do Połocka, do jednego podskoczyć. Ty, Chamuniuk, masz spryt.

— A czemu mnie jego nie mieć.

Na tym stanęło.

XXXII

Henryk był człowiekiem powolnym w ruchach i mowie. Ale nie z ducha. To znaczy takim, o którym się mówi po bliższym poznaniu, że tylko pozornie wydaje się ociężały. Jeszcze nie wydobrzał, a już nękała go nuda bezruchu w jakim się znalazł. Niedługo przyszedł pierwszy wielki letni deszcz i pierwsza burza. Znow zaleciało coś latami dzieciństwa.

Wjazd do zagrody Zacharowa okalały wysokie brzozy. Gdy po przejściu burzy we wglębieniu rozjechanym kołami utworzyła się i zastygła w bezruchu szeroka tafla kałuży, a Henryk zamyślał jak ją przekroczyć, zdarzyło się mu, co niekoniecznie każdemu musi się przytrafić: w odświeżonym powietrzu, znalazł się nagle między dwoma niebami. Wysoko nad głową pięły się w niebo korony brzoź i nisko pod nogami spadały w otchłan nieba korony brzoź, odbite w lustrze wody. A on, tak jak wszedł między te dwa nieba, tak zatrzymał się teraz na brzegu kałuży, nie przekraczał jej, i tylko się lubował. Od lasu ciągnęło jakby zapachem poziomka. I wtedy odczuł wyraźnie, że siła tęsknoty i nostalgii skoncentrowana w człowieku, która nie znajdzie ujścia, uderzyć może

z powrotem jak pocisk odbity rykoszetem i zabić wolę życia...

— A wy ostrzegajcie się starego — usłyszał za sobą szept żony Kuźmy, Nadzieźdy (trzeciej córki św. Zofii, patronki mądrości).

— On może zabić człowieka i okiem nie mrugnie.

— A po co jemu mnie zabijać?

— Nie po co. Tylko jeżeli jakieś podejrzenie poweźmie, albo coś takiego.

— Ja też mogę zabić i okiem nie mrugnę.

— Boże! Ledwo na nogach trzyma się i już odgraża. I na co wam mężczyznom ta wieczna wojna. Choćby nasz stary. Siedziałby cicho, kozuch podwinąwszy. Bogu dziękował, że przy życiu zostaje. Nie, to on koniecznie musi palce między drzwi wsadzać. Sam naraża się, synów rodzonych na śmierć wystawia, całe nasze Znachorki w fortecę przeinaczył. A taka śliczna wioseczka była. On chce swoją własną wojnę mieć. Jak dziecko. — Wszystko to mówiła Nadzieźda nie patrząc na Henryka, lecz w głębokie odbicie nieba, obłoków, wierzchołków brzoź i siebie samej w deszczowej kałuży.

— Patrzysz jak w lustro — zauważył Henryk.

— O niczym on i mówić innym nie potrafi, jak tylko o wojnie.

— A mówił niedawno przecie, o słońcu żeby weszło i żeby ludzie pewni jutra mogli doczekać.

— Żeby on tak doczekał, jak on mówi!

Sensu w tym narzekaniu niedużo było. Ale Henryk nie potrafiłby jej wytłumaczyć, że ludzie nie gadaliby tyle o tym, gdyby to nie było tak ważne, i nie zależało od tego życie wszystkiego, aż do mizernej cięszki w chlewie. Gadaliby jak wielcy panowie, o urodzaju, o polowaniu, o nowym proboszczu w parafii. A nie w kółko o tym samym: kto lepszy, kto gorszy, Niemiec czy bolszewik?

Henryk chlapnął butem w kałużę i zmaścił niebo pod sobą ale, naturalnie, nie to nad sobą. W tym po-burzowym przedwiecznym oświetleniu było ono bezdenne. I jeszcze powiedziała Nadzieźda, mimowoli skuszona jego spojrzeniem w górę:

— Nigdzie na świecie niebo nie jest tak wysokie jak u nas, w Znachorkach.

— Kto powiedział?

— Kto? Zoja.

Henryk, gdyby był zdrow, i gdyby miał wybierać, wolałby jednak Matrusię od Nadzieźdy. Ale o tym raz tylko pomyślał.

Tak, wśród płonącego świata, ciągnęły się tygodnie w ciszy zapomnianej wsi. I fakt, że ludzie zaczęli już gadać o uprawie, o sianokosach. A wyloty dwóch starych cekaemów patrzyły w

przeciwległe sobie, zielone ściany lasu, bez widocznej ku temu przyczyny.

Do chwili, aż pewnego wieczoru z Połocka zleciał Chamaniuk Wiktor.

Z jego zdyszanej mowy można było najpierw wywnioskować, że idzie batalion Estończyków. Dopiero później z przeplatanych oddechem słów, wyłaniał się wąty związek przyczynowy. Chamaniuk dostał gdzieś konia, na którym leciał, potknął się o korzeń, zwałił się i tak został. A że on sam obawiał się, że Estończycy pojedą transportem, więc dalej biegł piechotą nie drogą, a lasem na przełaj, bez tchu, aby ich uprzędzić. Takim był Chamaniuk, któremu żadna ze stron w pełni nie dowierzała.

— Jakie znowu Estończyki?! Ty mów, Wiktor, ludzkim językiem! A to z tego bałbotu nic wyrozumieć nie można! I przy czym tu córka pastora?

Córka pastora ewangelickiego w Połocku... Dobrze mówił. Volksdeutschka. Została przy komendzie tłumaczką. Nieograniczone zaufanie. A już ludzie nie pierwszego dnia rozgryźli, że jest ona agentką sowiecką. Ale co przeciw takiej Niemce można zrobić? Wiadomo, że nic. I co ona? Ona to przekonała, że Znachorki, to w rzeczywistości żaden „antypartyzancki kraj”, ale przeciwnie główna baza partyzantszczyzny. A jak raz podszedł świeży batalion estońskiego SS. Nie było co z nim robić i postanowili przeciwko Znachorkom skierować! No co tu dużo objaśniać!

Zacharow jakby odżył o dwadzieścia lat młodszy:

— Wszyscy na pozycje!

— Stary! — krzyknęła Jaustola. — Ty zwariowałeś!

— Papko! — krzyknęła Nadieżda. — Pogubisz nas wszystkich!

— Milcz! — odepchnął ją Kuźma.

— Gdzie nasz gość?! — Bazyli okręcił się na pięcie. — Acha, o! Ty „Maxima” rosyjskiego znasz?

— Naturalnie.

— Staniesz na północnym umocnieniu.

Henryk niespodziewanie dla siebie, uśmiechnął się. Ni z tego ni z owego. Jak czasem uśmiecha się człowiek nagle do swoich myśli. I nie pamięta już później nigdy przyczyny tego uśmiechu. Uśmiech, powiadają, rozjaśnia twarz. Ale nie w ciemności, po zachodzie słońca. W tych ciemnościach Zacharow wydawał dalsze rozporządzenia. Kuźmę, swego syna, posadził na konia z nakazem zaalarmowania wszystkich wsi swojej „republiki”, i przyprowadzenia pomocy Znachorkom: lasami, we flankę i obejście spodziewanego kierunku natarcia nieprzyjaciela. Plan strategiczny był odwieczny.

„Batalion” — w rzeczywistości słaba kompania — nie śpieszył się. Całą noc wieś nie spała, każdy na wyznaczonym posterunku. Estończycy pojawili się dopiero nad ranem. Henryk miał cekaem narychtowany na wylot piaszczystej drogi, która ginęła w lesie. Napatrzył się w ten punkt od świtu, aż do bólu w oczach. Znał tam już każdy przedmiot: młody świerczak, kępkę jałowca, sosnę, co jakby wyskoczyła z lasu, krzewy pod nią (chyba olszyny), wykrot drzewa w prawo, wygodny dla ukrycia... Czekał na powrót zwiadowców, gdy właśnie w tym samym miejscu ukazały się siwe mundury.

Nacisnął kciukami i dał krótką serię.

Odskoczyli natychmiast i zalegli. Widział zza jałowca wystający but. Pewnie padł w poprzek, może ranny. Dla pewności dał po tym bucie. Był nieruchomy. Zabity. Tamci otworzyli słaby ogień i próbowali obejścia rozwiniętym frontem. Tu spotkała ich długa seria samego Zacharowa. Wzdłuż wsi paliła tyraliera, którą dowodził Prochor.

Strzelanina trwała do południa i ustała. Zmiotła z nieba wystraszone skowronki nad polem. Zrobiło się gorąco i zapanowała cisza. Żaden z przeciwników nie wychylił się z ukrycia. Baby we wsi pochowały się w lodówkach i jamach na kartofle. Parę szyb zostało wybitych. Padł jeden koń. Wszystko zależało od tego czy Estończycy mają ze sobą ciężką broń, czy nie mają? Czy czekają na nią? W tym czasie Kuźma podprowadził lasami, w obejście batalionu karnego, od południowego zachodu, swoje „policje” z Kowalewicz, Krasawszczyzny, Wołotowki. Naturalnie nie wszyscy poszli, ale i tego starczyło co poszło, bo przeciwnik nie mógł rozeznąć siły w gęstym lesie. A sam widocznie nie był skory do przelewania krwi własnej... — Estończycy zagrożeni od tyłu, wycofali się, nie próbując atakować. Zabrali ze sobą rannych i może zabitych. Taki był przebieg bitwy.

Pod wieczór wysłano patrole, wystawiono strażę, a Zacharow z synem Kuźmą, z Henrykiem i starszyzną wsi zasiedli do zredagowania pisma. Do rana było wygotowane: — Tak i tak, on, Zacharow, dotrzymywał słowa... A jemu słowa nie dotrzymano... Dlaczego? Będzie i nadal bronił swoich praw według umowy itd. Przed każdym, kto by... itd. itd.

Z pismem tym, bocznymi drózkami, aby nie wpaść w zasadzkę, pośpieszyli Kuźma z Chamaniukiem wręczyć je „pewnemu człowiekowi” w Połocku. A ten już będzie wiedział jak dalej doręczyć.

W istocie szykowała się już większa ekspedycja karna. I nie wiadomo, czy zostałaby belka na belce po Znachorkach, gdyby zrzędzeniem boskim przy pomocy ludzi, w najmniej oczekiwanym

sposób, przez głupi przypadek właściwie, nie została akurat zde-maskowana córka pastora; mała, rumiana na twarzy dziewczyna. Nie rozstrzelano jej na miejscu, jakby zrobiono z tutejszą miesz-kanką; ani nie powieszono na drzewie w miejscu publicznym z drewnianą tabliczką na szyi dla pouczenia i odstraszenia innych. Jako Volksdeutschkę zesłano do kacetu dla kobiet w Ravensbrück.

I znów cały incydent skończył się na kilku zdenerwowanych telefonach:

— Ach, was!... Ostatecznie o dwóch Estończyków mniej...

Bo akurat tyłu zginęło z całego batalionu, od pierwszej krót-kiej serii oddanej przez Henryka.



Miał szczęście Bazyli Zacharow. Cóż dziwnego, że autorytet i powaga jego rosła w tamtych lasach. Partyzantka sowiecka z daleka omijała jego „kraj”.

Było lato. Dniem gęsto brzęczały pszczoły i pasiaste trzmiele. Od wieczora już komary nie dawały spać. Henryk nie chciał uchodzić cichaczem, a zresztą i rozsądek tego nie doradzał. Naoli-wił pięknie swój własny „Mauser”, i poszedł na rozmówkę.

— Co ja tu będę, u was, Bazyli Jakubowiczu, Estończyków strzelał...

— I skąd oni biorą się, te Estończyki?

— Z Estonii, pewnie.

Zacharow pogłodził swoją kwadratową brodę.

— Zmartwienie nowe.

— Znowu partyzanci?

— Pop, nie partyzanci. W Kowalewiczach cerkiew była. Na-turalnie dawno zamknięta. Teraz otworzyli. Znaleźli popa. Czy on prawdziwy, nie wiem. Zamiast przeciwko bezbożnikom kazać, to on dzień i noc na „raskolników”, „odszczepieńców”, „staro-wierów” szczuje.

— Nie wielka bieda. Czort z nim.

— Może i czort. No to co teraz zamysłacie?

— Jadę do domu.

— Strasznie nie podchodzące czasy dla jazdy-podróży.

— To wiem. Dlatego chciałem zapytać, może jaką pomoc, radę okazać możecie?

— Mogę.

— Wdzięczny zostanę.

— Nie mnie, a Bogu. Pasierb mojej siostry, kolejarem w

Dziś służy, po starej polskiej stronie. Tylko do Dżisny dostać się. A stąd wyjść trzeba po cichu, nic nikomu słowa.



Odchodził w wilgotny świt, po nocnym deszczu. Tylko komary nie spały. Raptownie w sadzie chrupnęła z tyłu za nim gałązka pod czyjąś stopą. Odwrócił się gwałtownie, chwytając za kolbę pistoletu. Bo tak, z ręką na sercu, do ostatniej chwili nie był pewien. Zobaczył Matrusię. Wyjął rękę z kieszeni, zabił komara na policzku i zapytał:

— A ty skąd wiedziałaś?

— Ja już w odbiciu mokrych liści zobaczyłam, że chce odejść bez pożegnania.

— Chciałem.

XXXIII

Ukaz Prezydium Najwyższego Sowiegu SSSR.

Za wzorowe wykonanie bojowych zadań i dowodzenie na froncie walki z niemieckim najeźdźcą faszystowskim, oraz za okazaną przy tym waleczność i męstwo, nagrodzić:

Orderem Czerwonego Sztandaru

Generała-majora Własowa Andrzeja Andrzejewicza.

Przewodniczący Prezydium Najwyższego Sowiegu SSSR —

M. Kalinin.

Sekretarz Prezydium Najwyższego Sowiegu SSSR —

A. Gorkin.

Moskwa, Kreml, 2 stycznia, 1942 r.

O nadaniu wojskowych rang najwyższemu dowództwu Armii Czerwonej.

Postanowienie Rady Komisarzy Ludowych Związku SSR.

Rada Komisarzy Ludowych Związku SSR postanawia:

Nadać wymienionym osobom najwyższego dowództwa Czerwonej Armii rangi, ustanowione Ukazem Prezydium Najwyższego Sowiegu SSSR z 7 maja 1940 r.

Rangę generała-lejtenanta — Własowowi Andrzejowi Andrzejewiczowi.

Przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych Związku SSR
— J. Stalin.

Kierownik spraw Sownarkomu SSSR — J. Czadajew.
Moskwa, Kreml, 24 stycznia, 1942 r.

Pisarz sowiecki, Ilja Erenburg, podążał 5 marca 1942 samochodem wojskowym po szosie wołokołamskiej z Moskwy na front. Istra leżała w ruinach. Były Nowo-Jerozolimski klasztor leżał w ruinach. Wszystko wokół spalone, wysadzone w powietrze, rozbite w gruzy. Minął Wołokołamsk. Koło góry Łudina znajdowało się MP dowództwa A. Własowa.

„Co mnie najbardziej zaskoczyło — zanotował Erenburg — to jego wzrost: metr dziewięćdziesiąt. Następnie sposób rozmawiania z żołnierzami; mówił on obrazowo, czasem z wymyślną szorstkością, a jednocześnie serdecznie. Odniosłem jakby podwójne wrażenie: lubowałem się nim i zarazem raziło mnie coś aktorskiego w jego zwrotach, intonacji, gestach. Wieczorem, podczas długiej biesiady, pojąłem źródło tego zachowania: dwie bite godziny mówił o Suworowie. Mówił jak o człowieku, z którym przeżył lata całe”.

Żołnierze mówili o nim: „prosty”, „waleczny”, „mistrz przeklinania”... Ciągnęły się walki pozycyjne. Bez końca walczone o wzniesienie Biezymienne i o wieś Pietruszki. Nic z niej już dawno nie zostało. Atakowano wzgórze, brano je, potem oddawano. Erenburg ukrył się w schronie. Niemcy otworzyli huraganowy ogień. Przyszedł Własow i opowiadał o dużych stratach po obu stronach. — Gdy wyszli ze schronu, oczom ukazał się las jakby rozszczępiony po środku. Wydawał się martwy. Śnieg był jeszcze biały, czasem nawet sinawy, ale już zanikał; znać było działanie słońca. Krasnoarmiejcy poszli do ataku; ich czołgi oczyściły z nieprzyjaciela parów. Ale do wsi Pietruszki nie doszli.

— Przekłęte te Pietruszki... — mówił Własow, patrząc jak sanitariusze wynoszą z pola rannych.

Pojechali z powrotem na punkt dowodzenia. Dziewczyna, Marusia, zakrzętała się koło stołu. Nakryła czystym obrusem. Zaświeciła się lampa pod abażurem; pojawiła się wódka w karafce. Do godziny trzeciej w nocy siedzieli, Własow opowiadał:

— Towarzysz Stalin powierzył mi armię. My przecież zaczęliśmy od Krasnej Polany, omal od ostatnich domów Moskwy i odsadziliśmy sześćdziesiąt kilometrów bez zatrzymania... Wiele u nas jest jeszcze braków. Żołnierz źle wychowany. Ja pytam

krasnoarmiejca, kto dowodzi ich batalionem? On mnie odpowiada: „ryżewaty”, nawet nazwiska nie zna. O, Suworow, ten potrafił rzecz postawić jak należy... Od Niemców też wielu rzeczy można się nauczyć. U nich każdy żołnierz szanuje swego dowódcę, nie odpowie: „rudy na twarzy”... Zresztą ja mam zwyczaj mówić do własnych żołnierzy tak: „Nie zamierzam was żałować, ja chcę was zachować”. Oni to rozumieją.

Wśród nocy Niemcy rozjaśnili niebo. Jak okiem rzucić zapłonęły rakiety po tamtej stronie. Podwiewało mroźnym chłodem wiosny. Własow utkwiał nieruchome okulary w horyzont.

— Ech, posiłki na samolotach podrzucają. Jutro na pewno odbiorą nam parów.

W nerwowym napięciu, w drżącym oświetleniu mijały nocne godziny. Z samego rana wezwano śpiesznie Własowa do telefonu. Powrócił podniecony.

— Towarzysz Stalin okazał mi wielkie zaufanie... Otrzymałem nowe zadanie.

W gnieniu oka wyniesiono jego rzeczy. Rozporządziła się pakowaniem Marusia, odziana w watowaną kurtkę.

— Chcicie towarzyszu pojechać ze mną na przednie pozycje? — zapytał Erenburga. — Wypada mi pożegnać się z żołnierzami.

Wsiedli do maszyny i pojechali. Tam, pod ogniem miotaczy min rozstali się wkrótce. Własow musiał śpieszyć do Moskwy na wezwanie Stalina. Erenburga zatrzymał na froncie pułkownik Karpow:

— Zjemy obiad.

Wypili po kieliszku wódki. Pułkownik Karpow już wiedział. Wytarł usta czymś w rodzaju serwetki i, zatrzymując wzrok na karafce, powiedział półgłosem:

— Własow otrzymał dowództwo 2-giej armii uderzeniowej. Z zadaniem przerwania blokady Leningradu. Tylko głośno nie mówić...



Było jednak inaczej. Nie chodziło już w tej chwili o przerwanie blokady Leningradu, a raczej o wyratowanie tych, którym tej blokady przerwać się nie udało.

Rzecz zaczęła się dawno; na froncie 2-giej armii sowieckiej wzdłuż rzeki Wołchow. 14 stycznia major Iwan Jewstifiejew na czele 57-mej brygady uderzeniowej, przerwał pomiędzy Arefino i Jawno, styk 126-ej i 215-ej niemieckich dywizji piechoty, rozciągniętych nad zamrzniętym Wołchowem. W utworzony wyłom wtargnęła za 57-mą brygadą, elitarna sowiecka 327-ma dywizja strzelecka. Za nią poszedł cały XIII korpus kawaleryjski. Mrozy

dochodziły wtedy do 50 stopni. Dla obydwóch stron zabójcze. Dla kawalerzystów zwłaszcza. Wyłom wynosił zaledwie 3 km. szerokości i mimo dużych wysiłków nie udało się go poszerzyć. Trupy 15 tysięcy sowieckich żołnierzy pokryły śniegi przed pozycjami 126-tej niemieckiej dywizji piechoty, i dalszymi umocnieniami, których broniło kilka batalionów hiszpańskiej Błękitnej Dywizji. Jednakże generał Kłykow, ówczesny dowódca 2-giej armii, zachęcany początkowym powodzeniem, zdecydował rzucić w ten wąski przełyk całą armię: czternaście dywizji piechoty, trzy dywizje kawalerii, siedem brygad strzeleckich i jedną brygadę pancerną. Planował nie tylko przełamać blokadę Leningradu, ale potężnym rozmachem pięści, od rzeki Wołchow w kierunku północno-zachodnim, aż do starej estońskiej granicy przy Kingisepp, odciąć całe północne zgrupowanie niemieckich wojsk przed Leningradem. Tymczasem nie udało się rozduścić nawet drobnych niemieckich punktów oporu rozrzuconych na trasie marszu. Walki się zacięgnęły. W wielkich lasach wołchowskich, po pas w śniegu, i na zamarzniętych błotach. W ruroch granatników tworzy się lód; zawodzą bronie maszynowe wskutek stężenia oliwy. Walczy się na bagnety i łopaty, „na rozpacz”, jak ktoś się trafnie wyraził. Sytuacja sowieckiej armii uderzeniowej pogarszała się z dnia na dzień. Dotarła w swym marszu na północny-zachód zaledwie do stacji Jeglino na linii kolejowej Leningrad-Nowgorod, zatrzymana przez 285-tą i 291-szą dywizje niemieckie. Wtedy główną masą zwróciła się na północny-wschód, na stację Lubań, na linii Leningrad-Moskwa, na spotkanie z 54-tą armią sowiecką, która uderzyła jednocześnie od Ładogi na Pogostje, przełamała pierwsze linie zagradzające, ale niebawem ugrzęzła, uwikłana w boje z 269-tą dywizją niemiecką.

Straty Niemców były ogromne. Ale generał kawalerii Lindemann, który właściwie objął dowództwo 18-tej armii, postanowił zamknąć w potrzasku całą 2-gą armię sowiecką. Rzut oka na mapę wskazywał mu drogę wzdłuż przesieku leśnego oznaczonego literą „E”. Nazwano ją po niemieckiej stronie „Erika-Schneise”. I tu rzucono z północy dywizję policyjną SS, a z południa, na styk z nią, 58-mą dywizję gen. Altrichtera (w cywilu doktora filozofii w Dreźnie). Miał on zakorkować pierwotny wyłom i odciąć wojskom sowieckim drogę odwrotu. „Erika-Przesiek” był w istocie jedyną groblą w bezmiernych, bezludnych przestrzeniach leśnych. Gdy do niej dobrnęli, jeden z żołnierzy miał jeszcze tyle siły i ochoty w sobie, aby przybić na drzewie deskę z nadpisem:

„Tu rozpoczyna się tyłek świata”!

Dnia 19 marca ramiona niemieckich zamknęły się. Stalin odwołał Kłykowa. Generał Własow wylądował samolotem

w środku zamkniętej armii 21 marca, i przystąpił natychmiast do rozerwania pierścienia od wewnątrz. Dwa miesiące walczone o tę gardziel. Kilku dywizjom, jednej brygadzie strzeleckiej i częściom brygady pancernej udało się istotnie wyłamać z okrążenia. Ale 20 maja Niemcy zamknęli lukę ponownie.

W kotle pozostało dziewięć sowieckich dywizji, sześć brygad i niedobitki brygady pancernej. Własow i jego Marusia. — Nie było już śniegów. Wszystko tonęło w wodzie i błocie. Nie było jak przejść po odtajających teraz bagnach. Ludziom wprawdzie nie odmarzały już kończyny, ale powietrze wypełniły miliardy komarów. Nie było żarcia. Zaczęła się agonია wśród nieustannych walk, bezmyślnego brodzenia po lesie. Spychani z dróg, grobli leśnych, z suchych wzniesień w wieczną pluchoć po kolana, tonęli w bagnach. Niezliczone trupy zaścieniały lasy. Paliło już czerwcowe słońce. Słodkawy smród rozkładu wypierał zapach żywicy i wilgoci, unosił się nad puszcza nieustającym wyziewem. Tłusty, lepki smród padła, przenikliwy, zdawał się mieć swój własny kolor, jakby błękitno-zielone tło nakrapiane cielistymi plamami. Wszzechobecny, pobudzający wymioty. Chmury czarnych much walczyły o lepsze z chmurami komarów. Wronom ktoś powiedział. Zleciały się z całego obszaru od źródeł Wołgi aż po Onegę, wszystkie tu. Z resztek armii zaledwie 32 tysiące ludzi dostało się do niewoli żywcem. Ale gdzie ich dowódca, generał Własow?

Rozdano i rozrzucono z samolotów odbitki z jego fotografią; wyznaczono premie i nagrodę urlopu poza kolejką, kto go znajdzie żywym lub umarłym. Każdy chciał go znaleźć. Nadchodziły ze wszystkich stron puszczy fałszywe meldunki. W nieprzebytych gąszczach trudno było szukać. Nad głową szum lasu mieszał się z szumem wronich skrzydeł.

11 lipca kapitan von Schwerdtner otrzymał wiadomość o znalezieniu zwłok Własowa. Leżały przykryte generalskim płaszczem. Wymierzono: metr dziewięćdziesiąt. Ale głowa w stanie zupełnie rozkładu; nie podobna było zidentyfikować. Rozczarowani zawrócili. Na skrzyżowaniu leśnej drogi zatrzymał ich chłop z pobliskiej wioseczki. Przez tłumacza zameldował:

— Zamknętem w swojej stodole człowieka, który wygląda na partyzanta. Przy sobie ma kobietę, może agentkę. Chcecie ich zobaczyć?

W von Schwerdtner kiwnął głową i mruknął do tłumacza:

— Wszędzie ludność jest po naszej stronie... na początku. Niech prowadzi.

Stodoła stała na uboczu. Chłop rozwarł szeroko wierzeje i krzyknął:

— Wychodzi; Ej!

Na progu ukazał się człowiek ogromnego wzrostu w sowieckim oficerskim kitlu, w rogowych okularach, niegolony, brudny. U jego boku oberwana dziewczyna. Jeden z żołnierzy podniósł mimowoli lufę automatu.

— Nie strzelać — powiedział łamaną niemieczyzną wielki człowiek. — Ja generał Własow.



Odwieziony najpierw do kwatery frontu leningradzkiego, później do Winnicy, gdzie zredagował swój pierwszy memoriał, w połowie listopada Andrzej Andrzejewicz Własow był już w willi przy Viktoriastrasse 10 w Berlinie. Towarzyszył mu kapitan Strik-Strikfeld, kapitan Bojarski z czerwonej armii, i Marusia. Bo Maria Ignatiewna Woronowa została zwolniona z obozu dla kobiet w Rydze i oddana mu z powrotem.

Tego dnia jeszcze nic tam nie wiadano. Nazajutrz przed południem, do pokoju w którym siedział Anton Panisienko i akurat pisał na maszynie, wszedł tak zwany popularnie „profesor”. Był on w istocie tylko nauczycielem szkolnym w Taganrogu, ale choć niskiego wzrostu, staturę miał iście „profesorską”: brodę, okulary, chód stateczny, mowę jakby odmierzoną, żarty wyłącznie z rzędu solidnych. Tym razem wszedł dla czegoś na palcach i Antonowi, który nie uniósł głowy znad maszyny, zdawało się że w tym jego stąpieniu wyczuwa coś szczególnie uroczystego. A może zdało mu się tak to, dopiero post factum? Bo „profesor” pochylił się nad jego krzesłem z tyłu i powiedział szeptem:

— Mamy Sidorczyka. — Później pochylił się po raz drugi nad uchem i dodał: — Razem z dziewczynką. A ma żonę w Moskwie... Tylko nie trzeba o tym mówić.

XXXIV

Pasierb siostry Zacharowa, kolejarz z Dżisny, pojechał z Henrykiem razem do Wilna. Różnoraki proceder uprawiany był na kolei w cichym porozumieniu z kolejarzami niemieckimi. Przewożono ludzi bez przepustek, towar, szmugiel, według ustanowionych stawek. Jechali w wagonie służbowym. Przed lokomotywą szły trzy platformy wypełnione piaskiem. Szczęśliwie na minę nie naskoczyli. Bokami pas lasu był wycięty. Co pewien czas

mijali uzbrojone w cekaemy forteczki, umocnione szańcami, palisadą z drewnianych pali, z wieżyczką, otoczone zasiekami drutów.

Po drodze kolejarz wyznał, że tym razem jedzie jednak nie w celach komercyjnych. — „Życie nie można”, objaśniał. Partyzanci wszystkich miejscowych kolejarzy mają na swojej ewidencji. Szantażują, co chwila domagają się wykonania jakiejś dywersji, grożą wymordowaniem całej rodziny. A za dywersję grozi od Niemców to samo. Co z tego, że można zarobić na lewo. Między takim młotem i kowadłem strachu, najlepszy zarobek nie miły. — „Czy to nazywa się życie?” pytał. I Henryk, przydeptywając niedopałek na podłodze wagonu, musiał mu przyznać, że trudno nazwać życiem. — No więc, chce spróbować z całą rodziną przenieść się do miasta. Ma znajomych wśród pracowników wileńskiego węzła.

Rozstali się na dworcu w Wilnie, jak się rozstają ludzie, których los zetknął, los rozdzielił w różne strony.

Henryk, przechodząc rzucił okiem, czy jest jeszcze kiosk z gazetami, a w nim Leon? Kiosk był, ale Leona nie było. Zauważył jedynie, że z głębi kiosku błysnęły ku niemu i zaraz zgasły pod powiekami, wypatrujące oczy Kuczyńskiej. Miał wrażenie, że musiała go poznać. — „To nic złego, ale lepiej żeby nie poznała”, pomyślał.

Był gorący dzień. Kurz uliczny pachniał upałem. Miasto wydało mu się biedniejsze niż gdy opuszczał je rok prawie temu; o wiele biedniejsze niż w okresie poprzedniej okupacji sowieckiej. Szedł swym chodem ociążałym, bardziej może ociążałym niż zazwyczaj, bo w istocie wahał się ciągle jeszcze dokąd ma iść? Nie odczuwał ani zazdrości, ani obawy, ale myśl, że w „swoim” mieszkaniu, u Hali, zastać może kogoś innego, napawała go instynktownym wstrętem. Czuł to: bardziej dla czegoś wstrętem do siebie niż do niej. Może zresztą nie tyle wstrętem, ale ogromną niechęcią. Po roku bez mała, miała przecież prawo sądzić że zginął na zawsze... To było nawet bardziej prawdopodobne w dzisiejszych czasach, niż gdyby żył. „Niespodzianka” była kiedyś taka sztuka teatralna, ale tam chodziło zdaje się o... Na rogu Stefańskiej stanął jak wryty:

Idący w rzadkich odstępach żołnierze niemieccy konwojowali środkiem ulicy coś, czego z dala nie mógł w pierwszej sekundzie rozeznaczyć. Była to jakaś posuwająca się niska, gęsta płaszczyzna, która żołnierzom sięgała zaledwie do pasa, do łokcia... Żołnierze szli wolno, szurgając zapyłonymi butami, starzy jacyś, ze starym typem karabinu i płaskim, nasadzonym bagnetem. W stare czasy, należeliby do tzw. „Landsturmu”. Najbliższy wyglądał jak ojciec rodziny, już trochę przygarbiony, ze wzrokiem, wąsami i fajką

w dół, długą porcelanową fajką, którą podtrzymywał lewą, wolną od karabinowego rzemienia dłonią, pykając z niej w marszu... Henryk zmrużył oczy i zanim jeszcze rozeznał wzrokiem to coś, co prowadzili, poznał po słuchu. To były dzieci!... Bo każdy człowiek chodził kiedyś do szkoły i na zawsze zostaje mu w uszach bezładny gwar masy dzieciennych głosów, tak bardzo podobny do bezładnego gwaru wróbli obsiadłych drzewo. — „Boże, to są dzieci, co oni prowadzą!”... powtórzył w myślach. To były dzieci żydowskie. Masa dzieci. Szły w letnich ubrankach i łaćmankach, gadając do siebie, przekrzykując się wzajemnie, gestykulując, no, jak dzieci. Opowiadały coś, śmiały się... Dlaczegoś rzuciła się w oczy dwunastoletnia może dziewczynka w czarnych pończosz-kach, która szła najbliżej tego ojca rodziny z bagnetem na karabini i wszystkimi dziesięcioma palcami w powietrzu tłumaczyła coś ważnego dziewięcioletniemu może, bezzęsemu chłopczykowi z odętą twarzą. Od ważności tego opowiadania nóżki jej w czarnych pończosz-kach aż podskakiwały po kocich łbach bruku, lub migały sztywno wyrzucane ku przodowi jak w marszu paradnym. Była sama czarna, miała warkoczyk i kolorową tasiemkę zamiast wstążki. Żołnierz naturalnie nie rozumiał jidisz i może dlatego szedł obojętny na jej opowiadanie, przygarbiony pod ciężarem karabinu z płaskim bagnetem, pykał z fajki i myślał o czymś swoim.

„Dokąd je prowadzą? Na śmierć?!... Nieee... Oczywiście nie. Do tego nie użyliby wlokących się „landsturmistów”... Po drugie, taki marsz po zalanych słońcem ulicach trwałby za długo... Nie w tym tempie! Do tego użyliby kilku ciężarówek i po krzyku. Ach, w ogóle, i nie z tych starych karabinów przecie! To nie jest technika dzisiejszej egzekucji... Co to, to nie. Ale przecież nie na plac zabaw?... Może do łaźni na rynku Stefańskim?... Może do...”

To były myśli pocieszenia. Niewątpliwie. A jednak czemuś nie pocieszały. Bo sam widok był straszny! Straszny przez swą niezwykłość. Męka Pańska też musiała być straszna: gwoździami człowieka do skrzyżowanych desek wystawić na powolne konanie... Ale widok jej przestał być straszny przez opatrzenie. W każdym kościele, kaplicy przydrożnej, na cmentarzu, na skrzyżowaniu dróg, zwyczajnie przy drodze; od wieków, od pokoleń, po milion razy widziana od dzieciństwa, odklepana w milionach obrazków — w nikim, ani żegnającym się pobożnie, ani ziewającym, ani śpieszącym za interesem, do szkoły, do biura, nie budzi już grozy. Rzecz tak zwyczajna jak dzień powszedni. Zwyczajniejsza może od chleba powszedniego. — To, tu, nie stanowiło męki. Grozę budziła sama niezwykłość widoku: rój małych dzieci

prowadzonych (Ach, wszystko jedno dokąd!) przez starych ludzi z bagnetami połyskującymi w słońcu. Nie cel, sam fakt w swej niezwykłości zdawał się potworny.

A może tylko Henrykowi w nekającej go właśnie rozterce wewnętrznej? Ludzie szli chodnikami, mijali, jedni patrzyli, inni nie mieli na to czasu. On skręcił w prawo, zrobił dziesięć kroków i myślał: „Gdyby to było wieczorem, w nocy, to naturalnie mogłoby być wstrętne... Ale w tej chwili, w samo południe, to akurat najlepsza pora do takiego niespodziewanego powrotu... W razie czego zabierze rzeczy, jeżeli jakie zostały i po krzyku...” — Poszedł garbiąc się trochę, minął kościół Wszystkich Świętych, obszedł domy i mury getta, wybrał właściwą przecznicę.



Akurat dnia poprzedniego Leon wpadł na „filozoficzny sposób zdobywania kobiet”, jak twierdziła Halina.

Siedzieli na ławce w parku miejskim, zwanym „Cielętnikiem”. On, czekając na Sergiusza Piaseckiego, słynnego pisarza, dziś kierownika podziemnej „egzekutywy”. Ona, wracając od siostry z kawiarenki, do domu. Żadnych kompromitujących przedmiotów przy sobie nie mieli, dokumenty w porządku, mogli na chwilę napawać się dniem późnego lata pod kasztanami. Leonowi przyszła do głowy cała tyrada:

— Widzisz, to jest to samo. Ktoś ma sto tysięcy, a ja nie mam nic. Czy mam prawo je chcieć?

— Masz.

— Więc zostawmy monetę na boku. Bo pieniądze dlatego się chce, że daje władzę posiadania tego co się chce. A ja chcę ciebie.

— Miło mi słyszeć.

— Rzecz nie w retoryce. A w tym, że ktoś inny ma ciebie, a ja nie mam. Poczekaj... Jeżeli przemyśleć rzecz do końca, to jest takie samo prawo na władzę posiadania. Ja ciebie nie posiadam. Z jakich przyczyn, rzecz drugorzędna. Tak samo jak rzecz drugorzędna, dlaczego jeden ma sto tysięcy, drugi nic.

— I co z tego za wniosek?

— Taki, że nie ma różnicy w pożądlivosti natury ludzkiej. Czy to będzie dom, samochód, czy podróż naokoło świata...

— Ach, naokoło świata!...

— Nie mam władzy do posiadania tego, czego pragnę. I gnębi mnie nierówność. Nierówność szczęścia. Dlaczego do cholery, jeden ma „taką” żonę i może być szczęśliwy, a ja nie? Jeżeli biedak zabija bogacza, to mówi się, że rabuś. Jeżeli masa biedaków zabija masę bogaczy, to mówi się o sprawiedliwej społecznej re-

wolucji. A jeżeli ktoś zabija, żeby mieć drugiego żonę, to mówi się: zbrodniarz. A źródła czynu są te same, leżą w naturze ludzkiej.

— Słowem, chcesz zabić Henryka?

— Sądzę, że on już dawno zabity.

— Może gdyby była „masa” takich, którzy pragną przetasować cudze żony, też by uznano za sprawiedliwą rewolucję — powiedziała Halina, tłumiąc ziewanie.

— Kiedy to może nastąpić?

— Za tysiąc lat.

— Tysiąc lat być wierną jednemu, to nieprawdopodobne.

— A ty skąd wiesz, że Henryk zabity?

— Nie wiem, tylko przypuszczam. To propaganda z mojej strony.

— W propagandzie mówi się nie to co jest, ale to co chciałoby się, żeby było. Ładnego ma Henryk przyjaciela!

— Nie, moja osobista propaganda jest innego rodzaju. Bazuje na prawdopodobieństwie rzeczy.

— Mówiła mi Jadzia, że może wiedziałby ktoś w okręgowym „Kedywie”.

— Dużo ona wie! Od czasu połączenia „Z.O.” z „Wachlarzem” w ten cały „Kedyw”, nikt się tam rozeznacć porządnie nie może. Jest tam jedna kanalia z byłego ONRu, „Józef”, i ten nie wiadomo po której stronie. Może komuna.

— Kto to taki?

— Nie będę rozszyfrowywał. To zresztą bez znaczenia. U kogo ty się dziś dowiesz prawdy. — Wyciągnął nogi przed siebie, a ręce zarzucił w tył wspierając głowę na dłoniach i patrzył na dawny gmach urzędu wojewódzkiego po drugiej stronie ulicy, na którym powiewał teraz sztandar ze swastyką. — I co to znaczy, dziś: prawda!? Rzecz niemożliwa. Spróbuj ją tylko wypowiedzieć. Usłyszysz ciebie i sama zaczyna od ciebie uciekać, galopem. Jeszcze zanim ludzie ciebie i usłyszą, i zastrzelą za nią. Prawda ma długie nogi, w odróżnieniu od kłamstwa. I dlatego ucieka szybko. Działa instynktownie i wie co robi. Zostawiając ciebie okrakiem na kłamstwie. Gdyż kłamstwo to jest życie. A w dzisiejszych czasach, żeby przeżyć, siedz na nim i trzymaj się kurczowo za grzywę. Jak we wczesnym dzieciństwie na koniu-bujaku.

W tej chwili za ich plecami, prawie bezszelestnie wynurzył się z bocznej ścieżki Sergiusz Piasecki. Nie był wysoki, a takim się na pierwszy rzut oka wydawał ze względu na swą chudość. Ubrany był, mimo ciepła, w stary deszczowiec anno 1925, z którego wybiegały w dół ciemne rurki niezapasowanych spodni; trzewiki zakurzone. Ręce trzymał w kieszeniach deszczowca. Wyglądał

biednie, ale nie w sposób rzucający się w oczy. W ogóle nie rzucał się w oczy, gdyby nie ascetyczna twarz, a w niej ciemne, kłujące spojrzenie. Być może tak wyglądali ideowi terroryści XIX wieku. — Nie wyjmując rąk z kieszeni stanął nad nimi i przede wszystkim spojrzał bez uśmiechu na Halinę. Twarz jego w ogóle nie nawykła była do uśmiechu. Tak zwanego „poczucia humoru” uczył się dopiero z literatury, bo własne życie mało mu dało ku temu sposobności.

Halina wstała z ławki i kiwnęła głową.

— A jak będzie z „prawem na władanie”? — wysilił się jeszcze na dowcip Leon.

Odmachnęła ręką nie oglądając się i poszła.

— Kto to? — zapytał po jej odejściu Piasecki.

— Przyjaciółka Henryka.

— „Grubego”? — Przysiadł się na ławce. — O nim zaczęły krążyć jakieś plotki.

— Ze co?

— Niektórzy podejrzewają go.

— Podejrzewają?! O co? Czy on żyje w ogóle?

— Ach, — odpowiedział mruknięciem, w którym było tyleż lekceważenia co odrazy. — No, chodźmy już.

Poszli milcząc na umówione spotkanie z zastępcą komendanta, „Pułkownikiem”, alias „Grzmotem”, alias „Przyjacielem”, na które miał przybyć Zygmunt Andruszkiewicz, alias „Andrzej”. Właściwie z jego to inicjatywy. Piasecki w ostatniej chwili otrzymał wskazówkę, że zostało wyznaczone w lokalu wypożyczalni książek pani Narkowskiej przy ulicy Tatarskiej, dokąd miał przyprowadzić również Leona. Albowiem zebranie było ściśle zakonspirowane, nawet przed konspiracją... Tego domagał się Zygmunt Andruszkiewicz.



Nazajutrz Leon dowiedział się od Kurczyńskiej, że Henryk przyjechał do Wilna.

XXXV

— Henryk!!!... — Było w jej wykrzykniku tyle szczerzej radości, że w mgnieniu oka straciły znaczenie i małe i wielkie przeżycia roku.

Na twarzy Henryka stojącego w progu, odmalował się dzie-

cinno-bezradny uśmiech. Na krągłej, nieładnej, ongiś tłustej twarzy, teraz wychudłej, umęczonej nie tylko minioną chorobą, zsurowiałej od wiatrów zmiennej pogody — uśmiech ten wydawał się jakimś klinicznym nonsensem.

Rzuciła to co trzymała w rękę i oplótła jego grubą szyję ramiarami. Stał jakiś czas z walizką w rękę, niezgrabnie bierny i dopiero gdy go puściła, powiedział z głębokim przekonaniem:

— Boże, jak niewiele człowiekowi potrzeba do szczęścia.

— „Niewiele”, to ja?!

— Niewiele, to świat cały — odpowiedział z tym samym poważnym przekonaniem, już bez dziecinnego uśmiechu.

— „Świat cały”, to ja?!

— To ta chwila.

Chwila minęła, jak chwila.

— Słuchaj — mówiła, na prędcę przygotowując coś do jedzenia — tutaj ciebie podejrzewali...

— O co?

— Jedni, żeś przeszedł do bolszewików, inni żeś przeszedł do Niemców.

— A trzeci?

— Że nie żyjesz.

Kiwnął obojętnie głową pochyloną nad rozstawionymi kolanami.

— Pies im mordę lizał. A co się tu dzieje?

— No wiesz, tak jednym tchem... Życie straszne. Ach, jakie straszne! Dotychczas słyszałam, że bywa odwaga cywilna i odwaga wojskowa. Teraz mi się zdaje, że trzeba mieć jeszcze trzecią odwagę, odwagę przed ciągłym chamstwem, pokrzykiwaniem, kopnięciem. Mnie tej odwagi zaczyna brakować. Zaczynam się bać. Ta straszna policja litewska, ta straszna jakaś ich „Sauguma”, i ci straszni Niemcy... Widziałam jednego gościa z Warszawy, nie wiem co tu robił, powiedział że nigdy by nie wytrzymał. „My mamy u nas, powiedział, jedną okupację, a wy tu macie podwójną okupację”.

— To nieprawda, ten podział. Odwaga jest tylko jedna.

— Nie wiem, może. Ale gdy na każdym kroku można być uderzonym w twarz... Przecież traktują nas gorzej niż Murzynów.

— To znaczy, Murzynów można?

— Jak bydło.

— To znaczy, bydło można? Też przez Boga stworzone. Zresztą szkoda czasu. Leon żyje?

— Ach, żyje... — odpowiedziała jakby z cieniem niechęci

w głosie, ale przypisał to temu, że przerwał jej opowiadanie.

— Klaudia?

— Ona żyje, ale jej Żydówka nie.

— Co ty powiesz?! Siostra Wulfki?

— Powoli całe złoto spłynęło do torebki aryjskiej blondyny, i wtedy semicka brunetka przepadła. Zajechał w czerwcu samochód i ją zabrał. Oficjalnie „Gestapo”. Ale mnie się coś zdaje, że nie... Zresztą dowód, że jej za ukrywanie, ani jeden blond włos nie spadł z głowy. Bardzo ciemna sprawa.

— Włos z głowy, zależy od woli bożej, mówił mi jeden bolszewik.

— Nie bluźnij. Poza tym moc ludzi o ciebie dopytywała, mówiła mi Jadzia. Z organizacji i nie z organizacji. W dodatku Jadzia przebąkiwała, że poszukuje ciebie Gestapo.

— Skąd ona to wzięła?

— Podobno ten Antanas, przez którego wyrabiałeś koncesję na kawiarenkę, teraz w Saugumie służy. Acha, zresztą dowiadywał się o ciebie, akurat przed kilku dniami, ten Litwin, leśniczy, Pożełas, zdaje się.

— Z czego ty żyjesz?

— Jak wszyscy. Z czarnego rynku. Ja mam wyjątkowe warunki. Z jednej strony kawiarenka Jadzi, z drugiej dostałam „posadę” szatniarki. Ty słyszałeś jest taki Marian Święcicki, przed wojną nauczyciel ludowy w Święcianach. Teraz potentant finansowy i konspiracyjny. Co za talent! Otrzymał koncesję na jedyny polski kabaret „Ali Baba”. Z jednej strony świetne stosunki z gebietskomisariatem Wilno-Miasto, z litewską policją i z Saugumą, z drugiej głębokie powiązania z organizacją podziemną. Może z asekuracji, może z patriotyzmu. Podobno wyratował już kilku ludzi z Gestapo. A na scenie „primadonna”, w której się kocha. Była taka, Wiasecka, przed wojną śpiewaczka w kinach. Ostatnio w Lidzie. Za czasów sowieckich w teatrzyku „Teatr Miniatur”, gdzie świniła się pewna nasza elita...

— Nie pamiętam jej. Ładna?

— Otóż w szatni tego „Ali Baby” odchodzi taki czarny rynek, że ola-lala! Pensja, napiwki, naturalnie głupstwo. Za to legitymacja pracy, kartki żywnościowe, ubraniove.

On opowiadał o swoich przeżyciach o wiele później. Gdy leżeli w łóżku. Potem gdy się nasycili wzajemnie. Opowiadał długo w noc. Ale wreszcie zauważył, że ona śpi, nie doczekawszy końca opowiadań. Z policzkiem na dłoniach obróconych wierzchem i z rozstawionymi łokciami, podczas gdy ciemne włosy nad karkiem

i skrawek nagich pleców ledwo się unosiły w miarowym oddechu. Twarzą i piersiami wciśnięta w poduszki.



Henryk stwierdził z niejaką satysfakcją, że Leon słuchał jego opowiadania z wyraźnym zainteresowaniem, prawie nie przerywając pytaniami. Gdy w końcu zadał ich kilka, świadczyły również o głębokim przejęciu tym co słyszał. O właściwej akcji „Wachlarza” miał Leon dotychczas tylko mgliste pojęcie. Niestety informacje Henryka również nie były pod tym względem wyczerpujące, a raczej fragmentaryczne. Dawały jedynie w przybliżeniu jakiekolwiek przedstawienie właściwego kierunku rzeczy.

— Tak to więc tam wygląda — zakończył Henryk. — Daj jakiegoś ludzkiego papierosa, jeżeli masz.

— Mam — wyjął paczkę belgijskich i poczęstował. A gdy Henryk obracał w palcach przyglądając się, dodał w formie wyjaśnienia: — Przechodził tędy flamandzki legion. — W jego stosunku do Henryka dawał się odczuć jakby cień suchości. Nie był wylewny tak jak dawniej. Powiedział za to: — Właśnie onegdaj poruszaliśmy tu, w swoim kółku, trochę podobne tematy. Właściwie żyjemy i co gorsza działamy, bez informacji. Informację zastępuje propaganda. Nie mówi się nikomu co jest naprawdę, tylko to co powinien za prawdę uważać. W rezultacie całe podziemie składa się z ogromnej ilości ministrów propagandy, bez ministerialnej pensji, za to z czyjejs nominacji. Odchodzi totalna urzędówka. Każde słowo własne podlega skarceniu: „O tym nie należy głośno mówić...” Ty znasz „Andrzejka”?

— To pseudo?

— Pseudo.

— Skąd mogę znać.

— Zaraz, trzeba by... — Zamyślił się. — Tak, koniecznie nawet! Zostawię ci wiadomość u Jadzi. Musisz się z nim zobaczyć. Teraz, niestety, lecę. Serwus!

Antokol 13 był to parterowy dom, odsunięty nieco od ulicy w głąb starodrzewia. Z drugiej strony domu zaczynał się spad do Wilii, gęsto zakrzewiony. Rzeka płynęła leniwie, cała w piaszczystych łąkach, wyschnięta, w oczekiwaniu na deszcze jesienne. Jesień roku 1942 już się po trochu zaczęła, ale deszcze jeszcze nie. Opadały pierwsze liście z drzew i kilka pożółkłych leżało na ganku. Na dzwonek u drzwi wyszedł sam Pożętas. Nic się nie zmienił.

— Ao, gdziez przepadał tyle czasu?

— Na letnisku.

— Słabe letnisko, bo wychudzony, widzę... Wolnego mieszkania u mnie nie ma! — Powiedział nagle bardzo głośno. A później zniżając głos: — U mnie w domu jak raz niewygodnie. Powiem, że ktoś dzwonił, o wolny pokój pytał. Idź w kierunku kościoła św. Piotra i Pawła, a później wolniutko uliczką w górę, jak ona nazywa się zapomniałem, co na Zarzecz prowadzi. Tamtędy tylko psy chodzą. Ja za minutę podejść.

Uliczka wiodła między gołymi wzgórzami, obskubanymi z trawy przez kozy. Istotnie, pies obwąchiwał słup telegraficzny, pozatem nikogo. Beczała gdzieś uwiązana do palika koza. Dopiero po drugiej stronie zaczynały się domki i drzewa. Pod nogi spadł kasztan, rozłupał się smakowitą świeżością, potoczył i ugrzązł między kamieniami bruku. Henryk odwrócił się dyskretnie. Za nim wielkimi krokami podążał uśmiechnięty leśniczy.

— Taka rzecz. Ja pana chciałem uprzedzić... — Pożęłas swoim zwyczajem przechodził w rozmowie z „na ty”, na „pan”, to znów na „wy”, lub na trzecią osobę liczby pojedynczej. Nie raziło to jakoś, lecz przeciwnie dodawało wypowiedzanym słowom szczególnej plastyki. — Ze interesuje się Gestapo.

— Cóż ono może mieć. Ja skromny człowieczek...

— To-to, ono skromnymi też interesuje się. Ta rzecz przyszła jakoby z Mińska.

— Z Mińska? — zdziwił się Henryk. — Na oczy nie widziałem.

— Widocznie ktokolwiek inny widział. Ta sobaka Dobrawiczus, naczelnik Saugumy... Od niego wie Antanas.

— To Antanas teraz do Saugumy awansował?

— Strachu nie ma. To w jego referacie, a on teraz do nas przeszedł. Swój człowiek tam. Na wszelki tylko wypadek prosił uprzedzić.

— Co znaczy: „do was” przeszedł?

— Co znaczy, to już niebawem będzie wiadomo. Widzisz co wyrabia się. Toż to szaleństwo.

— Zmieniacie front?

— Nie my zmieniamy. Oni nas zmieniają. Aresztowany Leonas Prapuolenis, szef naszego LAFu. Wzięli takich judaszów jak Kubiliunas i z każdym dniem więcej cisną. W Taurogach, Szawlach i Wyłkowyszkach już kolonizację rozpoczęli. Ale to, na razie, inna rzecz. Ja miałem do pana drugą sprawę. Tylko, że ot, spotkać nie mogłem. Na „letnisku” byłeś... Mhm. Trzeba nam jakoś pomału do porozumienia dochodzić, choć gadać zacząć... Na początek mnie polecili, i nie tylko mnie, podać do wiadomości Pola-

ków, że były prezydent Litwy, dr Kazys Grinius, a także nasz leader chrześcijańskiej demokracji ksiądz Mykolas Krupawicius, później minister rolnictwa Jonas Aleksa i arcybiskup Skwireckas w Kownie, złożyli Niemcom memoriał protestujący przeciwko przesładowaniom ludności polskiej w Litwie przez Niemców.

— Nic nie słyszałem o tym.

— O! W tym rzecz, że zdaje się nikt z Polaków nie słyszał. Więc chodzi, żeby to im jak najszerzej było wiadome. A przecież to już dawno. Od tego czasu zdążyli niektórych aresztować, z tych autorów memoriału, niektórych wypuścić a niektórych nie. Wasza organizacja powinna o tym oficjalnie wiedzieć.

— Ja nie należę do żadnej.

— To i wszystko. Dalsze nie moja rzecz. Ja na innym odcinku. A ot, żeby ktoś z was z Wilenasem porozmawiał. On od polityki.

— Nie mam pełnomocnictw. Pan przecie zna innych.

— Znam, próbowałem. Ale wiecie, z waszymi Polakami... Boją się strasznie prowokacji. Odburknie, byle prędzej pożegnać się. Tyżesz sam wiesz najlepiej. U nich linia — przeciął ramieniem powietrze — boją się zejść na centymetr, żeby nie strefnić się. A zresztą czasem sam nie wiesz z kim gadasz, z Polakiem czy z Volks-Anglikiem.

— Z Leonem pan nie rozmawiał? Znasz jego.

— Raz zaczęliem. Dwa słowa mruknął pod nosem i poodszedł! A później na drugą stronę ulicy przechodził. U was, jakoś, jeden drugiego boi się. Choć prawdę powiedzieć, jeżeli o interes chodzi, to nie zawsze na drugą stronę ulicy przebiega.

— To każdy na świecie. Żyć trzeba. Ale z drugiej strony pan sam przed chwilą mówiłeś: „co wyrabia się”! Otóż to. Na górze Niemcy, a pod spodem Litwini wasi co wyrabiają. Fakt, czy nie fakt? Zdarza się, że biją na ulicy jak kto po polsku mówi. A zdarza się gorzej, słyszałem.

— Wiem, wiem, fakt. Nie ma o co kłócić się. Fakt. Ale, czy to Litwini? Hołota. A u was nie ma hołoty? Hitler to prawdziwy geniusz. Gdzie tylko pojawi się, zaraz hołotę wydobywa na wierzch. Łazą jak pluskwy magnesem przyciągnięte. Ja właśnie obawiam się, że on wojnę z bolszewikami przegra w końcu, bo na hołocie jak na błocie, nie można budować. Więc my chcemy z tym skończyć, i tych wszystkich judaszów naszych na prawidłową religię przywrócić. Niezadługo dam tobie do przeczytania takie pisemko jedno: „Lietuvos Judas”. Poczytasz.

— Poczytam. Dziękuję za ostrzeżenie.

— Nie ma za co.

— A żyć trzeba, leśniczy?

- Kto powiedział?
— A po co Pan Bóg człowieka by stwarzał inaczej.
— Otóż ja boję się, czy On już swojej pomyłki nie dostrzega teraz.
— Jakby ni-było, mnie dziesięć rubli złotem trzeba zmienić po najlepszym kursie. Potrzebuje drobnych.
— To z „letniska” przywiozłeś?
— Z letniska.
— Dawaj. Przyjdź jutro o tej samej porze. Dziś nie znam kursu.
Podali sobie ręce na pożegnanie.

XXXVI

Była noc. Ostatnia kwadra księżycy ledwo się przeciskała przez zatłoczone chmurami niebo. Wzgórza obrośnięte niskorosłą sosenką leżały w ciemności. Dom Drużki stał tu na uboczu, w sporej odległości od osiedla, prawie w miejscu gdzie łagodny spód schodził w dolinę rzeki Waki. Stamtąd, mimo nocy, z bezkresnych zarośli, pastwisk, torfowych łąk i łąz nadbrzeżnych, dochodziły ledwo dosłyszalne szmery, chrobot, wyskakiwały pojedyncze piski i kwaki. To wodne ptactwo przelotne zapadłe późno, już po zachodzie, usadowiało się na krótki spoczynek, by przed świtanem lecieć w południową dal.

Szewc Drużko, były przewodniczący sielsowietu, długo tego wieczoru garbił się nad reparacją butów przy zaciągniętych szczelnie oknach. Jego baba spała za przepierzeniem, pomrukując jedynie przez sen na głośniejsze uderzenie szewskiego młotka. Wreszcie odłożył robotę do jutra i przed pójściem na spoczynek wyszedł jeszcze za swoją potrzebą na dwór. Z ganku uderzyła w nozdrza cierpka woń jesieni, chłód ciągnął z doliny. Mgły jakoś nie było. Czyjeś spóźnione skrzydła przepruły jeszcze powietrze bardzo nisko nad głową i roztopiły się w dalekich szelestach. Het, po drugiej stronie doliny, w Melechowiczach chyba, wietrzyk złapał szczekanie psa i przeniósł głos na tę stronę. Drużko miał już wracać do chaty, gdy kawałek księżycy znalazł jakąś dziurę w grubym całunie, i w tym ledwo-świecie dojrzał dwie postacie idące najwyraźniej do jego domu. Bo dokądże indziej? Drużko, instynktem wszystkich zaszczutych ludzi, zamarł na początek nieruchomo.

Po pierwszych miesiącach wielkiego strachu, dano mu jakoś

spokój. Był przewodniczącym sielsowietu, no był, faktu się nie zmieni. Ale, istotnie, choć ludzie (jak to ludzie) starali się, trudno było przypomnieć by komuś wyrządził większą krzywdę. A po prawdzie, to żadnej. Szczęściem też dla niego, że mieszkał na uboczu, od roku starał się najmniej pokazywać na oczy i jakoś zeszło. Wrócił do szewstwa, powoli zapomniano że był przy Sowietach przewodniczącym, a tylko w dalszym ciągu jakby przy Polakach, szewcem.

I oto nagle, w środku nocy wychyliło się z sosenek i szło ku niemu dwóch ludzi. Cóż, stać w cieniu chlewa, pod okapem, wiecznie nie będziesz. Trzeba wyjść na spotkanie losu. Rabować nie będą, bo nic nie ma. A czego chcą, nie wiadomo.

— Drużko?

— Ja. — Ale już po pierwszym, pytającym wymienieniu jego nazwiska, ciął go jak brzytwą po sercu prawie znajomy głos.

— No to, dzień dobry!

— Jaki tam dzień. Noc. I kto taki o tej porze?

— Nie poznajecie?

Usłyszał te słowa wypowiedziane tonem sztucznej wesołości, poznał, i kolana się pod nim ugięły. Poznał, ale jakby to mogło coś pomóc, udawał jeszcze że nie poznaje. Raczenko poklepał go po ramieniu. Znowu ostre skrzydła spóźnionych kaczek przecięły powietrze i poleciały na rzekę.

— Ot i ja powróciłem, Drużko! A za mną niezadługo i władza sowiecka wraca. Nie cieszycie się? He, he, he... Nie prosicie nawet do chaty?

Drużko chciał się bronić przed widmem. Chciał powiedzieć, że niebezpiecznie tu. Że mogą naskoczyć Litwini ze straży kolejowej. Żeby sobie poszli... Ale powiedział tylko głucho:

— Proszę.

Weszli za nim, pochylając głowy w niskich drzwiach.

— Ot co, Drużko — powiedział Raczenko siadając na ławie. — Po pierwsze moje nazwisko: Nikitin. Po drugie mój towarzysz, wszystko jedno jak się nazywa...

Utielnikow siadł niewygodnie na zydelku szewskim i skinął głową.

— No więc tak, Drużko — ciągnął Raczenko. — Przyszło się, znaczy, spotkać. Żona w domu, słyszę?

Drużkowa zbudziła się i poruszała za przepierzeniem.

— Samogon, zakąskę macie? — ciągnął Raczenko i nie czekając odpowiedzi: — Poślijcie żonę niech przyniesie — rzucił na stół krążek złotej pięciorubłówki.

Drużko chciał powiedzieć: „Gdzie teraz po nocy!... Ludzie śpią... Nie ma, nigdzie nie dostaniesz...” Chciał skłamać: „Żona

chora...” Chciał... Zamiast tego wziął krążek ze stołu, poszedł za przepierzenie i powiedział:

— Zbiegaj ostrożnie, zadami, ogrodami, do Łutowicza. Przynieś literkę i co zakąsić.

Drużkova, baba ostatnio kłótniwa i pełna sprzeciwu, zaczęła by niewątpliwie lamentować i wymyślać, przeklinać i odmawiać, że nigdzie po nocy nie pójdzie. Ale i po głosach przybyszów, i po dziwnie nieswoim głosie męża poznała, że słów tu na darmo nie ma co tracić. Ubrała się, okręciła chustą i poszła. Po jej wyjściu Raczenko jakby poweselał i ciągnął wciąż dalej:

— Więc tak, Drużko, ja wiem, wy wierny syn sowieckiej ojczyzny. Nie darmo na przewodniczącego sielsowietu obierali. — Oczy jego zwężyły się w szyderym uśmiechu. — Ale poza tym, wam inaczej i być nie wypada. Inny, bywa, z donosem próbuje pójść. Strasznie to długa droga, raz że do wieczności prowadzi, a dwa, donos dzisiaj to jak nóż o dwóch ostrzach. Chwycisz ciąż, a drugie ostrze tobie jeszcze prędzej w rękę same się wpija. Bo przecież zaraz źli ludzie przypomną, że na przykład ktoś nie tylko w sielsowiecie służył, ale od wybuchu wojny sowieckim, tajnym agentem pozostawał...

— Nie był ja, żadnym agentem... — przerwał ponuro Drużko.

— Nie?! — zdziwił się Raczenko. — A u mnie jak raz dowody są i chciałem was właśnie do nagrody, odznaczenia przedstawić, do orderu, jak wróci nasza władza. Aaa, to szkoda. Pewnie sfałszowane dowody. Ale widzisz, jak ktoś je podrzuci gdzie nie potrzeba, to już tam, w Gestapo przyjdzie się tłumaczyć. A ich, sobaki, przekonać strasznie trudno... Ale po co o nieprzyjemnych perspektywach rozmawiać, mówmy o wesołych. — I nagle porzucił szydery ton i krótko, rzeczowo wyjaśnił: — Mój towarzysz musi u was kwaterę mieć. Czy we dnie, czy w nocy. Czasem będzie wychodził na dłuższy lub krótszy okres. Słowem baza. Nie za darmo. Za wyżywienie będzie dobrze zapłacone. A ja będę zawsze w pobliżu, w razie czego pomóc... opiekę roztoczyć... nad wami...

Utielnikow, który dotychczas nie odezwał się słowem, uśmiechnął się kątem ust.

— Na długo? — spytał Drużko zachrypłym głosem.

— Długo. Może do wiosny, może krócej.

Drużko poczuł w sobie jak chęć do życia opada mu nagle gdzieś w nogi. I całe to życie wydaje się nie warte życia. Bo raczej ma ten, co mówi że to będzie życie bez wyjścia. Nie ma gdzie podać się biednemu człowiekowi. Zapłakałby nad swym losem, ale skąd ich wziąć łez tych? Od wieków już wyschły. Drzewem by rosnąć, zającem by skikać po lesie, i na to zazdrość zbiera... Za-

miast człowiekiem się rodzić... I słyszał, jak Raczenko mówił dalej:
— To jedna rzecz. Druga, to aktywność trzeba przejawiać, Drużko, nie spać na piecu.

— U mnie nawet i pieca takiego nie ma.

Raczenko rzucił okiem na wąski piec i raptem skrzywił się.

— Ech, nogi odparzyłem... — i zaczął ściągać but. Drużko tępo, fachowym okiem patrzył na zadartą ku górze, wcale dobrą podeszwę, na miękkie cholewy jakie Raczenko nosił i dawniej.
— Jak tu z propagandą u was, Drużko, stoi, a? — pytał zacinając usta z wysiłku przy ściągnięciu lewego buta.

— Jaka może być propaganda. Niemcy z Litwinami sami najlepszą propagandę i robią... U was podbicie w lewym za ciasne, od tego i nogę parzy, i ściągnąć trudno.

— To ja wiem. Ale to bierna propaganda. Trzeba przyłożyć się do aktywnej. Jak tu jest dziś ze świadomością w wsi u was? Z ludźmi?

— Było nawet bardzo źle, jak Niemiec naskoczył, z pierwszego czasu. No, a teraz wiadomo jak... Ale też nie ważne. Głównie kołchozów się bardzo boją.

Raczenko przeszedł się w skarpetkach po deskach podłogi z wyraźną ulgą, i znów siadł na ławie. Drużko stał po dawnemu w nieokreślonej pozie, jak ongiś stawał w kancelarii sielsowietu. Utielnikow nie ruszył się z miejsca. Tyle, że wyjął z kieszeni „Mauser” oglądał go czegoś, dwa razy przesunął bezpiecznik tam i z powrotem, z metalowym odgłosem: „klik-klak”... i schował znowu. Przez zaciągnięte szczelnie okna nie było dojrzeć jaka noc na dworze. Wiatru nie słychać, może na deszcz idzie, czy na wczesny przymrozek? A może pociepleje do rana? Ładna pogoda nastanie, gdy jutro słońce wzejdzie za koleją do Lidy, nad wschodnimi lasami? A mogą nastąpić takie rzeczy, których człowiek w tym momencie ani się spodziewa, ani przewiduje, ani w wyobraźni nawet nie nosi... Utielnikow spojrzął znacząco spod nawisłych brwi na Raczenkę. Raczenko przechwycił jego wzrok i jakby przypominając sobie, zwrócił się do Drużki:

— Daleko ten Łutowicz mieszka?

— Przecież sami wiecie. Za koleją, aż pod borkowskim lasem.

— Ach, słusznie. Daleko.

Utielnikow wstał, ziewnął, rozprostował ramiona i wyszedł na dwór. Raczenko też się przeciągnął, rozstawił szeroko nogi i, pochyliwszy nad nimi głowę przyglądał się poruszając wielkim palcem w skarpetce.

— Wiecie, Drużko, jaka jest najskuteczniejsza propaganda? A dziś tylko o skuteczność chodzi, o nic więcej. Szeptana.

— Co tu szeptać, kiedy ludzie sami widzą.

— Widzą, to jeszcze mało. Trzeba im na to co widzą, szczególnie zwracać uwagę. To i dziecko w szkole widzi obrazek, ale trzeba jemu jeszcze palcem wskazać na poszczególne jego fragmenty, żeby w pamięć się wbiło. Roztłumaczyć. Mówisz: „kołchozowie się boją”. Ot i trzeba podszeptywać: „Niemcy kołchozy zostawiają też. I sowchozy po majątkach. Tyle że dla siebie...” Ciemny, nieświadomiony element ciągle jeszcze „bolszewików się lęka”. To trzeba im wskazywać: „A co Niemcy? Te same bolszewiki, tylko obce i jeszcze gorsze...” Ot, jak trzeba do ludzi podszeptywać, ich-że językiem, własnym, zrozumiałym, przekonywującym, tym który jest najskuteczniejszy. Lenin uczył, że skuteczność taktyki decyduje o wyborze taktyki na danym etapie. A dzisiaj etap jest tylko jeden: walka z Niemcami, rozumiesz, Drużko? Skuteczność walki. Was ludzie zapytają: „A jak wrócą sowietci, czy kołchozy znów wprowadzą?” To mów im: „Niemcy nie rozwiązują, bo dla siebie chcą zagarnąć wszystko. A Sowiety mają podobno, jak słyhać, po wojnie rozwiązać”. Albo wprost, bez „podobno”: zniesione być mają kołchozy w Sowietach.

— I rzeczywiście mają być zniesione?

— My tego z tobą nie wiemy. O tym decyduje partia. Ona wie co najlepiej trzeba robić. Ale chodzą pogłoski... — Zawahał się przez sekundę i przytaknął pewnym głosem: — Mają być rozwiązane po wojnie. To o kołchozach. A teraz dalej. No, weźmy taki przykładowy wypadek: w rejonie Żytomierza i Kalinowki, wysiedlili akurat SS-si siedem wsi, sprowadzili dziesięć tysięcy Niemców, osiedlili ich tam i nazwali „Volksdeutsches Gebiet Hegewald”. Tak? Tak. Ale po co tobie mówić, że „siedem”? Ty mów: „siedemdziesiąt”. Tobie może zdaje się, że to będzie kłamstwo?

— Co za różnica... — szepnął Drużko.

— Nic podobnego. — Raczenko jakby nie dosłyszał. — To właśnie będzie prawda. Uczyłem że ja was dialektyki komunistycznej, ale nie douczyłem, tępe głowy. Drużko! Prawdą jest nie ta rzecz, czy zjawisko, co ty jeden widzisz, czy jeden wiesz, a według praw dialektyki prawdą dopiero są rzeczy w powiązaniu z masowym zjawiskiem, jako rezultatem historycznego procesu. Więc, pod Żytomierzem i Kalinówką wysiedlili teraz siedem wsi. A wiesz ty ile gdzie indziej, dziesiątków i setek może wsi wysiedlili? Nie wiesz. Opowiesz: „siedem” i skłamiesz. Bo w ludziach przez to wpoisz przekonanie, że tylko siedem. A powiesz: „siedemdziesiąt”, już będziesz bliżej prawdy. Bo do tego czasu Niemcy już może siedemset wsi wysiedlą. Ale ty ze swego indywidualnego widnokregu o tym nie możesz wiedzieć. Trzeba umieć przestawić się z pojmowania prawdy indywidualistycznej na prawdę prawdziwą,

dialektyczną, masową. Spalili wieś gestapowcy i sobaki z oddziału karnego, spędzili kobiety, starców i dzieci do stodoły i podpalili, gdzie?

— Słysząc było...

— To nie „słysząc”, Druzko! To trzeba mówić, że wiesz na pewno, a nawet że i na własne oczy widziałeś. We wsi Suczawiczach.

— Ja nie wiem gdzie ona nawet znachodzi się, ta wieś...

— Nie wiesz? To właśnie trzeba umieć wiedzieć! No to w wiosce Dorach, wołyńskiego powiatu. — Wyjął z kurtki jakiś notesik. — Całe gminy i powiaty takim sposobem wymordowane. W gminach Swatki, Miadzioł, Kobylnik, niemiecka ekspedycja karna spaliła przeszło 40 wsi. Dzieci i starców rzucali żywymi w ogień. Przy tym, bacz na to, największym zezwierzęceniem odznaczały się łotewskie oddziały SS. A w Łyntupach 60 wagonów naładowanych dziećmi mieli wieść do Niemiec. Postawili na boczny tor i zapomnieli. I wszystkie dzieci zmarły w strasznych męczarniach. A w Stołowiczach otoczyli cerkiew z całym narodem i spalili razem z popem. — Szybko przerzucił notesik. — O takich rzeczach trzeba nie tylko samemu słyszeć, ale i innym opowiadać. A najbardziej o cerkwiach. Naród ciemny. On na przykład do popów przywiązany, do księży; i wrogowie rozpuszczają pogłoski, że Niemiec, zwłaszcza religii prawosławnej nie będzie prześladował. Tak? To trzeba im przypomnieć: Filipa Morozowa, archimandrytę ze św. Ducha w Wilnie, Niemcy rozstrzelali. Popa Borysa Kiryka, rozstrzelali. Jeromonacha Sergiusza, popa Aleksandra Własowicza, zesłali do kacetu; popów Aleksandra i Serafima Chiltatów rozstrzelali; popa Nazarewskiego z parafii Kosuta, popa Maliszewskiego w Słonimie. Nie prostymi słowami, a nazwiskami trzeba operować.

— A skąd ich wziąć, tych nazwisk? — szepnął Druzko, widząc, że Raczenko chowa notes do kieszeni.

— Jak skąd?! To może nie słyszeliście o losie popa Piotra Bacana z Kobylnika? Sam jego znałem, za rączkę ścisnąłem. Chłop 60 lat, a ogromniasty jak byk. To Niemcy jego do pługu zaprzęgli zamiast konia i orali nim ogródek warzywny w więzieniu, żeby ogórki-groszek mieć dla swoich Frauen. A jak jemu sił zabrakło, to psami szczuli. A ich kobiety tymczasem szydełkiem sweterek dla nowonarodzonego hitlerowca dziurgały. Tak ot, i trzeba opowiadać. I na tej podstawie, to już z zamkniętymi oczami setkę innych możesz wymieniwać. Bo to będzie dopiero historyczna prawda obiektywna, a nie obiektywistyczna twoja prywatna, że siedząc na szewskim zydelku głowy znad zgniłej podeszwy nie podniosłeś!

— Widziałem jak Żydów pędzili...

— „Żydów”! Ty z Żydami nie wyjeżdżaj! Żyd taki sam człowiek sowiecki jak każdy inny. Tu nie ma co wchodzić w drobnostkowanie. Ty o ludziach mów, a nie o Żydach. — Raczenko już dawno zeskoczył z ławy i chodził wzdłuż izby, w nagłym transie wykładu, coraz mniej się troszcząc, że mówi do jednego tylko Drużki. — Każde zjawisko jest tylko wtedy aktywne, gdy znajduje właściwe ustawienie i wykładnię. Trzeba nauczyć się nazywać rzeczy po imieniu. Ty widziałeś, ot towarzyszy, bawił się przed chwilą „Mauserem”. A co to jest taki prosty mechanizm, jak pistolet, Drużko? W rękach gestapowca, to jest „narzędzie zbrodni”. A ten sam pistolet w ręku sowieckiego człowieka, będzie „narzędziem do wymierzenia zasłużonej kary”. Tak, czy nie tak?

— Tak... jakby wychodzi — wystękał umęczonym szeptem Drużko.

W tej chwili z zewnątrz chaty doszły ludzkie głosy. Raczenko szybko uchylił drzwi do sieni, nadśluchiwał, wrócił i siadł na ławie. To był głos Utielnikowa i przyciszony kobiecy.

— Moja stara pewnie wróciła — wyjaśnił Drużko.

Gdy zasiedli do stołu i wypili już po pierwszej szklaneczce samogonu, Raczenko obejrzał się:

— A gdzie gospodyni?!

— To mnie można też przysiąc? — spytała nieśmiało, ukazując zaczerwienioną jeszcze wiatrem twarz zza przepierzenia.

— Prosimy, naturalnie — powiedział grzecznie.

Przy stole zaczęła się rozmowa zrazu od niczego. Dopiero po trzeciej kolejce Raczenko z nagłą zapytał:

— A nie wiecie, gdzie może być moja żona, Katarzyna? — Było to po raz pierwszy gdy postawił to pytanie. Po raz pierwszy w ogóle. Zwłaszcza odkąd radiotelegrafista pracujący na aparacie „R.-7”, gdy stali w Puszczy Nalibockiej, otrzymał z Moskwy „speczadanie”. Depeszował wówczas osobiście generał Osipow z Centralnego Sztabu Dywersji: Nikitin ma wybrać z oddziału najlepszych ludzi i udać się z nimi do Wilna i okolic. Instrukcja była dosyć szczegółowa. W zasadzie jednak miał działać w zastosowaniu do okoliczności jakie zastanie na miejscu. Nazajutrz wyruszyli.

Gdy pytanie to padło, pierwsza odpowiedziała Drużkowa, przydając słowom odpowiednią jej zdaniem żałobliwą, lamentującą tonację:

— Zabrali Katarzynę... Powieźli wszystkie sowietki...

Mąż spojrział na nią surowo i przerwał:

— Wszystkie żony komandirów i pracowników sowieckich co pozostały... A dużo ich, szczególnie żony lotników z Porubanku pozostało, umieścili Niemcy w jednym budynku na rogu Jagiellońskiej i Gdańskiej. A później co stało się z nimi nie wiadomo.

Czy wasza żona tam była, czy może uciekła... Bo jakiś czas wychodziły swobodnie. Kto może powiedzieć...

— Aaa, co chciałem spytać, czy nie wiecie czasem, urodziła dziecko?

— Jakoś nie słyhać było... — zaczął Drużko.

— Jakżesz, nie słyhać! — Przerwała mu żona. — Ola Ry-maszewska mówiła jakoby była ciężarna. Ale jak dalej stało się, Bóg święty raczy wiedzieć.

Raczenko wysłuchawszy tych informacji, wypił duszkiem, zakąsił, do tematu więcej nie powracał. Utielnikow nawrócił do bardziej konkretnego:

— A ten, jak on? Łutowicz? Nie dowiadywał się, nie rozpytywał skąd pieniądze i dla kogo raptem wódka pośród nocy?

— Gdzie on tam będzie rozpytywał! — Odmachnęła Drużkowa. — Żeby on za dużo rozpytywał, to by już dawno i handlować nie mógł.

Jeszcze przed świtaniem roje przelotnych ptaków zaczęły się zrywać z błotnistej doliny i lecieć. Kierując na Polskę, na Bramę Morawską. Później będą się dzielić; polecą różnymi szlakami: bałkańsko-tureckim, węgiersko-adriatyckim, włoskim i hiszpańskim...

Tu chłodny deszcz zaczął padać. Naraz ktoś mocno zastukał w ścianę: raz, raz-dwa, raz-dwa-trzy, raz... i znowu raz! — Raczenko i Utielnikow porwali się z miejsc. Tylko Drużko się nie poruszył. Po raz pierwszy tej nocy łagodny uśmiech przebiegł po jego twarzy.

— To dzięcioł — powiedział. — Uparł się przylatywać. Jedna belka zmurzała u poddasza. Co w niej upatrzył, kto jego wie, w takim bierwionie nic żesz do żarcia nie znajdzie. To wcale nie dzięciołska maniera dom opukiwać. Ale on uparł się, widzisz jego, co ranka ostukuje.

Utielnikow wyszedł jednak sprawdzić. Wiało fermentem wilgotnej jesieni.

XXXVII

Więc było wszystko inaczej, niż tego się ludzie spodziewali. Ale żeby wszystko stałe działo się na opak, jak każda stałość w życiu, wydawała się wielu nieprawdopodobne. Czekano więc jeszcze zmiany.

— Na gorsze, bracie, he, he, he.

— Nie biaduj, Adolfka, byle do wiosny... Ależ i imię tobie dali na chrzcie świętym, uchowaj Boże...

— Kto mógł przewidzieć...

Tymczasem rok 1942 zakańczył się jesienią, jak każdy. Posłuchasz „Deutschlandsender”, posłuchasz tajnie „BBC”: tuk-tuk, tuk-tuk, tuk-tuk, — „Tu mówi Londyn!”... prawdy się nie dowiesz.

— Bez samogonu, bracie, nie rozeznasz się...

— W Generalnej-Gubernii wiesz, jak samogon nazywają? Bimber!

Sowieckich radiostacji nikt nie słuchał, bo z góry wiadomo co powiedzą. Można samemu na kartce papieru napisać.

Tymczasem było wielkie zwycięstwo niemieckie pod Charkowem. Zatknęli już było flagę ze swastyką na Elbrusie. Zajęli Elistę w stepach kałmuckich. Od Bordeaux do granic Azji. Olbrzymie pobojewiska na Ukrainie leżały śmierząc żelaziwem, rdzą rozbitych czołgów, zjeżdżałym na słońcu smarem, ropą, spaloną gumą, i wielkie oczy słończników o długich żółtych rżęsach, patrzyły nie mrugając na nowoczesne pola-chwały.

Ilość wziętych do niewoli jeńców sowieckich z 3.355.000 jednego półrocza 1941 roku, zmalała w ciągu całego 1942 do 1.653.000.

O piekle panującym w niemieckich obozach dla jeńców sowieckich mówiono powszechnie. Ale zdarzyło się, że Mustafa Czokajew, jeden z przywódców ruchu tureckiego, otrzymał od władz niemieckich zezwolenie na odwiedzenie obozu jeńców w Suwałkach, gdzie znajdowała się spora ilość Turkmenów. Włosy zjeżyły mu się na głowie!... Od tego zaczęła się reakcja łańcuchowa. Już 25 października, dr Otto Bräutigam, zastępca szefa głównego wydziału politycznego w Ostministerium, złożył raport Rosenbergowi:

„... Ani dla przyjaciela, ani dla nieprzyjaciela nie jest żadną tajemnicą, że setki tysięcy jeńców sowieckich zmarło w naszych obozach, dosłownie z głodu i odmrożeń... Jest rzeczą chyba jasną, że nie tak nie jest w stanie wzmocnić oporu żołnierzy czerwonych na froncie, jak świadomość, że w niewoli oczekuje ich powolna, męczeńska śmierć...”

Szef włoskiego korpusu ekspedycyjnego, marszałek Messe, wystosował kolejny raport, wskazując z oburzeniem, że nawet zbiegowie z armii czerwonej zwabieni przez ulotki propagandowe, po 20 dni nie otrzymują jedzenia!... — Rosenberg wystosował pismo do gen. Keitla, żądając zwołania komisji OKW dla zbadania stanu rzeczy. Komisje wydelegowane zostały istotnie. I dnia 1 grud-

nia 1942 wydano nowe przepisy o polepszeniu warunków bytu jeńców sowieckich. W półtora roku od rozpoczęcia wojny...



Urodzić się Turkmenem nie było najgorzej. W dwanaście dni później ukazało się zarządzenie dowódcy wojskowego obszaru Ukrainy za nr 110, aby jeńców Turkmenów i Tatarów traktować lepiej niż innych. A tych, którzy wstąpią do formacji antysowieckich, nie tak jak Słowian, lecz zgoła uważać za „towarzyszy broni... Ze zrozumieniem i taktem”. Profesor Gerhard von Mende był rzecznikiem Idel-Uralu. Według jego planu: Tatarzy kazańscy i nadwołżańscy, Czuwaszi, Mordwini, Mari, Wotjacy, Czeremisi, Baszkirzy, „wszyscy gnębieni jeszcze przez Rosję carską”, mieli utworzyć tę antyrosyjską wspólnotę: Idel-Ural. Za tym przemawiał też Amin-el-Husseini, wielki Mufti Jerozolimy. Zamyślano już nawet o muftiacie w Taszkencie. Stary socjal-rewolucjonista rosyjski, Hayas-Iszaki, później z popieranej przez Piłsudskiego grupy „Prometejskiej” w Warszawie, wysunął się teraz na czoło rzeczników „Idel-Uraleskiej” koncepcji, która uzyskała szczególne poparcie w Ostministerium. Z konkurencyjnym planem wystąpił poseł von Henting z ministerstwa Ribbentropa. Lansował on koncepcję: „Czagataizmu”, która miała połączyć Turkiestan z Mongolią...

Zaczęły się żarty na wulkanie: Rosenberg! Ideolog teorii rasowej, obrońca Europy przed barbarzyństwem azjatyckim!... Zapod-rękę z każdym, byle skośnookim Mongołem!... Chaos-haseł. Wszystko bzdura.

Ale co miał Rosenberg do gadania! A raczej to jedno (poza filoukraińskim odchyleniem) wspólne z Hitlerem, Goebbelsem, Kochem, Himmlerem i Bormannem: wstręt do kontrrewolucji! Rozgromić Związek Socjalistycznych Republik Rad, ale nie dopuścić do współdziałania antykomunistycznych sił słowiańskich.

Rozstrzygnął Hitler. Przyjął wreszcie na audyencji wysłannika Turcji, generała Erkileta, i kazał udzielić wiz wjazdowych delegatom, przebywającego na emigracji w Konstantynopolu, przywódcy Tatarów krymskich Cafar-Seydhamet. Byli to jedyni emigranci przez Hitlera poparci osobiście. Reaktywowany został nawet muftiat Tatarów litewskich. — Przystąpiono do formowania czterech legionów: Turkmenów, muzułmanów kaukaskich, Gruzinów i Ormian. W ten sposób powstała 162-ga tiurska dywizja piechoty; później 450-ty pułk piechoty pod dowództwem eksperta do spraw chińskich, Meyer-Madera; później oddziały Tatarów nadwołżań-

skich, gruzińskie, ormiańskie, północno-kaukaskie; kałmucki korpus konny.



We wrześniu odbyła się na Kremlu wielka narada. Wzięli udział: Bułganin, Malenkov, Woroszyłow, Beria i Strakacz. Postanowiono utworzyć „Centralny Sztab Akcji Dywersyjnej na tyłach niemieckich”. Dowództwo sztabu objęła trójka: gen. Osipow (naczelnik), Podolski i Abakumow, wszyscy z NKWD.

Liczba partyzantów na tyłach armii niemieckich obliczana była na 150 tysięcy.

W końcu października powołany został przez Himmlera na stanowisko „SS-pełnomocnika do zwalczania band partyzanckich”, Erich von dem Bach-Zelewsky. 1 grudnia otrzymał instrukcję na „prawo i obowiązek stosowania każdego środka który okaże się skuteczny, nawet gdyby nie odpowiadał dokładnie regułom prowadzenia wojny”...

Od tej chwili liczba partyzantów sowieckich zaczęła gwałtownie wzrastać.

Ale liczba pragnących walczyć z Sowietami wśród ludności Europy wschodniej, wciąż była wielokrotnie większa.



U schyłku 1942, cztery tysiące Łotyszów i Estończyków rzuconych zostało na forty Leningradu. Na Krasnoje-Sieło wysunięto 19-ty i 21-szy bataliony łotewskie. Estoński batalion 29-ty pod majorem wojsk estońskich Peikker, 33-ci estoński batalion prowadzony przez kapitana Pärilin. Natomiast 36-ty estoński batalion porucznika Riipalu pchnięto w worek Stalingradu. Wyższe dowództwo niemieckie lawirowało pomiędzy kategoriycznym zakazem Hitlera tworzenia ochotniczych wojsk antybolszewickich, i jego w lepszym humorze wypowiedzianym zleceniem, aby w każdym razie nie występowały w zwartych zgrupowaniach pod narodowym dowództwem, lecz w możliwym rozproszeniu. Gdy 26 sierpnia radio w Tallinie zapowiedziało tworzenie „legionu estońskiego”, majorzy b. armii estońskiej, Soden, Rebane i Ellvann, wystawili wkrótce 50.000 ochotników; ale narzucono im niemieckich dowódców, rozproszono około 30 tysięcy po różnych odcinkach frontu; 20 tysięcy zatrzymano w służbie policyjnej i pomocniczej na tyłach. W rezultacie powstały tarcia, zła krew, zniechęcenie.

W tym samym czasie b. łotewski minister wojny, gen. Rudolfis

Bangerskis, mianowany został generalnym inspektorem antybolszewickich ochotniczych formacji łotewskich. Z ogólnej liczby 80 tysięcy ochotników, 31.450 porozrzucano na froncie, 15.000 użyto do służby policyjnej, 900 wcielono do niemieckiej marynarki, 650 do lotnictwa, a 40.000 do tyłowych służb pomocniczych.

Jeszcze wcześniej, generalny komisarz Kube zezwolił na tworzenie Białoruskiego Korpusu Samoobrony. — „Biełarusy!...” rozpoczynało się gromkim tytułem wezwanie, ogłoszone 1 lipca w „Biełaruskaja Hazieta” w Mińsku. Ale BKS nie otrzymał statusu wojskowego i miał być użyty wyłącznie do policyjnej akcji przeciw partyzantom sowieckim.

— Pozwoli pan zauważyć, Herr Doktor, że Ukraina to nie Białoruś. O istnieniu Białorusinów dowiedziałem się dopiero z początkiem roku 1941. Natomiast na Ukrainie istnieje silna warstwa inteligencji, w bardzo znacznym stopniu popierana przez masy narodowe. Aresztowanie takich przywódców jak Stepan Bandera, Jarosław Stecko, Koszewnikow i moc innych, świadczy o zapoznaniu najelementarniejszych podstaw jakiegokolwiek polityki w ogóle. To byli ludzie po naszej stronie.

— Koszewnikow okazał się, zdaje się, agentem sowieckim... Ale to nie ważne. Czyni pan tu błąd zasadniczy, generale. Polityka jest taka, jakie są jej cele.

— Czytał pan list do Führera z 14 stycznia, podpisany przez pułkownika Melnyka, metropolite Szeptyckiego, generała Pawlenkę i innych? Ja miałem go w odpisie.

— Nawet, żebym czytał, nie zmienia on celu do którego dąży Führer.

— Istnieje jednak coś, co się nazywa dyplomacją. Jeszcze przed rozpoczęciem wojny z bolszewikami, mieliśmy tylko jednego, całkowicie nam oddanego sojusznika w Europie. Tym sojusznikiem była Ukraina. Zamiast tego wystawiliśmy dwa regimenty pod iście „ukraińską” nazwą, z których „Nachtigall” rzuciliśmy ze Lwowa na Winnicę, a „Roland” jak najdalej stamtąd na Jassy. Posadziliśmy wroga narodu ukraińskiego, Kocha, w Równem. Dziś mamy Tarasa Bulbę-Borowca, który swoją „Poleską Sicz” przezwął teraz na „Ukraińską Powstańczą Armie” — UPA, i na Polesiu i Wołyniu walczy, nie wiem przeciwko komu bardziej: partyzantom sowieckim, czy przeciwko nam! Przecież w porównaniu do tego co mogliśmy mieć, to jest szaleństwo!

— Drogi generale, gdyby celem Führera było tylko rozbitcie bolszewików, to byśmy ich już dawno rozbili... A czy nie uważa

pan, że uczciwszą jest polityka, która swoich celów nie obwija w fałszywą dyplomację? Lenin postąpiłby na pewno inaczej.



Wobec zakazu Hitlera armia niemiecka zaopatrywała się w „Hiwis”, jak to powiedział dowcipnie marszałek von Kleist: „niejako na czarnym rynku”... „Hiwis”, skrót od „Hilfsfreiwillige” — wspierający ochotniczo. Jeńcy i zbiegowie z armii sowieckiej, którzy dobrowolnie wyrazili gotowość służby przy armii niemieckiej, nieodesłani na tyły, a użyci w kompetencji wojska na froncie, już wiosną roku 1942 sięgali liczby 200.000... — Generał Heinz Hellmich, z Oberkommando do Spraw Wschodnich Formacji, próbował w specjalnym raporcie uzasadnić wobec Hitlera konieczność wykorzystania „Hiwis” brakiem sił niemieckich. Hitler uznał jego argumenty za nie do przyjęcia!

Wówczas dowództwa wojskowe przestały o nich mówić głośno, a nawet rejestrować oficjalnie, i tak latem 1942 cyfra „Hiwis” osiągnęła 500.000, zaś w końcu roku 800.000...

— Przesada — oświadczył gen. Hellmich — ich jest 310.000.

— Ich jest co najmniej 600.000 do 1.200.000!... Generałowie używają dwa razy więcej ludzi niż potrzeba! — Wołali zgodnie reichskomisarze Koch i Lohse. — To są nieodpowiedzialne stosunki panujące w wojsku!

— Proszę panów, jeżeli chcecie wiedzieć nagą prawdę, jest ich 1.400.000! — oświadczył minister wyżywienia Herbert Backe, od roku 1941 szef „gospodarczego sztabu wschód”. — To jest cała tajna armia, którą utrzymuje wojsko! I wywraca mi wszystkie plany zaopatrzenia... Z tym trzeba skończyć! Panowie oficerowie sabotują rozkazy naszego Führera!

— Jak jest naprawdę? — spytał półszepcetem major Heinz Danko Herre, w poufnej rozmowie z generałmajorem Gehlenem, powołanym przez szefa sztabu głównego gen. Haldera, na stanowisko kierownika wydziału „Obce Wojska-Wschód”. Herre był polecony Gehlenowi przez „pewne koła wojskowe”, jako oficer godny zaufania.

— Naprawdę jest tak — odparł Gehlen — że dziesiątki tysięcy tych ludzi pełni już służbę z bronią w ręku. Naturalnie, nie zaleca się o tym mówić głośno. — Rozmowa odbyła się 22 kwietnia 1942 roku.

Z inicjatywy płk. von Tresckowa, pod sceptycznym okiem feldmarszałka von Kluge, dowódcy grupy-armii „Środek”, powstały pierwsze sześć batalionów rosyjskich ochotników. Dla uniknięcia nazwy „rosyjski” nadano im miana: „Dniepr”, „Berezyna”,

„Prypeć” itp. Jednocześnie na całym froncie powstawały mniej lub więcej zakamuflowane, militarne i paramilitarne formacje, kompanie budowlane, zastępcze, szkoleniowe, saperskie, ubezpieczeniowe, a także piechoty regularnej. Wszystko nieoficjalnie. 134-ta dywizja niemiecka składała się w połowie z żołnierzy rosyjskich. Również na odcinku „Środka” powstała jednostka pod kryptonimem „Graukopf”, pod dowództwem syna znanego białego generała Zacharowa. Wkrótce przeistoczona w brygadę pod kryptonimem „Osintorf”, jedyną, która pozostawała całkowicie pod dowództwem rosyjskim.

— Rzecz stoi na głowie — mówił Tresckow do Stauffenberga. — To, co normalnie w wojnie powinno stanowić przedmiot najgłośniejszej propagandy, zmuszeni jesteśmy ukrywać w największej tajemnicy i przed własnym dowództwem, i przed wrogiem, i przed całym światem! Zawdzięczając pewnemu szaleńcowi...

Raz, gdy do Hitlera doszła kolejna informacja o tych machinacjach, trzasnął pięścią w stół konferencyjny:

— Tylko bez żadnej, moi panowie, masowej Erhebung! Powstania! Żadnej kontrrewolucji! Żołnierz niemiecki nie po to wykrwawia się od Oceanu Lodowatego po Morze Kaspijskie, aby na tych terenach osadzać książąt, hrabiów i bankierów rosyjskich! Czy ułatwiać powrót bandzie emigracyjnych darmozjadów!

.....

Udało się go jakoś przekonać, że Kozacy to wcale nie są Rosjanie, i właściwie nawet nie Słowianie, lecz potomkowie zagubionych w stepach Ostgotów. W ten sposób tworzenie formacji kozackich prawie w tym samym stopniu co tatarsko-tiurkskich legionów uzyskało, acz niechętnie, oficjalną aprobatę. Niebawem nowo utworzone sotnie i szwadrony kozackie przydzielone zostały do prawie wszystkich większych jednostek ubezpieczających tyły, na froncie południowym. Ale i w stosunku do nich utrzymany został w mocy zakaz tworzenia silniejszych zgrupowań pod własnym dowództwem.

— Późnowaato — przeciągał z gryzącą ironią stary ataman. — Lew Trockij słusznie powiedział kiedyś: „Rewolucja bolszewicka przepęźła pod brzuchem kozackich koni... które nie zechciały jej w czas roztratować”. Dziś, stanicznicy, w mundurach niemieckich, już jej nie roztratujecie...

To nie zawsze konsekwentne stanowisko Hitlera dawało sposobność do różnorakiej „interpretacji”. Mistrzem tej interpretacji stał się hr. Claus von Stauffenberg, szef wydziału organizacyjnego

w sztabie naczelnego dowództwa. Potrafił on nie tylko odpowiednio „zinterpretować” rozkazy Hitlera, ale ponadto wpłynąć, by kluczowe stanowiska na interesującym go odcinku obsadzone były przez jego ludzi. Dnia 15 grudnia uzyskał zgodę na powołanie specjalnego dowództwa wszystkich wschodnich formacji wojskowych i w ten sposób mógł zalegalizować przynajmniej niektóre z nich, w ramach armii niemieckiej. Zostały one prawie... zrównane w prawach z żołnierzem niemieckim.

— To wszystko, co możemy na razie osiągnąć — powiedział do Tresckowa. — Szkoda! Największą okazję w tej wojnie utopiono w absurdzie psychologicznym.



Miliony ludzi uprowadzono przymusowo na roboty do Niemiec.

— Nadzieje, bracie, gasną jak gwiazdy na niebie, kiedy przychodzi czarna chmura...

Gdy 26 lutego ogłoszono „dekret agrarny”, wprowadzający „obszczinnoje choziajstwo” („Jako, że Rosjanie zawsze byli nawykli do kolektywnej gospodarki”) — ludzie tylko pokiwali głowami:

— Ten sam kołchoz co był, tyle że na inną modłę...

— Nawet „trudodni” utrzymali w mocy, sobacze syny!

— Gdzie indziej, mówią, wprowadzają „ziemliedielczeskoje Towariszczestwo”, i ziemię, mówią, na własność przypisywać będą.

— Ich „własność”! Taka ich mać!...

— Ta sama „artiel”, jak zaczęło się w 1929.

Ale i te reformy Koch sabotował w miarę swoich możliwości. I czasu zresztą już nie było ich wprowadzać, ani głowy do tego... Zaczynał się Stalingrad.



Dnia 12 lipca generalissimus Stalin wezwał marszałka Timosenkę:

— Rozkazuję utworzenie grupy wojsk „Stalingrad”. Miasto będzie bronione przez 62-gą armię do ostatniego żołnierza!

Dnia 9 listopada Hitler przyleciał z Berchtesgaden do Monachium i zjawił się w „Löwenbräukeller”, gdzie wykrzyknął do zebranych, starych swoich kompanów z roku 1923:

— Żadna siła na ziemi nie wyrwie nam Stalingradu!

„Stalingrad” rozpoczął się 23 listopada, gdy 4-ty sowiecki zmechanizowany korpus, pod dowództwem generałmajora Wol-

skiego od północy, i 4-ty pancerny korpus generałmajora Krawczenko od południa-zachodu, podały sobie ręce w rejonie Sowiet-skoje, koło Kałacza nad Donem, zamykając w pierścieniu całą 6-tą i części 4-tej armii niemieckich.

Nigdy jeszcze klęska niemiecka nie zarysowała się tak wyraźnie.

Mr. Walter Duranty, korespondent *New York Times*'a w Moskwie, zalecał zimną i trzeźwą ocenę: „Należy stawiać na Stalina, jak się stawia na konia, który zwycięży” — depeszował do New Yorku.

W Warszawie dawno już liczono się z możliwością klęski niemieckiej na wschodzie. W raporcie operacyjnym nr 154 z 13 września dowódca AK depeszował do Londynu:

„1. — Jako głównego przeciwnika widzę Niemców znajdujących się na terenie powstania. 2. — Jako dalszego przeciwnika, widzę wojsko niemieckie wracające ze wschodu przez Polskę do Rzeszy”.

W pięć dni po rozpoczęciu „Stalingradu”, Naczelny Wódz polski przysłał z Londynu do Warszawy rozkaz do dowódcy AK w Warszawie, datowany 28 listopada:

„1) Dowódca AK potraktuje Armię Czerwoną jako sprzymierzeńca i nie dopuści do walki z nią. 2) Zamanifestuje prawo Polski do terytorium przedwojennego, przez prowadzenie akcji zbrojnej przeciwko Niemcom, oraz pełną mobilizację Sił Zbrojnych w kraju, i ujawnienie sieci organizacyjnej”.



Pisarz sowiecki, Ilja Erenburg, otrzymał zamówienie na tekst pod plakatem wojennym, przemawiającym do wyobraźni.

„Papo, zabij Niemca!” — głosił niebawem podpis pod barwnym obrazem, przedstawiającym małego chłopczyka i dużego krasnoarmiejca wyruszającego na front.



Patrząc w dół, na ziemię z „MiG-1” czy z „MiG-3, z „Jak-1”, „Il-2”, „Il-4”, czy też Me-110”, „He-111”, „Ju-88”, „Do-17”, i wreszcie z „FW-190” — widziało się to samo: dalekie lasy błękitniały, siniały, rozplywały się na kulistych horyzontach. Szarzały, rudziały nieobjęte stopy i pola i uciekały przed okiem w dal kuli ziemskiej... Ciągące niżej strzępy chmur wsysały w siebie dymy idące od ziemi, wisiały mgłą.

Do „byłe do wiosny”, było jeszcze bardzo daleko.

Zapowiadała się druga zima, głodna, bez opału w miastach,

wstrętna, przejmująca dreszczem. Odrażająca jak olbrzymie padło, nago rzucone na konary lasów, na zamrożone rzeki-jeziora, od którego ciągnęło smrodem zwęglonych belek, benzyny, starego żelaziwa, biedy ludzkiej i słodką wonią trupów.

— Co o niej powie historia?

— Zapewne zeźle, jak to w jej zwyczaju.

— Czy zdobędzie się kiedy na uczynienie znaku krzyża świętego: „W imię lasów, rzek i stepów, przebaczam wam żołnierze”?...

— Nigdy!

ROK 1943

XXXVIII

Moskwa, Stalingrad, Leningrad stawiały opór. Leningrad, w którym ludzie jedli już ludzi, a dzieci na dziecinnych saneczkach ciągnęły spuchnięte z głodu trupy dorosłych na cmentarz. W tym Leningradzie powstała piosenka, która przedostała się przez front:

*„Bolszewicy udają, że są patrioci,
Nie wierzcie kłamstwu, nie bądźcie idioci...”*

Skądś ją usłyszał Zygmunt Andruszkiewicz i opowiedział „Radwanowi”. Później pożegnali się na rogu Garbarskiej, i Andruszkiewicz szedł dalej ulicą Mickiewicza. Termometr na zewnątrz apteki koło której przechodził, wskazywał 28 stopni Celsjusza poniżej zera. W takim mrozie nikt nikomu nie przyglądał się na ulicy. Gdyby się nawet jednak bacznie przyjrzeć, nic w zewnętrznej powierzchowności Andruszkiewicza nie rzucało się w oczy. Mały, wąski w ramionach, zawsze schludny, zawsze śpieszący dokądś z dużą teczką koloru świńskiej skóry w rękę, lub jak teraz, w mróz, pod pachą. Kołnierz, z czarnego „kotiku”, watowanego palta podniesiony do uszu, czapka futrzana z tegoż futerka. Takim był przed wojną: redaktor odpowiedzialny wileńskiego „Słowa” i zarazem jego sprawozdawca sądowy, a jednocześnie aplikant adwokacki. Zapracowany, dobrze ułożony, grzeczny, uśmiech na bladej twarzy, bez znamion szczególnych.

Teraz Sergiusz Piasecki mówił o nim: „Andrzej” jest chorowity i słaby. Ale w jego zmęczonej twarzy jest coś z potęgi duchowej...”

Zdolny ponad przeciętność, władający biegle kilkoma języka-

mi, „Andrzej” sprawował wybitną funkcję w polskim podziemiu, doskonale zakamuflowany jako urzędnik litewskiego biura cywilnego zarządu upaństwowionych kamienic. Biuro mieściło się przy ulicy Wileńskiej. Wrodzona uprzejmość jednała Andruszkiewiczowi wszędzie przyjaciół. Miał ich też wśród Litwinów. Łączyła go też osobista przyjaźń z zastępcą komendanta AK. „Pułkownik” zdawał się cenić wysoko inteligencję „Andrzeja”. „Andrzej” zdawał się cenić w „Pułkowniku” uczciwość i prostolinijność poglądów. Bo Andruszkiewicz nigdy nie miał zaufania do „zawodowych intelektualistów”, jak mawiał. Twierdził, że wiedzę zastępują erudycją, a intelekt spekulacją słów bez znaczenia. „Pułkownik” był przeciwstawieniem intelektualisty.

Henryk czekał daremnie na umówiony sygnał od Leona. Wreszcie dowiedział się, że „Andrzej” wyjechał, ponoć do Warszawy i kiedy będzie z powrotem, nie wiadomo. Nie martwił się tym. Miał dosyć własnych trosk na głowie. Dopiero w środku największych mrozów został przypadkowo zagadnięty na ulicy, ale nie przez Leona, lecz „Radwana”:

— Jeden pan chce z panem porozmawiać. Może się pan domyśla?

— Co pan robi teraz?

— Sprzedaję stare butelki. — To było umówione hasło, które Henryk ustalił z Leonem.

— To dobrze. Kiedy i gdzie?

— Chociażby zaraz. W knajpce na rogu Ludwisarskiej i Wileńskiej.

Knajpka znajdowała się w kamienicy wybiegającej naprzód i przez to zwężającej w tym miejscu ulicę Wileńską w ciasne gardło. Z frontu można było obserwować całą ulicę wzdłuż. Z drugiej strony było wyjście na zaułek Piekarski.

Andruszkiewicz przywitał Henryka serdecznym uściśnieniem dłoni. Sięgał mu zaledwie trochę ponad ramię. „Radwan” opuścił ich. Właścicielem knajpy był milczący, z wyrazu ponury, chudy, wysoki, ni to Polak ni to Litwin. Postawił na stole ćwiartkę samogonu, marną zakąskę. Siedli obok siebie, patrząc w ulicę przed sobą.

— Ja tu zawsze jadam obiad — powiedział Andruszkiewicz. — Trzy kroki od mego biura.

— Pan jest dziś, słyszałem, jakimś wielkim dygnitarzem?

— Gdzie?... Acha! Pan nie ma pojęcia kto jest „dygnitarzem”, a kto nie. Kto jakie stanowisko zajmuje. Przecież dziś, w podziemiu, rozdaje się już nominacje na przeszłość. Dawny woźny może

być desygnowany na wojewodę. Trochę przesadzam, ale z grubsza tak jest.

— Hm.

— Rozeznąć się w podziemiu jest tak trudno, jak właśnie w podziemiu. Jak pan ocenia sytuację?

— Źle, oczywiście.

— To ja gorzej. Był kiedyś stary szmonces, gdy Żyd pyta drugiego Żyda: „Jak twoje sprawy?” „Gównno”, odpowiada tamten. „To jeżeli twoje sprawy gównno, to jeszcze kompot w porównaniu z moimi”.

— Tak. Ale dzisiaj każdy szmonces żydowski brzmi... — Henryk strzelił palcami — jakby to powiedzieć... Z innej planety.

— Dla mnie przeciwnie. Jak dobre wspomnienie dzieciństwa. Ach, czasy. Krótko do rzeczy: mnie chodziło o to, czy pan nie zechciałby napisać czegoś w rodzaju sprawozdania?

— Hm?

— Może być cały memoriał.

— O czym?

— O tym, co pan opowiadał Leonowi. O swoich wrażeniach tam.

— Ja człowiek niepiśmienny.

— Tym lepiej. Najprostszymi słowami.

— Po co?

— Chcemy coś robić.

— Robić, czy pisać?

— Niestety. Dziś nie można nic robić poza tak zwaną „organizacją”. Czy tym bardziej wbrew „organizacji”. Prawdziwa robota może być tylko wewnątrz „organizacji”, jeżeli chce pan naprawdę osiągnąć coś realnego. Żyjemy w epoce kolektywizmu. Do indywidualistów się strzela. Konkretnie: jeżeli zechce pan cośkolwiek robić indywidualnie, co będzie miało posmak antysowietyzmu, automatycznie popada pan pod zarzut „kolaboracji” z Niemcami i przepadł w butach.

— Mhm.

— Widzi pan, podziemie jest równie totalitarne jak komunizm, czy hitleryzm. Nie ma się czego łudzić, jeżeli się, oczywiście, nie chce łudzić. Żadnego *liberum veto* się nie toleruje. Pod tym względem Leon ma rację. — Zamyślił się. Z kuchni obsługiwanej przez ponurego człowieka dochodził brzęk noży. Za oknami przejechały sanki dorożkarskie. — Będąc dzieckiem — podjął „Andrzej” — miałem dużo żołnierzy papierowych. Naklejałem ich na karton, wycinałem i robiłem podstawki. Najróżniejszej broni i narodowości. Raz przyszło mi do głowy policzyć ich. Było ich dokładnie, będą pamiętał tę cyfrę całe życie: 461. Akurat w salonie

byli goście. Strzeliło mi pochwalić się, że mam tak dużo. „Mam czterysta sześćdziesiąt jeden żołnierzy!”, powiedziałem z dumą. A towarzystwo w śmiech: „... I jeden, powiadasz?” Tak, odpowiadam zmieszany: czterysta sześćdziesiąt jeden, właśnie policzyłem. Oni: „ha, ha, ha!...” Nie mogłem zrozumieć co w tym śmiesznego. „I jakże ten jeden wygląda?” pyta wujcio Ksawery. Nie mogłem zrozumieć. Przecież to cyfra jak każda inna. Odpowiedziałem: „Nie pamiętam już jak wygląda”. „To trzeba było sobie dobrze zapamiętać, he, he, he...” Wyszłem z salonu bardzo skonfundowany i rozżalony.

— I zrozumiał pan?

— Nie. Wtedy nie. Zrozumiałem dopiero po latach, gdy się dowiedziałem że jednostka jest śmiechu warta. A dzisiaj! Podku tego obcasa nie warta. Słowem, jak mówią Rosjanie: „Odin w polie nie woin”. A „wojować” z wewnętrzną sytuacją trzeba, moim zdaniem.

— O jakiej pan mówi?

— Wróciłem teraz z Warszawy. Granica pomiędzy komuną, dziś PPR, i KWC naszej podziemnej delegatury jest w dużym stopniu zatarta.

— Co to jest KWC? — spytał Henryk, mrużąc oczy.

— „Kierownictwo Walki Cywilnej”. Granica pomiędzy komuną i AK jest w dużym stopniu zatarta. Owszem, na górze, organizacyjnie, ambicyjnie, hierarchicznie, no i pieniądze, bardzo wyraźna. Deklaracyjnie „programowo”. Naturalnie. Ale peryferyjnie, w faktycznym zazębieniu najbliższych celów, pan nie wie gdzie zaczyna się Polak a kończy komunista. — Wyjął jakiś zmięty karteluszek. — Niemcy dostali w dupę pod Stalingradem. Nie! Żle mówię. W dupę dostają oni z tyłu od aliantów, a pod Stalingradem od Sowietów dostali w łeb. A oto jest depeza dowództwa AK, jeszcze z 12 stycznia. Część II, punkt a): „Na odcinku wojskowym zarządę i wykonam powstanie przeciwko Niemcom przy każdym możliwym rozwoju wydarzeń, w wypadku wkraczania Rosjan na ziemię polskie...” O jakimkolwiek przeciwstawianiu się „Rosjanom” w takim „każdym możliwym rozwoju wydarzeń...”, ani słówka. Słowem nie ma się co łudzić.

— Co tu pomoże mój memoriał?

— Nic. Kropla. Ale gromadzę te krople. Zamierzam wygotować obszerny traktat.

— Spróbuję.

— Chciałbym zwołać wkrótce małe zebranie zaufanych. Przyjdzie pan?

— Postaram się. Proszę zmienić hasło na: „sprzedaję zielone butelki”.

Ktoś zastukał. Wszedł Sergiusz Piasecki.

— Panowie się znają? — zapytał grzecznie Andruszkiewicz. Kiwnęli sobie głową z milczącym uśmiechem, nie odpowiadając na pytanie.

— Zimno bardzo — powiedział Piasecki.

Przez chwilę uwagę ich zaabsorbował widok za dużym oknem na ulicę: sierżant z odznakami hiszpańskiej „Błękitnej Dywizji” zatrzymał sanki dorożkarskie, kazał wysiąść jadącej w nich młodej kobiecie, sam usiadł i pojechał.

— Skąd tu ich tyłu, właściwie? — spytał Henryk.

— Szpitale ich tu — odparł „Andrzej”.

— Zawsze myślałem, że Hiszpanie to wyjątkowi „caballeros” w stosunku do kobiet — wtrącił Piasecki. — A oni tylko wyjątkowi sprzedawcy broni spod poły.

— Co teraz kosztuje pistolet? — zapytał Henryk.

— Ouu! 50, 70 dolarów. Od Hiszpana może pan mieć za dwadzieścia.

— Panowie mają coś do obgadania — Henryk wstał wyciągając rękę. — Nie przeszkadzam. — I skierował się ku wyjściu.

— Nie tędy — pośpieszył za nim Andruszkiewicz. — Niech pan wyjdzie tylnym wyjściem na zaułek.



Henryk nie umiał pisać. Nigdy tego nie próbował. Ale może dlatego bawiło to go nawet z początku. Brak było papieru. Zajmowało to w ogóle strasznie dużo czasu. A pieniędzy było mało. Trzeba się było kręcić na czarnym rynku. To co zarabiała Halina nie zawsze starczało. Raz przyszedł ksiądz. Akurat w pokoju było duszno, parno. Halina przepierała bieliznę. Na sznurze wisały jej majtki, biustonosze, dwie koszule Henryka. Krople spadały z nieregularnym trzaskiem na podłożone gazety. Ksiądz przysiadł się bokiem na krzeselku i powiedział nieśmiało:

— Proboszcz mój zabronił mi zdradzać tajemnicy...

— Rozumiem — kiwnął głową Henryk.

— Ktoś, kto na pana bardzo się powołuje i liczy na pana pomoc... Naturalnie nie wiem, czy ma do tego prawo... Prosi o pomoc pieniężną. Jeżeli uważa pan za stosowne zawierzyć mi tylko na tej podstawie, to za taką pomoc będę za niego panu wdzięczny.

Henryk oddał mu prawie wszystkie pieniądze, które miał własnie przy sobie. Ta wizyta była mu bardzo nie na rękę.

— Czy ty wiesz dla kogo on prosił? — zapytała po wyjściu księdza Halina.

— Nie mam czasu zgadywać.

— A ja ci mówię, że to od Wulki.

— Nie przeszkadzaj!

— Co ty piszesz ciągle?

— Ach, idiotyzmy!

Raz przyjechała Klaudia. Robotę trzeba było przerwać i rękopis schować. Na szczęście wizyta nie zabrała dużo czasu. Spieszyła sprzedać złotą bransoletkę. Henryk wiedział na pewno, że ta bransoletka pochodzi od siostry Wulki, zamordowanej w tajemniczych okolicznościach. Nie powiedział słowa.

— A Rogożin? — zapytała Halina.

— Wyjechał dokądś — odpowiedziała z pewnym rozdrażnieniem Klaudia.

Henryk podjął się pośrednictwa i na tej transakcji zarobił trochę komisowego. Strasznie dużo czasu pochłaniał ten memoriał. Ale upłynęło jeszcze sporo dni zanim go wykończył i wręczył przez Leona.

Wkrótce potem otrzymał zawiadomienie o wyznaczonym spotkaniu.

XXXIX

Odbyło się ono znowu w wypożyczalni książek pani Narkowskiej, przy ulicy Tatarskiej. Każdy z zaproszonych otrzymał uprzednio książkę, aby z nią przyjść niosąc otwarcie w ręku. Każdy też został wpisany według uzgodnionych nazwisk i fałszywych adresów do spisu stałych abonentów. Słaby to był środek ostrożności, ale był. Wypożyczalnia-biblioteka vegetowała jakoś zawdzięczając zezwoleniu jakie wyrobił Andruszkiewicz, wyzyskawszy swe znajomości wśród miejskich władz litewskich. Księgozbiór służył jednocześnie za archiwum podziemne. W tysiącach książek można było schować dużo.

— Narkowska jest przyjaciółką Zygmunta — wyjaśnił Leon.

— Młoda? Ładna?

— Zobaczysz.

Przyszli z opóźnieniem. Henryk dojrzał wśród obecnych chudy profil „oficera”, ale też z niejakim zdziwieniem „Konrada”, którego zaliczał raczej do partii przeciwnej. Poza „Pułkownikiem”, był jeszcze zupełnie mu nieznany młodzieniec. Piaseckiego nie było. Na przywitanie powstał, podając im rękę, tylko „Pułkownik”, który siedział najbliżej drzwi wejściowych. Henryk widział go po raz pierwszy. Przysadzisty, krępy pan w okularach o wło-

sach siwiejących na dużej głowie. Miał ruchy powolne, opanowane. Z wyglądu można by go zaliczyć do ludzi „dobrotliwych”. Trochę zgarbiony, w spodniach opadających na grube czarne trzewiki, wydawał się typem idealnie wystylizowanym na urodzonego „cywila”, właściciela sklepu spożywczego, fryzjerni, zegarmistrza... słowem kogoś z najmniej bojowych zawodów.

Cały ten pomysł Andruszkiewicza był w gruncie głęboko naiwny, ale to okazało się dopiero później.

— ... Proszę kolegów... Chciałem teraz zwrócić panów uwagę że jak mnie informuje osoba wtajemniczona, depesza dowódcy AK do naczelnego wodza w Londynie z 28 lutego bieżącego roku, punkt 1-szy, mówi wyraźnie (tu odczytał z bibułki): „W wypadku wkroczenia Rosji w pościgu za Niemcami, zachodzi konieczność nie równoczesnego powstania w całym kraju przeciwko Niemcom, lecz kolejno, strefami, poczynając od wschodu. Taka pierwsza strefa obejmowałaby ziemie wschodnie na północy z Wilnem, na południu ze Lwowem...” Jesteśmy więc przewidziani na pierwszym planie. Po co obwijać rzecz w bawełnę: przeznaczeni do „współpracy” ze zwycięską armią czerwoną. Tak, czy nie? Do współpracy z bolszewikami, wkraczającymi do naszego kraju. Jest to postawienie rzeczy na naiwnej głowie. Jakie oni mają pojęcie o Sowietach? Bolszewicy na opanowanym przez nich terenie nigdy z nikim nie „współpracują”. Nigdy z nikim nie dzielą się władzą, a sprawują ją wyłącznie sami. Jest to więc jednostronne wydanie nas bolszewikom!

W tej chwili „Konrad” zerwał się z krzesła:

— Przede wszystkim jest to przeznaczenie nas do walki z Niemcami. I to powinniśmy poczytywać sobie za wielki honor i wyróżnienie, takie pierwszeństwo. — Usiadł.

— To jest gra słów. W zestawieniu sił, walka militarna odbywać się będzie między Niemcami i Sowietami. My zaś możemy się co najwyżej włączać do demonstracji politycznej, bo te nasze oddziały to ziarno maku. Demonstracji wspomagającej opanowanie naszego kraju przez bolszewików. Ale nawet i do takiej demonstracji oni nas nie dopuszczają, a wezmą za mordę.

— Wspomagającej wyparcie Niemców z naszego kraju! Czym złożymy dowód...

— Zostawcie panowie to odbijanie piłek — odezwał się „chudy profil”. — Jaka jest w ogóle konkretna sytuacja?

Teraz zabrał głos Leon:

— Kto ją może znać? Znamy nie prawdę, a propagandę. Podczas wojny kłamią wszystkie propagandy. To jest jasne. O to nie można mieć pretensji. Ale zarówno propaganda sowiecka, jak propaganda niemiecka w jednym przynajmniej są szczerze: obydwie

mówią to, co w tej chwili chce powiedzieć Stalin, lub chce powiedzieć Hitler. Nasza propaganda nie tylko nie mówi, ale nawet nie jest w stanie powiedzieć tego, co chciałaby powiedzieć polska racja stanu, czy polski rząd. A tylko to, co chce powiedzieć angielska racja stanu i angielski rząd. Z tego co słyszałem od kolegi „Andrzeja”, każda depesza z Londynu przechodzi przez kontrolę Anglików. Nawet każda depesza dowódcy AK, czy podziemnych władz cywilnych do Londynu, przechodzi tam przez cenzurę angielską.

Po tych ostrych słowach nastąpiła raptowna cisza jak przed wybuchem burzy. Skądś przyszło do głowy Henrykowi, aby przytoczyć frazes kiedyś przeczytany. Przerywając ciszę, wypowiedział go nie wstając z miejsca, lecz patrząc w podłogę między rozstawione kolana na których opierał łokcie:

— Ojczyzna ma zawsze rację, szczególnie wtedy gdy nie ma racji...

— Czy my doprawdy ryzykujemy zebranie jedynie dla intelektualnej rozrywki? — Powtórzył „chudy profil”.

— Prócz łączności radiowej — odezwał się spokojnie odmierzony głos „Pułkownika” — są kurierzy z Anglii i do. — Była to uwaga rzeczowa.

— Dajmy na to, że też nie bez kontroli angielskiej. Ale dajmy na chwilę spokój Anglikom — zabrał głos „Andrzej”. — Postawmy pytanie bez obsłonek: w którym ręku znajduje się bezpośrednia dyspozycja i informacja u nas w kraju? Podczas mego dłuższego pobytu w Warszawie udało mi się dotrzeć i zorientować, i skontaktować jak dalece było możliwe. Jesteśmy tu sami swoi w tym pokoju... Przecież druga osoba przy Delegacie Rządu w Warszawie, a *de facto* pierwsza jeżeli chodzi o polityczne wpływy, to Józef Niećko, ludowiec o zdecydowanie prosowieckim nastawieniu. Przecież „Socjalistyczna Organizacja Bojowa”, tak zwany SOB wchodzi i jest nawet finansowany przez główną komisję KWC, mimo iż kierują nim niektórzy jawni pół, czy cali komuniści, jak Edward Osóbka na przykład. Do tegoż Kierownictwa Walki Cywilnej wchodzi taka organizacja „Zryw”, z prokomunistami na czele, jak Felczak i Widy-Wirski. Dyrektorem tak zwanego „Biura Prezydialnego Delegatury” jest osoba, nie udało mi się ustalić personalii, ale jak mnie mówiono, o zdecydowanie prosowieckiej koncepcji. Organizator komunistycznej „Gwardii Ludowej” popierany jest przez niektórych członków Stronnictwa Ludowego, czyli głównej sprężyny podziemia. A szarą eminencją za kulisami, co jest prawie publiczną tajemnicą, jest pan doktor Henryk Kołodziejski, były dyrektor biblioteki sejmowej, teraz zwolennik „oparcia o Rosję”, a jak niektórzy twierdzą,

jednocześnie agent angielski. Do niego wszyscy biegną o radę i on „radzi”... To są tylko drobne przykłady. Jeżeli chodzi o AK to udało mi się dotrzeć i rozmawiać z samym szefem Biura Informacji i Propagandy. Rozmowa trwała wprawdzie kilka minut, ale na moje obiekcje odpowiedział mi: „Trudno, proszę pana, w całej Polsce następuje przesuwanie się światopoglądu na lewo... Jakakolwiek akcja antykomunistyczna w tej chwili, może być tylko lansowana przez agentów Gestapo... I tak przez nas będzie potraktowana...” Wystarczy. Jednocześnie, już od roku zeszłego przystąpiono do formowania PKB. To jest „Polski Korpus Bezpieczeństwa”. Ni mniej ni więcej pomyślany jako organ policji polskiej w podziemiu i kadra jej na przyszłość. Na szefa wyznaczony został, pseudonim: „Tarnawa”. Przypadkowa znajomość osobista: jest to porucznik Petrykowski, zdecydowany proowieciarz, jeśli nie wprost prokomunista. A cały PKB ośmielę się nazwać organizacją prokomunistyczną. Powtarzam: drobny wycinek. W sumie jesteśmy przespikowani infiltracją komunistyczną.

— Mnie się zdaje, że jest to raczej wycinek z krzywego zwierciadła — odezwał się „Konrad”. — Słucha się tego jak wycinka z artykułu w goebbelsowskim „Das Reich”... — (Andruszkiewicz zachnął się w tej chwili, ale już w następnej sekundzie jego pobladła twarz przybrała wyraz szczerego zdumienia, z jakim spojrzął na „Konrada”. „Pułkownik” nie zabierał głosu). — Jedyna nasza nadzieja, którą musimy w sobie przeistoczyć w pewność — ciągnął „Konrad” — to rozbięcie Niemców przy pomocy aliantów. Jeżeli tę pewność, ba, nawet nadzieję na to odbierze się nam, nie pozostaje nic. Dosłownie nic. Musimy ją utrzymać za wszelką cenę. Dosłownie. Nawet za cenę... — zaważał się w poszukiwaniu odpowiednich słów, ale zrezygnował i zakończył: — Cały naród jest w walce na śmierć i życie!

— Owszem — przytaknął „Andrzej” — w Warszawie czuje się to o wiele wyraźniej niż u nas. Gdy się tam patrzy w rozpłomienione oczy młodzieży, w bezwzględną wiarę w wyrazie tych oczu, gotowość do każdego poświęcenia, każdej ofiary, w ślepe zaufanie do drogi którą się ich prowadzi... Tak, i uprzytomni nagle, że to wszystko może być na marne, a droga prowadzi tylko do „wyzwolenia przez dyktaturę proletariatu”... To nawet nie będąc szczególnym patriotą, włosy mogą zjeżyć się na głowie przed możliwością największego chyba w naszej historii oszukaństwa! Czasem się zdaje, że tam syn bez mrugnienia zamorduje ojca, a matka córkę, gdyby się ośmieliła podważyć zaufanie do „alianców”. Jest to wiara dziś większa niż w Matkę Boską Częstochowską. A w Sikorskiego pełniejsza niż w Boga!

— I tak powinno być — zareplikował „Konrad”. — Wojna

święta, która usprawiedliwia nawet hekatombę ofiar, jaką ponieśliśmy dotychczas...

„Chudy profil” poruszył się z niecierpliwością na krześle:

— Zgłaszam formalny wniosek o zaprzestanie dyskusji na koturnach, i oderwanie się od nieba, i powrotu na ziemię. Jeżeli chodzi o ilość ofiar, to dajmy na to, ponosimy ich niewątpliwie mniej niż regularne wojsko ponosi normalnie na froncie. Ze względów propagandowych możemy o tym głośno nie mówić. Ale już tak jest: żołnierz na froncie, to statystyka; żołnierz podziemia, to bohater. Straty własne oblicza się na wojnie w zestawieniu do strat przeciwnika. W porównaniu do strat niemieckich i sowieckich, nasze są małe. Wyjątek stanowią, oczywiście, nasi Żydzi. Ale — zwrócił się do Andruszkiewicza — podobnie ma się rzecz z każdą krytyką. Ażeby miała konkretne znaczenie, należy ją zestawić z alternatywą. Jaka jest inna możliwość, zdaniem pana? — Przerzucił nogę przez nogę i skrupulatnie wyrównał kant dobrze zaprasowanych spodni na kolanie.

Henrykowi, więcej może ten jego odruchowy gest niż cała rozmowa, przypomniał nagle jakże podobną dyskusję sprzed kilku laty, na pięterku, nad pralnią, w małym pokoju którego okna wychodziły na szeroki widok ogrodów, kościoła Misjonarzy, dachów... W tym samym mieście, podczas okupacji sowieckiej. „Prawie identyczny temat”, pomyślał. I właśnie w tym momencie tamten zaczął mówić dalej:

— Przypominam sobie podobną dyskusję w zaufanym gronie, za okupacji sowieckiej. Ktoś kto ją zainicjował, sam przyznał iż będzie to dyskusja na temat „porywania się z motyką na słońce”.

— Na razie nie ma alternatywy — odpowiedział Andruszkiewicz. — I właśnie dlatego, że jej nie widzę, potrzebna jest narada nad sposobami jej odnalezienia. To ma być celem tej rozmowy. Mówiłem jaka jest sytuacja w Warszawie. Jaka jest u nas, nie potrzebuję mówić; sami wiecie. Penetracja komunistyczna przenika nas coraz bardziej, a partyzantka sowiecka w terenie. Co więc zrobić?

— Alternatywy nie ma i być nie może — zabrał głos „Konrad”, powstając z miejsca. — Gdyż zdaje mi się, że kolega „Andrzej”, abstrahując już od słuszności lub niesłuszności przedstawienia rzeczy, czyni pewien błąd kardynalny. Mianowicie wchodząc w szczegóły, zapomina o stronie kapitalnej, nadrzędnej. O niewzruszonym dla nas układzie politycznym. Gdyby się wmyślać w to co mówił i gdyby naprawdę bez przyzymkania oka szukać innej alternatywy, to musimy sobie powiedzieć: w obecnym układzie politycznym każde przejście na linię walki z Sowietami, oznaczałoby automatycznie przejście na linię Niemców. Czyli na zdradę

ojczyzny. Przejście na stronę największego w historii wroga Polski.
— Usiadł.

— Czy ja mogę? — Henryk podniósł rękę. — Sytuacja jest, według mnie, tak paradoksalna jak chyba nigdy w dziejach. Nie zgadzam się z towarzyszem Konradem, że...

— Dlaczego pan mnie nazywa „towarzyszem”?! — zawołał „Konrad” ostro.

— Pomyliłem się. Nie zgadzam się, żeby Niemcy byli wrogiem największym. Większym są bolszewicy, bo są bardziej dla każdego narodu niebezpieczni. Z prostej formuły, że żaden Polak nie może być jednocześnie Niemcem, gdyż pojęcia te wykluczają się nawzajem. Ale każdy Polak może być jednocześnie komunistą. Gdyż pojęcia te, często niestety, dobrze się nawet rymują. Fałszujemy rzeczywistość, stawiając niekiedy znak równania pomiędzy okupacją niemiecką i sowiecką. Niemiecka robi z nas bohaterów, a sowiecka robi z nas gówno. Niemcy do nas strzelają, a Sowietom biorą gołymi rękami. My do Niemców strzelamy, a Sowietom wpęłzamy w dupę. To nie jest więc żadna analogia, lecz odwrotność. Natomiast zgadzam się, że alternatywa szukania porozumienia z Niemcami byłaby absurdalna. Nie z tych względów, o których mówił Konrad, ale z tych że prowadzi akurat do skutku odwrotnego od zamierzonego. Największą propagandę pro-sowiecką robi fakt, że z Sowietami walczą właśnie Niemcy. Szukając więc z nimi porozumienia, przechodzilibyśmy nie na antybolszewicką, lecz na probolszewicką robotę. A już abstrahuję zupełnie od znanego faktu, że Niemcy na żadne porozumienie z Polakami nie pójdą. Więc nie ma o czym gadać.

— To się wszystko zgadza — powiedział Andruszkiewicz. — Ale na marginesie: rozgoryczenie i fatalna dezorientacja tu, u nas, zaczyna pchać niektórych do szukania rozpaczliwej alternatywy na własną rękę. Wiemy chyba wszyscy, że pewne oddziały naszej partyzantki, uchwycone za gardło przez bandy sowieckie... I, że wbrew temu co pan mówił, Niemcy na takie ciche porozumienie jednak poszli...

— To jest litewskie oszczerstwo! — wykrzyknął „Konrad”.

— Dlaczego „litewskie”? Radio sowieckie trąbi o tym już od dłuższego czasu.

— No, więc, sowieckie oszczerstwo!

— Po co te wykrzykniki? — podjął „chudy profil”, skrupulatnie strącając ze spodni na kolanie pyłek, którego tam wcale nie było. — W konspiracji dopuszczalne są wszelkie chwytaki taktyczne i finty. Podobnie jak nasze wtyczki do Gestapo etcetera. Tym bardziej, gdy chodzi o uzyskanie broni.

Nagle padł ostry głos „Pułkownika”, który zwrócił się do „Andrzeja”:

— Nie rozumiem, co panu przyszło nagle do głowy o takich rzeczach głośno mówić?!

— Po pierwsze nie głośno, a w gronie ściśle zaufanym. Po drugie wydany został poufny niemiecki rozkaz do policji litewskiej na prowincji, aby „unikająca konfliktu z partyzantką polską” i pod żadnym pretekstem nie wdawała się z nią w walkę. Miałem ten tajny okólnik w rękę i czytałem osobiście. Nie jest dziś żadną tajemnicą, skoro wie o nim każdy litewski komendant posterunku na prowincji w randze przodownika policji.

— Kto był podpisany pod tym okólnikiem? — zapytał ostro „Pułkownik”.

— Gebietskomisarz Wilna-Land, Wulf.

— Dlaczego pan mi o tym nie powiedział?!

— Udało mi się dowiedzieć dopiero niedawno, pana nie widziałem w tym czasie i zresztą, myślałem że pan wie.

Nieznamomy młodzieniec, który nie zabierał głosu, przechylił się przez poręcz stojącego przed nim krzesła i wpatrzony w Andruszkiewicza słuchał z wyraźnym napięciem. Pokój wyłożony był półkami książek do wysokości trzech-czwartych ściany. Znakomicie głużyły one rozmowę. Powyżej półek wisiała stara, pociemniała litografia portretu Mickiewicza; na przeciwległej ścianie także, Orzeszkowej. Obok widniały na tapetach podłużne plamy po zdjętych obrazkach, każda z pustym gwoździem u góry. Zapewne były to obrazki o polskiej patriotycznej tematyce, usunięte z polecenia władz jeszcze sowieckich, czy niemieckich, litewskich, albo też na wszelki wypadek przez samą właścicielkę wypożyczalni.

„Pułkownik” wyjął z kieszonki spodni staroświecki zegarek:

— Proszę panów, rozchodzić się musimy pojedynczo.

— Bez konkluzji? — wtrącił Leon ironicznym szeptem.

Pierwszy wziął swoją książkę i wyszedł „Konrad”. Niebawem po nim „chudy profil”, przedtem przerzuciwszy kilka kartek w książce i krzywiąc się dlatego z niesmakiem. Wszystko to było nieudane, kończyło się na pustej gadaninie. Nagle, po wyjściu tamtych dwóch, ktoś zastukał i otworzył ostrożnie drzwi. W progu stanęła niska, starszawa dama o rudawych włosach, czyniących jednak wrażenie raczej peruki. Brwi, rzęsy, policzki, wargi, miały na sobie ślady wyraźnych zabiegów kosmetycznych. Leon spojrział ukradkiem na Henryka i ukradkiem uśmiechnął się.

— Czy mogę panów prosić na herbatę? — powiedziała dama. Mimo próby zalotnego dygu, było coś staroświeckiego w tym zaproszeniu.

„Herbata” okazała się istotnie tylko staroświecką „herbatą”: chleb, masło, biały ser wiejski, cienko pokrajane plasterki suchej kiełbasy. Ani kropli alkoholu. Przedtem Andruszkiewicz przedstawił Henrykowi nieznanego młodzieńca:

— Mój kolega od wstępnej klasy gimnazjalnej. A teraz — dodał szeptem — skoczek z Anglii.

Inni musieli już jednak o tym wiedzieć. Pani Narkowska patrzyła w twarz młodzieńca z wyrazem nabożnego zachwytu, co chwila składając ręce jak do modlitwy i mrużąc podczerniałe rzęsy. Ten uśmiechał się końcami ust. Miał osobliwą twarz: prawie okrągłą, młodą, przystojną, jasną, a jednocześnie starą w wyrazie. Ale nie była to starość przykra. Było w niej coś ze starości doświadczenia. Zwrócił się do Andruszkiewicza:

— Kolega mówił: „gebietskomisarz”. Czy takie rzeczy nie leżą raczej w kompetencji władz policyjnych?

— Ach! U nich jest jedno wielkie zamieszanie. Wulf stara się robić politykę na własną rękę. Naturalnie, w porozumieniu z kimś tam... Mnie się zdaje, że Niemcy są dziś o wiele mniej zdyscyplinowani niż my. Mimo odwrotnych pozorów, i naturalnie legendy o naszej „indywidualności”...

— Czy nie świadczyłoby to tym gorzej o ich bezwzględnym posłuszeństwie Hitlerowi?

— Zapewne. Rosjanie też byli indywidualiści...

— A jaki jest wzajemny stosunek Anglików i Polaków, tam? — zapytał Henryk.

— Nie wiem na ile zna pan język angielski. Polak, gdy mówi do Anglika: „How do you do”? to jakby mówił: „how are you”, chcę wiedzieć jak się pan ma? Anglik, gdy mówi do Polaka: „how are you”? to jakby mówił: w najmniejszym stopniu nie interesuje to mnie, i nie chcę wiedzieć jak się pan ma”.

— O Anglikach puszczało się kiedyś dowcipy, że dla nich dziura na placu golfowym więcej znaczy niż gotycka katedra.

— To nieprawda.

„Ten człowiek, scharakteryzował go w myślach Henryk, zadaje fason sceptyka na pokaz krajowej gawiedzi”. Ale pani Narkowska zdawała się nie słyszeć treści. Z roztkliwionego wyrazu jej twarzy można było wyczytać, iż samo brzmienie głosu „kogoś z Londynu” wprawia ją w stan rozanielenia.

— Po co pan zapraszał tego „Konrada”? — zapytał półgłosem „Pułkownik” Andruszkiewicz.

— Rozmawiałem z nim wielokrotnie. Zdawało mi się, że w ostatnich czasach podziela raczej nasze poglądy. Aż tu raptem

wyjechał z tyradą sloganów. Być może przestraszył się pana obecności, czy też mego kolegi gimnazjalnego...

— Wszystko było nieudane, panie Zyguncie.

Wychodzili po kolei w rozjechany w kaszę śnieg na ulicy. Kapało z dachów. Kapało na poczerniałe blachy podoknic, kapało na niemyte szyby. Po kostki grzęznąc w śniegu koloru brudnej kawy, szedł jezdnią Żyd, któremu nie wolno było wejść na chodnik. Żółty płacheć gwiazdy dawidowej na jego piersiach skurczył się, pociemniały od wilgoci. Zamiast nieba, olbrzymia płacheć szarugi wisiała nad miastem. Choć dzień był jeszcze w pełni.

„Byle do wiosny”, mówili sobie ludzie.

XL

Wiosnę roku 1943 nazwał ktoś później: wiosną złych wróżb.

Gdy 13 kwietnia, piętnaście minut po trzeciej w dzień, radio niemieckie nadało po raz pierwszy komunikat o odnalezieniu masowych grobów oficerów polskich pomordowanych w Katyniu — słuchało tego niewielu ludzi, albo słuchało nieuważnie, bądź ze zwykłym sceptycyzmem w odniesieniu do tego co mówi radio niemieckie. Wieść się rozeszła dopiero nazajutrz. A gdy po jakimś czasie w niemieckich pismach wydawanych w języku polskim, poczęły się ukazywać spisy zidentyfikowanych w Katyniu zwłok, ludzie rzucili się do szukania nazwisk mężów, synów, krewnych, znajomych, kolegów.

Leon siedział właśnie w swoim kiosku gazetowym na dworcu i przeglądał pierwszą setkę nazwisk opublikowaną w „Gońcu Wileńskim”. Na dworcu było względnie cicho. Od dłuższego czasu nie szły już na wschód wielkie transporty świeżo ciosanych, drewnianych sań, które szły przez całą zimę: widomy znak załamania w śniegach trakcji motorowej. Nie działa się poza tym nic szczególnie ciekawego. Było przedpołudnie o zwykłym ruchu. Kurczyńska rzuciła okiem na to co czyta i powiedziała:

— To Niemcy ich wymordowali.

— A słuchała pani co o tym mówi „Świt”? — zapytał ją, nie odrywając wzroku od gazety.

— Proszę pana, ja słyszałam, i to nie od jednej osoby, że „Świt” to bardzo cienka robota, ale niemiecka radiostacja.

Leon czytał nie wdając się w dyskusję. W pierwszej setce

nazwisk był tylko jeden wilnianin, którego znał dobrze i to akurat jego kolega gimnazjalny:

„Nr 9 — Anton Konstanty, kapitan. 2 depesze, 2 koperty listowe. Nadawca: Gala Antonowa, Vilnius (Wilno) Aukstaicio (Kopanica) 12.

Opuścił gazetę na kolana i, przytrzymując ją palcami zamyślił się, jak się zdarza coraz częściej zamyślać człowiekowi, który pozostał przy życiu o kimś, kto już żyć przestał. Różne drobne szczegóły łążą nagle po mózgu, jak łączą przypadkowo mucha: „Właściwie powinno być rotmistrz. Był przecie w 4-tym ułanów... Granatowy otok... Ale, czy ostatnio nie w KOPIe?... Drogi ich rozeszły się w późniejszych latach zupełnie. Jak go nazywano w zdrobnieniu? Nie! „Kostuś”, to był Syrewicz, w środkowym rzędzie, trzecia ławka... Zaś Anton? Nie pamiętam. W drugiej gimnazjalnej byli ze sobą szczególnie zaprzyjaźnieni. W trzeciej, mniej. Żony jego nie znał... Dłaczego: „Gala”, przez G., a nie „Hala”? Ach, po rosyjsku pewnie napisała adres nadawcy. Po rosyjsku „H” przechodzi w „G”...

— Co pani mówi? — zwrócił się niechętnie do Kurczyńskiej.

Nazajutrz dwóch młodych ludzi udało się wczesnym rankiem na ulicę Kopanica; odszukało numer 12-ty i zadzwoniło do mieszkania pani Haliny Antonowej. Rozmowa trwała godzinę.

Już trzeciego dnia przebąkiwano. Ale dopiero czwartego od tej wizyty, a zwłaszcza piątego i następnych, słyszało chyba całe miasto z ust do ust przekazywaną wieść... Kurczyńska przyszła tego dnia do pracy zdyszana z podniecenia:

— A nie mówiłam panu, że to wszystko fałszerstwo niemieckie! Pan słyszał że żona tego kapitana Antona, który figuruje na liście niemieckiej jako rzekomo zamordowany na wiosnę 1940 w Sowietach, jeszcze w maju 1941 otrzymała od niego list z Turcji. Właśnie z Turcji, że żywy zdrowy, wyjeżdża do Egiptu! Szczęśliwy człowiek. Słyszał pan?!...

Leon śpieszył się do miasta. Deszcz padał. Zdjął z haka swój letni deszczowiec i nachylił się do ucha Kurczyńskiej:

— Z grodzieńskiego transportu przyjdzie oberkonduktor Klimke. Przyniesie worek sardynek. Już umówione: fifty-fifty. Proszę podsunąć pod ladę i dobrze założyć gazetami.



Trzecie spotkanie Henryka z Andruszkiewiczem odbyło się już w czasie, gdy nikt nie mógł poddawać w wątpliwość, że mord katyński dokonany był przez bolszewików. Obowiązywała jedynie oficjalna poprawka lansowana przez polską propagandę podziemną,

że: „Niemcy dosypali tam ze swej strony trupy pomordowanych przez siebie”.

Wiadomo już też było, że rząd polski w Londynie zwrócił się do międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Szwajcarii.

W marcu powstał w Moskwie „Związek Patriotów Polskich”. Dnia 24 kwietnia rząd sowiecki zerwał stosunki dyplomatyczne z rządem polskim w Londynie. Dnia 9 maja w komunistycznych pismach polskich „Wolna Polska” i „Nowe Widnokregi”, wydawanych w Sowietach, ukazał się komunikat datowany 8. V. 1943:

„Rząd Radziecki postanowił uczynić zadość prośbie Związku Patriotów Polskich w ZSRR w sprawie utworzenia na terytorium ZSRR polskiej dywizji im. Tadeusza Kościuszki w celu wspólnej walki z Armią Czerwoną przeciwko najeźdźcom niemieckim”.

Następnie ogłoszona ideowa deklaracja ZPP mówiła między innymi:

„... napiętnowanie winowajców klęski wrześniowej i rządu Sikorskiego za zaprzepaszczenie możliwości wspólnej walki o wolność Polski u boku Armii Radzieckiej; ZPP w oparciu o przyjaźń z ZSRR i w braterstwie broni z Armią Radziecką idzie jedynie słuszną drogą”...

Nie mogło być już żadnych złudzeń.

W tym czasie Andruszkiewicz, korzystając z konspiracyjnej trasy, raz jeszcze wyjeżdżał do Warszawy. Henryk zastał go po powrocie jakimś zgaszonym. Wydawał się jeszcze drobniejszy i bledszy niż zazwyczaj. Może dlatego Henryk dostrzegł, co przedtem nie rzucało mu się tak w oczy, że ma on wyjątkowo odstające uszy, a brwi tak rzadkie i jasne, że ich prawie nie widać.

— Zmęczony jestem — objaśnił. — Nie wiem dlaczego wyjątkowo przygnębiające wrażenie zrobiło na mnie powstanie getta warszawskiego. Taki bezprzykładny zryw. I...

— Ciągłe się jeszcze poszeptuje: „Jedyna rzecz co Hitler dobrego zrobił, to to że zniszczył Żydów. Tylko nie należy o tym głośno mówić”?

— Nie, niekoniecznie to. Choć z drugiej strony fakt, że nie ma Polaka, który by tego powiedzonka nie słyszał, względnie o nim nie słyszał, nie świadczy dobrze. Wie pan, ile AK dało sprzętu walczącym Żydom? Jeden RKM, jeden pistolet maszynowy, 20 rewolwerów i, zdaje się, 10 karabinów. A powstanie zbrojne w środku forticy Hitlera od Atlantyku do Donu, bez żadnej pomocy z zewnątrz!... Fantastyczne. Piłem kawę i jadłem ciastka u „Aktorek” przy Mazowieckiej, jakby nigdy nic. A od Placu Krasińskich biją moździerze po Żydach. Kto chciał mógł nawet iść patrzeć. Gdy się zastanowić... Ale to odbiega od tematu. Czytałem pański memoriał. Bardzo dobre sformułowanie, że każ-

da polityka ma przede wszystkim swoje głębokie źródła w emocji ludzkiej, i metody niemieckie kładą w praktyce i emocjonalnie każdy argument antysowiecki. Zresztą tam, w GG, występuje to jaskrawiej niż tu. Słusznie też pan osądza, że Niemcy w całej Europie odbierają antykomunizmowi „wiatr z żagli”, przez to że wszelki antykomunizm integrują do hitleryzmu. To największa zbrodnia Adolfa Hitlera. Ale ogólna pańska ocena wydaje mi się zbyt pesymistyczna. Zwyczajna nauka strategii poucza nas, że należy wykorzystać koniunkturę dla zaoszczędzenia energii materialnej tam, gdzie wyładowanie jej nie jest potrzebne, gdzie użyte siły przepadają na darmo. Natomiast tym bardziej ześrodkować je na odcinku bardziej zagrożonym. Otóż antyniemiecką propagandę robią najskuteczniej sami Niemcy. O nią więc nie potrzebujemy się kłopotać na razie. Z tego powinniśmy skorzystać, aby tym więcej ześrodkować energii na propagandzie antysowieckiej.

— Coś podobnego mówił ów Ławrynowicz w Mińsku, o którym wspominam w moich notatkach, które pan łaskawie nazywa memoriałem. Ale jak przejść od propagandy do działania?

— Zastanowić się, kto nam pozostał? Powinniśmy szukać kontaktów ze wszystkimi tymi narodami, które wspólnie z nami zagrożone są „wyzwoleniem” typu komunistycznego. W pierwszym rządzie z Ukraińcami, Litwinami, Białorusinami. Zaś w idealnym, teoretycznym założeniu, rozszerzając na Finów, Estończyków, Łotyszów, Rumunów, Węgrów... Bo ja wiem, na wszystkie ludy pod Sowietami. I robić wspólny front.

— Pięknie brzmi: „teoretyczne założenie”...

— Niech pan nie będzie takim pesymistą. — Oczy Andruszkiewicza zapaliły się dawnym ogniem. — Dużo rzeczy udaje się na świecie. Udają się nie tylko rzeczy nielogiczne, ale czasem też logiczne. Trzeba coś robić. Zacząć coś robić. Teraz jestem przekonany, że Niemcy przegrają wojnę. Więc konkretnie: zacznijmy od małego, od Litwinów i Białorusinów, na naszym podwórku. Mógłby pan nawiązać rozmowy z Białorusinami? Litwinów biorę na razie na siebie. A teraz przyznam się panu bardzo po cichu, że mam nawet niejaki placet na to... Bardzo ostrożny, bardzo nieoficjalny. Podlegający w każdej chwili zdezwuowaniu. Dotarłem jednak do pewnych osób w Warszawie, które chcą się podjąć analogicznych kontaktów z Ukraińcami. Które zdają się rozumieć... — urwał.

— Jest więc trochę lepiej?

— Tego bym nie powiedział. Ale niewątpliwie są jednostki, kto wie, może pod wpływem też pewnego otrzeźwienia w Londynie. Teraz dowiedziałem się, że jeszcze w marcu, czyli przed Katiem, miał podobno nadejść rozkaz naczelnego wodza, który

przewiduje, że gdyby stosunek do nas Sowietów okazał się wrogi, to na wypadek ich wkroczenia ujawniać się ma już tylko administracja cywilna. Natomiast siły AK wycofać w głąb kraju, by uchronić przed zniszczeniem przez Sowiety.

Henryk jakby chciał splunąć, ale przełknął tylko ślinę.

— To pan nazywa „otrzeźwieniem”?

— W porównaniu.

— A swoją drogą, zauważyłem już przedtem, ma pan świetną pamięć.

— Pamięć. Mam szczególną pamięć. Jedyne autentyczne talenty, przynajmniej, jakie posiadam w życiu. Nie mam innych. Mnie wystarczy raz rzucić okiem na jakiś papierek, cyfry, zadanie szachowe... Gra pan w szachy? Nie? Usłyszeć coś godnego zapamiętania, a już pamiętam. Pan nie ma pojęcia jak cenił mnie za to mój patron i jak wielką karierę adwokacką przepowiadał mi w życiu. Wie pan, że pamięć to wielka rzecz. Nie myśli pan, że jest przejawem żywotności? Nie darmo w starzejącym się człowieku odumiera przede wszystkim pamięć. Pamięć to młodość, to wiedza.

— No, czasem jak się wpadnie, to lepiej o wielu rzeczach nie pamiętać...

— A wie pan, że pan ma rację i że właśnie to wyleciało mi z pamięci!

— Dobry znak. Przepowiada, że pan nie wpadnie. I robi pan po wojnie wspaniałą karierę adwokacką, z masą honorarium w złocie.

— Odstukać w niemalowane drzewo — uśmiechnął się Andrzejkiewicz, pochylając w poszukiwaniu takiego drzewa pod stołem. Ale było poznać, że sam wierzy w swój dobry los.

— Ktoś mi mówił, że słyszał, iż w Warszawie powstała, czy ma powstać jakaś komórka „A”, antykomunistyczna?

— Kto? — Uśmiech znikł z twarzy Zygmunta. — Zresztą wszystko jedno. Niech pan na to nie liczy. Podobnie jak na teorię „dwóch wrogów”. Bujda na papierze. Próba stworzenia tak zwanej „Agencji Antykomunistycznej” jest na razie przedsięwzięciem prywatnym, podjętym przez takiego Henryka Glassa, który przed wojną wydawał periodyk „Walka z bolszewizmem”. Na razie do niczego nie doszło. Dwie, trzy ulotki. Natomiast reakcja ze strony oficjalnego podziemia ostra: „ostrzeżenie przed walką bratobójczą”, bo: „komuniści to też Polacy!” A jeden z dygnitarzy Delegatury powiedział mi z dumą: „Jeżeli chodzi o nasz cywilny sąd specjalny, CBS, i wyroki śmierci „w Imieniu Rzeczypospolitej” przez niego wydawane, to żaden komunista obecnie, ani propaganda komunistyczna w przyszłości, nie będzie miała nigdy nic do zarzucenia, ani do zaczepienia w działalności naszych

sądów specjalnych”. Pod tym względem nic się nie zmieniło. Ale *à propos...* niech się pan też ma trochę na baczności.

— Ja?!

— Zgadza się, pan. Podobno w redakcji naszej „Niepodległości” miało paść zdanie: „My ich wykończymy”!

— Pod moim adresem?!

— Bardziej pod moim.

— Tam jest taki „Wrona”, czy jak? Były współpracownik „Prawdy Wileńskiej”.

— Jest. Sekretarzem redakcji nawet. Ale jest więcej, którzy wyobrażają sobie, że mają długie ręce. A kto wie, może i mają.

— Niech mnie pocałują w dupę.

— Oni potrafią nieraz i gołymi oszczerstwami niezgorzej likwidować.

— Niech mnie pocałują w dupę — Henryk poruszył się na krześle, jakby chciał im to ułatwić w tej chwili, i krzesło zaskrzygotało pod jego ciężkim cielskiem.

— Mówię na wszelki wypadek. Wiem, że pan nie z bojących. Opowiadano w Warszawie: żona Żwirki, czy też Wigury, nie ważne, słowem jednego z tych bohaterów narodowych, miała się zrobić ponoć „Volksdeutsch”, i wydano na nią konspiracyjny wyrok śmierci. Posłano faceta z pistoletem do parku, żeby zastrzelił ją, gdzieś na Saską Kępę, czy gdzie. Słowem tam gdzie chodzi z dzieckiem na spacer. Facet zobaczył kobietę z dzieckiem, żal mu się zrobiło, więc zastrzelił inną, bez dziecka.

— Anegdota taka?

— Prawdopodobnie. Ale niech Piasecki panu powie, co to za banda. W Warszawie zastrzelili z tajnego wyroku takiego nadkomisarza policji granatowej, Reszczyńskiego. Może pan pamięta z Wilna?

— Naturalnie.

— Później okazało się, że Reszczyński pomagał Żydom i dał nawet pewne tajne instrukcje podległej mu policji, mocno ryzykując osobiście. I zarzuty w ogóle były fałszywe. Więc później przeproszono jego żonę za pomyłkę...

— To ładnie, że przeproszono.

— Pewnie, że ładnie. Władysław Studnicki wygłosił nad jego grobem publicznie ryzykowne słowa o „ciemnych elementach naszego narodu, które pozwalają sobie przywłaszczać prawo rozstrzygnięcia o życiu i śmierci obywateli”. Ale nie został zastrzelony, jak dotychczas.

— Mmm. Mówił mi niedawno pewien pop, że: „W tamtej wojnie wszystkie strony występujące przeciwko sobie, bezprawnie powoływały się na Pana Boga. A w tej wszystkie, powiada,

starają się zabić samego Boga. To jest różnica". Ot, takie dążenie do sformułowań. — Henryk podrapał się w głowę. — Ludzie Kochają się w syntetyzujących sformułowaniach. Pozostawić po sobie aforyzm, to większy snobizm niż pozostawić syna. Wszyscy wielcy ludzie się o to starają. A co robią wielcy, naśladują ich mali popi. Zaraz, o co to chciałem zapytać... Acha, Piaseckiemu można ufać?

— Bezwzględnie. — Andruszkiewicz zamyślił się, a potem zapytał: — Czytał pan jego „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy”? Doskonała książka.

— Napisał w więzieniu?

— Tak. Z nim było tak: wykolejony przez poprzednią wojnę, służbę w wywiadzie... Na początku lat dwudziestych z Wasiliszek do Lidy jechał kupiec leśny, Żyd, z wypchanym portfelem. Działali w bandzie. Zamordowali kupca i zrabowali pieniądze. Kara śmierci, później zamieniona na więzienie. Za zamordowanie Żyda!... To dziś, jak bajka z tysiąca jasných nocy. Ale są też inne bajki... Aleksander Błok, którego czci się za jego „poemat dwunastu”, pisał, zanim umarł w roku 1921, nie tylko poezje. Był przewodniczącym komisji redakcyjnej w „Nadzwyczajnym Śledczym Komitecie” dla opracowania materiałów przeciwko ludziom carskiego rządu; i był dobrze opłacany przez bolszewików, którzy zamordowali dziesiątki tysięcy kupców...

— Ale to *pro publico bono*, jak powiadał nasz ksiądz Robak z „Pana Tadeusza”.

— Więc poetów mamy różnych. Federico Garcia Lorca, bożyszcze dziś wszystkich antyfaszystów świata, napisał słynną „Oda al Santissimo Sacramento del Altar”, w której porównał ciało Chrystusa w hostii do serca żaby. *Pro arte...* Więc pański pop może miał trochę racji. Zresztą Piasecki to mój przyjaciel.

— Kiedy się zobaczymy?

— Chciałbym możliwie szybko. Więc pójdzie pan do Białorusinów?

— Pójdę — Henryk wyciągnął dłoń i nagle uśmiechnął się:

— Do widzenia... Panie mecenasie.

— Dziękuję — twarz Andruszkiewicza rozjaśniła się. — Przyjmuję za życzenia.

XLI

W zaułku niosło kurzem i zapachem bzów. Zaułek Krzywe Koło był niebrukowany i piął się w górę. O tej porze roku dREW-

niane domki tkwiły w zieleni. Utielnikow niósł walizę i palto przerzucone przez ramię. Szczęście w nieszczęściu, że akurat tego dnia umówił się na spotkanie z Nikitinem, bo w przeciwnym wypadku musiałby go odszukiwać dopiero poprzez tajne kontakty. A swoją drogą zaułek wydawał mu się nie mieć końca, słońce paliło, niebo granatowe. Miał za sobą piętnaście kilometrów piechotą bocznymi drogami, zanim dotarł do miasta.

Nikitin wyszedł mu na spotkanie w dobrze maskującym go cywilnym ubraniu. Jak gdyby nigdy nic. Jemu wygodnie, zbiegał z góry i czasem tylko kamyk potrącony obcasem toczył się przed nim w dół uliczki. Zobaczył Utielnikowa z walizką i paltem i zatrzymał się tknięty złym przecuciem.

— Co się stało? — zapytał językiem tak szorstkim, jakby to był język kota.

Utielnikow ruchem lewego ramienia unosząc palto, otarł nim pot z czoła, i zgrzytnął kurzem w zębach, wciągając równocześnie zapach przekwitających bzów.

— Ech, gównno sobacze...

Istotnie, tej nocy zaszedł fatalny zbieg okoliczności. Drużko nie nocował w domu. Jak wyszedł pod wieczór, to i nie wrócił. Utielnikow mówił później, że „przeczuwał coś nieładnego”. Ale zapewne tylko się irytował i nie mógł wskutek tego zasnąć. A nad ranem przyleciała do chaty zdyszana kobieta tego „Franciszka spod lasu”, który nie uciekł do Sowietów i dawno już był areztowany, a zapewne rozstrzelany (bo przecież cała okolica wiedziała, że był donosicielem NKGB), więc można by ją nazwać też „wdową”. Słowem wpadła rozczochrana, rzuciła przelotnie złym okiem na Utielnikowa i wnet zawołała do Drużkowej:

— Twój nie żyje!!!

— Co?! Co gadasz?! — zalamentowała ta jakimś przydusznym piskiem.

— Wisi na drzewie!

— Ojejejej!... Na kogo ty mnie zostawił!!! Rodzooony!...

Utielnikow jednym chwytem spakował rzeczy, porwał palto z kołka i wyszedł za kobietami. Te biegly już do lasu. On też poszedł do lasu, ale bokiem, bokiem, dalej od krzyku-lamentu, od osiedla, ścieżkami leśnymi zakroczył do miasta. To było gorzej niż „gównno sobacze”. To oznaczało niechybny rozgłos wokół chaty denata, ciekawość sąsiadów, domysły, śledztwo, w każdym razie policję. Choćby nawet w dzisiejszych czasach sam wypadek gwałtownej śmierci był tak zwykły jak gównno psie. Szedł bardzo szybko i spotał zanim doszedł do pierwszych domów przedmieścia.

Dopiero później stało się wiadome, że żona, czy wdowa „Franciszka spod lasu”, zobaczyła pierwsza. Drużko wisiął na „niewielceńkiej”, jak się wyraziła, sosence; na skórzanym szewskim pasku. Ten długi pasek nosił dla podtrzymania spodni. Musiał się w ostatniej chwili „szargać”, jak mówiono, bo spodnie trochę opadły, koszula się jakoś zagięła i wisiął z gołym brzuchem, wystawiając na widok brudny pępek. A twarz posiniaała.

Zaraz ludzie zaczęli się domyślać: „Niemcy”, mówili jedni. „Ale czyż Niemcy, mówili drudzy, będą wieszać w nocy, w lesie? To nie ich robota. Zastrzeliliby, albo popędzili do miasta i tam rozstrzelali. To już prędzej Litwini”. — „To chyba najprędzej nasze Polaki”, mówili trzeci. — „Nikt inny, mówili czwarci, tylko sami sowievi i powiesili. Może ich zdradził jakim sposobem. Podesłali partyzanów. Czy to u nich długo!” — „Sowievi buty by zdjęli, u niego dobre buty na nogach”, zaprzeczali inni. — „Ot, dziwo, szto u karalia, dy żonka chorosza! Żeby, sam szewc, a nie miał dobrych butów...!”, wtrącali rzeczową uwagę. — Z drugiej strony, z prywatnej zemsty też nie wychodziło: „Bo to by strzelił zza węgła, albo siekierą, czy kołem jakim po głowie w nocy; a wieszać musiało kilku, i za dużo zachodu. Jeden nie powiesi gwałtem. A zresztą on człowiek był spokojny, grzeczny. Już jeżeli zaraz nie zemścili się na nim za jego sielsowietstwo, to tym bardziej po latach...” — Tak gadali przez trzy dni. Po trzech dniach temat był nie ciekawy. Słusznie Łutowicz wypowiedział sentencję: „Ktokolwiek, już, a powiesił. A może sam na siebie rękę nałożył...”



Jak mało wiedzy posiadają ludzie o ludziach. Naturalnie, że Drużko przemyślał o złożeniu donosu; myślał o tym może od razu, od pierwszej chwili, gdy przyszli tamci i znalazł się w potrzasku. I to w istocie, na zdrowy rozum, była jedyna rozsądna chwila wyrwania się z potrzasku: wyjść za swoją babą, która szła wtedy do Łutowicza po samogon i szepnąć żeby nie szła do Łutowicza, ale prosto do posterunku policji litewskiej. Wtedy by jeszcze nikt nie wiedział, ząb wyrwany z korzeniem, końce sprawy w wodę. Odpowiedzialność spadłaby na policję: znaczy śledzili tych dwóch, dom otoczyli, złapali na miejscu. On, Drużko, żona, żyją dalej. Ale później poczuł się jak w pajęczynie i było za późno. Naturalnie, że myślał. Człowiek zawsze myśli, choć czasem boi się własnych myśli. Ale znowuż, na zdrowy rozum: żyć w wiecznym strachu to jedno, a żyć z tym że już na pewno przyjdą i zamordują, to drugie. Rzecz by się wydała... Z dwojga więc,

lepsze pierwsze. Bo kto by jego obronił? Nikt. Chata samotna, na skarpie, jak raz na strzał wystawiona; przyjść w nocy i zamordować, dziecinna zabawka. Tego nie potrzebował mu Raczenko mówić, a on nie potrzebował nawet jego słuchać. Sam wiedział. I wiedział, że tamci wiedzą. Więc znaczy siedzieć cicho. Ale niech im gdzie noga powinie się, niech przypadkowo nawet podpatrzy kto, za te ciche siedzenie: śmierć. Tymczasem tego im było jeszcze mało: prawda, że drobne, ale trzeba było okazywać usługi rozmaite. Tam pójść, tam zobaczyć, czy droga pewna; a nawet i kartkę zanieść. To już było spółnictwo. Żona raz powiedziała:

— Pójdę ja do księdza, do spowiedzi świętej...

— Nie chchchodź ty do ssspowiedzi... — wycedził z zaciśniętego gardła przez zaciśnięte zęby, i zaciśniętą rozpaczą pięść podsunął jej pod oczy.

A Raczenko, jak na szyderstwo przychodził „pouczać”:

— ... Wiecie, Drużko, jak trzeba naród rozruszać? Jak nie chce iść Niemca bić, to trzeba żeby ich Niemcy bili, wtedy sami pójdą do lasu. Zabić Niemca, mało. Trzeba, żeby na trupie zostały ślady gniewu całego narodu. Niektórzy wzdrygają się żywym, albo rannym wyłupiać oczy. Zresztą ja ich rozumiem. I nie trzeba wcale. Nie chodzi o zemstę, a o skutek. Najlepiej więc już zabitemu wyjąć oczy, albo poobcinać uszy.

Drużko jadł akurat kapuśniak z kartoflami i wyskoczył na ganek, wyrzygał kapuśniakiem przez poręcz, wprost na śnieg.

— Co wy, Drużko, chory?

— Niedomagam, w kiszkach.

— To niiii. Do zwycięstwa doczekacie. A tam, do Moskwy leczyć się pojedziecie. Tam dobrzy lekarze są. Oho. Za wasze poświęcenie dla ojczyzny... He, he, he...

A ze śniegiem żyć było najgorzej. Na śniegu zostają ślady. Strach, strach ciągły strach. Pół biedy jak zawieja idzie. Ale jak słońce, czy gwiazdy na niebie, to bardzo niedobrze.

Owszem, było jedno wyjście: uciec stąd. Ale dokąd? Drużko myślał i znalazł dokąd: daleko stąd, het za Lidą, za Żołudkiem, po drugiej stronie Niemna, miał szwagra, w takiej wiosce jednej, Rozwiliszki. Pojedzie do niego, pogada. Weźmie od niego konia z powrotem — jak raz sanna droga — pod nieobecność Utielnikowa złożą na sanie dobytek i choćby w nocy, lasami, błotami, chodu!... Ale znowuż przeszkoda: żona. Żal jej rozstawać się z domem, chlewem, każdą rzeczą. Za pieniądze od Raczenki wiewprza zahodowała, kury...

— Tobie kura, czy życie miłe? — szepnął jej w nocy.

Baba była głupia, ale wreszcie z postronkiem na szyi i najgłupsza rozsądku nabierze. Zgodziła się. Drużko zostawił ją w

chacie i, pod pretekstem wobec Utielnikowa, że w Lidzie nadarza się wyjątkowa możliwość kupienia skóry, wybrał się w drogę.

Udało się dostać do pociągu. Dojechał do Bogdanowic. Stamtąd podwiózł go mieszczanin za szczyptę machorki do Żołudka. Z Żołudka trochę na piechotę, trochę podwożony za dobre słowo, dziesięć kilometrów do Piaskowic. Było to jeszcze przed wielkimi mrozami. Niemen płynął, ledwo po brzegach oblodowaciały. W Piaskowcach prom chodził jak latem. Drużko rozsiadł się na promie, zapłacił, poczęstował przewoźników machorką; wiatru nie było, rozpiął kozuch. I w taki to sposób skleiła się ta fatalna rozmowa:

— ... Do jakich Rozwiliszek!! Nie ma twoich Rozwiliszek! Kominy tylko stoją. Niemcy spalili na czysto, a ludzi postrzelali...

Byli akurat po środku Niemna. Woda cicho: „bul-bul-bul”, o burty promu. Prom poskrzypuje, i słońce pokazało się skroś chmury jak kurze żółtko w wacie. Ryba plusnęła o toń. Słowem jak w pokojowy czas. A jeden przewoźnik, z czarniawym zarostem na twarzy, powiada:

— Za te same pieniądze co dałeś, i wracaj z powrotem skąd nogi przyniosły. Postrzelali wszystkich.

— Za co? — próbował jeszcze Drużko pytać.

— Za co dziś ludzi strzelają! Wiadomo. Byli partyzani, później przyszli Niemcy. Kto tam rozbierze, jak było.

A drugi to nawet doradził wprost:

— Nie tylko swoich nie odnajdziesz, ale sam jeszcze pod podejrzenie możesz podpaść ich szukając. A jeżeli kto i uciekł, to tak chowa się, że kto może odszukać. — Skręcili jeszcze po cygaretkę.

I Drużko zawrócił.

Kurczył się później pod mrozami, które wkrótce nastąpiły i chodził jakby ciała na nim nie było, a tylko kozuch i dusza. Jeszcze raz, dwa razy pomyślał: „pójść z donosem...” A nawet: „wziąć tę samą siekierę i, jak będzie spał, rozłupać czaszkę na połowę...” Ale raptem jemu, który nigdy nie był i czasu nie miał być tkliwy, żal zrobiło się żony. Z nim niech będzie co chce, ale kobiety szkoda. Tyle lat przeżyli razem, po co ją dla jednej chwili gubić. Może do wiosny?... Ale wiosną zaczęło się ich więcej zbierać i jemu nawet kazali z chaty własnej wychodzić, na czatach stać, na przespiergi chodzić...

Nie wytrzymał, człowiek; słabe nerwy. Wyszedł w nocy z domu, nie obejrzał się nawet, poszedł lasem, steką wydeptaną. Noc akurat była cicha. Drzewa spały stojąc. Pies nie czekał. Księżyc nie wychodził. Tylko w niebie burczał, wysoko bardzo, pojedynczy samolot. I Drużko powiesił się na rzemiennym pasku...

Samolot wibrował w otchłani nieba, nie wiadomo czy niemiecki, czy może sowięci znowu paraszutystów zrzucają...

Mało wiedzy posiadają ludzie o ludziach. Poza Łutowiczem, tylko dwóch, albo trzech z całego osiedla, wyraziło przypuszczenie, iż może to być wypadek samobójstwa.



Taki był koniec pewnego przewodniczącego sielsowietu. Zdarzenie, które bezpośrednio wpłynęło na przedłużenie życia pewnego profesora, który miał przyjechać z Mińska. Wszystko było przygotowane. Ale nagle utrata jednej z „baz” i konieczność znalezienia dla Utielnikowa nowej „meliny”, pokrzyżowała na razie plan. Tym bardziej, że wpłynęło nowe pilne zadanie.

XLII

U Brzozowicza zastał Henryk niespodziewanie dwóch panów. Jeden wydawał się być Ukraińcem, drugi, tytułowany profesorem, zajmował niewątpliwie wybitne stanowisko w narodowym ruchu białoruskim. Sam Brzozowicz nie zabierał prawie głosu. Ukraińiec mówił agresywnie, z wyraźnym podrażnieniem. Zresztą nie tylko szrama na twarzy, ale cały jej wyraz znamionował coś z przebytych doświadczeń, które musiały być ciężkie i powodują skłonność do goryczy.

— Taki stary pies — mówił — taka świnia z cygarem zamiast ryja, jak ten Churchill, ośmiela się nam odbierać naszą narodowość, nasze imię, czyli to co człowiek ma najbardziej świętego i własnego, i określać nas nie według przynależności narodowej, a nowym przezwiskiem: „kolaboranci”! Jak jemu było potrzeba, to przeżywał bolszewików „zarazą”, „morowym powietrzem”. A jak zmienił się interes jego sklepiku, to raptem najgorszy ze zbrodniarzy świata, Stalin, ma według niego: „poczucie humoru”!... A tych, którzy nie chcą być przez ten „humor” wyróżnieni, odsądza od czci i wiary!

— Niewątpliwie — odezwał się profesor — jest dużo pogardy tzw. „Zachodu” w odniesieniu do naszych spraw. Więcej niż pogardy panów do chłopów, bo to była jednak pewna wspólnota na tej samej ziemi. Można by zaryzykować, że my dla Anglososów to jeszcze mniej niż „Untermensch”, bo w ogóle żaden

„Mensch”, a po prostu przeciągnięcie linii jak przez kolonialną mapę Afryki. — Zdjął profesorskie okulary i, zanim je przetarł, odepchnął nimi ruchem ręki pustą przestrzeń na stole: — Odsunąć do strefy rosyjskiej i basta. Ich to, zwyczajnie, nie interesuje. Hitler zmienił *Kulturträger*’stwo na *Uebermenschentum*’stwo; Niemcy są w tej pozycji dopiero *nouveau riche* i dlatego zachowują się grubiańsko. Zaś Anglik był zawsze *Uebermensch*’em, on z tym poczuciem wyższości się rodzi, nie jest w nim *nouveau riche*’m i dlatego zachowuje się jak dobrze wychowany gentleman. Pan, który nie chce wiedzieć o rzeczach które go nudzą. On do jakichś tam Ukraińców, czy Białorusinów nie jest usposobiony ani źle, ani dobrze. Oni go z całego serca nie interesują: *No problems!*

— A jednak ich stosunek do Finlandii — wtrącił Henryk.

Profesor dopiero teraz zabrał się do przecierania szkieł. Odpowiedział z nachyloną głową:

— To nawet dobry przykład. Powiedział mi kiedyś pewien Fin: „Hiszpania nie prowadzi wojny u boku Niemiec, ale sympatyzuje... Finlandia prowadzi już drugą wojnę, ale nie sympatyzuje... I dlatego cieszy się szczególną popularnością na Zachodzie”. To nieprawda, nie dlatego. Finlandia to jest Skandynawia. A Skandynawia ma u nich swoją tradycję. To właśnie taka pańska fanaberia. Stąd Finowie „porządni ludzie”, a my „kolaboranci”. Finlandia to „północna Europa”, a my „wschodnia”. A we wschodniej Europie ludzie, jeżeli chcą być grzeczni, mają słuchać co o nich zawyrokują.

— Nie wiem, czy dlatego że we „wschodniej Europie” — uważał Henryk — a dlatego że słabi. Słabi zawsze stoją grzeczniej i słuchają mocnych. Taka moda poszła od wyrzucenia ludzi z raj. My wszyscy jesteśmy słabi i dlatego trzeba myśleć jakby się wzmocnić przez łączenie sił.

— Jacy oni tam „panowie”! Profesor, po mojemu, się myli — rzucił namiętnie gość ze szramą na twarzy. — Nie „panowie”, a przekupnie wielkiego rynku. Każdego kupią, rodzoną matkę sprzedadzą, byle za cenę. Że was, Polaków, oni sprzedali dawno, to każdy wróbel na rynnie wie. Że wy nie chcecie tego wiedzieć, wasza sprawa, nie moja. Jeżeli nas oddadzą Sowiecom, to przynajmniej wiem za co: walczyliśmy z nimi. A Polaków za wierną służbę. To już wolę być Ukraińcem niż Polakiem. Ale najśmieszniejsze, że oni nam, po 25 latach naszej walki z Sowiecami, prawią kazania gdzie leży nasz interes, po której stronie. Dopiero wszyscy my, Ukraińcy, Kozacy, Tatarzy, Kaukazczyki, Turkmeni i tak dalej, dowiedzieć się tego mamy od pana Churchilla, że po stronie sowieckiej. A kto nie chce iść w niewolę sowiecką, to znaczy „zdrajca własnego narodu”! Pomijajcie — zrobił nerwo-

wy znak krzyża — czy istniała kiedy bardziej zafałszowana polityka na tym świecie?!

— Taaak — przeciągnął profesor. — Jeżeli dwa razy dwa, uważać za formułę bezsporną, to formuła w której stanięcie po stronie jednego mordercy przeciwko drugiemu mordercy jest hańbą, a stanięcie po stronie drugiego mordercy przeciwko pierwszemu mordercy, jest chwalebną zasługą wobec ojczyzny, świata i demokracji... wydaje mi się co najmniej sporną.

— Pewnie — Henryk wsparł głowę na łokciu. — Ale Niemcy wojnę przegrywają i trzeba nam realnie...

— „Realnie”! — wpadł mu w słowo Ukrainiec. — Właśnie o tej „realności” i u nas już za dużo się mówi. Że niby liczyć na ratunek i oparcie w „Zachodzie”. Tu leży największy „realny” błąd w rachunku. Bo jeżeli Niemcy wojnę przegrają, to przegrają do Sowietów, ale nie do „Zachodu”. I po wojnie nie „Zachód” Sowietom, ale Sowiety „Zachodowi” będą dyktować w Europie. Taka jest realność.

— Ja nie o tej realności mówię — Henryk narysował ruchem dłoni szeroki pas na blacie stołu. — My wszyscy od morza Lodo-watego po Azowskie, będziemy jednako zagrożeni przez bolszewików. Możliwe jest, czy niemożliwe, wytworzyć ze wspólnego zagrożenia jakieś wspólne porozumienie, działanie?

Nastała chwila milczenia.

— Teoretycznie, tak — odezwał się profesor ostrożnie.

— Z Polską za dużo nas dzieli — odrzucił Ukrainiec. — U nas się mówi: „Z Lachamy ne howoryty!” A pan wie po kim ja mam tę szramę na twarzy? Po polskiej „Bahnschutzpolizei” we Lwowie.

— Zostawmy polsko-ukraińskie stosunki na boku. Ja nie występuję tu w imieniu „Lachów”, ani nawet w imieniu jakiegś konkretnej organizacji. Raczej prywatnej grupy ludzi dobrej woli, którzy nie chcieliby żeby zapanował znowu bolszewizm, tak samo jak panowie tego nie chcą. Ja — ciągnął bez przekonania Henryk — nie mówię o Polsce, o Ukrainie, o Białorusi, a o losie nas wszystkich, jak tu siedzimy przy stole, i wszystkich ludzi za tymi oknami. Na razie jest to tylko mówienie.

Nastało znowu milczenie. Wyglądało, że profesor chce zabrać głos, ale on wstał i kiwnął głową do Ukraińca:

— No, na nas czas. My z panem mamy jeszcze iść do... — I zwracając się nagle do Henryka: — Słusznie pan zauważył, że na razie może być tylko mówienie. Ale, kto wie, trzeba pomyśleć... Może pogadać jeszcze, co? Pan stale w Wilnie? Dobrze, a więc umówmy się tak, że ja dam znać, zostawię wiadomość u pana Brzozowicza. Wkrótce.

Po ich wyjściu Brzozowicz rozsiadł się po środku kanapy, szeroko rozkrzyżowując ramiona, uniósł w górę twarz i patrzył w sufit. W tej pozycji, w aureoli siwych włosów, wydawał się aktorem pozującym do sztuki Wyspiańskiego.

— Jak pan myśli — Henryk zmrugał oczy — on da znać?

— Na pewno — odpowiedział Brzozowicz, nie odrywając wzroku od sufitu. I raptem zerwał się, przeniósł na krzesło przy stole i dał znak ręką: — Niech się pan przysunie bliżej. Nie chcę nawet żeby żona słyszała — zrobił ruch głową w kierunku zamkniętych drzwi. — Ona, biedaczka, stała się ostatnio strasznie nerwowa i wystrachana...

Henryk przysunął się z krzesłem i oparł łokcie na stole.

— Widzi pan, jest rzecz taka. — Brzozowicz pochylił się ku przodowi przez stół. — Profesor mówił... Sam słuchałem go nawet z zainteresowaniem. Mówił dużo słusznego. Ale w rzeczywistości rzecz się ma trochę inaczej... On może tak mówił głównie ze względu na tamtego, i zresztą pana widział po raz pierwszy... Trochę jest inaczej... Pan wie, że Niemcy rozstrzelali księdza Wincentego Godlewskiego?

— Słyszałem. I dziwiłem się bardzo. Znałem go osobiście. Sam mi mówił, jeszcze na początku 40 roku, że całkowicie stawia na Niemców.

— A więc dla pańskiej orientacji. To była wielka tajemnica, ale skoro on już nie żyje... Było tak: na początku Rosenberg planował rzekomo „wielką Białoruś”, z Pskowem i Bóg wie czym. I w 41-szym, latem, wysłał w objazd Białorusi barona Eugen von Engelhardta, zaprosiwszy do tej podróży ks. Godlewskiego. Zapowiadało się, że będzie „białoruskim księdzem Tiso”. Wyszło wszystko inaczej. Engelhardt, gdy się zaprzyjaźnili, ostrzegł Godlewskiego przed rzeczywistymi planami Hitlera i wtajemniczył że Rosenberg nie ma żadnego znaczenia, a posłuszny Hitlerowi we wszystkim. Wtedy Godlewski zaczął w wielkiej tajemnicy montować konspiracyjną przed Niemcami „Niezależną Białoruską Partię”, mocno podfarbowaną katolicyzmem; przyjmując jednocześnie, jak to panu wiadomo, stanowisko oficjalne głównego inspektora szkolnictwa w Mińsku, co mu ogromnie ułatwiało działalność i poruszanie się. Tymczasem okazało się że Niemcy, tolerując jeszcze jako tako prawosławie, poprowadzili wściekłą antykatolicką linię. Nie tylko aresztowali i rozstrzelali księży katolickich Polaków, których wysłał arcybiskup Jałbrzykowski na wschód, ale zabrali się do białoruskich, czy podszywających. W roku 1942 zlikwidowali w Mińsku księży Maleca, Głakowskiego, Rybałtowskiego. W rezultacie w całym Mińsku został jedyny ksiądz katolicki Ignatawiczus, duszpasterz litewskich oddziałów

policyjnych na Białorusi. Mało tego. W marcu 42 papież mianuje księdza Niemancewicza obrządku wschodniego w Albertynie, delegatem tego obrządku na Białoruś, z tytułem papieskiego egzarchy. W sierpniu SD aresztuje egzarchę Niemancewicza, przywozi do Mińska i rozstrzeliwuje. Z początku trudno się było nam zorientować. Ale oto okazało się, że głównym agentem SD jest Fabian Okińczyc. Pan wie, jeden z przywódców „Hromady” zlikwidowanej przez Polaków w roku 1927. Z agenta GPU przedzierzgnął się w agenta Gestapo. I założył partię białoruskich hitlerowców. Wydawał nawet gazetę „Nowy Szlach”, pięćset egzemplarzy... Bez znaczenia. I on to wywąchał przez swoich konfidentów i doniósł SD o istnieniu tajnej białoruskiej partii, o tendencjach „zachodnich”, montowanej przez kler katolicki i utrzymującej rzekomo powiązania z Watykanem. Tymczasem ksiądz Godlewski w znak protestu przeciwko mordowaniu księży, składa urząd głównego inspektora szkolnego. A tu zaczęły się straszne czasy. Pan nie był wtedy w Mińsku?

— Nie byłem.

— Już w marcu powstaje tajne sowieckie: „Specjalne białoruskie zgromadzenie dla przygotowania podziemnych działaczy”. Obliczyliśmy, że zrzucono na Białoruś w ubiegłym roku 2.600 wyszkolonych spadochroniarzy. Jeszcze w 42-gim, 9 września, powstaje tajny sowiecki „Białoruski sztab partyzanckiego ruchu”. Niezadługo „Białoruski Związek Antyfaszystowski”. Zaczyna się infiltracja o hasłach nacjonal-komunizmu, jak za czasów NEP-u. Chaos zwiększał się z dnia na dzień. I oto w tym chaosie, 24 września 1942, SD aresztuje ks. Godlewskiego. Ślad po nim ginie. Na interwencje odpowiadają: „Ks. Godlewski znajduje się w Rydze, gdzie pracuje bardziej korzystnie niż tu...” Tymczasem po kilku dniach dowiadujemy się, że został zastrzelony w podziemiach Gestapo.

— Zaraz, Okińczyc. Ale on, słyszałem, też został niedawno przez kogoś zamordowany?

— Tak. Na początku tego roku. Z kolei przez agenta sowieckiego. A wie pan przez kogo?... Olesia Matuszewicza z „Białoruskiej Gazety”.

— Co pan powie! Zawsze podawał się za wielkiego antybolszewika!

— Znał go pan?

— Piłem kiedyś samogon.

— Owszem. Uciekł teraz do sowieckich partyzantów.

— Mhm. Też niezgorsza dżungla u panów, tam.

— Gdzie jej dziś nie ma. Chyba w głębi Afryki, taaak. Tu trzeba jednak oddać sprawiedliwość, że ten „nasz” Kube trochę

przyhamował. On sam, oczywiście, interesuje się więcej tym co mają dziewczynki poniżej pasa do podwiązek... Ale po rozstrzeleniu Godlewskiego pomiarkował, że jak tak dalej pójdzie, to SD zlikwiduje wszystkich w Mińsku i jemu zostaną już tylko partyzanci sowieccy... Taaak. To inna sprawa. Słowem, tak czy inaczej, ale... rozpoczęte przez księdza Godlewskiego... — Brzozowicz małym palcem prawej ręki zaczął raptownie drapać w uchu. — Muszka, świństwo, jakaś zalazła... Jego dzieło nie przepadło...

— Mhm. Rozumiem.

— Taaak. Więc... Ja na pewno nic nie wiem, ale mam takie wrażenie, że profesor rozmawiał już nawet z jakimiś Polakami... I zdaje się, z tych rozmów był trochę niezadowolony, rozczarowany. Oni zaczęli od tego, że przedłożyli listę „zbrodni białoruskich względem Polaków”. Wiele samych faktów jest prawdziwych, nie da się zaprzeczyć. Natomiast całość zrobiona jest, jak to teraz, na gabinet okropności... Chwileczkę, ja chcę panu coś pokazać. — Brzozowicz wstał i poszedł do drugiego pokoju. Przez otwarte drzwi słychać było szurganie szuflady, szemranie papierów. W stołowym cykał zegar ścienny. W cichej ulicy było cicho, za oknami. Wrócił niebawem z arkuszem w ręku. — W odpowiedzi postanowiliśmy wygotować „kontrlistę”. Niech pan zobaczy. Nie chodzi nam, żeby nad tym dyskutować, tylko odwrotnie: na podstawie tej listy dowieść, że nad taką wymianą „gabinetów okropności” debatować w ogóle nie można, bo to do niczego nie doprowadzi. Przede wszystkim nikt nigdy całej prawdy nie dojdzie. Idzie teraz taka licytacja na zgrozę, że przelicytować trudno. Proszę, oto niech pan rzuci okiem. Tak wygląda białoruski „oficjalny rachunek” wystawiony Polakom.

Henryk przyciągnął do siebie papiery i wsparł głowę na dłoniach.

.....

„W Stołpcach na podstawie donosu ze strony polskiej, Niemcy aresztowali 19 Białorusinów, a m.in. J. Sobolewskiego b. posła na sejm, W. Czabarytewicza i in. — W Wołożynie ofiarą polskiego donosu padł inż. K. Kasiak, jego zastępca A. Siwiec i in. Razem 22 osoby. — Polska partyzantka napadła w r. 1942 na Żodziszki. Wymordowała nie tylko Niemców, ale i cały białoruski aktyw. Przy tym napad przygotowany był przez Polaków służących w białoruskiej policji. Oni też najbardziej Białorusinów mordowali. — Ogromne straty ponieśli wskutek polskich prowokacji, Białorusini Mira i okolic. Cała obsługa niemieckiej komendantury w Mirze, i wszyscy tłumacze składali się z miejscowych Polaków, przeważnie z b. administracji dworów. Złożyli oni Niemcom spisy Białorusinów pociągniętych kiedyś do sądów, jako „karanych za komunizm”. Niemcy rozstrzelowali tych Białorusinów bez sądu. — Wieś Iża, powiatu Wilejskiego, napadnięta została przez polskich partyzantów z Budślawia. Wymordowano w niej szereg działaczy białoruskich. — Oddział polskiej partyzantki zjawił się w roku 1942 w parafii Turejsk, Szczu-

czyńskiego powiatu, i zakatował w straszliwy sposób proboszcza prawosławnego Iwana Olechnowicza, razem z jego żoną, za działalność narodowo-białoruską. Polacy odcięli im uszy, nosy, wytkuli oczy, zonie popa obcięli piersi, polali benzyną rany i zapalili, przyglądając się jak umierali w mękach”.

Henryk przerzucił dalej pobieźnie:

„Duchowny Konstanty Majewski, członek BNS... W Trabach, oszmiańskiego powiatu, duchowny prawosławny Anatol Kiryk... Protojerej Michał Lewczyn w Krewie... Córka jego, Larysa, nauczycielka białoruskiej szkoły początkowej w Krewie... zamordowany, zamordowany, zamordowany... — Jeromonach Łukasz z klasztoru Żyrowickiego, który w roku 1941 przywrócił cerkiew odebraną na kościół katolicki w r. 1920, został napadnięty przez polską partyzantkę i zakopany żywcem do ziemi aż po głowę; wokół wystającej z ziemi głowy Łukasza, Polacy rozłożyli ognisko i palili ją na wolnym ogniu...”

— Co za bzdury — mruknął Henryk, przerzucając palcami dalsze arkusze.

— A tam na końcu, idą sowieckie komunikaty radiowe z tej wiosny.

Henryk przebiegł je oczyma:

„Od czasu gdy Polacy przestawili się na współpracę z Niemcami... Protokół nr z maja 1943, narady przedstawicieli organizacji polskiej, zaszyfrowanej pod nazwą „partia grenadierów”... 4) prosić policję i Niemców, aby palili białoruskie wsie pod pretekstem, że one pomagają sowieckim partyzantom... — Protokół nr 7 z 12 maja 1943, o zobowiązaniu działaczy polskiego podziemia do stosowania terroru względem ruchu białoruskiego... — Dyrektywa z 14 maja 1943 polskiego centrum kierowniczego, przechwycona przez sowieckich partyzantów pod Brześciem, w sprawie kompromitowania ruchu białoruskiego wobec władz niemieckich...”

Henryk spojrział na zegar ścienny, sprawdził z własnym zegarkiem na ręku i, zakrywając dłonią usta, spytał poprzez skurcz ziewania:

— No, a jak wygląda „lista polska”?

— Nie mam jej niestety tutaj. Ale mniej więcej podobna. Szczególnie często występuje tylko: „łyżka, którą wyjmowano oczy”. Poza tym to samo. — Brzozowicz przechwycił spojrzenie Henryka na zegar i zapytał: — Może przekąsi pan u nas obiad? Żona zaraz wróci.

— Nie, dziękuję. Muszę się śpieszyć. Więc, jak?

Brzozowicz odgarnął do tyłu swoje dawno niestrzyżone włosy ruchem jakimś teatralnym. Zatrzymał dłonie na potylicy, gładko ściągając na głowie włosy i oczami wskazał papiery leżące na stole:

— Więc to nie jest materiał, mogący służyć za podstawę do rozmów.

— Na pewno nie — odpowiedział Henryk wstając.

W tej chwili dał się słyszeć zgrzyt klucza w zamku drzwi wejściowych i wesołe poszczekiwanie Drożdżyka.

— On da znać — powiedział śpiesznie Brzozowicz. — Zaraz, co to mamy dzisiaj? Wtorek? Niech pan przyjdzie w piątek, przed południem. Albo lepiej wprost na obiad. Pod dobrą kminkówkę.

XLIII

Do czego człowiek jest najbardziej przywiązany? — Do dachu nad głową. — To tłumaczy, dlaczego Eskimosi nie ruszają w wędrówkę w poszukiwaniu ciepłych krajów. Dlaczego Beduini nie porzucają swych namiotów w spieczonej pustyni i nie uciekają w wieczną zieloność zwrotników. Przywiązanie to prowadzić może niekiedy do głupoty samounicestwienia. Jak Żydzi, którzy prawie na pewno wiedząc co ich czeka pod okupacją hitlerowską, z tego: „prawie”, zrobili tarczę ochronną fantastycznej nadziei, byle ostać się pod własnym dachem. Zamiast uciekać tłumnie w nieznaną. Czy strach przed tułaczką jest większy od strachu przed śmiercią? Być może. Być może dlatego tylu ludzi, taka masa ludzi, zostaje na miejscu, mimo iż miejsce zmienia się w stan nędzy, udreki, strachu i śmierci.

Henryk, mimo wszystko co by o sobie sam powiedział, stawał się przywiązany do dachu nad głową. Żadna z jego ciekawych tułaczek w życiu nie była mu warta — akurat teraz! — dachu nad głową. Śmiesznie, że tego właśnie dnia odczuł to jakoś pośrednio, nie uświadamiając sobie wprost. W momencie gdy Halina powiedziała:

— Wiesz, że ja przypadkowym cudem dostałam rybę i zrobię dziś w domu autentyczny obiad piątkowy.

— Masz tobie! A ja dziś właśnie zaproszony jestem na obiad. Nie wiem czy postny, ale z kminkówką. Zjedz za mnie, a co nie zjesz, zostaw na wieczór. — I nagle poczuł przypływ prostej radości, że oto z gościny będzie pod wieczór, przed godziną policyjną, wracać do siebie, do domu, na kolację.

Zastukał do drzwi Brzozowicza i czekał. Za drzwiami było cicho. Zastukał po raz drugi i usłyszał szczekanie Drożdżyka. Ale nikt nie otwierał.

— Drożdżyk — powiedział przez drzwi — jak się czujesz?

Piesek przestał szczekać i zaczął nadłuchiwać znajomego głosu, zapewne węsząc jednocześnie przez szparę. Henryk zastukał po raz trzeci... Usłyszał kobiece kroki.

To, co ujrzał w ramach drzwi, było nie tyle twarzą Stefanii Brzozowiczowej, ile jej rozszerzonymi jak w obłędzie oczami. Poza te rysy skamieniałe w przedziwnym skurczu. Nie były to zastygłe zmarszczki, lecz właśnie coś wykutego dłutem w kamieniu przerażenia, jeżeli taki kamień można by sobie wyobrazić. Nie rozumiała po co tu stoi, po co stukał, kim jest. A gdy zrozumiała po upływie chwili, poruszyła tylko wargami...

Drożdżyk w tym czasie obwąchiwał jego buty.



W czwartek rano nie było jeszcze zdecydowane. Decyzja zapadła w czwartek po południu. Gdy słońce zaczęło kłonić się za dachy domów i cienie przestały się już rysować na ulicy, Utielnikow szedł tym szybkim krokiem jakim zmierzają ludzie do zdecydowanego celu. Świadomie hamował prężność tych kroków, aby nie zdać się przechodniom innym niż oni; ale szedł prędko i wymijał spotkanych. Miał na sobie dwurzędową marynarkę zapiętą na wszystkie guziki. Dochodząc do dawnej ulicy Jakuba Jasińskiego, stwierdził że szedł za prędko. Zwolnił kroku, spojrzał na zegarek, zatrzymał się i zapalił papierosa. Wydało mu się za jasno. W tym miejscu było bardzo mało przechodniów. Postawił nogę na wystający kamień i udawał że poprawia sznurowadła. Naturalnie mógłby obejść kilku ulicami dzielnicy i wrócić trochę później, ale nie chciało mu się. Byłoby to może wskazane i celowe, ale jakby rozbrajało psychicznie przez rodzaj odwrotu. Co innego krążyć na czatach, co innego błędzić dla odroczenia terminu. Postął, znowu zapalił papierosa, i wolał iść zupełnie powoli, ale w raz obranym kierunku.

Była punktualnie ósma trzydzieści wieczorem, gdy zastukał do parterowych w korytarzu drzwi Brzozowicza. Zaszczekał Drożdżyk. Ostrożnie, nie spuszczać łańcucha, wyjrzała żona. Utielnikow powiedział czystym językiem białoruskim:

— Ja do męża. Proszę powiedzieć w pilnej sprawie z Mińska.

Pożydowski odbiornik radiowy znajdował się teraz w małym pokoju Brzozowicza, za dużym pokojem jadalnym. O tej porze Brzozowicz złapał na jakiejś fali, przypadkowo symfonię Czajkowskiego nr 6 h-moll, którą szczególnie lubił. Kiedyś opowiadał, że pod nią napisał najlepszy ze swoich słabych wierszy. Drożdżyk szczekał.

— Cicho! — tupnęła nań kobieta i, nie zwalniając drzwi

z łańcucha, poszła zawiadomić męża. Brzozowiczowi nie chciało się odrywać od melodii. Jeszcze kilka sekund... Ale istotnie, oczekiwał pilnej wiadomości z Mińska, więc wbrew przyjętem w domu zwyczajom, nie poszedł sam sprawdzić, lecz powiedział:

— Wpuść. Proś. — Zasłuchany w ostatnie akordy, powoli wyłączył radio.

Drożdzyk wciąż czekał zajadle. Więc Stefania wzięła pieska na ręce i wpuściła gościa, przeprowadzając go przez przedpokój, stołowy i wskazując otwarte drzwi do pokoju męża.

— Dobryj wieczor — powiedział gość wchodząc do pokoju Brzozowicza.

— Doobryj!... — odparł z robioną jowialnością gospodarz. Wziął ze stołu blaszane pudełko z tytoniem i stojąc, palcami obu dłoni szybko skręcał cygaretkę; już uniósł do warg aby poślinić bibułkę...

W tym momencie gość rozpiął marynarkę i sięgnął prawą dłonią do wewnętrznej kieszeni.

— Ja tu papiery ważne mam dla was... — wychwycił pistolet „Mauser cal. 7” i nie mrużąc oka strzelił Brzozowiczowi w głowę! Drugim strzałem w żebra, z góry na ukos w bok klatki piersiowej! Zakręcił się na obcasie i drobnym krokiem wybiegł do dużego pokoju... Tu odwrócił się jak na sprężynie i szedł tyłem do wyjścia, twarzą i lufą pistoletu skierowaną do kobiety, która chciała się na niego rzucić.

— Ssstać! — zasyczał. — Bo strzelam! — Tyłem, tyłem do drzwi w przedpokoju, kopnął Drożdzyka, który usiłował ugryźć go w nogę, namacał zamek, otworzył, zatrzasnął za sobą i po wszystkim.

Pani Stefania zatrzymana skierowaną w nią lufą, nie pobiegła za mordercą, lecz rzuciła się do pokoju męża. Wskutek dziwnego skurczu mięśni, stał on jeszcze przed biurkiem, i jeszcze trzymał blaszane pudełko z tytoniem w palcach... Jeszcze wyrzędził:

— Poppo doktora... — zwałił się na fotel, pochylił ku przodowi, uderzył z całej siły czołem w kant biurka, rozsypując tytoń, zalewając go krwią i umarł. Blaszane pudełko z trzaskiem poleciało mu pod nogi. Zrobiło się cicho. Z otwartych ust pociekła ślina zmieszana z krwią; krople krwi zaczęły tępo kapać na podłogę.

Pusto było w pustej uliczce, przed samą godziną policyjną. Pusto, ciemno i cicho.



Henryk wracał ociężale. Pachniało słońcem ulicy. Raptem zatrzymał się na rogu: „O czym to ja myślałem?... Ach, o kamieniu-

rozpaczy, specjalnym gatunku nowego granitu, z którego powinno się wykuwać pomniki... Literacki pomysł. Jak wiele podobnych, nie do zrealizowania w praktyce... To zawracanie głowy. Taka sama rozpacz mogłaby być, gdyby umarł na udar serca..."

W domu stół kuchenny, przy którym jadali, był pusty.

— Gdzież ta ryba? — zapytał tonem rozczarowania.

— A o! Wróciłeś?! Przecież miałeś być na obiedzie u Brzozowicza! Nie chciało mi się gotować dla siebie samej; tak coś przegryzłam.

— Brzozowicza zamordowano.

— No wiesz! Masz rzeczywiście szczęście... Kiedy?!

— Wczoraj. Głodny jestem jak wilk.

— Ech, z tobą nigdy nie wiadomo... Raz idziesz, raz wracasz.

XLIV

W piątek następnego tygodnia Leon otrzymał kartkę podpisaną: „Przyjaciół”, wzywającą go, aby stawiał się natychmiast w wypożyczalni książek przy ulicy Tatarskiej. Był mglisty ranek; na dworcu kolejowym zmieszany z dymem i parą lokomotyw. Poprzez te opary świeciło słońce, jak opakowana w przezroczyście papier hiszpańska pomarańcza. — „Iść, czy nie iść?”, zastanawiał się Leon, gdyż kryptonim „Przyjaciół” był mu nie znany i wzbudzał podejrzenie. Postanowił iść, zachowując największą ostrożność.

W bocznym pokoju zastał „Pułkownika”, który na swych trochę krzywych nogach stąpał z kąta w kąt, i Piaseckiego siedzącego nieruchomo w fotelu.

— Dlaczego: „Przyjaciół”? — zapytał Leon. — Skąd mogę wiedzieć?

— Chwileczkę — „Pułkownik” zatrzymał się na środku pokoju. — Co pan wie o „Józefie”?

— Chyba to, co wiadomo również panu. Rzekomo komendant AK „Wilno-Śródmieście”, rzekomy organizator „1-go pułku im. Bolesława Chrobrego”... I skąd tu akurat Chrobry, w Wilnie?... Mniejsza. Ale zdaje się jednocześnie szef jakiegoś bliżej mi nie znanego „centrum informacji”?... — Wszystko to wypowiedział Leon z oznakami nieukrywanej irytacji w głosie.

— Nie o to chodzi — przerwał mu „Pułkownik”.

— A o co? Były członek „Falangi” przed wojną. Za czasów

sowieckich objął kolportaż miejski wszystkich pism komunistycznych...

— To wiadome. Ale to, co pan opowiadał „Radwanowi”?

— Aaaach... To mi mówił Pawłowski. Pawłowski, to było przed wojną główne biuro kolportażu w Wilnie. Za czasów sowieckich, ktoś go miał przestrzec i ukrywał się. Jak przyszli Niemcy, wyszedł z ukrycia i chciał się znowu podjąć kolportażu, czy raczej podjął się już, ale później znowu się schował. Raz spotykam go oberwanego, i wtedy opowiedział mi, że ex-falangista, zaraz po przyjsciu Niemców, zjawił się u niego i zagroził mu, że jeżeli będzie starał się o koncesję wyłącznego kolportażu, a nie przyjmie go do spółki, to... Dał mu do zrozumienia, iż wie o tym że Pawłowski jest żydowskiego pochodzenia.

— On rzeczywiście jest żydowskiego pochodzenia?

— Podobno. Pawłowski wtedy jeszcze zlekceważył tę groźbę. Ale jak zobaczył na własne oczy co się z Żydami wyrabia, wycofał się sam. Tak mi opowiadał.

— Ale przecież „Józef” żadnego kolportażu teraz nie prowadził?

— Zdaje się, że na początku prowadził. A teraz po co mu. Dostał lepszą posesję w podziemiu.

„Pułkownik” spojrział na Piaseckiego. Ten siedział w dalszym ciągu z twarzą kamienną.

— To po to jedynie zostałem na gwałt wezwany?... — rzucił Leon sucho.

— Nie. Wczoraj aresztowany został „Andrzej”.

— And...!? — Leon stanął z otwartymi ustami. — Boże... Ale... Co to ma wspólnego z „Józefem”?

— Na razie nic. Trzeba go ratować. Natychmiast ratować „Andrzeja”. Zanim nie będzie za późno. Jeszcze nie wiadomo, czy jest w rękach Gestapo, czy może litewskiej Saugумы. Poruszyć wszystkie sprężyny i wszystkie kontakty z Litwinami. Nie wolno tracić ani chwili. Gdy zacznie przechodzić przez śledztwo może być za późno.

— Ale jak to się stało? — spytał prawie szeptem Leon.

— Poza wczoraj aresztowano go na ulicy. Trzy kroki stąd. Na Ludwisarskiej. Całą noc u niego na Kalwaryjskiej robiono rewizję. Ale skrytki nie wykryto. — „Pułkownik” wyjął z kieszeni chustkę, jakby z zamiarem wytarcia potu z czoła, ale przełożył ją z ręki do ręki i schował z powrotem w kieszeń spodni. — Mieszkanie jego „czyste”. Zabrałem ważne materiały ze skrytki wczoraj. Ale stwierdziłem brak niektórych, może najważniejszych rzeczy. Przez jego ręce przechodziło mnóstwo ważnych i tajnych. Obawiam się, że są gdzie indziej. Mówię to tylko, aby przedstawić

jak ważna jest sprawa. Już tu, z panem „Kondorem” uradziliśmy... Chwileczkę... — Odwrócił się do Piaseckiego i dotknął jego ramienia: — Dokończmy naszej rozmowy. — Wyszli do przyległego pokoju.

Leon z uczuciem gryzącej przykrości starał się wyobrazić wątle ciało Andruszkiewicza poddane badaniu... Przeszedł go mimowolny dreszcz. „Ach, jak to się stać mogło... Zdawało się najlepiej zabezpieczony...” — Wrócił „Pułkownik” sam. Leon doskoczył do niego.

— Przede wszystkim trzeba zawiadomić Henryka! On zna...

— Właśnie, pech! Nie ma go w domu i nie wiadomo gdzie jest.

— Jego ta... — Leon urwał i zaraz szybko dodał: — Pracuje u Święcickiego. Ten ma też stosunki... Posłać Jadzię!

— Drugi pech. Święcicki musiał właśnie z żoną wyjechać na lotnisko. Do Jerozolimki, zdaje się. Jadzia już biegała. To, zdaje się, siostra przyjaciółki, czy żony, Henryka?

Leon nie odpowiedział. „Pułkownik” nie czekał zresztą odpowiedzi:

— Rzecz dla nas najważniejsza w tej chwili jest taka: Istnieje pewien Wilenas. Kluczowa ponoć figura w litewskiej tajnej organizacji. Oni od siebie mają liczne wtyczki w Saugumie. Podobno bardzo uczciwy człowiek. Do niego trzeba zaraz, w tej chwili dotrzeć. Czy znaleźć kogoś kto jego zna. A ja nie znam. Najgorsze, że to jest wszystko na poczekaniu. A na poczekaniu ja nie mam nawet jego adresu! A czas ucieka! Czy pan go zna może?

— Znam. Osobiście, trochę... Ale adresu też nie znam. Psia krew, psia krew! Zaraz... Mam! Adres zna taki Staś Sakowicz, bodaj jego przyjaciel. Ma dom w Ponarach. U niego Wilenasowie mieszkali latem i bodaj teraz tam są.

— Kolego Leonie! Leć pan! Rower pożyczmy od pani Janiny Narkowskiej. — Spojrzał na zegarek: była godzina dziewiąta, minut 30 rano.



Zaczęło się wielkie ratowanie Zygmunta, alias „Andrzeja”, Andruszkiewicza.

O godzinie 9 minut piętnaście, Halina z siostrą Jadwigą, wyjechały szukać Święcickiego do Jerozolimki, dorożką bo innej komunikacji nie było.

O godzinie 9.35, Leon wyjechał na rowerze do Ponar.

O godzinie pięć minut przed dwunastą, pani Janina Narkowska, właścicielka wypożyczalni książek, wsadziła do torebki mo-

netę złotą i udała się do pobliskiego kościoła o.o. Bonifratrów, aby zamówić mszę św. „na intencję Zygmunta”. Ksiądz przeor złotą nie przyjął, a mszę obiecał odprawić nazajutrz rano.

O godzinie 3-ciej popołudniu wrócił Henryk, zastał w domu kartkę od Hali, że „pojechała do znajomych” i żeby w międzyczasie on „przyniósł jej k o n i e c z n i e obiecaną książkę z wypożyczalni. Ale zaraz!” Domyślił się. „Pułkownik” rezydował w ciągu tych godzin przy ul. Tatarskiej.

O godzinie trzy kwadranse na czwartą Henryk biegł już na Antokol 13, do Pożelasa, alias „Leśniczego”, którego nie zastał w domu.

O godzinie piątej po południu, siostra Andruszkiewiczza, Maria, rozwódka, podążała śpiesznie dawną ulicą Mickiewicza wprost do gmachu, w którym przed wojną mieściły się polskie sądy, w sowiecką okupację NKWD-NKGB, a teraz Gestapo — SD — Sauguma. Nie dopuszczono jej naturalnie i krótko odprawiono z niczym, ale czekając wśród ludzi takich samych jak ona, nasłuchiwała się od nich dużo „rad” i „cennych wskazówek”, które chciała za pośrednictwem swej przyjaciółki, łączniczki „Jadzi”, prędko przekazać komu należy. Była w rozpacz, gdy Jadzi nie zastała w kawiarence i nikt nie mógł jej powiedzieć dokąd poleciała.

W tym samym czasie Sergiusz, alias „Kondor”, Piasecki, montował już jeden z najśmielszych swoich wyczynów.

XLV

Naturalnie, gdyby Dobry Bóg zechciał był wysłuchać wniesionych do nieba modłów księdza przeora o.o. Bonifratrów, rozwiązanie byłoby najprostsze ze wszystkich możliwych. Ale niezbadane są decyzje boskie i na nie liczyć nie można. Ani na pacierze pani Janiny, ani pani Marii.



Niemcy uznali, że kilka batalionów litewskich w służbie policyjnej i kilkanaście litewskich jednostek ochrony kolejowej, to mało. Estonia, Łotwa, chociaż mniejsze, dały więcej niż Litwa. Generalny komisarz Litwy w Kownie, von Renteln, obliczył że Litwa mogłaby wystawić do 150.000 żołnierzy. Ze swego obli-

czenia uczynił niejako ambicją osobistą, dostrzegając w tym własną zasługę, być może widoki na karierę.

„Bez politycznego uznania?...” — „To przyjdzie później, tłumaczył swym litewskim mężom-zaufania. Na razie obiecuję, że wojsko litewskie tworzyć będzie samodzielną jednostkę, o rozmaitych rodzajach broni. Nie będzie rozproszone i użyte tylko na północno-wschodnim froncie”.

Rozpoczęto dużą propagandę i dzień rekrutacji wyznaczono na 6 marca 1943 roku. Był to fatalny dzień dla pana von Rentelna. Absolutne fiasco. Zgłosiło się kilkuset ludzi. — W odpowiedzi Niemcy zastosowali represje. W nocy z 16 na 17 marca aresztowano 46 księży litewskich, profesorów, działaczy politycznych i innych, i zesłano do kacetu w Stutthofie. Von Renteln kazał nawet aresztować trzech pośród mianowanych przez siebie oficjalnych „doradców” swojej Zivilverwaltung: z wydziału prawnego Mieczysława Mackiewicza, z wydziału edukacji Pranasa Mieszkauksa i z administracyjnej kontroli Staszysa Puodžiusa. Dnia 17 marca zamknięte zostały wszystkie litewskie szkoły wyższe. Nie tylko więc Polacy pozbawieni być mieli własnej warstwy wykształconej (specjalnym okólnikiem zabroniono Polakom uczyć się nawet języka niemieckiego), ale obecnie i Litwini, jeżeli nie dadzą rekruta do Waffen-SS... Mówiono, że w kowieńskim Gestapo wygotowana już była lista 200 zakładników... Ale mówiono też o zamierzonej deportacji w głąb Niemiec 30.000 z inteligencji litewskiej.

— Jeżeli kiedykolwiek wolno było powiedzieć o dosłownym położeniu „między młotem i kowadłem”, to chyba dziś — miał się wyrazić profesor Vladas Jurgutis, w wygotowanym przez siebie memoriale. Gorący ongiś rzecznik współpracy z Niemcami, został teraz za ten memoriał aresztowany.

Ze strony litewskiej podjęto ostatnią próbę: w dziesięć dni później, 27 marca, dwudziestu czterech wybitnych działaczy politycznych litewskich, ogłasza raz jeszcze proniemiecką deklarację, zapowiadając zwołanie na 5 czerwca „Wszechlitewskiej Konferencji”. Ma w niej wziąć udział stu delegatów z całej Litwy, pod przewodnictwem generała Kubiliunasa, nawiązując do tradycji 1917/18 roku; tym razem nie pod patronatem cesarskich Niemiec, lecz Trzeciej Rzeszy Hitlera...

Tymczasem mnożą się tajne litewskie pisma podziemne. — „Laisves Korotojas”, *Bojownik Wolności*, pisze:

„Niemcy, otwórzcie wasze oczy i spójrzcie wokół siebie, co się dzieje na froncie i gdzie indziej. Godzina dwunasta w nocy zbliża się!”

Mnożą się tajne organizacje litewskie i dążą do zjednoczenia

we wspólnym froncie. Przenikają do oficjalnej administracji, policji. Mnożą się pogłoski o szukaniu kontaktów z polskim podziemiem.



O tym wszystkim „Pułkownik” był, wprawdzie pobieżnie, ale poinformowany. Głównie przez tegoż Andruszkiewicza, który posiadał rozległe znajomości w kołach litewskich. Dlatego teraz, gdy zaszła konieczność ratowania „Andrzeja”, słusznie mógł upatrywać w tych sferach jedynej jeszcze możliwości ratunku.

XLIV

Las wbijał się tu kiedyś klinem w miasto. Mianowicie w to miejsce węzła kolejowego, z którego wybiegają jego obydwie południowe odnogi: na Lidę i na Grodno. Tu rósł na wzgórzach, aż go przetrzebiono po tamtej wielkiej wojnie i pozostawiono tylko dęby. Później wycięto i dęby, zostawiając jedynie krzaki leszczyny. Krowy i kozy kolejarzy, pasące się w tych chrustach, wyszargały krzaki, zdeptały skarpy. Potem wzgórze zabrano pod teren wciąż rozbudowywanej stacji Wilno-Towarowa, zbrukano pyłem węglowym. Wreszcie wybudowano składy amunicyjne.

Ale wzgórze to ważne jest dlatego, że odeń ciągnie się ich dalsze pasmo, aż do coraz wyższych, jeszcze zalesionych i malowniczych, przebitych opodal tunelem i na kilometrze od jego przeciwległego od Wilna wylotu, zaszczyconych stacją-przystankiem: Ponary. Tam, koło tego przystanku, zbudowano przed wojną miastogród. Pachnie żywicą rok okrągły, a na jesieni grzybami i zimnym potężnym wiatrem, który nawiewa świeżość ze wszystkich stron kraju. Rosną też tu wyjątkowo wysokie wrzosa, na jałowej, piaszczystej, suchej, zdrowej dla płuc glebie. Wrzosa nie przynosią pożytku, ale podkreślają siność, smętek, którego źródłem są rdzawo jednostajne pnie sosen, wczesne mgły i bezmierne dalekości horyzontu.

W roku 1940 bolszewicy założyli w Ponarach, na spiłowanym kawałku lasu i odebranych od ludności terenach, jakieś przedsiębiorstwo państwowe, wielkie place otaczając mocnym płotem i drutem kolczastym. Z tak zniwelowanego terenu skorzystali Niemcy w roku 1941 i użyli pod miejsce kaźni Żydów. Do Ponar podwożono ciężarówkami, a później całymi transportami kolejowymi, Żydów i tu ich zabijano.

Dalekim echem sływały z tych wzgórz, het, w wielokilometry krąg, pojedyncze strzały, krótkie urywane, trwające nieraz wiele godzin, albo na przemian terkoczące seriami broni maszynowej. Nieraz kilka takich dni z rzędu, przeważnie ku wieczorowi, lub rankiem. Bywały tygodnie, a nawet miesiące przerwy, a później znów, zależnie od kierunku i siły wiatru, od pory roku, mgły czy słońca, rozchodziły się mniej lub więcej wyraźne postukiwania strzałów.

Początkowo w kraju, tak nasyconym wojną i wojną, nie zwracano zbyt wielkiej uwagi na strzały, które bez względu na kierunek skąd pochodziły, wplątały się już były w normalny poszum lasu, nieomal jak rytm znajomy deszczu, bijący jesienią o szybę.

Pewnego razu, a było to już po śmierci Drużki, przychodzi Łutowiczowa odwiedzić wdowę. Przychodzi i mówi:

— Ale cości dziś bardzo Żydków naszych stukają w Ponarach.

Nadsłuchują: istotnie. Osiem kilometrów odległości, a jak słytać dobrze.

— I jak tu jeść, pod taka muzyka... — mówi Drużkowa.

— Jeść, to jeszcze. Ale słytać, to prawda że przeciwnie.

— Pogadały, westchnęły wielokrotnie i rozeszły się.

A jednak żyli ludzie nawet w samych Ponarach. Mniej ich było. Połowa, to jest w ogóle kto mógł, werandę, drzwi i okna pozabijał z płotu wyciągniętymi deskami i przenosił się do miasta. Ale byli, którzy nie mogli. Życie ludzkie toczy się w wąskich, obciosanych ramach, obciosanych z trudem; podczas wojny większym niżli w okresie pokoju. Przez stację Ponary szły pociągi i z Generalnej Guberni, i dalekobieżne z Berlina na front i z frontu, lokalne z Kowna, podmiejskie, robocze z i do Wilna. Ludzie kupowali bilety jechali, wracali, jedli, spali. Żyje ich tyle wokół rzeźni zwierzęcych na całym globie, dlaczegóż by po kilku latach nie mieli się przyzwyczaić do życia w bliskości rzeźni ludzkiej?

Niektórzy twierdzili, że w Ponarach wymordowano tylko 80 tysięcy Żydów. Inni, że 200 tysięcy do 300 tysięcy!

— Żart powiedzieć! Trzysta tysięcy!... Ty ich liczył?

— A kto liczył?

— Wiadomo, że nikt nie liczył. Mało co plaskają językiem. Ludzie... „trzysta tysięcy”! Ech.

Naturalnie ustalić nie można było. Wiadomo, że mordowano tam żydowskich mieszkańców miasta Wilna, co mogło stanowić kilkadziesiąt tysięcy. Poza tym zwożono Żydów transportami z pobliskich miasteczek Ostlandu. Rodzinami z getta, bądź też z robót sezonowych, po zakończeniu których nie wracali. Nikt nie był o tym uprzedzony, ani nie wiedział, czy po ostatniej masowej egzekucji nastąpi jeszcze jedna, czy też dłuższa przerwa.

Staś Sakowicz, który miał w Ponarach dom z ogródkiem, chwycił się był początkowo za głowę i zaklinał, że dnia nie wytrzyma dłużej, bo oszaleje; wytrzymał jednak już dwa lata.

Ranek zaczął się mgliście, a później pochmurny, wilgotny dzień. Leon szczęśliwie wyjechał z miasta nie nagabywany przez nikogo, i śpieszył się. Co chwila przednie koło roweru wbiegało w płytką kałużę i co chwila jakiś liść ze ścieżki, bury, przylepiał się do gumy i obracał z nią kilkakrotnie, odpadał jak niepotrzebny, a później lipnął drugi. Nad górami Ponar wiatr pędził chmury pod chmurami, postrzepił je i powyciągał wzdłuż, ale do błękitu nieba nie mógł się przedrzeć. W wąwozach było cicho. Na drogach bocznych pusto-pustynno i woda deszczowa niezmacona przejeżdżnym kołem, stała w koleinach. Minął bokiem tunel kolejowy, wjechał w brzeźniak. Rower tu szedł po złotej ścieżce usłanej baziami brzoź i szeptął gumą: lip, lip, lip. A zaraz za brzeźniakiem wpadł na wartownika. Był to Estończyk z krajowych oddziałów SS. Czerwony na twarzy, jakby podpity dobrze. Zrobił ruch, że chce zatrzymać, ale popatrzył tylko zamglonymi oczyma i puścił. Leon pojechał ścieżką koło toru kolejowego. Już z oddali widać było stojący na stacji pociąg osobowy. Stał na bocznym torze, bez pary. Ścieżka znosiła w dół, pod nasyp. Pod karłowatą sosenką, wyrastającą jak wiele w tych okolicach, dwoma pniami w kształcie liry, stał drewniany stół. Na stole kilka wysmukłych butelek litewskiej monopolowej wódki, pocięty chleb i zwoje kiełbasy. Jak stragan na odpuszcie. Stół otaczało kilkanaście postaci w mundurach. Leon nacisnął pedał.

— Halt! — krzyknął Niemiec w mundurze gestapowca.

Leon wyjął dokumenty i odczuwa w tej chwili wstręt do własnego skaczącego serca, do zwojów kiełbasy, do chleba pokrajanego z takim pietyzmem przez kogoś, i nawet do stolika, i dlatego on się kiwa? Nie mogli to postawić go równiej? Kilku Niemców z Gestapo, kilku czarnych SS. Przeważają policjanci w jasnych niemieckich mundurach z odznakami litewskimi, łotewskimi, estońskimi.

— *Wo fahren Sie hin?* — pyta Niemiec oddając papiery.

— Do swego znajomego, w osadzie.

Kiwa głową i nożem, który trzymał cały czas w ręku, zabiera się do kiełbasy, a później dorzuca spokojnie:

— Tylko musi się pan śpieszyć.

„Po co oni piją tu tę wódkę?”... i nagle wyjechał przed pociąg. Bardzo długi pociąg wypchany Żydami. Wyzierają zeń twarze, czasem o normalnym wyglądzie, niektóre nawet uśmiechnięte. Pociąg obstawiony jest policją. Jakoś to wszystko wygląda

za prosto, aby było straszne. W poprzek ścieżki leżały stare podkłady. Wypadło zleźć z roweru i prowadzić. W tej chwili młoda żydówka wychyliła się z okna wagonu i wprost pyta policjanta:

— Czy prędko pojedziemy dalej?

Policjant litewski spojrzął na nią, nie odpowiedział i miarowym krokiem wartownika wybierając podkłady pod stąpanie, odszedł, a zrównawszy się z Leonem, powiedział z grymasem uśmiechu... A nie był to uśmiech, ani zły, ani zawstydzony, ani wesoły, taki sobie:

— Ona się pyta, czy prędko pojedzie?... Ona już za pół godziny może żyć nie będzie.

Leon nic nie odpowiedział. Podniósł wzrok, dojrzał jej twarz, a tam, tam pod łokciem wyłaziła głowa dziewczynki i coś na jej włosach o podobieństwie kokardki. Na dachu wagonu skaczą wróble. Dziwna rzecz, uparł się w tej chwili, aby myśleć: „Ona pojedzie i dziewczynka z łachmankiem zamiast kokardki pojedzie, i oni wszyscy, cały pociąg. To raczej wartownik się myli”... ale gdy tak myślał poczuł, że nogi mu drżą. Ktoś zakrzyknął by tu nie stał! Odszedł i wzrok padł na napis, wymalowany czarnymi literami na białym tle: „P o n a r y”. Tablica, jak tablica, wsparta na dwóch słupach, słupy wkopane w ziemię. Wszystkie one zawsze stoją na przeciw zatrzymanego pociągu i przemawiają do niego swymi literami. Posunął rowerem dalej od pociągu, za siatkę. Rozglądnął się za willą Sakowiczów, która musiała być gdzieś na wzniesieniu w pobliżu; umiejscawiał ją z pamięci; była piętrowa, w bezdrzewnym ogródku, otoczona żywopłotem...

W tej chwili z pociągu zaczynają dochodzić jakieś odgłosy; zrazu jak brzęczenie rankiem obudzonego ula; później coś w nim rzezi, potężnie chrobot u zamkniętych na głucho drzwiczek, jak chrobot tysięcy szcurów, później robi się rwetes, gwałt straszny, przechodzi w ryk, wrzask, wycie... Pękają uderzone pięściami szyby, trzeszczą, trzeszczą, a później łamią się pod naporem niektóre drzwi... Policjanci zaroili się, zwielokrotnili w oczach, zabiegali gestykulując, krzycząc i zrywając karabiny z pleców. Dał się słyszeć metalowy trzask zamków i ich, policjantów, groźny ryk, w odpowiedzi na ryk ludzi zamkniętych w pociągu.

Leon zobaczył jeszcze jak wróble uleciały z dachu wagonu, a że był już oddzielony metalową siatką od fatalnego toru, zdążył wskoczyć pod okap budynku stacyjnego. Chwała Bogu, stało tam jeszcze dwóch miejscowych kolejarzy w mundurowych czapkach. Nie był sam. Trzymał kurczowo kierownicę roweru i podświadomie czuł, że wobec tego co nastąpi, co nastąpić musi, ten rower, ci kolejarze, do których przylgnął, to stanie w miejscu bez ruchu, to jedyna legitymacja na prawo dalszego życia. Stłoczy-

li się razem za tym rowerem jak za szańcem, bo ani iść, ani uciekać nie było już gdzie.

Żydzi zaczęli wyskakiwać z połamanych drzwi wagonów, a na-przeciw, w sukurs wartownikom, biegli inni w różnorakich mundurach. Z okien zaczęto wyrzucać tłumoki i walizy, i oknami też wyłazili Żydzi, sami niechlujni i nieforemni jak ich worki i pa-kunki. To było dziełem kilku sekund raptem powstałej paniki. Ktoś przecie musiał tam, w pociągu, krzyknąć, że to koniec drogi!!

Pierwszy strzał padł w sposób następujący: jakiś Żyd wyłaził właśnie tyłem przez ciasne okno, spuścił nogi i wystawił tyłek, a policjant podskoczył i z odległości jednego kroku: strzelił mu w tyłek! Strzał padł głośny i zaraz zerwały się gawrony z pobliskich drzew obsadzonych gniazdami. W ogólnym harmiderze nie było słyhać, czy krzyczał trafiony, załopotaly tylko jego zwieszone nogi, w podciągniętych prawie do kolan nogawicach, tak że z bosych stóp spadł jeden kalosz, a drugi zadyndał na sznurku, przywiązany do kostki. Powstał wrzask, lament, i wycie, i płacz, i ze wszystkich stron naraz gruchnęły strzały, gwiznęły kule, spadły z chrzęstem łamanych kości i pękających czasek, uderzenia kolb... — Ktoś skakał przez rów i trafiony między łopatki, spadł weń jak ciemny ptak z rozczapierzonymi na kształt skrzydeł ramionami. Ktoś pełził na czworakach pomiędzy szynami... Stary jakiś Żyd zadarł do góry brodę i wyciągał ręce do nieba, jak na biblijnym obrazku, i naraz chlupnęła mu z głowy krew i kawały mózgu... Potoczyły się jakieś koszyki-kobialki... Wywrócił się w biegu jeden policjant, pośliznąwszy we krwi... Tiuuu! gwiznęła kula... Tam leżało dla czegoś kilku ludzi jeden na drugim... W poprzek szyny leżał cicho może dziewięcioletni chłopczyk i choć, gdyby krzyczał nie dosłyszeć by jego głosu, to widać było że nie żył już, bo nie drga... Zakotłowało się pod kołami wagonów, bo tam większość szukała ratunku i tam ich najbardziej polewano z broni maszynowej, jak z sikawek, w ciemną masę złachmanionych postaci... Oto zeskakuje i ta młoda Żydówka, płowe jej włosy rozwiane, twarz wykrzywiona śmiertelnym strachem, z ucha, na kosmyku zwiesza się grzebyk, chwytą córeczkę... Nie mógł patrzeć. Powietrze rozdziera taki jazgot straszliwy mordowanych ludzi, a jednak rozróżnić w nim można głosy dzieci o kilka tonów wyższe, właśnie takie jak płacz-wycie kota w nocy... Żydówka pada najpierw na twarz, później się przerzuca na wznak i zataczając ręką w powietrzu, szuka rączki swego dziecka... Nie słyhać, ale widać z ułożenia ust małej, że woła ona: „Mame!”... Na głowie jej dygoce wstążeczka z łachmanka i nachylona ku przodowi, chwytą matkę za włosy... — W mgnieniu myśli Leon przypomniał sobie nagle Watrycego, gdy patrzyli na brutalne spędzanie

Żydów do getta i jego okrzyk pod adresem policjantów: „bydło!”... Teraz przeszła go myśl: „Nie! Ludzie!...” Po ludzku błdzi, spoceni, jak szaleńcy, jak dzicy w tańcu, w ruchach, w obłądnych gestach, w mordowaniu, w strzelaniu... Bo jakżeby wytłumaczyć można inaczej, że ten oszalały kompletnie policjant chwytając Żydówkę za prawą nogę i usiłuje wlec ją pomiędzy szynami, cały zgięty, z twarzą tak przekrzywioną jakby ciętą na ukos szabłą, dokąd?! Po co?! Nogi kobiecie się rozstawiają, lewa zaczepia za podkład, spódnica zadziera do pasa, odstawiając majtki, a dziecko łapie włóczące się po kamieniach włosy matki i ciągnie ku sobie, jakby chciało wyrwać z rąk policjanta, i nie słysząc, a widząc jak wyje: „Mamme!”... Z ust wleczonej kobiety bucha teraz krew... Gęsta ściana mundurów zasłania na chwilę widok... A później jakiś Łotysz podniósł kolbę nad zwichrzonymi włoskami uwiązany w ciemieniu w kokardkę i...

Leon zamknął oczy, a zdawało mu się, że ktoś zadzwonił. Telefon? Zadzwonił istotnie, kolejarz ściskający konwulsyjnie kierownicę roweru Leona wpił się palcami w dzwonek, kurczowo nim targnął mimo woli, i przechylony ku przodowi drga na całym ciele, nie wiadomo czy łąka, czy rzyga...

Żyd chciał przeskoczyć rampę, ranny w nogę padł na kolana i teraz słysząc wyraźnie i kolejno: płacz, strzał, rżenie... Gestapowiec dopadł właśnie któregoś koło samego słupu telegraficznego i trzasnął nim w ten słup...

— Na rany Jezusa Chrystusa! — szepcze drugi kolejarz — na rany Boga!

— Aaaaa! aaa! aaa! — zakrakał ten uderzony... A w niebie, nie w niebie, a tylko na tle nieba, zadrgały przewody drutów telegraficznych!

Nie wszyscy Żydzi opuścili pociąg. Większość została skuta strachem, sparaliżowana w ruchach, z tą iskierką zapewne nie tyle nadziei, co raczej obłądu, że to nieporozumienie, że im powiedziano przecież oficjalnie, że „jadą na roboty do Koszedar”... Byli też tacy co wyskoczyli, a później struchleli, stanęli wyprostowani przy wagonach, skamienieli, jakby lojalnością swjej śmierci chcieli się od niej wykupić. Tych strzelano na miejscu tak jak stali.

Jak długo mogło „to” trwać? Bóg jeden, który patrzył na pewno, a widział nawet poprzez gęste chmury tego dnia, mógł policzyć minuty. Widocznie jednak zbliżała się jedenasta, bo od południa biegł pociąg pośpieszny z Berlina przez Wilno do Mińska, nie zatrzymujący się w Ponarach. Maszynista widząc tłumy ludzi na szynach, z oddali już gwizdał wściekle i widać było, że hamował. Ale stojący u wylotu stacji gestapowiec zamachał ener-

gicznie, żeby się nie zatrzymywał. Maszynista dał parę boczną, syczącą w białych kłębach i zakrywając na chwilę widok, przejechał po trupach tych którzy padli na głównym torze, krając tułowia, kończyny, głowy, a gdy zniknął w tunelu i rozwiła się para, ostały się już tylko wielkie kałuże krwi i ciemne plamy bezkształtnych ciał, walizek, tobołów, leżały do siebie wszystkie podobne i nieruchome. I tylko jedna głowa, ucięta u samej szyi, która potoczyła się na środek przejazdu, widoczna była wyraźnie jako głowa człowieka.

Pociąg z resztą Żydów stał już gęsto obstawiony strażami, a strzały dochodziły jeszcze częste, ale już bardziej oddalone, po lesie.



— A mówią, Bóg jest... — zauważył jeden z kolejarzy, gdy można było już iść. — Nie wiadomo, czy do Niego doszła ta telegrama po słupie telegraficznym?...

Leona mdliło strasznie i chwiało się na nogach. Zdobył się jednak na zapytanie:

— Gdzie tu mieszka Sakowicz Stanisław? — Bo mu się już pomyliło w głowie.

— A o tam. Na rogu.

Okna parteru zamknięte były na głucho okienicami. Okna na piętrze też nie otwarte, mimo ciepła. — „Nie ma ich...” — pomyślał z rozpaczą, ciężko dysząc. I zaczął tłuc do drzwi na oślep. Nikt nie otwierał. Leon się opamiętał trochę, odszedł kilka kroków i zadarłszy głowę zawołał:

— Staaaś!! — Nic. Obszedł dookoła, wrócił do drzwi wejściowych i tłukł jeszcze, choć pozornie nie miało to sensu. Raptem usłyszał przyciszone głosy. Była to zduszona do szeptu kłótnia za drzwiami: „Otwieraj...” — „Nikogo nie wpuszczę!” — odpowiadał głos kobiecy. — „Otwieraj! Ja widziałem, to Leon...” — „Jaki znowu Leon, nikogo nie wpuszczę...” — Szamotanie. Sakowicz musiał odepchnąć żonę i otworzył zasuwę.

W ciemnym przedpokoju poprawiała przed lustrem ciemne włosy, i mówiła przez zaciśnięte zęby:

— Co dziwnego? Zdarza się tyle razy, że Żydzi łomocą do drzwi, proszą o ratunek. Wyrzucić ich na śmierć, straszno... Nie? Ach, pan tu nie mieszka!... — Usta jej, mimo zaciśniętych zębów, drgały. Była człowiekiem przerażonym. Choć była duża, silnie zbudowana i wiadomo było że świetnie potrafi prowadzić interesy handlowe. — Czegoś podobnego jak dzisiaj, jeszcze nie było. Ja tu nie wytrzymam dłużej! Ani dnia! Słyszysz?! — Zwróciła się do męża.

— Słyszę, słyszę. Chodźmy na górę.

Leon poprosił o szklanke wody. Gospodarz przyniósł mu szklanke wody i prócz tego małą szklanke wódki. To przywróciło równowagę.

W tym z mieszczańska po-letniskowemu urządzonym pokoju na piętrze, z balkonem, było moc roślin i kwitnących i pnących. Sakowicz otworzył na rozcież drzwi na balkon i wyjrzał ostrożnie. Cofnął się zaraz, bo padł właśnie gdzieś strzał z pobliskiego lasu. Wpłynęło ciepłe, świeże powietrze w duchotę zamkniętego pokoju, przesyconego zapachem tytoniu i rozgrzanej deski sosnowej.

— Frania, zrób herbaty.

— Zrób sam. Ja boję się schodzić na dół.

— Żona, co? — zwrócił się z wymownym spojrzeniem do gościa.

— Nie trzeba się było rozwodzić, gdy pierwsza była lepsza.

— Pewnie, że lepsza. Zapalisz? — podsunął Leonowi pudełko z tytoniem.

Leon skorzystał łapczywie.

— Gdyby była na kółkach, byłaby dziecinnym wózkiem — palnęła niespodziewanie Frania.

— Miałeś tyle dzieci? Nie słyszałem — burknął ni w pięć ni dziewięć Leon, śliniąc bibułkę.

— Ona i dzieci! — wykrzyknęła Frania. — Jałowa jak te piaski ponarskie.

Nieprzyjemnie było słuchać tej kłótni bezmyślnej. Leon zapytał o Wilenasa, który najwidoczniej tu nie mieszkał. Sakowicz przyznał, że mieszkał dawniej, ale dłużej nie wytrzymał.

— Jak on w ogóle miał ochotę tu przyjeżdżać, do tych Ponar? Sakowicz przymknął jedno oko.

— To specjalne wyrachowanie... Widzisz, tu w Ponarach, można sięść do pociągu do Kowna, nie przechodząc kontroli na dworcu wileńskim. To ich litewska kombinacja... — Ale zaraz zmienił temat: — Ty, Leon — wpadł w werwę — chcesz mieć domy? Drapacze chmur w New Yorku? Kapitały? Złoto, majątki, brylanty, skarby, akcje Forda?!... Leica! Aparat! Aparat filmowy! To wszystko sfotografować, sfilmować co tu się dzieje, i sprzedać w Ameryce! Booże...

— I kulę we łbie — dorzuciła Frania.

— I przewieźć samolotem — wzruszył ramionami Leon.

— Po co?! Po wojnie. Wystarczy. Za każdy fotos sto tysięcy dolarów!

— Kto da?

— Jakto, kto?!...

— Poczekaj, ja do ciebie w pilnej sprawie — wstał i pociągnął Stasia na balkon.

Frania patrzyła za nimi mrużąc złe oczy.

— Nie wychodźcie, jeszcze kto strzeli! — zawołała.

Nie zwrócili na to uwagi. Leon wyłożył w kilku słowach sprawę. Sakowicz, okazało się, znał też Andruszkiewicza jeszcze sprzed wojny. Pochwalił zamiar zwrócenia się do Wilenasa.

— W zeszłym roku zajmował u nas cały dół. Kryszałowy człowiek. Ja przez niego dostałem fajną posadę w warsztatach kolejowych. Można było o tak! zarobić na boku! Ale teraz pracuję w HKP. Główny niemiecki park samochodowy. Tam dziś zbiórka naszych... Pfiu! Jeżeli kiedyś będziesz potrzebował wozu... — Zniżył głos i zmrużył jedno oko.

— Dobrze, ale poczekaj. Wracajmy do mojej sprawy.

— Dobra. Ja pisać do niego nie chcę, na wszelki wypadek. Bo jak sobie coś się przytrafi po drodze... Ale powiem tobie adres i dam jego rzecz, którą u nas zostawił. Dawno chciałem odwiedzić i czasu nie było. To już będzie wiedział na pewno, że ode mnie.

— Była to zapalniczka, może nawet srebrna, z inicjałami „J.W.”.

Z tą zapalniczką w kieszeni i ustnym adresem Wilenasa w pamięci, Leon pożegnał się, siadł na rower i nacisnął pedały.

Wyjeżdżając z Ponar drogą dalej od toru kolejowego, zrobił krąg, ale trafił niebawem na ubitą ścieżkę, przemknął mokry w tym miejscu las i wyjechał na skraj pastwiska. Wciąż było pochmurnie. Szelest drożdów w liściastym podłożu olszyny. Dalej trzask gałązek pod raciami przechodzących krów. Raptownie wyskoczył na ścieżkę chłopak, pastuch z długim biczowiskiem wyciętym z jałowca, lat na oko trzynaście. Miał spaloną słońcem twarz, niesforne blond włosy i oczy palące się ogniem podniecenia.

— Panie! Pan może z policji?! Panie... O tam Żyd... Żyd chowa się, o, w tamtych krzakach, rojstach! Leży, raniony zdaje się... — pokazywał wyciągając bicz.

Leon minął go. Gdy zjeżdżał, hamując, w gęsty parów, usłyszał za sobą jego wołanie:

— Ej! Siwaaa!! Ty, kudy?! Kudy ty! Siwaaa!...



Pieniądze, które proboszcz kościoła Wszystkich Świętych wręczył Wulfce od Henryka i te które dodał mu jeszcze z własnej kieszeni były, razem wzięte, małe pieniądze. Przy pewnej energii, na tzw. „pierwszy początek” ucieczki w nieznaną, mogłyby starczyć, gdyby za tym początkiem przewidzieć było można jakiś dalszy ciąg, gdyby coś majaczyło w perspektywie horyzontów.

Ale horyzonty były zamknięte, a wegetacja w piwnicach kościoła odebrała mu resztkę energii i przedsiębiorczości. Zapadał się w sobie. Przestrzeń, kiedyś bez miary stała się ciasna, słońce przed którym trzeba było mrużyć oczy po wyjściu z piwnicy, zdawało się świecić wyłącznie dla ludzi pochodzenia aryjskiego. Z żydowską twarzą nic pod jego promieniami nie począc nawet z dużymi pieniędzmi, a cóż dopiero z małymi. Przychodzi okropny nastrój, gdy stado ludzkie, które jest po to by trutować jednostki, zaczyna wydawać się jedynym jeszcze pozostałym oparciem. I Wulfka, który już nie mógł dłużej wytrzymać zamknięcia w schowku i postanowił uciec, wybrał ucieczkę nie w pola-lasy, gdzie jak mniemał czeka go śmierć samotna, lecz prześliznął się w tłum getta. Źle zrobił. W tym czasie, koło Dziewieniszek, kilometrów stąd nie więcej jak sześćdziesiąt, chodziła banda Żydów w lesie, i wielu z nich się uratowało.

Z tego transportu do Ponar nie uratował się praktycznie nikt. To znaczy, kto się nawet i uratował, ten zginął wkrótce w tych lub innych okolicznościach. Wulfka, trafiony kulą w nogę, gdy spod pociągu wyskoczył na szyny by osiągnąć zbawcze krzaki, mógł biec jeszcze i zamierzał stoczyć się właśnie ze skarpy w zarosła leszczyzny, ale trafiony został boleśnie gdzieś w tył, nie znał swej anatomii zbyt dokładnie: mogło to być w okolice płuc, serca, czy kręgosłupa. Ból promieniował. Udało mu się wszakże stoczyć i później pełzał długo na czworakach; nawet próbował wstawać; później znowu na rękach i kolanach przedzierał się przez krzaki.

Umarł zupełnie samotnie. Bo młody pastuszek zapędził się za krową i zapomniał o nim. Był okropnie obdarty i wymizerowany. Ostatnie co na nim żyło to wszy, które zaczęły złazić z ostygającego ciała. I zdumiał się niebieski dzwonek polny, tuż przy rękawie zabitego, gdy ujrzał pełznącego po swojej łodydze owada niewidzianego dotychczas. A owady miejscowe znał dzwonek polny wszystkie na pamięć.

XLV

Wilenas był docentem filozofii. Jego żona, Daina, nauczycielką gimnazjum, teraz nie istniejącego. Wysłuchawszy Leona, spojrzął na zegarek:

— Dziś za późno. Jutro z samego rana porozumiem się z naszym człowiekiem w Saugumie. Jest on zastępcą Bobrawicziusa.

Leon wiedział o kim mowa. Ale że nie padło nazwisko, więc go też nie wymienił.

— Przypuszczam jednak — ciągnął Wilenas — że dopiero w przerwie obiadowej będzie można z nim rzecz omówić. Sprowadzę go do siebie i zapoznam z panem. Niech pan przyjdzie przed pierwszą w południe do mnie.

— Nie ma ryzyka?

— Odpowiadam.

— Dziękuję.

— Niech pan posiedzi chwilkę. Pan wie, że my właśnie z Andruszkiewiczem rozmawialiśmy niedawno na różne polityczne tematy. Głównie polsko-litewskie.

— Ja nie mam żadnych pełnomocnictw.

— Nie trzeba. Tak sobie, nie obowiązująco.

Leon dawno już nie czuł się tak zmęczony jak w tej chwili. I wysiłkiem fizycznym i przeżyciami tego strasznego dnia. I może właśnie dlatego nie chciał mu się zrywać z wygodnego fotelu, w który zapadł z lubością. Z drugiej strony pomyślał, iż szczerza rozmowa może być też z korzyścią dla sprawy Zygmunta.

— My w rozmowie z Andruszkiewiczem — ciągnął Wilenas — doszliśmy do pewnego punktu. Ale ja powiem panu otwarcie. Mnie interesuje stanowisko w tej chwili nacjonalistów, „endeków” polskich. Czy mógłby pan skontaktować mnie z kimś takim? Zetknęłam się z tajnym memoriałem wysłanym do Warszawy przez tutejszych Polaków federalistów na jesieni ubiegłego roku. Chcą związać Litwę z Polską na trwałe. To zawsze to samo. To nic nowego.

— Nie wiem, czy pan znajdzie we mnie odpowiedniego partnera do rozmowy — odparł Leon. — Byłem zawsze, a już po doświadczeniach okupacji sowieckiej stałem się szczególnym antynacjonalistą. Wy zaś, Litwini, bardziej niż Polacy, wychodzicie z założeń ultra nacjonalistycznych. Nawet wasze stronnictwa lewicowe. Mój zmarły przyjaciel mawiał tak: „Europa ma 540 milionów mieszkańców. Ja widzę w Europie 540 milionów typów ludzkich. A dla nacjonalistów jest tylko siedemdziesiąt typów, według siedemdziesięciu języków mówionych w Europie. To ogromne zubożenie i zacieśnienie człowieka. Dla mnie — mówił mój przyjaciel — 540 milionów ma jedną wspólną cechę polityczną: pragnienie wolności osobistej. Dla nacjonalisty zaś, jest 70 narodów, których celem politycznym jest dążenie nie do wspólnej, lecz tylko do własnej wolności. To utrudnia wspólne działanie, gdy przychodzi wspólne zagrożenie”. Miał wówczas na myśli zagrożenie ze strony międzynarodowego komunizmu.

— Tak, to płaszczyzna zbyt szeroka do dyskusji na chwilę

bieżącą. Nie praktyczna — uśmiechnął się Wilenas, unosząc oczy oprawne w rogowe okulary. — Wyjdźmy na razie z bardziej konkretnej sytuacji, która utrudnia rozmowy polsko-litewskie. Mnie się zdaje, że pierwszym krokiem w dążeniu do suwerenności, jest swoboda w doborze sojuszników. I pewna, jakby to rzec, elastyczność w tym wyborze. Tak też było, gdy nasze państwa powstawały po pierwszej wojnie. A w Polsce zwłaszcza ścierały się różne orientacje, różne koncepcje i tak dalej. Dziś Polska bez reszty, jakby to rzec, zamknęła się sama w klatce jednostronnego sojusznika. W ten sposób dobrowolnie przekreślając swe prawa suwerenne. Pod tym względem my, choć mały narodek, jesteśmy swobodniejsi. Idziemy z Niemcami i przeciw Niemcom jednocześnie. Trudność rozmowy z Polakami polega na tym, że trzeba rozmawiać jednocześnie z całym brytyjskim *commonwealth*.

— A mnie się zdawało odwrotnie. Szczerłość za szczerłość. Że wam, wobec zarysowującej się przegranej Niemiec, chodzi o nawiązanie kontaktu z mocarstwami zachodnimi. A kontaktu takiego nie macie. Więc szukacie przez Polaków.

— Ach! Jakże się pan myli! — Wilenas uśmiechał się często. Miał przyszczatą cerę. Jasne włosy przeważnie w nieładzie. Nos za tłusty. Trochę się zająkiwał w pierwszych słowach zdania. I tylko wielkie, w rogowej oprawie okulary zdawały się utrzymywać jak w klamrach i łączyć w całość twarz z jej rozumnym wyrazem. Jego żona też nosiła okulary; była zażywna; mało mówiła, ale zawsze uprzejma i miła dla gości. Wilenas nie należał nigdy do partii nacjonalistycznej, podkreślał, że skłania się raczej ku lewicy. Leon słyszał o nim kiedyś od Andruszkiewicza, że jest wielkim wrogiem faszyzmu. — Pan bardzo się myli! Mamy wystarczające kontakty przez swoich ludzi. Ale nawet nie o to chodzi. Antyniemiecka koalicja wychodzi przecież z założenia, że wszystkie narody wschodnioeuropejskie, i naturalnie sowieckie, są wrogami Niemiec, a współpracuje z nimi tylko garsteczka zdrajców. Jako Litwa, cieszymy się najlepszą prasą na Zachodzie. — Wstał, poszedł do drugiego pokoju i wrócił wkrótce z maszynopisem na bibułce. — Oto kilka ustępów z artykułu, który ukazał się w londyńskim *Time and Tide* z 24 października 1942: — Odczytał:

„Położenie Litwy jest szczególnie tragiczne... — i tak dalej. — Do małych państw, których przysły statut nasuwa najwięcej wątpliwości, należą trzy państwa bałtyckie: Estonia, Łotwa i Litwa. Nie może być żadnej wątpliwości co do ich nienawiści do niemieckiego panowania, ani co do ich pragnienia pełnej narodowej niepodległości...”

O nienawiści do panowania sowieckiego, jak pan widzi, nie ma ani jednego słowa. A dalej mówi się o „sporadycznych wypadkach” współpracy z Niemcami:

„... albowiem w większości okupowanych krajów znajdują się ludzie, którzy stali się narzędziem zdobywcy przeciwko swym własnym współrodakom”...

— Artykuł ten nie jest ważny, ale jest charakterystyczny. Nie: „... narzędziem w walce przeciwko Sowiетom...”, lecz: „... narzędziem przeciwko własnym współrodakom”... Chwyta pan różnicę istotną? Jest to teza sowiecka: nie ma na wschodzie Europy narodów występujących przeciwko Sowiетom. Są tylko pojedynczy „kolaboranci”. Teza akceptowana została przez mocarstwa zachodnie. O ile wiem, również przez rząd polski w Londynie. Chodzi nam więc tylko, we wspólnym interesie, o odwrócenie, zresztą zgodnie z prawdą kolejności. A mianowicie: „... nienawiść do panowania sowieckiego w całym narodzie, i zagrożenie ze strony sowieckiej, wytwarzają pożałowania godną sytuację w której... znajdują się ludzie, którzy stali się narzędziem zdobywcy niemieckiego”. Mnie się zdaje, że przesunięcie winy i wskazanie na źródło kolaboracji litewskiej, którym jest w istocie strach przed Sowiетami, nie zmienia w niczym zasadniczej postawy Polaków, ale leży chyba w ich interesie politycznym? A nawet wzmacnia ich pozycję wobec mocarstw zachodnich, nie? Zamiast powtarzać za panią matką: wszyscy z wyjątkiem zdrajców, gotowi są pomagać Związkowi Sowieckiemu do zwycięstwa!

Leon poczuł wzrastające w nim zmęczenie. Teraz tylko z dużym wysiłkiem chwycił sens rozumowania Wilenasa. Odpowiedział też tylko na odczepnego:

— Zakłada pan, że źródła polityki tkwią w logice i interesie. Źródła polityki tkwią w emocjach przywódców i nastrojach społeczeństwa. A zresztą...

Przez wpółotwarte drzwi weszła żona Wilenasa, z lekka popychając przed sobą dziesięcioletnią dziewczynkę o jasnych jak ojciec włosach, spiętych na ciemieniu dużą, różową kokardą.

— Panowie ciągle o polityce, ciągle o polityce, ciągle o polityce. Czy nie ma już innych tematów na świecie?

— Ach, takie czasy — Wilenas wstał i przeciągnął się — takie czasy, że nie ma.

— Przedstawiam córeczkę — powiedziała żona.

Leon wstał także i poczuł drżenie w łydkach.

— A jak się nazywa? — zapytał grzecznie.

— Birute, naturalnie — odpowiedział ojciec z uśmiechem.

Leon chciał ją pogłodzić po włosach, ale dla czegoś ujął w palce koniec różowej kokardki na głowie, i niespodziewanie dla siebie pociągnął, rozwiązując. Dziewczynka podniosła zdumione oczy najpierw na matkę, dopiero potem przeniosła wzrok na gościa.

— Przepraszam, czuję się piekielnie zmęczony — zwrócił się do Wilenasa. — Wie pan, widziałem dziś takie straszne rzeczy w Ponarach... — i ciągle jeszcze trzymał w palcach koniec kokardki rozwiązanej na głowie Birute, teraz ku jej przerażeniu i nawet wyraźnemu zaniepokojeniu matki.

— A tak, okropne rzeczy się tam dzieją... — przytaknął Wilenas.

— Więc do jutra, dobrze?

— Może by pan został na herbacie? — spytała Wilenasowa, ostrożnie wyciągając mu z palców koniec wstążeczki i zabierając się do zawiązania jej w ponowną kokardkę.

— Dziękuję, doprawdy jestem za zmęczony. Czy mógłbym tylko swój rower zostawić tutaj, bo czuję że nie dam rady kręcić nogami.

— Naturalnie, proszę, proszę — zgodził się Wilenas. — I dziękuję za zwrot zapalniczki.

XLVI

— W Boga można tylko wierzyć — powiedział przeor o.o. Bonifratrów do pani Janiny Narkowskiej. — Wszelki inny stosunek do Boga jest bałwochwalstwem, który świadczy, że w gruncie w Niego się nie wierzy. Tak samo, jak wymagania Mu stawiane. Wszystko na świecie się zmienia, i zmieniać się muszą ci, którzy Jemu służą. Tylko Bóg się nie zmienia. I ci co Jemu służą, nie potrzebują brać udziału w ziemskim wyścigu zrozumienia Jego woli. Stanie się, jak On postanowił.

W powietrzu była naiwność poranku, który nie wie jeszcze co przyniesie dojrzały dzień. Łagodność rozpraszających się chmur, które ocierały lży nocnego deszczu. Leon śpieszył się, aby zdać „Pułkownikowi” relacje ze swoich wczorajszych poczynań. Zastał go sztywno kroczącego z kąta w kąta na ciężkich, z lekka pałkowatych nogach. Skóra na policzkach drgała od zaciskanych zębów. Przywitał Leona słowami:

— Wczoraj badano „Andrzeja” w Gestapo. Wrócił ze śledztwa do celi... czarny. — I podjął swój spacer po przekątnej pokoju.

Leon zatrzymał się bezradnie.

— To pewna wiadomość?

— Już mamy tam dobrych informatorów — odpowiedział niechętnie. — A co pan zrobił?

Leon opowiedział krótko. „Pułkownik” nie rozjaśnił twarzy.

— Świącicki nic na razie nie zrobił, czy zrobić nie mógł. — Wyjął staroświecki zegarek i sprawdził godzinę. — „Gruby” nie zastał tego Pożęłasa. Pójdzie dziś jeszcze. Wygląda, że jedyna nadzieja na pańską dzisiejszą rozmowę. I jeżeli Piaseckiemu uda się w czas...

— Pech. Kurczyńska całą kasę wpakowała w jeden interes i ja nagle zostałem zupełnie bez grosza. A może trzeba będzie stawiać wódkę.

— Naturalnie. — Sięgnął, przeszukując kieszenie. — Co u diabła! Zaraz. — Wyszedł i zaraz wrócił. — Pani Narkowskiej akurat nie ma. Pewnie znowu poleciała do kościoła. Ale niech pan idzie spokojnie. Adres?... Acha, mam. Ja panu przyniosę przed pierwszą osobiście.

Leon poszedł wcześniej. Przed pierwszą nie przyszedł nikt. O pierwszej punktualnie dał się słyszeć dzwonek w przedpokoju Wilenas. Gospodarz otworzył drzwi, i w progu stało dwóch panów: zastępca szefa Saugumy i zastępca komendanta AK. Jeden drugiemu uprzejmie ustępował pierwszeństwa w progu. Leon przemknął się w ciemnym przedpokoju i szybko wziął zwitek z garści „Pułkownika”, wsadził do kieszeni.

— To do mnie — wyjaśnił. „Pułkownik” zbiegł schodami.

— Acha, ach... — przytaknął Wilenas w roztargnieniu. Był wyraźnie podniecony sprawą, którą mieli omawiać.

Gdy zasiedli w fotelach, zagaił:

— Im bardzo zależy... — I zwracając się do Leona: — Niech pan mówi.

Leon zaczął dłużej od końca:

— Wczoraj człowiek ten był badany. I mamy wiadomość, że z badania wrócił „czarny”...

— Aaa, to źle. To bardzo źle — powiedział młody, bezbarwny gość, równym, bezbarwnym głosem. — Wiem o kogo chodzi. Nie jest w naszej kompetencji, i nie był. Był od początku w niemieckim Gestapo. Dalej nie słyszałem. Jeżeli teraz pan mówi, że wyszedł „czarny”, to znaczy że sprawa jest beznadziejna. Zbitych „na czarno” już się więcej nie wypuszcza. To pewny znak, że koniec.

Wilenas poruszył się niespokojnie na fotelu. Tamten poczuwał się widocznie do obowiązku niejakiego zaokrąglenia poprzednich wyjaśnień, i dodał:

— Spróbuję jeszcze się dowiedzieć. Ale my nie mamy prawa

wkraczać w sprawy nie przekazane nam z góry. Nie chcę ludzi.
Nastało milczenie.

„Czy to jest wszystko co można jeszcze w życiu zrobić dla Zygmunta Andruszkiewicza, zbitego już „na czarno”?... Leon nie wiedział. Czuł suchość w ustach, nie chciało mu się mówić. Przemógł się, wytarł spieczone wargi i zaproponował pójście na wódkę.

— Dlaczego: „pójść”?! — wtrącił Wilenas. — U nas zaraz obiad, przy obiedzie sobie łykniemy.

— Nie, ja nie piję — odpowiedział spokojnie gość. — Dziękuję, ale umówiłem się na obiad. Muszę się nawet śpieszyć.



Henryk dopiero trzeciego dnia dowiedział się, że Pożęłasa nie tylko nie ma, ale i nie będzie. Jego żona, która dała uprzednio wymijającą i niedefinitywną odpowiedź, wyznała mu nagle, że: „mąż nie powróci. Rozstali się. Uciekł z inną”.

— Widzi pan — powiedziała — ja jestem ciemna, a tamta była blondynką.

— Była?

— Jest.

Henryk zauważył raczej niefrasobliwą intonację w tonie tego wyznania, zrobionego wprawdzie na smutno-poważny sposób, ale nie przekonujący. Nie uwierzył jej. Domyślił się, że „Leśniczy” wkopał się w jakąś niebezpieczną grę, znikł, i wymyślili oboje wersję, która by asekurowała żonę. Ale że go nie było ani w domu, ani w mieście, to zdawało się nie ulegać wątpliwości.

— Ma człowiek szczęście do kobiet — powiedział na pożegnanie.

Na wieży katedralnej wybiła czwarta po południu. Wracał przez ogród miejski, wybrał zaciszną ławkę i siadł w cieniu, skrzył papierosa. Przyglądał się sylwetce, która zdawało się szła za nim w dużym oddaleniu. A teraz zbliżyła się wolno aleją między kasztanami: w czapce zsuniętej trochę na oczy i w starym kurzowcu. Coś jakby znajomego... Tak, to był Piasecki. Bez przywitania usiadł obok na ławce.

— Można powiedzieć, że uratowałem panu życie.

— Mnie? Dziękuję. W jaki sposób?

— No, nie tak znowu bezpośrednio. Ale, zawsze mogło się zdarzyć.

— Skąd pan mnie tu znalazł?

— Widziałem, jak wchodził pan do parku. Pan wie, gdzie „Andrzej” wymyślił ukrywać najważniejsze papiery, dokumenty,

korespondencje i inne rzeczy? U siebie w litewskim biurze, tak zwanej „apylince”. Po prostu w szufladzie swego biurka. Może to i dobry pomysł. Ale według mnie zły. Pierwszego podejrzenia nabrał „Grzmot”.

— Nie znam.

— Ten sam, „Pułkownik”. Gdy nie znalazł w skrytce na Kalwaryjskiej. — I Piasecki opowiedział niezwykłą historię włamania którego dokonał, w biały dzień świąteczny, gdy nikogo nie było w biurze. Przeszukał szuflady i uratował cały kompromitujący materiał. W masce, z pistoletem w kieszeni, sam jeden. Henryk słuchał z napięciem, ale bez tej spokojnej emocji jaką się odczuwa przy czytaniu historii kryminalnej, czy oglądaniu filmu. Zbyt wielkie było zbliżenie ekranu do rzeczywistości, aby mogło dawać wrażenie literackie. Życie widziane nie oczami sztuki, lecz oczami życia, jeżeli nawet nie wygląda inaczej, inne wywołuje skojarzenia uczuciowe. — I między innymi — ciągnął Piasecki — był tam pana długi „memoriał”, i zresztą jeszcze notatki pana dotyczące. Gdyby to znaleziono...

— Dziękuję — powtórzył Henryk.

— Dziś rano przeczytałem ten pański memoriał, nie mając nic lepszego do roboty. Bardzo mi się spodobał. — Powiódł wzrokiem po pustej alei. W spojrzeniu jego było też coś z pustki. — Teraz pozostaje najważniejsze, żeby mu dać znać do więzienia, że nie ma żadnych dowodów przeciwko niemu. Reszta od niego zależy.

— Ciało ma słabe.

— Ale potężną wolę.

— Kto to zrobił? Domyśla się pan?

Piasecki nie odpowiedział. Dopiero po dłuższym milczeniu, gdy Henryk sądził, że nie odpowie wcale, odezwał się:

— „Grzmot” mówi, że dla niego to wszystko „zagadkowe, podejrzone, trudne do zbadania”... Dla mnie to wcale nie jest zagadkowe. Wystarczył pisemny donos anonimowy do Gestapo, i już. A kto go napisał? Czasem nie chcę się nawet domyślać. Czasem nie zawsze bezpiecznie jest się domyślać. — Umilkł. Henryk spozjrzał nań zezem i przez chwilę zdawało mu się, że ascetyczny profil tamtego tworzy jakby centralny punkt sceny dla gry świateł i zielonych cieni, padających od liści nad nimi. Nagle Piasecki dodał: — „Andrzej” był moim przyjacielem.

— Mhm. Mówił mi o tym. Osobiście krótko go znałem. Podczas okupacji sowieckiej przebywał gdzieś na Kowieńszczyźnie? Ale niech mi pan powie. Pan, słyszałem, zastrzelił Ancerewicza z *Gońca Wileńskiego*, i to jeszcze w kościele św. Katarzyny...

— W kruchcie.

— Nie ważne. Ale czy nie można w ten sam sposób powystrzelać trochę tych którzy służą bolszewikom? Chętnie bym panu w tym pomógł.

— Cenię to. Ale się nie podejmuję. Na to trzeba by nie paru pistoletów, a całej kompanii ciężkich karabinów maszynowych.

— O ile wiem, zapadają też jakieś „wyroki” podziemne i przeciwko nim.

— Myślę, że *pro forma*. Przeważnie w stosunku do ludzi, którzy są nieosiągalni i bezpieczni. Andruszkiewicz, zapewne pan wie, chciał właśnie coś pozytywnego robić. A ja mam wrażenie, można co najwyżej umyć ręce od roboty negatywnej.

Henryk, częstym zwyczajem ludzi siedzących na ławkach ogrodowych, cofnął ramiona i wsparł łokcie na tylnym oparciu, wyciągając jednocześnie nogi przed siebie. Trwali jakiś czas w milczeniu. Szczebiot wróbli nie ustawał.

— Być może ma pan rację — odezwał się Henryk. — Być może. Jeżeli nadchodzą czasy, powiedzmy, gdy umycie rąk przed tłumem uchodzić będzie za odwagę. W których Piłat, powiedzmy, okazać się może symbolem odwagi osobistej. Kto wie, czy nie bohaterem powieści. — Powiedział to w szczerym zamyśleniu, na wpół do siebie, choć z intonacją gorzkiej ironii.

Ale Piasecki, możliwie, poczuł się dotknięty tym skojarzeniem myślowym, albo uważał ten rodzaj rozważań za nieprodukcyjną stratę czasu, gdyż wkrótce potem wstał bez słowa, pożegnał ledwo dostrzegalnym kiwnięciem głowy i rozpląnął się w swym wytartym kurzowcu wśród ścieżek i liści parku.



Istniał po prostu zakonspirowany ktoś, od kogo musiały pochodzić te konkretne informacje z kazamatów Gestapo. Nikt, naturalnie, nie pytał. Na umówioną godzinę, tym razem do konspiracyjnego mieszkania przy ulicy Jagiellońskiej, stawilo się kilku ludzi, między innymi „Radwan”, Henryk, Leon. Henryk był tam po raz pierwszy. „Pułkownik” z wyraźnym wysiłkiem, aby uniknąć patosu w głosie, powiedział:

— Wczoraj rano „Andrzej” powiesił się w celi na własnych skarpetkach.

Milczenie. „Pułkownik” odchrząknął:

— Zapewne obawiał się, że nie wytrzyma kolejnego badania. Nikt się nie odezwał.

— Koledzy, którzy mieli z nim bezpośrednio do czynienia,

mogą być spokojni — podjął „Pułkownik”. — Nasz kolega „Andrzej” żył i zginął jak bohater. Cześć jego pamięci.

Kilku powstało z miejsc. Za nimi, ociągając, reszta.

— Nie chcę tu wpaść w patos — ciągnął „Pułkownik” wpadając w patos — ale walka z okupantem toczy się dalej, koledzy. Na śmierć i życie. Z każdym okupantem ziemi polskiej. To było właśnie dewizą „Andrzeja”. Bez względu na straty, walczyć będziemy do końca.



Niezadługo po tych zdarzeniach Halina mówiła do Henryka:

— Jak ja bym chciała, jakbym strasznie chciała, raz jeszcze nie być na tej ziemi nienawiści.

— O jakiej ziemi mówisz?

— O Grauzyszkach. Litwini złapali tam jakiegoś z naszej partyzantki. Położyli w chacie, na ławie, wzięli tępą piłę i przepiłowali w poprzek.

— Właśnie, tępą?

— To niedaleko Dziewieniszek.

— Ty skąd pochodzisz, właściwie? My się tak znamy, że nie było czasu nigdy o to zapytać.

— Stąd. Z babuni-prababuni.

— Powiadają, że w Jugosławii o wiele gorzej niż u nas. To nie ważne: nienawiść. Ty w ogóle, w Boga wierzysz?

— Ach!... — odwróciła się plecami.

Za oknem był wciąż ten sam widok: róg na czerwono pomalowanego domu, dziś o wypłowiałej już farbie. Właściciel jego, Kinkulkin, był w getcie. Albo leżał już w Ponarach. Dachówki domu poczerniały. Rynna w tym miejscu trochę obwisła. Teraz okno otwarte było z okazji ciepła. Szyba zalepiona kawałkiem papieru, górnym rogiem odbijała zachód słońca. Ktoś tam mieszkał. Też pewnie czekał na koniec wojny. Ktoś wymyślił odpowiedź na stereotypowe: „Kiedy wojna się skończy?” — „Kiedy nas nie będzie”.

Czas mija, wszystko się zmienia. Zapadnie zmierzch i okno w narożnym domu się zamknie. Hala odczuła może po raz pierwszy, że pod wpływem czasu może się zmieniać charakter człowieka.

Raptem dał się słyszeć na schodach stuk lekkich obcasów, prędko, coraz wyżej, już pod drzwiami, i do pokoju wpadła zdyszana Jadzia. Letnie pantofle na bosych nogach pokryte były kurzem. Kosmyki włosów przyklejone potem do skroni.

— Jadzka! — zawołała Halina na jej widok — co się stało?!... — I nagle, bezwiednie, zaczęła rozwiązywać z tyłu końce fartucha.

XLVII

Prawdy wówczas nie znano. Wcale nie było tak źle z Niemcami, jak to od dawna już przepowiadano, a klęskę ich pod Stalingradem przyjęto za ostateczne przypieczerowanie przegranej. Właśnie po klęsce stalingradzkiej nastąpił nieoczekiwany zwrot, który na froncie zmagających militarnych przechylił znacznie szalę na korzyść armii niemieckiej.

Stalingrad nie był decydującą klęską wojsk niemieckich. Był tylko powstrzymaniem ich pochodu na wschód, i przekreśleniem dalekosiężnych planów Hitlera. Decydującą klęskę zamierzał Stalin zadać dopiero znad Dońca. Gdy po rozproszeniu słabych zasłon mieszanych wojsk rumuńskich, włoskich i węgierskich na tym odcinku, otworzyła się groźna dla Niemców luka, dowództwo sowieckie postanowiło rzucić w nią potężne siły celem otoczenia i zniszczenia wszystkich armii niemieckich na południu. Jedno uderzenie miało iść w kierunku na i za Dniepr, w głębokie obejście; drugie wprost na południe, na przecięcie do Krymu; trzecie wiązać od wschodu, tzn. od Rostowa i na całym odcinku wzdłuż rzeki Mius. W ten sposób zupełnemu zniszczeniu miałyby ulec niemiecka grupa „Południe” na Ukrainie, dowodzona przez feldmarszałka von Mannsteina, oraz grupa wojsk „A”, feldmarszałka von Kleista, trzymająca jeszcze przyczółek Kerczu i półwysep krymski. Tym samym prawe skrzydło niemieckiej grupy „Środek” znalazłoby się w powietrzu i w rezultacie załamać by się musiał cały niemiecki front wschodni. Tak planował Stalin.

Dnia 6 lutego 1943 von Mannstein uzyskał od Hitlera zgodę, po raz pierwszy w kampanii wschodniej, na operacyjny odwrót. Wojska niemieckie porzuciły umocnione stanowiska i poczęły się cofać. Gdy wiadomość o tym dotarła do Moskwy, zapanowało tam radosne podniecenie.

.....

Cały kraj okupowany przez Niemców przetkany był gęstą siecią agentów sowieckiego wywiadu i wtyczek w tyłowe organizacje niemieckie, według skrupulatnie opracowanego schematu: kie-

rowniczą rolę na poszczególnych obszarach pełnił „podziemny obkom” (Obłastnoj Komitet) Partii; podlegały mu bezpośrednio z jednej strony podziemne organizacje miejskie, z drugiej „podziemny rajkom” (Rajonnyj Komitet) Partii, kontrolujący tereny wiejskie, i zarazem utrzymujący kontakt z oddziałami partyzantkami. Wszystko to gromadziło materiał wywiadowczy, przekazywany przez tajne nadajniki radiowe. Niezależnie od tej stałej sieci szpiegowskiej, działał wzdłuż pasa frontowego płytki wywiad wojskowy i lotnictwo zwiadowcze. Dalej pracował głęboki wywiad, nie tylko na tyłach czynnej armii niemieckiej, ale wewnątrz Niemiec i całej okupowanej Europy, którego główna centrala mieściła się w Szwajcarii. — Wkrótce wszystkie te źródła potwierdziły zgodnie wiadomość o gwałtownym odwrócie wojsk niemieckich.

Teraz należało działać szybko, aby nie dać Niemcom ująć spod wzniesionej nad nimi pięści! Generał-major Charitonow otrzymał rozkaz, aby pchnął swą 6-tą armię znad Dońca na Pawłograd, Sinielnikowo, i opanował Dniepropietrowsk i Zaporozże na Dnieprze. Jednocześnie pancerna grupa generała Popowa, w składzie czterech korpusów i dwóch samodzielnych brygad pancernych, oraz brygady narciarzy i trzech dywizji piechoty, uderzyć miała na Krym i przeciąć odwrót niemiecki. Dnia 11 lutego jest już prawie w pół drogi i osiąga Krasnoarmiejskoje. Dnia 18 lutego 150 czołgów, idących w straży przedniej 6-tej armii Charitonowa, zbliża się do Sinielnikowa; dzieli ich już tylko 60 km od Dniepru a 100 od Zaporozża.

Agent szwajcarski, Rudolf Rössler, pracujący pod kryptonimem „Lucy”, najpewniejsze źródło sowieckiego wywiadu, donosi w depeszy nr 284 z 16 lutego:

„...Po niemieckiej stronie wszystko jest w stanie zupełnej rozsyпки i uchodzi na oślep, porzucając artylerię i amunicję. Niemiecki plan regularnego odwrotu nie udał się, wskutek zupełnego rozpadnięcia ich armii. Oczekuje ich katastrofa, która wielokrotnie przekroczy straty pod Stalingradem...”

W depeszy nr 291 z 17 lutego:

„Po osiągnięciu przez wojska sowieckie Krasnoarmiejska, cały wysiłek niemiecki skierowany jest na ratowanie się za Dniepr”.

W depeszy nr 307 z 21 lutego:

„Skutki załamania niemieckiego nad Dońcem, oceniane są w OKW jako katastrofalne. Przewiduje się tu utratę czterdziestu dywizji, w tym połowę wszystkich dywizji pancernych jakie Niemcy posiadają...”

Identyczne informacje nadchodzą też bezpośrednio od agentów

w terenie. Ważnym potwierdzeniem tej oceny sytuacyjnej jest opuszczenie 15 lutego Charkowa przez dywizje SS. Wprawdzie Hitler zakazał opuszczania Charkowa, ale generał Haussner, dowódca pancernego korpusu SS, zakazu tego nie usłuchał. O tym w głównej kwaterze sowieckiej nie wiedzano, a gdyby się dowiedziano i tak by nie uwierzono. Dla strony sowieckiej było jasne, że skoro nawet SS zdecydowało się na utratę takiego punktu *prestige*'owego jakim był Charków, oznacza to że Niemcy uchodzą na całej linii.

Tymczasem wszystko było odwrotnie. Generał von Mannstein, uzyskawszy częściowo wolną rękę od Hitlera postanowił, bez jego wiedzy, wykorzystać ją nie częściowo a w pełni. Nie było mowy ani o odwrocie, jak to widział wywiad sowiecki, ani o kurczowym trzymaniu się punktów oporu, jak tego chciał Hitler.

7-ma pancerna dywizja niemiecka, markując odwrót ze Sławińska, obesła potężną grupę gen. Popowa: od frontu, na Krasnoarmiejskoje, uderzyły oddziały holenderskich i skandynawskich ochotników dywizji „Wiking”; zaś 11-ta dywizja pancerna wdarła się w grupę Popowa od wschodu, przecinając ją w pół. — Dnia 18 lutego Popow nadaje do sztabu „południowo-zachodniego frontu” alarmującą depeszę: „Wszystkie koła stoją. Jesteśmy odcięci od zaopatrzenia”. — Dowódca frontu, generał Watutin, oddepeszowuje, iż są to ostatnie, rozpaczliwe próby kontrataków ze strony Niemców. Sztab frontu posiada o tym dokładne informacje na podstawie meldunków wywiadu. — W nocy na 21 lutego Popow nadaje rozpacziwą depeszę, prosząc o pozwolenie cofnięcia całej grupy. — Watutin odpowiada: „Nie! Atakujcie dalej na całej linii! Według zupełnie pewnych informacji, wróg jest w odwrocie. Nie dopuścić do tego, aby uszedł za Dniepr!” — O świcie tegoż dnia, zastępca szefa wydziału operacyjnego, generał-porucznik Bogoliubow, telefonuje z głównej kwaterze o położeniu ogólnym:

„Przeciwnik znajduje się w pełnym odwrocie. Wojska Watutina robią doskonałe postępy. Prawe skrzydło jest daleko za Pawłogradem. Że lewe, pancernej grupy Popowa jeszcze wisi w tyle, tłumaczy się tym tylko, że nie dość energicznie atakuje”.

Tymczasem już 19 lutego, wycofane z Charkowa pancerne dywizje SS gen. Haussnera, uderzają we flankę przednich oddziałów 6-tej armii sowieckiej od zachodu, a 17-ta i 6-ta dywizje generała von Knobelsdorffa, od wschodu. Wysunięty daleko w kierunku Dniepra sowiecki korpus 25-ty pancerny, zostaje odcięty. Zaskoczony dowódca korpusu nadaje drogą radiową depeszę do sztabu 6-tej armii: „Co mam robić?” — Dowódca armii, gen.

Charitonow, odpowiada: „Trzymajcie się rozkazu. Uderzajcie dalej na Zaporozże!”

Charitonow wie co mówi. Bo ma w ręku depezę, jaką otrzymała akurat główna kwatera sowiecka od szefa sztabu „południowo-zachodniego frontu”, generała Iwanowa: „Co tylko nadeszłe wiadomości potwierdzają, że przeciwnik na całej przestrzeni pomiędzy Stalino i Prokowskoje znajduje się w pełnym odwrocie na Zaporozże”. — Ten „przeciwnik”, to są dywizje 40-go i 48-go pancernych korpusów Mannsteina, które znajdują się akurat w pełnym ataku...

23 lutego „grupa Popowa” zostaje definitywnie otoczona. Tegoż samego dnia Stalin depezuje do Watutina, zapytując go, czy osiągnął już Dniepr? — Dopiero 24 lutego, dowództwo sowieckie zaczyna sobie uprzytamniać, że działało w zgoła fantastycznej sytuacji, od początku wprowadzone w błąd przez własny wywiad. Ale jest już za późno.

28 lutego „grupa Popowa” zostaje rozbita i przestaje istnieć, tracąc 251 czołgów. W kilka dni później zniszczona zostaje 6-ta armia sowiecka, tracąc 615 czołgów, 400 armat, 600 ppanców, około 100 tysięcy zabitych, ale tylko 9 tysięcy jeńców... — Dnia 15 marca Charków zostaje ponownie zajęty przez Niemców, a broniące go resztki 3-ciej pancernej armii generała Rybałko zniszczone. 69-ta armia sowiecka rozbita. Łączne straty sowieckie: pięćdziesiąt dwie dywizje i brygady, w tym dwadzieścia pięć brygad pancernych, przestało istnieć.

18 marca Niemcy zajmują Biełgorod. Front sowiecki jest praktycznie rozerwany w samym środku. Klęska stalingradzka powetowana przez Niemców z pewnym naddatkiem.



... Otworzyć okno, za zimno; nie otworzyć, można się zadusić w tej chacie, we wsi Kiszczewka, wiele tam kilometrów od Barwenkowa nad Dońcem. Zmęczenie jest większe niż wszystko na świecie. Śniegi po kolana.

... O świecie zaczęła się odwilż. Teraz kapie ze strzechy. Ludzie wchodzi do chaty z górami śniegu przyklejonymi do butów. Od tego paruje wilgocią, jest jeszcze smrodliwiej; trąci mokrą skórą, mokrym płaszczem, przepoconym brudem, i właściwie śmierdzi mokrym psem. Tylko czarny kot pod ławką pewnie jest suchy.

... Kto wyjdzie z chaty za swoją potrzebą tego, po zatchłej duszności, uderza w płuca ogrom powietrza; niebo prześwieca

na wschodzie żółtością bursztynu, pomiędzy wlekącymi się cielskami chmur o barwie gotowanego grochu. Połączenie snu, powietrza i zmęczenia, czyni człowieka prawie pijanym. Tuż leży w mokrym śniegu zastygła twarz sowieckiego tankisty... Przez otwarte drzwi wypadł kot i szmyrgnął w rupiecie rozbitych granatami chlewów... Szklane oczy tankisty obserwowały chmurę. Chmura zmieniała trochę kształt. W górze musiał być wiatr.

... Raptowna wiosna, przez ludzi niesprowadzona. Z jednakim niepokojem przyjęta po obu stronach frontu.

... W dwa dni później zamieniła ziemię w roztopę. Patrzyły one wodnistymi okami w niebo, nieruchomo, jak właśnie patrzą trupy, albo bardzo jeszcze małe dzieci, w nieświadomości swej nie mrużąc i nie mrugając powiekami. Za kołchozem „Krasnyj Oktiabr”, czyli za wsią Mała-Bogoliubowka, stało na drodze od rzeczki Mszy aż do Czugajewa, jeden za drugim, pięćdziesiąt czołgów 6-tej niemieckiej pancerniej, wkopanych w błoto, i lał deszcz. Żołnierze pod namiotowym przykryciem palili papierosy w mokrym powietrzu. Dym nie szedł w górę, lecz rozpełzał się w oceanie wilgoci.

... Ale nie zmiana pogody zdecydowała o dalszym przebiegu wypadków.



Mannstein chciał wykorzystać zwycięstwo celem obejścia i zniszczenia armii sowieckich centralnego frontu, zmasowanych w wybrzuszeniu Kurska. Nalegał na natychmiastowe uderzenie od Biełgorodu z południa i od Orła z północy, jednocześnie. Niespodziewanie Hitler odłożył dalszą ofensywę na sto jedenaste dni.

Operacja pod kryptonimem „Cytadela” rozpoczęła się więc 5 lipca, o godzinie 3.30 nad ranem. W zupełnie odmiennych niż wiosną, okolicznościach.

Była to największa koncentracja w wojnie niemiecko-sowieckiej. Sowiety zmasowały 54 dywizje piechoty, 12 korpusów pancernych, 16 zmechanizowanych brygad. Łączna siła niemiecka wynosiła 42 dywizje, w tym 2.000 czołgów i 1.800 samolotów (tzn. tylko o 30 mniej, niż wynosiła cała flota powietrzna niemiecka przy rozpoczęciu kampanii 1941). Od północy uderzyła 9-ta armia niemiecka pod dowództwem generała Modela na „Centralny Front” sowiecki, dowodzony przez generała Rokossowskiego; od południa 4-ta pancerna armia Mannsteina na „Woroneżski Front” Watutina.

Mimo początkowego powodzenia wojska niemieckie nie zdołały przełamać obrony sowieckiej. Lewe skrzydło gen. Modela zawisło w tyle, utknąwszy przed Mało-Archangielskiem, bronionym zaciekle przez 18-ty gwardyjski korpus sowiecki. Południowe uderzenie von Mannsteina doprowadziło do rozbicia 6-tej gwardyjskiej armii sowieckiej. Niemcy osiągnęli Prochorówkę i koło Bogorodiskoje przekroczyli z częścią czołgów rzekę Psioł. Mówiono później, że generałowi Watutinowi znacznie utrudniał dowodzenie jego politruk frontu, niejaki Nikita Siergiejewicz Chruszczow, który mieszał się do rzeczy o których nie miał pojęcia, rozjeżdżał wzdłuż frontu, a nawet sam wydawał rozkazy, na co zwłaszcza uskarżał się dowódca 1-szej sowieckiej armii pancernej, generał Katukow. W rezultacie jednak, kontruderzenie 5-tej gwardyjskiej piechoty i 5-tej gwardyjskiej pancernej armii zahamowało dalszy postęp Mannsteina. Pod Prochorówką rozegrała się największa pancerna bitwa świata. Czołgi obydwóch stron, dowodzone z jednej strony przez generała Rotmistrowa, z drugiej przez generała Hotha, walczyły tu prawie „wręcz”...

Dnia 10 lipca, wojska angielskie, kanadyjskie i amerykańskie wylądowały na Sycylii.

13 lipca Hitler, zdenerwowany tą wiadomością, rozkazał przerwać operację „Cytadela”. Wojska niemieckie, nie mogąc utrzymać się na zdobytych już pozycjach, zmuszone były wycofać się na stanowiska wyjściowe sprzed tygodnia.

Była to bitwa nie zdecydowana, która zdecydowała o dalszym militarnym losie kampanii. Pod Kurskiem, a nie pod Stalingradem, przełamana została wojskowa przewaga niemiecka. Przechyliła się szala i odwróciła karta.



O dzień wcześniej, 12 lipca, pięć armii sowieckiego „Zachodniego Frontu”, a dnia następnego osiem armii „Briańskiego Frontu”, zaatakowały z tyłu i z flanki, niemieckie zgrupowania pod Orłem. 3 sierpnia, sześć armii „Centralnego Frontu” przeszło do natarcia na odcinku Sumy-Achtyrka. W dwa dni później dziewięć sowieckich armii „Woroneżskiego Frontu” wsparło je natarciem na Charków, poparte 13 sierpnia przez uderzenie czterech armii „Stepowego Frontu”. 15 sierpnia rozpoczęła się ofensywa „Kalininowskiego Frontu” na Jelnię i Smoleńsk, a 17 na Wieliz. Tegoż dnia na południu uderzyły cztery armie „Południowo-zachodniego Frontu” w dawnym kierunku od Dońca na Dniepr. 20 sierpnia pięć sowieckich armii „Południowego Frontu” przeszło do natar-

cia na całym odcinku rzeki Mius. A w dwa dni później, na przeciwnym, najbardziej północnym krańcu, pięć armii „Leninградzkiego Frontu” uderzyło w ogólnym kierunku na miasto Mga.

XLVIII

Zanim do tego doszło, w początkach czerwca wrócił do Berlina z południowego frontu — gdzie miał jakoweś tajne zadania do spełnienia — Hans Müller, i wstąpił do willi przy Viktoriastrasse 10. Opowiadał o groteskowym wprost zawodzie, jaki sprawił Sowiecom ich własny wywiad. Wywiązały się na ten temat nawet ciekawe dyskusje. Tak na przykład, Anton Panisienko gotów był przyznać, iż aureola wszechprzenikania, którą otacza siebie szpiegostwo sowieckie od wczesnego GPU, jest tylko legendą.

— Ale właśnie ta legenda — mówił — jest celem samym w sobie, ważniejszym niż istotne przenikanie. Legenda bywa rzeczą o wiele potężniejszą od prawdy. Legenda infiltracji komunistycznej nie jest fanfaronadą, lecz mechanizmem precyzyjnej taktyki. Jest rodzajem hipnozy, obliczonej na sparaliżowanie woli przeciwnika. Nie ulega jej ktoś, kto walczy otwarcie. To znaczy, dopóki nie znajdzie się w położeniu medium. W Sowietach wszystko jest przymusem, a już legendy w pierwszym rządzie. W środowisku zmuszonym wierzyć, że co drugi człowiek jest donosicielem, każdy kto może, ratując siebie, staje się sam donosicielem. Przy tym nie chodzi o prawdziwość doniesienia, a o doniesienie samo. W ten sposób 90 procent doniesień nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Ale też komunistom wcale nie zależy na rozpoznaniu rzeczywistości, lecz na rozbudowaniu donosów. Jest to więc świetna szkoła, jeżeli chodzi o unicestwienie wzajemnej ufności między ludźmi i wszelkiej konspiracji antykomunistycznej. Ale, oczywiście, fatalna, jeżeli chodzi o rzetelne informacje. Dlatego wywiad sowiecki jest, obiektywnie biorąc, gorszy od każdego innego.

Müller słuchał go z nogą przerzuconą przez nogę, wachlując się czapką. Inni oponowali. Jak zawsze, gdy chodzi o spreycyzowanie rzeczywistości sowieckiej, każdy miał inne zdanie, gdyż każdy kto ją przeżył, przeżywał na swój sposób.

Z drugiej strony, Anton, który pozostał antykomunistą z głębokiego, zdawało się, przekonania, odczuwał w ostatnich czasach zachodzące w nim jakby rozdwojenie. Owszem, w rozmowach

prywatnych przyznawał, że nawet w ustroju hitlerowskim można między sobą o wiele swobodniej mówić, niż to było kiedykolwiek możliwe w ustroju komunistycznym. Godził się chętnie z argumentem, że Niemcy hitlerowskie to jeszcze nie „Zachód”, że poza tym warunki wojenne nie pozwalają na przeprowadzenie ścisłego porównania i z wielu tego rodzaju słusznymi uwagami. Ale, czy to pod wpływem pół niewoli w jakiej się znajdował, czy wobec tępej propagandy, zarozumiałości zwierzchników niemieckich, czy organicznej niejako wyższości, jaką okazywali względem wszystkiego co dotyczyło Europy wschodniej, budził się w nim coraz częstszy sprzeciw. Stykał się, bywało, z oficerami, którzy mieli dużo zrozumienia, ale jednocześnie mimo swej wiedzy i dobrej, zdawało się, woli, nie potrafili pozbyć się jakby pobłażliwo-lekceważącego nastawienia. Zdawało się, że w końcu respekt odczuwają wyłącznie dla wschodniej „Dampfwalze”, dla materialnej i ludzkiej ilości.

Ten sprzeciw w Antonie, był bardziej odruchowej niż rozumowej natury. Ale nieraz już przyłapywał siebie na przeprowadzaniu porównań, które wypadały na korzyść Sowietów. Przyłapywali go też na tym i inni.

— Ty co, Panisienko — klepali go po ramieniu — zmieniasz filozoficzne wiechy?

— Nie. Korzystam z wolności porównań, z której nie mogłem korzystać w Sowietach. A wczoraj, na przykład, nasza mnie taka refleksja: wszyscy sobaczą i kpią z sowieckiego „sorealizmu”. Naturalnie, jest on wielkim łgarstwem. Nie ma ani takich ludzi, ani takich okoliczności, jak to się przedstawia w literaturze, która przechodzi przez jednostronne, powiedzmy sobie: subiektywne sito partii. Zgoda. Ale z drugiej strony, zastanawiam się: każde przedstawienie w literaturze może być tylko subiektywne. Bo czy to, które przechodziło przez sito mózgu kilku, czy kilkunastu indywidualnych pisarzy, klasyków, nie było też tylko tą prawdą, jaką chcieli widzieć? Czy Dostojewski, Tołstoj, Czechow oddawali prawdę ludzi i Rosji, czy tylko własny pogląd na ludzi i na Rosję? A weź, że na tym uczyły się pokolenia. A „zagranica” znała prawdę o Rosji dosłownie tylko z kilku, na palcach wyliczonych, pisarzy. I czy tak nie jest wszędzie na świecie? Pięć, dziesięć znakomitych indywidualności. Ale czy prawdziwa-prawda nie może być równie odległa od ich subiektywizmu i wyobraźni, jak jest odległa od subiektywizmu i nakazu komunistycznego sorealizmu?

— Coś tu bujasz, bracie...

— Rzecz nie w tym, że bujam. Przypuśćmy. Ale powiedz, kto ze znajomości literatury Czechowa, Gogoła, Puszkina i tak dalej, mógł wypośrodkować z ich „rosyjskich ludzi”, zmechanizowane-

go, jak koń-mechaniczny, człowieka sowieckiego? To nie Stawrogin, ani bracia Karamazow. Czy choć o jednym z bohaterów literatury rosyjskiej, można by powiedzieć: oto klasyczny prototyp człowieka sowieckiego? Ja nie znam literatury niemieckiej. Ale słyszałem, że nazywano ją „poetów i myślicieli”. Czy kto z nich przepowiedział: „Hitlermenscha”?

„Profesora” widocznie znudziła ta rozmowa, bo poprawił okulary i zapytał:

— Ty słyszałeś co Własow powiedział do Aleksandra Stiepanowicza?

— Kazancewa?

— Mhm. Powiedział: „Wy jesteście jacyś dziwni emigranci. Przypominacie mi trochę komsomolców”.

— To znaczy, że musiał być z czegoś zadowolony.

— Zadowolony.

— Czy on wrócił już właściwie z Gatczyny, i gdzie jest teraz? Bo nie widać.

— Wrócił. Przeniesiony do Dahlem, w Berlinie zachodnim. Miał pod wódkę wyznać, że jego Maria Ignatiewna otrzymała od sowieckich agentów polecenie aby jego otruć. A zamiast tego, przyznała mu się ze łzami. Nie wierzę. Bujda to wszystko. Zdaje się, że te łzy poszły raczej o tę blond Ilżę, którą Andrej Andrejewicz nazywa: „moja Katarzyna Wielka”.

Z kolei Antona przestała ta rozmowa interesować. Wieczne plotki, fantastyczne dociekania, spekulacje.

— Zagramy w szachy?

— Dawaj — odpowiedział „profesor”.

— Dawaj. — Grali jak zawsze w zupełnym milczeniu, w głębokim skupieniu, pochłonięci grą. Raz tylko Anton, zrobiwszy skomplikowanie ryzykowny ruch koniem i, spodziewając że partner długo będzie myślał nad ripostą, odchylił się w krzesło, strącił popiół z papierosa i powiedział:

— Choćby o szachach w literaturze: zawsze ta gra występuje jako pretekst do jakiejś rozmowy. A w rzeczywistości szachiści zawsze milczą.

— Taaaak — przeciągnął „profesor” wsparłszy czoło na dłoni złożonej jak daszek czapki nad oczami — taaaak... ty też więcej myśl o grze, a mniej o literaturze. Ten ruch koniem ciebie gubi. O!

Anton studiował jakiś czas w naprężeniu wytworzoną sytuację, uznał ją za beznadziejną dla siebie i bez słowa zaczął rzucać figury do pudełka, nie okazując irytacji jaką zazwyczaj odczuwa przegrany partner.

„Profesor” z zadowoloną miną przyglądał się tej kapitulacyjnej czynności.

— Więc, mówisz, że w literaturze stoi, że zawsze gadają przy szachach o rzeczach postronnych? A wiesz co mnie gadał... Nie powiem kto. Jeden. Ktoś: „Zykw” powiada, „to agent sowiecki”. A ja nie wierzę.

Anton, któremu przy zamykaniu pudełka wysliznęła się i upadła na podłogę czarna wieża, włożył na kolanach pod stół.

XLIX

Spisek rozszerzał się na nowych ludzi o bardzo różnych przekonaniach i różnym stopniu zaangażowania.

W pierwszym memoriale, opracowanym do spółki z pułkownikiem Władimirem Bojarskim, byłym dowódcą 41-ej sowieckiej dywizji piechoty, Własow wskazał na wrzenie, jakie opanowało całą Rosję pod wrażeniem pierwszych klęsk sowieckich i rozbudzenie nadziei na obalenie panującego ustroju. Ustrój jest jednak dość silny, aby nie dopuścić do spontanicznego przewrotu. Należy więc po tej stronie frontu stworzyć wyzwolenicze centrum ideowo-polityczne, oparte o siłę militarną rosyjską. Jeżeli Niemcy tego nie uczynią i nie zmienią swej dotychczasowej polityki, to sympatie antybolszewickich ruchów zwrócą się przeciwko nim, a oparcia szukać będą w Anglii i Ameryce.

Tego rodzaju ukryta groźba pod adresem Niemiec, wypowiedziana w warunkach niewoli, uznana została za dowód, że Własow nie zamierza odegrać roli marionetki, czy najemnika w rękach niemieckich. Odmówił on też podpisania odezwy wzywającej żołnierzy sowieckich po prostu do poddawania się i dezercji.

Memoriał nie zrobił żadnego wrażenia w niemieckiej kwaterze głównej, pokrywał się natomiast z dążeniami tych czynników, które stanowiły właściwe jądro spisku.

Oficjalnie Własow wykorzystany miał być tylko o tyle, o ile mógł stanowić „kartę w interesie prowadzenia wojny”. Z tym na razie należało się zgodzić. Ale spiskowcy liczyli, iż siłą faktów dokonanych uda się im przeistoczyć Własowa w „rosyjskiego de Gaulle’a”, a projektowane przez niego „centrum” przybierze charakter prowizorycznego rządu „wolnej Rosji”. Taki był, w ogólnych zarysach, plan Stauffenberga i Tresckowa. Znając głęboką awersję Hitlera zarówno do prawicowej kontrewolucji rosyjskiej, jak kapitalistycznej „plutokracji” Zachodu, postanowio-

no podkreślać wyraźny radykalizm społeczny, do którego skłaniał się sam Własow. — Dnia 10 września 1942 roku Własow podpisał wezwanie: „Do towarzyszy dowódców! Do towarzyszy sowieckiej inteligencji!” Wymieniając w nim wszystkie zbrodnie Stalina, oświadczał, że Stalin prowadzi wojnę nie w interesach narodu sowieckiego, lecz w interesach kapitalistów Anglii i Ameryki. Zapowiadał też utworzenie nowego, przeciwko Stalinowi skierowanego, rządu.

Z inicjatywy majora von Grote utworzona została konspiracyjna tzw. „grupa inicjatywna”. Miała ona w pierwszej kolejności rozbudować wegetujący w Smoleńsku, pod opiekuńczym skrzydłem von Tresckowa, pół-legalny rosyjski komitet i postawić na jego czele Własowa. Dalszym etapem miało być ogłoszenie podpisanego przez Własowa, wielkiego manifestu „do wszystkich ludów Związku Sowieckiego”! — Ale zupełnie bez wiedzy władz zwierzchnich nie można było tego projektu przeprowadzić. Zaś o uzyskaniu na to aprobaty Hitlera, ani marzyć! Pierwszy, przedłożony do aprobaty szkic, został już przekreślony przez generała Keitla, liliowym ołówkiem, którego zawsze używał przy adnotacjach na marginesie: „Tego rodzaju projekty nie odpowiadają intencjom Führera!” — Wobec tego „grupa inicjatywna” przedstawiła projekt w nowej redakcji:

„Führer wielokrotnie podkreślał, że w propagandzie można mówić wszystko cokolwiek okazać się może pożyteczne dla prowadzenia wojny, byle nie zachodziła potrzeba dotrzymania obietnic. Pierwsze wystąpienie Własowa okazało się niezwykle skuteczne. Proponuje się więc utworzenie nie prawdziwego, lecz fikcyjnego Komitetu Rosyjskiego w Smoleńsku, który ogłosi manifest nie w naszym, lecz w swoim imieniu. W ten sposób nie zobowiązuje nas do niczego”.

Keitel, znudzony tymi ciągłymi projektami, aby się ich pozbyć, odesłał inicjatorów do Rosenberga... Znając zresztą jego negatywne nastawienie w tej sprawie. — Zaczęły się długotrwałe rokowania w Ostministerium. Profesor Mende i kierownik głównego wydziału politycznego, Georg Leibbrandt, reprezentowali wyraźnie kierunek antyrosyjski. Byli natomiast rzecznikami koncepcji poparcia narodów nie-rosyjskich i rozczłonkowania Rosji. Jednakże próby utworzenia „komitetów narodowych” rozbiły się o sprzeciw Hitlera. W długich rozmowach udało się „grupie inicjatywnej” przekonać, że utworzenie chociażby fikcyjnego „komitetu rosyjskiego” może stanowić też dla nich argument do tworzenia wyzwoleniczych komitetów narodowych. Rzecz została wreszcie uzgodniona i przedłożona do aprobaty Rosenberga.

W międzyczasie wynikła jednak trudność z Własowym. Nie

miał on ze swej strony zaufania do emigrantów. Długo nie mógł nabrać przekonania, że „solidaryści”, reprezentowani przez Kazancewa, nie są „reakcjonistami”. Odpowiadał mu bardziej radykalizm Zykowa. Wreszcie za pośrednictwem von Grote uzgodniono kompromisowy program prowizoryczny: „Zniszczenie stalinizmu; pokój honorowy z Niemcami; udział Rosji w nowym porządku europejskim, bez bolszewizmu i bez kapitalizmu”. Było to porozumienie ściśle poufne, pomiędzy „grupą inicjatywną” i Własowym. — Teraz należało oczekiwać, czy na rozpowszechnienie projektowanego „manifestu” wyrazi zgodę Rosenberg.

Wreszcie 12 stycznia 1943 Rosenberg postawił trzy warunki: 1) Manifest Własowa jest dopuszczalny, o ile skierowany będzie wyłącznie do Rosjan. 2) Cała akcja pozostaje manewrem propagandowym bez pokrycia. 3) Ulotki z manifestem rozrzucone zostaną wyłącznie po stronie sowieckiej i w żadnym wypadku nie wolno ich rozpowszechniać na terenach okupowanych przez wojska niemieckie.

Kilka dni później Strik-Strikfeld przybył z Berlina do Smoleńska, aby pokierować zrzutem ulotek z manifestem fikcyjnego „Komitetu Rosyjskiego”. Dnia 28 stycznia bomba pękła!

Lotnicy grupy wojsk „Środek” — której szefem sztabu był von Tresckow — miliony ulotek zrzucili również „przez przecoczenie”... po tej stronie frontu wzdłuż szerokiego pasa okupacji niemieckiej. Setki tysięcy ludzi, od Leningradu po Morze Czarne, dowiedziało się o zaistnieniu „Rosyjskiego Komitetu Wyzwolenczego” w Smoleńsku, który w rzeczywistości istnieć miał tylko na papierze...

Rosenberg zażądał, aby natychmiast wdrożono śledztwo przeciwko winnym tej skandalicznej omyłki! Śledztwo wdrożono istotnie natychmiast, ale mimo iż władze wojskowe — z polecenia von Tresckowa — dołożyły usilnych starań, winnych nie udało się jakoś ustalić...

Rosenberg założył energiczny protest w kwaterze głównej. W piśmie do Keitla wyraził przekonanie, że „rusofile” spośród sfer wojskowych usiłują stworzyć *fait accompli*, a przez tworzenie „centrum rosyjskiego” popierają tym samym „wielkorosyjski imperializm”. Podczas gdy jedyną słuszną taktyką jest częściowe uwzględnienie interesów narodów nierosyjskich, aby w ten sposób osłabić naród rosyjski i zepchnąć go „do należnych mu granic”.

Wieść zrzucona z samolotów zataczać zaczęła coraz szersze kręgi. Ludzie okupowani zaczęli gadać Bóg wie o czym! Nawet o zupełnej zmianie polityki niemieckiej, nawet o formalnym sojuszu Niemiec z antybolszewicką Rosją... Hitler w tym czasie po-

chłonięty był „dniami żałoby” po Stalingradzie i jeszcze bardziej zagrożeniem od Dońca.

I wszystko zostało w zawieszaniu.



Nie tylko sztab grupy armii „Środek”, w swym sprawozdaniu miesięcznym, ale prawie wszyscy dowódcy armii pozytywnie ocenili polityczną inicjatywę „Komitetu Smoleńskiego”. W tych warunkach, generał hrabia von Schenckendorff, dowódca wojskowy zaplecza frontu, uważał za możliwe zaprosić Własowa w końcu lutego do Smoleńska. Własow wygłosił tu mowę, zapowiadając powstanie rosyjskiej armii wyzwolenczej: ROA. Odbił też rozmowę z feldmarszałkiem von Kluge. Ze Smoleńska udał się do Mohyłowa, gdzie przemawiał do dowódców różnych rosyjskich, nieskoordynowanych jeszcze jednostek pomocniczych. Oświadczył, że nie pragnie — „jak to chcą niektórzy emigranci” — przywrócenia monarchii: „Odrzucam zarówno bolszewizm, jak kapitalizm”! Ale już w tej mowie pozwolił sobie na ostrą krytykę polityki i metod niemieckich władz okupacyjnych. Wkrótce potem zaprosił go feldmarszałek Georg von Kuchler, dowódca grupy armii „Północ”. Generał von Lindemann, dowodzący 18-tą armią oblegającą Leningrad, urządził mu wystąpienia publiczne w Rydze, w Pskowie, a nade wszystko w Gaczinie, gdzie Własow wygłosił wielką mowę polityczną:

„Moi panowie, gdy wojna się skończy i będziemy uwolnieni od bolszewizmu-stalinizmu... Wtedy, w naszym Leningradzie, będziemy również i Niemców podejmować jako naszych gości...”

.....

W Leningradzie, Niemców, „jako gości”?!... Co się dzieje? Kto ma podejmować, Rosjanie?! W tym Leningradzie, który Führer zamierza przecie zrównać z ziemią, a ziemię oddać Finlandii?!...

„Lieber Martin! — zaczął Himmler swój list do Bormanna. — Proszę Cię, abyś przedłożył Führerowi...”

L

Tegoż samego 13 marca, gdy Własow wygłaszał swe przemówienie w Mohyłowie, przyleciał do Smoleńska Adolf Hitler.

Przylot jego nie miał nic wspólnego z „obłąkańczymi planami generałów” na temat jakiejś tam wojny „wyzwoleńczej” i zmiany polityki na wschodzie. Hitler głęboko pogardzał tymi planami, a w tej chwili nie miał czasu nawet o tym słuchać. Chciał omówić z feldmarszałkiem von Kluge możliwości projektowanej przez Mannsteina ofensywy na Kursk.

Główne nici tajnego spisku dzierżył w ręku generał Oster, szef sztabu Abwehry. Generał Beck i generał Olbricht, szef głównego urzędu wojskowego i dowódca wojsk zapasowych w Niemczech, komunikowali się za jego pośrednictwem. Sam szef Abwehry, admirał Canaris, wyglądało, że stoi na uboczu. Jednakże tajne ścieżki Abwehry znakomicie ułatwiały warunki konspiracji.

O decyzji zamordowania Hitlera powiadomiony został von Tresckow przez majora Fabiana von Schlabrendorffa, oficera wywiadu przydzielonego do sztabu w Smoleńsku.

Obiad spożywał Hitler w kasynie oficerskim, jedząc swe jarzyny przyprawione przez własnego kucharza, które przed tym musiał wszakże kosztować lekarz przyboczny. Jak zawsze, lewym łokciem wsparty o kolano, prawym o stół, Hitler nachylał głowę do każdego kęsa, popijając różnorodne soki owocowe. Nie wolno było palić po obiedzie. Wreszcie Hitler wstał. Zrobił się ruch koło stołu. Von Tresckow podszedł do pułkownika Brandta, ze ścisłego otoczenia Hitlera, który miał z nim razem, tym samym samolotem, wracać ze Smoleńska do głównej kwatery w Prusach.

— Czy mógłby pan zabrać ze sobą małą paczkę? Dwie flaszki koniaku francuskiego dla generała Stieffa, w Oberkommando?

— Ależ, bardzo chętnie, generale!

Flaszki na lotnisko przywiózł von Schlabrendorff. Były to bomby, upakowane jak flaszki, zawierające materiał wybuchowy pochodzenia angielskiego ze zrzutów na terenie Polski, które wpadły w ręce niemieckie. Bomby nastawione były na: „za pół godziny”...

Gdy samolot Hitlera i eskortujące go myśliwce wzniosły się w powietrze, von Schlabrendorff nadał do generała Oстера szyfrowaną depezę. Po upływie pół godziny napięcie nerwów doszło do zenitu. Spodziewano się radiowego meldunku od eskortujących myśliwców, o katastrofie. „Butelki koniaku” wystarczyły, aby rozzerwać samolot w kawałki. Minęła godzina. Miało się coś stać, co mogło wpłynąć na losy wojny, Europy, świata.

Nic się nie stawało.

Wiosna się spóźniła. Był mróz. Wskutek nadmiernego chłodu, ciecz przegryzająca drucik działała tak wolno, że iglica zamiast uderzyć opadała łagodnie.

Nadeszła w końcu wiadomość, że: „Führer wylądował w kwaterze głównej”.



Dnia 17 kwietnia Bormann przedłożył Hitlerowi pismo Himmlera. Nazajutrz gen. Keitel przekazał rozkaz do wszystkich dowódców armii na froncie:

„... Jeżeli Własow kiedykolwiek jeszcze miałby spróbować wystąpić publicznie na froncie, należy go natychmiast oddać w ręce Gestapo, i unieszkodliwić”.



— Co zrobić, generale, z zapasem ulotek manifestu rosyjskiego komitetu wyzwolenczego w Smoleńsku? Wydrukowaliśmy ich ponad 18 milionów...

— Rozdać do klozetów kasyn oficerskich — odpowiedział szef sztabu.

Między innymi znalazły się więc one i w ustępie przyfrontowego kasyna oficerskiego w Smoleńsku; a w kasynie tym lokowano akurat liczne delegacje europejskie, ściągane dla obejrzenia ekshumacji zwłok z masowych mogił oficerów polskich, zamordowanych wiosną roku 1940 przez bolszewików w Katyniu.

Była przerwa obiadowa. W Katyniu, w lasku Kozie Góry, wisiał nad rozkopanymi grobami ciężki zaduch, którego nie rozpraszały dymy ognisk rozpalone przez kopaczy z wolnego najmu i jeńców sowieckich, pracujących przy wydobywaniu trupów. Przenikający wszystko, słodkawo-mięty smród gnijących ciał ludzkich mieszał się z zapachem leniwej wiosny i gotowanego obiadu. Delegacja dziennikarzy z państw neutralnych powróciła autobusem do Smoleńska, by spożyć przygotowany tu dla nich obiad. Po obiedzie, młody, zawsze czegoś rozradowany, dziennikarz szwedzki wyskoczył z klozetu oficerskiego kasyna, trzymając w ręku, jak zdobycz, dwie równo przecięte kartki pomarańczowego koloru, zadrukowane gęsto drukiem rosyjskim. Uchwycił za ramię pewnego literata polskiego, który też był zaproszony do odwiedzenia mogił katyńskich i, składając przecięte kartki, zaszeptał w radosnym podnieceniu:

— Czy może mi pan ten tekst przetłumaczyć?!

Literat polski przetłumaczył mu tekst „manifestu”.

— Ach!... — Ucieszył się szwedzki dziennikarz — więc to wszystko jest nieprawda! Wszystko bujda, bluff! — Miał okrągłą twarz, okulary, za którymi śmiały się prawie dziecinną wesołością, jego prawie dziecinnie oczy. Okrągły kapeluszyk ściągnął dlategoś

na prawe ucho. Wepchnął kartki do tylnej kieszeni spodni, ale wyjął zaraz, rozprostował i pieczołowicie przełożył do portfela. Jak rasowy dziennikarz, który z pietyzmem potrafi się obchodzić z dokumentem dziennikarskiej sensacji. — A w rzeczywistości służy to do podcierania się w niemieckich oficerskich ustępach na froncie! Ha!...

Wkrótce potem fotografia tej ulotki, wraz z rewelacją przywiezioną przez szwedzkiego dziennikarza, ukazała się w piśmie sztokholmskim.

Ale nie zrobiła wrażenia. Żadnej sensacji. W tym czasie nie było na Zachodzie miejsca dla informacji bezwartościowych. Opinia całego świata i bez tego wiedziała, że wschodnia Europa, jak długa i szeroka, w porywie patriotycznym, murem stoi za genialnym wodzem Związku Sowieckiego, Stalinem — „Wujaszkiem Józkiem”, jak go przezywał prezydent Roosevelt; „człowiekiem o dużym wyrobieniu”, jak to zaobserwował premier Churchill, gdy woził mu do Moskwy złotą szablę w darze od króla Zjednoczonego Królestwa i imperatora Indii; „człowiekiem niesłychanie ciekawym”, jak go określił gen. Sikorski, jeszcze w styczniu 1942.

W tej heroicznej epoce zaprzatanie uwagi świstkami znalezionymi w niemieckich klozetach budzić mogło raczej szczery niesmak.



Dnia 8 czerwca Hitler zavezwał do siebie szefa sztabu, generała Zeitzlera i generała Keitla, którym oświadczył:

— Jeżeli ludzie w typie Własowa, działają na niekorzyść własnego narodu, pozbawieni są honoru. Jeżeli działają na korzyść własnego narodu, stają się dla nas niebezpieczni! Może być mowa tylko o propagandzie na tamtą stronę. Po tej stronie nie potrzebujemy żadnych „generatów Własowych”. Żadnych oddziałów „wyzwoleńczych” w ręku osoby trzeciej, która może powiedzieć: „Dzisiaj idę z wami, jutro nie”!

W kilka dni później Hitler oświadczył na odprawie wyższych dowódców:

— Żołnierz niemiecki nie jest zainteresowany w rosyjskim, czy ukraińskim programie wyzwolenia, lecz wyłącznie zainteresowany w tym, aby po wojnie osiedlić się na wschodzie jako pionier! Jeżeli się ma moim żołnierzom powiedzieć, że walczą oni nie po to żeby zwyciężyć, a po to żeby wyzwalać rosyjskie czy ukraińskie narody, to po co w ogóle mają walczyć?!

Generał Zeitzler pozwolił sobie jednak wskazać na liczne ochot-

nicze antysowieckie formacje narodów wschodnioeuropejskich, ostrożnie obniżając ich liczbę:

— Mamy w tej chwili siedemdziesiąt osiem batalionów i 122 samodzielne kompanie. Jeden pułk w pełnym składzie. Łącznie 400.000 Z tego 60.000 pełni służbę wartowniczą. Poza tym „Hiwis”... W tej chwili koło Mławy formuje się dywizja kozacka. Na Śląsku dywizja turkmeńska... A w okolicach...

— No więc, raz na zawsze! Powtarzam to raz jeszcze! Mogą panowie zachować te poszczególne bataliony antysowieckie, jeżeli już bez nich nie możecie wytrzymać! Ale nie można dopuścić do utworzenia z nich armii! Mogących narzucić nam konsekwencje polityczne i warunki, które byśmy zmuszeni byli kiedykolwiek dotrzymywać!

LI

Gdy właśnie w tym czasie Hans Müller przybył z południowego frontu i zajął do willi przy Viktoriastrasse w Berlinie, Anton Panisienko zwrócił się do niego z poufną prośbą.

Już przedtem kilkakrotnie nagabywał tego i owego, czy nie dałoby się wykombinować jakiegoś wyjazdu służbowego, zlecenia kurierskiego do Mińska?

— A wam po co tam? — pytali.

— Starego ojca odwiedzić.

— Ech, nie czasy dzisiaj, na odwiedziny rodzinne — zbywano.

A w Antonie rosła, rozpiełała piersi, nostalgia. Nie mógł sobie miejsca znaleźć. Bywało, wiatr wschodni zadmie po równinie Brandenburgii...

Korzystając więc z okazji, zagadnął o to samo Müllera. Ów, w sposób nader mglisty i jakby podkreślając że rada nie pochodzi od niego, ale tak sobie rzucona z zamyślenia, napomknął że niech spróbuje może przez Ostministerium, jeżeli, oczywiście, ma tam kogoś znajomego... Anton ciągle się jeszcze w tym labiryncie nie wyznawał i przyznawał szczerze że nie czuje się w nim dobrze. Ale ta rada, udzielona mu niejako „półgębkiem”, olśniła go nagle i nawet sprawiła podświadomą przyjemność. Jakby nie tylko o wyjazd do Mińska chodziło.

Anastazję Ipolitownę Blaser widział od tamtego, pierwszego czasu zaledwie kilka razy i zawsze przelotnie, w obecności obcych. Nie okazywała mu zresztą żadnego zainteresowania, poza zdawkowym uśmiechem. Ale miał ciągle jej telefon biurowy. Przez ostroż-

ność, nie od siebie, lecz w ulicznej budce telefonicznej, nakręcił numer. Nie było jej. Po kilku dniach powtórzył to samo. Nie było jej. Nie wiedział, czy ma ryzykować po raz trzeci. Jego zły akcent zdradzał cudzoziemca; za każdym razem, gdy go pytano kto mówi, kładł słuchawkę. Zaryzykował po upływie tygodnia. Była. Nie przygotował jak się ma przedstawić, a nie chciał wymieniać nazwiska, bo telefony były na podsłuchu. To go zmieszalo w pierwszej sekundzie.

— Halo?! — powtórzyła drugi raz.

— Tu Antonij — powiedział, kładąc dłaczegoś akcent na „ij”.

Milczenie. Już oczekiwał odłożenia słuchawki z tamtej strony. Ale ona zastanawiała się: kto to?

— Ach, to pan?

— Ja.

Chciał się z nią zobaczyć. Zgodziła się po pewnym namyśle. Powiedział tedy, że dzwonił już kilkakrotnie i jej nie było.

— A tak, Irmgarda — odpowiedziała — była chora.

Antona uderzyło to „a”, dodane do niemieckiego imienia: Irmgard, i teraz on z kolei zastanowił się o sekundę za długo, kto by to był?

— Córeczka? — połapał się. — Oo... I coś poważnego?

— Bałam się, że to zapalenie płuc. Na szczęście tylko silny bronchit.

Spotkali się w Zoo. Padał deszcz, więc poszli do akwarium. Anton wyłożył po drodze swą prośbę. Jej długie oczy w oprawie matowej cery, spojrzały w górę, na pawia który z gałęzi pochyłej topoli krzychał przenikliwie.

— Nie wiedziałam, że pawie latają po drzewach — powiedziała. — Zawsze widziałam je na zwirowanej ścieżce. Więc tak się panu Berlin nie podoba?

Coś mu strzeliło do głowy:

— Na drugi dzień po przyjeździe spotykam w białe przedpołudnie na ulicy dziewczynę, która unosi spódnice i poprawia sobie majtki. Mogłaby pani sobie wyobrazić taki obrazek na ulicy Moskwy?!

— I te majtki pana tak odstraszyły?

Anton pomyślał w tej chwili, że gdyby ona sama tak przed nim zadarła spódnice, to może i wyjeżdżać by nie chciał?... Może to nie nostalgia w nim kołacze, a tęsknota za...

— To w ładne dzielnice pan od razu trafia...

— Nie ja. To pani mnie do takiej skierowała wówczas. To było na Bleibtreustrasse.

— Ach tak? Bleibtreu... Zaraz... Niech pomyślę. Może to nawet dałoby się zrobić. Bo właśnie akurat... A co tam u was?

— Pani chyba wie. — Wchodzili po mokrych schodach do akwarium.

— O tyle o ile. Jak się panu Własow podoba?

— Zdaje się, że jest tym, czym chce być.

— I mnie się też tak zdaje. Miałam właśnie w ręku ostatnią ulotkę podpisaną przez niego i tego Małyszkina. Więcej tam przeciwko „kapitalizmowi” i „plutokratom”, niż przeciwko bolszewizmowi.

— Tak źle chyba nie jest.

— Ale znamienne.

— No, pod „socjalizm”. „Pod program”. Czy to nie narodowy socjalizm niemiecki przywrócił święto 1-go maja?

— Owszem.

Stanęli przed szybą, za którą wiała się dziesięciometrowej długości anakonda. Głowa węża była właśnie tuż przy szybie. Jego nieruchome oczy patrzyły na nich. Spojrzenie przykuwało taką potęgą sprężonej, zielonej nienawiści, że Anton nie ruszał się, zafascynowany. Po chwili milczenia, powiedział:

— Koń mechaniczny wykonywuje w ciągu jednej sekundy pracę 75 kilogramometrów. Lotniczy, spalinowy silnik tłokowy osiąga 3.500 koni mechanicznych. Ile potrzeba by tysięcy mechanicznych dusz ludzkich, aby oddać w spojrzeniu pracę takiej nienawiści? Co wobec tych oczu węża jakiś tam Hitler?

— „Iwan Iwanycz”... — poprawiła szeptem.

— Ja już raz podobnie, w ogrodzie zoologicznym w Charkowie, nie mogłem się oderwać od klatki rysia. Jego zielone oczy ze szczelinami źrenic zdumiały mnie nienawistnym spojrzeniem. Już wtedy myślałem o tym. Ja nie wiem, czy pani patrzyła kiedy w żółte oczy czarnej pantery? I mówi się, że człowiek jest rzekomo najbardziej złym stworzeniem...

— Gorkij mówił, że „dumnie brzmi”.

— Dajmy na to, Gorkij nie był w Borysowie. Ale podobno, przedtem oprawcy zaleli się wódką. Natomiast te oczy węża, niech się pani im przypatrzy, nie zawierają nic poza nienawiścią, nic. Skąd się biorą? Przez Boga stworzone? Jak boża krówka, i apostoł Paweł? Chyba. Bo niech pani pomyśli, jeżeli wierzyć nauce o ewolucji organizmów od pierwotniaków do człowieka, to musiał być już w amebie jakiś miliardo-miliardowy zaczątek tej trochy ludzkiej dobroci. A niech pani spojrzy w oczy tego węża. Czy można sobie wyobrazić, że on mógłby cokolwiek użałować na globie? Najbujniejsza fantazja wyobrazić by sobie nie mogła. On by zjadł kulę ziemską, księżyc i wszystkie gwiazdy, gdyby mógł. A pani się zamartwia, czy Irmgarda ma zapalenie płuc czy bron-

chit. Skąd się bierze miłość? Proszę mi powiedzieć. Bo skąd się bierze nienawiść, to żadna sztuka.

W tej chwili zdawało mu się, że Anastazja Ipolitowna ma tak złożone wargi, jakby niemo, bezgłośnie gwizdała w myśli, patrząc w szybę anakondy. To się wydało dziwne i nieoczekiwane od kobiety jej typu. Urwał mu się wątek myśli.

— O „miłości” jest najwięcej w librettach każdej operetki — powiedziała.

Poszli zaciemnionym przejściem, po obu stronach przeświecającym widokiem gadów, płazów i ryb.

— Pan wie — podjęła po pewnej chwili — ja miałam młodszą siostrę, Aleksandra było jej na imię. Wyszła przed wojną zamąż za Anglika. Jego nazwisko brzmiało po prostu: Cook. William Cook. On znalazł sobie później inną dziewczynę, która wkrótce oczekiwała od niego dziecka. Aleksandra wniosła posag. Cook i jego dziewczyna postanowili pozbyć się jej, ale posag zachować. Dziewczyna wynajęła mordercę. Cook zaprosił swoją żonę do restauracji za miastem. Pojechali samochodem. A później zaproponował jej przejazdkę do lasu, na grzyby. Bo ona tylekroć opowiadała o zbieraniu grzybów w jej ojczyźnie. Musiał być chyba dla niej bardzo uprzejmy, miły w tej chwili, nieprawdaż? Wzieli koszyczek... Gdy ona odeszła, nachyliła się, zerwała i zawołała: „Patrz znalazłam grzyba!...”, wyskoczył zza drzewa wynajęty morderca, mister Brown i rozwalił jej czaszkę żelaznym łomem.

— A skąd wiadomo, że zawołała: „znalazłam grzyba”?

— Bo przypadkowo przez las przechodził świadek, który później zeznawał na procesie; ten okrzyk właśnie go zatrzymał, gdyż Anglicy nie zbierają, nie jadają grzybów. Potem mąż zamordowanej żony, razem z mordercą, zanieśli ją do samochodu i pojechali tak, żeby symulować katastrofę, rozbicie o drzewo. Następnie usadowili ją za kierownicę. I wtedy gdy usadowili ze zdruzgotaną głową za kierownicą, dostrzegli, że ona daje jeszcze słabe oznaki życia. Ale uznali, że to nawet będzie lepiej tak. Zostawili i uciekli. Jeden otrzymał zapłatę. A drugi chciał się ożenić z inną, która miała mieć dziecko i to dziecko wychowywać, zapewne grzecznie, troszczyć się i martwić gdy dostanie zapalenia płuc, czy chociażby bronchitu. Z posagu tamtej. A więc żyć z ciągłą pamięcią... Gdzieś, w otoczeniu ładnego ogródka... Jak to w Anglii.

— A tam są ładne ogródki?

— Są. Brzydkie. Jeżeli pan teraz przeliczy ilość tych swoich kilogramometrów na ich świadomość czynu i zestawi z nieświadomością czynu węża, któregośmy oglądali...

— Już pierwszego dnia zauważyłem, że jest pani dużą pesy-
mistką.

— Z niejakim ograniczeniem: ani mister Cook, ani mister
Brown, nie stoją na czele państwa, nie kierują losami narodów.

— Ale mogliby stać, nie?

— Bo ja wiem... Tu zaczyna się mój optymizm.

Gdy to mówiła wychodzili znowu do ogrodu. Zatrzymała się
przy ostatnim stopniu schodów.

— Może pójdziemy do klatki czarnej pantery? Bo mi się
zdaje, że ona ma zielone, a nie jak pan mówił, żółte oczy.

Ale nie sprawdzili tego. Bo właśnie zawyły syreny na alarm
lotniczy, i poszli do schronu.

Gdy po upływie godziny rozstawali się ze sobą, Anton prze-
trzymał chwilkę dłużej jej dłoń w swojej i wyszeptał:

— Niech mnie pani chociaż raz pocałuje.

— Chyba w czoło: — A miała ślicznie wykrojone usta.

W kilka dni później Anton Panisienko wyjechał z Berlina
na wschód. Zaopatrzony był w mocne dokumenty Ostministerium,
które delegowało go w urzędowej misji do Mińska. Wiózł ze sobą
zalakowaną paczkę, z pieczętką: „Tajne”, adresowaną formalnie
do wydziału politycznego generalnego komisariatu Białorusi.
W rzeczywistości miał się po drodze zatrzymać w Wilnie i oddać:
Jurij Wasiliewicz Rogożin. Człowiek ten zamieszkiwał na przed-
mieściu Zwierzyniec w Wilnie. Łatwiej go jednak było odszukać
tam, gdzie przesiadywał stale: w małej kawiarence, położonej
w suterynie, pod apteką, przy dawnej ulicy Mickiewicza.

LII

Henryk nie udawał; istotnie nie był wrażliwy na groźby. Gdy
jednak Jadzia doniosła o rzekomo zapadłym na niego kapturowym
wyroku śmierci, był jej głęboko wdzięczny za uprzedzenie. Znał
się cośkolwiek na tych rzeczach z własnego doświadczenia. Pod
maską idealnego opanowania, nie okazał złości, która nim targnę-
ła. Ważniejsze było tu zastanowienie. Przeniknąć tajemnice wza-
jemnie krzyżujących się w podziemiu inspiracji, chodów i powią-
zań, było prawie niemożliwe. Domyślał się, iż gra tu zapewne ta
sama ręka, która zlikwidowała Andruszkiewicza. Ale skąd w ta-

kim razie doszło do Jadzi? Wiedział, że zna ona Piaseckiego, który pracował w tak zwanej „egzekutywie”. Czy ostrzeżenie pochodzi od niego? Czy może od szefa kontrwywiadu wileńskiego okręgu AK, Mirosława Głębockiego, b. sędziego śledczego, o którym słyszał dużo od „Andrzeja”? Czy też doszło do niej przypadkiem? Najprostsze, zdawało się, było zapytać ją o to. Wyprzedziła go w tym Halina.

Jadzia odpowiedziała, czego się zresztą można było po niej spodziewać, że tej rzeczy zdradzić nie może. Henryk nie nalegał. Tymczasem stało się tak, że akurat gdy rozmowa na ten temat się urwała, usłyszeli jak ktoś powoli wchodzi po schodach, wyraźnie starając się stąpać możliwie bezgłośnie. Akustyka mieszkania była bowiem tego rodzaju, że w pierwszym pokoju słyszało się zawsze dokładnie co się dzieje na klatce schodowej. Naturalnie, mógł to być ktokolwiek bądź, kto wchodził na górę. Ale, że się to tak złożyło właśnie w tej chwili, więc obydwie kobiety pobladły. Henryk flegmatycznie wszedł za kotarę, wyjął ze schowka pistolet, kciukiem opuścił bezpiecznik, wsadził w prawą kieszeń trzymając palec na cynglu, podszedł do drzwi i lewą ręką raptownie je otworzył.

Po schodach w górę stąpał młody człowiek w rozpiętym kołnierzyku koszuli, o jasnych włosach, jasnych oczach, raczej sympatycznych rysach twarzy. Stąpał niby obojętnie, ale poznać po nim że za skoncentrowaną uwagą, jakby odmierzał każdy krok, przyglądając się niby przelotnie mijanym drzwiom, numerom nad nimi, to znów poręczy o którą się opierał... Henryk pierwszy raz widział tego młodzieńca, ale znał ten pozornie obojętny, docelowy chód człowieka, który idzie według danego mu „rysopisu”, by nie utrudzać nikogo z przypadkowo spotkanych, pytaniami. Henryk był teraz instynktownie pewny, że to do niego. Stał rozkraczony u góry, prawą garścią ściskając w kieszeniu rękojeść pistoletu, palcami lewej zapinając dłaczegoś dwa guziki marynarki. Nieznajomy przesunął wzrokiem po zamkniętych drzwiach krawca na drugim piętrze i wspinał się wolno na trzecie. Raz i drugi spojrzął na stojącego Henryka, spuścił oczy, zbliżał się. Gdy się już z nim prawie zrównał, Henryk cofnął się o półtora kroku... Młodzieniec w pół obrotu, prawie w zamyśleniu rzucił okiem na otwarte drzwi, numer i nagle, nie mówiąc żadnego hasła, zwrócił się twarzą do Henryka, szybkim ruchem wyjął z kieszeni i podał mu kartkę. Henryk ujął ją palcami lewej dłoni i zmiął w pięści bez słowa. Tamten kiwnął głową, zawrócił i zbiegł po schodach.

„Czekam jutro, o jedenastej, przy zbiegu Trockiej i Dominikańskiej. Pilna sprawa. — P.”

Miejsce wybrane było w ruchliwej części miasta. Henryk prze-

sunał w myślach topografię okolicznych kamienic, ale nie przypominał sobie by tam gdzie była brama przechodnia. Wrócił do kobiet.

— Nie, to nie do nas.

Halina szczytnie ostrożnie materiał rękawa Jadzi:

— Skąd masz ten sweterek? Przecież to czysta wełna.

— Ach, to Rogożyn handluje. Czym on teraz nie handluje...



— Chcesz mi towarzyszyć? — zapytał nazajutrz.

— Naturalnie! — odpowiedziała Halina.

Poszli, ale nie najbliższymi ulicami, które leżały na trasie do zbiegu Dominikańskiej i Trockiej, lecz drogą ekscentryczną. Wokół getta, ulicą Zawalną i dopiero Trocką w dół z odwrotnej strony. Kiedyś, dawno, w mróz, w sowiecką okupację, szli już tak razem, gdy gotowali zamach na Karola. Wtedy Henryk pierwszy, ona za nim. Wtedy należała ona jeszcze do Zakrzewskiego. Dziś role się zmieniły: ona pierwsza, on daleko za nią. Ale też dziś nie on szykował zamach, a na niego szykowano. Zwyczajne, zmienne koleje losu. Pogoda też była inna. Zmienne zachmurzenie pory letniej. Henryk powiedział jej tak:

— Jeżeli zaobserwujesz takiego starszego, raczej przysadzistego, krępego pana, to wszystko w porządku. Włosy mocno szpakowate, okulary na nosie, spodnie opadające w niezaprasowanych fałdach, gruba laska w ręku. Wygląda jak...

— Wystarczy. Już wiem.

— Ja będę czekał w ławce, w kościele Franciszkanów.

Czekał nie długo. Wróciła, ukłękła, przeżegnała się, przysiadła obok w ławce. Poczuł jej bliskość, jej ciepło, jej znajomy zapach.

— Jest taki — szepnęła. — Stoi sam u wejścia do kawiarni i czyta „Goniec Wileński”.

Henryk ze wzrokiem wlepionym w wielki krzyż Męki Pańskiej, wyjął z kieszeni spodni pudełko papierosów, z bocznej kieszonki zapałki...

— Co tobie! — Położyła mu dłoń na ręku. — W kościele?!...

— Ach! — Odczuł gwałtowną przykrość. Nigdy chyba nie zdarzyło mu się dotychczas tak zapomnieć. Wyczerpanie nerwowe, czy starość podchodzi? Schował papierosy i obracał w palcach pudełko niemieckich zapałek, z granatowym nadpisem: „Jupiter”. — „Jupiter, myślał, to samo co Jowisz. Czy nie odpowiednik Zeusa? Źródło światła. Do jakiej przesady są jednak ludzie zdolni...” — Wstał i wysuwał się niezgrabnie z ławki. — No to, pójdę już.

Halina przeżegnała go ukradkiem, z dołu-boku, znakiem krzyża.

„Pułkownik” sprawdził zegarek. Lubił punktualność. Któż jej zresztą nie lubi, gdy o innych chodzi!

— Przejdźmy ulicą w górę. Dowiedziałem się, że pan jest świetny szofer i nawet mechanik.

— Amator.

— Ale dobry amator?

— Ujdzie.

— Dla nas jest teraz bardzo ważne, ażeby... Bardzo pilnie potrzebujemy obsadzić niemieckie parki samochodowe i warsztaty naprawy maszyn. To daje nam poza rozpracowaniem, jeszcze możliwości...

— Domyślam się.

— Zgodzi się pan na tym odcinku pracować? Mamy tam dużo ludzi, ale mało fachowców.

— Chętnie. Ale przedtem mają mnie zabić.

— Kto?!... — „Pułkownik” zatrzymał się gwałtownie. Szli teraz dosyć stromą ulicą w górę i to zatrzymanie posłużyło mu za okazję do odsapnięcia.

Henryk wruszył obojętnie ramionami, wysuwając jednocześnie dolną wargę. Co nie znaczyło nic, ale w istocie miało znaczyć, że „Pułkownik” winien się sam domyślać.

— Cóż to znowu za świństwo! Z „Kondorem” pan rozmawiał?

— Nie znam tego pseudonimu — odpowiedział Henryk, choć go znał.

— To są kanalie... Już ja to załatwię!

— Andruszkiewicza pan nie „załatwił”.

— Gdybym wiedział zawczasu, to bym uratował.

— Nie wypada mi zaprzeczać.

— Zaraz przeprowadzę dochodzenie i wezmę za... Co pan tu ciągle trzyma w ręku?

— Ach... To pudełko zapalek. — Schował do kieszeni. — Pan wie, że tu operuje teraz taki, Raczenko? Spozstrzegłem go raz na ulicy.

— Nie wiem.

— Przepraszam: Nikitin.

— Aaa, coś mi się obilo o uszy.

— Ma podobno, czy też: zapewne ma kontakty z naszą „grupą na Wołokumpii”.

— Nie wykluczone. Zobaczymy. W każdym razie może być pan spokojny.

— Nie jestem zdenerwowany.

— Dobrze więc. Wie pan gdzie jest to HKP, Heereskraftpark, czy jak? Dobrze. Zgłosi się pan tam do Stabsfeldfebla Topitsch i powie mu, że się pan nazywa: Orłowski. On jest przez nas przekupiony.

LIII

Były dwa niemieckie punkty na terenie Ostlandu całkowicie opanowane przez element polski, a za jego pośrednictwem przez czynne podziemie antyniemieckie. Jednym z tych punktów był zarząd nieruchomościami, „Liegenschaften”, zwłaszcza większa własność rolna, upaństwowiona za okupacji sowieckiej, a przejęta jako własność państwowa przez okupacyjne władze niemieckie. Zwolna wszystkie stanowiska biurowe, powierniczy zarząd majątków na miejscu i inne funkcje administracyjne udało się przemycić w ręce byłych właścicieli tych majątków, ich znajomych, krewnych i znajomych tych krewnych. Większość z nich, w ten czy inny sposób, związana była z czynnym podziemiem polskim. Bądź ze względu na asekurację osobistą, bądź z patriotyzmu. Z drugiej strony dawało to duże korzyści materialne, w okresie braku i bezprawia. Zabezpieczało przed deportacją na roboty do Niemiec, zaopatrywało w mocne zaświadczenia personalne i dokumenty podróży, uniezależniające od władz niższej administracji litewskiej; dawało dostęp do produktów rolnych, wgląd w gospodarkę często własnych majątków, których odzyskania spodziewano się po wojnie, tzn. po zwycięstwie sojusznika angielskiego. Słowem podpadało pod patriotyczne hasło: „ratowania polskiego stanu posiadania”. Z biegiem czasu — a jak krążyły pogłoski, za sprawą gebietskomisarza „Wilna-Land”, Wulffa — pod zewnętrzną warstwą „Zivilverwaltung”, okrzepła na tym odcinku nieoficjalna sieć polska, na czele której stanął pan Komar z Nowego Poniewieża, zaopatrzony w wysokie pełnomocnictwa niemieckie. Nazywano go potocznie: „Pan Komar z Ostlandu”. O ile o jego żonie mówiono dużo i chętnie, o tyle o nim samym w tonie raczej surowej dyskrekcji. Był to człowiek o najlepszych manierach towarzyskich, świetnie władający językiem niemieckim. — Naturalnie, byle kogo nie dopuszczano do konfidencji w tym ośrodku patriotycznym, i — jak to między ludźmi — grymas twarzy i danie o kimś opinii, że to „człowiek niepewny”, podkreślało opinię o sobie, że się jest „człowiekiem pewnym”.

Drugim punktem, którego niższy personel od robotników, szo-

ferów, mechaników, aż po pomocnicze siły biurowe, składał się wyłącznie z Polaków, był: HKP — Heeres-Kraftwagen-Park, Wehrmacht-Fahrtbereitschaft, warsztaty i kolumna samochodowa do nagłych potrzeb wojska.

Henryk, obecnie „Orłowski”, od chwili gdy przestąpił prowizoryczną, drewnianą bramę, ochranianą przez ziewającego wartownika i zameldował się jak mu wskazano, pojął ważność tego nerwu tyłowej komunikacji wojennej. Choć nie domyślał się jeszcze wielu nici, które tu się zbiegały.



Łał haniebny deszcz. Nic tylko deszcz, deszcz. Deszcz był jeden na świecie i nikt z nim nie konkurował. Ta władza dana mu z nieba nie mogła ulegać zakwestionowaniu. Każdy, skądkolwiek przybyły kierowca niemiecki, wyłaząc z szoferki strzepywał rękawy i z rezygnacją wymieniał tylko słowo:

— *Scheisse...*

Tej decyzji nieba przeciwstawiła się jedynie ziemia. Nie chciała więcej wsiąkać wody: wyrzucała ją w szeroko rozlane kałuże.

Henryk leżał na rozłożonej płachcie namiotowej pod podwoziem ciężarówki i dociągał kluczem rozluźnione śruby, regulujące zespół przyrządów kierowniczych, gdy rozpryskując wodę zatoczył właśnie mocno zużyty wóz ciężarowy i wysiadło zeń dwóch. Dlaczego wysunął głowę, by im się przyjrzeć, nie mógłby ani teraz ani później objaśnić. Zdarzają się takie odruchy, ani okolicznościami, ani wrażeniem zewnętrznym nieuzasadnione. Niski, mizerny, w obwisłym szynelu wojskowym, zapewne szofer, chciał spojrzeć w niebo, ale wytarł tylko rękawem czoło i powiedział:

— *Scheisse...*

Drugi był wysoki, w cywilnym płaszczu deszczowym, o charakterystycznej, jakby trochę cofniętej twarzy i mocno wystającym podbródku. Skórę miał zoraną mnóstwem zmarszczek, które zbiegały się gdzieś w okolicy oczu, małych, bystrych, prawie bezrzesnych. Niemniej był młody, dobrze zbudowany, i z pierwszego wejrzenia zdradzał energię, czy tylko niecierpliwość w ruchach.

— *Komm* — powiedział krótko do szofera. Poszli do kancelarii. Ale nie długo tam zabawili. Wyszli znowu w deszcz, i wysoki cywil rozglądając się po obszernym placu z wyrazem odrazy. Z każdej kałuży skakał w górę rój odbitych kropeł.

— *Scheisse* — powtórzył drobny szofer.

Nagle cywil podszedł energicznym krokiem do wozu, pod którym leżał Henryk.

— Ej, ty, co tam robisz?! — zawołał po polsku.

— Łapię motyle — odpowiedział Henryk. Znał już on tego rodzaju tony przybierane przez przygodnych przyjezdnych; i choć nigdy z pierwszego rzutu oka nie było wiadomo kto kim jest, wszelako znał też własne miejsce i cenę poważanego w warsztatach fachowca.

— Rzuć to do diabła!

— Jak deszcz przestanie padać.

Cywil ściągnął daszek swej cyklistówki na oczy, przysiadł w kucki i przyglądał się Henrykowi świdrującym spojrzeniem. Ten, nie zwracając nań uwagi, przykręcał niezmaczenie śrubę.

— To może poczekać — powiedział tonem energicznym, ale przechodzącym w perswazję. — Nam śpieszy się bardzo. Musimy dalej jechać i to już! Głupstwo tylko zreperować, a nie ma, gówno, nie ma mechanika wolnego.

— A co jest?

— Stuka w motorze. Boję się, czy to nie panewki nawalają.

— Ładne „głupstwo”.

— Ale nam się śpieszy dalej.

— Ja też się śpieszę, na obiad.

— Dobra. Ja zapraszam. Idziemy. Fritz! Wyjmuj butelkę wódki! Raz dwa! — zawołał do szofera kiepskim, z polska, akcentem niemieckim.

— *Jawohl!* — odkrzyknął tamten.

Henryka ta para, w której wyraźnie Polak rozkazywał krótko małemu Niemcowi, zaczęła nagle bawić.

— Po czemu płacisz za godzinę? — zażartował.

— Zapłacę. Żebyś wiedział. Byle prędko.

— Taki gruby szmugiel?

Nieznajomy jeszcze uważniej przyjrzał się Henrykowi i odpowiedział niespodziewanie pogodnie:

— Dość tego gadania. Wyłaż już spod swojej karety.

Henryk flegmatycznie wyczołgał się spod podwozia. Przechodząc koło ich ciężarówki, obrzucił ją fachowym spojrzeniem. Był to stary, mocno sfatygowany wóz wojskowy, przy tym oblepiony teraz gruntownie błotem; ładunek przykryty bardzo szczelnie wieloma brezentami; opasywały je misternie krzyżujące się sznury, dobrze spięte do metalowych kótek przy bokówkach. Na oko ocenić trudno było zawartość. Nieznajomy mignął jednym okiem do Fritza, czyniąc gest, jakby w pustych dłoniach trzymał paczkę. Tamten odkiwnął porozumiewawczo. W kieszeni jego płaszcza rysował się kształt litrowej flaszki. Teraz wyjął jeszcze z maszyny mały woreczek, zabrał i przerzucił przez ramię pistolet automatyczny „Schmeisser”, i poszedł przez kałuże.

Zaszli do rodzaju kantyny dla robotników parku samochodowego.

wego, gdzie stały puste ławki koło pustych stołów, bo i tak nic tu dostać do jedzenia nie było, i pora była wczesna. W drugim końcu kilku pracowników miejscowych i jeden Niemiec spożywali coś z własnych prowiantów. Oni usiedli w oddaleniu, pod oknem. Deszcz zalewał szybę. Przyjezdni mieli ze sobą nie tylko litrówkę wyborowego samogonu, ale niebawem wiktuały: chleb, masło, kiełbasę, słoninę soloną, ser biały, jaja na twardo; nawet szynkę pieczoną, tak zwaną w kraju: „bażaninę”. Zdarzało się, że ludzie przejeżdżający miewali dobre prowianty. Ale takiej obfitości Henryk już dawno nie widział. Cywil zadowolony był z wrażenia.

— Żonę masz?

— Mam — odpowiedział Henryk.

— Fritz, daj jemu kurę. Dla żony.

Fritz wyjął z dna worka gotowaną kurę i mruknął:

— *Donnerwetter*, są jeszcze ludzie którzy mają przy sobie żony — i poważnie układając palce zimitował spółkowanie.

— *Scheisse!* — klapnął go po ramieniu cywil. — *Es geht alles vorüber, Fritz!*

Pili i jedli. Deszcz zalewał szybę. Po czwartej półszklaneczce, Fritz zaintonował nadspodziewanie czystym półgłosem:

*„Es geht alles vorüber,
Es geht alles vorbei...
Und nach dem Dezember,
Kommt wieder der Mai...”*

Na razie Henryk dowiedział się tyle, że jechali ludzkim traktem, mieli okropną drogę, że niech cholera weźmie wszystko, że śpieszą dalej, za Wilię, na północ; przed zmrokiem muszą w każdym razie wyjechać z miasta; że zaniepokoiło ich mocne stukanie w motorze.

— Trzeba rzucić okiem — mruknął po pewnym czasie Fritz — i zdrzemnąć choć minutę w szoferce. — Był widać zmęczony. Ujął za lufę „Schmeissera” i powstał.

Cywil odwrócił się do okna. Nie było nic widać, tylko deszcz.



Po wyjściu Niemca, od niedomówionych słów między haustami wódki, do pełnych zdań, zaczęła się ich rozmowa:

— Nie bój się — mówił nieznajomy — ja ciebie, Orłowski, widzę na wylot. Pewnie i Orłowski wcale się nie nazywasz. — (Henryk odgadł, że i tamten, oczywiście, nie nazywa się „Skowroński”, za jakiego się podał) — Ale tym bardziej pomóc mu-

sisz. Bo jak nam nawali w drodze, to może być amen z całej wyprawy. A straszna odpowiedzialność. Gdyż sprawa cienka jest nie jak drut, a jak włoseczek u niewinnej dziewczynki.

— Co wieziecie?

— Broń. Broń i amunicję. Dla naszych. Rozumiesz?

— Od kogo?

— Z pewnego miejsca. „Zdobyczna” — przytknął jedno oko.

Henryk powoli ukroił sobie kawał chleba, przykrył go plasterkiem słoniny.

— A ten, Fritz?

— Szofer, Niemiec. Autentyczny, z pewnej „Stelle”. Tylko całkowicie na naszym wikcie i opierunku. Zresztą świetny szofer. Ty nie patrz, że on taki wymoczek. Poza tym „Befehle”. Papier — postukał się ręką po piersi — jak złoto. Żadna lipa. Tylko że robota strasznie delikatna... politycznie. Na dwie strony cienka.

Nie zawsze robi to wódka. Wśród ludzi okrzepłych, stwardniałych w niebezpieczeństwie życia, wódka ułatwia jedynie jak przebłysk słońca w mrokach rozpoznanie pozornie nieuzasadnionego zaufania i sympatii. I rzecz dziwna, z chwilą tych wyznań, Skowroński przeszedł na „pan”.

— Słyszałem coś niecoś — powiedział Henryk przeciągając. — Zresztą co znaczy, wszyscy naturalnie słyszeli. Sowieckie radio trąbi, a Litwini nasi strasznie sobaczą. Ale jak jest dokładnie, tego nie wiem.

— Dokładnie, żeby pan wiedział! Ha, jeżeli o prawdę chodzi, to jest fenomenalnie. Na razie jest układ. Niemcy dają nam broń po cichu, nazywa się że my ją zdobywamy, i nie ruszają. W zamian chcą, żebyśmy przepędzili partyzantkę sowiecką. Jak spotyka się nasz oddział z żandarmami na drodze, to jedni patrzą w jedną stronę, drudzy w drugą i mijają jak te lale. Ale ostatnio ludzki gebietskomisarz oddał właściwie cały swój „Gebiet” w nasze ręce, w zamian za oczyszczenie powiatu z bolszewików. I my „oczyszczamy”, jak się da. Czasem naprawdę, jak bolszewicy naszych zaczynają strzelać, jak to było w Derewnie, Rubieżewiczach itd., a czasem dla pucu, lub przez cichy kontakt z tamtymi. Koronkowa robota. Chociaż doszło już do tego, że nasz komendant, w pełnym mundurze, trzy gwiazdki na rogatywce, „Mauser” u pasa, żołnierz polski w polówce na koźle, zajeżdża w biały dzień przed komendanturę niemiecką w mieście. Wychodzi komendant niemiecki, salutuje, odsalutowuje. Idą na naradę. Wychodzą, salutują, nasz siada, odjeżdża do lasu. Ot, jak się robi. Szpitale nasze w lesie pobudowane i czerwony krzyż nad barakiem. Ot, jak się robi.

— Na jakim szczeblu to się robi?
— Na wyższym niż ja.
— No?
— Podobno pośrednictwo idzie z obydwóch stron przez Komara z tutejszego „Ostlandu”.

— Też słyszałem. Ale mówią, że głównie Wulff z naszego Wilna-Land, zamieszany.

— Tego znowu nie wiem dokładnie. Ale główna baza tej gry, to jest jednak generalny komisariat Kubego, białoruski. I stąd transporty broni dla nas. A broń jest najważniejsza. Broń jest wszystko. Broń jest ponad wszystko. W wojnie nie ma rzeczy ważniejszej od broni. Tego w Warszawie, zdaje się, nie bardzo rozumieją. Stoją z zadartą głową, czekając na rzuty angielskie. A gdy RGO po cichu proponowało utworzenie jawnej milicji uzbrojonej przez Niemców do zwalczania band sowieckich w Lubelskiem, jeszcze w drugiej połowie 1942 roku, to wierchuszka podziemia omal z krzesła nie spadła, zemdlona z oburzenia: „Koncepcja Studnickiego!” Pan wie, o kim ja mówię?

Henryk przytaknął kiwnięciem głowy.

— Pan tu — ciągnął Skowroński — mnie się przysłyszało na początku naszej biesiady, jakby wspomniał o „fatalnej polityce” Hitlera... Czy mnie się przysłyszało, że z odcieniem ubolewania? Błąd! Nie ubolewanie, a chwała Bogu na wysokościach! I Matce Bożej, za jego fatalną politykę. Inaczej rozbiłyby bolszewików w drzazgi, zwyciężył, wygrał wojnę. I wtedy z nami koniec. Jego program przeistoczyć Polskę w kolonię, a Polaków w bydło. I zostalibyśmy bydłem. Zamiast mówić, moglibyśmy tylko muceć, pomrukiwać...

— Pan, przepraszam, gdzie był w okupację sowiecką? — spytał Henryk.

— Nie byłem pod nią — odparł krótko i ciągnął dalej: — Niemcy dają nam teraz broń i myślą oczywiście, że jak przepędzimy tych kilka band bolszewickich, to zaraz ukręcą nam samym głowę, i po kwiku. Ale oni tego nie zrobią, bo oni wojnę już przegrali. Broń natomiast zostanie u nas, i ich własną bronią dostaną jeszcze od nas w dupę. A że w międzyczasie oczyściliśmy trochę teren od bolszewików, to też wyjdzie nam przede wszystkim na dobre, a nie Niemcom, których tu wkrótce już nie będzie. A jak bolszewicy wejdą, to również nam i tylko nam, zależy na tym żeby być uzbrojonym jak najlepiej, ale nie jak najgorzej. To chyba jasne.

— No, tam z tą jasnością, to powiedziałbym, częściowo. Bo co dalej?

— Naturalnie, że „dalej” zależeć będzie od naszych sojuszni-

ków zachodnich. Jeżeli nas poprą, albo nawet wdadzą się w wojnę z Sowietami, musimy być uzbrojeni po zęby. Jeżeli zaś najgorsze, w co ja nie wierzę, że nas sprzedadzą, to musimy być uzbrojeni po czubek włosów na głowie. Pan myśli, że komuniści nam dadzą radę?! Polska, proszę ja pana, to nie Białoruś, nie Litwa i nie Ukraina. Polska to Zachód, to kultura europejska, to katolicyzm rzymski, to tradycja. Dla nas komunizm nie jest straszny. Nie dadzą rady. Powiedzmy, czy pan mógłby sobie wyobrazić, żeby polska literatura zaczęła pisać pod dyktando partii jak rosyjska? Pomijam, naturalnie kilku komunistów, ale społeczeństwo jako całość, żeby dało sobie kierować i uchylać na wiecach to co każe partia? Nigdy!

— Gdzie pan był w latach 1940/41, jak tu były Sowiety?

— W Warszawie. A pan nie był teraz w Warszawie?

— Nie. Ja byłem tu.

— No właśnie. Żeby pan zobaczył, czego potrafią dokonać nasze chłopaczki. W Warszawie sprzątają gestapowców i nawet generałów. Włączają się w radio, drukują im gadzinówki na opak, ach. A taki wyczyn ostatnio, jak uwolniliśmy więźniów w Pińsku. I jeżeli tego wszystkiego dokonywuje się wobec takiego przeciwnika jak Niemcy, to myśli pan, że my w trzy migi nie załatwimy się z jakąś tam Wasilewską, Putramentami, Osóbkami, czy jak się oni tam nazywają w Moskwie i na miejscu? Z całym „Związkiem Patriotów” i wszystkimi wodzami tego Pe-Pe-eRu? Po tygodniu nie będzie ani jednego.

— „W imieniu Rzeczypospolitej”?

— Tak jest. W imieniu Rzeczypospolitej. My się komunistów nie boimy. Ale do tego potrzeba nie patyczkować się, nie bawić w zasady. Tylko stosować te same bezwzględne metody co oni, i inni, dla jednego celu: dla dobra Rzeczypospolitej. Niemcy dają broń, bracie. Dają rozkaz policji i SS nie strzelać pierwsi do partyzantów polskich, to korzystać z tego. Tak się, panie Orłowski, robi i tak się powinno robić. — Wypił haustem, poruszył się na ławie niespokojnie. — To już ostatni. Nie ma czasu.

Ale Henryk chciał jeszcze wiedzieć, jak Skowroński ocenia niebezpieczeństwo zdemaskowania tej „cienkiej roboty”, i politycznej kompromitacji, na którą propaganda sowiecka tylko czyha, by roztrąbić po całym świecie.

— Proszę pana — odpowiedział Skowroński dotykając ramienia Henryka — czasy się zmieniły od tamtego czasu, gdy wpisywano w nasz hymn słowa: „Dał nam przykład Bonaparte jak zwyciężać mamy”. Od czasów rewolucji bolszewickiej, wpisuje się we wszystkie hymny wszystkich narodów: „Dał nam przykład Lenin z Trockim jak łącać mamy”... Chociaż się tego głośno nie

śpiewa. Nie mówiąc już, że jest wojna, a pierwszą ofiarą każdej wojny pada zawsze prawda. No i co zrobisz? Nic nie zrobisz. Od czegoż więc są zaprzeczenia: „Nieprawda, tego nie było”! Od czego świadkowie naocni: Janek, Franek, Kazio, Staś i Krysia, powiedzcie, było tak, co nam zarzucają? — Nie! Nie było!!... Jeżeli dla dobra Rzeczypospolitej można samemu zginąć, to dlaczego nie można krzywoprzysiąc? Krzywoprzysięstwo jest mniejszym grzechem niż zabicie człowieka. No więc! A tego, kto by twierdził, że było, tego wykończyć jako oszczercę i prowokatora... w imieniu Rzeczypospolitej. Tak się robi, panie Orłowski i tak się powinno robić! — Trzasnął nagle otwartą dłońią po kolanie Henryka. Henryk ani drgnął. — Powie pan, że to cyniczne? Nie zaprzeczę. Ale co nie jest cyniczne, powiedz pan, na wojnie?

— Nie to powiem. Tylko nasze staropolskie: „po co o tym głośno mówić”...

— O, pierwsze rozumne słowo. Ja w każdym razie, na to możesz pan być przygotowany, zaprzeczę każdemu słowu tu powiedzianemu. W dodatku przy wódce. Pan się upił, Orłowski, co?

— Upiłem się.

— No to do roboty! Jazda! Łupaszkę pan zna?

— Słyszałem tylko.

— Ooo! To jest facet. — Wyszli z baraku i Skowroński już od progu zawołał: — Friiitz!... *An die Arbeit!*

Zaraz potem Henryk przyłożył dłonie złożone w tubę do ust:

— Sakooowicz!!!... — A gdy ten ukazał się w deszczu:

— Zbierz swoją brygadę! Robota bardzo pilna!

„Brygada” to było jeszcze dwóch ludzi. We czterech zabrali się do roboty. Nawet gorzej się okazało, niż myśleli. Wytopienie panewek. Trzeba było rozebrać cały motor. Wytapianie zajęło kilka godzin. Wszyscy byli umazani błotem i smarem, zlan deszczem i potem. Ale robota się zrobiła.

Gdy tamci odjeżdżali, duży deszcz zaczął maleć. Staś Sakowicz szepnął do Henryka:

— Ja skądś twarz tego faceta znam. Ale nie mogę przypomnieć. Ech, ludzie żyją, używają... Tttaki przemyt gdzieś zafasował! I powiózł... — Patrzyli jak tylne światełka znikają w szarudze. — Ile dał?

I wtedy Henryk dopiero się zreflektował, że zapomniał zażądać obiecanej zapłaty. Splunął z rozmachem w kałużę.

— To robi wódka. Zapomniał zapłacić.

— Ach! — krzyknął boleśnie Sakowicz. — Ot żesz skurwysyn!

W podobnych okolicznościach mogłoby dojść do dąsów między kolegami. Henrykowi jednak wierzono, gdy powiedział że zapo-

mniał zażądać zapłaty. A sam się przecie napracował najwięcej.

Deszcz ustał zupełnie, gdy wracał do domu, z gotowaną kurą owiniętą w papier, dla Haliny. Wypogodziło się. Niebo zaczęło przybierać zielony odcień dojrzałego jabłka; kończył się dzień, na zachodnim horyzoncie przechodząc być może w czerwień. Ale zachodniego horyzontu nie było stąd widać: przesłaniały dachy i wieże trzech kościołów. Jak w dziwnym śnie, wystrzelające w bezmiar przejrzystości sylwetki minionego czasu.

Robiło się późno. Ulice pustoszały. Nie sprawdzał, czy zapadła już godzina policyjna, bo i tak miał zawsze przy sobie całonocną przepustkę parku samochodowego. Opodał kościoła św. Augustyna, na rogu zaułka, gwiznęło mu koło ucha, prysnął w oczy różowy tynk narożnika, odsłaniając strzelistą, białą plamę od kuli! W tej sekundzie zdawało mu się, że ten gwizd i ta plama nastąpiły wcześniej niż usłyszał huk strzału! Przytrzymując kurę pod pachą, skurczył się w sobie, skoczył za ten narożnik i przylgnął do ściany... Ale minęły następne sekundy, rozpląnęło się echo, cisza panowała w ulicy. Może to zresztą strzelał pijany policjant litewski.

W domu zastał najmniej spodziewanych gości i sytuację która miała zmienić dotychczasowy tryb życia.

LIV

Wielka sowiecka ofensywa, rozpoczęta po bitwie i przesileniu pod Kurskiem rozwijała się pomyślnie. 4 sierpnia zajęty został przez armię czerwoną Orzeł, 23 Charków, 30 Taganrog. Dnia 8 września Stalin osobiście ogłasza zajęcie całego Zagłębia Donieckiego; 17 zdobyty zostaje Briańsk.

Anton Panisienko, który jechał w przedziale 2-giej klasy, nie zwracał niczyjej uwagi. Patrzył sobie przez okno, jadł bułkę z kiełbasą, czytał „Das Reich”. Nikt do niego nie zagadywał i on do nikogo. Czasem opuszczał powieki i starał się wywołać pod nimi kolor pewnych oczu, zarysowanych z lekkim ukosem na tle matowej cery. Uświadamiał sobie swoją bezradność w chwili owego pocałunku złożonego na jego czole, który w zestawieniu z własnym pragnieniem, zawstydzał go jak zadany policzek. — Myślał więc, jak to człowiek w wagonie, o tym i owym. Nie domyślając się rzeczy tak istotnych jak ta na przykład, że w wyniku przesilenia

kurskiego, decydująca groźba zawisła nad losem wszystkich ochotniczych formacji wschodnioeuropejskich; że Hitler nosił się z zamiarem rozbicia i wysłania ich do kopalni węgla; że udało się załagodzić jego wybuch, ale wkrótce ze 160-ciu batalionów i szwadronów, 72 zostanie zabrane ze wschodu i rzucone do Francji, Włoch i na Bałkany... Szczegóły o ostatnim paroksyzmie Hitlera trzymane były jeszcze w wielkiej tajemnicy przed niepowołanymi. Ale, być może, wiedziała coś o tym dokładniejszego pewna pani... Nie, Anton niczego się nie domyślał; nie miał też najmniejszego pojęcia co zawiera paczka, którą wiozł.

Po przybyciu do Wilna, wręczył ją według wskazanego adresu niejakiemu Rogożinowi, który mieszkał za Wilią, na przedmieściu Zwierzyniec. Rozmawiał z nim, przeważnie o polityce, niezbyt długo. Po czym poszedł do hotelu „Europejskiego”, do czego upoważniały go posiadane dokumenty. Był profesor uniwersytetu wileńskiego, teraz członek tajnej organizacji polskiej, i w tym charakterze zatrudniony na stanowisku portiera hotelowego, przeczytał okazany papierek, nie wstając z krzesła sięgnął po jeden z kluczy, wiszących na metalowych haczykach wbitych w deskę z numerami, i wręczył go obojętnie. Z Rogożinem umówił się Anton nazajutrz, w pewnej kawiarence, położonej w suterynie przy głównej ulicy.

Przyszedł za wcześnie, i jego tam pojawienie się, i następnie długa rozmowa z Rogożinem przy oddalonym stoliku w rogu, a także fakt że zapomniał zmienić pieniądze i chciał zapłacić nie „Ostmarkami”, lecz mającymi obieg wyłącznie w Rzeszy — to wszystko zwróciło naturalnie uwagę panny Jadzi. Złożyła ona też nazajutrz raport odnośnej komórce tajnej organizacji kontrwywiadu, o pojawieniu się „tajemniczego kuriera, najpewniej z Berlina”...

Rogożin głośno wytarł nos, strzepnął chustkę w powietrzu, co nadawało jego zachowaniu styl spokojnej równowagi, podkreślającej niejako jawność jego obecności, jawność o którą nie potrzebuje się troskać, cokolwiek ludzie by szeptali o jego czarnorynkowych spekulacjach. Mówił naturalnie głosem przyciszonym, ale płynnie i swobodnie:

— Nawiazuując do wczoraj napoczętej rozmowy, Anton... Po ojcu panu: Władimirowicz?

— Władimirowicz.

— Anton Władimirowiczu. Zastanawiam się. Stalin, jestem pewny, że jest dobrym komunistą. Adolf Hitler jest na pewno dobrym nazistą. Dobry Żyd, to taki, co nie pójdzie służyć do policji w getcie. Dobry Polak, też jasne; to taki któremu mniej chodzi o Polskę, a więcej o pobicie Niemców. To przynajmniej,

wiem. Ale proszę mi powiedzieć, kto jest dobry Rosjanin? O co jemu powinno chodzić? Po czyjej stronie stać? Jakiego programu się trzymać? U panów tam, w Berlinie, rządzi NTS...

— Zaraz, przepraszam że przerywam. NTS „rządzi” tylko, oczywiście, w ramach, w jakich się może obracać. To po pierwsze. Ale ja osobiście, nie zgadzam się. Idzie stawka na tak zwanego „sowieckiego człowieka”, z pominięciem starej emigracji, która jest według nich bez znaczenia. Starej emigracji ja nie znam. Jestem sam „sowieckim człowiekiem”, i bardzo mnie to może pochlebiać, że na mnie idzie stawka... Przepraszam, proszę mi dać skończyć, bo stracę wątek myśli. Powiedziałem komuś niedawno, że „Własow jest tym czym chce być”. To prawda, jest konsekwentny w swym programie. Ale mam mocne wątpliwości w celowość każdego programu, przykrojonego rzekomo na „sowieckiego człowieka”.

— To znaczy?

— Coś w rodzaju „socjalizmu bez bolszewizmu”...

— To już było — Rogożyn uczynił lekceważący gest — w pierwszych latach rewolucji: „sowiety bez komunistów”.

— Było. I teraz Własow głosi: „ani komunizmu, ani kapitalizmu”. Niech sobie. Nie to we mnie budzi wątpliwość. Ale to, co to może obchodzić sowieckiego człowieka? Taki, czy inny, czy trzeci program. Nie wolno zapominać, że tam nie ma żadnego programu i być nie może. Że tam nie mogła się wykrystalizować żadna myśl, żadna koncepcja polityczna: „lepsz-a-gorsza”. Nie ma, i nie może być tam trzech ludzi, którzy by rozmawiali ze sobą na ten temat. A do powstania programu potrzeba jest co najmniej trzech ludzi. Dwóch za mało. W ten sposób, w zupełnej, że tak powiem, bezmyślności politycznej jaka tam panuje, istnieje tylko jeden, jedyny, nie wypowiedziany głośno, a obejmujący wszystkich program...

— Jaki?

— Dałoj! Won, to co jest! Punkt. Żadnych innych paragrafów.

— Mhm.

— Czemu nikt nie chce przestudiować tego, jak to robił Lenin. A Lenin właśnie tak zrobił. Jedyne punkty programu, jaki rzucił: „Obalić” to co jest. I to pociągnęło masy. Masy nie zastanawiały się co będzie dalej. Gdyby się zastanawiały, to by ich na pewno nie pociągnęło. Żadne ramki przygotowywane przez Własowa, czy innych, nigdy nie mogą pociągnąć w tym stopniu, co jedno hasło: „obalić niewolę”! Jedni może później zechcą monarchii, inni demokracji, trzeci socjalizmu czy kapitalizmu. To ich dzieli. A na razie łączy ich: „Dałoj! Won!” Stawiać więc należy w tej chwili na to, co łączy, a nie co dzieli.

— Mhm. To ciekawe, co pan mówi — Rogozin podrapał się w głowę. — Ale, czy... słuszne? Czy można coś budować na samej negacji?

— A jak pan chce uciec z więzienia, to ucieka pan tylko pod warunkiem, że na wolności dostanie pan dobrą posadę u fryzjera?

— Może... może... — Było poznać, że improwizacja Antona (bo to była prawdziwa improwizacja, która go nagle porwała, i sam się dziwił, że poprzednio nigdy tego w sobie nie sformułował) przypadła mu w gruncie do gustu. W głębokim przekonaniu był zresztą monarchistą. — Może, może... Tylko kto z takim programem wystąpi?

— A my.

— A kto go, mówiąc ordynarnie, sfinansuje?

— Niemcy, na pewno nie.

— Zachód też nie.

— A Churchill? — spytał nieśmiało Anton.

— To są, niestety, naiwności, które słyszał pan może od niektórych naszych przyjaciół i... przyjaciółek. Wróćmy jednak do pańskiej koncepcji. Czym pan tłumaczy, że nikt z „ludzi sowieckich”, którzy przeszli na tę stronę, a jest już ich miliony, z takim jednopunktowym programem dotychczas nie wystąpił? Pan jest odosobniony.

— Człowiek sowiecki, jak żaden inny człowiek na świecie do tego stopnia, wdrożony jest od dziecka mówić przede wszystkim to, czego od niego się oczekuje aby mówił. Żaden też inny nie potrafi tak w lot zgadywać, czego się od niego oczekuje. I to, sądzę, najbardziej wprowadza w błąd na zachodzie.

— Może, może. Trzeba by o tym jeszcze pogadać. Na razie konkretnie: kiedy pan jedzie do tego Mińska i kiedy pan wraca? Bo chciałbym nie tracić kontaktu. A w tej chwili przychodzi mi właśnie jedna myśl, to jest chciałbym panu zaproponować... Ale to już po pańskim powrocie.

— Wyjeżdżam zaraz. A jak wrócę to się zgłoszę. Nie pytam pana o nic konkretnego. O jedno tylko: czy dałoby się tak zrobić, żeby do Berlina już więcej nie wracać?

— Może, może...

LV

Co to jest czas, nikt nie wie. Kiedy się zaczął i czy może się skończyć. Czy zrodziła go przestrzeń, czy on zrodził prze-

strzeń? Czy jedno i drugie zależy od Ruchu, czy też Ruch powstał z przestrzeni i czasu? O tym można robić wykresy, ale nie można sobie wyobrazić. Na jedno sobie wyobrażenia pozwolić może, że trzy, cztery lata to mniej niż wyobrażalne mgnienie czasu. Ale to też, będzie tylko stwierdzenie nie wyobrażenie.

Lata wielkiej wojny wydają się długie, bo dla większości ludzi wielka wojna nie ma nic z wielkiej przygody. Pomiedzy zwycięstwem i klęską wloką się dni, tygodnie zabarykadowane godziną policyjną, zaciemnione przeciwlotniczym nakazem, pozbawione rozrywek, jutro jak wczoraj, jakby czas stanął w miejscu. Ale to nieprawda. Czas, instytucję boską, człowiek wyzyskuje dla swoich celów, na szkodę jednych, na korzyść drugich. W każdej chwili może spaść bomba i w każdej chwili czas się może zmienić. I o tym ludzie wiedzą, na to liczą. Dlatego nuda wojny nigdy nie bywa tak beznadziejną, jaką może być pokój nadziei pozbawiony. Bo w najkrwawszą nawet wojnę, gdy wszystkie tematy zdają się wyczerpane, niech będą nawet zakazane pod karą śmierci, pozostanie ten jeden: „kiedy skończy się wojna?” Aaa, wtedy!...

W beznadziejnym pokoju takiego tematu nie ma; jest tylko beznadziejność.

Jeszcze w marcu 1943, Ukraiński Komitet Centralny podjął starania utworzenia dywizji ukraińskiej „Hałyczyna”. Niemcy zezwolenie dali. Rozpisano pobór ochotników. Dywizja uniknęła na razie deportacji na fronty zachodniej Europy, gdyż udało się ją, podobnie jak kilka innych formacji tego typu, włączyć do „Broni SS”. W ten sposób powstała 14-ta grenadierska dywizja „Waffen SS — Galizien”. W zamysłach polityków ukraińskich stanowić miała załóżek i kadre przyszłej, regularnej ukraińskiej armii wyzwoleniczej. Równoległe do partyzantki UPA, która już jawnie zaczęła działać na trzy fronty jednocześnie, strzelając zarówno do bolszewików, Niemców i Polaków.

Ten wzór ukraiński stanowił ideał, który osiągnąć chcieli również politycy białoruscy w Mińsku. Ale czasu było za mało; oj, mało! — „Centralny Sztab Dywersji” w Moskwie wyznaczył Białoruś na trasę najdogodniejszego uderzenia na tyły frontu niemieckiego. „Białoruski Korpus Samoobrony” nie posiadał w tych warunkach możliwości rozwinięcia nie tylko w dywizję, lecz chociażby w regularny pułk. Już po prostu z tego względu, że zaplecze kraju dla poboru ochotników, było w praktyce niedostępne.

Gdy Anton Panisienko przybył do Mińska, zastał tam położenie wyspy wśród zwichrzonego morza partyzantki leśnej. Dostępne były jeszcze główne arterie komunikacyjne. Ale na ubezpieczenie ich szło wszystko, co dało się wycisnąć z resztek od-

działów tyłowych i policyjnych, i resztek antysowieckiej postawy ludności. Mimo ciągłych utarczek, wykrycia i unieszkodliwienia w ciągu dwóch ostatnich miesięcy 8.620 min, założonych przez partyzantów sowieckich, w jednym tylko sierpniu wybuchło ich pod pociągami 1.392; zaś we wrześniu 1,256. W tym samym czasie na drogach kołowych: 34.655 min. Całkowitemu zniszczeniu uległy 343 pociągi i 47 mostów, oraz niezliczona ilość pojazdów mechanicznych. — Dalej, w przestrzeń od szyn kolejowych i zasięków drogowych, zaraz za pasmem wyciętego po obu stronach lasu, zaczynał się już wszechwładny chaos. Bywało, krwawą łuną przechodziły tu i ówdzie oddziały karne, paląc wsie, rozstrzelując ludność. Ale o opanowaniu kraju i ściągnięciu kontyngentów rolnych, chociażby w najbliższych okolicach Mińska, nie mogło być już mowy.

Anton wysiadł na dworcu, wciągnął pełną garścią rodzime powietrze do płuca i wolnym krokiem skierował się do domu ojca.



Grupa działaczy białoruskich, w obliczu nieziszczalności ich ambicji i planów narodowych, już od początku okupacji niemieckiej postanowiła realizować cokolwiek, co mogło być dopuszczalne w ciasnych ramach Zivilverwaltung. Jedną z takich dopuszczalnych dziedzin zdawała się narodowa białoruska Cerkiew. Pomysł utworzenia autokefalii białoruskiej, w oderwaniu od jurysdykcji moskiewskiej, nawet bardzo się spodobał Rosenbergowi. Nakazał przyspieszyć realizację tego projektu.

Rok już z okładem temu, 19 marca 1942 roku, generalny komisarz Białorusi, Kube, wezwał do siebie metropolitę Pantelejmona. Dnia tego Kube był w stanie wyraźnego podrażnienia. Jak później poszeptywano, przyczyną tego rozdrażnienia była głośna i bardzo nieprzyjemna rozmowa z żoną na temat pewnej jego służącej, dwojga imion Maryna, Galina, i jej co najmniej dwuznacznej roli. Pani Kube groziła podobno wyjazdem do Berlina. — „Czy ona jest służącą, czy...!”, miała wykrzyknąć. Generalny komisarz trzasnął drzwiami, poszedł do swego gabinetu i rozkazał wezwać czekającego w poczekalni metropolitę.

— Nie pozwalam — powiedział — na używanie nazwy „Święta Prawosławna Cerkiew”! Co to za nazwa. Od tej chwili nie wolno używać innej nazwy, jak... zaraz — znalazł na biurku papierek i odczytał: — „Białoruska Autokefalna Prawosławna Narodowa Cerkiew”.

Metropolita łagodnie, po biskupiemu, wyłożył kanoniczne warunki wymagane dla utworzenia autokefalii: zwołanie soboru bis-

kupów, uznanie w modlitwie przez siostrzane Cerkwie autokefalii, uzyskanie „tomosu” od patriarchy ekumenicznego w Konstantynopolu.

— Ma się nazywać jak powiedziałem!

Metropolita zwrócił uwagę, iż nazwa niezgodna będzie z prawem kanonicznym. Poza tym przymiotnik „narodowa” jest w każdym wypadku dziwołagiem, nawet w wypadku uznania kanoniczności przez...

— Więc dobrze. „Narodowa” można wyrzucić. Ale od dzisiaj jest „autokefalna”.

Wobec takiego rozkazu, metropolita Pantelejmon kazał zrobić dwa rodzaje nadruków. W korespondencji z generalnym komisarzatem używał tego z dopiskiem „autokefalna”, zaś w korespondencji administracyjno-kościelnej, bez tego dopisku. Wkrótce potem wpłynął donos, oskarżający go że jest „rusofilem”, wrogiem białoruskości, zdecydowanym przeciwnikiem autokefalii. 1 czerwca 1942, kierownik wydziału politycznego, Jurda, wezwał do siebie metropolitę Pantelejmona i zawiadomił go, że odwieziony zostanie do klasztoru w Ładach w bliskości Smołowicz, „na odpoczynek”. A w zastępstwie, władzę metropolitalną spełniać będzie arcybiskup Fiłafiej.

Ale ani ta zmiana, ani nakaz władz niemieckich nie mogły zastąpić warunków kanonicznych niezbędnych do utworzenia autokefalii. Arcybiskup Fiłafiej nic nie mógł zrobić, a jak twierdzili nacjonaliści białoruscy, nie chciał zrobić. Był wprawdzie przeciwnikiem usuniętego metropolity, ale wyłącznie z pobudek personalnych. Poszły więc do władz niemieckich następane donosy, że Fiłafiej jest jeszcze gorszym rusofilem od Pantelejmona. Że poza tym pozostaje w kontakcie, czy zgoła w zмовie, z arcybiskupem ryskim Sergiuszem, który choć udaje antybolszewika i odprawiał modły za zwycięstwo oręża niemieckiego, trzyma się wiernie do dziś, jurysdykcji moskiewskiej; że zatem z dwojga złego, lepiej już pozwolić na powrót dawnego metropolity, który przynajmniej osobiście jest człowiekiem uczciwym i prawym.

W tym czasie, wskutek postępów ofensywy sowieckiej, metropolita Pantelejmon przeniesiony został z klasztoru w Ładach bardziej na zachód, do miasteczka Wilejka, na byłym terytorium Polski. Pertraktacje trwały długo, a sprawa ustanowienia autokefalii nie posuwała się naprzód. W międzyczasie, generalny komisarz Kube, po przedstawieniu mu niezbitych dowodów przez komendanta policji Straucha, zezwolił na aresztowanie dr. Iwana Jermaczenki, poprzednio bardzo przez siebie protegowanego, przewodniczącego białoruskich „Mężów Zaufania”. Jermaczenko zajmował się jednak bardziej przemytem złota do Pragi, niżli spra-

wami politycznymi. Grupa „Mężów Zaufania” została rozwiązana, a na jej miejsce powołana „Rada Zaufania”, której przewodniczącym mianowany został dotychczasowy burmistrz Mińska, profesor Wacław Iwanowski. Z kolei wpłynęło do władz niemieckich kilka donosów, oskarżających Iwanowskiego, tym razem o „polonofilizm”. Kube donosy te zignorował. Aż wreszcie, 16 kwietnia 1943, zdecydował sprowadzić metropolitę Pantelejmona z powrotem do Mińska.

Wśród prawosławnej ludności cieszył się on istotnie opinią człowieka prawego. Teraz popularność jego wzrosła ogromnie. Uznany za ofiarę ukrytych intryg, owiany nimbem męczennika za prawdę.

W takim to czasie matka pewnej młodej dziewczyny, zatrudnionej w charakterze prywatnej służącej u pani i pana Kube, wpadła na pomysł, aby w bezradności swej, paść do nóg świętobliwego metropolity, i prosić go o pomoc i radę, w bardzo dla niej trudnej, ludzkiej sprawie.



Do metropolity Uliany Mazaniuk nie dopuszczono. — „Nie ma dzisiaj czasu na prywatne sprawy”, powiedziano jej „Co? Cierpienia serca i duszy? Dziś cierpi wszystek naród, wszystkie narody świata!” — Wyszła zgnębiona, ze słabą nadzieją, że uda się jej może innym razem trafić na bardziej łagodnego pracownika metropolitalnej kancelarii, gdy właśnie na ulicy zaczęły się dziać rzeczy straszne...

Oddziały policji i SS biegiem zaciągały się posterunków! — „Czyżby spodziewane przez nią najgorsze, już się stało?...” — Gdzieś padł jeden, drugi strzał. Skądś dochodziły rozdzierające krzyki, lamenty. Jakby w odpowiedzi, straszne, gardłowe, tak dobrze jej znane wrzaski gestapowców. Kobieta rzuciła się, aby przeskoczyć ulicę, dostrzegła zamykający ją kordon hełmów, zawróciła; nie wiedziała co się dzieje, ale wiedziała że to coś z tych rzeczy bezlitośnych, w których nie bywa czasu na wylegitymowanie się, wytłumaczenie, wysłuchanie, coś z tych rzeczy masowych. Poczwała jak rozluźnia się w niej wszystko ze zwierzęcego strachu... Już ktoś wrzeszczał do niej, wymachując pistoletem! W ostatnim porywie instynktu, skoczyła do sztachet ogrodowych, gdy właśnie Władimir Panisienko śpiesznie zatrząskiwał bramę.

— Ty gdzie?!... — zdążył na nią jeszcze krzyknąć. Jej brakło tchu żeby odpowiedzieć, poruszyła tylko wargami jak ryba łapiąca powietrze. Na szczęście on znał Ulianę Siemionownę Mazaniuk. Nie bardzo dobrze, raczej przelotnie; po coś zachodziła

kiedyś częściej do żony. Słowem poznał-nie-poznał, nie był jednak złym człowiekiem. Ona wpadła do krzaków, żeby wysuszyć się ze strachu; jemu śpieszyło się zaryglować bramę. W ten sposób zabrał ją bladą, spotniałą, z chustką opadłą na plecy, z rozczochranymi włosami, do siebie, do mieszkania.

Żony Władimir Leonidowicz już nie miał. Chodziła, chodziła aż wychodziła... Ciągle gdzieś na wieś po szmugiel produktów. Spekulacja weszła jej w krew, jak innym wchodzi nałóg do kart. Od lipca nie powróciła. Ktoś opowiadał wkrótce potem, że zastrzelona została podczas obławy, gdy uciekała do lasu, jeszcze ciągnąc worek, nie puszczając z ręki, do ostatniej chwili. To być mogło. Stary wysłuchał wtedy ponuro, milcząc. Po wyjściu zwiastuna złej wieści, przeżegnał się na ikonę, siadł i patrzył przez długi czas w drzwi, jakby czekał że poruszy się w nich klamka... Później już, ktoś inny mówił mu, że słyszał jakoby żyje, tylko zagarnięta przez partyzantów. To być mogło. Do syna, do Berlina, nie napisał o tym. Nie bardzo wiedział jak napisać, i nie chciał, a i bał się trochę pisać. Cenzura przecie straszna.

Teraz, w ten znowu upiorny dzień, toczący się strzałami na ulicach, po pierwszym zaskoczeniu rad był nawet — nie przyznając się do tego — że nie jest sam w izbie, ma do kogo usta otworzyć.

Co się akurat stało, stary Panisienko nie wiedział. Słyszał, mówił, jakiś przed tym silny wybuch. Czy czasem nie partyzanci werwali się do miasta.

— Niech Bóg strzeże... Niech Bóg strzeże... — wyszeptwała kobieta.

I jeszcze słyszał on od przebiegającego znajomka, że jakoby całe dwie ulice w Puszczyńskim Posiołku oczyszczają.

— Niech Bóg i Bogurodzica strzeże... — wyszeptwała.

Cóż było tak siedzieć za pustym stołem. Stary pogrzebał w szafie i wydobył, że to była kobieta, nie zwyczajnego samogonu, ale nalewki. Nalał do kieliszków dla kurazu. Bo wciąż, choć zdala, ale wyraźnie dochodziły pojedyncze strzały i gdzieś pytłował automat.

— O cokolwiek musiało pójść. Tak z niczego nie poszło. — Jakby sobie przypominając, zapytał: — A skąd tu akurat, w taką porę, wzięłaś się, Siemionowna? Pod domem metropolitalnym.

I oto pod wpływem przeżytego strachu, wypitej wódki, pod wpływem strzałów dochodzących z ulic, odtrącona przed chwilą w kancelarii metropolitalnej, wyznała kobieta to, co w innych okolicznościach, w największej nawet bezradności nie wyznałaby innemu człowiekowi w tych czasach. Wyznała, że chciała pójść

prosić-błagać rady jakiejś u świętobliwego pasterza... Ale jej nie dopuścili.

— Nie może on — przetań surowo wąsy Panisienko — każdego przyjmować z ulicy. Nie te czasy. Nie carskie czasy, kiedy każdy robił co chciał. Teraz każdy krok, jak pod Sowietami, pod nadzorem. A może ktoś przyjdzie jego zabić; a może ktoś jutro kogoś zabije, a dziś był u metropolity. A? Odpowiedzialność. A u Niemców rozmowa krótka. Słysz, co dzieje się za oknami.

Ona słyszała. Wypiła jeszcze i dlatego zaczęła ciągnąć swą opowieść o tym jak doszło do tego, że nie widziała już innego wyjścia, jak pójść szukać rady... Od dłuższego czasu przystali do niej, zaczęli ją nachodzić. Najpierw związane z podpoljem, Sonia Kunicka ze wsi Januskowicze, Jadzia Dubińska — („Ty znasz żesz ją chyba? Tutejsza ona, na Dobrolubowskim Przejęździe mieszka”) — później Mikoła Bakunowicz. A później nieznanymi od partyzantów, z lasu... Najpierw tak sobie. A potem z żądaniem: żeby ona z młodszą córką, do nich przeniosła się, do lasu. „Wdowa jesteś, mówią, co tu z siebie. A nam obiad będziesz gotować”, żartują. Myślała na żartach się skończy. Ale już zmiarkowała coś niedobrego.

— Ty przecie wiesz, Leonidowicz, moja starsza córka u samego generalnego komisarza za służącą służy.

— Aaa... — dopiero teraz przypomniał sobie i zrozumiał od razu.

— No to, jak widzisz. A najgorsza to ta koleżanka mojej Galiny, Nina. Że ona agentką u partyzantów, wiadomo było. Mówię ja nieraz córce: „Nie chodź ty do niej, nie rozmawiaj, powiedz że czasu nie masz”. To ta sama zaczęła ją nachodzić...

— Zaraz, ale córka Galina, czy ona Maryna? Przecież zamężna, zdaje się była?

— Otóż to najgorsze. Z mężem ona prawie tak jak rozejść się miała, jeszcze przed wojną. Akurat wojna i jego zmobilizowali do krasnej armii. To trzy tygodnie temu przychodzi ta Nina i mówi: „Wzywa ciebie taka to kobieta. Ma wiadomość od męża. Idź do wsi Drozdy”.

— Jakie to Drozdy?

— Te, niedaleko stąd. I ona poszła jak głupia. A tam nic od męża, tylko partyzanci zaprowadzili do chaty i powiedzieli tak: „Na ciebie padł wielki los, za który towarzysz Stalin osobiście, partia i ojczyzna obdarzy ciebie orderem bohatera Związku Sowieckiego. Musisz zabić samego Kube”. Ot jak. „My, mówią, wiemy żeś służyła tylko z przymusu, a w gruncie dobra z ciebie

dziewczyna. Ale wszystko jedno obmyć musisz hańbę, jaka na tobie ciąży...” I w takich słowach, jak to u nich.

Panisienko kiwnął ze zrozumieniem głową.

— Dwa tygodnie — ciągnęła Uliana — ona ani słówka nie powiedziała. Ale na trzeci nie wytrzymała: „Mama, poradź, co zrobić!” i ze łzami do mnie. Cóż ja jej poradzę! A tu wczoraj przyszedł do mnie jeden i już nie żartem jak kiedyś, ale wprost: „Musisz na córkę wpłynąć, inaczej...” Nu, słowem dał do zrozumienia, że i jej i nam wszystkim koniec będzie. Ja to sama wiem, że koniec. I co robić? Niemcom odkryć, ich o opiekę prosić, to śmiechu warte. Ty sam wiesz, Leonidowicz, jaka ich opieka ta. Żadna. Oni człowieka w cenie nie mają. Co im tam nasze życie. Uciec stąd w inne strony. Nie ma gdzie ukryć się. Zabijają partyzany, to jak wody dać.

Panisienko przytaknął skinieniem głowy.

— A poza tym i ten Kube, czy on zechce pomóc... Słyszałam, inną sobie już upatrzył, zresztą i żonę ma... Niczego sobie ta jego żona, widziałam. Owszem, kobieta jakby sprawiedliwa, i sukienek różnych obdarowała i tak różnymi rzeczami. Ależ w końcu, jakby nie było, żona, ona. No a teraz, wykonać taką rzecz i do partyzantów podać się, wiesz, życie zgubione. W błotach badziać się, w rojstach, na zawsze już chyba. Już nie mówiąc, że Niemcy mogą złapać i powiesić. A kiedy ta wojna skończy się, Bóg raczy wiedzieć.

— „Wykonać”, mówisz. To czyż to robota dla dziewczyny?

— Robota, to ona sama, głupstwo. Gotową już bombę, z takim nastawieniem na godzinę, pod łóżko z wieczora położyć wymagają i cała robota. To jej nie trudno by było. Masierozumieć ryzyk, ale nie wielki. Rzecz nie w tym. Ale co robić, co robić? Nikogo poradzić się na świecie. No to zmyśliłam do metropolity pójść, jak na spowiedzi o radę zapytać. Święty on, mówią, człowiek za prawdę cierpiał... Zabijają nas wszystkich, Leonidowicz. Poradź co zrobić? — Rozszlochała się. Podziała na nią wódka, może dawno nie piła.

Stary Panisienko nie od razu odpowiedział. Wypił duszkiem resztę ze swego kieliszka, wierzchem dłoni wytarł wargi, później przyglądał wąsy i brodę, spojrzął w bok, jak gdyby gdzieś między rupieciami domowymi szukał odpowiedzi. I wreszcie przemówił, ważąc każde słowo.

— Jaka może być rada. Rady, ja tu, żadnej i nie widzę.

Strzelanina z ulic dawno już nie dochodziła. Ale czas był niespokojny, godzina policyjna, zwana w Mińsku dłaczegoś „godziną komendancką”, zbliżała się. W ten sposób przy wódce, przesiedzieli i przegadali noc całą. Ona mówiła o mężu niebosz-

czyku, o drugiej córce młodszej, o starszej córce... On mówił o żonie, która zginęła i chyba nie żyje. O spekulacjach mówili, w których zawsze ktoś inny dochodził do pieniędzy. On mówił o synie, któremu udało się do Berlina pojechać i dobre miejsce dostać. Czas jakby stanął w miejscu, aż raptem zaczęło świtać. — Panisienko ostrożnie wyjrzał oknem z drugiego pokoju. Przed oknem leżał trup, twarzą do chodnika.

Na drugi dzień było już wiadomo, że partyzanci dokonali zamachu bombowego na policyjne kasyno podoficerskie. Zginęło kilku podoficerów. W odpowiedzi otoczono całą dzielnicę, spędzono bez wyboru i legitymowania około, mówiono, 300 ludzi i rozstrzelano na miejscu. Pomiędzy nimi, mówiono, kobiety i nawet dzieci. Trzeciego dnia mówiono, ale to już na pewno, że wśród rozstrzelanych na poczekaniu, znalazł się również pracownik generalnego komisariatu, który przypadkowo przechodził ulicą. — „I miała rację kobieta, pomyślał stary Panisienko, że ratowała się wskakując za bramę. Nie pomogłoby jej powoływać się na córkę... Czy ona Galina, czy Maryna?” — Generalnego komisarza Kube nie było wtedy w mieście. Od kilku dni bawił czegoś w Baranowiczach.



Anton przyjechał, rozejrzał się po mieszkaniu i pierwsze co zapytał:

— A gdzie mama?

Stary wciągnął powietrze nosem i narazie, ostrożnie, odpowiedział:

— A któż ją wie... — A później dodał: — W taki czas.

— W jaki czas?! — rzucił z bezwiednym rozdrażnieniem Anton.

— Nie równy czas.

LVI

Przez otwarte okna czuło się jesień. Niezwykle ciepłą, pachnącą jabłkami. Na błękitnym niebie sunęły obłoczki tak wolno, iż zdawało się niebo płynie wraz nimi, daleko, mimo ziemi, która stoi w miejscu. Wyjdiesz na ganek i zamyślisz się.

Upłynęło trochę czasu od tamtego wypadku. Uliana Siemionowa siedziała na ganku i skrobała kartofle, gdy nagle naszło

na nią przerażenie: Co ona zrobiła najlepszego, ujawniając staremu Panisience swoją tajemnicę! Przecież on może liczyć, że ona nie wytrzyma, i pójdzie do Niemców oddać się pod ich opiekę i wyjawy spiszek, żeby ratować córkę i siebie. Wtedy zapytać ją mogą w Gestapo, czy komu o tym jeszcze mówiła? Owszem, mówiła, takiemu to, Panisience. A on milczał? Wezmą i powieszają jego za milczenie. Czy on może być pewny, że tak nie będzie? Nie, pewny być nie może. W dzisiejszych czasach człowiek nie jest pewny samego siebie. A więc, ze strachu chociażby może zechcieć ją uprzedzić i pójdzie sam z donosem do Niemców. A wtedy przepadła i jej głowa i córek! A teraz weźmy na wywrót: Jeżeli on może spodziewać się, że córka w końcu ulegnie naciskowi partyzantów i zechce zamach wykonać, to przecie powinien liczyć się z tym, że dla zabezpieczenia takiej rzeczy, trzeba najpierw zastrzelić człowieka, który o tym wie, i który mógłby wydać, zerwać zadanie. Więc matka może donieść na niego sama partyzantom, dla ratowania swojej i córek głowy. Jeżeli on, Bóg jego święty wie, więcej boi się partyzantów niż Niemców, to może dla ratowania własnej głowy, związać się z nimi (a może już ma jaki związek?), i donieść im zawczasu o tym co mówiła jemu. A wtedy przepadła jej głowa i córek!...

W końcu pomieszały się jej te wszystkie rachunki, i logiczne obliczenia w tę i wewtę. Wiedziała tylko o jednym, że tak źle i tak niedobrze. Zalała wodą obrane kartofle w saganie, narzuciła chustkę i pobiegła do Panisienki.

W mieszkaniu zastała syna. Obrzuciła go ledwo wzrokiem i do ojca:

— Władimir Leonidowicz, ja do was na jedno słówko.

Wyszli na dziedziniec.

— Leonidowicz... Władimir Leonidowicz! Na miłość Boga i rany Chrystusa! — przeżegnała się szybkim skreśleniem krzyża. — Ja onegdaj, wtedy wam opowiedziałam... — Zabrakło jej tchu. — Na Matkę Dziewicę Przenajświętszą...

Stary już też o takich ewentualnościach w tę i wewtę myślał z troską w swej skołatanej głowie. Teraz schylił się, aby spod nog podjąć łopatę rzuconą na ścieżkę, wyprostował się.

— Ani ja co słyszałem kiedykolwiek, ani ja co wiem o jakimś opowiadaniu. — Postawił łopatę w kąt załamania muru.

Mazaniuk uspokoiła się nagle, jak nagle uprzednio się przerażała. W jego głosie brzmiała taka pewność, jakby istotnie żadnej rozmowy nigdy nie było. I w tym momencie prawie radosnej otuchy, jaka w nią wstąpiła, olśniła ją raptowna, nowa myśl! Ach, jaka dobra, rozumna myśl: zobaczyła przecie w mieszkaniu syna i przypomniała co ojciec mówił, wtedy, przy wódce, o jego dobrej

posadzie w Berlinie, daleko, daleko stąd. Więc: „Żeby syn, Anton ten, wystarał się dla jej córki o jakąś posesję tam, w Niemczech, bądź jaką, gdzie sam pracuje i zabrać ją ze sobą...” — Jej nagłym terkotaniem, stary był ogłuszony.

— To co on, ją za żonę weźmie, czy tak...

— A niech za żonę, niech tak... Niech siak. Wtedy ona bezpieczna, a my nie odpowiedzialne!

Stary wzruszył ramionami. Ale od tej chwili nawiązała się misterna intryga, spleciona przez zapobiegliwą matkę i Anton istotnie poznał Marynę Galinę.



Była ładna, młoda, choć zawsze prawie poważna. To znaczy, zbyt rzadko się uśmiechała. Raczej wysoka, włosy ciemno blond. Silna, ale szczupła. Drobne piegi u nasady nosa nie brzydziły jej. Przeważnie małowówna. Korale na otwartej szyi. Podobała mu się od pierwszego wejrzenia, jak się podoba kobieta mężczyźnie w stanie spragnienia, po utracie niedoszłej miłości, czy nagle nastającej wokół niego pustce. Nie był to z jego strony rodzaj powetowania po doznanym zawodzie; raczej dalszy ciąg tej samej tęsknoty.

Galina mieszkała w parterowej oficynie, na lewo od głównego gmachu generalnego komisariatu, ale dojście do niej nie było kontrolowane i łatwe. Oficyna podzielona była na mieszkanie z ganeczkami. Ganek Galiny oplątało dzikie wino, teraz w czerwonych liściach i już czerniejących gronach. Wewnątrz było też dziwnie dużo roślin w jej pokoju: doniczki z kaktusami, kwiaty. Natomiast meblowanie skromne. Stół, dwa krzesła wyplatane, szafa i tapczan. Z pierwszej wizyty zapamiętał liście filodendronu zwieszające się nad stołem, a na stole wielkiego komara, który leżał w pozie zestrzelonego samolotu. Raz siedzieli w ogródku na ławce. Raz szli, trzymając się nawet za ręce, przez park im. Gorkiego.

— Ja nazywam się Maryna, nie Galina — powiedziała mu, dłaczę z westchnieniem. — Jak daleko teraz front, stąd?

— Blisko — odpowiedział, patrząc z uśmiechem w jej nieuśmiechnięte usta.

Westchnęła znowu i odwróciła głowę.

— A dlaczego: Maryna? — spytał.

— Et, czy nie wszystko jedno.

— To prawda, że wszystko jedno.

Szli milcząc. On próbował po dziecinnemu rozhuścić złączone ręce. Ona poddała swoją bez oporu.

— Nie. Chyba z tego nic nie wyjdzie — powiedziała w zamysleniu. — Mama to zawsze coś wymyśli, nie z tego świata.

— Teraz to nie mamy twojej już rzecz, a moja własna, sercowa.

Wyzwoliła dłoń z jego uścisku, zerwała liść z krzaku i przygryzła, patrząc przed siebie. Źródła jej troski Anton nie znał. Ojciec bał się powiedzieć.

— Mnie teraz nie do flirtów, wiesz — wyrwała liść z zębów i rzuciła na ścieżkę.



Na memoriał i pismo z prośbą o uznanie białoruskiej prawosławnej autokefalii, podpisane przez z łaski Bożej metropolitę Pantelejmona; pokornego Fiłafieja arcybiskupa mohylewskiego i mścisławskiego; pokornego Afanasija biskupa witebskiego i połockiego — Jego Prześwietobliwość patriarcha ekumeniczny w Konstantynopolu, nie raczył odpowiedzieć.



— Co to za malczyk do ciebie chodzi? — zapytał Chariton Aleksandrowicz Chatagow, rozpierając się u niej niedbale na wyplatany krzesle.

Ona prostowała na stole, na podestany kocu, białą halkę; ujęła stojące na cegle żelazko węglowe, pośliniła palec, dotknęła dna, co wydało ledwo dosłyszalny, szypiący dźwięk i zaczęła szybko prasować, wyrównując lewą dłonią fałdy.

— A? Maryna? — powtórzył.

— Tutejszy. To mamy stara znajomość ta rodzina. Dawno przed wojną.

— A od kiedy synalek wziął się tu raptem? Przed tym nie widać było.

— Przyjechał skądś.

— Skąd?

Postawiła żelazko na cegle, odrzuciła wysuszoną halkę, odwróciła na drugą stronę, nabrała z blaszanego kubka wody do ust, jednym dmuchnięciem spryskała i znowu się pochyliła nad prasowaniem.

— Ja wiem?... Nie pytałam.

— Czasem trzeba pytać, Galina.

Bała się jego. Bardzo wysoki i wyjątkowo chudy Osetyniec, żylasty, na oko można by dać mu było równie dobrze lat trzydzieści, czterdzieści, jak pięćdziesiąt. Zmarszczki twarzy nie po-

zwały dokładnie rozeznąć wieku, tyle że nie były to zmarszczki starości. Skądciś znał on dosyć dobrze język niemiecki i już w roku 1941 wśliznął się na służbę niemiecką, co mu tym łatwiej przyszło że był kaukazykiem, czyli należał — jak się kiedyś sam złośliwie wyraził: — „do najbardziej uprzywilejowanych Untermensch'ów”. Z czasem zdobył sobie tyle zaufania, że można było powiedzieć, iż robił karierę w generalnym komisariacie. Jego właściwej roli dziewczyna zaczęła się domyślać już wcześniej, bodaj od zimy 1942. Być może inni też. Ale też wiadomo było, że ktośkolwiek próbował na niego złożyć donos, sam ginął w Gestapo jako „agent sowiecki”. Dlatego bała się go podwójnie. Bała się bardzo, bardziej niż Gestapo i bardziej niż teraz jawnych agentów sowieckich. — Skręcił papierosa, uważnie przyglądając się swym pożółkłym palcom i nie pytał więcej. I ona wiedziała dlaczego nie pytał. Bo już wie, albo będzie wiedział i bez jej wyjaśnień. Zapytał natomiast od niechcienia, wciąż nie odrywając wzroku od tych pożółkłych palców:

— Kube, zabrał wyjeżdżając do Baranowicz, tę swoją nową blondynkę? Jak jej, Anastazja? — Umyślnie przekręcił, bo wiedział że Akulina.

Dziewczyna zacięła usta. Bała się, ale może jeszcze więcej nienawidziła go. I nagle nie wytrzymała. Zdradzając wszystką nienawiść w głosie, rzuciła:

— Ty czemu pytasz? Do czego ma być to pytanie?

— Ech, dziewczęta. Nie ma w was godności za paznokieć.

— Wstał, zapalił skręconego papierosa. — Do widzenia, na razie. Nie odpowiedziała.

Anton, sowiecki przecie człowiek, a wydawał się jej chwilami naiwny jak dziecko. Żeby nawet uwierzyła, że się w niej raptem zakochał, to co z tego? Mówił o rzeczach, jakby nie zdawał sobie sprawy że wszyscy chodzą — gorzej niż w cyrku — bo po drucie ale rozpalonym do czerwoności.

— Ty czytałaś Dostojewskiego? — pytał raz, gdy zgodziła się z nim wyjść, bo wolała żeby u niej nie przesiadywał za długo, a później żałowała swego postanowienia, gdy szli ulicą Engelsa do Centralnego Skweru, na oczach każdego.

— Czytałam i nie. Czytałam i zapomniałam. Zabroniony był kiedyś. Może ktoś pożyczył przed wojną starą książkę. Już nie pamiętam.

— A ja teraz czytałem drugi raz, w Berlinie, emigracyjne wydanie „Braci Karamazowych”. Taki lokaj epilektyk, Smierdiakow, może pamiętasz? Bóg wie jak dawne czasy, a przygrywał na

gitarze do piosenki, gdyby dziś, powiedziano by, tam na zachodzie: ultra-modern, awangardowa:

*„Niepokonaną siłą,
Przykuty jestem do mitej...
Gospodi pomiiituj...
I ja, i mnie,
I ja, i mnie,
I ja, i mnie...”*

— To czemu ona moderna?

— Łamanie tradycji, przez lekceważące łączenie elementów niewspółmiernych, kontrastowych. Bo ja wiem, zresztą, nie specjalista jestem, a tak jakoś fonetycznie słyszę:

*„Cesarska korona,
Byłab' tylko moja miła zdrowa,
Gospodi pomiiituj...
I ja, i mnie,
I ja, i mnie,
I ja, i mnie...”*

Miał ładny głos, gdy tak śpiewał cicho. — Widzisz, włączenie patosu cerkiewnego do miłostki na ławce ogrodowej.

— Nie wiem. To dekadentstwo, chyba.

— Tyś się gdzie uczyła? Że takie słowa znasz?

— Ot, sztuka. W szkole. Kursy wieczorowe. Miałam na uniwersytet wstąpić.

— No widzisz. A teraz jesteś służącą... Czasy. Taki Smierdiakow, lokaj, bękart, niby kretyń. A siedział sobie na ławce z gitarą, z kochanką rozparty w sadzie, i prawił głośno, że szkoda iż Napoleon nie podbił i nie zajął całej Rosji. Nawet mu do głowy by nie przyszło, że ona może wstać i pobiec z donosem do jakiej tam ochrony. I jej nie przyszłoby do głowy. I Dostojewskiemu nie przyszłoby. I czytelnikom... Jedź ze mną.

— I co dalej?

— I nic. A nuż uda się przeczekać do jakichś innych czasów.

Ją coś ścisnęło za gardło. Mało brakowało a łzy by wystąpiły w oczach. Może, gdyby raptownym zezem w lewo nie dojrzała kogoś między drzewami. Kosztowało ją chwilę, aby się przemóc. A potem przełknęła ślinę i powiedziała:

— Ot co, Anton, co chciałam ja ciebie prosić: nie przychodź ty już więcej do mnie.

Uderzenie jak kamieniem po głowie. Rozchylił usta. Ona się połapała, że to może za obcesowo z jej strony. Złagodziła:

— Przynajmniej przez pewien czas. Dobrze? A ja przez ten czas pomyślę. — I nagle strasznie szkoda się jej zrobiło tego rozstania. W oczach zamigotało nieprzytulne wnętrze lasu, jakby wilgocią powiało w twarz. Wzięła go za rękę, z boku, niezgrabnie jakoś. — To dla ciebie będzie lepiej... Dla ciebie.

Było to 19 września w południe. Wypadki potoczyły się szybko. W nocy na 20, przed tonący w opadających liściach domek przy ulicy Rabkorowskiej, zajęchała średniej wielkości kryta brezentem ciężarówka. Wysiadło z niej czterech ludzi w mundurach niemieckich. Piąty pozostał przy kierownicy. Furtka w drewnianych sztachetach była zamknięta. Chatagow prawym ramieniem, pomagając kolaniem, wysadził ją z zawiasów bez hałasu. Domek nic nie widział, domek spał z oczami zamkniętymi przez okienice. Trzej w mundurach pozostali w ogródku. Chatagow sam zapukał, dał się poznać przez drzwi, kazał otworzyć i wszedł do środka.

— Zbierajcie się, obywatelki, szybko! Słowa na później. Nie ma czasu.

Uliana Siemionowna nawet nie próbowała go tracić na darmo. Nawet na czarne myśli w tę czarną noc szkoda była czasu. Przywykłym ruchem zaszczytanych ludzi, chwyciła odzież, coś z najpotrzebniejszych rzeczy. Jej młodsza córka czyniła to samo, jak czyni opierzony już młody ptak, naśladowując ruchy doświadczonej matki.

— Mama, wziąć czajnik?

— Nie trzeba! — Przerwał Chatagow. — Niczego zbytecznego brać nie trzeba. Prędko! — A widząc ich posłuszne, śpieszne krzątanie, dodał wspaniałomyślnie: — Pojedziecie do „rodzinne-
go obozu”. Tam wszystko jest. A ot, młoduca, ta pewnie zechce wstąpić do „bojowej żeńskiej grupy”. Marfa?

— Tak.

— Na order zasłużysz, Marfa.

„Ach, więc to jest tak... — pomyślała dopiero Uliana — więc to prawda, co o Chatagowie, Charitonie Aleksandrowiczu, szepta-
no. To znaczy nie do niemieckiego, lecz do bolszewickiego obozu. Nie wszystko jedno...” — I gdyby miała czas na zdziwienie, to by się na pewno zdziwiła brakiem własnego zdziwienia.

Na dworze owiało je świeżością jesiennej nocy, jeszcze cieplej. Pod nogami szeleściły liście nie żegnanego obejścia. Bok księżycza oświetlał bok nieruchomej chmury. Było bezwietrznie, cicho na ziemi, cichością na wszystko obojętnego losu. Niosła toboń niewygodnie trzymając z przodu, na brzuchu, i gdy żołnierz wrzucił

go do środka i podsadził ją samą z tyłu do maszyny, cedząc przez zęby: — „Uliezaj! Szparko!” — To już przecie wiedziała, że to partyzanci przebrani w mundury niemieckie.

Tego samego dnia w obiad przyszedł do Galiny Kostia Głaz, którego poznała swojego czasu we wsi Drozdy i odtąd odwiedzający ją kilkakrotnie. Był młody, chmurny i zawsze bardzo rzeczowy.

— No, jak?

Od razu odechciało się jej jeść.

— Sama nie wiem...

— Czego nie wiesz?

— Strasznowato, jakoś...

— Twoja wola. O matce, siostrze, wiesz? — Z wyrazu jej twarzy odczytał, że wie, więc nie czekał na odpowiedź: — Postanowienie zapadło. Jeżeli nie wykonasz wyroku partii, tamte — uczynił ruch podbródkiem w kierunku doniczek pelargonii na oknie — odpowiedzą za ciebie. A i twoje życie od tej chwili... Masz czas jeden dzień do namysłu. — Wstał.

Ona, nie jedząc, patrzyła ze wstrętem jak kartoflanka w talerzu przed nią pokrywała się stygnącą, marszczącą pokrywą tłuszczu i mącznej zaprawki.

— Dobrze — powiedziała cicho, nie odrywając oczu od tej zmarszczonej powierzchni. A potem słuchała, gdy mówił krótko i rzeczowo:

— Wiemy, że jest nadany telefonogram z Baranowicz. Kube wraca 21 wieczorem. Będzie tu około godziny 10-tej. Zmęczony pójdzie spać. Jutro przyjdzie do ciebie o tej samej porze Maria Osipowa i przyniesie tę rzecz. Pokaże jak masz nastawić. Dziecinna zabawka. O wpół do dziewiątej położysz pod jego łóżko, nastawione na drugą w nocy i wrócisz do siebie. O dziewiątej podjedzie maszyna i zatrzyma się przy piątym domu stąd na lewo. Wyjdiesz nieznacznie i wsiądziesz. Nic nie pytaj. Ludzie będą w przebraniu niemieckim.

Po jego wyjściu Galina wstała i wylała zupę do brudnego wiadra, bo zlewu w jej mieszkaniu nie było.



Władimir Leonidowicz wstawał wcześniej. Dnia 22 września wstał przed świtem i równo z końcem godziny „komendanckiej” wyszedł na miasto, gdy syn jeszcze się golił. Piętnaście minut później wpadł do domu z powrotem biały na twarzy:

— Uciekaj! Natychmiast! Uciekaj!

Anton spojrział na ojca jak rażony piorunem. Ten ciężko dy-
szał słowami:

— Dziś w nocy rozerwało Kubego w drzazgi... W łózku...
Twoja Maryna... Znikła... Uciekaj!...

Anton nie pytał skąd ma te dokładne informacje o tak wczes-
nej godzinie. W mgnieniu oka połączył poprzednie skojarzenia
w całość i zdawało mu się, że od razu wszystko zrozumiał, czego
się uprzednio nawet nie domyślał z niedomówień Maryny i jej za-
chowania. Uprzytomnił sobie swoją sytuację: widzieli ich ciągle
razem; jego papiery były murowane na ulicy i w podróży, ale
mogły okazać się fatalne przy konfrontacji z urzędem generalne-
go komisariatu: jechał w „urzędowej sprawie”, a tam się nawet
nie zameldował... Przecież chyba nie po to, ażeby odwiedzać
Marynę... Najmniejsze śledztwo byłoby zgubne i może nie tylko
dla niego... Nie mówiąc już o krótkich metodach tutejszego
Gestapo... Nie miał chwili do stracenia!

Chwyć palto, teczkę, wpakować najpotrzebniejsze rzeczy,
sprawdził raz jeszcze swoje „murowane” papiery. Jeżeli ulice są
już obstawione, rozumował, i sprawdzane wszystkie osoby po-
dejrzane, to o tej porze śledztwo nie mogło chyba objąć jego
osoby, a w każdym razie nie może o tym wiedzieć każdy policjant
na ulicy. Papiery muszą mu na razie otworzyć drogę przez kordon.
Byłe nie napatoczyć się na kogo nie trzeba. Jest pewnie straszne
zamieszanie. Za kilka godzin może być za późno. Teraz jeszcze
nie. Byłe prędko. — Poszedł bocznymi ulicami, nie śpiesząc, na
dworzec, istotnie zatrzymany i sprawdzany kilkakrotnie. Miał
przepustkę i dokument podróży na powrót do Berlina, ale przysz-
ło mu teraz na myśl, że dworzec musi być ściśle obsadzony i kon-
trola tam bardziej szczegółowa. Nie, na dworzec w żadnym wy-
padku! Ale co robić? Uciekać w lasy, w tym ubraniu zwłaszcza,
było absurdem. Jedni, albo drudzy złapią i zastrzelą. I czym
wylegitymuje się w „lesie”?... Szedł i ciągle jeszcze nie wiedział
co robi, gdy tak szedł. Nagle wpadł mu do głowy ryzykowny,
śmiały, ale być może skuteczny plan: przedostać się na główną
szosę poza miastem i, okazując normalnie papiery, zwrócić się
wprost do posterunku żandarmerii polowej na głównym szlaku,
że samochód w którym jechał nawalił przy wyjeździe z miasta,
a on bardzo się śpieszy, w sprawie służbowej musi jechać do
Wilna... Tak, do Wilna! Więc per „Anhalter”, byłe maszyną.
Żandarmeria nie podlega bezpośrednio SD. Zresztą o tej porze
może nic nie wiedzieć o zamachu. Byłe nie za późno... A zresztą
wszystko zależy na jakiego człowieka trafi. Wszystko zależy od
żandarma.

Znał miasto i wykołował po dłuższej wędrówce trafnie. Zan-

darm ziewał. Trochę się dziwił, ale nie bardzo. Przeczytał po-
bieżnie papiery, dokument podróży. Gdzieś zauważył pieczętkę
„dringend”, śpiesznie... „Wszystkie władze są proszone okazać...
etc.” Oddał. Pochwalił pogodę. Ziewnął. Mijały minuty. Nikt
nie jechał na zachód. Boże, czas się wlecze. Czas, czas, wszystko
zależy od czasu, a on stanął w miejscu, czy co? Nie, on leci
straszonym, nieubłaganym lotem, jeszcze chwila, wszystko może
być zaalarmowane na drogach, zapóźno... Tymczasem to tylko
wszystkie maszyny wojskowe stanęły na drogach i żadna nie chce
ukazać się na zakręcie... Lepiej nie trzeba było uciekać z domu,
a próbować tłumaczyć się... Ale jak?... Jest pieczętka kiedy wy-
jechał z Berlina; więc co robił przez ten czas...?

Biegnie auto po szosie! Żandarm zrobił dwa kroki naprzód
i zamachał trzymanym w rękę sygnałem. Anton zaczyna tracić
zimną krew, zaczyna tracić panowanie. A jeżeli to?... — Zaskowy-
czały hamowane opony. To amerykański jeep... Zdobyczny widać.
I w tej chwili żandarm przyłożył rękę do hełmu i przeproszał!
Przy kierownicy siedział oficer. Oficer groźnie zmierzył żandarma.
A później przeniósł wzrok na Antona...

— Aaa, ruski? — powiedział wskazując palcem. I wtedy
Anton zauważył na jego rękawie odznakę belgijskiego legionu.

— *Comment?*

— *Ja... Da... Si...* Ruski — wymamrotał Anton.

— *Parfaitement.* Ja mówię po rusku. *Voilà une diversification!* Siadać. *C'est un beau matin.*

Anton dopiero gdy znalazł się w maszynie, po raz pierwszy
tego ranka pomyślał: „Ech, Maryna, Maryna...”

LVII

Ofensywa sowiecka rozwijała się pomyślnie nadal. 21 wrześ-
nia wojska czerwone zajęły Czernihów, 23 Połtawę, a 25 Smoleńsk i Rosławł.

W tym czasie generalny komisarz Koch walczy wciąż z dekre-
tami reprivatyzacji na terenie Ukrainy, które uważa za najwięk-
sze zło wyrządzane interesom niemieckim. Uspokaja go dopiero
poufny list Bormanna, że: „Führer traktuje wszystkie zarządze-
nia dotyczące własności prywatnej za świsstek papieru”.

7 września Himmler i Göring wydają rozkaz ewakuacji wszyt-

kich podległych im instancji na Ukrainie. — 29 wojska sowieckie zdobywają Kremieńczug.

◆

Już przedtem, 14 września, następuje ewakuacja rosyjskiego „rządu” Kamińskiego z Łokocia, w lasach Brizańskich.

Było to właściwie prywatne państwo, o prywatnym wojsku, stworzone jeszcze w roku 1941 przez niejakiego Bronisława Kamińskiego, za sprawą generała hr. von Schenckendorffa, dowódcy obszaru tyłowego. Kamiński, ze względu na brzmienie nazwiska uważany przez niektórych za Polaka, przez innych za Rosjanina, przez trzecich za urodzonego z matki Niemki, nie był żołnierzem, ale rejonowym urzędnikiem sowieckiej administracji. W zorganizowaniu własnego wojska do walki z partyzantką sowiecką, dopomógł mu Leutenant von Veltheim, dostarczając sowieckiej zdobycznej broni i nawet kilku starych czołgów. Kamiński okazał się zdolnym dowódcą i niebawem nazwał swoją armię domową: RONA („ruskaja oswoboditielnaja narodnaja armia”) rosyjska ludowa armia wyzwolenicza. Przymiotnik „ludowa” kładł akcent na jej socjalistyczny charakter, przy jednoczesnym przejęciu haseł narodowo-socjalistycznych. To wyraźne odcięcie od rosyjskich haseł kontrrewolucyjnych podobało się nawet Hitlerowi, który pozwolił pozostawić go na razie w spokoju. Tym bardziej, że Kamiński istotnie oczyścił swój rejon z partyzantki sowieckiej wzorowo. W zamian otrzymał zupełną autonomię i wolną rękę w swoim „państwie”. Na tym terenie przez półtora roku rządził, rozkazywał, sądził, wieszał jak i kogo chciał. Pewnego razu wszystkich trzech swoich adiutantów przed oknami własnego sztabu.

Teraz na wozach i konno, ciągnęła ta ludność pod jego wodzą na Lepel, a stamtąd na nieznaną tułaczkę. Z babami, dziećmi, krowami. Niekończący się ogon gryzącego pyłu wznosił się za tymi taborami ku niebu.

◆

Po wielkiej likwidacji getta warszawskiego... Po rozstrzelaniu kilkudziesięciu tysięcy Żydów w Ponarach wileńskich... Po Borysowie, Mińsku, Pińsku... Po krwawej masakrze getta w Słonimie, w której szczególnie odznaczył się ppułkownik Schutzpolizei Egon Erzum, na czele 18-go łotewskiego batalionu policyjnego, gdzie w wykopanych rowach rozstrzelano 3.000 Żydów wraz z kobietami i dziećmi... Po zastrzeleniu przez niego 45 chłopów, i spaleniu żywcem 780 mieszkańców wsi białoruskiej wraz z kobietami i dziećmi... Przyszła kolej na getta w Białymstoku

i Grodnie, gdzie na szczególne odznaczenie zasłużyli szef białostockiego SD, Dr Wilhelm Altenloh, Lothar Heimbach, Hans Errilis z Bochum i Richard Dibus — młodzi, w pełni sił i energii ludzie.



Profesor i podwójny doktor, kapitan Theodor Oberländer, zdecydowany rzecznik poparcia ukraińskiego ruchu narodowego, w początkach wojny tzw. polityczny doradca ukraińskiego batalionu „Nachtigall”, został w roku 1943 przeniesiony na analogiczne stanowisko do kaukaskiego batalionu „Bergmann”, składającego się przeważnie z Gruzinów i Azerbejdżanów. W liście do szefa Abwehry, admirała Canarisa, pisał:

„Powiedział mi pewien wybitny komunista: Myśmy ludy rosyjskie istotnie źle traktowali; tak źle, iż wydawałoby się niezwykłą sztuką traktować je jeszcze gorzej. Niemcy tej sztuki dokonali. Na dłuższą metę, każdy naród postawiony przed wyborem pomiędzy dwoma tyranami, wybiera tego, który mówi jego językiem. A więc wygramy tę wojnę — zakończył swe oświadczenie ów komunista”.



W Wilnie zastrzelony został na ulicy agent Gestapo, Marian Padabas. W nocy tegoż dnia, Gestapo wzięło stu zakładników spośród znanych w mieście Polaków i przewiozło ich do posowieckiego obozu koncentracyjnego w Prowieniskach. Zaś dziesięciu najwybitniejszych przedstawicieli społeczeństwa polskiego, w tej liczbie profesora uniwersytetu dr. Pelczara, adwokata Engla, działacza chrześcijańskiej demokracji, wyprowadziło wprost z mieszkania na miejsce kaźni i przed świtem zastrzeliło.

Gdy w pierwszych godzinach rannych zrozpaczone żony pobięły do gebietskomisarza „Wilna-Stadt”, Hingsta, z błaganiem o interwencję, trupy ich mężów były już zakopane w nieznanym miejscu.



Front się zbliżał. Na kierunku Orszy działała 33-cia sowiecka armia generała Gordowa, a w jej składzie 1-sza polska dywizja imienia Tadeusza Kościuszki pod dowództwem generała Berlinga. Celem operacyjnym było uchwycenie przyczółków na zachodnim brzegu Dniepru. Dywizja miała uderzać w pasie około dwóch kilometrów między miejscowościami Połzuchy i Lenino.

O świcie 12 października dowódcy kompanii i baterii odczytali w swych oddziałach przedbitewny rozkaz. Kończył się on słowami:

*„... na drodze śmiertelny wróg. Po jego trupie,
droga do Polski!”*

W całej dywizji znalazł się tylko jeden starszy sierżant, Władysław Stachurski, który pamiętał wojnę z 1920 roku, i szepnął do swego przyjaciela Franka Tylingo:

— W tej samej okolicy, przed 23 laty, Tuchaczewski odczytał rozkaz: „Żołnierze armii czerwonej! Po trupie Polski wiedzie nas droga do rewolucji światowej”!... Zdaje się, tak.

Franek odmachnął ręką z wyrazem nudy na twarzy i zabrał się do zawiązania rozplątanego owijacza.

Natarcie rozpoczęło o godzinie 9 rano dnia 12 października. Dywizja dysponowała własnym pułkiem czołgów. Artyleryjskie wsparcie zapewniały 452 działa rozmaitych kalibrów sowieckich baterii. Przed czołem pozycji przepływała bagnista rzeczka Miereja. Pierwszy i drugi rzut trzech pułków piechoty zdobył i obsadził przednie linie okopów niemieckich, ale dalej posunąć się nie zdołał. Czołgi grzęzły w błotach Mierei. Dywizja zaległa. Następnego dnia zostaje złuzowana, tracąc łącznie 502 zabitych i 1.776 rannych. A 660 ludzi, w tym kilku oficerów dywizji, przechodzi dobrowolnie na stronę niemiecką.

Próby wykorzystania tego faktu przez propagandę niemiecką, podjęte początkowo na większą skalę, zawodzą zupełnie. Oficjalnym komunikatom niemieckich nie wierzy nikt w Polsce. Ludzie zaś wypuszczeni z niewoli, aby zaświadczyli własną osobą o swej ucieczce z armii sowieckiej, znikają jeden po drugim w okolicznościach trudnych do ustalenia. Los pozostałych jest beznadziejny.



Dnia 14 października w Bad Schachen, w bliskości granicy szwajcarskiej, Himmler przemówił do zgromadzonych wyższych oficerów Wehrmachtu:

„Moi panowie! Każdy środek, który nas zbliża do zwycięstwa, jest słuszny. Każdy środek, który osiąga to że dzikie narody wschodnie nam służą, że na froncie ginie za nas Rosjanin, zamiast miałby ginąć Niemiec, jest słuszny. Przed Bogiem i ludźmi słuszny... Ale gdy taki przybędą, pan Własow, który przedwczoraj był może czeladnikiem rzeźnickim, a wczoraj przez pana Stalina zrobiony generałem, dziś ośmiela się nas, z zarzuceniem Słowianina pouczyć, że Rosja tylko przez Rosjan może być pokonana”, to pozwolę sobie powiedzieć, że jest on bezczelną świnią!”...



Armia czerwona przekracza Dniepr.

Już 7 października zajmuje Newel. 14 Zaporozże, 23 Melitopol, 25 Dniepropietrowsk.

LVIII

Tymczasem Anton Panisienko pędzi, otwartym, wojskowym samochodem na szlaku od Mińska do Wilna. Ten pęd sprawia mu przyjemność, przenosi go z nastroju rozpaczliwej ucieczki w uskrzydlający nastrój perspektywy życia. Koło nich przelatują nie-dorąbane po rowach krzaki, pola zapuszczone, dzikie pastwiska, na których nic się nie pasie; w lesie pasy zwałonych po bokach drzew, na odległość kilkudziesięciu metrów od drogi, co ma utrudniać podejście partyzantom. Spomiędzy pni i zeschniętych koron powalonych drzew przeciska się ku światłu już nowa roślinność.

Za kierownicą siedzi oficer legionu „Flandern” i gada bez przerwy. Zna język rosyjski niemal płynnie, choć z naleciałością obcego akcentu i czasem brakujące mu słowa zastępuje francuskimi, których Anton nie zna, ale zgaduje z sensu. Oficer cieszy się z towarzysza podróży, że jest Rosjaninem, inżynierem, inteligentem sowieckim, że pochodzi z Moskwy. Swemu szoferowi niemieckiemu kazał się do tyłu, a Antona posadził obok siebie.

— My z panem rodacy — mówi. — Urodziłem się też w Moskwie. Właściwie nazywam się Jan van Orley. Cała rodzina, mój ojciec, pochodził z Gandawy. Gent po francusku! Gand. Był pan kiedy w Gandawie?

— Żałuję, nie.

— Słusznie pan żałuje. Co za perła! Żeby pan zobaczył Kuip van Gent: katedrę Saint Bavo, obrazy van Eycka, zamek Geeraerd Duivelsteen...

— To dlaczego urodził się pan w Moskwie?

— Dla interesu. Mój ojciec był wielkim handlarzem sukna. Tam się przeniósł i z van Orley przeważał się: Orłow. Czy nie brzmi podobnie? Więc, *de cette manière, de cette façon*, i ja się urodziłem. Mieszkaliśmy na Arbacie, przy zaułku Małym Wasiljewskim. Wie pan gdzie to jest?

Anton rzucił nań ukośne spojrzenie: musiał mieć lat około czterdziestu, był brunetem; sposób mówienia, towarzyszące gesty rąk, zdradzały w nim raczej południowca.

— Myślałem — powiedział ostrożnie — że we Flandrii mó-

wią głównie po flamandzku, a pan wstawia ciągle słowa francuskie.

— Naturalnie! *Si*. Ale moja matka była Włoszka, jeszcze czarniejsza ode mnie. *C'est de là...* Ale zaraz. Słyszał pan co to była „sprawa kooperatorów” w Moskwie, w kwietniu 1920? W tej sprawie zginął mój ojciec. Rozstrzelali bolszewicy. Właściwie może by uniknął tzw. „najwyższego wymiaru kary”. Ale wtedy był jeszcze RSFSR. Mój ojciec nazwał to: „R-iedkij S-łuczaj F-enomienalnowo S-umaszesztwija R-ossiii...” (rzadki wypadek fenomenalnego wariactwa Rosji). Moją matkę zabili bolszewicy. Mojego brata, moją siostrę zabili bolszewicy. Mnie jednemu udało się, długo opowiadać, uciec na zachód. Do stryja, do Gandawy. Ale przesiąknęłam francuszczyzną, bo uczyłem się w Brukseli, a później w Paryżu i w ogóle głównie we Francji studiowałem.

— Co?

— Filozofię, naturalnie... A, *merde!* — Skręcił błyskawicznie, wymijając jamę na szosie, wyrwaną zapewne przez minę o niedużej sile i jeszcze nie zasypaną. — W istocie jestem Flamandem z dziada pradziada. Walonów bym z przyjemnością wszystkich wydusił do ostatniego Degrella. Niemcy wiedzieli co robią, gdy legion waloński posłali na południowy odcinek frontu, a naszych Flamandów pchnęli w błota Wołchowa, na daleką północ.

— To wy aż tam stoicie?

— Staliśmy, inżynierze, nie stoimy. Zastąpiliśmy teraz hiszpańską „Błękitną Dywizję” w odwrocie. Ale żart na stronę. Po co panu te idiotyczne wiadomości. Spotkałem w panu rodaka, z którym można porozmawiać na tematy cywilne. Wojny mam dość. Żyję lat czterdzieści pięć.

— Nigdy bym tyle panu nie dał...

— ... I dopiero teraz doszedłem do przekonania, że Walonie są akurat tyle warci co Flamandowie. Poszedłem, naturalnie, bić bolszewików przy pierwszej okazji jaka się nadarzyła. Ale widzę, że wszystko jest *merde*. Przepraszam: gawno. Niemcy... — uniósł dłoń i uderzył nią po kierownicy.

— Rozczarował się pan?

— Nawet nie to. Po prostu za dużo widziałem, za dużo się uczyłem, za dużo czytałem, jeździłem i... A dopiero teraz przyszło podsumowanie. Naturalnie: bolszewicy. Pan sam wie. Ale niech pan, z łaski swojej, weźmie pod uwagę, że scholastycy dwunastego i trzynastego wieku byli zupełnie zgodni co do tego, że w filozofii nie może być prawdą, co uznane zostało za fałsz w teologii. Doktryna komunistyczna jest antyhumanistyczna. *Hors de doute*.

Ale antyhumanistyczna będzie każda, która twierdzi że w naturze nie może być prawdą to, co nie zgadza się z doktryną. Czy to będzie Święte Officium, czy ten chamski hitleryzm, zwyczajny socjalizm, czy zwyczajny nacjonalizm, czy coś *pareil*. Teraz na przykład jest wojna. Tymczasem z jej przedstawienia, z jej opisów, robi się brudną ścierkę do wycierania fałszywych łez, po wszystkich stronach frontów. Dlatego nabieram do niej obrzydzenia. *C'est dégoûtant*, to wszystko. Wojna jest tylko wojną, niczym więcej. Ale gdzie tkwi *péché original*? Grzech pierworodny tkwi w tym, że to co jest arcyłudzkie, i tylko ludzkie, jak wszystkie straszne i masowe, i wyszukane zbrodnie, my właśnie nazywamy: „niełudzkie”. Od tego pierworodnego super-kłamstwa zaczyna się i pochodzi wszystkie inne kłamstwo. Tymczasem jest ono zupełnie jawne. Że najokropniejsze zbrodnie popełniane być mogą wyłącznie przez ludzi, dowodzi między innymi, że ich powtórzenie w przedstawieniu, w ilustracji, w artystycznym oddaniu prawdy tych zbrodni, w realistycznym oddaniu, też tylko udać się może ludziom. Nerona, czy ja wiem jakiego masowego zabójcy, zbrodniarza, sadysty czy krwawego kretyna, nie zagra panu na scenie ani ten samochód, ani ta kierownica — uderzył po niej pięścią — ani ta brzoza, ani o, ta dziura wyrwana przez minę w moście, ani krowa, ani kanarek w klatce. Zagra tylko człowiek. I czym bardziej uzdolniony tym lepiej się mówi. I tak samo będzie po tej wojnie. W teatrze, w kinie. Zechcą wystawiać hitlerowców, czy bolszewików, czy innych zależnie od tego kto wygra, w Londynie, Paryżu, czy Rzymie, czy gdzie indziej na całym świecie, zrobią to na pewno doskonale. A co to znaczy? To znaczy, że wystarczy odziać aktorów w odpowiednie ubrania, odpowiednie mundury, wcisnąć rolę w rękę, a będą grać o-la-la! Pełne kreacje, z wczuciem się, z „wrośnięciem w rolę”, z „wżyciem się”, jak napiszą o najlepszych aktorach w recenzjach. A czy byłoby to możliwe, gdyby nie leżało w głębi natury ludzkiej, nie było jej właściwe? Bez względu na narodowość i pochodzenie? *Absolument*, niemożliwe! Jeżeli więc chcemy wykorzeńić pewne zło, musimy szukać jego korzeni. Musimy te korzenie znać. Jeżeli zaś pan te korzenie, te źródła zbrodni będzie widział nie w naturze ludzkiej, lecz w pewnej klasie, narodowości, czy innej sztucznie wyspekulowanej przyczynie to, *évidement*, nie może pan tego zła zwalczyć tam gdzie go nie ma, ani wykorzeńić, szukając korzeni gdzie nie rosną, i zresztą nigdy nie rosty... Dlatego wojna, jest przede wszystkim rzeczą ludzką, a załamywanie rąk nad „niełudzkością” kłamstwem...

— Haaalt!!! — Na szosę przed nimi wyskoczył zandarm polowy i zamachał trzymaną w rękę pałeczką. Na prawo widać było

umocnienie z telefonem polowym, gdzie stało jeszcze kilku zandarmów. Anton doznał nagle uczucia, że wszystkie słyszane słowa ściekają wzdłuż jego ciała w dół, jak woda, gromadzą się gdzieś w nogach, od czego stopy, czuje, ciężą mu łożem. Żandarm ledwo obrzucił wzrokiem samochód i niedbale zsalutował: — „Dalej nawierzchnia jest mocno uszkodzona, Herr Oberleutnant. Wybuchło cały szereg płytkich min. Jeszcze nie przywrócona do porządku. I uwaga na nowe miny. Zaleca się jechać wolno”.

— *Danke* — odpowiedział van Orley i pojechali powoli. — „Uważać” on chce jakby to można było zauważyć — mruknął do siebie.

Dzień był przezroczystry. Drzewa, krzaki pojedyncze, wstęgi lasów za polami, w jesiennym powietrzu jak obciążone ostrą kredką cieniów. Nawet źdźbła traw stały poważnie, jakby pyszniły się, że należą do narodowości roślinnej. Wyraźnie przebiegała granica pomiędzy światem wiecznie zielonej igły, a jego odmianą liściastą, miękką, różnokolorową w żółtych odcieniach, z rdzawo czerwonymi plamami. Pachniało gorzkawym fermentem, grzybami, i różnorodnym rodzajem jesiennych przypraw. A oddychało się przecie lekko, jakby płuca stanowiły jedno z powietrzem i żaden mięsień nie wymagał trudu. Skurcz strachu minął i Anton chciał go teraz wymazać z pamięci nowymi słowami.

— Nie można jednak nie robić różnic — zaczął. — Ja też jestem „po tej stronie”. Ale widzę, że „nasza strona”, nasza chęć walki ze złem bolszewickim, zawalona jest ciężkimi głazami, prawie unicestwiona złem niemieckim i ich...

— Nie mówmy o polityce, inżynierze. Umówiliśmy się nie mówić o polityce... — („Kiedy?”, pomyślał Anton). — Mówimy o sprawach ludzkich. Zbrodnie hitlerowskie. Kto wie, może ja widziałem więcej od pana. Co się wyrabia z Żydami! *Voilà!* A co się wyrabia w walce z partyzantami i co moi kochani Flamanowie do tego swej skromnej rączki przykładają. Pomijając już naszych kuzynów Holendrów. *Et les autres choses, jeune homme.* Cały świat zachłystuje się oburzeniem, i powiem panu, że *à juste titre*. Ale gdzie jest napisane, w jakim prawie boskim czy ludzkim, że mordowanie za to że ktoś jest innej rasy, jest czymś gorszym niż mordowanie za to, że ktoś należy do innej klasy, ma więcej pieniędzy, inne poglądy na świat, czy chce mówić głośno to co myśli, czy też chce w ogóle myśleć? Nigdzie. Ja tu nie chcę powoływać się na moją kupiecką rodzinę. Ale bolszewicy wymordowali przecie więcej ludzi, niż Hitler zdążył to zrobić i pierwsi zbudowali kacety. A cały ten oburzający się świat, łączy się z nimi i ich wspiera. Ja jestem wrogiem uogólnień,

odstępstwa od reguły należą do najbardziej rozpowszechnionej reguły, dlatego wszystkie oceny kolektywne są fałszywe. Ale niech pan nie zapomni, że żyjemy w erze chrześcijańskiej, w której od dwóch tysięcy lat każe się z ambony: „nie kradnij”! A jednocześnie toleruje się milcząco, gdy ludziom kradnie się to, co każdy ma najdroższego na świecie i co otrzymał od samego Pana Boga: wolną wolę. Naturalnie, to co się wyrabia z Żydami, to okropne. Bo to i kobiety i dzieci. Ale wie pan czym wstrząsa to okropieństwo? Wstrząsa małą odległością. Zabijanie w rowach, z bliskiej odległości. Tak jak zabici zostali polscy oficerowie w Katyniu przez bolszewików, słyszał pan? Tu tkwi, że tak powiem, różnica w podobieństwie pomiędzy morderstwami niemieckimi i bolszewickimi, a bombardowaniem anglosaskim ludności miejskiej. Jeden patrzy w twarz człowieka i naciska cyngiel. Drugi patrzy w miasto i naciska guzik. W jednym wypadku giną kobiety i dzieci żydowskie, w drugim kobiety i dzieci niemieckie. Ta różnica odległości ma też inne szczegóły. W pierwszym wypadku człowiek chleje wódkę i strasznie przeklina, w drugim może zuje gumę i uśmiecha się w mikrofon: „Halo! Jim, spuściłem już swój ładunek”!... Czy jak tam. Bomby lecą na miasto. Pan wie, że ja przypadkowo byłem w Kolonii 29 czerwca. Później już dowiedziałem się, że spadło 44.856 bomb kruszących i około półtora miliona bomb zapalających. Zginęło niewiele, tylko 20 tysięcy ludzi. Jak osobiście z tej nocy wyszedłem i co się działo, nie będę opisywać. To dziedzina literatury, nie filozofii. Prawda, widziałem dzieci... Ale rzecz nie w tym co widziałem. Spalenie cywilnej ludności w komorach gazowych, czy od bomb zapalających asfalt uliczny w Hamburgu, to tylko różnica techniki. Czy pan przypuszcza, drogi inżynierze, że wielka rewolucja francuska, uważana za początek współczesnego postępu, nie zamieniłaby swojej gilotyny na komory gazowe, gdyby postęp techniczny już wówczas znał ten wynalazek? Przekonany jestem, żeby zamieniła. A pan, nie? Co jest zbrodnią, a co nie jest, decyduje nie prawda obiektywna. Zdecyduje o tym strona zwycięska. Niemcy nie zwyciężą, *sans doute*. Ale gdyby zwyciężyli, powstanie olbrzymia literatura o dziewczynce śpiącej z misiem na poduszce, której lotnik amerykański oderwał rękę, a ona jeszcze drugą przyciska swego pluszowego niedźwiedzia w niebieskiej kokardce, i przez kałuże krwi biegnie płacząc i wołając mamy... Zwyciężą alianci będzie ogromna literatura o dziecku żydowskim, który wyszarganym niedźwiadkiem zasłania oczy przed kulą SS-mana. Od ilości, od powtarzalności tej literatury, zależeć będzie stopień winy... Pan wie, że dziś zakazane są opisy skutków bombardowań alianckich, aby nie straszyć ludności. Bo przecież tamtym chodzi o jej sterroryzowa-

nie. A o dziecku żydowskim — ciągnął w transie — ja opisałbym w innym wariantcie: zasłania oczy nie swoje, tylko rączką zasłania guziki oczów swego zatłuszczonego misia, ażeby nie widział strasznej śmierci z rąk niemieckiego oprawcy. Myśli pan, że kicz?

Anton chciał powiedzieć, że jest różnica. Że inni mogą się bronić, uciekać, przefarbować, schować. A mordowani Żydzi tej szansy nie mają. Pomyślał jednak, że i tamci nie zawsze. Więc zamiast odpowiedzi zaczął nagle opowiadać — co nie miało pozornego związku, o strasznym losie siostry Anastazji Ipolitownej. Szczegółowo, długo, trochę gubiąc się w wątku relacji. Jednocześnie przyszło mu na myśl, że w gruncie opowiada tylko wypadek kryminalny ze starej gazety, jeden z wielu tysięcy i że to jego rozmówcę musi nudzić. Dlaczegoś jednak nie przerwał tego opowiadania, mimo iż odczuwał wewnętrzne zakłopotanie. Ale van Orley słuchał, zdawało się, z uwagą. Czy tylko uważał na drogę, podczas gdy po obu jej stronach, za odstępem wyrąbanych pasów, ciągnęły się białokore zagajniki brzozone. Gdy Anton skończył, tamten zabrał zaraz głos:

— Też nic nie wiadomo... Może w tym wypadku było tak właśnie, i wina jest jednostronna. Niewątpliwie morderstwo z premedytacją z punktu obiektywnego prawa. Ale w takich, jak podobnych tragediach rodzinnych, nigdy z całą pewnością, z punktu subiektywizmu ludzkiego, orzec nie można, kto i co było przyczyną pierwotną. Składają się na nią miliony składników. Wieleż to razy nie wiadomo, kto więcej zawinił, zbrodniarz, czy ofiara zbrodni. Mamy wielkie procesy obyczajowe. Co musiał przeżywać? Nie zabija się tak, raz dwa. Żona widzi to inaczej, mąż inaczej, kochanka czy kochanek jeszcze inaczej. I tak w nieskończoność. Każdy przedstawia po swojemu i przeważnie każde z tych przedstawień „mrozi krew w żyłach”. Z prawdy subiektywnej przeistacza się w prawdę obiektywną, jedyną i wyłączną. Życie. Nie ma, trzeba panu wiedzieć, inżynierze, przepisu na życie. Tak jak nie ma przepisu na dobrą literaturę. To co pan mi opowiedział, nie jest ani jedno, ani drugie. To jest notatka gazetowa.

Anton poczuł się jakoś dotknięty tą uwagą, może dlatego, że sam tak myślał przed chwilą. Miał ochotę zareplikować i uczynił tym razem w formie bardziej obcesowej:

— Dobrze, ale to co pan opowiadał o lotnikach alianckich to przede wszystkim odwet. Pan w swym równaniu opuścił najważniejszy czynnik: Kto zaczął! Czy nie jest w danym momencie rozstrzygający?

— Drogi panie, nie jestem pewien, czy dla dzisiejszych czasów. W latach dwudziestych dyskutowano na temat odpowiedzial-

ności za wywołanie pierwszej wojny światowej. Staremu Clemenceau postawiono pytanie: „Co będą o tym spornym i trudnym problemie myśleć historycy przyszłości”? Clemenceau odpowiedział: „Nie wiem. Ale wiem, że z pewnością nie powiedzą, że to Belgia zaatakowała Niemcy”. To jasne. Wtedy był to jeszcze elementarny fakt, z rodzaju tych, których przeinaczyć, zdawało się nie podobna. I nie próbowały nawet przeinaczyć tego Niemcy. A 1939 Sowiety twierdziły, że napadła na nie Finlandia!... Pan powiada: „Kto zaczął”? Drogi panie, od 10 tysięcy lat zawsze ktoś zaczynał. Poznałem w Berlinie bliżej pewną Ormiankę. Mówi mi: „Co wy tam krzyczycie o jakimś bolszewizmie! A znowu jak posłucham radia brytyjskiego...

— Nie bała się przyznawać?

— Nie. *Une courageuse demoiselle*. „To tylko słyszę, powiada, o zbrodniach hitlerowskich! *C'est drôle*. Turcy, o, to dopiero zaraza świata! To dopiero zbrodniarze autentyczni!” Aleksander Wielki też zaczął. I pan myśli, że jak on szedł naprzód, to spotkanych po drodze przeciwników gładził po główce? W tej chwili ważne nie zbrodnie. Nazizm, to w perspektywie historii *une petite merde*, fragment fizycznego terroru, jakie były i będą. Natomiast komunizm, to *une peste*. Żadna doktryna nie odbierała jeszcze ludziom do tego stopnia prawa do wątpliwości, prawa do porównań z tym co było. Żadna nie odbierała do tego stopnia resztki rozsądku, nie była tak skuteczna i tak zaraźliwa... A zresztą, też nie jestem pewien.

Anton uśmiechnął się przed siebie.

— Pana sceptycyzm jest dobrym przeciwstawieniem otaczającej rzeczywistości. Ale co robić, w takim razie?

— Ba! Robić? Mały człowiek o wielkich rzeczach może zazwyczaj tylko... mówić.

— Herr Oberleutenant! — Odezwał się z tyłu szofer, przechylając ku przodowi i pociągając głośno nosem. — Tu pusto strasznie i krzaki jak dżungla po obu stronach. Może by pan uważał. Ja coś nosem czuję partyzantów.

— To nieprawda. *Impossible, mon cher*. Partyzant śmierdzi samogonem. A przed nami pachnie słońce.

Szofer wzruszył ramionami i opadł na tylne oparcie, tyle że automat wyciągnął spomiędzy kolan i trzymał w pogotowiu. Ale i on, i Anton, i sam van Orley, mimowoli spojrzeli w słońce, mrużąc oczy. Wyminęli zrzuczone do rowu spalone szkielety ciężarówek; w innym miejscu pogięte blachy karoserii osobowych samochodów bez opon.

— Za wolno jedziemy — westchnął van Orley. — Ale, co zrobić z taką drogą. — Miał jednak rację. Słońce świeciło, krajobraz mienił się barwami jesieni, szczęśliwie minęli Radoszkowice, Mołodeczno. Anton odczuwał jakiś spokój w całym ciele, czy po prostu odprężenie po przeżytym napięciu. Tak dalece, że w tej chwili cała jego „ucieczka” wydawała mu się z otaczającej go perspektywy, niedorzeczną, a bardzo odległą i w czasie i przestrzeni.

Wyminieli stojącą kolumnę samochodową, w której coś nawałiło. Żołnierze krzatali się koło wozów bez pośpiechu, tylko feldfelbel darł się koszarowym wrzaskiem na las, jak dziwne zwierzę przeniesione z egzotycznych krajów w zoogeograficzną obcość. I gdyby nie krzyk bezmyślny, cisza byłaby zupełna. Ale i on oddalił się, zapadł w przestrzeń kraju; żaden listek nie drgał na kilku ocalałych dłaczego przy drodze olszynach. Powietrze stało w miejscu, bez podmuchu, tylko samochód jechał.

— A skąd pan — przyszło do głowy Antonowi — zachował przez te wszystkie lata tak dobrze język rosyjski?

— Inżynierze! Ja mam żonę Rosjankę.

— To, istotnie... Dostyc skomplikowany skład, czy też losy rodziny... Dzieci?

— Dwie osoby. Córka i syn. *O, sole mio!*... — uniół rękę znad kierownicy — jak śpiewała moja matka, Włoszka. — Nie było jasne, czy okrzyk ten odnosił się do słońca przed nimi, czy może do wspomnienia żony i dzieci.

Raptem zatrzymano ich przy następnym ufortyfikowanym posterunku. Stary wachmistrz żandarmerii wyszedł na środek drogi.

— *Achtung! Partisanen!*

— Droga przecięta?

— Nie. Ale niebezpieczna. Otrzymaliśmy ostrzeżenie. Lepiej zaczekać aż zbliży się jakaś kolumna.

— Mnie śpieszno.

— Chyba, jeżeli bardzo. Ja ostrzegłem. Na własne ryzyko i odpowiedzialność, panie poruczniku.

Pojechali ostrożnie. Szofer z tyłu, z gotowym do strzału automatem, zgarbiony, obracał głową to w prawo to w lewo.

— Ja panu powiem, *monsieur l'ingénieur*, nie można w stosunku do Niemców zajmować podobnego stanowiska, jak hitlerowcy wobec Żydów. Jeżeli zarzucamy Hitlerowi szaleństwo i brak rozeznania politycznego i moralnego, to wychodziłoby na to samo. Jak to było, gdy świat cały oburzał się na Sowiety, gdy

wprowadziły odpowiedzialność zbiorową rodziny, i za męża odpowiadała żona, za ojca dzieci i odwrotnie. A przecież przyzna pan, że związki rodziny są bardziej *compact*, niż pokrewieństwo całego narodu. To nielogicznie. Pan, jako Rosjanin, musiałby się powiesić za Lenina, o, na tej sośnie.

Anton mimowoli spojrzął na tę sosnę. Rosła na małym pagórku, tuż za rowem drogowym, była bardzo wysoka i pozostawiona niezrąbana z nieznanymi przyczyn. Przez jej koronę padało kilka rozszczepionych promieni.

— *Sole mio!*... Tu jest wspaniałe miejsce *pour un pique-nique!*

— Zahamował.

— Ja, nie mam ze sobą — zaczął Anton.

— *Ça va.*

— Panie poruczniku! — zaniepokoił się z tyłu szofer. — Czy nie lepiej poczekać do następnego posterunku! Przecież ostrzeżano...

— Co? No... Dobrze. Ale odlać się muszę w każdym razie.

— Wyskoczył z maszyny z lubością rozprostowując zasiedziałe nogi i wyciągając jednocześnie ramiona. Przez najwyższy otwór prześwietlonej słońcem korony sosny, padał teraz na drogę promień, jak z okna nawy kościelnej, ukosem w dół. — *Voilà!* Inżynierze! Tak bywa w katedrze Saint Bavo. Temu promieniowi muszę uściśnąć dłoń! — I szedł ku sośnie z wyciągniętym ku górze ramieniem.

— *Total verrückt!*... — zgrzytnął za plecami Antona szofer.

Właściwie Anton chciał za przykładem tamtego, również wysiąść na chwilę z maszyny i już uczynił ruch całym ciałem, gdy raptem...

Z przeciwnych za drogą krzaków, świsnął strzał! Świsnął, bo usłyszało się jak pociągnięcie biczem... zakończone cichym klasnięciem. Van Orley dostał widocznie w samą czaszkę. Jego wyciągnięta do słońca ręka, chwyciła za głowę, zwinął się wokół siebie, zmiął jakoś, nie wydał dźwięku i od razu runął na szosę. Szofer, całym ciałem zataczając błyskawiczny krąg w powietrzu, i boleśnie trącąc przytem kolbą automatu w potylicę Antona, wyskoczył z wozu i zapadł w najbliższym rowie. Anton skoczył tuż za nim, kurcząc się w rowie, gdy żołnierz już odpowiadał serią wymierzoną w przeciwną krzaki.

Anton był bezbronny. Mógł być uchwycić z wozu automat porucznika, ale nie uczynił tego. Teraz było za późno. — „Pijjj! Piuuu!...” zagwizdały kule. „Wrrr...!” zagrzechotało z automatu z tamtej strony. Szofer puścił w odpowiedzi długą serię i załadował nowy magazyn, nerwowym skurczem ręki przesunął ku przodo-

dowi chlebak z granatami, ledwo wysuwając rąbek głowy pod hełmem. Znowu puścił serię. Ale teraz strzały padały z różnych stron „Piuuu...! Cyk!”, w pulchną ziemię, „pii...! tjuuu... piuuu!... Klask!... Dzzzzzyy...!” — kula zahaczyła hełm i poszła rykoszetem. Anton był bezbronny. Jego obecność, krzątania, zwiększała po prostu cel dla tamtych, do niczego innego posłużyć nie mogła. Jego śmierć byłaby gorsza niż od kuli, gdy zabraknie amunicji i wypadnie się poddać. Był cywilem, miał przy sobie „murowane” niemieckie papiery... Już ostrzelano ich z krzaków po tej stronie... Zwierzęcy strach przed rodzajem śmierci, której nie miał czasu sobie wyobrazić, rzucił go na płask i kazał odczołgiwać się jak jaszczurka wzdłuż rowu coraz dalej, byle dalej... Nie myślał, że opuszcza człowieka, z którym związał go los... Myślał, że to jedyna szansa na milion, dopóki tamten jeszcze strzela... Prędko, prędko rowem, nie jak jaszczurka, a jak kret. Bo rów szczęśliwie, był gęsto zarośnięty nad głową i prawie zamknięty wysokim, jesiennym, pożółkłym zielskiem. Słyszał, że szofer odstrzeliwuje się wściekle i dopiero zaczął przytomnieć, zbierać okruchy myśli: „Papiery przede wszystkim zniszczyć, dokumenty podróży...” Wydostał w niewygodnej pozycji portfel, paznokciami wydarł z niego papiery, zgniótł w garści, z głową na dnie rowu wymacał pod trawą, paznokciami wyrył dziurę, wsadził, zarzucił ziemią i mchem i pełzł dalej... — Tamten może się odstrzelać, może doczekać odsieczy po szosie. Ale on, Anton, ucieka przecież... Gdyby jego „odbili”: dopytywanie, śledztwo, sprawdzanie, może już telefony po całej linii w poszukiwaniu współnika Maryny... Tu, czy tu, czeka go śmierć... — Nagle zamarł bez ruchu. Zdawało mu się, że ktoś nad jego głową przeskoczył rów... Głosy. Nie rozróżnia. Oddaliły się. Popęzł dalej. Tam ciągle strzały. Przecież to dopiero minuty, odkąd mówili z porucznikiem „o człowieku”... Dalej, dalej rowem, jak ślepy kret. Ubranie niech idzie w drzazgi. Skóra na rękach, na twarzy. Ale te trochę życia, ta drobna szansa życia, co jeszcze bije...” Arcyludzkie”, mówił Flamandczyk... Dziwna rzecz, czym szansa się zwiększa, tym zwiększa się strach. Nie myśleć o życiu. Nie myśleć o śmierci. Myśleć o pełzaniu. Jak człowiek. Jak pełny człowiek. — Ciemniej trochę, czy to las? — Owszem, las widzieli przed sobą tuż, gdy jeszcze jechali. Przecież pełnie w kierunku dawnej jazdy... Nie czuje ani kolan, ani łokci, jest w lesie.



Było to w lesie Dziegienia, w dawnych czasach należącego do rodzeństwa Zienkiewiczów: garbatej siostry i wąsatego brata.

Na prawo był majątek Kamionka, a później miasteczko Ostrowiec. Na wprost wielka wieś Słobódka i przed nią las się urywał aż do stacji kolejowej Gudogaje. Później Szumsk, Kiena i zaraz Nowa-Wilejka. Na lewo Miedniki z ruinami zamku, Rukojnie... Do Wilna zaledwie 50 kilometrów. Ale Anton Panisienko pełzał cały wieczór, szedł całą noc i prawie cały dzień następny, bo nie mógł iść drogą i musiał wymijać każde osiedle. Nie miał przy sobie dokumentów, ale może z dokumentami byłby bardziej jeszcze zagrożony. Bał się Niemców, bał się partyzantów sowieckich, bał się partyzantów polskich, bał się policji litewskiej, bał się w ogóle wszystkich spotkanych ludzi i musiał ich wymijać, chowając albo w lesie, albo w krzakach, albo na płask w rowie. Tak, jak normalnie to czyni dziki zwierzę, unikając każdego człowieka.

LIX

Leon wydelegowany został do Wilenasa, tym razem pół oficjalnie, celem zbadania gruntu możliwości podziemnych rozmów polsko-litewskich. Wilenas odkrył rąbek tajemnicy. Powiedział że sam, jako „ludowiec”, należy do „Vyriauskas Lietuviu Komitetas”, grupującym czynniki bardziej lewicowe. Że wszakże nastąpić ma w tych dniach połączenie z tzw. „Lietuvos Taryba”, katolicko-narodową organizacją, w jeden wspólny litewski front podziemny. Że przeto z rozmowami należy poczekać co najmniej do połowy października. Ale widoków, powiedział, na porozumienie z Polakami nie ocenia osobiście optymistycznie.

— Zgadzam się, że policja litewska jest uciążliwa dla was — powiedział. Dla nas też. Czasem brutalna i często chamska. Mamy na nią mały wpływ. Ale szczucie antylitewskie z polskiej strony nie ustaje. Teraz znowu wasza podziemna „Niepodległość” wystąpiła z zarzutem, że Marian Padabas, agent Gestapo, zabity został przez Litwinów umyślnie, aby sprowokować represje niemieckie przeciwko Polakom.

— Nie czytałem. Kto go zabił?

— Jeżeli pan nie wie, to ja tyleż wiem kto go zabił. Padabas był pół Litwin pół Polak. Przy bolszewikach pracował dla NKWD. Przy Niemcach dla Gestapo. Wasza wersja, że on był w Saugumie litewskiej i Sauguma postanowiła go się pozbyć, a przy okazji winę rzucić na Polaków, jest nieprawdą. Padabas w Saugumie

nigdy nie był. Był wyłącznie w Gestapo. Mogli tej prowokacji dokonać sami Niemcy. Bo Gestapo jest strasznie przeciwne tym cichym porozumieniom i całej grze, którą prowadzi Wulff i pewne wasze czynniki podziemne, o czym mamy coraz dokładniejsze zresztą informacje.

— Ja nic o tym nie wiem.

— Przypuszczam. Poufnie powiem panu, że u nas rzecz ta jest co najmniej... niepopularna.

— Przypuszczam.

— Teraz opowiadał mi ktoś, że w ręce litewskie, ściśle poufnie, dostała się jakaś instrukcja dywersyjna „Grupy D. Komórka L.”, polskiego podziemia. Zawiera ona rzekomo ujęty w trzech punktach program działania antylitewskiego. Ponadto przy „Niepodległości” wydawany jest teraz „Dodatek dla wsi”, szczujący szczególnie Litwinów.

— No, wie pan! Gdybyśmy mieli przedłożyć listę litewskich prześladowań...

— Ja wiem, ja wiem. Ale to wszystko trzeba wziąć pod uwagę. Bo to psuje krew i psuje w ogóle. Winę ponosi nie jedna strona, a obydwie. W każdym razie nie ciąży na Litwinach ani krew mecenasa Engla, ani profesora Pelczara.

— Więc sądzi pan, że za kilka tygodni?

— Za kilka.

Leon wracał już o zapadającym zwołna zmierzchu. Po drodze przytrafiło mu się coś, co się przytrafiało teraz ciągle: Ludzie szli naprzeciw przyśpieszając kroku, a niektórzy biegli, oglądając za siebie. — „Gdzieś jakaś obława kolejna idzie, zapewne”. — Dla zorientowania zatrzymał się w bramie mijanej kamienicy. Stało tam już kilku ludzi gotowych, jak on, ukryć się w głębi podwórza, lub na klatkach schodowych.

— Co tam jest? — zapytał ostrożnie wyglądając.

Nikt mu nie odpowiedział. Jeden tylko wzruszył ramionami, jakby chciał odpowiedzieć: „Co ma być. Ludzie uciekają”.

Nic jednak nie nastąpiło. Kilku wymknęło się po pewnym czasie z bramy i poszło swoją drogą, zwyczajnie jak ludzie którzy przeczekali krótki deszcz. W tej chwili ktoś ostrożnie dotknął łokcia Leona. Był to młody człowiek o zaroście niegolonym co najmniej od dwóch dni. Bardzo wymizerowany i wydawał się wyczerpany fizycznie. Ubranie miał wyszargane, jak po robocie murarskiej ze śladami czyszczenia brudu na sucho. Półgłosem, po polsku, z wyraźnym akcentem rosyjskim, spytał Leona:

— Przepraszam, jak tu przejść mnie stąd na Zwierzyniec?

Leon pokazał mu kierunek i objaśnił w kilku słowach. Po czym sam wyszedł z bramy i skierował się do domu. Idąc pomyślał, jak się myśli o niczym: „Człowiek, który poczuł do mnie większe zaufanie, niż do innych stojących w bramie”... I zapomniał o tym człowieku, jak się zapomina rysy twarzy, przypadkowo spotkanej.

LX

Rogozina zastał Anton Panisienko w stanie największego rozdrażnienia.

Same niepowodzenia — opowiadał. — Miał tu znajomą. Trochę handlowali złotem. To znaczy: „trochę”, wcale dobrze! Skąd ona zdobywała? Nie jego rzecz. Była u niej bogata Żydówka. Mówią, że jej zabrała wszystko, a później wydała w ręce Gestapo. Już on domyśla się, jakie to było „gestapo”... Zawsze takie rzeczy będą mówić, gdy nikt sprawdzić nie może. Bo skąd i później zdobywała złote rzeczy, brylanty? Znaczy, miała dobre chody. Ładna była. Czort ją wie, z kim tam się ona kontaktowała jeszcze, z jaką bandą. Ostatecznie nie jego rzecz. Klaudia było jej na imię. I teraz zabili ją. Pod miastem, głupia, mieszkała sama jedna z dwojgiem dzieci. A mówił jej tyle razy, uprzedzał! W nocy zamordowali. Pewnie współnicy. Ładna była... Ach, jaka ładna! — W głosie Rogozina przebijała nuta głębokiego żalu. Trudno by osądzić z całą pewnością, czy żalu wskutek strat materialnych, czy żalu za nią samą. Musiał być jednak do żywego poruszony, że nie mógł się powstrzymać by nie mówić o rzeczach, o których się teraz zazwyczaj przemilcza. Doprawdy, wydawało się Antonowi, że Jurij Wasiljewicz zmienił się, podupał na duchu, zgorzkniał w tym krótkim czasie.

— Teraz sprawa z obrazami — opowiadał dalej z oznakami najgorszego humoru w słowach i gestach. — Co za cholera! Jaki wpadunek! Taki młody blondynek, Czajkowski, zdawało się zero ludzkie. A okazał się spryt na kółkach. Potrafił wciągnąć dwóch Niemców do spółki i kursował na olbrzymiej trasie, przez Brześć do Kijowa i wywahał tam obrazy. Były to częściowo rozgrabione przy ewakuacji muzeów, po ludziach; częściowo zachowane u starożyłów z dawnych czasów. Specjalistą się zrobił. Przywiózł dwa płótna Wiereschagina, jednego Wasilja Baksta. No, za Baksta to nie dużo dają. Ale Wiereschagina... Przywiózł Renoira. Z Kijowa! Podróbka, czy nie, Renoir namalował sześć tysięcy

obrazów, kto tam teraz będzie sprawdzał, gdy spekulacja idzie na pełną parę. — Miałem takich — mówił — którzy spławiali i do Warszawy, i do Paryża. Czysta gotówka. Potem on wywachał cały skład francuskich impresjonistów. W Odessie! A w Rosji było ich dużo. Dawni kupcy, rozbogaceni, kupowali zagranicą po galeriach. *A propos*: Odessa pod Rumunami, jest dziś jedynym miastem na świecie, które zaczęło żyć prawie przedrewolucyjnym życiem Rosji. Wszystkiego w bród, życie pulsuje. To się, naturalnie, lada chwila skończy. Ale wracając do sprawy: Potrzeba było Czajkowskiemu pieniędzy na obrót...

— Wpakowałem czort wie ile złota w ten interes! I trzebaż szczęścia: nakryli ich w drodze powrotnej, koło Równego. Jeden Niemiec wykręcił się. Drugiego zesłano do batalionu karnego, a mojego Czajkowskiego do Oświęcimia. Tfu!... Ot, i żyj jak chcesz.

Anton ze swej strony opowiedział mu szczegółowo o swoich przygodach w Mińsku i ucieczce. Pomiął tylko milczeniem, co zresztą sprawy nie zmieniało, swój wewnętrznie uczuciowy stosunek do Maryny.

— Nie trzeba było uciekać — zawyrokował Rogożin. — Mogłoby nic nie być. No, naturalnie, mogłoby i być... Teraz to już kłamka zapadła. Jest pan spalony na funty. A co by pan zrobił, żeby mnie nie zastał? Fatalnie. Trzeba coś pomyśleć. Łatwo powiedzieć. Ech, z pana też... Akurat związywać się z pokojówką generalnego komisarza. Mało dziwek.

Anton zdany był na jego łaskę-niełaskę. Dla odwrócenia złych myśli, zaczął mu opowiadać o monologach zabitego van Orleya. Rogożin z łokciami na stole, bez ruchu, patrzący w kąt, nie wiadomo było czy słucha, czy myśli o innym. Anton opowiadał dalej. Gdy skończył, Rogożin zabębnił palcami po stole.

— To wszystko nie ważne, co bredził ten holenderski...

— Flamandczyk.

— Niech będzie flamandzki... Rzec jest w innym. Rzec jest w tym, że nigdy chyba w dziejach takie miliony ludzi, z takim upragnieniem nie czekały na wojnę i tyle się po wojnie spodziewały. Otóż stopień rozczarowania, przez te bydlę hitlerowskie, jest w ludziach, jak zawsze w takich wypadkach, proporcjonalnie większy od napięcia poprzednio pokładanych nadziei. Rozczarowanie jest druzgoczące. Tu chodzi już nie o wojnę, a o przyszłość powojenną. Rozczarowanie, przepowiadam, wyrodzi się w pragnienie pokoju. A wie pan, gdzie największy na świecie panuje zawsze spokój? W więzieniu. W więzieniu, mój drogi. Otóż tego utożsamienia „pokoju” ze „spokojem”, należy się obawiać. A wszystko przez tego skurwysyna Hitlera, kretyna z wąsi-

kiem. Zgnoił cały świat, gówno śmiertelne. — Rogożin zaczął chodzić po pokoju tak szybko, jakby po nim biegał.

— Ale mogą zwyciężyć nie tylko bolszewicy, ale i zachodnie... — zaczął nieśmiało Anton.

— „Demokracje?!” Pan wie kto zwycięży po tej wojnie? Niemcy? Anglia? Sowiety? Amerykanie? Nie! Zwycięży wszechświatowa kurwa!

Anton patrzył na niego ze szczerym zdumieniem. Bojąc się go rozdrażnić jeszcze bardziej, nie chciał oponować, lecz siłąc się na spokój podjął ostrożnie:

— Niedawno temu, gdy rozmawialiśmy z panem...

— To było dawno, proszę pana. To było kilka tygodni temu! A więc, nu, wszystko k czortu! Jak tak, to tak!

„To on wskutek zabójstwa tej Klaudii, popadł w taki stan”, przyszło na myśl Antonowi, „musiało go cholernie dotknąć”. — Był jednak zbyt zależny od niego w tej chwili, by oponować, co by mogło pogorszyć jeszcze stan tego rozdrażnienia. Raczej uczynił ponowną próbę odwrócenia uwagi od poprzedniego tematu:

— Miał pan jakie wiadomości z Berlina? — zapytał.

— A nu ich wszystkich k czortowej materii...

— Miałem jednak wrażenie, że pana bardzo cenią tam, na Bleibtreustrasse. A także...

— Ale ja ich nie cenię.

Anton spojrzał pytająco.

— Śmiesznie jest wierzyć w dobrą wolę, czy to będzie RAZWIEDUPR, Abwehra, czy... Intelligence Service, proszę pana. A tam są ludzie, którzy, zdaje się, w to wierzą.

W tej chwili jednak, jakby się chciał otrząchnąć z tego, co może za dużo powiedział w podnieceniu i złości, zreflektował się, opanował i z wyraźnym wymuszeniem powrócił do spokojnego tonu:

— Ale do rzeczy konkretnej: pański los. Tu pan siedzieć nie może. Trzeba pana wyekspediować. Jutro z samego rana zabiorę się do rozpatrzenia możliwości.

Nazajutrz rano, polecając nie ruszać się z mieszkania Antonowi, Rogożin zamknął drzwi od zewnątrz, zbiegł po schodach i wkrótce słychać było jego oddalające się kroki na chodniku. Anton nie podchodził nawet do okien.

Wrócił późnym wieczorem, przyniósł zakąskę i dobry samo-gon. Zdawał się lepszej myśli, czy może był pod wpływem alkoholu.

— Wygłodniał pan? To nic, swoi ludzie, damy radę. Wy-

ekspediujemy pana do Warszawy. — Po czym zabrał się w kuchni do przygotowania kolacji. Dopiero gdy zjedli trochę (a Pani-sienko był istotnie wygłodniały), Rogożin przystąpił do wyłożenia rzeczy:

— Niestety, muszę pana wtajemniczyć od Adama i Ewy, gdyż inaczej nie rozezna się pan w tych zawiłościach. A ważne, żeby pan wiedział czego się trzymać, z kim będzie miał do czynienia, jakich drażliwych pytań nie stawiać i zachować się naturalnie. Niech pan słucha: Jest dwóch braci Botlarewskich, prawosławnych i prawych Rosjan. Starszy, Eugeniusz, służył jak przystało u Denikina, a za czasów polskich prowadził tu rosyjską gazetę. Jestem z nim w przyjaźni od lat. Za czasów okupacji sowieckiej w 1940, został aresztowany. Rzekomo przyznał się do wszystkiego, ale NKGB nie tylko go wypuściło, ale zrobiło administratorem fachowcem gazety „Krasnaja Zwiezda”. Naturalnie mówiono, że został ich agentem. Może tak, może nie. Raczej, tak. Wytrzymałość ludzka i nędza ludzka ma swoje granice. Koniec życia i możliwość dalszego życia, to są rzeczy zbyt poważne i nie każdy zdobyć się potrafi na machnięcie ręki, czy zgrywanie bohatera. Żona i dorastająca córka. Więc zostawmy na boku jego ówczesną decyzję. Faktem jest, że nikomu nie zaszkodził. Jak to potrafił zrobić, nie ważne. Z przyjściem Niemców, nasz Eugeniusz staje się znowu technicznym administratorem, tym razem niemieckiej gazety w języku polskim: „Goniec Wileński”. Strona finansowa. Człowieczek on, „byłe przeżyć”, no i trochę na boku zarobić. Akurat potrzebował wybrać sobie fach gazetyowy...! Mniejsza. Na czarnym rynečku, na spekulacji, z dała od polityki. Rezultat jest taki, że jego tu, za sprawą niejakiego Wrony, dawnego współpracownika „Prawdy Wileńskiej” i dawnego agenta NKGB, a obecnie, zdaje się, o ile wiem, sekretarza podziemnej polskiej „Niepodległości”, skazuje podziemie polskie na karę śmierci. On do mnie. A ze mną tak: pewne agendy polskiego podziemia mnie mają na oku, a inne ze mną współpracują. Te ważniejsze. Podziemie to jest jedno wielkie kretowisko. Nie będę wdawał się w szczegóły. Udało mi się jakoś zaklajstrować. Ale to nigdy nie pewne. Słowem, nasz Eugeniusz żyje, jak to mówią, na jednym półdupku. Dobrze. Co się dzieje dalej: związał się on handlowo z jakimś Niemcem. Inteligentnym, wykształconym. Niemiec przyjeżdża z Witebska i u niego staje. A później zamieszkuje. W rezultacie żona Botlarewskiego zakochuje się w tym Niemcu, a Niemiec zakochuje się w córce. To tak na boku.

Anton podniósł kieliszek i uśmiechnął się. Rogożin stuknął się z nim.

— Pijmy na zdrowie, ale nie śmiejmy się z bliźnich. Dramat

i farsa, to nie jest inna fabuła, to tylko inne spojrzenie. Każdą tragedię można w dwa pociągnięcia pióra przerobić na komedię i odwrotnie. Byle zapłacić honorarium autorowi.

— Mnie się zdaje, zależy jak się kończy...

— Tak, *happy* czy *unhappy end*. Otóż na razie, niestety. Powikłania idą dalej. Ten Niemiec okazuje się w dodatku „polityczny”, antyhitlerowiec, dezertier, na fałszywych papierach. Podobno w Witebsku działała przez krótki czas jakaś polska agencja w ramach „dywersji psychologicznej”. I bodaj, jego jedynego zwerbowała. Do domu wchodzi Gestapo. Córka ucieka przez kuchnię. Ale matka aresztowana przez Gestapo, strasznie pobita. Niemca złapano i rozstrzelano; a córka ukryła się. Eugeniusz, którego „na razie” nie zabili Polacy, uciekł na krótko przedtem do brata, do Warszawy. Brat nazywa się Teodor. Jeżeli Eugeniusz interesował się głównie pieniężkami, to Teodor: wypić i zakąsić. Przed wojną, od drobnych spekulacji, dochodzi do własnej stajni wyścigowej w Warszawie. I to cała jego pasja. Ale ma również córkę. Ta córka wyszła za mąż za uczonego botanika, docenta Wiszniewskiego. Określamy go na dzisiejsze czasy: patrioty polskiego. To żadna tajemnica. Nazwisko jawne jak i jego teścia. Teodor rejestruje się w Komitecie Rosyjskim, ale za sprawą swego zięcia wchodzi w kontakt z KWC, to jest „Kierownictwo Walki Cywilnej” polskiego podziemia... Proszę sobie dopowiedzieć resztę. To też mój przyjaciel. Przez tamtejsze polskie podziemie uzyska pan, za sprawą moich przyjaciół duże, może jedyne szanse. Ja przez tutejsze, zaopatrzę pana w lipowe ale doskonałej fabrykacji papierki. Teraz wie pan czego się trzymać. Oni mają wobec mnie osobiste zobowiązania prywatnej natury. To wystarczy. Teraz proszę zapamiętać, nie pomylić, i nie zapisywać pod żadnym pretekstem. Nauczyć się na pamięć adresu tej kwatery: w centrum Warszawy, ulica Zgoda 6. I dalszą akcję, polityczną czy inną, zechce pan z nimi koordynować. Kontakt ze mną pozostanie... Acha, pan zadzwoni do drzwi i zapyta o któregoś z braci Botlarewskich. I wszystko jedno któremu, powie: „Przepraszam, czy tu jest do sprzedania dywan afganistański”? Odpowiedź: „Tu”. My zawsze z nimi od strony dziedziny handlowej najlepiej się rozumiemy, he, he, he...

— Ufa pan mi jednak?

— Ja, nie. To Anastazja Ipolitowna panu ufa. — Po raz pierwszy usłyszał Anton z ust Rogożina coś o niej pozytywnego.



Tej samej nocy, gdy tak rozmawiali w Wilnie, w Mińsku

ludzie z Gestapo wkroczyli do mieszkania Władimira Leonidowicza Panisienki i wyprowadzili go. Odtąd ślad po nim zaginął. Niektórzy twierdzili, że został zaraz rozstrzelany i trup zakopany. Inni, że wywieziono go (skąd wiedzieli?) do kacetu w Stutthofie.

Było inaczej, niż spodziewał się ojciec i syn. Chatagow, który już wiedział co to za „malczyk” odwiedzał Marynę, nie doniósł od razu, aby zbyt pochopnym krokiem nie wywołać jakichś refleksji... Uczynił to dopiero dwa dni później, niby w wyniku swoich konfidencyalnych zabiegów, podjętych po zabójstwie Kubego. Odwracał w ten sposób uwagę od podziemnej partyjnej jaczeki miejskiej, a zarazem uderzał w gada-zdrajcę ojczyzny sowieckiej.

Niepotrzebnie więc Anton uciekał szosą na łeb na szyję. Mógł wyjechać jeszcze spokojnie pociągiem. Chatagow na to liczył, że będzie aresztowany gdzieś po drodze, albo już w Berlinie. Co wywołałoby też niezły efekt.

LXI

Dnia 28 listopada, o godzinie 4-tej po południu, rozpoczęła się w Teheranie wielka konferencja pomiędzy Stalinem, Churchillem i Rooseveltem. Wieczorem prezydent Stanów Zjednoczonych, Roosevelt, zaprosił uczestników na *dinner*. Wznoszono toasty. Stalin pił zdrowie Churchilla, Churchill „wielkiego Stalina”! Po obiedzie, Winston Churchill podszedł do Stalina i wskazując sofę w salonie:

— Porozmawiajmy trochę o tym co będzie po osiągnięciu zwycięstwa.

Stalin usiadł nie zagłębiając się zbyt w poduszki, gdyż miał krótkie nogi i zwisałyby mu nieporadnie nad dywanem. Przyłączył się minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, Antony Eden. Churchill wyłożył swój punkt widzenia:

— Musimy, nasze trzy mocarstwa, stać się gwarantami pokoju światowego. Objąć kierownictwo świata. Musimy utrzymać przyjaźń ze sobą, aby zapewnić szczęśliwość domkom rodzinnym wszystkich krajów.

Stalin odchrząknął.

— A co ma się stać z Niemcami? — zapytał.

— Nie jestem — odparł Churchill — przeciwko masom pracującym Niemiec, tylko przeciwko przywódcom i ich knowaniom.

— Taaak... — przeciągnął Stalin i poprawił się bokiem, gdyż zapadał się w tył kanapy. — W niemieckich dywizjach jest dużo ludzi pracy, którzy walczą na rozkaz. Jeńcy niemieccy z klasy robotniczej, na pytanie dlaczego walczą za Hitlera, odpowiadają że słuchają rozkazów. Takich jeńców każę rozstrzeliwać.

Eden sięgnął po kieliszek whisky z lodem. Churchill odejmując cygaro od ust wypuścił obłoczek dymu.

— Może pomówimy o Polsce. Sądzę, że Polska może być przesunięta na zachód. Tak jak żołnierze przestępujący w szeregu. Ze przy tym nadepczą na niemieckie palce, tego nie da się zmienić.

— Polska ma własną mowę i kulturę, nie może być wytępiona — wtrącił Stalin.

— Czy nie spróbowalibyśmy wytyczyć jej granic?

— Tak.

— Nie mam pełnomocnictw od parlamentu, ale możemy to zrobić.

— Bez udziału samych Polaków? — zapytał Stalin.

— Bez. Jeżeli teraz nieoficjalnie uzgodnimy, będziemy mogli później zakomunikować im decyzje.

— Dobrze. Czy panowie sądzą, że ja chcę Polskę połknąć? — zapytał Stalin wprost.

Eden uśmiechnął się i odparł tonem żartobliwym:

— Nie wiemy co Związek Sowiecki zamierza połknąć, a co pozostawić nie połknięte. Sądzę, że co Polska na wschodzie utraci, mogłaby otrzymać na zachodzie.

— To możliwe. Ale nie wiem jeszcze... — odparł Stalin powściągliwie.

Wtedy Churchill wyjął z kieszeni pudełko zapalek, wyjął trzy zapalki, i na niskim stoliku przed sofą ułożył je rzędem obok siebie. Potem wziął leżącą u skraju i przełożył za następne dwie:

— Tak zrobimy z Polską.

Stalin uśmiechnął się szeroko pod wąsem. Miał poczucie humoru i ta gra zapalkami ubawiła go wyraźnie.

Churchill był zadowolony z efektu i tegoż dnia polecił się sфотографować w kaukaskiej papasze na głowie.



Konferencja w Teheranie zakończyła się 1 grudnia. Rząd polski w Londynie nie był powiadomiony o zapadłych na tej konfe-

rencji decyzjach. Ale to o czym dowiadywał się z różnych źródeł nieurzędowych, nie mogło zostawić wątpliwości, że zarówno w Ameryce jak Anglii dojrzała już ostateczna decyzja oddania Sowiecom całej Europy środkowowschodniej. Poprzednio, w końcu października, połączony sztab zachodnich aliantów, „Cossak”, definitywnie wyłączył Polskę, Czechosłowację i inne kraje wschodniej Europy z planów inwazji kontynentu. Przyjęta została zasada, że kraje te wchodzą w sferę działania armii czerwonej i stanowią przedmiot politycznego zainteresowania Sowieców. Decyzje powzięte w Teheranie były tylko konsekwencją logiczną poprzednich postanowień i ich przypieczętowaniem. — W stosunku do Polski z tym szczególnym wyjątkiem, że miała być ona oddana Sowiecom przy udziale jej własnego rządu i przy udziale podległych temu rządowi agend w kraju. Od tej chwili nastąpiły naciski ze strony angielskiej o usunięcie pewnych członków rządu polskiego, których uważano za przeszkodę, jak też zwielokrotniona w porównaniu do lat ubiegłych presja, aby w Polsce usunięte zostały resztki antysowieckich animozji i nastąpiło pełne podporządkowanie wymogom Stalina.

W tym czasie Sowiety szczególnie domagały się wyłączenia z rządu polskiego generała Sosnkowskiego, który po tajemniczej śmierci gen. Sikorskiego 5 lipca w Gibraltarze, mianowany został na jego miejsce wodzem naczelnym. Do ataków na gen. Sosnkowskiego przyłączyły się pewne wpływowe czynniki polskie. Chodziło o rzecz ważną.



W obliczu zbliżania się wojsk czerwonych do granic Polski, odbyły się w Londynie długotrwałe narady rządu polskiego. Wódz Naczelny, gen. Sosnkowski, zdołał na posiedzeniu 25 października, przeforsować uchwałę, którą następnie w formie tajnej instrukcji, datowanej 27 tegoż miesiąca, przesłał 1 listopada do Warszawy, zawiadamiając komendę główną AK, że „Kraj z Sowiecami współpracować nie będzie”. Na wypadek wkroczenia Sowieców na terytorium Polski:

.....
„B. II. Władze krajowe i Siły Zbrojne w kraju pozostają nadal w konspiracji i oczekują dalszych decyzji Rządu Polskiego”.

Wszelako dowódca Armii Krajowej, generał Bór-Komorowski (używający w korespondencji z Londynem pseudonimu „Lawa”), odmówił wykonania instrukcji Naczelnego Wodza. W depeszy datowanej 26. XI. 1943, do gen. Sosnkowskiego, donosił:

„Na podstawie przesłanej przez P. Generała za L. 5989 instrukcji Rządu dla kraju, wydałem do obszarów i okręgów rozkaz który przedstawiam. Jak z treści jego wynika, nakazałem ujawnienie się wobec wkraczających Rosjan dowódcom i oddziałom, które wezmą udział w zwalczaniu uchodzących Niemców. Zadaniem ich w tym momencie będzie dokumentować swym wystąpieniem istnienie Rzeczypospolitej. — W tym punkcie rozkaz mój jest niezgodny z instrukcją Rządu...”

Generał Bór zdawał sobie sprawę z wytworzonego stanu faktycznego. W tym czasie AK, a zwłaszcza „Kierownictwo Walki Cywilnej” i prawie wszystkie podległe mu agendy, były w znacznym stopniu zinfiltrowane przez agentów sowieckich, czynniki komunistyczne bądź prokomunistyczne. Zwrócił na to uwagę szef II Oddziału w Londynie już w sierpniu 1942, notując ten fakt z niepokojem. „Lawina” nie ukrywa tego stanu rzeczy i otwarcie donosi o nim w punkcie drugim depezy:

„2. Przygotowuję w największej tajemnicy, na wypadek drugiej okupacji sowieckiej, zawiązkową sieć dowódczą nowej organizacji... Będzie to odrębna sieć, nie związana z szeroką organizacją AK, rozszyfrowanej w dużej mierze przez czynniki pozostające na służbie sowieckiej...”

Jednakże w załączniku nr 1 do 2100 PZP 1300/III, z dnia 20. XI. 43, dodaje:

„Wszystkie nasze przygotowania wojenne zmierzają do działań zbrojnych przeciwko Niemcom. W żadnym wypadku nie może dojść do działań zbrojnych przeciwko Rosjanom wkraczającym na ziemie nasze w ślad za Niemcami...”

W dalszym ciągu swej depezy, dowódca AK przedstawia własne dyspozycje, zawarte w jego rozkazie na wypadek wkroczenia wojsk sowieckich:

„V. Stosunek do Rosjan: 1) Znajdującym się na ziemiach naszych sowieckim oddziałom partyzanckim nie należy w żadnym wypadku utrudniać prowadzenia walki z Niemcami. Unikać obecnie zatargów z oddziałami sowieckimi. Te nasze oddziały, które już miały tego rodzaju zatargi... powinny być przesunięte na inny teren. Z naszej strony dopuszczalna jest tylko akcja samoobrony. 2) Należy przeciwdziałać tendencji ludności terenów wschodnich do ucieczki na zachód przed niebezpieczeństwem rosyjskim... 3) Miejscowy dowódca polski winien się zgłosić wraz z mającym się ujawnić przedstawicielem władzy cywilnej administracyjnej u dowódcy oddziałów sowieckich i stosować się do jego życzeń...”

Depesza dowódcy AK, który odmawia podporządkowania się instrukcji naczelnego wodza i dowolnie odwraca jego rozkazy, datowana w Warszawie 26 listopada 1943, idzie w sposób zagadkowy niezmiernie długo... Dociera do rąk naczelnego wodza w Lon-

dynie dopiero po miesiącu i pięciu dniach, 1 stycznia 1944 roku.

Na trzy dni przed przekroczeniem wschodniej granicy Rzeczypospolitej przez armie czerwone.

LXII

Zanim jednak szczegółowe instrukcje dowódcy AK (zresztą w warunkach podziemnych, najczęściej w stanie trochę zniekształconym, niepełnym, lub przez lokalne komendy uzupełniane własnymi komentarzami) dosięgły rozproszonych po lasach oddziałów, oddział leśny w sile około 200 ludzi, wychylił się z południowego krańca Puszczy Rudnickiej i zbliżał się do Koniawy, koło miasteczka Ejszyszki. Miasteczko obsadzone było przez garnizon policji litewskiej. Dowódca oddziału polskiego przesłał komendantowi garnizonu litewskiego pismo, podpisując je, na wszelki wypadek mglistym pseudonimem: „ppłk. Witold”, gdyż w konspiracji używał innego.

Treść pisma była jednoznaczna. „Witold” proponował zawarcie cichego porozumienia i żądał aby Litwini nie przeszkadzali partyzantce polskiej w jej ruchach. W zamian oddział polski zobowiązywał się nie atakować posterunków litewskich. Wojna polsko-litewska pod okupacją niemiecką, czy sowiecką, czy jak obecnie w obliczu szerzącej się partyzantki sowieckiej — pisał „Witold” — nie ma sensu. Jest przeciwna logice, interesom obydwóch narodów i ich tradycji. Jeżeli jednak Litwini odrzucą tę propozycję i zechcą wojny, to będą ją oczywiście mieli. „Witold” z niejakim patosem podkreślił, że powtarza tylko słowa, w jakich marszałek Piłsudski zwrócił się swojego czasu do premiera litewskiego Voldemarasa podczas ich dramatycznego spotkania przed forum Ligi Narodów w Genewie: „Pokój, czy wojna”? — Na tym list zakończył.

Komendant litewski uchylił się od wyraźnej odpowiedzi. Propozycja polska potrąca sprawy polityczne — odpisał — i on, komendant policji, nie jest kompetentny do zajmowania wobec nich stanowiska. — Obiecał jednak przedłożyć ją pełnomocnikowi „Litewskiego Frontu”, który niebawem ma się zjawić i wtedy nawiąże z panem pułkownikiem Witoldem kontakt.

Minął tydzień. W lasach opadał ostatni liść. Przenikającą mżawką jesienną przechodziły nad wierzchołkami drzew niskie

chmury; za niskie by należeć do nieba, za wysokie by stanowić część składową ziemi. Listopad dawał się we znaki i ludziom i koniom, a zagrażał ponadto że przejdzie w grudzień. Na otwartych mchach pojawiała się nocą pleśń przymrozków. W kniejach zniknęły ostatnie jagody na jarzębinach, pożarte przez przelotne drozdy. Pachniało, jak to o takiej porze, wilgocią, butwiejącym liściem, mokrym igliwem. Nad ruczajami snuły się mgły, bardziej nieraz skuteczne od sztucznych na wojnie zasłon dymnych.

W takie noce i dnie, tysiące mil angielskich odległych od rozświetlonego Teheranu, na konferencjach w pachnących chlebem chatkach, próbowano rozstrzygać problemy polityczne, spierano się o przyszłe terytoria. — Było po deszczu. Niekoszona trawa przemaczała buty. Przedstawiciel „Litewskiego Frontu” konspiracyjnego zjawił się z Ejszyszek do lasu. Może gdyby Henryk był tam obecny, rozpoznałby w nim „Leśniczego”, a może i nie; do tego stopnia się zmienił: przeżył on wrzód, czy postrzał w żołądki i wychudł strasznie; później twarz jego wysmagały wiatry, poczerńiło słońce i pokryło zmarszczkami.

Porozumienie polsko-litewskie, czy nawet współpraca — mógł — owszem, dla czego nie. Zawsze jest możliwa i nawet pożądana. Po co krew przelewać darmo. Ale do kogo ma należeć Wilno?

— Jakto?...

— No tak. Do kogo? Do Polski, czy do Litwy, zdaniem naszym?

— To znaczy pan pyta do kogo ma należeć po wojnie?

— I teraz i po wojnie — przytaknął Litwin.

— Zostawmy sprawę Wilna na boku. My tu, z panem, tej sprawy która trwa od 24-ech lat, tego sporu nie rozstrzygniemy w tej olszynie...

— Jaka to olszyna, czysta osika.

— Tym bardziej pod tą osiką. Sprawę Wilna należy pozostawić do rozstrzygnięcia na po wojnie. A tymczasem nasza wspólna sprawa wygląda tak...

— Nie ma wspólnej sprawy bez przyznania Wilna Litwie. Jeżeli Polacy nie godzą się z góry zrzec Wilna, nie mam upoważnienia do żadnych rozmów.

— Ale przecież o tym mogą rozmawiać tylko nasze rządy?! A nie my w lesie!

— To nie moja sprawa. To nasz pierwszy warunek. A wszystko inne potem.

— I to pańskie ostatnie słowo?

— Moje. To znaczy się, co ja mam prawo powiedzieć. A tam, wyżej, nie wiem. Niech panowie próbują gadać ze sobą. Między wodzami. Ale po wszystkim widać, mało co z tego może wyjść.

Z bardzo wysokiej topoli oderwał się jeden z przedostatnich liści i zabawnie, jak żółta łódeczka idąca na dno, wahadłowym ruchem spadał na ziemię. Na chwilę liść ten — ponieważ unikali patrzenia sobie w oczy i jakoś mijali się spojrzeniem — przykuł wzrok obydwóch negocjantów w nastąpiłym milczeniu. Przerwał je delegat „Litewskiego Frontu”.

— I skąd tu, w tym osikowym lesie, raptem topol wzięła się... Przepraszam, aż pójde zobaczyć. — Podszedł do drzewa obmacując korę, jakkolwiek nie mogło to rozwiązać botanicznej zagadki.

Trochę się przejaśniło. Chmury porzedniały, jakby chciały choć na krótko przewietrzyć niebo nad ich głowami.

ROK 1944

LXIII

Rzecz z Klaudią zdarzyła się jeszcze pod koniec ubiegłego roku, gdy padały deszcze. Tamtego wieczoru, jak Henryk wrócił z gotowaną kurą, którą otrzymał od Skowrońskiego, zastał w domu dzieci Klaudii. Dziesięcioletnią Lydię i ośmioletniego Józia. Halina wyjaśniła, że kuzynka zjawiła się niespodziewanie przed obiadem, prosząc o przetrzymanie ich w ciągu jednej doby gdyż ma pilne interesy, a dzieci samych nie może na noc zostawić w pustym domu w lesie.

— Dała mi nawet w prezencie broszkę. Patrz... Co tu masz w gazecie?

W tym okresie Klaudia była już dawno poważnym „człowiekiem interesu” na czarnym rynku. O jej spekulacjach i obrotach krążyły, zresztą przesadne jak wszystkie w tych czasach, wieści. Widywano ją coraz częściej w towarzystwie Rogożina, ale i innych osobników.

— Strzelano do mnie. To kiedy ona ma wrócić? — Henryk wziął broszkę, pokręcił w palcach i oddał niezbyt cenny ametyst.

— Ach, jak to dobrze! Kura! Dzieci, dostaniecie kurę na kolację! — Halina nie dosłyszała słowa: „strzelano”. Może dlatego, że było zbyt wytarte, może dlatego że zaabsorbowały ją całkowicie dzieci Klaudii. — Kiedy ma wrócić, pytasz? Akurat wiem. Powiedziała, że możliwie pojedzie do Kowna i wróci jutro rano.

Dwie pary dziecinnych oczu, błękitnych jak u Klaudii, śledziły z przykucnięcia na kanapie najpierw Henryka, później przeniosły się na Halę, aż wreszcie na kurę.

Klaudia nie zjawiła się następnego ranka. Nie zjawiła się i trzeciego dnia. Narzucało się proste przypuszczenie, że gdzieś w drodze została przyłapaną i aresztowaną.

Piątego dnia znaleziono ją, nie w żadnej drodze, ale we własnym domu na wsi, martwą. Czaszkę miała zdruzgotaną tępy m narzędziem, ale przypuszczalnie nie obuchem siekiery. Zresztą obydwie siekiery, stara i nowa, rzucone w kącie pod piecem między polanami, nie miały żadnych śladów krwi. Klaudia leżała w strasznej pozie: prawa jej smukła noga obnażona do pól uda, sterczała w górę oparta o brzeg tapczanu; lewa podgięta; tułowiem na ziemi, z głową koło przewróconego krzesła, w kałuży zastygłej krwi. Cios zadany był w tył czaszki; blond włosy zlepione w tej wysuszonej krwi; twarz zwrócona do światła, i rozwarte piękne kiedyś oczy, teraz zamglone, nie wyrażały nic. Tylko ruch dłoni, skamieniały w rozczapierzonych palcach, wydawał się świadczyć o okropieństwie tamtej, ostatniej sceny. Bielizna, majtki na niej, zapięta na piersiach flanelowa bluzka, pozwalały ustalić iż mord nie miał podłoża seksualnego. Brakło też śladów walki. Zwyczajny, raczej mord rabunkowy, niespodziewany. Natomiast dokonany być musiał przez jakiegoś gościa, czy gości. Na stole stała niedopita flaszka samogonu, talerze, resztki jedzenia.

Powiadomiona policja poprzestała na skonstatowaniu tych kilku pobieżnych szczegółów. Gdyż o prowadzeniu regularnego śledztwa w sprawach kryminalnych, zwłaszcza na prowincji, nie mogło być wtedy mowy.

Któregoś dnia, już po Nowym Roku, Halina powiedziała:

— Ja lubię dzieci.

— Jak każda kobieta.

— Raz, że nie każda. Klaudia nienawidziła nawet własnych dzieci...

— Ach, zaraz: „nienawidziła”.

— A żebyś wiedział, że właśnie nienawidziła. Ale przeszkadzasz mi powiedzieć coś ładnego, co sobie pomyślałam. Chciałam powiedzieć, że lubię dzieci dlatego, że trudno sobie wyobrazić dziecko, które by nie uwierzyło w niebo, gdy się mu o nim opowie. Zwłaszcza takie o błękitnych oczach.

Henryk zatrzymał się na progu z dłonią na klamce. Wychodził właśnie do kawiarenki, by przez łączność Jadzi skontaktować się z „Pułkownikiem”.



Jadzia już przedtem, gdy była mowa o tajemniczych okolicznościach w jakich zginęła Klaudia, wyraziła przypuszczenie że zamordował ją Rogozin. Później nawet upierała się przy tym twierdzeniu. Ale nie wyjaśniało to tajemniczych okoliczności. Bo jeżeli Klaudia chciała u siebie w domu przyjąć Rogozina, czy kogokolwiek innego, czy nawet podejmować większą ilość gości, dzieci

jej nie przeszkadzały. Po prostu wysyłała je na piec do kuchni. O co jej chodziło tym razem, dlaczego wyprawiła dzieci z domu do miasta pod opiekę kuzynki? Czy przeczuwała jakieś niebezpieczeństwo? Po co to spotkanie otoczyła aż taką tajemnicą, żeby mówić że wyjeżdża gdzieś indziej, a samej powrócić, gdy i tak ani Hala ani Henryk jej czynów nie kontrolowali?... Jadzia mówiła: „Rogożyn, i tylko on”.

Teraz śnieg padał mokrymi płatami. Henryk otrząsnął go z rękawów, odtupał buty, wytrzeptał czapkę i zbiegł po schodkach. Jadzia rozmawiała za bufetem z jakąś dziewczyną. Ta, na widok Henryka, usunęła się dyskretnie. Henryk szepnął Jadzi kilka słów. Ona wysłuchawszy spuściła powieki potakująco.

— Napijesz się czegoś gorącego? — zapytała. A później z łokciami złożonymi na kontuarze i z opartymi na tych łokciach piersiami, od czego wydymały się zdając większe niż były, pozornie bez powodu wskazała oczami Rogożina. Siedział na swoim stałym miejscu przy stoliku w rogu. Henryk znał go raczej powierzchownie, ale wiedzieli o sobie nawzajem mniej więcej to co wiedzieć mogli.

Podszedł i przysiadł się do niego. Wypił łyk z kubka, przyniesionego mu przez Jadzię, a gdy ta odeszła, zapytał:

— Kto zabił Klaudię?

— Pan, zdaje się, był jej szwagrem?

— Powiedzmy.

— Mogę panu powiedzieć, kto mógł to zrobić: agenci Gestapo na własną rękę, bo z urzędu to by ją rozstrzelali, a nie likwidowali cichaczem; policja litewska; partyzantka sowiecka; podziemie polskie; banda żydowska przez zemstę; zwyczajni bandyci...

— Ci wszyscy mają broń. Byłaby zastrzelona, a nie uderzona tępym narzędziem podczas libacji.

— Możliwe. Więc dalej: kompanioni z czarnego rynku; konkurenci handlowi; ktoś pomniejszy ze zgrai spekulantów którymi się otaczała; ktoś ze współtajemniczonych w zakopane skarby żydowskie... — Odmawiał tę litanie równo, jakby ze zmęczeniem i najniespodziewaniej trzasnął dłonią w stół i krzyknął jakimś naderwanym głosem: — Ale nie ja!!!... — Coś mu w gardle zagulgotało, zachrypło, skurcz jakiś. Wrażenie było okropne.

Oczy wszystkich obecnych zwróciły ku miejscu skąd padł ten historyczny okrzyk. Coś podobnego nie zdarza się. Kilka osób wstało i wyszło nie oglądając się. Była to scena przykra, prawie wstrętne, jak każdy szloch mężczyzny; tym bardziej takiego, którego przywykło się oglądać w stanie doskonałego opanowania. W miejscu publicznym, w biały trzeźwy dzień.

Henryk zareagował w odpowiedzi na to odrażające, niegodne

zjawisko, zupełnym bezruchem. Odwrócił tylko oczy od twarzy tamtego. Rogożin zacisnął kurczowo pięść na stole, aż zgrzytnęły paznokcie po blacie, wciągnął głośno powietrze, później zabrał tę pięść, wyjął chustkę, utarł nosa i opanował się zupełnie. Jak to bywa, aby zatuszować przykry incydent, zachowywał się dalej jakby nic się nie stało, podkreślając to przesadnie spokojnym, prawie lodowatym głosem:

— Bywają stany bezkrytycznego uwielbienia. Wtedy wszystkie błędy i nieporozumienia, wszystkie zło, przypisuje się innym tylko. Wszystko dobro, piękno, jednemu wyłącznie, co się uwielbia. Ale może się zdarzyć, że przedmiot uwielbienia okazuje się zwyczajną... kurwą. Cóż począć. Ja w tego rodzaju uwielbienie zapadłem na stare lata. A to są straszne lata. Może pan to nazwać stanem uwielbienia kurewskiego.

— Zostawiła dwoje dzieci, które są u nas.

— Jak pan chce, to niech pan mnie odda te dzieci.

— Po co?

— Będę je wychowywał. Mam może więcej pieniędzy od pana.

— Nie, moja żona powiedziała że lubi dzieci. Zwłaszcza o błękitnych oczach.

— Jej wola.

Wychodząc Henryk podszedł do bufetu, by raz jeszcze przypomnieć Jadzi o pilnym kontakcie. Nie patrząc na niego, pochłonięta ścieraniem lady, powiedziała półgłosem:

— Nie, to nie Rogożin zabił.

Henryk nic nie odpowiedział, i wyszedł w mokry śnieg na ulicę.

W ten sposób życie jego skomplikowało się znacznie przez niespodziewane zjawienie się dwojga dzieci. Skomplikowało jeszcze i przez to, że z chwilą nastania tych dzieci w domu, czy to charakter Haliny, czy też tylko zewnętrzne jego przejawy, zaczęły ulegać znacznej przemianie. Może te dzieci były istotną przyczyną, może tylko powodem, który wyzwolił głębszą przyczynę, ale Halina stała się inną niż była.

LXIV

W międzyczasie wszystkie radia nastawione były na Londyn. Wprawdzie Polacy nie mieli prawa posiadać radioodbiorników,

ale w stanie zakonspirowania zostało ich dużo. Prócz tego, wśród ludności tak przemieszanej wzajemnie, sporo było rodzin które utrzymywały stosunki z rodzinami niepolskimi, tzn. takimi które na posiadanie radia prawo miały.

„Stuk-stuk-stuk... Stuk-stuk-stuk... Stuk-stuk-stuk... Tu mówi Londyn!”... Oczy słuchających nabierały tego przyczajonego rozblasku, jaki nadaje moment oczekiwania dobrej nowiny. Również tajne podziemne biuletyny streszczały wieści radiowe z Londynu i rozchodziły się one szeroką falą, przyprawioną optymistycznym komentarzem.

Dnia 4 stycznia Czerwona Armia „1-go Ukraińskiego Frontu” przekroczyła dawną polsko-sowiecką granicę na odcinku Olewsk-Rokitno, a 5 zajęła Berdyczów. Tego samego ranka Kurczyńska spotkała Leona słowami:

— Słyszał pan?!

— Nie miałem czasu. A co?

— „Co”!?... Wspaniałe wieści! Pan wie co postanowiono w Teheranie? Polska będzie silniejsza, większa i potężniejsza niż kiedykolwiek. Wszystkie mocarstwa to zagwarantowały. Mam nowy podziemny biuletyn. Widzi pan! A pan wątpił w Churchilla!

— I co więdzej?

— Król angielski słowem honoru zapewnił niepodległość Polski. Nie było w historii wypadku, by król angielski nie dotrzymał słowa, proszę pana.

Wieść tę naturalnie słyszała już i starszawa przyjaciółka „Radwana”. Od siebie dodała jedynie zapożyczony od kogoś komentarz: „Najlepsze potwierdzenie naszego sukcesu to to, że Niemcy wyłażą ze skóry i gwałtownie piszą o „sprzedaniu Polski w Teheranie”!

Słyszała i Jadzia w kawiarence, która tak raptownie zmieniła zdanie o Rogożinie, że się do niego zaczęła odnosić przyjaźnie i teraz podzieliła się z nim dobrą nowiną. Dodała, że ponoć Goebels fabrykuje nowe monstrualne fałszerstwo o „polskiej siedemnastej republice sowieckiej”, które ma niebawem ogłosić w swoim „Das Reich”.

— Nie jestem katolikiem — odpowiedział — i w ogóle nie biegły w piśmie świętym. Ale bodaj, że to już św. Augustyn powiedział: „Wierzę, aby poznać...” Oczywiście: poznać prawdę, miał na myśli. Ma pani rację, panno Jadziu, jej z „Das Reich” się nie wyczyta. Tylko się dowie z londyńskiego radia. To jasne.

— I po co ta ironia? Zresztą, może pan jako Rosjanin patrzy na te rzeczy inaczej.

— Ja patrzę na rzeczy nie z punktu rosyjskiego, a z punktu czarnego rynku. A pani z punktu patriotycznego. To są dwa róż-

ne punkty widzenia, kochana pani. Ja panią lubię, choć pani mnie oczerniła, że jestem mordercą.

— Że pan?... A skąd pan wie?

— Mam swój kontrwywiad.

— Ja niedawno dowiedziałam się dopiero, że...

— Nie mówić. Psst. Po co ryzykować.

— Ja też nie mam zamiaru nic powiedzieć więcej, jak tylko...

Rozmowę przerwało wejście Leona z jakimś nieznanym facetem w cyklistówce, na których mimowoli zwrócili oboje uwagę. To była ze strony Leona duża lekkomyślność.

Bo tegoż przedpołudnia pociągiem z Grodna przyjechał do Wilna z Warszawy, Watrycy. Z lipową przepustką i lipową „Kennkartą” na imię Władysława Jabłonowskiego. Stał przed dworcowym kioskiem gazetowym, kupił gazetę, dał znak Leonowi oczami i poszedł wolno w kierunku centrum miasta. Leon nie od razu, a po upływie kilku minut zapiął kożuszek i poszedł śladem. Za nimi szedł tylko kolejarz miejscowy z drewnianym kufierkiem w rękę i skórzaną torbą przez ramię, jak ci co przyjeżdżają z pracy i idą zmęczeni do domu. To ich zmyliło.

Nie podając sobie ręki, milcząc, zbaczając kilkakrotnie, wyszli na Plac Katedralny. Tu dopiero Leon odezwał się pierwszy:

— Cieszę się. Co słyhać?

— Raczej nieźle... — przeciągnął tamten patrząc przed siebie.

Przystanęli na chwilę, gdyż oczom ich przedstawił się niezwykły widok: Po środku placu żołnierz niemiecki, w płaszczu bez pasa, o zapadłych policzkach, blady, w okularach i wyrazie twarzy przeciętnego europejskiego intelektualisty, rzeźbił ze śniegu nagromadzonego w wielką bryłę: figurę kwadrygi rzymskiej. Był nieduży mróz. Dla umocnienia już wyrzeźbionych kształtów, śnieg spryskiwano zamarzającą wodą. Tę wodę, w wiadrach, przynosiło artyście rzeźbiarzowi kilku niedobitych w getcie Żydów. Postacie jeszcze bardziej niż on chude, wymizerowane z głodu, z zamartym na twarzy uśmiechem ludzkiego upodlenia, w łachmanach i takąż złachmanioną żółtą szmatą na piersiach i plecach. Widać było, iż artysta stara się na nich nie patrzeć, a tylko ruchem ręki wskazuje im gdzie mają polewać. To zestawienie sztuki-dla-sztuki, nędzy, upodlenia człowieka i wstydu ludzkiego, stanowiło dziwnie odstręczającą a zarazem przykuwającą oczy całość. Działo się wszystko na tle starej dzwonnicy zbudowanej tu — jak głosiła legenda — na miejscu ołtarza ku czci pogańskiego Perkunasa, starolitewskiego boga gromów i burzy sprzed przyjęcia chrześcijaństwa w czternastym wieku. Także i słowiańskiego boga Peruna uroczystej

przysięgi. W zamierzczłych epokach skandynawskiego boga Thor-ra, germańskiego Donara, także boga burzy i ślubów, płodności i ofiar zwierzęcych... Chrześcijańska wieża, wielka i opasła jak brzuch Bernardyna, wyrastała z bieli śniegu, odbijając jasno złotym, zwietrzałym tynkiem; olbrzymia nad rzeźbioną kwadrygą, krzyżem, znakiem miłości bliźniego wskazując niebo, na którym właśnie gromadziły się przedziwnie szaro-liliowe chmury zapowiadające burzę śniegową.

Watrycy patrzył spod daszka swej cyklistówki i dostrzec było, jak skóra na policzkach drga mu od zaciśniętych zębów. Leon mruknął:

— Fragment dziejów europejskiego kontynentu...

— Symbol — odpowiedział tamten, prawie nie rozwierając szczęk — plugawej niemieckiej kultury. Symbol ich kulturtregerstwa... Kicz, polewany rękami niewolników przeznaczonych na rzeź. Ale już koniec ich bandytyzmu. Porzniemy i my ich trochę...

— Wszystko to mówił w urywanych zdaniach.

— Nie stójmy tak na widoku — szepnął Leon.

— Gadanie sakramenckie — Watrycy z obrzydzeniem oderwał wzrok od kwadrygi, rzeźbiarza i Żydów — że prawdziwa polityka musi być koniecznie wyprana z miłości i nienawiści. Z miłością to może istotnie, do dupy. Ale są czasy, gdy nienawiść zaczyna rządzić. I nie może być inaczej. Ja tobie powiem. Już w roku 1942 opracowano u nas plan powstania, który w punkcie pierwszym przewiduje zniszczenie ludności niemieckiej na naszych ziemiach. Miałem w ręku. I słusznie, i słusznie. Jak się tępi pluskwy. Pomścić. To jest zadanie pierwszoplanowe. Bez oglądania się na inne. Musimy ich pobić i dobić.

Poszli powoli, zdawało się bez celu, w kierunku rzeki. Watrycy rozejrzył się.

— Słuchaj. Ja mam wyznaczony kontakt na godzinę 12-tą w południe. Pomyliłem rozkład, pociąg z Grodna przyszedł za wcześnie. Chciałem coś przekąsić, może gorącego wypić; nie masz tu gdzie?

— Doskonale. To zawrócimy. Jest tu taka kawiarenka jedna. Watrycy spojrzął na zegarek.

— Pytałeś: co słyhać. Sytuacja raczej optymistyczna. Z Sowietami też jest lepiej. Następuje tam poważna ewolucja. Stalin nie jest taki głupi. Leninowskie mrzonki o rewolucji światowej, to dziś anachronizmy. Stalin przeszedł od kryteriów rewolucyjnych do kryteriów państwowych. W Warszawie słusznie mówią, że nie można zakładać, aby najpotężniejsze mocarstwa, jak Anglia i Ameryka, nie wiedziały co czynią. I ta Rosja, choć stosunki z nami zerwane, jest sojusznikiem naszych sojuszników. Brednie o „sprze-

daniu nas Sowietom”, to bezsilny bełkot propagandy niemieckiej. Tylko żadnych z naszej strony wariackich, antysowieckich gestów, bo to może nam popsuć właśnie w chwili gdy wazą się nasze losy. To gra na młyn Gestapo.

.....

O tej chwili właśnie, na dworcu kolejowym aresztowana została Kurczyńska. Chciała niezgrabnie połknąć truciznę, ale uderzona pięścią w zęby, wypuściła ją z ręki.

.....

Gdy schodzili stopniami do kawiarenki, śniegowe chmury pokryły już pół nieba.

Leonowi nie w smak były słowa Watrycego. On właśnie chciał odwrotnie, wystąpić z inicjatywą aby „coś robić”, aby nie siedzieć z założonymi rękami czekając aż nowa okupacja sowiecka ogarnie wszystkich bez przygotowania. On to namówił był Henryka, aby ten skontaktował się wreszcie z „Pułkownikiem”, by podjąć jakieś działanie, jeżeli nie w „duchu Zakrzewskiego”, to przynajmniej po tej myśli którą rozwijał Andruszkiewicz-„Andrzej”. Henryk był wprawdzie zdania, że skończy się na „wymianie myśli bez pokrycia”, ale zgodził się porozmawiać. Leon oczekiwał właśnie w tych dniach rezultatu. Przygotował od siebie krótki memoriał, sam jednak z kontaktem się nie narzucał, gdyż miał do „Pułkownika” urazę. Oto dowiedział się od przypadkowo spotkanego Wilenasa, że nawiązanie podziemnych rozmów polskolitewskich już nastąpiło. To znaczy, że on, Leon, został z nich z jakichś względów wyłączony, chociaż poprzednio był do tego delegowany. Naturalnie konspiracja nie może sobie pozwolić na respektowanie dobrych manier. Sądził jednak, że zażyłość i wzajemne zaufanie jakie łączyły go z „Pułkownikiem”, dawały mu prawo oczekiwać od niego przynajmniej jednego słowa... Wilenas zresztą sam również nie brał udziału w tych rozmowach. Powiedział mu, że osobiście nie zgadza się ze stanowiskiem własnej, litewskiej strony, która zrzeczenie się Wilna przez Polaków stawia jako warunek przedwstępny wszelkiego porozumienia.

O tym wszystkim Leon nie powiedział Watrycemu. Stał się wstrzemięźliwy i ostrożny. Dawno już wiedział, że dyktatura Podziemia nie jest łaskawa dla jednostek o odmiennych poglądach. Gdzie nie zachodzi więc konieczność, lepiej nie wrywać się z niebacznym słowem... Gdy zasiedli przy stoliku zbliżała się go-

dzina 11-ta przed południem. Gość z Warszawy miał jeszcze godzinę. Leon ostrożnie nawiązał do uprzedniej rozmowy:

— Mówisz „Rosja”. A to wszystko co jest dziś antysowieckie po stronie niemieckiej?

— Zdraycy i kolaboranci. Zdraycy własnego narodu. Punkt.

— Ale czy można wszystkich, dlatego tylko że ich interesy nie zgadzają się z naszymi interesami, piętnować jako zdrajców? Biali Rosjanie, Białorusini, Ukraińcy... też?

— No wiesz, jest wojna. I to wojna na śmierć i życie. Trudno wdawać się w te subtelności emocjonalne. Ukraińcy na przykład. A masz ty pojęcie co się wyrabia na Wołyniu? Obliczamy w Warszawie, że wymordowali tam dotychczas około 150 tysięcy Polaków. A co do Rosjan i innych, obowiązuje nas rozkaz AK w starciach z Niemcami: brać do niewoli i traktować jak jeńców wojennych wyłącznie żołnierzy Wehrmachtu. Natomiast na miejscu rozstrzeliwać: Gestapo, żandarmerię, SS-manów, i... wszystkich „kałmuków”. Bez patyczkowania.

Tak siedząc czynili bardzo nieostrożnie. Dziesięć minut po jedenastej wszedł jakiś gość. Dwadzieścia minut po jedenastej wszedł „Radwan”. Watrycy go nie poznał, choć znał poprzednio dobrze. Leon szczęśliwie powstrzymał się od powitania. „Radwan” poznał obojdwóch, ale nie wolno mu było „znać” teraz kogokolwiek z Podziemia. Dawno już przestał pracować w tajnej drukarni. Pracował teraz jako fachowiec w najtajniejszej z tajnych komórek, w której mieściło się laboratorium i pracownia fabrykująca lipowe paszporty, przepustki, zaświadczenia pracy, tak zwane „ordery” na towary sklepowe, zresztą dokumenty i pieczęcie każdego rodzaju. „Radwan” próbował nawet fabrykacji pieniędzy, ale poza słabo udanym banknotem okupacyjnej pięciomarkówki, nie zdołał wyprodukować nic zdatnego. Natomiast udało mu się świetnie podrobić list bankowy na mocy którego podjęto z Banku Kredytowego 12 tysięcy marek z konta naczelnika policji litewskiej wileńskiego rejonu. Ten zarazem śmiały jak dowcipny wyczyn szczególnie rozeźlił naczelnika policji, który nakazał zdwoić wysiłki dla wykrycia sprawców. Wymagało to z przeciwnej strony zdwojenia czujności.

Czy „Radwan” znał oblicze człowieka, który przed nim wszedł do kawiarni? Wypił haustem lurę, wstał, zapłacił przy bufecie Jadzi i wyszedł. W minutę później Jadzia podeszła do stolika Leona i, z obojętną miną zabierając puste szklanki szepnęła:

— Przy trzecim stoliku na lewo szpicel. Wychodźcie.

Pięć minut później, hałaśliwie odsuwając krzesła, płacąc, i głośno rozmawiając o kupnie pary butów, wstali od stolika i wyszli. Było trochę po wpół do dwunastej. Nad głową śniegowe chmury.

Rozsądek i konspiracyjna technika nakazywały zaraz się rozejść w różne strony. Postąpili inaczej, wbrew rozsądkowi i konspiracyjnej technice. Poszli jeszcze kawałek razem. I oto raptem...

Zdarzyło się gdy mijali właśnie dawną cukiernię „Sztrolla” (zwanego ongiś „czerwonym”), dziś przeistoczoną na Soldatenheim: zastąpiło im drogę trzech ludzi, jeden w cywilnym i dwóch w mundurach gestapowskich, podczas gdy dwóch innych postępowoło z tyłu...

— *Hände hoch!!!*...

Watrycy trzymał ręce w kieszeniach watowanej kurtki. Ze zdumiewającą szybkością wyrwał obydwie do góry i jednocześnie strzelił z trzymanej w prawej garści „siódemki” wprost w twarz najbliższego!... W odpowiedzi padły dwa strzały. Jedna z kul przeszła mu cyklistówkę, gęste pod nią włosy i naskórek czaszki; druga watowane ramię kurtki!... Tamci byli zanadto sami zaskoczeni, stłoczeni w zamieszaniu, a ci z tyłu w tym mgnieniu strzelać nie mogli, by nie trafić swoich... Agent cywilny chwycił Watrycego za prawe ramię, ale ten rąbnął go pistoletem z góry w dół przez nos do podbródka, powalił na chodnik i skoczył na jezdnię... I w tej chwili stał się cud!

Przy lekkim mrozie, z nieba zerwał się wichur, a z nawisłych oddawna chmur powalił mokry śnieg o niebywałej chyba gęstości i wielkości płatków... Leon pchnął gestapowca, przeskoczył przez leżącego i poleciał wprost przed siebie chodnikiem... Sekunda, w której pchnięty zawahał się w kogo ma strzelać, lub biec za którym, rozstrzygnęła.

— *Haaalt!!!*

Podobnie rozstrzygnął błąd agenta z tyłu, który skoczył za Watrycem na jezdnię, tym samym zasłaniając cel towarzyszącemu mu gestapowcowi ze „Schmeisserem”... Już go dopadał z pistoletem w ręku, ale śnieg zalepiał oczy... Watrycy odwrócił się jak okręcona w miejscu szpula i puścił mu trzy kule w brzuch... Tamten strzelił też, zgórował, bo miał wichur śnieżny w oczy, krzyknął, zacharczał, zadreptał i ukląkł na jezdni. Mundurowy pobiegł za Watrycem strzelając w gęstym śniegu, ale ten śmigał już jak jeleni chodnikiem w prawo na Plac Orzeszkowej, dopadł w rogu do furty w murze, okalającym kościół św. Jerzego, wpadł za ogrodzenie, zatrzasnął furkę i pamiętając z dawnych czasów topografię terenu, obiegił kościół i wydostał się na przeciwległe zaułki. Walił mokry, lepki śnieg, momentalnie pokrywając ślady, rwany wiatrem zalepiał twarz, oślepił. W białej lawinie ginęła wszelka widoczność.

Nie tylko ta burza śniegowa, ale i strzały uratowały Leona. Bo na ich odgłos wszystko co szło ulicą rzuciło się odruchowo

precz, dalej od zajścia. W tłumie uciekających i w białej zasłonie, gdy plecy każdego człowieka jednako zalepione były śniegiem, ująć pojedynczego zbiega pojedynczemu prześladowcy, było niepodobieństwem. Dobiegł do rogu i zatrzymał się. A uciekający Leon już znikł w ulicy Wileńskiej.

Leona uratowało ponad wszystko to, że wbrew rozsądkowi nie rozstał się zaraz z Watrycym i nie wrócił do kiosku, gdzie czekała już nań zasadzka gestapowców... O tym nie wiedział, ale teraz już tam nie ryzykował iść, nie będąc pewny czy nie został rozpoznany przez szpiclów. Biegł, a później szedł zdyszany wraz z innymi. Śnieg walił taki, iż robiło się prawie ciemno. Pierwszy przebłysk myśli to, że Watrycy w tak skomplikowaną podróż ryzykował jechać z pistoletem w kieszeni kurtki... Drugi: gdzie jest teczka podróżna, którą miał w rękę?... Czyżby zapomniał w kawiarce?... Dopiero trzeci: dokąd teraz? — O śniegu nie pomyślał. To Wola Boga.

Najbliższe stąd ukrycie jakie znał, to wypożyczalnia książek przy ulicy Tatarskiej, pani Janiny Narkowskiej.

LXV

Tego, co mówił Watrycy o ewolucji Sowietów, nie wysłał z palca. O tym mówiła nie tylko Warszawa, ale świat cały.

Jeszcze w grudniu 1942 prezydent Roosevelt w rozmowie z gen. Sikorskim oświadczył: „Sowiety będą ewoluowały w kierunku demokratycznym, trzeba je również wciągać do spraw wojennego urzędzenia Europy”.

Lord Selborne, człowiek wielkiej kultury i inteligencji, szef Ministry for Economic Welfare i z tego tytułu zaangażowany w akcji pomocy dla antyniemieckich ruchów oporu, zwłaszcza w Polsce, zaprosił był w Londynie na kolację generała Kopańskiego, szefa sztabu polskich sił zbrojnych na Zachodzie, by omówić z nim, w atmosferze niekrępującej, szereg spraw. Przy okazji wyłożył brytyjski pogląd na sytuację: W Rosji zachodzi ewolucja wyraźna, powiedział. Ewolucja ta idzie w kierunku prawdziwej demokratyzacji, nawrotu do dawnych narodowych ideałów. Przywrócono na przykład order Suworowa, Kutuzowa i zresztą są bardzo liczne inne tego dowody. Jednocześnie przywraca się wolność religii...

„Komunizm, jako rewolucyjna ideologia, jest dziś martwy —

mówiono w Londynie. — Martwy w tym sensie, że jest już niezdolny do mobilizacji w skali światowej. Stąd przestał być niebezpieczeństwem globalnym. Z jednej strony rozbudzenie nacjonalizmu rosyjskiego, z drugiej nawrót do tradycji patriotycznych narodów podbitych przez dawną Rosję, powodują zanik uniwersalizmu ideologii komunistycznej”... — Pod tym względem ocena polityczna kierowników mocarstw demokratycznych pokrywała się w zasadzie z oceną Alfreda Rosenberga.

Wszelka kontrrewolucja tępiona była nie tylko przez Moskwę. Jako bezprzedmiotowa a szkodliwa dla celów wojny, zakazana była zarówno przez Berlin, przez Waszyngton i przez Londyn. Ludzie o przestarzałych poglądach ideologicznych schodzili w podziemie głębsze niż oficjalne podziemie antyniemieckie, jak czciciele wierzeń zakazanych przez Boga i ludzi.

Patriotyzm hasła narodowych przybierał na sile i rozmachu.



Celem tajnych rozmów pomiędzy delegatami polskiego podziemia i przedstawicielami konspiracyjnego „Litewskiego Frontu” miało być osiągnięcie porozumienia i ewentualne współdziałanie. Inicjatorem była strona polska. Pierwsze spotkanie odbyło się na przedmieściu.

Tam gdzie ulica Bobrujska spada w dół między płotami dzielącymi ogrody, w prawo od niej, w górę, coraz wyżej, pną się kręte zaułki nie brukowane wśród rozrzuconych asymetrycznie domków drewnianych. Mieszkała tu od dziesięcioleci ludność biedna, wyrobnicza, rękodzielnicza, na wzgórzach porośniętych dębami i leszczyną. Zbierane żołądźce służyły do wykarmu świń, zeszcłe liście leszczyny do wykarmu kóz w zimie. W lepszych, pokojowych czasach nie jeden dorabiał się na rzemiośle, sadził wtedy kwiaty, dobudowywał do drewnianego domku drewnianą werandę i miał piękny widok na dolinę miasta. Wiosna przychodziła tu zawsze wcześniej, a z grzbietów nagranych od południowej strony wzgórz, bulgotały wesoło w dół ścieki roztających śniegów. Była to wesołość melancholijna, ale napawała jakąś nadzieją. Zimą, w wojnę taką jak ta, wszystko przycupnęło w bieli, wśród wydeptanych ścieżek i czarnych drzew, które zdawały się załamywać swe konary z rozpaczny.

W jednym z takich domków odbył się dialog. Uzgodniono punkty wspólne: Tak Niemcy jak Sowiety dążą do ujarzżenia zarówno Polski jak Litwy. Stąd narzuca się logiczny wniosek, zarówno dla Polaków jak Litwinów, poniechania waśni i dojścia do porozumienia. Może nawet wspólnego frontu?

— Owszem, owszem — przyznał przedstawiciel litewski — ale teraz: jak to w praktyce przeprowadzić? A?

Delegat polski wywiódł przekonująco, że należy zostawić na boku wszystkie sprawy sporne do załatwienia na po wojnie przez rządy obu krajów, a ograniczyć się do współdziałania w ramach spraw bezspornych. W imię wspólnych interesów.

— Sprawy sporne... — przeciągnął Litwin. — Jest ich nadto dużo. My uważamy za wroga numer jeden Sowiety, a wy Niemców. My za wroga uważamy hitleryzm, a wy każde Niemcy, jakiegokolwiek... No, ale dobrze. Niemcy przegrywają wojnę, takie czy inne. To już widać. Ale póki co, wy od tych Niemców bierzecie broń...

— Nie zgadzam się rozmawiać w płaszczyźnie insynuacji.

— Dla pana to insynuacja, a dla nas fakt.

— Abstrahując od pańskich „faktów”. Ale jeżeli to ma być zarzut, to brzmi trochę śmiesznie z waszej strony. Litwini umundurowani są w mundury niemieckie, otrzymują sprzęt niemiecki, broń niemiecką zupełnie oficjalnie, więc...

— Owszem. Tylko, że my oficjalnie otrzymujemy stare karabiny, a wy nieoficjalnie nowe „Schmeissery” i trzydziestosześciostrzałowe „Waltery”. I strzelacie z nich do Litwinów.

— Nie strzelajcie do nas, to i my do was nie będziemy strzelać. Z żadnej broni. Ani faktycznej, ani urojonej. My walczymy z okupantem niemieckim. A wy jemu pomagacie. Przestańcie pomagać. O tym chcemy rozmawiać.

— Dobrze, i my chcemy pogadać. Istnieje u was taka grupa „Cecylia”, na czele której stoi taki pan Borowski. On ostatnio przez Niemców...

— Takiej grupy „Cecylia” nigdy nie było i nie ma. Mówmy do rzeczy.

— Pan musi wiedzieć lepiej. W takim razie jak to było koło Turgiel... Owszem potłukliście tam Niemców. Wiem o tym. Zginęło ich nawet 20-tu, Niemców. Ale później przez jeńców wziętych do niewoli i wypuszczonych, daliście im znać, że to „nieporozumienie”...

— Jeżeli mamy w ten sposób kontynuować rozmowę...

— Nie. Nie w ten sposób. Chciałem tylko powiedzieć, że jest dużo, bardzo dużo spornych rzeczy. Wszystko drobnostki. Ale jest jedna rzecz sporna, wielka. I chciałem tylko powiedzieć, że Litwini mają powody być podejrzliwi. Już raz, przepraszam, w roku 1920, w Suwałkach zawarty był układ z Polską. Taaak. Było też takie wtedy polskie POW działające w Litwie. I, proszę się nie gniewać, ale my trochę znamy apetyty polskie. My wiemy dużo. My wiemy, że teraz do waszego „Okręgu Wilno AK” należy

też podokrąg „Kowno”, który działa w rdzennej Litwie. Po co to wam?

— My mamy też w Berlinie. To znaczy, że my chcemy przyłączyć Berlin?...

— Ja tego nie twierdzę. Ale powiem że to co dla Niemców Berlin, a dla Polaków Warszawa, to dla Litwinów Wilno. Ot co. My możemy z wami współdziałać, jeżeli do tego dojdzie we wspólnym interesie, ale nie na naszej ziemi.

— Na waszej zie...? — zdumiał się w pierwszej chwili delegat polski. W następnej jednak zreflektował się i wyłożył, że rozmowy na temat „nasze-wasze” są bezprzedmiotowe. Terytorium Wileńszczyzny stanowi w tej chwili część państwa polskiego i na takim stanowisku stoi legalny rząd w Londynie. Byłoby absurdem, zresztą pozbawionym wszelkiego prawnego i politycznego znaczenia, gdyby lokalne władze podziemne tego rządu, na własną rękę rozstrzygały o tym inaczej. Nie? A teraz: jeżeli mimo oczywistego stanu formalnego, strona polska gotowa jest przyjąć do wiadomości pretensje drugiej strony, z obiektywnym stwierdzeniem że taki spór terytorialny istnieje, do rozstrzygnięcia którego wszelako nie ma ona mandatu ani możliwości, to czy nie stanowi to dowodu maksymalnie dobrej woli? Czy można bardziej szczerze wyciągnąć rękę? Aby w sytuacji wspólnego, śmiertelnego zagrożenia zaprzestać walki bratobójczej.

— Wy ciągle z tym „braterstwem”... — skrzywił się Litwin. — Ale jeżeli chodzi o zawarcie porozumienia, my też nie mamy mandatu dopóki nie wycofacie się z Wilna. Ot jak.

Drugie spotkanie nastąpiło w centrum miasta. W kamienicy przy ulicy Wileńskiej, akurat opodal tego miejsca gdzie ratował się ucieczką Leon. Poziom rozmowy z obydwóch stron był znacznie wyższy. Przedstawiciel „Frontu Litewskiego” potwierdził stanowisko już znane i dodał od siebie:

— Wasz błąd polega na tym, iż wyobrażacie sobie, że pobicie Niemców, ich odwrót do Reichu i wszystkie następne wypadki będą powtórzeniem roku 1918 i wejście w posiadanie ich okupacji. Tak teraz nie będzie. Historia się nie powtarza.

— Bardzo słusznie. Oczywiście historia się nie powtarza, i będzie zupełnie inaczej — odparł delegat polski. — Wtedy Rosja była pobita. Dziś jest zwycięska. W obliczu potęg, które chcą rozstrzygać o naszym przyszłym losie, prowadzenie w tej chwili czysto teoretycznego sporu do kogo ma w przyszłości należeć Wilno, do Polski czy do Litwy i prowadzenie o to wojny między

nami, wyrzucanie wzajemne, byłoby śmieszne gdyby nie było tragiczne. Tragiczne dla obydwóch stron.

— Zgadzam się. Więc dla uniknięcia tej wojny, wycofajcie się z Wileńszczyzny, która jest naszą. I nam przyznaną.

— Przez kogo? Przez Ribbentropa, czy Stalina?

— Przede wszystkim przez Churchilla. My mamy też swoje wiadomości z Londynu dość dokładne i wiemy że Wielka Brytania przysługę granicę Polski chce widzieć wzdłuż dawnej „linii Curzona”.

— My mamy inne wiadomości. Ale jeżeli nawet takie tendencje tam istnieją, to nie na korzyść Litwy, lecz Sowieców. To znaczy, żeby to co na wschód od „linii Curzona” oddać Sowiecom. Byłoby naiwnością dziś sądzić...

— Przepraszam, o ile wiem, wy wierzycie w Churchilla i jego dobrą wolę. Żartują nawet, że „jak w święty obraz”. Dlaczego nam zabraniać wierzyć? My też chcemy wierzyć. I powiem, że byłoby właśnie naiwnością sądzić, żeby ten stary antybolszewik, żeby wielkie demokracje zachodu, po to prowadziły przez pięć lat wojnę z Niemcami, żeby potem godzić się na oddanie państw bałtyckich bolszewikom.

— Więc proszę o skonkretyzowanie waszego stanowiska.

— Stanowisko takie, że pod żadnym warunkiem nie godzimy się na opanowanie Wileńszczyzny przez partyzantkę polską. Godzimy się na współdziałanie, ale nie na terenie wileńskim. Sojusz, ale poza granicami Litwy.

— Pan chyba się domyśla, że jest to dla nas nie do przyjęcia. Tamten rozłożył ręce.



Obydwa panowie nie mieli racji. Historia się właśnie powtórzyła na tych ziemiach. Podobnie jak ćwierć wieku temu, gdy narastała wielka fala międzynarodowego bolszewizmu, narody nie łączyły się we wspólnym interesie obrony przed tą falą, lecz każdy we własnym zakresie walczył wyłącznie o swoje — także stało się i teraz: gdy w dalekim Teheranie, pod whisky z lodem i dobre humory zwyciężających potęg, losy i ziemie ludów układane były na stole z lekkością wyjętych z pudełka zapalek, gdy przesuвано granice i w konwersacji towarzyskiej ustępowano terytoria, przesądając o powojennym *arrangement* — narody o których decydowano bez ich udziału i bez ich wiedzy, rozpoczęły między sobą krwawą walkę. O miedzę, o wykładnię historyczną, o teoretyczne pretensje do tego lub innego miasta. Rzuciły się sobie we włosy, targając niemiłosiernie i bez tego okrwawione głowy. Pod wierzchnią warstwą wielkiej wojny, rozpałała się w płaszczyźnie nacjona-

listycznych, tzw. realnych interesów, druga wojna: polsko-ukraińsko-litewsko-białoruska; kozacka, tatarska, biało-rosyjska... Katoicka, greko-katolicka, prawosławna... O panowanie na tych ziemiach! O Wilno, o Mińsk, Grodno, o Polesie, Wołyń, o Lwów... O granicę na Sanie czy Bugu, na Prypeci czy Dniestrze.

Niemcy ustępowali wciąż. Armia czerwona parła naprzód, zwycięska.



Pod Gudogajami, Oszmianą, Oszmianką Murowaną, Dziewieniszkami, Koniawą, Bieniakoniami, Świrem, Ejszyszkami — doszło do krwawych starć polsko-litewskich. W Zakopanem, pod egidą niemiecką, pewne grupy nacjonalistów ukraińskich założyły programową szkołę dla wypracowania metod depolonizacji Wołynia. Zaczęto wyrzynać się wzajemnie, Ukraińcy Polaków, Polacy Ukraińców. — „*Smert', smert' Lacham...!*” śpiewały ukraińskie oddziały zbrojne.

Pod Równem staruszka płacze: „Tu byli bulbowcy, opowiada. Byli „bulbowcy”, przyszedli do niej bo Polka, spędzili z sąsiednich chat dziesięciu czy jedenastu Polaków, kazali się położyć na podłodze, przykryli ich wszystkich płóciennymi prześcieradłami. I porąbali siekierami”.

— A na co prześcieradła?

— A to jakże! Żeby krew na nich nie pryskała.

— Ejże, babuniu... Czy tak było dokładnie?

— Żeby z tego miejsca nie ruszyła! — Kładzie przykładowy znak krzyża.

— A od kogo prześcieradła wzięli?

— Prześcieradła to już nie ode mnie.

A teraz było takie zdarzenie, mówią u księdza proboszcza w Sarnach: Przyjechali „berlingowcy” polscy z armią czerwoną, rozsiedli się wieczerać, otworzyli puszkę mięsnych konserw. W kuchni była jedenastoletnia dziewczynka. Gdy zobaczyła mięso w puszcze dostała hysterii. I dlaczego? A ot dlatego, że jej rodziców pomordowali Ukraińcy, pokrajali trupy na kawałki, ułożyli na półmisku, powbijali widelce. Sama ona dostała kilkanaście ran kłutych. Od tego czasu na widok mięsa dostaje wymiotów i spazmów...

— A na widok ludzi?

— Na widok ludzi, nie. Jakoś.

Bóg sprawiedliwy raczy rozsądzić. Ale że i „tapowcy”, tzn. Tajna Armia Polska, mścili się na Ukraińcach, temu nie można zaprzeczyć, jak temu że niedziela w kalendarzu oznaczona jest czerwonym drukiem.

Jakież tu mogły być rozmowy? Zresztą wkrótce nawet próby rozmów stały się bezprzedmiotowe.



Czy „Rozkaz do żołnierzy AK nr 126 z dnia 12 stycznia 1944” przywiózł z Warszawy Władysław Jabłonowski (któremu burza śnieżna uratowała życie), czy dostał się inną drogą służbową, dość że znany był w Wilnie od połowy stycznia. O żadnych kontaktach z antysowieckimi kolaborantami niemieckimi nie było w nim mowy. Gdyż rozmowy takie mogły tylko kompromitować, narażać realne interesy i dobre imię Polski. Rozkaz ten brzmiał:

„W dzisiejszym momencie ponownego przeniesienia się frontu w nasze granice państwowe, nie odmawiamy armiom sowieckim wkraczającym do Polski w walce z cofającymi się Niemcami, prawa do toczenia wojny na naszych ziemiach. Przeciwnie, walkę tę wesprzemy w miarę naturalnych warunków wojennych, w miarę naszych sił i interesów państwowych... Równocześnie jednak nie poddamy się w żadnym wypadku naciskowi politycznemu, zmierzającemu do podporządkowania nas celom obcym...”

Pod mianem „celów obcych” nie były przytoczone ani cele sowieckie w ogóle ani komunistyczne w szczególności, aby uniknąć ciężkiego zarzutu podsycania antysowieckich, antykomunistycznych tendencji.



Drogi rozchodziły się coraz bardziej. Jeszcze 8 stycznia oddział wyborowych policjantów litewskich w sile 70 ludzi ruszył z Oszmiany aby przegrodzić drogę partyzantce polskiej. Pomiędzy Turgielami i Grauzyszkami został rozbity, tracąc 25-ciu zabitych. Oddziały polskie zajęły Szumsk i Rudomino. Tu wziętych jeńców litewskich puszczono wolno, zdjawszy im buty. Z Szumska udało się policjantom litewskim zbiec. Wkrótce potem partyzantka polska zajęła Mickuny, Kiemieliszki, Bieniakonie.

LXVI

Pewnego ranka Halina, dowiedziawszy się że Henryk będzie prowadził maszynę w kierunku Puszczy Rudnickiej, uprosiła go, by ją podwiózł i wysadził na 12-tym od miasta kilometrze. Henryk zgodził się niechętnie i to dopiero gdy mu wyłożyła jak pilna jest

sprawa: dzieci nie mają nic z ubrania, ani bielizny; może jednak uda się przedostać do podobno zabitego deskami domu Klaudii, i coś wydostać stamtąd. W jakim celu on sam jechał, nie pytała. Zbyt była zaprzątnięta własnym pomysłem.

— Naturalnie — uspokoiła go — nie pójdę wprost do tego domu i nie będę się narażać. Ale w najbliższym sąsiedztwie mieszka moja dawna przyjaciółka Janina Połowska.

Pojechali. Wysadził ją przy drodze prowadzącej w lewo między gęstymi krzewami jałowca. Stał jeszcze czas jakiś, nadłuchiwał, zanim ruszył dalej.

Janina Połowska stanowczo odmówiła: nigdy nie zaryzykuje zbliżyć się nawet do tego domu. Zresztą jest opieczętowany, a może już rozkradziony. A może strzeżony! Można strasznie wpaść. Na miłość boską nie rób tego!

Śnieg, las, pustka, cisza. Halina dała się przekonać, zrezygnowała. Cała wyprawa na nic. Postanowiła wracać idąc do odległego stąd o cztery kilometry przystanku kolejowego w Czarnym Borze, a później pociągiem podmiejskim. Ale zagadały się trochę z Janiną. Jej mąż, Jan, przeważnie milczał. Było jeszcze jasno i nie późno, gdy wybrała się w drogę powrotną. Ale że wiodła ona częściowo przez las, rojsty, poręby i inne pustkowia, Jan wyraził uprzejmie gotowość odprowadzenia.

— Zmrok zapada wcześniej, śpieszcie się — pożegnała ich Janina. I do męża: — Przeżegnaj się chociaż na drogę. — Kiedyś nie była taka nabożna.

W Czarnym Borze, omijając zasięki i rowy łącznikowe ufortyfikowanego posterunku litewskiej straży kolejowej, zaszli do domu znajomych Jana, położonego tuż koło przystanku. Żaden pociąg nie nadchodził.

— Było nie było — powiedział młody gospodarz, który trzymał kiedyś w okolicy sklepik kolonialny i mieszkał w obszernym domu ze starą matką, młodszym bratem i dwoma dorosłymi siostrami — było nie było, a pociągniemy na poczekaniu w „szmende-fera” z nudów. — Wiedział, że Jan był namiętym graczem w karty.

Ten wyjrzał oknem. Chmurzyło się.

— Mnie by właściwie, wracać śpieszno. Żona czeka...

— Jeden banczek!

Siedli grać. Halina i siostry gospodarza też. Młodszy brat wyszedł dowiedzieć się co z pociągiem i wrócił z wiadomością, że koło Jaszun naskoczył na minę. Podobno rozniosło trzy wagony i lokomotywę. Przyszła akurat iskrówka. Wypadnie wracać piechotą aż do miasta. Nie da rady na noc. Trzeba czekać do rana.

— Było nie było, przenocujecie u nas.

— Pani Hala nie ma wyboru. Ale ja bym zdążył jeszcze do siebie... — zauważył Jan bez przekonania. Bez przekonania, bo akurat przegrał trochę i raczej wolałby się odegrać.

— Przenocujesz pan też. Wrócisz rano. A na razie pogramy. Matka kolację przygotowuje.

Zapadła noc. Na kolację były podsmażane kartofle ze skwarkami, po kieliszku samogonu. Po kolacji wrócili do kart... Gdy padły pierwsze strzały!

Dom szczególnie był ostrzeliwany z broni maszynowej, gdyż zaraz za ogródkiem ciągnął się okop i zasieki głównego bunkru. Jedna z kul rozbiła szklanekę na stole, druga trafiła w zlew pod ścianą. Wypadło wszystkim położyć się na podłodze i leżeć wzdłuż kamiennej podmurówki. Jan zaciskał jeszcze w palcach króla trefl, damę karo i tak szczęśliwie dokupioną dziewiątkę pik... Kule dzwoniły teraz po miedzianych garnkach, z brzękiem rozbijały naczynia. Przez wybite szyby, razem z chłodem zimowej nocy dochodziły odgłosy walki i okrzyki.

— Kałakutasy! — wołali z nasypu kolejowego partyzanci polscy — poddajcie się! My wam tylko buty zdejmemy!...

— My wam pokażemy buty! Ropuchy! Jebu waszu maaa!... — rozdzierał się sierżant litewski, zamachując granatem. Głuchy wybuch i znów żwawy terkot broni maszynowej.

Tak trwało kilka godzin. Litwini wypuszczali w czarne niebo rakiety alarmowe, ale nikt w pomoc nie przychodził. Umocnienia ich zbudowane były jednak solidnie i przed świtem atakujący wycofali się.

Gdy zrobiło się jasno, Halina, nie bacząc na straszne ryzyko o tej porze, wdziała kożuszek, narzuciła chustkę na głowę i poszła piechotą do miasta. Troska o dzieci pozostawione same w domu przesłoniła jej rozsądek. I doszła szczęśliwie.

Jan nie ryzykował wychylać się z co tylko obleganej miejscowości. Postanowił przeczekać co najmniej do południa i pomagał gospodarzom w uprzątnięciu domu.

Komendant posterunku litewskiego połączył się wreszcie z Wilnem i spodziewał się z godziny na godzinę nadejścia niemieckiego oddziału pościgowego. O godzinie dziesiątej rano przyjechała ciężarówką dwudziestu żołnierzy niemieckich. Feldfebel, ziewając, wylazł z szoferki, rozprostował nogi, odlał się pod sosną; siedemnastu żołnierzy zostawił przy maszynie, a sam z trzema obszedł kilka domów. Wszedł też i do tego.

— *Partisan?* — wskazał groźnie palcem na gospodarza.

— *Nein, nein!*

— *Nein? Gut. Partisan?! —* tknął w piersi Jana Połońskiego.

— *Nein...*

— *Partisantin?* — wyciągnął palec do poblądłej młodszej siostry.

— *Iiich?*... — wybełkotała drżącym głosem.

— *Gut, gut* — i machnąwszy ręką wyszedł z domu, by udać się w ten sam sposób do sąsiedniego.

W trzy kwadranse później zabrał swoich ludzi i odjechał z powrotem do miasta.

— To rropuchy;... — zacisnął pięść komendant posterunku litewskiego. — Oni kpiny sobie robią!... My im pokażemy jak wyłapywać partyzantów!

Jan zęgnął się właśnie, dziękując za gościnę, bo myślał że teraz jest już po wszystkim, gdy w furtkę weszło raptem trzech strażników litewskich.

— Ty co za jeden, obcy tu?! A?!

— Ja tutejszy. Ja mieszkam tam, za Leśnikami... — I sięgnął ręką do bocznej kieszeni po dokument.

— Ręce do góry!!... — Strażnik wyrwał mu dokumenty i podał w strzypę. — Zaraz zobaczymy gdzie ty u nas pomieszkas! Marsz!

Zabrali go i jeszcze dwóch. W pół godziny później pięciu strażników litewskich gnało trzech aresztowanych torem kolejowym między szynami, po szpałach, w kierunku miasta. Nie chciało im się długo iść. Zaraz w miejscu, gdzie nasyp kolejowy wznosił się wysoko między lasem, dwóch strażników raptownie zepchnęło aresztowanych w dół, a trzech pozostałych trafiło ich z tyłu kilkoma strzałami. — Jan Połoński, pchnięty zniemacka z tyłu, poleciał w przepaść przed nim z szeroko, jak ptak rozczapierzonymi rękami; pierwsza kula w ten łatwy cel nie trafiła go, znać strzelający trochę się denerwował. Zanurzył się w śniegu głową w dół i przez ułamek sekundy pamięć obudziła w nim odczucie dziecinnych zabaw turlania się w dół nasypu; ale w następnej sekundzie ślepy odruch ciała uniósł mu głowę z puszystego śniegu i druga kula przeszła mu czaszkę akurat powyżej ucha. Raz ostatni wyrzucając w powietrze ręce, poturlał się jak worek znacząc krwią, lecz utknął po kilku obrotach. — Strażnicy zdążyli jeszcze na obiad z powrotem do posterunku. W raporcie odnotowano, że „aresztowani próbowali ucieczki i zostali przez konwój zastrzeleni”.

Tak zginął Jan Połoński, mąż Janiny, który nie brał udziału w żadnej działalności konspiracyjnej.

Halina dowiedziała się o przebiegu tamtego zajścia dopiero po kilku dniach. Oto pewnego południa zjawiła się u niej Janina z małym węzełkiem rzeczy i stając w progu, blada, postarzała jakaś, powiedziała nieswoim głosem:

— Ja tu, u sąsiadów, zebrałam trochę bielizny i sukienek dla twoich... dla Klaudii... dzieci. — Nagle zachwiała się, zrobiła kilka kroków, padła na krzesło, bijąc głową o stół i łkając głośno: — Ach po cóż... na Boga Ojca i rany Chrystusa... po cóż tyś wtedy do nas przychodziła! Po co, po co, po co!... Matko przynajświętsza, po co!

Dziesięcioletni Józio i jedenastoletnia Lydia patrzyły szeroko rozwartymi, błękitnymi oczami na tę okropną scenę.

LXVII

Pani Narkowska z wypożyczalni książek, nie okazała na widok Leona tej instynktownej niechęci, tłumionej obowiązkiem patriotycznym, jaką odczuwają normalni ludzie na których głowę zwała się raptem nowy kłopot i niebezpieczeństwo. Zdawało się nawet, że patos sytuacji sprawia jej widoczną przyjemność. Z pewnym smakiem użyła fachowych wyrażen, jak: „spalony”, „melina”.

— Skoro jest pan spalony — powiedziała — trzeba panu znaleźć bezpieczną melinę. W mojej rzykownie.

Znalazła też kwatere zaraz. Pod wieczór, gdy tylko zaczęło zmierzchać, przeprowadziła go do niej osobiście. Zwały spadłego śniegu topniały na ulicach. Niezapalone latarnie nie przenikały wilgotnej mgły. W burej kaszy śnieżnej pod stopami już gdzieś niedziedzie chlupało. Stróża nie mogli nadażyć ze sprzątaniami i nie starali się nadażać. W mieszkaniach gdzie brakło opału, było wstętnie od zimnej wilgoci. Po ulicy przebiegał dreszcz i dobierał się do skóry. Kamienica znajdowała się przy tej samej ulicy, zresztą tuż obok, po drugiej stronie. Czteropiętrowa, odrapaną z zewnątrz, ślepa zaciemnionymi oknami. Należała ongiś do przedsiębiorcy meblowego, Żyda, Wilenkina. Po tej, aryjskiej stronie, nie wiedziało się już dawno, czy żyje on i nie miało to znaczenia. Należał do przeszłości. Pokój, w którym miał zamieszkać teraz Leon, znajdował się na najwyższym, czwartym piętrze. Był jednym z dwupokojowego mieszkania z kuchnią i klozetem kobiety jeszcze młodej, ale wyglądającej staro. Nie ze względu na zwyczajne cechy starości, ile na jej twarz przypominającą swym kształtem pyszczek myszy. Cała zresztą miała w sobie coś z myszy: drobna, mizerna, czarno ubrana, ze związanym w tyle głowy kosmykiem włosów jak ogonek. Słuchała wszystkiego cokolwiek jej pani Narkowska mówiła z największym respektem.

Musiła być od niej w jakiś sposób uzależniona bądź materialnie, bądź starym długiem wdzięczności, czy innym zobowiązaniem. O to Leon nie pytał.

Jedno tylko Narkowskiej się nie podobało, co zresztą już w drodze omówiła z Leonem, że przyjęła ona sublokatorkę. Ale teraz zabierze ją z tego pokoju i będą mieszkać razem w jednym, a Leon w drugim pokoju.

— Zapewnia jednak mnie, że ta dziewczyna jest zupełnie pewna i, najważniejsze, dobra Polka. A na samą pannę Zenowiczównę może pan liczyć jak na mnie. Zresztą ona... — nie dokończyła. — Poza tym u mnie się stołuje i pan też jedzenie będzie otrzymywał ode mnie.

Leon podziękował zdawkowo i prosił jedynie o szybkie załatwienie kontaktów.

— Naturalnie — powiedziała — zawiadomię natychmiast kogo należy o pańskiej sytuacji.

Nazajutrz doniosła mu o aresztowaniu Kurczyńskiej. O szczęśliwej ucieczce jego towarzysza, z którym szedł ulicą. O rewizji w mieszkaniu Leona na Śnipiszkach.

— Miał pan coś tam?

— Nic zgoła.

— W sam czas się pan wyratował. Ale teraz nie może się pan wychylać z domu. Pańska twarz jest zbyt dobrze znana z dworca kolejowego. Przecież tkwił pan tam lata, jak pocztówka na widoku.

— Czy pani zna „Jadzię”? — spytał z nieuzasadnionym rozdrażnieniem.

— Nawet nie chcę znać. Sama załatwię panu kontakty.

Sublokatorką panny Zenowiczówny była młoda blondynka o przeciętnej urodzie, z trochę rozbieganymi, skłonny do uśmiechu oczami. Szczęśliwie, że pani Narkowska była właścicielką wypożyczalni książek, więc przez trzy dni leżał na łóżku i czytał. Współmieszkanek za ścianą nie było prawie cały dzień w domu, wracały wieczorem na spanie. Nikomu nie miał otwierać. Zresztą nikt do drzwi wejściowych nie dzwonił. Umówili się, że podobna do myszy Zenowiczówna wychodząc z domu na pracę, oddaje klucz pani Narkowskiej. W ten sposób ktoś z konspiracji odwiedzi Leona bez dzwonięcia i bez pukania, a klucz w jego rękę wystarczy za hasło, gdyby nie znał gościa osobiście. Był sam. Za oknem szaruga, ujęta w ramy wąskiej ulicy. A że mógł ją widzieć, tę szarość, tylko przez szybę podwójnych okien, niemytych chyba od wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, więc wydawała się potrójnie szara.

Nikt jednak w ciągu tych trzech dni nie przyszedł. Czwartego po południu Leon nie wytrzymał. Nic nie mówiąc Narkowskiej,

aby nie wysłuchiwać jej upomnień, zaraz po tym gdy przyniosła mu obiad, ubrał się i zbiegł po schodach. Dzień po dawnemu był szary. Z czapką na oczach i nastawionym kołnierzem, poszedł wprost do „Grubego”. Halina zajęta była dziećmi i raczej niechętnie zgodziła się zawiadomić Henryka w warsztatach, choć powiedział jej, że w „bardzo pilnej sprawie”.

— Oszalałeś — powiedział spokojnie Henryk, wyciągając dłoń na powitanie. — Przecież zna ciebie pół miasta. Z takim portretem spacerując, możesz go łatwo popsuć.

— Muszę się wydostać z tej klatki na czwartym piętrze.

— Pewnie, że musisz. Ale *patientia nostra*.

— Słuchaj, trzeba doprawdy coś zacząć robić. Rozmawiałem z kurierem z Warszawy, mówił że jest świetnie, z czego widać, że jest bardzo źle. Polityka idzie na korzyść bolszewików. Jeżeli my mamy tak, jak to zaprzysięgaliśmy Zakrzewskiemu...

Henryk jakby się skrzywił. A może tylko cień zniechęcenia przebiegł po jego twarzy:

— To już nie z motyką na słońce, a dziś... — szukał w myślach odpowiedniego przedmiotu porównawczego — z igłą na słońce — powiedział rozstawiając kolana i opuszczając głowę wpatrzony w podłogę. — „My”. We dwóch, co?

— Rozmawiałeś z „Pułkownikiem”?

— Rozmawiałem. Beznadziejnie. Teza: „sojuznik naszych sojuszników”. Spryskana wodą święconą najszczerzego patriotyzmu. Nic nie da się zrobić. W takich warunkach poszukiwanie współwyznawców... Pamiętaj, że kompromis zaczyna się z reguły wobec przyjaciół, a nie wobec wrogów. Najwięcej obłudy rodzi się właśnie z chęci stworzenia harmonii wzajemnej. To jakby ciebie całowały kobiety twoich nieprzyjaciół.

— Skąd się u ciebie wzięła ta skłonność do poetycznych metafor?

— Mimowoli zrobisz się poetą, gdy wobec najeźdźcy sowieckiego wchodzi w rachubę tylko „układ”. „Pułkownik” sam jest przekonany, że w praktyce to tylko mniejszy lub większy stopień kapitulacji. Mniejszy lub większy stopień współpracy z najeźdźcą sowieckim. Nazwijmy modnym słowem: „kolaboracji”. Szlus, koniec. Każdego kto się przeciwstawia, zmiażdżą. Zresztą „Pułkownik” wyjechał, teraz.

— Ale są tam w Polsce, jakieś NSZ-ty... jakieś... bo ja wiem. Nie może być, żeby cały naród...

— Tego nie wiem. Trzeba by tam pojechać i zorientować się w „Guberni”. Tu też są, naturalnie, ludzie... Wiesz chyba, jakie było nastawienie naszej partyzantki? Wiesz. Słyszałeś. Teraz wielkie *revirement*. Jeszcze w lipcu, w Iwieńcu, doszło do porozu-

mienia z sowieciarzami w oparciu o Puszcę Nalibocką. I co z tego wyszło? A gdy 19 listopada doszło z nimi do otwartej walki w Stołpeckim, Komenda Główna zesłała się w portki ze strachu przed „kompromitacją wobec sojuszników”. Zdaje się napędzili dowódcę i kazali nawiązać najlepsze stosunki. To 30 listopada, „Wacław”, dowódca jakiegoś oddziału poszedł na rozmowy z nimi i nie wrócił. Zabierają do niewoli, albo strzelają w łeb. W grudniu, powiadał mi „Pułkownik”, wpadł do rąk rozkaz sowiecki rozbrajać polską partyzantkę na terenie całej Nowogródzczyzny i u nas. A my im leziemy w dupę. A ty mówisz: „coś robić”. Śmieszne. I co ten twój kurier z Warszawy? To ten, co się odstrzelał? Bojowy chłopak! Ja czuję się raptem stary, wiesz?

Halina się roześmiała. I to był jedyny jej udział w rozmowie. Leon nie zwrócił na ten śmiech uwagi. Dziwna rzecz, jak po upływie niezbyt długiego czasu i bez widocznej przyczyny, stała mu się zupełnie obojętna. Pochłonięty był rozmową z Henrykiem.

— Poczekaj, ty mówisz, że oni są wrażliwi na reakcję Londynu, ale przecież... — I poszła wielka debata o wielkiej polityce, o lądach i morzach, o ideach ludzkich, o interesach państwowych, o wojnie i powojnie.

Halina prała bieliznę dzieci, nie odzywając się słowem. Nie żeby podkreślić niechęć do zagrażającej ich domowi wizyty, lub dla okazania lekceważenia rozstrzyganym przez nich problemom światowym. Po prostu była zajęta. Stary budzik, nastawiony rozmyślnie o kwadrans naprzód, wskazywał płynące minuty.

Zagadali się. W ostatniej jeszcze chwili stanęło na tym, że skoro Leon „spalony” jest w mieście i musi zeń uchodzić, to nie do któregoś z oddziałów partyzanckich, ale niech jedzie do Warszawy i próbuje tam „coś robić”, przekonywać, przedłożyć argumenty, opierając się na doświadczeniach, obserwacjach z okresu poprzedniej okupacji sowieckiej z przed 1941, której tamci w Warszawie nie przebyli.

— Ty masz tam kogo w Warszawie? Dach nad głową?

— Mam bliskiego kuzyna.

— No to świetnie. — Ułożyli nawet wspólną listę argumentów, które wydawały im się jasne jak słońce, nie do obalenia, niezaprzeczone, a więc, zdawało się, tak przecie łatwo przekonywujące. Wystarczy tylko trafić do odpowiednich ludzi, do odpowiedniego człowieka na odpowiednim poziomie. Po prostu wytłumaczyć im, że nie wiedzą, co czynią. A czynią tak, bo właśnie nie wiedzą.

Zapadał zmrok. Halina spuściła zaciemnienia na oknach, zapaliła światła. Leon zamierzał już powracać do swojej kryjówki, ale zamiaru swego wykonać już nie mógł.

Bez uprzedzającej syreny alarmowej, szybko targnął huk artylerii przeciwlotniczej i wzmagał się szybko. Zgasili światła i skoczyli do okien uchylając zasłony. Nad miastem był sztuczny dzień. Jak w kulisach teatralnych. Trupio elektryzujące cienie padały od dachów, załamań murów. Na niebie, zwolna w dół kołysały się migając dziesiątki „choinek” lotniczych. Drugi od początku wojny nalot sowiecki.

— Ja chcę zobaczyć! Ja! Ja! — krzyczał dziesięcioletni Józio, przepychając się i ocierając o uda Haliny.

Ulice pustoszały. W każdym razie miał rację Henryk, gdy powiedział do Leona:

— Nie możesz iść podczas nalotu do domu. Kałakutasy gotowe ciebie jeszcze wziąć za spadochroniarza. — Halina w tej sprawie nie zabierała głosu.

W tej chwili wybuchy spadłych bomb wstrząsnęły zamarznątą ziemią miasta, i szyby zadzwoniły w ramach. Józio podniósł oświetlone blaskiem „choinek” oczy na Hałę, jakby spodziewając się od niej wyjaśnienia. Dla dzieci sama nazwa: „choinka”, była już atrakcją. Ale ona nic nie powiedziała. Bardziej oddalone detonacje zagłuszał jazgotliwy huk artylerii przeciwlotniczej.

Odwołanie alarmu przyszło już dobrze po godzinie policyjnej. Mała Lydzia nie czuła się zdrowa. I ona patrzyła przez okno, gdyż nalotów sowieckich jakimś dziwnym zbiegiem mentalności, nie obawiano się zbyt, a raczej je lekceważono. Nikt w mieście nie chował się do schronów. Lydzia jednak wróciła niebawem na tapczan. Halina przyłożyła dłoń do jej czoła, by stwierdzić, czy nie ma gorączki. Później przysiadła obok i nuciła jej z jakiejś dawno zapomnianej operetki:

*„Ach czekaj, czekaj jeszcze chwilę,
Gdy pojawią się motyle,
Może szczęście wróci ci...
Ach czekaj, czekaj serce moje,
Gdy zakwitną bzy, powoje...”*

Tak, było jasne, że ona taka zazwyczaj ironiczna, sceptyczna, czasem cięta i w słowach i ruchach, bardzo się zmieniła. Dla niej dopilnowanie by Józio poszedł umyty spać, zdawało się rzeczą o wiele ważniejszą niż to, czy Leon będzie czy nie będzie aresztowany przez „sztrafę” uliczną.

Ale Henryk miał rację: nie było rady i Leon musiał przespać tę noc u nich, na zestawionych krzesłach. Na jednym łóżku spał Henryk z Haliną, a na tapczanie dzieci.

Nazajutrz wstał dzień promienisty od słońca i mrozu. Żłoto rannego kurzu długimi reflektorami słało się od okien. Była niedziela. Skąpo odzywały się dzwony kościelne. I znowuż Henryk pokręcił głową:

— Nie możesz ryzykować — ziewnął szeroko. — Za jasno. Musisz czekać do wieczora.

Leon się zgodził. Ostatecznie nic go tak nie ciągnęło do jego samotnego pokoju. Do wieczora termometr spadł raptownie i wskazywał 18 stopni poniżej zera.

— Więc, ostatecznie, jak do ciebie trafić? — zapytał Henryk na pożegnanie.

— Trafić? — zastanowił się raptem Leon. — To nie bardzo prosto. To tuż koło wypożyczalni, ale nie pamiętam numeru domu. Taaak... żebyś nie szukał. Bo może ciebie stróż zapytać, kogo szukasz? Na pukanie też się nie otwiera, u mnie... Poczekaj, to zrobimy tak: zajdź do Narkowskiej, niech ci da klucz i wytłumaczy dokładnie. Albo najlepiej będzie, jak sama przyprowadzi.

LXVIII

Kilka wczorajszych bomb spadło w śródmieściu. Gdzieś, bodaj na Ignatowskim zaułku, trafiło w dom. Reszta akurat w puste podwórza. Parę setek szyb wyleciało z okien. Mróz się jeszcze wzmógł. Mróz może być czasem sojusznikiem prześladowanego człowieka. W wielki mróz czuje się on na ulicy bardziej bezpiecznym. Podniesiony kołnierz, schowana twarz, są objawem naturalnym. Wszyscy się śpieszą, bo ruch rozgrzewa. Leon przeszedł więc późnym wieczorem bezpiecznie do swojej kryjówki na czwarte piętro, otworzył drzwi wejściowe, otworzył drzwi do swego pokoju i stanął zaskoczony w progu... Poczł zapach obcego ciepła i jakby zbudzony szmer. W następnej sekundzie rozeznał już, że to obydwie kobiety przeniosły się do jego pokoju.

— Proszę nie zapalać... — odezwała się cicho blondyna. Spała w swoim łóżku tu przeniesionym. Na jego tapczanie Zenowiczówna.

— Ach Boże — odezwała się z tapczana. — Co teraz robić?

— Co jest w ogóle? — spytał Leon bardziej zdumiony niż rozdrażniony.

— Myślałyśmy, że pan i tej nocy nie wróci...

Przyczyna była naturalna. Jedna z bomb trafiła w przyległe

podwórze, na które wychodziły dwa okna ich pokoju. Wyleciały wszystkie szyby. Natomiast ocalały w oknie pokoju Leona, położonym nie od podwórza, a od ulicy. O znalezieniu szklarza, czy chociażby jakiejś dykty, nie było mowy. A mróz, chyba dwadzieścia kilka stopni. Nie podobna tam spać. Woda zamarzała od razu.

— Pan wyleciał, nic nie powiedział, znaku. Dwa dni nie było... — Wyszło tak, że nie on do nich, a ona, Zenowiczówna, do niego zgłasza pretensje teraz, i nie wiadomo czy za to że wyszedł, czy za to że wrócił.

— Jak teraz zrobić?... — powtórzyła piskliwie spod kołdry.

Pokoik był mały i ciasny. Naturalnie mogłyby przejść na jedno pośłanie dwie, a on na drugim. Piec był napalony. Powietrze rozgrzane... Nim zdążył się odezwać, poczuł na swoim przegubie zaciskającą się dłoń blondynki.

— Kłąć się ze mną... — szepnęła.

Rozebrał się w mig.

— Irka naprawdę chcesz z nim spać?! — krzyknęła tamta z tapczana.

Irka nie odpowiedziała. Leon wsunął się do niej pod kołdrę.

Zenowiczówna rzuciła się na swoim pośłaniu. Z odgłosu jej ruchów można się było domyśleć, że obróciła się do ściany i demonstracyjnie naciągnęła kołdrę na głowę, aby nie słyszeć. Ale pokoik był na to za mały, za ciasny. Leon raptem za spragniony. Gdy po chwili nastała cisza, Zenowiczówna odrzucając kołdrę z głowy, odezwała się łapiąc oddech:

— Ja poproszę Irkę, żeby jutro z samego rana wyniosła się zaraz ode mnie, gdzie sobie chce. — Powiedziane to było między oddechami krótko, jednoznacznie, bezapelacyjnie. Zreflektowała się jednak, że winna wyjaśnić co do siebie, więc dodała w ciemności: — Ja wyniosę się do pani Narkowskiej.

Leon po omacku, sięgając przez piersi Irki, szukał papierosów w kieszeni rzuconych obok łóżka spodni. Wtedy ona przyciągnęła jego głowę i szepnęła mu gorąco do ucha:

— Idź teraz do niej... Idź teraz do niej...

Leon zrezygnował z zapalenia i poszedł na tapczan. Nie dała się od razu. Wierzyła nogami, wyrzucała jakieś pojedyncze, zdyszane okrzyki. Oczywiście było to dla niej przeżycie niezwykajne, zapierające dech. Można by się tego domyśleć i wcześniej z całego jej wyglądu, gdyby o tym było myśleć. Musiał ją jakoś opanować stopniowo. Irka przez ten czas zapaliła sama jego papierosa.

Rano jedli we troje śniadanie, na wpół ubrani. Było wciąż ciepło w pokoju. Zenowiczówna w rodzaju szlafroka narzuconym na koszulę, wyglądała jakoś odmieniona. Irka w samej koszuli

przyrządziła herbatę ze sztucznej mieszanki. Później, dorzucając drewek do pieca, zapytała patrząc w ogień:

— Z którą było przyjemniej?

— Ot, też, Irka! Zawsze musi powiedzieć jakieś głupstwo...

— zareagowała, chowając zawstydzony uśmiech w mysiej twarzy, Zenowiczówna.

— A jak będzie dziś wieczorem? Która najpierw?

— Będziecie ciągnąć zapalki — odpowiedział Leon.

— Też! Wymyślił! — rzuciła Zenowiczówna.

Irka wyszczerzyła zęby:

— To może już teraz.

Naturalnie o wstawieniu szyb nie mogło być mowy i w następnych dniach. A mróz trzymał.

— Szyby!?! — zawołał przeziębionym dyszkantem stróż kamienicy, kaszląc i dymiąc machorką, i krztusząc się tym dymem.

— W dzisiejszym czasie, szyby! Oho.

Ale w dzisiejszym czasie taki trójkąt dla pani Narkowskiej, gdy dowiedziała się pierwsza (a nie dowiedzieć się nie mogła) był ciężkim ciosem w jej patriotyczne uczucia.

— Człowiek naraża życie! Ukrywa ludzi! Karmi. A tu rozpusta taka!

Zenowiczówna nic nie odpowiedziała. Irki nie było wtedy.

— Szyby pani nie wstawi przecież — rzucił Leon.

— Ach, szyby! Cały naród walczy, ocieka krwią. A wy tu, brudem!

Zenowiczówna, chyba po raz pierwszy, odezwała się hardo:

— Pani sama opowiadała, że w Warszawie nawet prostytutki walczą w podziemiu.

— To czy wy jesteście prostytutkami?!... — Głos jej się załamał nutą szczerzego żalu i zawodu. W tej chwili stała pośrodku ich pokoiku bezradna i naprawdę godna pożałowania.

Leon przerwał jej z rozdrażnieniem:

— Dlaczego dotychczas nikt się nie zgłosił?

— Nie dziwię się... — Na tych zdaniach bez większego związku na razie się skończyło. Pani Janina wyszła trzaskając za sobą drzwiami.

Musiąco to ją jednak bardziej dotknąć, niż nawet na pozór się wydawało. Być może dopiero w domu zdała sobie sprawę z okrutnej profanacji walki wyzwoleńczej. Bo nazajutrz Zenowiczówna, zaciskając swój mysi pyszczek, powiedziała:

— Ona nie daje więcej obiadu... I nie potrzeba! Obejdzie się bez łaski.

Obchodziło się jednak z gotowaniem Zenowiczówny na miejscu nie bardzo składnie. Prowizoryczna kuchenka znajdowała się w korytarzu, o również wybitym oknie. Irka też nie była zadowolona. Raz rzuciła nawet złośliwą uwagę, że tamta szuka pretekstu tylko, żeby przesiadywać w domu. A na pracę iść trzeba było.

Noce z dwoma kobietami, dnie beznadziejne, wyczerpały Leona i fizycznie i bardziej nerwowo. Miał napady lęku. Nie posiadał przy sobie żadnych pieniędzy. Żadnych rzeczy. Bieliznę uprała mu raz i wysuszyła na piecu Irka, gdy leżał nagi w łóżku. Skarpetki wycerowała druga. Żył na ich koszt z wzrastającą paniką w sercu, gdyż nikt do niego z sieci podziemnej nie zająrał. I ta panika powodowała teraz, że po prostu bał się wyjść, bał się ryzykować, jak to zrobił za pierwszym razem. Istotnie, jeżeli czyjaś twarz mogła być opatrzona i znana szpiclom, którzy stale przecie kręcili się na dworcu, to chyba właśnie jego. Czekał na Henryka, a Henryk nie przychodził. Nagle uprzytomnił sobie, że przecież Henryk mógł przyjść tylko za pośrednictwem Narkowskiej...

W rzeczywistości Henryk był już, ale pani Janina odpowiedziała mu sucho, że nic nie wie i o żadnym Leonie nie słyszała. Naturalnie, warunki konspiracyjne mogły taką odpowiedź usprawiedliwiać, niemniej Henryk spojrział na nią ze zdumieniem, gdy mu prawie przed nosem zamknęła drzwi.

Leon nie wiedział co się dzieje. Zdecydował wreszcie, choć to było wbrew ustanowionym regulaminom, wysłać do Henryka Zenowiczównę z dokładnym adresem i prośbą o przybycie. Zenowiczówna nie zastała go w domu, natomiast po powrocie dużo i szczegółowo opowiadała o dzieciach:

— Takie śliczne. I ta dziewczynka tak dobrze ułożona. Z młodej i ciemnej matki, a oczy u obydwóch błękitne, błękitne... To chyba po ojcu?

— Chyba — odparł Leon.

Nazajutrz przyszedł Henryk.

— O coś się pokłócił z tą Narkowską?

— Ach, stara kurwa.

— Omal mi nosa nie przycięła drzwiami.

Leon się przyznał, z trochę kwaśnym uśmiechem, do sytuacji jaką wytworzyło ostatnie sowieckie bombardowanie miasta w jego prywatnym życiu. Ale przeszli zaraz do omawiania projektowanego wyjazdu do Warszawy. Henryk obiecał zaraz się rozpatrzyć w możliwościach.

Być może Halina miała rację. Gdy po powrocie od Leona opowiedział jej, że ten, w ciasnym pokoiku, zmuszony jest sypiać

z dwoma kobietami naraz, aż przystanąła w wiecznej teraz krzątaninie:

— No wiesz! Znalazł sobie. Jeżeli ta druga podobna jest do tej co tu przychodziła, to wiesz. Gust. Musicie jego stamtąd wyekspediować czym prędzej, bo to skończy się katastrofą. Zobaczysz, że wszyscy troje wylądują w Gestapo. Lada dzień jedna na drugą doniesie i na niego w dodatku.

— Tam wygląda jednak na razie na zgodę.

— To nigdy nie trwa długo, taka zgoda.

— Sądzisz — zazartował Henryk — że kobieta Polka, w walce z odwiecznym wrogiem, może się aż tak dalece zapomnieć gdy chodzi o...

— Sądzę, sądzę.

— Ty masz tu głos.

— Wiesz, że Lydia dostała wczoraj gorączki, i ma teraz 38 i dwa. Skąd ja wezmę lekarza?

Henryk musiał iść po lekarza. Mimo jednak te wszystkie trudności życia, udało mu się dotrzeć do „Radwana”. Ten słyszał o wyspie Leona, a Henryk wiedział że go zna dobrze. Wybrali się następnego dnia przed południem razem.

— Ja się muszę śpieszyć do mojej „Werkstätte” — powiedział Henryk. — Więc szybko. Mój projekt taki: Kolega — wskazał na „Radwana” — wystawi ci dokumenty podróży i potrzebne lipowe papiery. O tym pogadacie. Ale nie możesz wyjeżdżać z wileńskiego dworca, gdzie ciebie każdy zna. Dokument niech więc będzie wystawiony z Kowna. A ja ciebie podwiozę do Landwarowa, gdzie jest przesiadka. Najgorzej, że skombinowanie samochodu nie jest tak łatwe. To znaczy, nie zawsze da się ustalić dokładny termin na pewniaka. Powiedzmy... Twoich dam nie ma teraz?

— Jakich dam? — spytał „Radwan”.

— Nie ważne. Powiedzmy za trzy dni rano. To będzie czwartek. Proszę pamiętać o dacie na przepustce, kolego.

„Radwan” skinął głową.

— Pieniądze masz?

— Żadnych — odpowiedział Leon.

— Da się zrobić — wtrącił „Radwan”.

— Dlaczego nikt do mnie nie przyszedł?

Henryk spojrzął na „Radwana”. Ten machnął niedbale dłoń. Nastąpiło krótkie milczenie. Po czym Henryk, ociągając się, mruknął:

— Widzisz... Teraz obraziła się na ciebie w dodatku Narkowska... A poza tym, paplają że poszło podobno jakieś „oskarżenie” po twojej linii.

— Jakie „oskarżenie”?!

— Za ten handel gazetami na dworcu.

— Oszalałeś!!

— Cccicho, nie wydzieraj się tak.

— Przecież to na rozkaz! Przecież szła łączność! Skrzynki pocztowe! Raporty! Trzy lata nadstawiałem karku!... — zachłystnął się.

— Dobrze, dobrze. Akurat tego nie ma. Tamtego diabli wzięli. Czwarty „zapomniał”. A piąty plasnął językiem.

— „Pułkownik” nie wrócił?!

— Nie.

— Ach — „Radwan” machnął znowu lekceważąco ręką. — To bez znaczenia. Co chwila idą jakieś, podobno, intrygi z Wołokumpii.

— A co ty wiesz o tym? — spytał Leon.

— Wiedzieć, powtarzam sto razy, nikt nie wie dziś na pewno nic. Tyle co dochodzi. W tym letnisku uwiła sobie ponoć gniazdo paczka komunistyczna, z dawnej „lewicy akademickiej”, jak ją nazywano. Mówią, że tam ten i ów. Założyli podobno filię „Związku Patriotów Polskich” z Moskwy. Czy to prawda, diabli wiedzą. Ale że kontakty mają i w naszym podziemiu rozgałęzione, to fakt.

Z ulicy dochodził tupot butów. Henryk wstał i podszedł do okna.

— Chłopcy, idzie jakaś kurewska łapanka, czy co.

To było na porządku dziennym. Ale w tej chwili wszyscy zamilkli nad słuchując. Henryk ziewnął, zakrywając usta.

— Kto co może wiedzieć. Po czemu teraz gram złota? No więc. Znaczą się rzeczy, które każdy wie, albo nie wie. A z czego składa się powietrze, którym oddychamy?

— Ja już zapomniałem — odparł poważnie „Radwan”.

Henryk spojrział na zegarek, a później podszedł znowu do okna i wypatrywał.

— Przeszli. No, chłopcy, nie mogę dłużej siedzieć. A kto napisał: „Przemięło, mija, minie, to ludzkiego życia hasło...”?

— Asnyk.

— Brawo. Więc do rychłego. — Wyszedł pierwszy.



Leon nie pożegnał się z żadną ze swoich kobiet. Trzeciego dnia odliczył trochę pieniędzy, które dostał od „Radwana”, mniej więcej tyle, ile mógł wynosić jego koszt utrzymania. — „Raczej

mniej, niż więcej”... pomyślał przy tym z goryczą, ale sam dostał mało. Wsadził w kopertę, napisał: „Przepraszam i dziękuję”, zostawił na stole. A sam znikł po prostu z domu.

LXIX

Armia Czerwona posuwała się nieodparcie na zachód.

.....

Mniej więcej w tym czasie, gdy generalny komisarz na Estonię, Karol Litzmann, lekceważąc dotychczasowe instrukcje i zakazy, utworzył w praktyce autonomiczny rząd estoński, na Białorusi zaszły wypadki niespodziewane: Po zamordowaniu Wilhelma Kube przez Galinę (niektórzy wciąż utrzymywali, że na imię jej Maryna), generalnym komisarzem Białorusi mianowany został dotychczasowy najwyższy tam szef policji, SS-Gruppenführer Hans von Gottberg. Takie połączenie władzy administracyjnej z policyjną w jednym ręku, nie wróżyło nic dobrego. Zdawało się, że naturalną konsekwencją będzie wzmożenie terroru, i w odwet za morderstwo Wilhelma Kube nastąpią masowe egzekucje, wobec których zbledną poprzednie represje. Tymczasem stało się inaczej. Gottberg nie tylko nie zarządził masowych represji, ale przeciwnie: poszedł na większy niż jego poprzednik kompromis z grupą nacjonalistów białoruskich. Już 21 grudnia 1943 roku zapowiedział utworzenie „Białoruskiej Centralnej Rady”, która ma zastąpić poprzednie organizacje: „Samopomoc” i „Radę Zaufanych” i stanowić — jak powiedział: — „reprezentację białoruskiego narodu w ramach jego samorządu”.

Prezes dotychczasowej „Rady Zaufania” i burmistrz Mińska, prof. Wacław Iwanowski, został zamordowany przez agentów sowieckich. Dokładny plan zamordowania opracował Michaś Waśkowicz, b. członek Akademii Nauk BSSR, a podczas okupacji niemieckiej członek Białoruskiego Naukowego Towarzystwa, założonego przez tegoż prof. Iwanowskiego. Waśkowicz, cichy, sympatyczny, wysoce wykształcony człowiek, miły w obejściu, uchodził za jednego z najbliższych ludzi Iwanowskiego. Już w końcu roku 1942 nawiązał tajny kontakt z podziemnym Obkodem partii. Ujawnił przy tym, że istnieje tajna antysowiecka, ale „proangielska grupa” białoruska, na czele której — po rozstrze-

laniu przez Niemców Godlewskiego — stoją: Iwanowski, Jeza-witow, Tumasz i Demidecki. Przez tego ostatniego utrzymywany jest rzekomo kontakt z Warszawą... Dostarczył też egzemplarza tajnego biuletynu tej grupy, wydawanego na powielaczu. Poprzed-nio projektowano zastrzelić prof. Iwanowskiego podczas jego po-dróży do Wilna. Ale zamiar nie udał się wskutek pewnych nie-przewidzianych, drobnych zresztą przeszkód. Michaś Waśkowicz zaproponował tedy, że do mieszkania Iwanowskiego w Mińsku, przy ulicy Ratomskiej 6, przyprowadzi osobiście wykonawców karzącej ręki sowieckiej ojczyzny, przedstawiając ich jako brytyj-skich emisariuszy, i ci go zastrzelą. Plan był prosty i logiczny. Nie można go było jednak wykonać, gdyż brakowało ludzi, którzy by swym zewnętrznym wyglądem już na pierwszy rzut oka nie wzbudzali podejrzania. A profesor Iwanowski, mimo zaufania ja-kim obdarzał Waśkowicza, był z natury, a teraz szczególnie, po-dejrzliwy i ostrożny. I ten więc plan został zarzucony. Ostatecz-nie, po wielu daremnych próbach i zasadzkach, zastrzelono go na ulicy Niemiga, w biały dzień, gdy przejeżdżał w swym jednokon-nym powoziku. Sprawcy uszli, kryjąc się w ruinach otaczających ulicę.

Ponieważ kandydatura prof. Iwanowskiego odpadała, von Gottberg mianował prezesem nowej BCR Radosława Ostrowskie-go, byłego dyrektora białoruskiego gimnazjum wileńskiego, z tym że ten powoła od siebie dalszych członków Rady.

Nowa „Rada”, znacznie usamodzielniona w porównaniu do poprzedniej, postanowiła swój program polityczny, poza akcenta-mi dopasowanymi do wymagań władz niemieckich, nawiązać do tradycji jeszcze z 1918 roku, i do narodowych haseł wówczas rzucanych. W istocie była to tradycja zapożyczona swojego czasu z tych wzorów polskich haseł niepodległościowych, które mówiły o dwóch odwiecznych wrogach: Rosji i Niemcach. W wydaniu białoruskim, Rosja (takoz: „biała czy czerwona”) ostała na swoim miejscu „odwiecznego wroga”; natomiast już w roku 1918, Niem-cy zastąpione zostały przez: „odwiecznego wroga, Polskę”. Obec-nie, ten antypolski akcent, który niewątpliwie wkalkulowany był w zjednanie sympatii niemieckich, szczególnie został podkreślony z innych jeszcze względów ubocznych.

Radosław Ostrowski był przed wojną wiceprzewodniczącym CK „Białoruskiej Włościąńsko-Robotniczej Hramady”, organiza-cji politycznej powstałej w roku 1924 na terenie dawnych ziem wschodnich państwa polskiego, o wyraźnym obliczu nacjonal-ko-munistycznym. „Hramada” współpracowała ściśle z Komunistycz-ną Partią Zachodniej Białorusi, inspirowana i subsydiowana była z Moskwy. W roku 1927 władze polskie przystąpiły do likwidacji

tej dywersyjnej, komunistycznej organizacji. Sprawa nabrała rozgłosu, zakończona wielkim procesem. Rzecz rozumiała, iż piętno współpracy z agenturą sowiecką mogło obecnie kompromitować byłych członków „Hramady” w oczach niemieckich władz okupacyjnych. Z drugiej strony, dawni zwolennicy nacjonal-komunizmu słusznie dostrzegali duże pokrewieństwo ideałów w radykalizmie niemieckiego nacjonal-socjalizmu. Nie było to więc z ich strony zaprzęstwem, gdy w zmienionej koniunkturze, naprawdę i szczerze, pragnęli współpracować z Trzecią Rzeszą, byle zechciała uwzględnić ich ambicje narodowe i nadzieje, z którymi nie chcieli się rozstać. I tylko ta plama probolszewickiej przeszłości — typu Leninowskiego NEPu — wymagała zatuszowania. Stąd gwałtowne przesunięcie akcentu na walkę z Polską: likwidacja „Hramady” przez władze polskie przedstawiona została (z pominięciem prokomunistycznego charakteru tej organizacji), jako przejaw walki z narodowym ruchem białorusko-radykalnym, a nawet jako zmowa „polsko-rosyjska” wyniszczenia wszystkiego co białoruskie...

Gruppenführer von Gottberg nie miał czasu, ani chęci zagłębiania się w kazuistykę historiozofii odbiegającej daleko wstecz od sytuacji aktualnej. Wszystkie lasy Białorusi opanowane były przez wrogich partyzantów. Zaprzętała go w tej chwili myśl rozbudowania Białoruskiego Korpusu Samoobrony przy pomocy nowej „Rady”, drogą przymusowej mobilizacji kilku roczników. Sam wiedział, że za późno. Ale co innego mógł wymyślić?

Walka wrzała na wszystkich odcinkach. Po zamordowaniu Fabiana Okińczyca, profesora Iwanowskiego i wielu innych, zastrzelony został przez agentów sowieckich redaktor „Białoruskiej Hazety” Władysław Kozłowski. Od kul partyzantów polskich zginął pod Słonimem członek poprzedniej BNS Paciukiewicz; pod Lidą główny szef policji białoruskiej, szczególnie prześladowający Polaków, Julian Sakowicz.



Niezwykły raid konnej partyzantki sowieckiej Kowpaka, który w ubiegłym roku przeszedł z Polesia aż do Karpat, 900 kilometrów, i zajął nawet przejściowo Tarnopol, skończył się w końcu niepowodzeniem. Z frontu wycofana została cała dywizja kawalerii SS-Florian-Geyer i rzucona przeciw Kowpakowi. Więcej trudności miał on jednak z oddziałami ukraińskiej UPA pod wodzą Borowca. Bandera siedział w Sachsenhausen, ale „banderowcy” w części Galicji przyłączonej do Generalnej Guberni, byli po cichu przez gubernatora Franka popierani. Chciał ich użyć do zwalczania polskiej AK. Tymczasem prawie cały Wołyń opanowany został przez

UPA. Kowpak ratował się z zaledwie 300 ludźmi, którzy mu pozostali po wielkim raidzie, w puszcze Polesia. UPA prowadziła w dalszym ciągu wojnę przeciwko Sowietaom, Niemcom i Polakom jednocześnie. A przy okazji przeciwko Rumunom, Węgrom i wszystkim innym oddziałom policyjnym formowanym z przeróżnych narodowości. Zarazem oddziały Borowca znajdowały się w stałym zatargu z ukraińskimi oddziałami bardziej ostrożnego Andreja Melnyka, szefa organizacji „OUN-M”.

Mówiono, że na wschód od Równego powstało stołeczne centrum ukraińskie i armia w sile 40 tysięcy ludzi... Urzędnicy niemieccy bali się wychodzić poza umocnione punkty garnizonów. Wreszcie udało się organom SD zwabić Borowca do Warszawy i tam go aresztować. W styczniu aresztowano także Melnyka, w Berlinie, gdzie cieszył się poparciem pewnych wpływowych ludzi w Ostministerium. Ale, że Armia Czerwona zajmowała całą już prawie Ukrainę, aresztowanych internowano w wydzielonym sektorze dla politycznie uprzywilejowanych w Sachsenhausen. I nikt, po prawdzie, nie wiedział co robić z nimi dalej.

A walka na tyłach wielkiego frontu rozpałała się z każdym miesiącem bardziej.



Dawno temu, 16 lipca 1941 roku, powiedział Hitler:
„Nigdy nie można dopuścić do tego, aby ktokolwiek inny
nosił przy sobie broń, jak tylko Niemiec”.

W roku 1944 nosił ją każdy. Głównie broń niemiecką.

LXX

Litewskie posterunki policyjne obsadzone były przeważnie załogą w sile 10-ciu ludzi do 20-tu. Życie ludności cywilnej w obrębie takich umocnionych miejscowości zdane było na łaskę i niełaskę poszczególnych komendantów. Noc zapadała wcześniej. Światła nie było. Nienawiść rosła.

W tym czasie zgrupowania polskiej AK pod wodzą pułkownika Aleksandra Krzyżanowskiego, pseudonim „Wilk”, skoncentrowane w rejonach: Turgiele-Rudomino, Oszmiana-Worniany, Podbrodzie-Niemenczyn, oraz w Puszczy Rudnickiej obliczane były teoretycznie na około 6.000 ludzi, a w praktyce wynosiły znacznie

mniej. Jednocześnie w głąb terenu nieustannie przenikała partyzantka sowiecka i siła jej rosła.

Mimo nowych instrukcji, tajne kontakty nawiązane przez Wulffa, nie zostały zupełnie zerwane. Zarówno on, jak — szła niesprawdzona gadka — przekonany przez niego generał-major Emil Just, były attaché wojskowy w Kownie, obecnie „Oberfeldkommandant der Wehrmacht” na Litwie, nie tracili nadziei, iż uda się skłonić partyzantkę polską do wystąpienia antysowieckiego. Dostarczana była po cichu broń, i w trzech wypadkach, aresztowani dowódcy oddziałów polskich wypuszczeni zostali na wolność. Mówiono, że bez aprobaty naczelnego szefa policji, generała SS Harma. Ścisłe tajne instrukcje zalecały policji litewskiej w dalszym ciągu unikać, w miarę możliwości, zatargów z partyzantką polską. Ale z drugiej strony utrzymany został w mocy surowy zakaz porzucania wyznaczonych posterunków, wycofywania się na własną rękę. Komendant posterunku litewskiego w Dziewieniszkach, Pożynga, i komendant posterunku w Bieniakoniach, Janulis, skazani zostali na karę śmierci za samowolne opuszczenie stanowisk pod naciskiem oddziałów polskich.

Tymczasem rozgorzały bitwy, już po raz trzeci o Turgiele; w sam dzień Nowego Roku o Gościeniszki, gdzie Polacy zdobyli umocnione bunkry litewskiego posterunku ochrony kolei, nie tracąc ani jednego żołnierza i zabijając sześciu Litwinów. Doszło do starcia 9 stycznia o Mikuliszki, 17 pod Rudominem, 18 pod Smorgoniami, 31 pod Wornianami, 2 lutego koło Jaszun.

Wkrótce szef policji generalnego komisariatu „Litwa”, Harm, został odwołany i na jego miejsce mianowany SS-Brigadeführer Hintze. W tym samym czasie naczelny szef policji Ostlandu w Rydze, SS-Obergruppenführer Friedrich Jeckeln, zwrócił się do popularnego w dawnej Litwie b. generała litewskiego, Povilasa Plechaviciusa, z propozycją aby utworzył litewskie wojska terytorialne do walki z partyzantką sowiecką na Litwie, względnie na tyłach północnego frontu: „Litauische Sonderverbände”. — Plechavicius porozumiał się po cichu z podziemnym „Litewskim Komitetem Wyzwolenia”. Otrzymał od niego placet, i wtedy wyraził zgodę na tworzenie wojsk terytorialnych, wszakże pod trzema warunkami: 1) podlegać będą wyłącznie dowództwu litewskiemu, 2) użyte tylko na terytorium Litwy, 3) działać w jednolitej jednostce, i nie będą rozdrabiane na pomocnicze oddziały dla jednostek niemieckich.

Już 21 lutego zgłosiło się 20 tysięcy ochotników. W ten sposób powstało, nazwane po litewsku: „Vietine Rinktine”, litewskie wojsko terytorialne, w sile na razie 13 batalionów, i jeden batalion rezerwowy, łącznie około 12 tysięcy, uzbrojonych

przeważnie w stare karabiny. W Wilnie odbyła się wielka parada. Nieliczne Litwinki przybrały stroje narodowe. Był początek kwietnia dopiero, brakło kwiatów, a na rozwinięcie sztandarów narodowych Niemcy nie zezwolili. Pierwsze cztery bataliony ruszyły w teren na wschód od miasta. Ale teren tamten zajęty był głównie przez partyzantkę polską.



Właśnie nadszedł z Warszawy tajny rozkaz komendy głównej AK dla partyzantek okręgów wschodnich, datowany 23 marca 1944. Punkt II głosi:

„Ze względu na dobro sprawy polskiej zależy abyśmy wzięli czynny udział przy oswojdzaniu kraju z okupacji przez uderzenie na niemieckie straże tylne. Podkreślam, że uderzenia te powinny rozpocząć się poczynając od naszych granic wschodnich, czym najlepiej podkreślimy przynależność ziem kresowych do Rzplitej.

Przypominam, że na podstawie rozkazu 1.1300/III, p. IV-5 uderzenie na tylne straże niemieckie powinno nastąpić automatycznie z chwilą cofania się Niemców, nawet bez zarządzenia powszechnego „Burzy”.

Walka ta z Niemcami będzie miała duże znaczenie polityczne i musi być bezwzględnie przeprowadzona, *niezależnie od zachowania się Sowieców w stosunku do nas...*”

Punkt V głosi:

„V. Oddziały biorące udział w walce, będą zmuszone do ujawnienia się wobec regularnych wojsk sowieckich i mają postępować w myśl rozkazu 1.1300/III, p. V...

W razie odrzucenia zgłoszonej przez dowódcę ujawniającego się oddziału propozycji uzgodnienia współdziałania z oddziałami sowieckimi, należy broń zabezpieczyć, oddziały nasze rozwiązać, unikając konfliktów z armią sowiecką...”

Jednocześnie ustnie przekazana instrukcja dla komendantów okręgów Wilno, Nowogródek i Polesie, nakazuje unikanie wszelkich zatargów z partyzantką sowiecką na tych terenach: „Zanim dojdzie do oswojdzania kraju przez armię czerwoną — głosi instrukcja — należy na całym terenie w starych granicach państwa polskiego przeprowadzić z aktywną tu partyzantką sowiecką rozgraniczenie rejonów koncentracji i działania; ustalić znaki rozpoznawcze z partyzantką sowiecką i możliwie z nią współpracować”.

Z chwilą pojawienia się oddziałów gen. Plechavicziusa, wojna polsko-litewska rozgorzała z nową siłą. Wciąż w tych samych,

wydeptanych wielokrotnie lasach, o te same, wielokrotnie już tam i nazad zdobywane i oddawane miejscowości: Turgiele, Oszmiana, Troki, Ejszyszki, Dziewieniszki...

LXXI

Rogożin odprawił właśnie od stolika klienta, od którego kupił za bezcen broszkę ze staroświeckich granatów w złotej oprawie, gdy do kawiarenki zszedł po schodach Hans Müller. Dla Rogożina był on zawsze Robert Koller. Miał na sobie ubranie cywilne, ale jak to łatwo było dostrzec przy jego schodzeniu, na nogach grube trzewiki wojskowe. Lewą dłoń miał obandażowaną świeżym bandażem. Rozejrzał się i podszedł do Rogożina. Ten zaskoczony był niemile tą wizytą. Dlatego udał zupełny brak zaskoczenia.

— Co nowego? — zapytał wyciągając rękę i unosząc się trochę z krzesła. — Proszę siadać.

— Błoto podsyca.

— To nie jest zła wiadomość.

— Jak dla kogo.

— Z daleka pan teraz?

— Z Konstantynopola przez Berlin.

— Szeroki świat. I co w nim?

— Ma nastąpić zmiana... Próba zmiany dotychczasowej polityki.

— Czy nie za wcześniej?... — z powściągliwym szyderstwem zapytał Rogożin.

— Mniej więcej.

— Na długo pan?

— Na krótko. — Rozglądnął się po pustej prawie salce. Było tu ciemnawo. Słońce skąpo i krzywo, próbowało przedostać się do suteryny. Podeszła Jadzia ze sztuczną obojętnością w wyrazie twarzy.

— Kawy? — spytała, opuszczając rzęsy, jakby chciała tym jeszcze bardziej podkreślić brak zainteresowania nowym gościem.

— Ach! — zachnął się najniespodziewaniej Koller: — Niech pani da spokój z tymi manierami konspiratorki! I tak każdy się domyśla na odległość dziesięciu kroków.

Ona pobladła i raptownie trzepnęła w górę rzęsami, otwierając szeroko oczy. Wydały się ciemne i harde.

— Pani Jadzia nie rozumie po rosyjsku — łagodząc uśmiechem zauważył Rogożin. I jakby chroniąc ją przed niebezpieczeństwem, położył swoją owłosioną dłoń na wspartych o stół palcach jej ręki.

— Et, na pewno na tyle, żeby rozpoznać że mam akcent niemiecki. Owszem, proszę o to co wy nazywacie tu kawą. Przegraliśmy wojnę, miss Jadzia. Cieszy się pani?

— Przynoszę filiżankę kawy.

„Co on, pijany”? — zastanowił się Rogożin w duchu. — „Ale chyba nie o tej godzinie...” Przyglądał się twarzy gościa, na której malowało się zniechęcenie w pomieszeniu z wyrazem jakiejś determinacji. Kąciki ust drżały uśmiechem ironii. Jadzia wróciła z kubkiem kawy, i tym razem nie spuszczać rzes powiedziała:

— Cieszę się. — I odeszła.

— Jest pan niezdrów, czy zmęczony podróżą? Co to za bandaż?

— Przede wszystkim niewypowiedzianie znudzony. Jak człowiek na świecie, który ma dość świata. — Popatrzył z obrzydzeniem na kubek. — Pan wie, że całą naszą Abwehrę likwidują.

— Zaszło coś? — spytał ostrożnie Rogożin.

— Nagle mam dość konspiracji, więc opowiem panu zabawną historyjkę: jeden z naszych ludzi z KO-pomocniczej placówki w Istanbulu, doczekał przyjazdu żony, i razem z żoną zwiął brytyjskim samolotem do Kairu. A żona okazała się hrabiną von Plettenberg, krewną von Papena.

— To rzeczywiście... Można powiedzieć...

— Tak. Jednocześnie sekretarka agenta „SD-zagranica” w Ankarze, niejaka panna Neele Kapp, uciekła do Amerykanów. Jej ojciec był kiedyś generalnym konsulem w USA. Więc Himmler uznał, że odpowiedzialność za wszystko ponosi Abwehra. Pretekst, naturalnie. W rzeczywistości dawno już przesądzone, że Canarisa popędzą, i wszystko weźmie Himmler.

— I on to może ma pokierować tą „nową polityką”?

— Już kieruje.

— Wyobrażam sobie..

— Nie jestem pewien, czy pan sobie dokładnie wyobraża. A zresztą, on czy nie on, żadnej nowej polityki prowadzić już nie można. Nie chodzi o personalia, czy to będzie Himmler, czy na jego miejscu Churchill. Politykę prowadzić może ten kto zwycięża, a nie kto przegrywa na wszystkich frontach. Kto ma siłę, a nie kto ją traci. W tych warunkach każda polityka będzie równie zła, jak żadna. — I nagle, jakby mu coś przyszło do głowy,

przechylił się przez stół i zapytał agresywnie: — Co pan rozkaże zrobić ze wschodnią Europą?

— Hm — mruknął Rogożin, i myślał: „Co mu jest, u diabła? Jakże człowiek się zmienił”...

— Proszę, załóż pan najidealniejsze rozwiązanie: przywróć pan całą Polskę, jaką była. To znaczy zrobić sobie największych wrogów z Litwinów, Białorusinów i Ukraińców. Oddaj pan Wilno Litwie, Grodno Białorusinom, Lwów i Wołyń Ukrainie. Zaden Polak się na to nie zgodzi. Oddaj pan Kijów, Odesę, Krym, Don i Kubań Ukraińcom, a Smoleńsk Białorusinom, jak oni chcą. Nie zgodzi się na to żaden Rosjanin. Niezależnie od tego, że nie zgodzą się Kozacy, Tatarzy i wszelki drobiazg. Weź pan teraz hasło: „wolnej antybolszewickiej Rosji”! i oddaj wszystko Rosji. Postawisz pan przeciw sobie dziesiątki odrębnych narodowości, które może wolą mieć swoje BSSRy i USSRy niż carską, faszystowską, czy nawet demokratyczną narodową Rosję. Ja przepodrożowałem wielokrotnie od Narwy do Kaukazu. I mam tego dość. Czym można nakarmić te narody do walki z Sowietami? Tylko jednym: daj im to, co chce inny. Tyle papieru zmarnowano na memoriały, zamiast zużyć go na papier klozetowy.

Rogożin przemilczał.

— Nasz... nie wymawiając złego słowa — ciągnął Keller — chciał ze wszystkiego zrobić kolonię dla Niemców. Jest to, w istocie swojej, przede wszystkim... no, jak że to będzie: Hirngespinst?... — strzepnął palcami. — Już: urojenie, chimera...

— Bzdura.

— Nie. „Bzdura” to ocena raczej emocjonalno-moralna. Pragnienie obmowy, oczernienia zakrywa, jak to często bywa, istotę rzeczy. A to po prostu rzecz nie do osiągnięcia. Lenin był mądry człowiek, gdy uczył jak okłamywać innych, ale przestrzegał przed okłamywaniem siebie. Naszemu... drabiną do wielkiego palca u nogi Leninowi nie sięgnąć. Ale nawet ten murzyński program, oparty na bezwzględnej sile, jeszcze był prędzej do zrealizowania, niż jakakolwiek próba zgodnego uporządkowania wschodniej Europy.

— Hm.

— Pan mnie zna. Ja jestem antybolszewikiem „z narodowości”. Ale zastanawiam się dzisiaj, czy dyktatura bolszewickich NEPów nie jest w końcu jedyną formą pogodzenia wszystkich. Macie wasz upragniony język własny, udławcie się nim do zesrania! A wszystko inne: za mordę!

— Wszystko jedno, będą mówić o „rusyfikacji”.

— A nu ich, k czortu. I co pan każe zrobić?

Rogożin uśmiechnął się z powściągliwym sarkazmem.

— Zachowam własną wåtpliwość w pokorze ducha. To, zdaje się, wszystko co mi z pana przepowiedni pozostanie. — I nie zmieniając wyrazu twarzy dodał: — Widzę, że nie tylko mają zająć zmiany. Ale w panu już trochę zaszła, Robercie Wilhelmowiczu.

Koller odsunął niezaczętą kawę i zajął się poprawianiem bandaża na lewej dłoni. Nastąpiła dłuższa chwila milczenia. Po czym ująwszy w zęby jeden koniec tasienki i usiłując zawiązać ją w supeł, zaskoczył Rogożina pytaniem poprzez trzymany w zębach rąbek:

— Czy pan przypadkiem nie stykał się z takim: Panisienko?

Rogożin spokojnie przeczekał dziesięć sekund, udając iż szuka w pamięci.

— Jak nazwisko, przepraszam?

— Panisienko. Anton Panisienko.

— Nie... Nie, jakoś nie wypadło się zetknąć. A co on z siebie przedstawia? Co panu właściwie, z tą ręką?

— Taki jeden, co był po tej stronie, i zdaje się przeszedł znowu na tamtą.

— Nie słyszałem. On młody, stary? — I następne zdanie, w wypadku gdyby Koller powołał się na Anastazję Ipolitownę, miał już przygotowane: „Żałuję, widocznie wolał mnie ominąć...” Ale Koller nie powołał się i nie pytał dalej. Zawiązał supeł i zmienił temat:

— Ja pana odszukałem właściwie w pewnej konkretnej sprawie. Ja się tu już odmeldowałem u pewnych panów. Ale chciałbym jeszcze chwilę pozostać... *incognito*, że użyję języka ludzi z uniwersyteckim wykształceniem. Czy można u pana przenocować?

Rogożin nie dał po sobie poznać, jak bardzo nie na rękę była mu ta wizyta.

— Prosimy uniżenie. Adres mój pan przecie zna?

— Byłem już tam i właśnie nie zastałem pana.

— Będę za trzy godziny w domu.

Koller wstał, sięgając do portmonetki.

— Ja zapłacę — Rogożin ruchem ręki otoczył stół. — Patrzył za nim jak wychodził po stopniach, jeszcze raz zauważył wojskowe, grube trzewiki, a później kiwnął na Jadzię. Coś mu przyszło do głowy. Gdy podeszła, wyjął z kieszeni zawiniątko, rozwijał powoli bibułkę i położył przed nią staroświecką broszkę z granatów.

— Co to ma być — spytała — broszka?

— Za dwie kawy. I za przykrą rozmowę, jaką pani miała.

— A pan?

— Ja nie mam z kim rozmawiać.

— I nie ma pan komu darować?

— Nie mam.



Nazajutrz rano Robert Koller powiedział do Rogożina:

— No, ja do Wehrmacht-Fahrbereitschaft. Mam nadzieję, że złapię jakąś maszynę. Za tydzień będę tu chyba z powrotem. Chciałbym pana jeszcze zobaczyć.

Ale nie zobaczył już nigdy.

Henryk widział jak odjeżdżał; coś mu w głowie zamajaczyło ze wspomnień mińskich, jakby widział kiedyś tę twarz, ale nie mógł sobie przypomnieć.

„Nigdy” — jedno z tych słów najbardziej potocznych i najmniej wyobraźalnych. Jest to słowo jasne, jednoznaczne, zrozumiałe dla wszystkich. Ale istota jego nie da się objąć wyobraźnią. Gdyż „nigdy” stanowi część składową wieczności. Dokładniej: jakby drobną monetę, którą wieczność puszcza codziennie w obieg po szerokim świecie. Wytartą, opatrzoną, obmacaną palcami, i nie więcej wartą niż życie ludzkie.

Wkrótce potem znaleziono trupa Rogożina na chodniku, w odległości trzystu metrów od jego domu. Spostrzegli go przed świtem dwaj policjanci litewscy, którzy wracali z obchodu dzielnicy. Leżał na brzuchu, głowa siwiejąca bokiem na prawym ramieniu, podczas gdy lewe ramie obejmowało chodnik, sięgając palcami aż do rynsztoku. Musiał być zastrzelony jeszcze z wieczora. Strzału w tył głowy nikt nie słyszał, albo nie zwrócił uwagi za szczelnie zamkniętymi okiennicami. Tyle się teraz strzałów słyszy, nieprawdaż?

Policjanci, którzy go znaleźli, przewrócili trupa na wznak, obejrzel paszport, przepustkę. Obszukali kieszenie: znaleźli pieniądze, trzy obrączki złote, bransoletkę 18-karatową i dwie dwudziestodolarowe złote monety w kamizelce. Ulica pusta przed świtem. Ledwo gawrony zaczynały krakać w koronach wysokopiennych sosen, z których słynie ta dzielnica. Podzielili między sobą znalezione rzeczy, a w protokule policyjnym dali świadectwo: „Typowe morderstwo w celach rabunkowych. Zamordowany, według zeznań sąsiadów, uchodził za spekulanta”. — Procedura w takich wypadkach bywała uproszczona.

Żona go opuściła jeszcze przed wojną i mieszkała w Paryżu. A gdzie teraz? — Cholera ją wie!



W zestawieniu z wiecznością, skoro już tyle poświęciliśmy

jej uwagi, stało się to w terminie krótszym niż wyobrazalny ułamek sekundy (bo zaledwie cztery miesiące przed tym), zanim popełnił samobójstwo Hans Müller, alias Robert Koller, alias kilku jeszcze imion i nazwisk. (Zaraz po nieudanym zamachu na Hitlera z 20 lipca. A w dzień po samobójstwie oficerów wspierających z jednej strony ruch generała Własowa, z drugiej należących do spisku: pułkownika Wessel von Freytag-Loringhoven, szefa sztabu inspektoratu „Wojsk Wschodnich”; pułkownika Alexis von Roenne, z wydziału „Obce Wojska Wschód” w OKW; generała Edwarda Wagnera, generalnego kwatermistrza w Rosji).

LXXII

Wojna składa się z polityki i trupów. Czy ludzie nie znali innego tematu? Zęgałby, kto by twierdził że: tak. Nawet miłość i czarny rynek stanowiły zaledwie marginesy.

RSHA, główny urząd bezpieczeństwa państwowego; SSFHA („SS-Führungshauptamt”); RKFDV, VOMI, RUSHA i SS-WVHA, któremu podlegały obozy koncentracyjne. Litery, litery. Wszystkie były w rękach i dyspozycji Heinricha Himmlera.

W pierwszych trzech miesiącach zwycięskiej ofensywy sowieckiej roku 1944, przeszło dobrowolnie na stronę Niemiec zaledwie 2.200 zbiegów z Armii Czerwonej. SS-Standartenführer Gunther D’Alquen, szef batalionu propagandowego „SS-Kurt Egger”, podjął próbę nowej akcji propagandowej i wciągnął do niej Jerzego Żylenkowa, b. generała-majora Czerwonej Armii i politycznego komisarza, oraz Milentia Zykowa. Jednakże Zykow... Ale o tym później!

Armia Czerwona zwyciężała na całej linii frontu. Wszelako na froncie galicyjskim, gdzie D’Alquen rozwinął swą akcję propagandową, przeszło w przeciagu 18 dni, dobrowolnie na stronę niemiecką 4.500 żołnierzy sowieckich. D’Alquen pośpieszył do Himmlera i oświadczył mu: „Powodzenie zawdzięczało się wyłącznie zapowiedzi tworzenia rosyjskiej armii wyzwolenia, oraz temu że był ze mną Żylenkow. Należy, według mnie, czym prędzej wymazać co jeszcze pozostało z teorii o „Untermenschach”, odwołać wszelkie hasła o „azjatyckim niebezpieczeństwie”, a zastąpić je hasłem „wspólnoty europejskiej”. Na czele wyzwolenieckiego ruchu rosyjskiego postawić Żylenkowa”. — D’Alquen był zawsze entuzjastą, już od ławy szkolnej zapalał się do rozmaitych idei.

Miał teraz lat 34, był synem kupca branży wełnianej w Essen. Swojego czasu stał się entuzjastycznym hitlerowcem, redaktorem „Das Schwarze Korps”. Dopiero po zetknięciu się z rzeczywistością frontu wschodniego dołączył do „najbardziej rozczarowanych SS-Mannów”. Wtedy odkomenderowany został na krótko na front włoski, gdzie miał robić propagandę przed odcinkiem 2-go korpusu polskiego. Osiągnął tyle, że piosenka „Lili-Marlen” śpiewana była po obu stronach frontu. Przerzucony ponownie na front wschodni, poczuł się powołany do odrodzenia misji... Himmler sceptycznie traktował jego porywy. Ale z drugiej strony zdawał sobie już teraz sprawę, że niewiele zostało do stracenia. Zaczął się wahać. Tymczasem Zylenkow wręcz oświadczył, że nie on, a tylko Własow mógłby jeszcze coś zrobić.

Trzeba było powziąć jakąś decyzję. Za kulisami rozgorzała zacięta walka pomiędzy Amt III i Amt IV, głównego urzędu RSHA. Amt III, to wewnętrzne SD, Amt IV Gestapo. SD wypowiedziało się teraz za poparciem Własowa. Gestapo za jego wykończeniem, i zażądało od SD wydania wszystkich akt własowskich. SD odmówiło. Była to walka powstała na tle kompetencji i zawiści personalnych. Ale oto SS-Obergruppenführer, Ernst Kaltenbrunner, po zastrzeleniu Heydricha szef RSHA, przechylił się w tym sporze na stronę SD. Nie dlatego, iżby był przekonany że ruch Własowa, to „V 100”, jak twierdzili zapaleńcy, „tajna broń” skuteczniejsza od V-1 i V-2, ale dlatego że nienawidził SS-Obergruppenführera Gottloba Bergera z SS FHA. Zaś Berger, który rok temu objął — w miejsce usuniętego Leibbrandta — kierownictwo głównego wydziału politycznego w Ostministerium Rosenberga, popierał od tego czasu stawkę swego ministra na „separatystów”, na tzw. „narodowości”; szczególnie Ukraińców. Reprezentował więc kierunek „antyrosyjski”, a tym samym „antywłasowski”. Tego starczyło, aby Kaltenbrunner przechylił się na kierunek „pro-własowski”. Poparł go w tym SS-Obergruppenführer Walter Schellenberg, szef Amt VI, czyli SD-wywiad zagraniczny, przejęty od zlikwidowanej Abwehry. Wszystko zależało teraz od tego, na którą stronę przechyli się Himmler. I Himmler, pod wpływem D’Alquena, przechylił się na stronę kierunku „rosyjskiego”.

W istocie zaszła ewolucja, na pierwszy rzut oka trudna do uwierzenia. Właśnie w ośrodku najbardziej niewzruszonej twierdzy hitlerowskiego systemu prowadzenia wojny, podjęta została inicjatywa, która w poprzednich latach najsurowiej była zwalczana, mianowicie: „upolitycznienia wojny na wschodzie”. Więc jednak polityka, post mortem hitlerowskiej polityki? A co innego można było robić?...

Nikt z dawnej „grupy inicjatywnej”, ani Strik-Strikfeldt, ani Gehlen, Wagner, Grote, nikt z Wpr.-IV, ani tym bardziej Stauffenberg czy Tresckow, nikt ze spiskowców, nie był wnioskodawcą przekazania tej polityki w takie ręce jak SS! Każdemu wydawało się to absurdem. A jednak doszło do najmniej oczekiwanej metamorfozy.

Teraz dopiero się okazało, że już przedtem, za kuflem piwa w schronisku SS nad Wannsee, padały, wśród młodszych zwłaszcza SS-Mannów, dość krytyczne uwagi na temat tego, co się wyrabia na froncie wschodnim... Ostatecznie dostrzeżenie jawnego absurdu, nie stanowi rzeczy trudnodostępnej. Prawda, że Gestapo było po dawnemu przeciwko wszelkim „eksperymentom”, ale raptem znalazło się w tej nowej sytuacji odosobnione. Tak dalece, iż rozeszła się nawet, na pozór absurdalna, czy kto woli: paradoksalna pogłoska, że szef, tzw. Gestapo-Müller, ma jakieś tajne powiązania z wywiadem sowieckim!... Nikt, naturalnie, temu nie wierzył. Ale inni szeptali, że podejrzenie to wyszło od samego Schellenberga...

W sytuacji wytworzonej na froncie „Wojsko” przegrywało. Resztką istotnej władzy w Niemczech przesuwano się w ręce SS. — Nie można było jednak, tak bez ogródki, przewekslować na hasło „wojny wyzwoleniczej”. Wywołałoby to wybuch paroksyzmu ze strony Hitlera. A on sam?...

Schellenberg, który po odwołaniu Canarisa przejmował teraz agendy Abwehry, pozwolił sobie w gronie zaufanych na taką uwagę:

— Führer... i zresztą jego najbliżsi wasale, wydaje się traktować politykę jak gigantyczną intrygę; zabiegi o władzę jak morderczą walkę wszystkich przeciw wszystkim, a na wojnę patrzy jak na monstualną grę w Indian.

Trzeba było uważać i unikać przy tym słów drażliwych. Stąd postanowiono podkreślić już poprzednio powściągliwy charakter i odwołać się do miana: „antystalinizmu”. Czyli wspólnymi siłami podsowieckich narodów obalić Stalina i przeciwstawić mu Własowa: „Bez bolszewizmu i bez kapitalizmu”. Z góry jednak było wiadomo, że nie obejdzie się bez trudności.

SS-Obergruppenführer Berger, w zgodzie z Rosenbergiem, a przy pomocy Sturmabführera „Waffen-SS”, dr. Fritza Rudolfa Artla, już przedtem wytworzył giętki organ: „Freiwilligen-Leitstelle Ost”, coś jak „Ośrodek kierowniczy ochotników wschodnich”. Artl był całą duszą oddany „separatystom”. Nawiązał kontakty i z Melnykiem, i z Banderą, na razie internowanymi; z Lewickim, i przechwalał się, że on to zjednał najwybitniejszego z ukraińskich oficerów, generała Szandruka. Był w dobrych sto-

sunkach z białoruskim Ostrowskim, z kozackim Krasnowem, z Łotyszami, Estończykami, z Chajum-Chanem od narodów turkmeńskich, z wodzem Gruzinów Misza Kedia. Słowem rozwinął niezwykłą energię. On też znacznie przyczynił się do stworzenia różnych narodowych ochotniczych oddziałów, które weszły w formacje „Waffen-SS”. Poza tym patronował rozlicznym komitetom, które pod egidą Ostministerium, miały swe siedziby przy Rauchstrasse, Fehrbellinger Platz, przy Douglasstrasse, w hotelu Adlon i w wielu innych jeszcze miejscach Berlina i Europy: Ukraińców, Kaukazczyków, Kozaków, Azerbajdżanów, Tatarów nadwołżańskich (pod nazwą: „Idel Uralu”), Tatarów krymskich, Kałmuków, Tiurków. Wszyscy oni o rosyjskim przewodnictwie Własowa słyszeć nie chcieli. Najbardziej nieugięty okazał się Misza Kedia, wyrosły w „prometejskiej tradycji” wódz Gruzinów.

— Dla nas — oświadczył — Rosja Stalina, czy Rosja Własowa, jest jednak wroga! Nie zjednoczona walka przeciwko bolszewizmowi, lecz zjednoczenie wszystkich nie-Rosjan do walki z Rosjanami, jest naszym celem!

Admirał Canaris pozwolił sobie kiedyś na żarcik, że Kaltenbrunner „ma dłonie jak łapy dusiciela”... Czasy się zmieniły. Kaltenbrunner zaciskał je teraz w pięści, ale na własnych kolanach, wdając się w niekończące rokowania. Nie było rady, do rozmów zabrał się też i jego szef Himmler, w poszukiwaniu jakiejś formuły kompromisowej. Udało mu się nakłonić Własowa do deklaracji „federacyjnej”, i ponadto do złożenia oświadczenia, że: „wszystkim narodom Rosji przysługiwać będą prawa samostanowienia”. Ale, uparł się Własow, dopiero po obaleniu Stalina. Do tego czasu: „nie priedrieszat”, nie przesądzać z góry. Ta formuła odrzucona została przez nie-Rosjan:

— Przeciwnie — twierdzili — należy przesądzić z góry, gdyż inaczej walka nie będzie miała sensu! — I choć nic nie wskazywało na zwycięski wynik tej walki, rozgorzał zacięty spór pomiędzy „niepriedrieszenstwem” i „priedrieszenstwem”.



W sporach tych nie wziął udziału człowiek do ostatniej jeszcze chwili uważany za najtęższą głowę w splocie „wschodnich koncepcji”. Milentij Zykov, były członek partii komunistycznej (bolszewików) i były dygnitarz sowiecki. On, autor (uważanego ongiś za najznakomitszy!) memoriału w sprawie obalenia dyktatury Stalina, on który już na początku kampanii desygnowany był w projektach wielu, na wypatrywanego „Sidorczuka”. Pomawiany o żydowskie pochodzenie, o marksistowskie odchylenie w redago-

wanej przez siebie i wydawanej w Dabendorf pod Berlinem, rosyjskiej gazecie „Zaria”...

SS-Standartenführer Gunther D'Alquen, podejmując swą kampanię propagandową na froncie galicyjskim, wytypował pierwotnie Zykowa, jako główne oparcie dla swej akcji. Zykow, po dłuższym namyśle, zgodził się jechać. Nazajutrz zdał redakcję najwierniejszemu ze swych współpracowników, Kowalczukowi i udał się z Dabendorf do Rüdersdorf-Kelberge, gdzie wynajmował małe mieszkanie.

Gospodyni powiedziała mu, że godzinę temu pytało o niego dwóch panów. Zykow wzruszył ramionami i zabrał się do pakowania rzeczy. O niego ciągle ktoś pytał, ciągle czegoś chciał.

— W cywilu? — zapytał pochylony nad walizką.

— W cywilu. Podać kolację?

— Proszę.

Ledwo zasiadł do stołu, przybiegł chłopiec z piekarni. Mieściła się ona w sąsiedztwie domu i miała telefon. Był to najbliższy telefon, z którego Zykow stale korzystał.

— Pana proszą w pilnej sprawie!

— Ojej — mruknęła gospodyni — ostygnie kolacja.

— Zaraz. Nie ostygnie. Za minutę wracam.

Wyszedł i... nie wrócił już nigdy.

Później, przygodni świadkowie opowiadali, że na ulicy poszedło do niego dwóch cywilów, jeden ogromny, szeroki w barach. Doszło do krótkiej wymiany zdań, i Zykow siadł z nimi do samochodu marki „Adler”, o numerach Wehrmachtu. To było wszystko.

Sledztwo nie dało wyników. Nigdy. Szeptano, iż byli to tajniacy z Gestapo. Że aresztowanie nastąpiło wskutek donosu o żydowskim pochodzeniu Zykowa. Czy też wskutek ustalenia, iż był on od początku agentem sowieckim. Były też inne wersje. Jedna z nich upierała się, że Zykow zamordowany został w nieznanym miejscu właśnie przez agentów sowieckich. Inna natomiast twierdziła, że przez spiskowców pewnej antybolszewickiej grupy rosyjskiej, która działalność Zykowa uważała za niebezpieczną dla przyszłości Rosji. Podobno miał on być od początku właściwym inspiratorem stawki nie na antykomunizm, lecz na „antystalinizm”. Na dowód czego powoływano się, z pominięciem naturalnie nazwiska, na pewną osobę cieszącą się zaufaniem w Ostministerium, której udało się ustalić, że ściśle tajny okólnik, jeszcze z 11 listopada 1942 roku, w rozdziale „F”, § 97, inspirowany był właśnie przez memoriał Zykowa; czy nawet wzywany był on w tej sprawie na konsultację, jako rzeczoznawca. Okólnik w tym punkcie brzmiał:

„Oberkommando der Wehrmacht, 1216/42 WFST/Op.

F... § 97: Ważne jest dla propagandy wykorzystanie przeciwieństw pomiędzy Stalinem i opozycją wewnątrz-partyjną, która zarzuca mu zdradę zasad „Leninizmu”. Należy więc podkreślać, że tylko Stalin winien jest wojny i wtrącił naród rosyjski w nieszczęście, a Niemcy chcą go uwolnić od stalinowskiego regime'u”. — Podpisano, szef OKW, Jodl.

Trudno było dojść, czy taka grupa rosyjska w rzeczywistości istnieje, czy tylko w bujnej fantazji zapiekłych wrogów kontrrewolucji. Twierdzono jednak, że ponoć istnieje taka grupa, dla której rewolucyjne skłonności ruchu Własowa są nie mniej odpychające niż dla Hitlera kontrrewolucyjne. Ludzie ci wierzą rzekomo mocno, że o powojennym porządku Europy decydować będzie stary antybolszewik: Winston Churchill.

Bo co do Własowa, nie ulegało wątpliwości, że stoi on na przeciwnym stanowisku. Znana była treść jego rozmowy z wybitnym przedstawicielem rosyjskiego NTS, Aleksandrem Stiepanowiczem Kazancewym:

— Gdybyśmy dziś nawiązali tajne rozmowy z Anglikami, to co możemy im powiedzieć? Że w Niemczech i pod okupacją niemiecką znajduje się tyle-to milionów rosyjskich antystalinowców, którzy gotowi są walczyć o wyzwolenie ojczyzny? Ależ to jest właśnie rzecz, o której oni najmniej pragną słyszeć... Niech pan mi wierzy, drogi Aleksandrze Stiepanowiczu, że ja wiem więcej, niż mi wiedzieć wolno. Oni wierzą w Stalina, wierzą w jego *régime*, w rzekomą ewolucję tego *régime*'u, wierzą we wszystko co im ludzie Stalina mówią. Przede wszystkim dlatego, bo chcą wierzyć, Aleksandrze Stiepanowiczu. Myślisz, że oni chcieliby obalić Stalina? Nonsens. Oni go uwielbiają, ci panowie na zachodzie. My dla nich jesteśmy tylko zdrajcy ojczyzny. A dla pana Churchilla zwłaszcza i przede wszystkim!



Były to dociekania bez znaczenia.

Zresztą za dużo wiedzieć, interesować się, obiektyzować, różniczkować, to nie jest rzecz bezpieczna w wojnach totalnych.

Wróćmy więc lepiej do znanych nam osobiście bohaterów opowieści.

LXXIII

Rozmawiali półgłosem.

— Co słyhać, pan pyta? — Uśmiechnął się patrząc w miękka

ziemię pod nogami. Bo obydwaj siedzieli na niskiej ławce w ogrodzie, obydwaj z pochylonymi głowami nad wydeptaną ścieżką. — Kto operuje walutą wieczności, ten nie zagląda do codziennej ceduły giełdowej. — Pokiwał zartobliwie głową.

Nie widzieli się lata. Henryk, „Gruby”, obecny „Orłowski”, i archimandryta Serafim. Od początku kampanii niemiecko-sowieckiej, od tamtej jesieni 1941 tak zwycięskiej dla Niemiec, aż do tej wiosny 1944, tak zwycięskiej dla Sowieców. I oto raptem, tego ranka zajeżdża w ogrodzenie HKP samochód z Rygi i wysiadają z niego dziwni podróżni: Egzarcha prawosławny na kraje bałtyckie, nominalny metropolita „Wileński i Litewski”, Sergiusz; a towarzyszą mu, archimandryta Serafim, oraz jakaś para małżeńska. Ich samochód ledwo się dowłókł do warsztatów reperacyjnych. Musieli prosić o odstawienie ich innym pod wskazane w mieście adresy. Wtedy to Serafim i Henryk dostrzegli siebie prawie jednocześnie. Serafim poprosił metropolitę o prawo pozostania na chwile. Zna Wilno i przyjdzie piechotą później. Chce tu porozmawiać z od lat nie widzianym przyjacielem, panem...

— Orłowski — przedstawił się dobitnie Henryk, pochylając z szacunkiem głowę przed dostojnikiem duchownym.

Metropolita zarysował w powietrzu nad tą głową znak błogosławiącego krzyża.

— ... Z panem Orłowskim — podchwycił Serafim.

Henryk rzucił niepilną robotę, wytarł przywykłym ruchem dłonie o kombinezon robotniczy i poszli do stojącej na uboczu ławeczki ogrodowej. Po drodze Serafim wyjaśnił, że metropolita Sergiusz ryski uzyskał pozwolenie na zorganizowanie w okresie wielkanocnym *tournée* śpiewaczego po cerkwiach. Chóry miejscowe, ale kierownictwo obejmują artyści opery moskiewskiej, owe małżeństwo, nazwisko Ridikulcew. Należeli oni do tej grupy artystów moskiewskich — wyjaśnił dalej — która jesienią roku 1941 wysłana została, aby koncertami podnosić na duchu robotników kopiących okopy wokół Moskwy. Przy pierwszej nadarżającej się okazji artyści uciekli na stronę niemiecką. Żona Ridikulcewa pracuje teraz w rosyjskiej gazecie wydawanej w Rydze, „Nowyj Put”. Bardzo pięknie śpiewają oboje. Urządzili już w ryskich cerkwiach takie pienia. Teraz w Wilnie. A zaraz potem jadą wszyscy razem do Kowna.

— Przysiądźmy tu — Henryk wskazał ławeczkę. I wtedy to zapytał: „Co słyszać”?

Pod stopami była ziemia kwietniowa, już nie błotnista, ale jeszcze nie wyschła, prężna, po której nogi stąpają elastycznie, jakby lubując się własnymi mięśniami. Poranek nadarzył się wyjątkowo słoneczny, bezwietrzny, cichy, ciepły. Czeremchy stały już

w białym puchu. W Ogrodzie Botanicznym za ich plecami wydierały się szpaki, jeden przez drugiego, mieszając swe głosy z beładnym świergotem wróbla na topolach ulicznych. Siedzieli przysłuchując się wiośnie.

— Cóż mogę więcej panu powiedzieć z tego co widziałem przez te lata.. Pan sam je widział. Mało, a może nic nie pozostało z wielkości śmierci. Ach, Boże, uwolnij nas od tego ponizenia.

— Taaak... Mnie się zdaje, że po prostu większość ludzi nastrojona jest niepoetycznie. Stąd i ta wojna taka: ziemista.

Szara wróbliczka porwała tuż przed nimi długie źdźbło słomy, i prędko, jakby ukradła coś cennego, trzepocząc poleciała budować gniazdo. Serafim podniósł wzrok i śledził czas jakiś śmiesznie w powietrzu zwisającą z dzioba słomkę.

— Myślę — podjął po chwili — że i moje westchnienie w tej chwili i wszystko co się dzieje, pochodzi z niezrozumienia sensu tego cierpienia jakie Bóg na nas nakłada. Przecież i Chrystus Pan wykrzyknął kiedyś: „Boże, Ojcze, czemuś mnie opuścił!” Ten krzyk rozpaczy tłumaczy trudność objęcia rozumem cierpienia ludzkiego nawet dla Syna Bożego, z chwilą gdy staje się człowiekiem. A cóż dopiero człowiek sam. Słyszałem, jak ktoś pomstował, że on nie może zrozumieć cierpienia dziecka żydowskiego „z woli Boga”!... Pewnie, że nie. Bo czyśmy zrozumieli kiedy naprawdę cierpienie Chrystusa, który sam był Synem, to znaczy dzieckiem Boga? Do głębi nigdyśmy nie zrozumieli. Więc skąd ta nagła „rewelacja”, ten nagły protest. Czy cierpienia na krzyżu były mniej straszne od cierpienia w komorze gazowej, albo na placu straceń?

— Mhm. Dziwnie, że mnie samemu przychodziło coś podobnego do głowy, raz, gdy widziałem jak pędzono dzieci żydowskie. Ale już nie potrafię sformułować tamtych myśli.

— Naturalnie, niedoskonałość ludzka — ciągnął Serafim nie słysząc słów Henryka — tłumaczy wiele. Bo co może być największym osiągnięciem człowieka? Wzbudzić w sobie taki stan miłości do wszystkich rzeczy stworzonych przez Boga, który nie oczekuje na odwzajemnienie. Ale czy taki stan jest osiągalny dla człowieka? Dlatego to prosimy Boga, aby raczył wybaczyć nas z naszego stanu ponizenia. Bo co innego możemy zrobić?

— Ale czy dużo o to prosi? — zapytał Henryk uśmiechając się kątem ust.

— Bądźmy szczerzy: nie dużo. — Nastąpiła chwila zamyślenia, i Henryk miał ją przerwać właśnie rozpytaniem o osobiste przeżycia archimandryty, gdy ten podjął:

— Ja widziałem sporo. Dotarłem daleko na wschód, najpierw jeszcze na Smoleńszczyźnie, a później już z Rygi, het za Psków,

pod Nowgorod... Dużo byłem z ludźmi. Nie, nie tego oczekiwałem.

— Jest gorzej?

— Ja bym nie powiedział: gorzej, czy lepiej. Inaczej. Cóż, religia dla nich. To nie Bóg, a znak. Owszem, gotowi są pod nim się gromadzić. Ale nie dla duszy, dla ciała. Znak krzyża, to dla nich w najlepszym wypadku taki haczyk, którym by chcieli zerwać znak sierpa-młota. Nie ma szczerej rozmowy. Nie ma chęci do rozmowy, jak się kiedyś mówiło: „od duszy”. Wszystko spłycało. Zmaterializowało. Nie tylko dawnej głębi, ale wyraźne unikanie głębi, uciekanie od głębi. Owszem, zewnętrzna strona ich nawet bawi, szczególnie starszych. Nabożeństwa, śpiewy, liturgia. Ale co to jest dla nich w porównaniu do sprawy rozwiązania kołchozu, odzyskania ziemi. Drobna muszka na ogonie jednej krowy, Bóg mi wybaczy to porównanie. A przecież ziemia Połocka, Pskowska, uchodzą jeszcze za najbardziej religijne.

— Czy tak, jednak, nie było zawsze!

— Było, owszem. Ale: inaczej. Ja jestem prawosławny, Rosjanin; pan jest katolik, Polak. A ja z panem mam sto razy więcej wspólnego, łącznego, niż z tamtymi prawosławnymi Rosjanami. Rozumie mnie pan, co chcę powiedzieć?

— Rozumiem.

— Zmienił się naród. Stał sowieckim człowiekiem. I nawet w swojej nienawiści do ustroju sowieckiego, podchodzi po sowiecku. Inna mentalność. To straszna zaraza. Ta wewnętrzna ewolucja, która zachodzi w człowieku. Gorsza od zewnętrznej rewolucji. Zgubi ona wszystkie narody, dokąd sięgnie władza komunistyczna.

— No, a Kościół, Cerkiew, co na to?

Staruszek — a postarzał się bardzo w ciągu tych lat — nisko pochylił głowę. Tak nisko się zgarbił, że nawet palcami zwisającej ręki sięgał ziemi jakby chciał dla siebie tylko wiadomego celu wypróbować jej wiosenną prężność. Ławeczka była nisko zbudowana. I osiadła już z wiekiem trochę. Tuż nad ziemią latał może pierwszy w tym roku komar, nie ośmielając się jeszcze brzęczeć. Zdmuchnął go powiew który niósł świeżość, z zapachem czegoś takiego, czym człowiek oddycha z przyjemnością.

— Pan wie — zaczął podnosząc głowę — że 7 maja zeszłego roku zamordowany został arcybiskup metropolita Aleksy. Gromadzki, było jego świeckie nazwisko. Głowa tak zwanej Ukraińskiej Autonomicznej Cerkwi. Popadł w ostrą konkurencję z tak zwaną Ukraińską Autokefálną Prawosławną Cerkwią.

— O co?

— „Autonomiczna” jest za federacyjnym rozwiązaniem. „Au-

tokefalna” bardziej nacjonalistyczno ukraińska. I hierarchowie obydwu Cerkwi obrzucają się wzajemnie oskarżeniami o „agenturę sowiecką”. Wobec wiernych, wobec episkopatu. Donosy piszą do Niemców. Nienawiść. Jechał autem drogą. Wyszli ludzie z lasu, zatrzymali auto, i zastrzelili i metropolitę i wszystkich jadących w aucie. Takie rzeczy. Czyż one mogą odbudować prawdziwe chrześcijaństwo w duszach ludzkich.

— A jak jest w waszym Egzarchacie?

— Hm... — Serafim wyprostował się, odgiął plecy, i mrużąc oczy przed słońcem, patrzył w nikąd. — Nie wypada mi krytykować. Nasz metropolita Sergiusz ryzyki... proszę nie mylić czasem z Sergiuszem moskiewskim... Więc może pan słyszał, że 4 września ubiegłego roku Stalin wezwał do siebie metropolitę Sergiusza moskiewskiego, a już 8 września odbył się tam Sobór, na którym zaledwie 18 biskupów prawosławnych „postanowiło” przywrócić Patriarchat, i tego Sergiusza, Starogorodzki jego nazwisko, obwołało patriarchą. W odpowiedzi zjechało do Wiednia ośmiu rosyjskich arcybiskupów zagranicą, którzy obradowali od 8 do 21 października. Przybył metropolita Anastazy, Serafim, metropolita berliński. I powzięli uchwałę, że Sobór moskiewski i wybór patriarchy jest przede wszystkim nie kanoniczny. Nie będę analizował. Mieli rację. Niekanoniczność jawna. I otóż nasz egzarcha, metropolita Sergiusz z Rygi, Woskresenskiej, formalnie uznający jurysdykcję moskiewską, nie wziął udziału, i nie przyłączył się do tego protestu.

— Jakże to? Przecież mówią, że on najostrzej występuje przeciwko Sowiетom.

— Owszem, owszem. Poszedł daleko. Może nawet trochę za daleko... Ale, widzi pan, ma on swoje pewne względy, których krytykować nie będę. Nie lubi on bardzo metropolity berlińskiego. Żarzuca mu, że jest monarchistą, a wie że jest obłożony klątwą przez Moskwę. Ale znowuż, gdyby sam otwarcie zerwał z jurysdykcją moskiewską, to bałtycki jego egzarchat okazałby się też nie kanoniczny, bo przecież istnieje z nominacji Moskwy. Więc nasz Sergiusz zaproponował co innego: nie oprotestowywać wyboru patriarchy, a wykazać słabość władzy sowieckiej, i jej wewnętrznej ewolucję pod naciskiem mas wiernych, skoro zmuszona jest ta władza uciekać się już do pomocy Cerkwi. Dnia 30 listopada ubiegłego roku ogłosił to własne stanowisko. Ja w nie nie wchodzę. To nie jest walka o duszę ludzką. To jest walka o władzę kościelną. To jest lawiracja wokół spraw świeckich. Więc widzi pan. A czy wasz papież, Pius XII, zajął jednoznaczne stanowisko?

— Nie mogę powiedzieć. Nie uświadomiony jestem.

— Więc jakże tu iść między ludzi ze słowami: „Błogosławieni pokornego serca, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie”.

— Właściwie... — zaczął Henryk i urwał. Chciał zażartować, że Kościół chrześcijański, skoro wykazuje trwałą tendencję dopasowania do warunków zewnętrznych, powinien właściwie już dawno zmienić nazwę „Królestwo Niebieskie” na „Republika Niebieska”... Ale odczuł raptowną niechęć do żartów. — Chciałem powiedzieć, że życie może zmieniać wiarę.

— Tego nie wolno mówić, panie Henryku. Nie można zestawiać tych dwóch rzeczy: życia i wiary. Gdyż życie obraca się w czasie, a wiara w wieczności. Czas jest wymierny i zrozumiały. Wieczność niewymierna.

— A czy wiara nie jest tylko próbą interpretacji?

— Nie, interpretacja jest szukaniem prawdy, a nie prawdą samą w sobie. I źle jest na ziemi, i właśnie boleję nad tym, gdy jej władcy nie tylko świeccy, ale i duchowni, chcą prawdę zastąpić interpretacją. Całą prawdę zna tylko Bóg. I tu leży głęboka, przepraszam, niesłuszność katolickiego dogmatu o nieomyślności papieża w sprawach wiary. Nieomyślne może być tylko to, co zostało objawione przez Chrystusa Pana i Jego apostołów.

Henryk ziewnął szeroko, i zaraz przeprosił, tłumacząc że nie spał w nocy. Ale że nie chciał okazać braku zainteresowania i zdawał sobie sprawę, że tłumaczenie jest zdawkowe, przez grzeczność zapytał:

— Laik jestem. Proszę mi nie brać za złe pytania, które mnie czasem nachodzi. Chrześcijańska nauka każe wierzyć, że jest Bóg i jest diabeł, szatan. Ale czy nie może być tak, że Bóg jest, ale diabła nie ma? Bo czy Bóg może być z takich, żeby stworzyć coś takiego jak diabeł?

— Nie zapomnijmy, że wszyscy ludzie i święci i wielcy męczennicy, i Herod i Judasz, stworzeni zostali na obraz i podobieństwo Boga.

— Słyszałem. Ale nie na podobieństwo diabła. Tego przecie nigdzie nie powiedziano.

— Podobieństwo to przyjmują z własnej, danej im wolnej woli. I to jest, według mnie: szatan. Ale to też moje tylko osobista interpretacja.

— Być może — przytaknął Henryk z roztargnieniem, i spojrzął w kierunku warsztatów. — Będę musiał wracać do pracy. A wy kiedy macie wyjeżdżać do Kowna?

— Myślę, że za kilka dni. Mamy stąd otrzymać auto. Czy spotkamy się jeszcze?

— Naturalnie — Henryk zamyślił się nad czymś i dopowie-

dział: — Może uda mi się tak załatwić, że sam poszoferuję was do Kowna.

I na tym skończyło się ich pierwsze, po trzech latach, spotkanie.

LXXIV

Drugie spotkanie z achimandrytą Serafimem miało przebieg jeszcze krótszy. Henryk poszedł w niedzielę do cerkwi św. Ducha umyślnie, aby posłuchać występu Ridikulcewych i chóralnego pienia. Namawiał nawet Halinę, ale ta miała tego dnia ważne spotkanie. Jedną z jej znajomych, wtajemniczona w sprawy tajnych kursów dla dzieci, poinformowała ją pod największym sekretem, że najlepiej jest ulokować dzieci w niezbyt odległym od miasta Niemenczynie, gdzie takie kursy prowadzi pewna nauczycielka, w sposób niezmiernie zręczny. Jest ona sama uciekinierką z Warszawy. Mają tam panować podobno wyjątkowe stosunki, w tym Niemenczynie. Komendantem niemieckim jest pół-Polak z Poznania; komendantem litewskiej policji, też pół-Polak z Kiejdan. Obaj bywają u księdza proboszcza na herbatce...

— Może od razu z nią pojedę nawet tam. Zobaczę. To nie daleko. Dzieci nie mogą zostawać bez nauki. Przyznasz chyba.

Henryk przyznał kiwnięciem głowy i poszedł do cerkwi sam.

Po skończonym nabożeństwie zaczął na Serafima w obszernym podwórzu klasztorным. Pogadali, przypomnieli sobie pierwszą podróż do Mińska sprzed laty i towarzyszące jej okoliczności.

— A co z tym Panisienko starym? — zapytał Henryk. — Za adres wówczas muszę podziękować. Przydał się.

— Doszły mnie słuchy, że jakoby Niemcy go aresztowali, czy nawet rozstrzelali niedawno. A za co, nie wiem.

— Tak? Nie słyszałem. U niego wtedy pojawił się syn z Moskwy.

— Tak? Nie słyszałem. I co z nim?

Właściwie nie mieli sobie nic ważnego do powiedzenia. Rozmowę przerwał metropolita, który wychodząc z świątyni kiwnął na Serafima. Henryk dowiedział się jeszcze, że wyjeżdżają do Kowna 29 kwietnia.

Halina wróciła do domu przed wieczorem.

— No i co? — zapytał.

— Owszem. Wszystko tak, jak ta opowiadała. Ale musia-

łabym ulokować dzieci u obcych... Boję się z nimi rozstawać.

— To po co jeździłaś?

— Czy ja wiem... Jak się one sprawowały? Lydia potrafi już sama prowadzić gospodarstwo domowe, prawda?

Henryk przytaknął kiwnięciem głowy.

Dnia 28 kwietnia było już wszystko załatwione. A nazajutrz pocałował Halinę w policzek, który mu podstawiła, powiedział: „Do widzenia dzieci”, i zakomunikował, że jedzie do Kowna, wróci może jutro.

— Uważaj na siebie.

— Będę.

Jednocześnie z nim wchodził do bramy parku samochodowego postawny Zahlmeister z nieokreślonej formacji. Henryk nie zwróciłby na niego uwagi, gdyby Staś Sakowicz nie mruknął:

— Widziałeś tego?

— No i co?

— Niiic... Tak — i pociągnął nosem jakby coś wietrzył w powietrzu.

Zaden z nich nie znał tego Zahlmeistera. Tyle że Stasiowi rzucił się w oczy jego „słowiański kosmyk blond włosów”... On miał bardzo bystre oczy, Staś. Jeszcze mama jego zwykła była mówić, gdy był mały: „Staś to bardzo bystry chłopczyk”.

— Ty do czego się przywacchujesz? — spytał Henryk.

— Wiosna. Grzybami pachnie.

Henryk się roześmiał.

Zahlmeister otrzymał starego „Mercedesa” i wyjechał.

Henryk był w dobrym humorze. Wczoraj powrócił Sarnecki (prawdziwe nazwisko: Świryn) z „urządzonej” przez Henryka afery przemytniczej. Kilka cetnarów solonej słoniny z Wilkomiernia. Zarobek był znaczny. Do spółki zapłacili Topitschowi trzecią część zysków.

— Kosztuje nas, ten Niemiec — powiedział Sarnecki i poszedł spać do kantyny.

Henryk zabrał się do przeglądu maszyny, którą miał prowadzić do Kowna. Staś Sakowicz ubolewał, że go do afery wilkomiernskiej nie dopuszczono.

— A ty skądżeś się dowiedział?

— Trafiliś na kogoś, który by nie wiedział.

Henryk odginając plecy znad odrzuconej maski samochodowej, przeciągnął ramiona i nagle przypomniał sobie:

— Staś, czy to nie krewniaka twojego ubili wtedy, pod Lidą. W Bastunach, czy Woronowie? Juliana Sakowicza, tego

szefa policji białoruskiej w Mińsku. Ja go znałem, pies mu mordę lizał.

— Krewniaka.

— Co ty mówisz?!

— No tak. On był... Poczekaj: mojej matki stryjeczny...

— Chyba ojca. Bo jakże nazwisko to samo?

— A żebyś wiedział, że moja matka była sama Sakowiczówna z domu i wyszła za Sakowicza.

— Rzeczywiście splot. Ech, słońca by się przydało więcej w naszym kraju, ciągle chmurno. Krewniaka, mówisz? Ech! Jak to powiadał Mickiewicz: „O roku ów! Kto ciebie widział w naszym kraju...”

— I Mickiewicz też dobrze łągał. Wcale i wtedy, jak czytałem, nie było takiej jedności w 1812 roku na naszej Litwie, jak to opisywał.

— O roku 1944... Czy może być coś bardziej zasranego.

— Ej! Orłowski! — okrzyknął go ktoś w tej chwili.

Dosłownie na kwadrans przed wyruszeniem po metropolite i jego grupę, która czekała na maszynę do Kowna, wpadł do warsztatów nieznajomy facet w okularach.

— Orłowski?

— Ja jestem.

Był dzień bezsłoneczny, ale pogodny. Niebo odbiło się w szklach okularów.

— Rzodkiewka czerwona?

— Nie, biała. Ale dostrzec, że okulary lipowe.

— Natychmiast — zbliżył twarz do szeptu — podjedzie ładowana sanitarka. Człowiek wysiądzie. Wy macie prowadzić dalej.

— Niemożliwe. Ja wyjeżdżam do Kowna.

— Mowy nie ma! Musi być załatwione, i pan prowadzi. Rozkaz. Papiery wygotowane. Miejsce spotkania przy Konarskiego 2. Stamtąd marszruta i glejt.

— A Topitsch?

— Załatwiony z nadatkiem.

— Dokąd pójdzie?

— Nie wiem... Może do Puszczy. Nie wiem.

— Zaczekajcie. — Henryk rozglądnął się za Sakowiczem. Zobaczył go i podszedł. — Staś! Chcesz jechać do Kowna? Ale zaraz?

— Prawie.

— Waliaj! Zamiast mnie. Ja załatwię. — Wrócił, i mruknął do okularnika: — Stoi.

Zbudził Włodzia Sarneckiego i zabrał ze sobą.

W kilka godzin później wjeżdżali w Puszcę Rudnicką. Nie szosą przez Połuknię, lecz starym traktem na Sorok Tatory, jezioro Popiskie, Rudniki. Wieźli broń dla „Szczerbca”. Spotkanie na czterdziestym kilometrze, przed Wisinczą.

Słońce jednak wylazło w końcu i zaczęło przygrzewać. Z drzew płynął świergot ptaków tak bezstroski, jakby one lepiej od ludzi wiedziały po co, w jakim celu Bóg stworzył im ich ojczyznę w drzewach i rojstach.

Sarnecki był niewyspany, czy tylko dumął o czymś swoim. Zdawał się nie słyszeć śpiewu ptaków, zagłuszanych przez motor, ale i nie widzieć dywanami rozrzuconych białych i niebieskich płachci przelaszczek, pierwiosnków w podmokłym lesie. Jak śmiałym kolorem przebijały one zeszłoroczne listowie, zbutwiałe igliwie i całą tę resztę niechlujnej rdzy, zostawionej na ziemi przez ostatnią jesień. Już zieleniły się pędy krzaków, listeczki gdzieniegdzie, trawa, mchy. Jeszcze nie dawały puszczy ogólnej tonacji, ale niewątpliwie zapowiadały wiosenną modę.

— W takim lesie — mruknął Henryk — żyć by spokojnie i nie strzelać nawet do wiewiórek.

— Ty, to mówisz.

— Ja.

Po przejechaniu mostu na Mereczance, spytał Sarnecki:

— Tyś słyszał, że Niemcy aresztowali i wypuścili dowódcę naszej piątej brygady, „Łupaszkę”?

— Słyszałem.

— „Kruka” i jeszcze kogoś.

— Mhm.

— Ach, bojowy. Swój człowiek.

— Kto?

— „Łupaszko”. Znam jego. Służyłem. Zygmunt Szendzielarz. To rotmistrz 4-go pułku ułanów. Pierwsza klasa człowiek. — I po dłuższej chwili, gdy Henryk się nie odezwał, dodał: — Dawał że on wycisk sowieciarzom, nie raz a siedem razy! Już on to na pewno nie pójdzie im się kłaniać.

— Czy jest rozkaz im się kłaniać?

— Gówno jest, ot co. Chciałbym się do niego przedostać...

Zamyślił się. Naturalnie, że motor głośny śpiew ptaków. Każdy zofer o tym wie.

— Ty myślisz — nie wychodząc z zamyślenia, spytał Sarnecki — że on był rzeczywiście aresztowany, czy to lipa tylko taka?

— Nie wiem, Włodziu — odpowiedział niechętnie Henryk. — Kto może wiedzieć. Dwie, trzy osoby. A językiem plaska pięć tysięcy.

— Wszystko jedno chcę do niego przejść... — powtórzył Sar-

necki, tym razem z widocznym zamiarem usłyszenia opinii Henryka. Ale Henryk zajęty był prowadzeniem i powstrzymał się od wypowiedzenia opinii.

W miejscu gdzie trakt płaski, równy, zarosnięty niejeżdżoną darnią, szeroko rozpiął się w lesie, na pół drogi między Rudnikami i Wisiniczą, wyspała się tyraliera partyzantki. Henryk przyhamował sanitarkę. Wychylił się z szoferki. Naprzeciw szedł dziarsko młody oficer w polskiej polówce, ze znakiem Orła z koroną. Wymienili hasła.

Powrót miał nieprzyjemny. Drażniło go to, że Sarnecki znikł i, nie uprzedzając go, postanowił nie wracać. Widocznie jednak naprawdę umyślił przedostać się do „Łupaszki”. Ale, zdaje się, on teraz nie w tej stronie.

— No i pies mu mordę lizał — powiedział do ludzi. — Nie będę czekał, jeżeli znikł. Może do Druskienik na dziewczynki skoczył.

— He, he, he... A tam są?

— Nie wiem. Nie czytałem ostatniej „Niepodległości”.

— He, he, he...

Wrócił sam, nie doznawszy żadnej przygody po drodze.



O godzinie drugiej po południu tegoż dnia, 29 kwietnia, na innym trakcie, z Wilna do Kowna, gdy minęli miejscowość Zawiasy, zajechał i stanął im w poprzek drogi niemiecki „Mercedes”. Staś Sakowicz zahamował gwałtownie. Z maszyny wyskoczyło pięciu ludzi w mundurach niemieckich i ustawiło się szeregiem z automatami gotowymi do strzału.

— Dokumenty! — krzyknął Zahlmeister, który zbliżał się jakoś bokiem do ich samochodu. Staś poznał go od razu.

Wszyscy poruszyli się w aucie, szukając i dobywając dokumenty z kieszeni...

Raptem, nie czekając aż je przedłożą, tamci na drodze dali długą salwę z automatów, zabijając na miejscu egzarchę bałtyckiego jurysdykcji moskiewskiej, metropolitę Sergiusza, archimandrytę Serafima, śpiewaka opery moskiewskiej Ridikulcewa, jego żonę i szofera, Stasia Sakowicza.

Podziurawiono na sito samochód i leżące w nim trupy, pozostawiono na trakcie. Mercedes odjechał. Później już, po śladach opon stwierdzono, iż był to ten sam, rano wzięty z HKP.

Trzeciego dnia pojawiło się kilka wersji. Twierdzono, że „lik-

widacja” dokonana została na rozkaz Gestapo, za odmowę Sergiusza wzięcia udziału w zjeździe protestacyjnym w Wiedniu, przeciwko wyborowi patriarchy w Moskwie. Ze sfer białoruskich poszła pogłoska, że to „robota Polaków”. Inni twierdzili, że typowa „robota” agentów sowieckich. Czwarci, że to wewnętrzno-prawosławno-rosyjskie porachunki.

Mówiono nie głośno, i trzeba przyznać, bez przekonania i bez większego zainteresowania. Przygodny świadek, który widział przebieg zajścia, nie mógł nic więcej powiedzieć, ponad to co widział.

LXXV

Warszawa zrobiła na Antonie Panisienko ogromne wrażenie. Nie spodziewał się tego. Było to drugie wielkie miasto „kapitalistyczne”, które oglądał w życiu. Naturalnie brał pod uwagę to co mu mówiono na każdym kroku: „Ba, żeby pan widział przed wojną...” i w Berlinie, i później w Warszawie. O ile jednak Berlin, mimo swego ogromu i zewnętrznej wystawności w porównaniu do miast sowieckich, wydał mu się skamieniały w przepisach wojennych, o tyle Warszawa pulsująca tętnem na przekór wszelkim rygorom. Przyjechał w południe i został oszołomiony już przy wyjściu z dworca.

— Papierosy polskie, angielskie, amerykańskie, greckie, bułgarskieeee!... — Przesunął się koło niego mały chłopiec. — Papierooooo!...

— Cytryny, pomarańcze włoskie, hiszpańskie — szepnęła mu ktoś do ucha.

— Papierooo!... bułgarskie, francuskie...

Ruszył niepewnym krokiem i zobaczył kobietę sprzedającą w koszyku żywe żółwie. Dalej drugą, sprzedającą białe pieczywo i ciastka. Nie mógł naturalnie ustalić, że stanowiska ich obrane były pod kątem strategicznego odwrotu, w każdej chwili w bezpieczne ukrycie. Jego ociągający się chód i rozproszony wzrok zwrócił uwagę wesołego pana w kapeluszu na bakier. Zatoczył on przed Antonem szeroko ramieniem:

— I za to wszystko... kara śmierci!...

— Którędy mnie na ulicę Zgoda?

— He, he, he, he... Jak Kazię kocham! — wiało od niego odorem alkoholu. Przeszedł chwiejnym krokiem bez odpowiedzi. Zdziwił prowincjusza wojny, i był z siebie zadowolony.

Na rogu ulicy zapytał jednego ze stojących, trzykołowych rowerzystów. Ten odpowiedział:

— Siadaj pan, za „górala”...

Nie wiedział co to znaczy. Ostrożnie, skupiony poszedł chodnikiem, odzykując pewność przy zlanu się z tłumem. To znał. Tego się uczył instynktownie przez całe życie. Powoli wybierał oczami twarze i zapytał wreszcie przechodnia, który mu się wydał godny zaufania. Przechodzień pokazał uprzejmie, powiedział że nie daleko: przejść główną ulicę, dalej wprost i na lewo. — Ale Panisienko poszedł nie tą co trzeba ulicą na lewo. Od przecięcia Brackiej i Chmielnej poszedł Szpitalną. I raptem poczuł, że coś się dzieje w wokół niego, czego nie może jakoś zrozumieć: mniej więcej w równych odstępach, na chodniku, po obu stronach ulicy, stali, a raczej czynili po kilka kroków w tę i wewtę, mężczyźni dobrze ubrani, którzy monotonnym jak mużułmańskie wersety półgłosem, mówili w przestrzeń do nikogo:

— Kupię, kupię, kupię, kupię... Kupię, kupię, kupię, kupię... Kupię, kupię kupię... — Szedł tym szpalerem, zatrzymał się, spojrział na przechodniów... Ale oni omijali obojętnie ten szept, jakby był pluskiem kropel spadających z dachu. Chciał się odwrócić, znowu zapytać o drogę, gdy raptem wszystko się zmieniło! Szept znikł. Panowie znikli. Chodniki się prawie wyludniły. Od widniejącego wylotu placu szła „sztrajfa” niemieckiej policji z bronią na łokciu, w hełmach, powoli, krokiem rutyny. Anton zatrzymał się przed witryną sklepu z zabawkami. Była tam po środku kolej z blaszanych wagonów i zieloną lokomotywą, także samochody przestarzałych typów, patrzące mu w oczy lalki, niedźwiedzie pluszowe z czarnymi punktami źrenic, pudełka gier i tyle innych rzeczy, które się odkrywa dopiero stopniowo, gdy się dłużej stoi przed witryną z zabawkami.

Buty policjantów zbliżały się za jego plecami, zrównały z nim. Ten co szedł po chodniku, stanął obok Antona. W odbiciu szyby widział niskiego, na trochę pałakowatych nogach, o twarzy spłaszczonej hełmem; starszy już facet, z dużym zadem. Anton miał papiery w porządku. Chyba, że od razu odkryją, że lipne... Serce mu biło. Buty tamtych oddalały się. Ten jeden stał wciąż, ale nie pytał o papiery. Zapatrzył się w świat zabawek dzieciennych. Może dobierał w myślach dla syna-córki... Może dla wnuczki już. Może myślami zabiegł tak daleko od pełnionej przez niego służby... Ocknął się dopiero, gdy lufą „Schmeissera”, zbliżywszy się z nadto do okna, stuknął o szybę. Obejrzał gwałtownie, dostrzegł oddalający się łańcuch towarzyszy i, ze strachu śpiesząc, doganiał wywijając swe trochę pałakowate nogi. Wyglądał z tyłu jak krab. — Anton odwrócił głowę od zabawek i miał przed sobą

znów odmienioną ulicę. — „Czy był cichy gwizd?” Nie słyszał. Jakby z wnętrza chodników wychynęły te same postacie i tuż biegł szept: „kupię, kupię, kupię...” Przechodnie ruszyli w swoich sprawach.

W istocie było stąd „trzy kroki”, jak mu znowuż ktoś objaśnił. Anton poszedł we wskazanym kierunku, rozglądał się na jasnej przecznicy, chciał przejść na drugą stronę, gdy raptem porwany został paniką biegnących w rozsypkę ludzi. Ledwo zdążył uskoczyć za innymi do bramy, gdy już zbliżało się straszne wycie syreny: dwie ciężarówki wypełnione niemiecką policją w hełmach, najeżone automatami, przeleciały z rykiem jak zjawy dnia powszedniego i znikły za zakrętem.

Tak przyjeła go Warszawa, nim doszedł z dworca głównego na Zgodę 6.

Dom w rzędzie, ale cofnięty trochę, przy ślepym murze sąsiedniego, chodnik do drzwi; na prawo obramowany sztachetami trawniczek. Schody drewniane, pierwsze piętro. Zadzwoił.

— Chciałem pana Botlarewskiego.

— We własnej osobie.

— Czy tu jest do sprzedania dywan afganistański?

— Afgański. Proszę wejść.

Anton Panisienko zaczął od opowiadania. Mówił płynnie, lekko w krzesle pochyłony naprzód. Ośmielony przez Rogożina, nie ukrywał niczego. Mówił z przekonaniem. Obydwaj bracia Botlarewscy, jeden za biurkiem, drugi z boku w fotelu, słuchali go w milczeniu i uważnie. Raz Eugeniusz poprawił za uszami okulary w złotej oprawie, jakiej dziś nikt nie nosił. Teodor, z włosom strzyżonym na jeża, o małych, świdrujących oczach, nie spuszczał ich z Antona. On też pierwszy przerwał:

— A Sowiety zwyciężają, zbliżają się?

— Zbliżają — przytaknął zaskoczony tą wstawką Anton.

— No to po co jego bronić, tego świata kapitalistycznego?

— W małych oczkach błysnęła wyraźna drwina.

Panisienko został zbity z pantałyku. Eugeniusz raz jeszcze poprawił okulary w złotej oprawie, uśmiechnął się z dyskretną ironią. Wstał i opuścił pokój. Teraz dopiero Anton odczuł, że przyjęcie jakiego doznał, od początku było raczej zimne i nader powściągliwe. O Rogożina nikt z nich nawet nie zapytał.

— Ja panu powiem, młody człowieku. — Teodor po wyjściu brata, oparł się o biurko bokiem, kładąc na nim łokieć. — To wszystko nas nie interesuje. Interesują rzeczy inne. Realniejsze. Chodzi o co innego. Tu — wskazał oczami za okno — idzie gra nie na słowa. I tu nikogo nie będą interesować pana wywody.

A od siebie radzę wstrzymać się nawet z ich wygłaszaniem w miarę możliwości. — Oczy jego zwięźliły się teraz w dwie szpary. — Bo tu z kolaborantami nie robią żartów. Pan mnie rozumie? Nie wiem, jak tam teraz Rogożyn — było coś lekceważącego w rzuceniu tego nazwiska — ale myśmy przeszli, że się tak wyrażę, na wewnętrzną linię... Rzeczy ułożyły się inaczej, niż to się zdawało w roku 1941. Tak, skoro już pan „spalony”, to niech się prześpi na tej kanapce dziś, jutro. Zresztą ani ja, ani brat, polityką się nie interesujemy — wtrącił nagle ostrożnie. — Tak sobie przeżywamy, dzień po dniu. Nasza chata skraju. Może się coś dla pana znajdzie. Może zechce pana poznać ktoś. Po polsku pan przecie mówi? Na razie przedstawię pana memu zięciowi.

Po wszystkich dotychczasowych doświadczeniach ta ostatnia audyencja stanowiła jakby ostatni zarazem rozdział wojennych lat rozterki, sceptycyzmu, nagłych zrywów, poszukiwań. Coś zgasło w Antonie. Poczul się niewymownie zmęczony podróżą. Bywają stany błogiej obojętności, które nachodzą jak stan błogiej gorączki chorobowej. — „Pluń na wszystko, Anton! Niczego nie zmienisz”. — Mieszkanko było ciasne, czy może się takie wydawało ze względu na dużą ilość ludzi, którzy nie wiedzieć, czy w nim mieszkali, czy tylko przychodzili i wychodzili. Trochę zalatywało naftaliną. Nie zaglądał do dalszych pokoi. Wiedział, że zięć, Wiszniewski, miał wspaniałe zielniki, ale ich nie oglądał. Dyskusji nie prowadzono. Nie było widać czasu na nią.

Co mu się najbardziej jednak rzuciło w oczy w tej walce całego miasta z okupantem niemieckim, to odwrócenie sytuacji w porównaniu z tym co znał dotychczas. Nie było przesiąkania, lecz niemal idealna linia rozgraniczająca walczący naród od okupanta. Dla niego, człowieka wzrosłego w ustroju sowieckim, stanowiło to prawdziwą rewelację. Po prostu każdy Polak na bruku ulicznym był „swój”, każdy Niemiec był „wróg”, jak coś w naturze rzeczy oczywistego. Naturalnie, zdawał sobie sprawę, i słyszał zresztą, że zdarzają się jakieś wtyczki, agenci niemieccy, że muszą być i szpicle i zdrajcy, jak bywa w każdym zbiorowisku ludzkim. Ale nie oni reprezentowali „czujność” i postrach panujących władz, lecz wręcz odwrotnie: sami wystawieni byli na czujność i kontrterror walczących z władzą mas. Było coś imponującego w tej solidarności, w tym spontanicznym, zdyscyplinowanym kolektywie oddolnym, w którym zetknął się po raz pierwszy, on, który znał dotychczas jedynie kolektyw narzucony odgórnie. Może dlatego czuł się nie tylko wytracony z konceptu, ale tym bardziej wyobcowany ze swoją inaczej-myślącą osobowością; przytłoczony

siłą tego środowiska, które bez słowa zastanowienia posłuszne było nakazom jedynej walki z okupantem niemieckim.

Raz, w sklepiku za Placem Krasińskich, kupował wełniane skarpetki z wolnej ręki, jak wszystko w Warszawie, i wyraził grzeczny podziw dla różnaitości towaru.

— A pan skąd przyjechał? — zapytał sklepikarz.

— Spod bolszewików. Tam nie ma nic.

— Pan tu nam bolszewikami głowy nie zawracaj! — Rzucił tamten wybrane już skarpetki na ladę. — My tu mamy swoich „bolszewików”! Pan wie!

Obecni w sklepie ponuro spoglądali na tego klienta z innej planety. Wyszedł jak zmyty.

Już po kilku dniach rozgryzł tajemnice i zwyczaje warszawskiego życia ulicznego. Tymczasem w mieszkaniu przy Zgoda 6 czuł się właściwie na łaskawym chlebie, a więc źle. Dlatego chciał się koniecznie okazać pożyteczny, już po prostu w sensie zarobkowym. Teodor rzadko bywał w domu. Domyśleć się można, że obrabiał interesy na czarnym rynku, ale Antona dotychczas do spółki nie zapraszał.

Któregoś przedpołudnia zajrzał doń zięć, jak zawsze mile uśmiechnięty Wiszniewski, w towarzystwie młodego człowieka, który pozornie serdecznie uściskał dłoń Antona.

— Poznajcie się panowie — powiedział Wiszniewski i zaraz wyszedł z pokoju.

Młody człowiek przysiadł na rogu stołu i, z życzliwym uśmiechem, machając zwieszoną nogą, zapytał wprost:

— Chciałby pan trochę popracować?

Oczywiście, Anton tylko tego pragnął.

Wtedy tamten wyjaśnił, że chodzi o możliwie dokładne rozpracowanie wszystkich „wschodnich” oddziałów stacjonujących w Warszawie, w okolicy, jeżeli się da, w „guberni”, ale też na zapleczu frontu niemieckiego, cofającego się na kierunek Wisły. — „Mamy, powiedział, dane względnie dokładne. Ale chodziłoby ponad to o szczegóły. Nie tylko co do dyslokacji i stanu liczebnego, ale nawet jeżeli się da, personalnego dowódców, nastrojów i tak dalej. Ewentualne wyznaczenie nowych kierunków, słowem co się uda. Pan, jako Rosjanin, mówił, będzie miał naturalnie więcej możliwości...” — Był przy tym tak uprzejmy, iż uwzględnił przeszłość Antona, o której był dość dobrze poinformowany, i ubrał swe słowa w grzeczną formę, że, oczywiście, rozumie iż bardzo dużo z tych ludzi poszło przecie w najlepszej wierze i chęciach... Może z niektórymi dałoby się nawet porozmawiać...

Na wszystkie rozjazdy, wydatki i tak dalej, wręczył Antonowi, „na początek”, jak powiedział, 200 dolarów w „młynarkach”

okupacyjnych po kursie 220 złotych za dolar, czyli 44 tysiące. Za tydzień, dwa, trzy, spodziewa się wyników.

— Gdzie mam je dostarczyć?

— Tak jak teraz. Tylko mnie osobiście. Zwyczajnie. Zapyta pan po powrocie pana Wiszniewskiego, czy pana Teodora, no, po prostu, powiedzmy o: „Stanisława”. A teraz mała wskazówka. Początek radziłbym panu zrobić prosty. Stąd o trzy kroki, przy ulicy Górskiego, stoi sztab 3-go pułku kozaków. Tam, zdaje się, jeden z oficerów lubi zresztą trochę popijać. A dalej pan zobaczy. Robota, jak pan widzi, czysto orientacyjna.

Anton poszedł na ulicę Górskiego, i najpierw rozmawiał z babą, która w bramie sprzedawała białe bułki. Była starą warszawianką, ale z urodzenia Rosjanką i obrała sobie ten punkt sprzedaży, gdyż dowiedziała się, że w domu stoją Rosjanie: „W handlu język rzecz ważna”. — Panisienko kupił bułkę. I dopiero później zdał sobie sprawę, że zaczął działać właściwie w kierunku odwrotnym od tego, jaki przyświecał mu niejasno, gdy jesienią roku 1941 opuszczał Moskwę.

LXXVI

— Ja postępuję z wiekiem — mówił sotnik kozacki Siłamikiel, Borys Mikołajewicz. — Jest rok czterdziesty czwarty, i ja mam lat czterdzieści cztery. Będzie pięćdziesiąty piąty i ja będę miał pięćdziesiąt pięć. Choć czort wie, czy nie pod ziemią. W każdym razie to nazywa się być człowiekiem dwudziestego wieku.

Anton zaprzyjaźnił się z nim tegoż wieczora. Był to taki sam przypadek, jak pierwszy lepszy z brzegu. Bo żadnego planu jeszcze nie wymyślił. I plan zresztą był od początku naiwny. Gdyż pochodzenie i język rosyjski nie były żadnym wprowadzeniem. Każdy agent sowiecki mówi po rosyjsku. Trzeba było coś ułożyć rozumnego. Anton powiedział naiwną historię: Zgodnie z prawdą, że pochodzi z Mińska; jest antykomunistą; że bolszewicy się zbliżają. Nazywa się Aleksander Ławrentjewicz Grubienko. Dawno chciał się włączyć do walki antysowieckiej, ale na Białorusi nie mógł. Dlaczego? Dlatego, że na Białorusi każdego antybolszewika pakują od razu do jakichś białoruskich formacji narodowych. A jakiz z niego tam „Białorusin”! Z Niemcami nie można przecie gadać.

— No tak — przytaknął Siłamikiel — nie można z nimi ga-

dać. To niemożliwe byłoby. Ale kto w dzisiejszym czasie nie jest byłoby? A? Aleksandrze Ławrentiewiczu, powiedz.

— Wszyscy.

— To samo ja mówię.

Tak się zaczęła znajomość. Ale zawdzięczając tylko przypadkowemu zbiegowi okoliczności. Gdyż istotą, wokół której obracały się okoliczności była Dorota. Naprawdę śliczna kobieta.

Przy ulicy Górskiego znajdowała się w półsuterynie nieduża knajpa. Tam zaszedł Anton, by wypić kieliszek wódki i zebrać myśli. I tam wszedł sotnik, jak od wielu dni wchodził już codziennie. Dla niego było ważne nawiązać rozmowę przy bufecie, zawrzeć znajomość, usiąść przy stoliku i znaleźć pretekst, aby nie siedząc samemu, przesiedzieć jak najdłużej w tej knajpie. Anton spodobał mu się, bo był greczny w obejściu i dyskretny. — „Moi koledzy, mówił już wkrótce Siłamikiel, to straszne chamy. Z żadnym tutaj nie przyjdę”. — A rzecz miała się tak: Mimo swoich czterdziestu czterech lat, przeżyć w Sowdepie, służby w białej armii, tułaczki emigracyjnej... Słowem choć sotnik przeszedł, jak powiedział: „przez ogień, wodę i miedziane trąby”, i skromnie miał przyproszone siwizną, a sam stał się raczej korpułentny już, niż szczupły, „bez pamięci” zakochał się w Dorocie.

Dorota była śliczna. Młoda, ani za gruba ani za cienka; nogi idealne, włosy ciemnoblonde, oczy czut' pod chaber... Twarz, cera, wszystko w niej było śliczne. Nie, nie pasowało do niej określenie: „piękna”, lecz właśnie: „śliczna”. Była żoną właściciela knajpy, faceta w średnim wieku, o trochę grubawym i zgorzkniałym wyrazie twarzy. Ale tu zaczynały się dopiero komplikacje, i o tym właściwie Siłamikiel chciał tylko mówić. Inne rzeczy go nie obchodziły:

Oni się rozeszli. Z czyjej winy, jeszcze tego nie doszedł. Ale widocznie, czy tę knajpę kupili kiedyś na spółkę, czy była jakaś inna umowa między nimi, dość że ona pracowała nadal w przedsiębiorstwie męża. Jako kelnerka, jako gospodyni, jako wszystko. Razem jednak nie mieszkali. Przeciwnie: on mieszka tu, naprzeciw, z inną kobietą, kochanką. Ale! Ani porównać! W zestawieniu z Dorotą, to krowa! Kochanka jednak, mimo że przez ulicę, nie zachodzi tu nigdy. Też pewnie taka umowa. Chociaż to rzecz jawna. I zdaje się, że bydlak-właściciel, oddałby trzy takie za swoją własną żonę z powrotem, z którą teraz nie żyje. Ale trzyma fason. Zimny głaz. Ona czasami przysiąda się do znajomych gości, i nawet wypije kieliszek wódki z nimi. Ale zawsze zapyta naprzód męża, czy można?

— No wprost rzecz nieosiągalna rozumem! Weźmy jeszcze karafkę. A on jej raz pozwala, raz nie. Niby to z punktu jego

oceny: „żeby interes szedł”. A potem zamykają sklep, goście wychodzą, on idzie do swego mieszkania na drugą stronę ulicy, a ona mówi: „dobranoc” i idzie gdzieś do siebie.

— Pewnie też kogoś ma — powiedział obojętnie Anton, i pożałował.

Słowa mają niekiedy niezwykłą potęgę. Człowiek dożyje na przykład do 44-rech lat, jest rozsądny, dużo widział i dużo wie. Oczywiście w myśli musi sobie zdawać sprawę, wyobraża sobie, domyśla się nieomal do zupełnej pewności rzeczy. A jednak dopóki to nie zostało wypowiedziane głośnym słowem, może uważać coś za nieistniejące, co gdy powiesz nagle, staje się ciałem. A za ciałem Doroty Siłamikiel tęsknił tak strasznie, że zdawało się dla zdobycia jej gotów by uczynić wszystko. Gdy zbliżała się, uśmiechał się bezradnie, prawie głupkowato; starał się jej przypodobać, a tracił język, robił się nieśmiały i śmiesznie plątał rosyjskie wyrazy z polskimi. Teraz, gdy Anton wypowiedział to słowo, sotnik zasępił się, wypił i tym zasępieniem zakąsił, tak że Panisienko musiał mu podsunąć solonych grzybków.

— A was dużo tu stoi w Warszawie? — zapytał. Tym razem wypadło to naturalnie, jak próba odciążenia od przykrego tematu.

— Ja nie wiem gdzie ona mieszka. Ja nie mogę za nią iść. Raz, że nie wypada, dwa że nie mogę. W mundurze. W cywilu też. Przecież ona moją mordę zna. Nie o to chodzi zresztą. Boję się popsuć sprawę. — Nagle położył dłoń na rękę Antona. — Bądź przyjacielem — przeszedł na „ty” — jak teraz wieczorem pójdzie do domu, wysledź gdzie ona mieszka... Ona ciebie nie zna. Ożłoce.

— Nie, takiej rzeczy robić nie będę — odparł zdecydowanie Panisienko i pomyślał, że to już druga oferta szpiegostwa w ciągu jednego dnia, która go spotyka. — Raz, że nie mam przepustki i później nie zdążę do domu. A dwa, ze względów zasadniczych. Kobiety nie szpieguje się nawet dla przyjaciela. — To on przeczytał gdzieś taką rzecz. Odchylił się na oparcie krzesła: — Pani Doroto! Gdzież ta obiecana karafka?

— To już i pan wie, jak ja się nazywam?

— Jak mogę nie wiedzieć. Od wielu godzin rozmawiamy tylko o pani.

— Taki ciekawy temat... A nie za dużo będzie tej wódki?

— Nie.

Gdy przyniosła, Anton poprosił by się do nich przysiadła choć na chwilę. Spojrzała ukradkiem na męża, ale tym razem go nie spytała.

— Pan Polak?

— Tak. Tylko z kresów. Więc wymowa inna. A mój przyjaciel, kolega jeszcze ze szkoły rosyjskiej.

— Chyba nie z tej samej klasy.

— Z jakiegokolwiek. Tak zakochanego człowieka nie ma drugiego w całej Warszawie. Może w całej Ge-ge, może w Europie, może na świecie.

— W kim?

— W pani.

Dorota słuchając położyła obnażone do łokcia ramiona na stole, złożone ku sobie i podniosła wzrok na sotnika. Bez uśmiechu przebiegła oczami po guzikach jego munduru w górę do twarzy, zatrzymała na niej spojrzenie przez czas jakiś bez słowa i tylko kąciki jej delikatnie wyciętych ust zdawały się lekko drgać. Ale to mogło się zdawać, że drgają, być może były nieruchome. Sotnik też się nie poruszył, nie odezwał. Siedział, jakby pozował do portretu i był szczęśliwy że ona siedzi obok i patrzy na niego. Wyglądał tak sztywnie jak lalka z witryny, tyle że nalana wódką.

— Przychodzi tu często — powiedziała Dorota jak o nieobecny — choć nie ma prawa.

— Dlaczego? — zapytał Anton.

— Nasza restauracja dla Niemców nie dozwolona.

— Ja nie Niemiec! — krzyknął wtedy Siłamikiel.

— Wszystko jedno, w mundurze niemieckim. Nasz przepis obowiązuje dać znać żandarmerii. Inaczej współodpowiedzialność.

— Niech się pani napije z nami — poprosił Anton.

— Zaraz. — Wstała i przyniosła sobie kieliszek. Anton obserwował jak gibka była w talii, jak pod spódnicą rysowały się jej smukłe uda. Było coś precyzyjnego w tym wdzięku ruchów.

— Ale któregoś dnia mój mąż może to zrobić.

— Pani przecie nie żyje z mężem — wtrącił niezgrabnie Siłamikiel.

— Kogo to tu ma obchodzić?

— Mnie! — krzyknął sotnik.

— Co pan ma do gadania — i Dorota omal się nie roześmiała. Miała wyjątkowo drobne zęby. Przesłoniła je dłonią. — Przepraszam, ale późno już. Zmęczyłam się. Muszę wracać do domu.

— Ja was odprowadzę — zdobył się na odwagę Siłamikiel.

— Dziękuję, nie. Poza tym to żadna ochrona. Przepustkę policyjną trzeba mieć indywidualną. A ja nie mam.

— Będziemy zaraz zamykaaa! — okrzyknął zza bufetu właściciel.

Jeszcze chwila, jeszcze chwila jej obecności.

— Ech, żeby nie było zegarów na świecie! — sotnik podniósł kieliszek.

Dorota znowu przebiegła wzrokiem, jak uprzednio, wzdłuż guzików munduru, w górę, do twarzy i patrzyła na nią chwilę bez wyrazu.

— I kto je wymyślił, zegary! — ciągnął Siłamikiel. — Czorta dwa. To gorszy wynalazek od gazów trujących.

— Gorszy — przytaknął Anton. — Bo gazów nikt nie używa w tej wojnie. A zegary wszyscy.

Dorota uśmiechnęła się ze znużeniem, wstała, kiwnęła głową i poszła. Po jej wyjściu Siłamikiel zacisnął pięść na stole.

— Bbboże! Jak ona mnie się podoba! Tfu, czortowska mać, wszystko bym oddał. Napijmy się jeszcze.

— Nie zdążę do domu.

— Ech, tam, dom! Przenocujesz u mnie.

Sotnikowi podobało się, że „Grubienko” chciał zapłacić za wszystko. Dlatego kategorycznie odmówił i sam zapłacił.



Minęło kilka tygodni.

Anton, który zadomowił się teraz u nowego przyjaciela przy ulicy Górskiego, namówił go na spółkę szmuglerską. Początkowo Borys Mikołajewicz się wzdragał:

— Nie mam smiekałki do tego.

— Moja starczy za dwóch. Złożymy po równo kapitały i pojadę w teren.

Siłamikiel zaopatrzył go w zaświadczenia, o inne się postarał, i Anton uzbrojony w pieczęcie, wyruszał teraz w dalsze i krótsze podróże. Ułatwiało sprawę, że żandarmeria przestała się już orientować w gmatwaniu różnojęzycznych formacji, i byle pieczęć na przepustce jej wystarczała. Tak, na przemian w Warszawie i rozjazdach, upływał beztrudny czas.

Pewnego dnia po powrocie z terenu do Warszawy, Anton zatrzymał się na Zakroczymskiej, u spekulanta, z którym jeździł razem do Wyszkowa. W nocy, zapowiedziawszy że musi spisać rachunki, które dla bezpieczeństwa nosił tylko w pamięci i w hieroglificznych notatkach na pudełku papierosów, zasiadł wreszcie do wygotowania raportu.

R A P O R T

Uwagi ogólne. — W Warszawie, w okolicy i na terenie bezpośredniego frontu na wschód od Wisły i zapleczu, znajduje się duża ilość antybolszewickich oddziałów „wschodnich”. Jako to: kozackich, czysto rosyjskich, mużułmań-

skich, ukraińskich, turkmeńskich, wołgo-tatarskich, litewskich i in. Nie wszystkie zdołałem ustalić, tak z powodu ich mnogości, jak też częstych zmian miejsca ich postoju. Poza tym w licznych niemieckich oddziałach Waffen-SS, SS, i policji, są całe grupy, lub oddzielne kompanie złożone z tych ludzi. — Zdołałem dotychczas ustalić:

W samej Warszawie. — Stacjonuje 1 komp. piesza kozacka, w sile 150 ludzi. — Dwa szwadrony 3-go konnego pułku kozackiego. — 1 komp. ukraińska w sile 80 ludzi, zdaje się pod dowództwem niejakiego Djaczenko. — Dwie ukraińskie jednostki SS, w sile 600 ludzi, zakwaterowane przy ul. Koszykowej róg Alei Róż. — Poza tym mają stać na południe od Warszawy dwa pułki policyjne, 17-ty i 34-ty, złożone wyłącznie z Ukraińców.

O innych siłach ukraińskich nie będzie w moim raporcie mowy, gdyż są bardzo liczne, operujące na ogromnej przestrzeni na wschód od Wisły, na Wołyniu i w Galicji, i wymagałyby detalicznego rozpracowania, biorąc za punkt wyjściowy Lwów.

Kozacy. — Poza tym ustaliłem przebywanie w terenie na wschód od Wisły następujących jednostek kozackich: 1 batl. piechoty, pięć szwadronów kawaleryjskich III-ciej brygady kozackiej. — 6-ty i 9-ty szwadrony tejże brygady na zachód od Wisły. — IV kozacki batalion, w sile 8 oficerów i 936 ludzi, włączony do 57-go pułku „ubezpieczeniowego”. — II-gi kozacki batalion p. 572, w sile 14 oficerów i 605 ludzi. — Kozacki szwadron konny nr 580. — Kozacki batalion pieszy nr 579. — IV kozacki btl. 750-go płk. „ubezpieczeniowego”. — Kozacki oddział samodzielny 960. — Wydzielony z III bryg. kozacki oddział konny 69, w sile 14 oficerów i 759 ludzi.

Muzułmanie. — I-szy i II-gi bataliony 111-go pułku azerbajdzkańskiego (Bergmann) w sile ok. 1.200 bagnetów. — 1-szy wschodnio-muzułmański pułk SS, bez III btl., który nie wiem gdzie się znajduje. — 828-my i 830-ty bataliony Tatarów-Nadwożańskich. — Turkmeńskie bataliony nry 786 i 790, oraz 4-ty turkmeński bat. 791, o nieznaney mi bliżej sile.

Rosjanie. — Ustaliłem przebywanie w okolicach Warszawy rosyjskiego batalionu pieszego nr 308, oraz podobno takiegoż oddziału konnego, o których wszelako nie udało mi się zebrać dokładnych informacji.

Niezależnie od tego kursują pogłoski, że do G.G., czy też przemarszem przez Gubernię, mają być skierowane: a) wielkie skupisko kozackie zakwaterowane teraz w okolicy Nowogródka, b) Brygada Kamińskiego, tzw. „RONA”, która zbliża się do Białegostoku, i rzekomo skierowana będzie dalej (Częstochowa?). Jej siła ma wynosić efektywnie ok. 7.000 bagnetów i szabel; ogólna liczba uchodźców cywilnych sięga ponoć 27-30 tysięcy. — Prawdziwości tych pogłosek nie udało mi się stwierdzić, notuję je jednak ze względu na ich uporzecze powtarzanie.

Kałmucy. — W ostatniej chwili otrzymałem następującą poufną i pewną, niestety bardzo niekompletną wiadomość: z południowego Polesia, wzgl. północnego Wołynia (przez Włodzimierz Wołyński? Sokal?) zbliża się od Styru kawaleryjski Korpus Kałmucki, pod wodzą dr. Dolla? (rangi nie ustaliłem). Zadanie: oczyszczanie zaplecza cofających się armii niemieckich z wrogiej partyzantki. Pierwszy dywizjon tego Korpusu, pod wodzą Szendzi Mukiebie-nowa, przekroczył jakoby Bug, z zamiarem (mijając Tomaszów Lubelski) maszerowania w ogólnym kierunku na Biłgoraj.

Atmosfera polityczno-ideowa. — Tam wszędzie gdzie zetknąłem się osobiście, jak też nad podstawie tego co słyszałem z pewnych źródeł o nastrojach w różnych oddziałach „wschodnich”, doszedłem do przekonania iż wszelka uogólniająca ocena pod tym względem mogłaby doprowadzić jedynie do błędnych wniosków. Wszystkie wymienione formacje posiadają bardzo różnorodną wartość, zarówno pod względem bojowym, jak polityczno-moralnym. Składają się zarówno z oportunistów i zwyczajnych awanturników (którzy dopuszczają

się grabieży, mordów i gwałtów), jak głęboko ideowych („fanatycznych”) anty bolszewików. Pod tym względem granica przebiega nie tylko pomiędzy poszczególnymi pułkami, ale nieraz przez środek kompanii, szwadronu, aż do najmniejszych jednostek i pojedynczych ludzi włącznie. Oficjalnie obowiązuje naturalnie hasło: „Walka o wolność spod jarzma bolszewickiego (sowieckiego)”.

W poszczególne polityczno-programowe różnice nie wchodzi, jako mało ważne w tym wypadku, jak też w różny stopień rozczarowań do niemieckiej polityki i metod postępowania, jako rzeczy na ogół dobrze znanej.

Natomiast dopuszczalne jest uogólnienie, że we wszystkich tych formacjach, bez różnicy narodowości, panuje jednostronny nastrój antypolski. Niezależnie od propagandy niemieckiej, wywołany jest rozpowszechnionym przekonaniem, jakoby na podstawie stwierdzonych faktów, że polska AK nie bierze do niewoli, lecz rozstrzeliwuje na miejscu i bez sądu, każdego b. obywatela sowieckiego ujętego z bronią lub bez broni, w mundurze niemieckim. Przy tym niezależnie od indywidualnej winy grabieży lub gwałtu, popełnionego na ludności cywilnej, lecz rzekomo z zasady, jako „zdrajcę ojczyzny”. Ponieważ w tym wypadku „zdrada ojczyzny” zachodzi nie w stosunku do Polski, lecz do Sowietów, zaś ogólnie biorąc ustroju bolszewickiego, o wyzwolenie z którego ci ludzie właśnie walczą — przeto ustaliło się wśród nich jednolite nastawienie, że polska AK jest nie tylko stroną walczącą z Niemcami, lecz czynnym wykonawcą sojuszu z bolszewizmem. — Przykład: porucznik Ter-Zade-Bek z I-go batalionu azerbajdzkańskiego (111 „Bergmann”) oświadczył mi: „Dla mnie osobiście, polska AK jest przedłużeniem sowieckiego NKWD. Tyle, że NKWD rozstrzela mnie po przesłuchaniu, zaś AK bez przesłuchania”.

UWAGA. — Potocznie wśród ludności rozpowszechnione określenie: „Własowcy”, wskazuje wyraźnie na błędne sugestie. Żaden z pomienionych oddziałów ani organizacyjnie, ani ideowo-politycznie, ani formalnie nie należy do organizowanego przez Własowa ruchu i jego zapowiadanych formacji wojskowych: ROA. Zaś tzw. RONA, w osobie jej dowódcy Kamińskiego, reprezentuje raczej ruch konkurencyjno-nieprzychylny do Własowa. Raport niniejszy składam na zlecenie dane mi przez „Stanisława”, przedstawiając wyłącznie stan faktyczny, taki jaki udało mi się ustalić, przynajmniej, daleki od wyczerpującego. Powstrzymuję się od wszelkich własnych wniosków i komentarzy”.

LXXVII

Nad tym raportem pracował Anton Panisienko prawie całą noc. Napisał w języku rosyjskim. Rano, bez śniadania, nie znajdując „rikszy”, i myśląc trochę tramwaje, wyruszył w drogę, tym razem do domu przy ulicy Zgoda 6.

Naiwność i beztraska jego były zdumiewające, i równała się chyba niezwykłemu szczęściu jakie miał w tej wyprawie. Nie tylko, że wiozł swój „raport” nie zaszyfrowany, czy zakamuflovany w jakiś sposób, lecz otwarcie napisany, wsadzony z roztarżeniem i pośpiechem po prostu do bocznej kieszeni, przez całe

miasto, ale ponadto trafił przed dom właśnie w kilka zaledwie godzin po tym, gdy...

Oto znajoma kamieniczka, numer szósty, trawniczek z prawa, ślepy kawał muru z lewa, wszystko jak było. Drewniane schody, pierwsze piętro. Dzwonek nie działa. Zastukał. Cisza. Zastukał mocniej. Cisza. Mieszkanie było zawsze pełne ludzi, i przecucie przebiegło złowieszcym dreszczem. Spojrzał na drzwi: zamknięte, nie opieczętowane wprawdzie, ale jakoś inaczej zamknięte. Wyglądają jak głucho deski, a nie drzwi. W szparach kurz. Anton zachował się jak głupi: zastukał raz jeszcze i bardzo głośno. Żadne z sąsiednich drzwi na klatce schodowej się nie otwały. Nikt nie wyjrzał, nikt, aby go objaśnić, co się stało u sąsiadów do których tak głośno stukał. Widocznie mieli swe powody, by się nie wychylać. I wtedy nareszcie zrozumiał. Zszedł schodami powoli, cicho; wyszedł na ulicę... Rozglądnął się. Świeżą farbą drukarską i świeżym zupełnie klejem, czerwieniły afisze na murach. Przecież idąc tu widział je, czy nie? Dlaczego nie zatrzymał się i nie przeczytał! Nazwiska osób rozstrzelanych ostatnio w publicznej egzekucji. Przed takim afiszem wolno stać i czytać, to nawet się zaleca mieszkańcom miasta czynić. Nazwiska przeważnie nieznane. Ale pomiędzy nieznanymi: ... Wiszniewski, Teodor Botlarewski, Eugeniusz Botlarewski...

Poszedł przed siebie, nie za prędko, nie za wolno.



Nie mógł naturalnie wiedzieć (bo któż by mu to był powiedział!), że w mieszkaniu tym mieściła się przejściowo centrala KWC, czyli „Kierownictwa Walki Cywilnej”, a w zielnikach botanika Wiszniewskiego przechowywane były częściowo tajne archiwa tej centrali. Ze względu na osobę teścia Wiszniewskiego, i jego brata Eugeniusza, wydawców przed wojną rosyjskiego antysowieckiego pisma w Polsce, mieszkanie uważano za szczególnie bezpieczne. Ale przypadek zdarzył, że wpadł sekretarz KWC, zdradzony przez swego kolegę, niejakiego Leśniewskiego, agenta Gestapo. Natychmiast wszystkie kompromitujące materiały zostały z mieszkania usunięte. Ale ani Teodor Botlarewski, ani jego zięć, tym bardziej ich żony, nie zechciały się wynieść i tułać, szukając przygodnego dachu nad głową. Czuli się bezpieczni.

Którejś nocy, po tym gdy Anton zwerbowany przez „Stanisława” przestał nocować przy Zgoda 6, zajęchało Gestapo i wszystkich kto był w mieszkaniu zabrało. Eugeniusza nie było. Obrabiał sprzedaż poważnej partii cukru i nocował akurat u znajomych na Filtrowej. Tam dowiedział się o nieszczęściu przypadkiem na-

zajutrz, od koleżanki szwagierki, która ze swej strony dowiedziała się również przypadkiem. Nie odkładając, włożył czarne palto, staroświecki melonik, poprawił okulary w złotej oprawie jakiej już nikt nie nosił, wziął laskę z czarnego hebanu o gałce z kości słoniowej i sam udał się wprost do Gestapo. Był pewien, że uratuje brata. Był zupełnie pewny, iż jako stary emigrant rosyjski, powołując się na swe długoletnie wydawnictwo antysowieckie, „wyjaśni nieporozumienie”. On, który dopiero uszedł z Wilna szczęśliwie spod wyroku śmierci polskiego Podziemia za administrowanie „Gońca”...

Ach, nie ceniono i nie lubiano w Gestapo tej całej hołoty rosyjskiej, białej tyle wartej co czerwonej, która w duszy trzyma razem, i której wierzyć może tylko zdegenerowany baron bałtycki, czy junkier pruski, ale nie solidny agent policyjny! — Eugeniusz zdjął grzecznie melonik, poprawił jeszcze kilka razy okulary, bo nie mógł pojąć...

Rozstrzelany został jeszcze tego samego wieczoru, razem z innymi.

Nad mieszkaniem przy Zgoda 6 ustanowiona została obserwacja, która trwała przez czas pewien. Nie dała wyników. Tego dnia, o piątej rano, przed powrotem Antona, została wreszcie odwołana.



Panisienko doszedł do Świętokrzyskiej, skrzył w prawo, później znowu w prawo, przemierzył Plac Napoleona, wyszedł na Szpitalną. Mimo wczesnej godziny już się rozstawał szpaler szepczącej giełdy: „kupię, kupię, kupię...”. Skrzył w lewo na Górskiego.

W kilka godzin później siedział naprzeciw sotnika w tej samej małej knajpie i pili wódkę.

Boże, co za szczęście ludzkie to otaczające ciepło przytulności, ciepło alkoholu. Stół, krzesła, niski sufit. Nie patrzyć w dalekie horyzonty, nie widzieć przed sobą zimnej drogi, ani wśród zmarzniętych pól, ani do skraju lasu, skąd padają zdradzieckie strzały. Nie mieć nad sobą rozpiętości wysokiego nieba, zawieszzonego nad miasteczkiem i siołem, gdzie padają okrzyki, rozkazy, wrzaski i utyskiwania. Jeść smażoną kiełbasę z kapustą, popijając czystą, i nie słyszeć innego tematu jak tylko: Dorota!

— Ja tobie powiem, co ja dostrzegłem w ostatnim czasie — Siłamikiel pochyla się tajemniczo przez stół. — Ona tego swego parszywego męża, polacziszkę, szczerze nienawidzi.

— Przy czym tu: „polacziszka”? Ona przecież też Polka.

— Masz rację. Ty wiesz do jakiego ja niedawno wniosku do-

szedłem? Że dopóki ludzie dzielą się na mężczyzn i kobiety, jest zawracanie głowy mówić o niepodzielności narodu. Ty weź na przykład ta sama Dorota. Nie zależy kim ona się urodziła, a zależy kogo ona pokocha.

— Może za optymistycznie bierzesz.

— Naturalnie, Polaki — Siłamikiel po raz pierwszy zboczył na odległy margines. — Sytuacja paradoksalna. Bogactwo, burżuja, panicyki w lakierowanych cholewach. A po naszej stronie nędza proletariacka, bezdomna. Puść ją tylko na „grab' nagrabilennoje”, jak mawiał nieboszczyk Lenin! Oho-ho-ho! To już oni swój talent by okazali, pohulaliby w tej Warszawie. Tego możesz być pewien. Ale paradoks w tym największy, że do tego dochodzi jeszcze straszna złość, bo te burżuja i panicyki, razem z ich złotem i towarami, stoją jak raz na stronie bolszewików, a nasza bezprizorna czerń, nasze „czarnokoże”, po przeciwnej stronie. Ty rozumiesz takie szaleństwo historii? Wiesz-li ty, ile bolszewiki, odkąd zapanowali, razem do kupy wymordowali narodu? 46 milionów ludzi.

— Skąd taka statystyka?

— Jest taka statystyka. Ale nu, jednych i drugich k jebionoj materii. Rzecz nie w tym. A w tym, że jak wypadnie raptem odstąpić, co z Dorotą? Nie porywać że mnie jej na żywo, jak w starych bylinach, na konia?!

— Ale coś ona nie przychodzi dzisiaj.

— Dziś środa. Ona we środę zawsze przychodzi później. — Spojrzał na zegarek. — Zaraz będzie. O, już jest, słońeczko. — Istotnie, jakby promień padł w tej chwili na pooraną twarz sotnika.

Drobne zęby Doroty mignęły w uśmiechu:

— A, kogo widzę — wyciągnęła rękę do Antona. — Gdzie pan przepadał?

— Trochę się spekulowało.

— I dużo pan zarobił?

— Akurat na wódkę z kiełbasą.

— To nie dużo.

— Pani Dorota — odezwał się nieśmiało Siłamikiel — wypić z nami, prosza, kieliszek wódki, z okazji jego powrotu.

— Ledwo weszłam! Nie mam czasu. Może później. — I odeszła do bufetu.

— Ty wiesz — sotnik przeszedł na szept, zdradzając wielką tajemnicę — że ona teraz przestała pytać już tego, swego... — podrzucił głowę z obrzydzeniem w kierunku właściciela.

— Co ty powiesz? — To była szczególnie nowa informacja.

— I wcale ona do mnie nie jest tak źle usposobiona, jak to może się zdawać. Raz mówię do niej...

W tej chwili stało się coś fatalnego. Anton chciał zapalić, wsadził już papierosa w usta, i szukając po kieszeniach zapalek, sięgnął do lewej bocznej i wyrzucił z niej niebaczynym ruchem razem z pudełkiem zapalek, swój „raport”, który się w pół otworzył na stole.

— A to co takiego?... Jakaś pisanina i cyfry... — Sotnik sięgał ręką.

Anton zbladł, zdążył jednak cofnąć ku sobie papier, schować do kieszeni, opanowując się wysiłkiem woli.

— To moje tajemnice handlowe. Co od kogo, za ile — i łamiąc drugą zapalną, zapalił drżącą ręką. Siłamiel zauważył jednak nagłą błądź jego twarzy.

— Co tobie, niedobrze?

— Niepotrzebnie papierosa zapaliłem... Wódka od rana. Całą noc nie spałem. Wybacz. — Wstał i poszedł do klozetu. Tam wyjął „raport”, podał go w strzępy, wrzucił je do muszli i spuścił wodę. Ale niektóre strzępki wciąż trzymały się na powierzchni w dolnym otworze. Musiał zaczekać, aż woda napłynie do zbiornika, i spuścić po raz wtóry. I ciągle jeszcze dwa-trzy pływały jak białe listki. Spuścił więc trzeci raz. I dopiero odetchnął z ulgą. Operacja ta jednak zajęła trochę czasu, zanim wrócił do stolika.

— No jak? Ulżyło? — Spotkały go słowa przyjaciela.

— Ulżyło! — odpowiedział z taką szczerością, że aż Siłamiel się uśmiechnął wesoło. — Dawaj kieliszek pod Dorotę!

LXXVIII

Na Leonie Warszawa zrobiła ogromne wrażenie. Trochę podobnie jak to było z Panisienko, pod innym jednak kątem widzenia. Nie było to dla niego miasto obce, ani nic co się w nim przejawiało. Znał je sprzed wojny dobrze nawet. Ale lata okupacji sowieckiej, i następnie niemieckiej na ziemiach wschodnich w „Ostlandzie”, i to wszystko co się tam działo, było tak odmienne od tego co się działo w Warszawie, że miara do której już przywykł nie miała żadnego zastosowania. I jemu rzuciły się w oczy najpierw otwarte sklepy, restauracje, kawiarnie, ruch uliczny, zamożność, obfitość towarów. Nie było tego dużo w po-

równaniu do kiedyś, ale w porównaniu do nędzy „wschodniej” tyle, że rugowało dawne porównania! Życie codzienne oparte było w pełni na „prywatnej inicjatywie”, i czuł się wskutek tego przeniesiony w inny świat. Druty kolczaste, bunkry niemieckich placówek, „sztraify” policyjne, syreny wozów Gestapo, strzały, świadczące o toczącej się jawnie walce, przydawały temu miastu o czystych obrusach i kelnerach z serwetą pod pachą — zupełnie szczególny, po prostu niewyobrażalny dotychczas wygląd, połączenia nowoczesnej wojny z nowoczesnym sybarytyzmem. Po raz pierwszy zetknął się z fenomenem, gdzie terror nie wykluczał dobrobytu terroryzowanych.

„Czy to prężność tylko, czy geniusz narodu”...? — układał sobie właśnie w myślach... gdy zauważył coś, co odwróciło jego uwagę: Czarną farbą na murach kamienicy: „P.P.R. Podłe Pachołki Rosji”. I to też było zupełnie nowe.

Droga jego warszawskiej dorożki konnej przecięła się z drogą Antona Panisienko. Bo kuzyn Leona, Julian Przyrostowski, mieszkał przy ulicy Górskiego. Właśnie w tej samej kamienicy, w podwórzu, na drugim piętrze, gdzie na pierwszym mieszkał wraz ze swą kochanką właściciel knajpy, a mąż Doroty.

Pan Julian należał do ludzi, których się nazywa czasem: „młodym starszym panem”. Studiował ongiś na wydziale budowy maszyn w politechnice, później przerzucił się na chemię, później próbował dziennikarstwa, i parał się trochę polityką po stronie skrajnej prawicy. W końcu założył wytwórnię mydła i dorobił się przed wojną średniego kapitału. Teraz handlował brylantami i posiadał własną, dobrze ukrytą szlifiernię. Z żoną się rozstał, czy też ona go porzuciła dla innego. Młody jego syn, ledwo podchorąży, zginął w kampanii wrześniowej; starsza córka wyszła za mąż. Nosił stale wytworną kamizelkę, niedopiętą na ostatni guzik, miał szczupły orli nos, pociągłą, raczej chudą twarz. Był co najmniej dziesięć lat starszy od Leona. Sam oficer rezerwy, nie zmobilizowany w czas na wojnę, piastował jakoweś, wyższe bodaj stanowisko w Podziemiu, o czym zresztą dyskretnie dawał do zrozumienia. Wprawdzie nie tak wyraźnie, jak to było w zwyczaj, zwłaszcza wśród tych którzy zajmowali niskie stanowiska. Ale konspiracja w Warszawie była zjawiskiem tak powszechnym, iż podejrzenie budził raczej ten, kto robił wrażenie że do niej nie należy.

Spontaniczną opowieść Leona przerwał wkrótce:

— Akurat nie u mnie nie ma solidnego w domu. Zaprosiłbym cię do lepszego lokalu. Ale — spojrzął na zegarek — późno. Chodźmy, tu na przeciwko jest taki kurwidolek podły. Coś jednak przekąsimy.

Leon był głodny, i knajpa wydała mu się szczytem wytworności po „ostlandzkich” nielegalnych wyszynkach.

— Pani Doroto, złota! — stałował Julian. — Co macie z cięłęciny? Nic? Fatalnie. Nie, świniny zakazał mi doktor. „Bœuf à la Strogonoff”? Ty jesz? Coś takiego? No, więc trudno. Ludzie zbłądzeni w tajdze Sybiru, jedzą nawet korę drzewną. Niech będzie. Hallo! — zawołał za oddalającą się. — Tylko żadnej cebulki, ani w smaku ani w sosie. Już dobrze. Ogóreczek i trochę grzybków, chlebek, masełko, czysta na początek. Proszę tylko o zamrożoną. Może jeszcze śledzika na zakąskę.

— Pan radca nie zjadłby rybki? — Podszedł usłużnie sam właściciel, pochylając się w zaufaniu. — Jest świeżutki szczupaczek faszzerowany.

— Rybki chcesz?

Leon wodził szeroko oczami.

— Nie, on, dostrzegam, nie chce.

— Dlaczego ciebie tytułują „radcą”? — spytał Leon, gdy tamten odszedł.

— Nie pytaj. Był jeden, którego nazywano dlatego „radcą”, że raz poradził rodzonej siostrze przenieść się do burdelu. Ja dziesięć lat temu kandydowałem bez powodzenia do Rady Miejskiej. A dziś wszyscy radzimy nad wyzwoleniem ojczyzny. No, nasze kawalerskie!

— A tam, przy stoliku, co to? Kozak? Papacha widzę na krześle, szabla rosyjska...

— Gdzie? Ach, to jakiś z Kałmuków niemieckich.

Leonowi zdawało się w tej chwili, że twarz tego który siedział z kozakiem jest mu skądś znana, widziana. Takie wrażenie miewa się często w życiu.

— Ładna jest ta Dorota — wtrącił Julian — tylko zalatuje od niej trochę cebulą z kuchni, a tego nie znoszę. Więc, mówisz, u was o wiele gorzej?

Leon zaczął wykładać różnicę jaka zachodzi pomiędzy okupacją sowiecką, którą przeżył, a obecną niemiecką. Sowiecka jest nie analogią, a odwróceniem w skutkach. Niemcy robią z nas bohaterów, a bolszewicy gówno... — mówił, wykładając na stolik knajpy te prawdy i argumenty, które wytypowali poprzednio do spółki z Henrykiem. — Zbrodniczość hitleryzmu polega na masowym mordowaniu. Wprawdzie bolszewizm wymordował więcej, ale nie to jest główną cechą jego zbrodniczości, podczas gdy hitleryzmu, to. Bo hitleryzm depczą i mordując, nie odbiera mordowanemu jego jasnej postawy walczącego przeciwnika. Wprawdzie przed śmiercią — mówił Leon jak w transie — ludzie się mogą załamywać, ale gdy ktoś znajdzie w sobie tyle siły by się nie

załamać, hitleryzm może go tylko zamordować fizycznie, nic więcej. Nie może odrzucić go z patosu śmierci. Komunizm już żyjącego człowieka odziera z ducha ludzkiej odporności, i dlatego mordowany przez komunizm ma w sobie patosu nie więcej niż jest w rozciśkanej pod obcasem pluskwie. A pozostałemu przy życiu pozostaje rola pełzającego robaka. On z tym tu przyjechał, by znaleźć kogoś, trafić do kogoś, kto jeszcze nie jest na „volksangiel-skiej liście”, kto jeszcze pozostał Polakiem, komu by można otwo- rzyć czy...

— Pani Doroto! Czy ja bym nie mógł poprosić o szczyptę pieprzu! — zawołał Julian. — To jest bardzo dobre, ale trochę za mało przyprawy. Dziękuję.

Leon mówił przyciszonym, ale namiętym głosem. Skłamał przy tym, że w imieniu „pewnej grupy”, pewnej „organizacji lu- dzi”... — wychylił kieliszek, bo nie wiedział jak konkretnie skła- mać, gdyż w rzeczywistości był tylko Henryk i... Zastanowił się: raczej nikogo wymienić z nazwiska by nie mógł...

— Kto na to da pieniądze? — zapytał Julian.

— Jakto, pieniądze?...

— Masz ty pojęcie co taka zabawa — potoczył dłonią w przestrzeń wokół siebie, jakby obejmował całą Warszawę — kosztuje w milionach dolarów? Poza tym, założmy że tak jest jak mówisz. Ty zdaje się myślisz, że ten ma rację, kto ma rację? Rachunek, kochana pani! Gdzież jest ta Dorota? Acha...

— Smakowało?

— Naturalnie. Wódka troszeczkę może zalatywała bimbrem. Ale to pewnie nie pani resort.

Jeszcze nie wiosna, a przedwiosnie. W domu, Julian pchnął okna na studnię kamiennego dziedzińca i wsparł się milcząc o zło- żone na parapecie ręce. Wokół ustawionej w dole po środku po- dwórza figury Matki Boskiej, gromadzili się zwolna lokatorzy ka- mienicy. Przeważnie kobiety. Brama już była zamknięta. Nad miastem, wraz z mgiełką przepojoną kwaśno-słodkawym odorem węgla, zawisła godzina policyjna. W dziedzińcu ktoś położył kwia- ty na stopniach cokołu przed figurą, a jedna z kobiet zaintono- wała:

„Serdeczna Matko, opiekunko ludzi...”

Chór podchwycił:

*„Niech Cię płacz sierot,
Do litości wzbudzi...”*

Leon wsparł się też o parapet obok kuzyna.

„... ratuj nas, ratuj Matko ukochana,
Zagniewanego, gdy zobaczysz Pana...”

Słuchali w milczeniu jednej pieśni po drugiej:

„Zdrowaś Maryjo, Boga Rodzico,
Błagamy Ciebie, święta Dziewico:
Niech łaska Twoja zawsze nam sprzyja,
Módl się za nami, Zdrowaś Maryja!...”

.....

— Widzisz tę, w czerwonej chusteczce? Na lewo, brunetka w pierwszym rzędzie — mruknął Julian.

— No.

— To kochanka tego knajpiarza, u którego byliśmy. Pode mną mieszkają.

— Ale mnie się zdawało, że tamta...

— Dorota? Rozeszli się — ziewnął.

Na dziedzińcu stało już teraz z 80 osób otaczając figurę świętą.

„... z tej biednej ziemi, z tej też doliny,
Tęskny się w niebo unosi dźwięk:
O Boskie Serce, Skarbie jedyny...”

.....

Bo Twej litości błagamy w niej,
Serce Jezusa, ucieczko nasza,
Zlituj się, zlituj nad ludem Twym!

.....

I z innych podwórzy, z bardzo mnogich, zamkniętych o tej porze podwórzy warszawskich, wznosiła się ku ciemniejszemu niebu, wąskim szybem warszawskich kamienic pieśń, błaganie i wiara, że oszczędzone będzie ludziom to najgorsze co na tym padole oczekiwać ich może. „Proście, a będzie wam dane”, rzekł Chrystus.

Zrobiło się chłodno, ciemno. Modlący zaczęli się rozchodzić. Julian zamknął okno, spuścił rolety, zapalił światło i opadł na fotel przed biurkiem.

— Wracając do rozmowy. Twój błąd: mówisz o psychologicznej stronie, która nas dopiero czeka, a nie uwzględniasz psychologicznej strony stanu realnego, który już jest. Dlaczego nie wierzę, żebyś mógł kogokolwiek przekonać... *A propos*, masz ty jakiś mandat konspiracyjny? Bo inaczej to może być podejrzenie przy-

jęte. Ale o tym po tym. Widzisz, jest rzecz taka. Terror niemiecki jest straszny, sam wiesz, to nie lipa. Ale straty materialne w ludziach, pomijając naturalnie Żydów, w zestawieniu z propagandą, to mała lipa. Co jest natomiast. Jest deptanie godności narodowej na każdym kroku, nie do wytrzymania dla człowieka z poczuciem godności. I to straszne poniewieranie godności przeżywa każdy człowiek, w tramwaju gdzie ludzie wiszą, podczas gdy w wagonach *nur für Deutsche* siedzi rozpartych trzech bydłaków; w pociągu, jak dla Murzynów; siedzisz w restauracji, nie takiej, a pierwszorzędnej, z serwetą pod brodą jesz rosół z pasztecikami, wchodzi draby: *Hände hoch!* I ty stoisz, rosół stygnie, twoja dziewczynka koło ciebie, a ty ręce do góry, dobrze jeszcze jeżeli ze strachu nie podniosłeś razem łyżki, z której kapie ci rosół do rękawa. I tak czekasz, albo nawet milcząc patrzysz, jak taki cham obmacuje twoją dziewczynkę, czy nie ma broni. Ludzie siadają później i wstydzą się spojrzeć sobie w oczy z poniżenia jakiego doznali. Ja wiem!... — przerwał Leonowi, który chciał coś wtrącić — u was to samo. Ale właśnie dlatego, że u was nie ma życia cywilnego w znaczeniu tego słowa, tak się na pewno nie odczuwa. A tu w biały, „cywilny” dzień, nie w żadnych kacekach, czy więzieniach. O tamtych już nie mówię. Otóż to poczucie permanentnego poniżenia zaślepia, to prawda, stronę polityczną, ale to psychologiczna realność. Ty wiesz, że w Krakowie, byłem akurat niedawno, na Plantach, pod zamkiem królów polskich, są nawet ławki ogrodowe: *nur für Deutsche*, na które Polak nie ma prawa usiąść, nawet żeby była pusta. Możesz sobie wyobrazić stopień tego poniżenia psychicznego. A ty chcesz przyjść i ludziom opowiadać: jakie będą psychiczne konsekwencje okupacji sowieckiej! Przy tym sam przyznajesz, że zupełnie innego rodzaju. Z czym do gościa, bracie! Polacy nie są probolszewiccy, ale ich Niemcy takimi robią każdego dnia. I to jest realność, której zmienić nie możesz.

— No więc, mimo różnicy jaką przeprowadzasz w „życiu cywilnym”. U nas nie tylko to samo, ale weź że Niemcy traktują inne narody wschodnie, podsowieckie, jeszcze gorzej, jak by było zupełne. A skąd się bierze u tamtych postawa: *mimo wszystko* — zaakcentował — i przede wszystkim antysowiecka?

— To nie jest to samo. Tamci byli w niewoli i przeszli do innej, i pozwalają sobie na wybór. A zresztą przyzwyczajeni byli zawsze, że ich traktują jak bydło. Myśmy mieli własne, niepodległe państwo. I nikt nas i przedtem nie traktował jak bydło w okresie zaborów. Nie darmo mówi się, że jesteśmy narodem szlacheckim.

— To znaczy, że pochodzenie szlacheckie, jak mówisz, decy-

duje tu teraz o *raczej* probolszewickim nastawieniu. Czy to nie jest paradoks?

— Jest paradoks. Niewątpliwy paradoks. I tego paradoksu dziejowego dokonał niejaki Adolf Hitler. Adolf Hitler, który okazał się większym chamem niż największy cham bolszewicki. Tym, podsowieckim, to może nie przeszkadza. Powiedzmy nie w tym stopniu. A nam przeszkadza. W każdym Polaku kipi obraza osobista, nienawiść i chęć odwetu, która dominuje nad innym rozumowaniem. A ty chcesz tłumaczyć o zawiłych konsekwencjach psychicznej natury, nowej okupacji. Komu?!

Leon był zmęczony podróżą, najedzony kolacją, senny. Chciałby już teraz ustąpić z pola walki, ale przypomniał sobie argument, którym szczególnie często szermował Andruszkiewicz:

— Działanie Podziemia powinno być działaniem politycznym, ale nie spontanicznym. Jeżeli więc każdy Polak na odcinku antyniemieckim uzbrojony jest psychicznie, jak sam mówisz, po zęby, a rozbiera się na odcinku antysowieckim, to wydaje się logiczne, iż tu powinno być skierowane gros planowanego wysiłku politycznego. Tymczasem dziś, gdy przegrana Niemiec jest już kwestią czasu, wyśrubowuje się agitację antyniemiecką do stanu ekstazy, dolewa oliwy do ognia, chociaż, jak sam mówisz, kielich wypełniony po brzegi. Więc po co ta zatrata energii, która byłaby tak potrzebna na froncie który przyjdzie? Energii, która do-rozbraja nas ostatecznie wobec Sowietów.

— To już jest kwestia inna. Może nastrojów pewnych panów u góry, może instrukcji z Londynu. Słowem znów cały kompleks tej rzeczywistości, której nie zmienisz. Nawet, żebyś był całkowicie twego zdania, choć tego powiedzieć nie mogę, nie stanąłbym po twej stronie. Polityka nie może nie uwzględniać realnego układu sił. Anglia! Oto masz — wyjął spod bibuły na stole „gazetkę” podziemną. — Posłuchaj co pisze „Państwo Polskie”, i odczytał:

„Jeżeli za cenę krwi polskiej i nowych ofiar uda się przekonać i zmobilizować opinię i stanowisko Anglosasów po naszej stronie... to cena zapłacona nie będzie za wysoka...”

A wiesz co nadało ostatnio radio z Londynu: „Pamiętajcie, że wszelka akcja antysowiecka płynie wyłącznie i tylko ze źródeł niemieckich”! Tak, mój drogi, sprawa wygląda, powiedzmy dostatecznie jednoznacznie, nie uważasz?

— Ty tak bez obawy trzymasz te gazetki?

— Ach, dziś już nie rok 1942. — Zadzwoił telefon i Julian podniósł słuchawkę.

Leon poszedł spać, słysząc z drugiego pokoju równy pomruk

telefonicznej rozmowy. Zapadał coraz bardziej w sen. Nagle się ocknął.

— Spisz?

— Jeszcze nie.

— Dzwonił właśnie... We środę zetknę cię z takim, z którym będziesz mógł porozmawiać.

LXXIX

— Bardzo jest ciekawe co pan mówi. Ale zupełnie się z panem nie zgadzam. Nie można doświadczeń na naszych kresach, o tak mieszanej albo nawet przeważnie obcej ludności, zestawiać z rdzenną Polską. — Gość wstał z fotelu sprężyste i jął chodzić po gabinecie Juliana, wepchnąwszy dłonie w tylne kieszenie spodni. Widać był to jego zwyczaj, co nadawało wszakże sylwetce nieco pochyloną ku przodowi posturę. Już przedtem Leon miał wrażenie, iż człowiek ten, wysoki, szczupły, o energicznych rysach twarzy, który słuchał go, nie przerywając, z nogą na nodze, z podbródkiem opartym o złożone dłonie, pozornie z uwagą, należy do typu, co zmusza się do słuchania, w rzeczywistości zaś ma odpowiedź gotową jeszcze przed wysłuchaniem sprawy i czeka jedynie na rozpoczęcie repliki. Być może Julian przedstawił kuzyna w świetle bardziej poważnym, jako „przedstawiciela opinii kresowej” umyślnie, czy sam był przez niego wprowadzony w błąd. Niemniej gość uważał za stosowne wygłosić w okrągłych słowach prawie cały referat:

— Należy zdać sobie sprawę co możemy przede wszystkim przeciwstawić nadchodzącej Rosji — podkreślił wyraźnie słowo: „Rosja”, i w dalszym ciągu skrupulatnie unikał terminu „Sowieci”, a tym bardziej używanego przez Leona: „bolszewicy”. — Stawiamy na własne siły narodu polskiego. Te siły są ogromne i w tym jest największa nasza nadzieja. Doświadczenia dotychczasowe udowodniły, że Rosja nie potrafi Polski zrusyfikować nie tylko w sensie etnograficznym, ale także w sensie duchowym. Także nie potrafi jej teraz skomunizować. Naród polski nie nadaje się do systemu monopartyjnego. Do żadnego systemu dyktatury. Jest to założenie, na którym możemy polegać i ze spokojem oczekiwać konfrontacji z najbardziej nieprzychylną dla nas możliwością to jest okupacji rosyjskiej, jeżeli taka nastąpi. Naród polski wytrwa w swojej postawie i własnej identyczności narodowej,

własnej treści duchowej. Z wyjątkiem, oczywiście, garstki jednostek. A teraz dalej. Zupełnie konkretne nadzieje możemy wiązać z ewolucją zachodzącą w Rosji. Rosja, proszę pana, którą pan poznał w latach 39/40...

— Czterdzieści, czterdzieści jeden.

— Mała różnica. Rosja z roku 1944, to już nie tamta. Przyszłość niesie niewątpliwie wielkie przeobrażenia w społeczeństwie rosyjskim i to też jest jeden z elementów budowania naszej przyszłości. A z drugiej strony musimy zdać sobie sprawę, że Rosja która rozbija potęgę niemiecką, jest dziś u szczytu potęgi własnej. Zaś Polska nie tylko słaba, ale i okupowana przez wroga. W żadnym więc wypadku nie stać by nas było na opór przeciw Rosji, a już tym bardziej na mrzonki z roku 1920, „oswobodzenia sąsiadujących z nami narodów”. Abstrahując od tego, że ta Rosja jest dziś sojusznikiem naszych najpotężniejszych sojuszników zachodnich, od postawy i dobrej chęci których przyszły los Polski zależy. — Wyjął ręce z tylnych kieszeni spodni, przełożył je do bocznych i przez chwilę kołysał się w obcasach, patrząc w górną część okna.

Mimowoli przeniósł tam wzrok również Leon. Widać było odcinek dachu, komin, i to że deszcz przestał padać. Julian siedział nieporuszony, z dłonią wyciągniętą na biurku, i tylko czasami unosił brwi przy poszczególnych zdaniach, nie wiadomo czy w znak aprobaty, dezaprobaty, czy innej jakiejś myśli ukrytej pod maską kamiennej powagi.

— Wy może, tam na prowincji, nie zdajecie sobie sprawy w pełni — ciągnął gość — o czym my tu mamy dokładne informacje. Jak dalece możemy liczyć na naszych sojuszników i im w pełni ufać. Niedawno w „Biuletynie”, to jest centralny organ AK, ukazał się artykuł pod tytułem: „Churchill, wielki przyjaciel Polski”. I to jest prawda. Wiara w naszych aliantów jest u nas niezachwiana, i nie mamy zamiaru jej w niczym zachwiać. Popularność w całym narodzie ogromna. Wystawiać na próbę ich przyjaźń, przez jakieś posunięcia czy gesty antyrosyjskie, oznaczałoby po prostu wystawiać na próbę przyszły los Polski. Takie jest stanowisko całego narodu, i jego podziemnego kierownictwa. Jeżeli pan wróci do Wilna, to zechce pan tam powiedzieć...

— Przepraszam — ośmielił się Leon przerwać, i aby złagodzić swą śmiałość przydał słowom wyraźnie podkreślony respekt: — Ja tylko w formie zapytania. A te napisy, które widzi się na murach: „PPR podłe pachołki Rosji”?

— Niektórzy piszą: „płatne” pachołki... — wtrącił Julian, unosząc brwi.

— Tak. Tak jest. — Prelegent (bo tak go obecnie nazywał

w myślach Leon), zatrzymał się po środku pokoju, i z kolei przełożył ręce do kieszeni swej szarej w paski marynarki. — Skoro już o tym mowa. Tak jest. Nie będę naturalnie negował, że PPR robi nam poważną dywersję i stara się infiltrować nasze szeregi. Kolega najlepiej wie... — zrobił ruch głową w kierunku Juliana, który uniósł brwi, by natychmiast opuścić je wraz z powiekami. — Mieliśmy w zeszłym roku na ten temat nawet poważne narady. Delegatura... Postanowiono nawet powołać tak zwaną komórkę „A” dla kontrakcji propagandowej. Coś tam wydano w ulotkach. Nie będę ukrywał, bo kolega tu, pański kuzyn, może wie lepiej ode mnie, że i z naszej strony posmarowano tam ściany. Dziś robi to jednak NSZ i temu podobne nieodpowiedzialne elementy. A że nadpisy wszędzie widać to, między nami, dlatego że Niemcy nie każą ich ścierać. Tylko naturalnie, nie trzeba o tym głośno mówić. Natomiast — zaczął znów chodzić tam i z powrotem — należy z całym naciskiem podkreślić, że poza tą akcją czysto propagandową, której zresztą też byłem przeciwny, padł na naszych naradach tylko jeden jedyny głos za jakąkolwiek bądź akcją antykomunistyczną. Wszyscy uznali ją...

— „Zieliński” — uniósł brew Julian.

— Tak. Uznali walkę z komunistami za „walkę bratobójczą”. Jestem w tym punkcie zgodny szczególnie — zwrócił się do Juliana — wiecie, z naszym kolegą „Prezesem”.

— „Rejentem” — poprawił ten, opuszczając brew.

— Tak. Który nie dopuścił do tego, aby organy AK dały się wciągnąć do zwalczania społecznej treści komunizmu, ani do oporowania antykomunistycznymi faktami podejrzanej prawdziwości. Natomiast, gdy Niemcy ogłosili, że stracono 200 komunistów, polecił ogłosić: „Dla nas, to giną Polacy!” Potępione też zostały jak najsurowiej, specjalnym rozkazem AK, pamiętam numer 122, wszelkie zbrojne wystąpienia przeciwko komunistycznej „Armii Ludowej”.

Leonowi wydawało się, że zapada coraz głębiej w wygodny fotel, z którego nie ma ochoty powstawać.

— A co to jest NSZ i pokrewne organizacyjki, nie potrzebuje chyba panu mówić — ciągnął. — Warcholstwo, bardzo zbliżone do zdrady. Jest tu jeszcze taka organizacja „Miecz i Pług”, która starała się nawet o legalizację u gubernatora Franka. Ale Niemcy ich napędzili, bo Polacy dla nich nie egzystują. Teraz dopiero zaczęli zabiegi. To u Studnickiego, to u Goetla, Skińskiego, hrabiego Ronikiera i temu podobnych. Ale to już trochę za późno. Nikt już nie idzie. Może jeden Skiński. To bez znaczenia. Mamy o tym dokładne wiadomości. Karta niemiecka jest nie tylko zgrana, ale zdarta do krwi i ran. Książd Trzeciak, czy książd Kwiat-

kowski! To są dziś, proszę pana, śmieszne figury. I tylko takie figury myślą jeszcze o antykomunizmie. Reasumując, sytuacja jest taka: bez jednego słowa ze strony propagandy rosyjskiej, wszelki antykomunizm jest skompromitowany do cna. Nie jest aktualny. — Tym samym energicznym ruchem podał efektownie rękę Leonowi, i wykręcając się w miejscu zwrócił do Juliana: — Jutro?

— Tak, o umówionej porze.

Wyszli do przedpokoju. Leon zapalił papierosa, i stwierdził z ulgą, że za oknem wypogadza się.



Julian wrócił zacierając ręce:

— Na obiadek! Prowadzę cię do „Złotej Kaczki”. Rosół z pasztecikami, jakich przed wojną nie jadałeś. No więc, wysłuchałeś tego wysoko postawionego pyszałka. Niestety, on ma więcej racji niż ty. No bo, jak inaczej? Zresztą poznam cię z nie jednym jeszcze z „radców”, radzących nad zbawieniem ojczyzny. Sam zobaczysz.

Zakąska, rosół z pasztecikami, kura w potrawce, wódeczka zamrożona, wszystko było wyśmienite. Julian, żartując z panią- kelnerką, zapłacił 2.800 złotych „młynarkami”. Ale zażądał jeszcze kawy.

— Tylko, moja złociutka! Pani wie, jaką?

Tamta odkiwnęła, chowając w sakiewkę pod fartuszkciem pieniądze.

— Myślisz, że tamten gość był „różowy”? — Podjął Julian, rzuciwszy wokół okiem i stwierdziwszy że ich nikt nie słyszy. — Nic podobnego. Inteligentniejszy od innych. Widzisz, chcę cię wtajemniczyć w samo sedno. Przede wszystkim panuje dyktatura absolutna. W takiej walce zresztą inaczej być nie może. Dyktatura nie tylko działania, ale myśli. Na takie więc myśli, jakie ty wygłaszasz, trzeba mieć licencję. I to bardzo ściśle cenzurowaną. Na żadne indywidualne hocki-klocki nie ma miejsca.

— W Sowietach się mówi: „obiektywizowanie”.

— Bardzo słusznie. Nie czas po temu. A teraz, jeżeli weźmiesz pod uwagę poziom tych „cenzorów”, za głowę się chwycisz. Abstrahując w tej chwili od racji, czy nie racji, której, powtarzam, tobie nie przyznaję. Sam fakt. Jeżeli szefem takiego BIPu, czyli biura informacji i propagandy, czyli dyktator prasy i polityki AK, weryfikacji patriotycznej, cenzor publicystyki i literatury, czystości linii, słowem kontroler ducha narodowego, jest jakiś podpułkownik, nie wiem czy dyplomowany, który poza tym lewą nogą jest po tamtej stronie. Jeżeli weźmiesz, że członkiem komendy

głównej jest taki Kirchmayer, znam go dobrze, który nie ukrywa że jest duszą po sowieckiej stronie... A zastępca szefa sztabu, już jawny prosovietczyk, Tatar.

— Jak?

— Ach, mniejsza! Jeżeli weźmiesz, że w cywilnych władzach jest jeszcze gorzej pod tym względem... — Przerwał, bo do stolika zbliżał się szczupły pan. — Skądże pan, panie Aleksandrze?!

— Widzę, że idzie jakaś debata polityczna.

— Radzimy naturalnie, co mamy robić. Mój kuzyn z Wilna. Co to, ma pan w kieszeni nowy numer „Przełomu”? Cóż ta świnią znowu wypisuje?

— Skiwski nie jest świnią, moim zdaniem, ale niestety, nie jest politykiem. — Pan Aleksander zaczął mówić jeszcze zanim usiadł na krześle. — To co on robi jest bez sensu. Sens polityczny polega na tym, by za jakieś działanie uzyskiwać jakieś korzyści. To tu, nie przynosi żadnych. On nie potrafi tego sprzedać. Polityka realna jest sztuką sprzedawania. To mogłoby być pożyteczne, gdyby on potrafił swój „Przełom” sprzedać Niemcom za jakieś koncesje narodowe, ulgi, złagodzenie terroru.

— No tak, drogi panie Olu, ale od słowa „sprzedawac”, pochodzi też słowo: „sprzedawczyk”.

— To jest demagogia, co pan mówi. Celem aktualnej polityki powinno być ratowanie substancji narodowej, która jest zagrożona. A nie jak Hotentoci rzucać się z nożem w zębach. To co robi nasze Podziemie, to jest zbrodnia.

— A jak wkroczą Sowiety? — spytał Leon.

— Jak wkroczy Rosja, powinien zacząć wychodzić nie jeden, a sto „Przełomów”, które za cenę współpracy z Rosją dadzą nam konkretne, realne korzyści. Naturalnie, biedny Skiwski będzie musiał uciekać, albo zostanie powieszony. Ale jego miejsce powinno zająć stu Skiwskich *à rebours*, którzy potrafią coś od Rosji wytargować.

— I sądzi pan, że komunizm...

— Od razu widać, że pan z kresów. Wy tam ciągle jesteście trochę zarażeni „prawosławiem”. Nie ma żadnego komunizmu, jeżeli był w ogóle. Komunizm to pretekst. Jest Rosja, która posługuje się hasłami komunistycznymi wyłącznie dla celów imperialnych. Decydująca jest rosyjska państwowa racja stanu, z którą powinniśmy szukać kompromisu w płaszczyźnie polskiej racji stanu. Trudno, przegraliśmy wojnę i powinniśmy wrócić do taktyki i myśli politycznej obozu konserwatywnego sprzed 1914. *A propos*: słyszeli panowie, że Rosjanie wkroczywszy do Łucka wyznaczyli na burmistrza miasta akurat biskupa Szelążka?

— Kto by nie słyszał — odparł Julian — ale czy to spraw-
dzone?

— Nie byłem w Łucku. Wiem tyle o czym mówi cała War-
szawa.

— Pan Aleksander — Julian potoczył szeroko dłonią, jakby
go po raz drugi przedstawiał — był wybitnym reprezentatem
„Myśli Mocarstwowej” przed wojną.

— I jestem w dalszym ciągu.

— W trochę zmienionych okolicznościach.

— W zmienionych warunkach.

— A co księżę mówi o sytuacji?

— Księżę podziela moje zdanie.

Leon nie miał pojęcia o jakim księciu mowa i rzucił od nie-
chcienia i bez obraźliwej intencji:

— Księżęta i biskupi zawsze idą z silnymi.

Pan Aleksander z zewnętrznej postaci i wąsików zdobiących
górną wargę, wyglądał raczej na pisarza prowentowego. Ale oczy
jego zdradzały bystrą inteligencję. Nie potraktował też tej uwagi,
wtrąconej mimowolnie, za docinek osobisty. Zapytał:

— A pan naprawdę sądzi, że jakaś idea komunistyczna od-
grywa jeszcze rolę?

I oto nagle, z przyczyn pozornie niewytłumaczalnych, Leon
nie odpowiedział. On, który jak twierdził, przyjechał rzekomo aby
przekonywać „inteligentnych ludzi”, zrezygnował z okazji. A może
skorzystał tylko, że zbliżała się kelnerka z tacą.

— Ach, złociutka pani Ado! — zawołał Julian. — Niechże
mi pani wybaczy, doprawdy, że panią tak eksploatujemy. Ale
jeszcze jedną filizaneczkę dla pana Aleksandra.

Pani Ada postawiła maszynkę kawy.

— Z likierem?

Pan Aleksander powiedział, że nie pije, więc i tamci odmó-
wili.



Julian z Leonem wracali piechotą. Ulicą Królewską, skrzyśli
na Mazowiecką. Niebo się przejaśniło zupełnie. Szli powoli po wy-
sychających plamach wilgoci na chodniku.

— Skąd właściwie ten dobrobyt w Warszawie? — rzucił
Leon, przypominając rachunek, który kuzyn zapłacił za obiad.

— Bardzo naturalne zjawisko ekonomiczne. Zrzuty. Miasto,
w które wpompowuje się miliony dolarów, funtów i złotych mo-
net. Nie licząc dziesiątków milionów w „młynarkach” i markach
niemieckich. Ktoś mi mówił, nie wiem czy prawda, że dotychczas
zwalono do jednego AK około 30 milionów dolarów w „miękk-

kich”, i z pół miliona „twardych” w złocie; pięćdziesiąt milionów „młynarek” i prawie dwa tysiące suwerenów brytyjskich. A ile otrzymała Delegatura, tego już nie wiem. Drugie tyle, albo więcej. Z tego się przecie nie strzela. Strzela się z dodatkowych zrzutów broni i amunicji. Pieniądze idą normalną drogą w obrót, i jak zauważyłeś, obraca cała Warszawa. Poza własnym potencjałem gospodarczym. To, jedno miasto. A teraz weź zaplecze. Chłop w tej Ge-ge ma się znakomicie. Niemcy niszczą inteligencję, a chłopu dają jakieś tam kredyty, ziarno siewne, maszyny, premie i różne inne rzeczy. Tylko, naturalnie nie trzeba o tym głośno mówić. Chłop, słowem, przyjeżdża z babą do miasta po legendarne „fortepiany”, które ładuje na wóz, obrazy i materiały. To wszystko razem stwarza ruch i szaloną spekulację handlową. Naturalnie nastrojów to na wsi w niczym nie zmienia. Bo o ile strona materialna jest świetna, o tyle strona moralna z pejszem do Murzyna. Ale to inna sprawa. Coś z tej kategorii, dlaczego Żydzi którzy, chociaż się mówiło: „wszystko jest w ich ręku” przed wojną, nie byli zachwyceni z życia, gdy im się biło szyby i urządzało *numerus clausus*.

— Patrzcie! Ty przecież zawsze byłeś antysemitą!

— Nie mogę nim być, gdy Żydów już nie ma. Ale wracając do Warszawy. Ty wiesz, że sztab złota nie wolno posiadać. Przekuwa się więc na bransoletki na surowo, których nie włożysz nawet na rękę, tak drapią. Bo biżuterię posiadać można. I handluje się tym złotem na kila! Najlepsze werki zegarków wrzuca do kubła, idzie tylko złota koperta. A brylanty! Ha... Ty wiesz, że ten durny Goebbels napisał raz w swoim „Das Reich” artykuł, stawiając Warszawę za przykład dla miast niemieckich, jak powinno się „improvizować życie podczas wojny”. Sądzę, że gdyby tam zrzucano zamiast bomb złoto, też by potrafili „improvizować”. Oczywiście, nie należy o tym głośno mówić... — Uczynili jeszcze kilkanaście kroków milcząc, po czym Julian zakończył: — Tak, tak, prywatna inicjatywa w handlu to wielka rzecz. Odwrotnie niż prywatna inicjatywa w polityce, która jest, nie obrażaj się, psu na budę. — To były jego ostatnie słowa, gdyż w tej chwili ich poobiedni spacer urwał się gwałtownie.

Zbliżali się do Placu Napoleona. Stamtąd biegł pojedynczy człowiek, ale tuż za nim jeszcze dwóch. Julian błyskawicznie uskokczył w bok, zanim padły strzały, i szarpnął za palto Leona. Centrum zdarzenia musiało się znajdować gdzieś na rogu Moniuszki, a więc w dużym oddaleniu. Był napad na bank. Strzelanina przysnęła we wszystkie strony. Ktoś musiał zawczasu powiadomić Gestapo. Helmy ukazały się już u wylotu Mazowieckiej. Powstało wielkie zamieszanie.

— Halt! Haaaalt!... — Zaszczekał Schmeisser. Jeden z biegnących padł.

— Tędy! — krzyknął Julian i przebiegł otwartą bramę.

— Haaaalt! — Od muru bramy poleciały wraz z rykoszetem kul odłupane drzazgi.

— Tędy! — Julian podkurczając nogi pod wydatny brzuszek, biegł, typowo po cywilnemu, dziarsko skręcił w prawo, w inne podwórze, w ruiny z roku 1939, na drugą stronę; pochylił głowę w otwartym przebiegu, śladem jego Leon. — „Pi-pi-pi-piuuu...” sypnęło tuż nad głową. Julian wciągnął ją raptownie w ramiona. Jego jasne, z wielbłądziej sierści palto zwijało się w skrętach ciała. Ktoś, tam, zaczął się rozpaczliwie odstrzeliwać. To ich ratowało. Już byli za drugim murem, wpadli od tyłu na podwórze innej kamienicy, stamtąd przez ulicę do nowej bramy... Świetnie się orientował Julian! — „Panie starszy!” krzyknął przebiegając, do stróża, „zamknij pan bramę na spust!” — Znowu na prawo, podwórzem pod prostym kątem na lewo, po jakichś schodkach. Mur, podwórze, nowa brama, jakiś plac, jakaś ulica. Poszli śpiesznie chodnikiem. Jeszcze jeden zakręt, jeszcze jeden. Leon przestał się orientować, gdy raptem wyszli na ulicę Marszałkowską, po której płynęło normalne życie.

— Pfu — odsapnął Julian. — Ale sypnęli z rozpylacza. Patrz... — Zdjął kapelusz. — Przestrzelili, dranie. Pierwszorzędny „Habig”. Na śmietnik, i już trzeba kupować nowy. A ty się jeszcze pytasz skąd bierze się obrót handlowy. Tobie nic?

— Nic.

— Weźmiemy chyba „rikszę”, bo nie zdrowo tak biegać z kurą z białym sosem w brzuchu... Panie riksza, na Górskiego, tylko okólną drogą przez Aleje i Bracką.

— Już się robi, panie dziedzicu!

— Jaki tam ze mnie dziedzic, na donicze pelargonii. Powiedz pan lepiej, Kusociński na długim dystansie z przeszkodami — wgramolił się i ciężko opadł na przednie siedzenie rowerowej dorozki, obok Leona.

— Rozstrzelany w czterdziestym na Palmirach — odpowiedział riksza pchając z tyłu. Po czym wskoczył na siodełko i nacisnął pedał.

— I to prawda. Zapomniałem. Wieczny odpoczynek.

— A u szanownego pana mecenasa, cylinder przedziurawiony na dwie strony — pedałowal, wydychając odorem bimbru za ich plecami riksza. — To pewnie dla przewietrzenia фикса-брылантаыны.

— Nie, taki już znalazłem na ławce w Ogrodzie Saskim. — Julian zdjął kapelusz, położył na kolanach i, mimo zimnego wiatru, dojechał z gołą głową do domu. Tu zapłacił za przejazd, zawałał

się chwilkę i podarował kapelusz rikszy. Tamten obejrzał najpierw firmę.

— Dziękuję za dar narodowy. Może będzie kiedyś tyle wart co „Szczerbiec” na Wawelu.

Jeszcze na klatce schodowej, przed drzwiami, usłyszeli jak dzwoni telefon w mieszkaniu. Telefon w pustym mieszkaniu ma zawsze szczególny wydźwięk ludzkiego wołania. Julian otworzył szybko zatrask, zdążył doskoczyć i chwycić słuchawkę z aparatu na biurku.

Z zachowaniem zwykłych konspiracyjnych formuł, zavezwany został śpiesznie w sprawie nie cierpiącej zwłoki, na tajemne spotkanie.

LXXX

Front sowiecki zbliżał się nieustannie.

Z nim razem, nierównym krokiem, coraz to oglądając za siebie, kroczyła wiosna. Na północ odleciały gile. Z południa przyleciały szpaki, gawrony i zięby. Dmuchał zimny wiatr nad przemarzłą jeszcze skibą, i w tym wietrze próbował dzwonić nierozsądny skowronek. Był już początek maja, ale lada chwila można było oczekiwać kwietniowego szkwału, który będzie sypał, zaczął śnieżną kaszką.

Po takim polu, nad którym zawisł oddech wiosny i zimna, szła litewska tyraliera od Murowanej Oszmiany w kierunku widniejącego lasu, gdzie spodziewano się osaczyć Polaków. Pożętas, który przyjechał dziś w nocy, kroczył niewyspany koło kapitana Poczobuta i chuchał w ręce. Iść było niewygodnie. Buty ześlizgiwały się po błotnistej nawierzchni zaorania. Takie tam zresztą i było to zaoranie, pożał się Boże! Gdzie nie spojrzysz, wszystko drażniąco kłuje w oczy. „Leśniczy” mówił prawie z nienawiścią w głosie:

— Polacy ogłosili 8 maja dwie odezwy. Jedną od tego ich „Wilka”, drugą od Konwentu polskich partii, do nas, po litewsku. Robią nas odpowiedzialnymi za współpracę z Niemcami i wyliczają wszystkie okrucieństwa, jak oni piszą: „popętnione przez Plechawicziusa”. Ale co oni dalej mówią: że zawsze sami zachowywali się tolerancyjnie i pobłażliwie. I teraz kończy się ich cierpliwość. I przystępują do akcji odwetowej, aby „zniszczyć gniazda antypolskiej przestępczości”. No więc, należy spodziewać się wszystkiego.

Poczobut milczał.

— A sami co — ciągnął Pożełas, wydechając przegorzkniałą wonią samogonu, którą porywał mu z ust zimny wiatr i rozpyłał w powietrzu. — Zajęli w kwietniu Troki, a naszych znaleziono później pomordowanych w lesie. A co zrobili z księdzem Jakow-nisem spod Mejszagoły. Ja nie widziałem, ale ludzie mówili, że trupa znaleziono później do niepoznaki zniekształconego.

— Może i nie on był.

— A choćby i nie on, to co za różnica. A oszmiański leśniczy Mejliunas, a gajowy w Gierweczach, a urzędnik kooperatywy Ułazas. Mówiono, że pędzono związanych w lejach brodem przez rzekę, a później zamordowano. A 4 maja, przecież sam wiesz, napadli na dwie nasze roty koło Grauzyszek, 22 zabili i 8 wzięli do niewoli, rozebrali do bielizny i puścili przez wsie.

— Otóż te rozbieranie, to najgorsze. Nic tak nie rozeźla ludzi jak poniżanie godności. Tacy, jak dorwą znowu karabina, to gotowi i dzieciom czaszki rozłupywać kolbą.

— To dlaczego najgorsze? To najlepsze. Tak im i trzeba, ropuchom.

Było to 13 maja. Pierwsze strzały partyzantki polskiej padły nie od frontowego lasu, gdzie jej się spodziewali a tuż, z zagajnika brzozowego nad parowem, z lewego skrzydła. Pojedyncze kule nie zrobiły zrazu szkody, ale wnet zaterkotał automat. „Leśniczy” pochylał głowę i chciał paść na ziemię. O sekundę za późno. Padł jak zamierzał, ale już nieżywy.

Polacy działali bardzo sprawnie. Rota kapitana Poczobuta została rozproszona. Złapanym zdjęto mundury i pognano do Oszmiany, gdzie ich puszczone wolno w jednych kalesonach. Drugą rotę osaczono we dworze Murowanej Oszmiany. Też zwolniono na cztery wiatry, w samej tylko bieliźnie. Na śmiech ludności. Ale ludność się nie śmiała. Chowiała po chatach, w obawie krwawego odwetu za każdy uśmiech.

Wysłany w pogoń wzmocniony oddział tzw. „Lietuvos Vietine Rinktine” natknął się koło Jaszun na zasadzkę polską i stracił 20-tu ludzi w zabitych. Reszta poszła w rozsypkę i z trudem zaledwie zdołała osiągnąć swe umocnione stanowiska.

Po czym główne walki przeniosły się w rejon Ejszyszek. Bardzo dużo Polaków zakatowano w tym czasie na śmierć.



O śmierci swego przyjaciela Pożełasa, „Leśniczego”, nie dowiedział się Henryk nigdy. Ani też o tym, że ze zwolennika „porozumienia” z Polakami, przedzierzgnął się w zaciętego stronnika

walki na śmierć i życie. Mógł wprawdzie Henryk przypuszczać, że zginął on gdzieś, ale wtedy sądziłby raczej że padł ofiarą represji niemieckich.

Bo 15 maja przybywa z Rygi do Kowna generał-SS Friedrich Jeckeln, omawia rzecz z generałem-SS Hintze i zaprasza Plechaviciusa wraz z jego sztabem na konferencję. Przybyli wysłuchują nowych żądań: dodatkowe 70 tysięcy ochotników, które mają być włączone do jednostek niemieckich; nadto 30 tysięcy do służby pomocniczej przy Luftwaffe; 80 tysięcy ludzi na roboty do Niemiec. Niezależnie od tego, wszystkie działające w terenie oddziały litewskie przechodzą pod bezpośrednią komendę policji i będą używane według zapotrzebowania, możliwie nawet przerzucone na front zachodni. Punkt, basta.

— To jest ultimatum?

— To jest rozkaz.

— Odmawiam jego wykonania.

Plechavicius i 28 oficerów jego sztabu zostaje na miejscu aresztowanych i zesłanych najpierw do obozu w Salaspils koło Rygi, a stamtąd do kacetu w Stutthofie. 3.500 żołnierzy zostaje włączonych do jednostek policyjnych pod komendę niemiecką. Stu aresztowanych, z tej liczby 83-ech, którzy stawiali opór, rozstrzelanych w Wilnie dla przykładu. Reszta rozbiega się po lasach, organizuje małe bandy i partyzantki, które walczą głównie z Polakami.



Czerwone plakaty rozklejone na murach Wilna obwieszczają o masowej egzekucji opornych.

— Nic już nie rozumiem — mówi Halina, wzduszając ramionami. — Teraz swoich katów raptem rozstrzeliwują.

Henryk idący za nią z tyłu, przystanął na rogu Zamkowej, przebiegł oczyma nazwiska na plakacie, nie znalazł nikogo ze znajomych, a o Pożelasie nawet nie myślał w tej chwili. Niósł worek kartofli na plecach. Halina szła przodem prowadząc Józia za rękę. Pierwsze ciepło, pierwsza naciągająca burza. Jaskółka strzeliła nisko wprost w Henryka, jakby chciała przelecieć go na wskroś, jakby już nie żył i był pustym miejscem na ziemi, ale wykręciła w ostatniej sekundzie. Chwila ciszy. I nagle ostry ton targnął wierzchołkami kasztanów. To zawołanie bojowe powietrza. Zaraz spadną pierwsze krople, rozprysną się na płytach w mokre piegi.

— Chodźmy prędzej! — zawołała Halina. — Józio może przemoknąć.

Henryk poprawił worek na ramieniu i przyspieszył kroku. Doszli jeszcze przed deszczem.

Dzieci dostały chleb z marmeladą i Halina ułożyła je spać. Sama zasiadła do obierania kartofli. Henryk miał wolny dzień. Kartofle były stare, częściowo pączkujące, inne w czarne plamy. Patrzył jak wycinała je nożem i zdawało mu się, że palce i szybki ruch noża w nich, działają jakby pod wpływem samoistnego impulsu i odrady do tych gnilnych tkanek, które trzeba było wyrzucać precz.

— Obierek więcej niż kartofli — wierzchem dłoni odgarnęła włosy z czoła. — Gdzie to właściwie rozstrzeliwują? — „Plusk”!, wpadła biała, zniekształcona bulwa do wiaderka z wodą. Za oknami pluskał deszcz.

— W Ponarach i gdzie indziej. Miejsca jest dosyć. — Zamyslił się, patrzył spode łba na jej palce. — W dziecinnej pamięci pozostało mi pewne, wiesz straszne miejsce straceń. Miałem lat dwanaście. Ty może... ty pewnie słyszałaś od... Zakrzewskiego. Mój ojciec miał fach czyszciciela pomników.

Nie odpowiedziała.

— Są miasta, gdzie gołębi jest tyle, że z różnych względów higienicznych, magistraty postanawiały nagle zmniejszać ich ilość. Mój ojciec nie miał z tym nic do czynienia, ale jego zawód, sąsiadował niejako z tym. Bo gołębie obsiadają pomniki wielkich ludzi i gromadzą się na placach przed nimi. Moje pierwsze zastanowienie nad człowiekiem. Była ranna słoneczna pogoda. Ojciec pracował wysoko na pomniku. Nagle zajechał mały wózek i wysiadł człowiek. Wyjął woreczek i zaczął sypać ziarno gołębiom. Pomyślałem, pamiętam: „Jaki to dobry musi być człowiek, by tracić czas i pieniądze na ziarno, byle nakarmić głodne ptaki. I jak można się w ludziach mylić, gdyż on z pierwszego wrażenia wydał mi się niesympatycznym”. W tej chwili zaczęły zlatywać gołębie. Masa. Sto, trzysta. A on sypał w jedno miejsce na bruk. Gołębie, pik-pik-pik, jeden przy drugim, jeden przez drugiego, bo on sypał wciąż w to miejsce i im na skrzydła, na karki. A one dziób-dziób-dziób w kłębowskiu. Wszystko trwało kilka minut. Nagle człowiek z woreczkiem odszedł kilka kroków i spojrzał na gołębie jakoś tak... W tej chwili usłyszałem huk! To był huk ze trzystu skrzydeł, które raptownie, wszystkie naraz uderzyły w powietrze i całą skłębioną masą zerwały się w górę! Ale zaledwie na metr, półtora od ziemi... By tym samym kłębowskiem runąć w dół. Wiły się w strasznych bólach, przedśmiertnych konwulsjach, załamując skrzydła, wyciągając różowe łapki, chwytając powietrze otwartym dzióbkiem. Masa śmierci. Nie pamiętam ile sekund minęło w moim mózgu, zanim zrozumiałem, że ziarno było zatrute... A człowiek wy dostał z wózka skrzynkę drewnianą, podszedł i zaczął pakować do niej umierające gołębie, upakowywać,

uciskając jak śmiecie, jeszcze żywe, ruszające się w przedśmiertnych drgawkach, łamiąc im kości, głowy, nogi, śpiesząc widocznie w inne miejsce. Magistrat zarządza taką rzecz na wiosnę, bo wtedy w gniazdkach zdychają też i małe gołąbki z głodu, które czekają na pokarm rodziców...

W tej chwili Józio zaczął szlochać.

— Ach! — zerwała się Halina. — Co ci przychodzi do głowy opowiadać takie straszne rzeczy na noc! Cicho dzieci, śpijcie spokojnie. Wcale tak nie było. To nieprawda. Gołąbki pojechały do lekarza, lekarz je wyleczył i one poleciały na dachy i nakarmiły dzieci. Lydzia, połóż się na bok. Zidiodziałeś chyba żeby takie historie wygadywać przy dzieciach!

To były jego wspomnienia. Wspomnienia dziecinne. Chciał jej opowiedzieć, i ten straszny wybuch nienawiści, który usłyszał w jej głosie, wywołał i w nim coś na kształt nienawiści do niej, do przeszłości, do wszystkiego. Byłby ją może uderzył, gdyby właśnie nie dzieci. A Józio szlochał jeszcze.

— No śpij już kochany, śpij — powiedziała odkładając nóż i wycierając ręce o fartuch. Przysiadła się do dziecka i cicho, łagodnie, zaśpiewała mu śliczną piosneczkę:

*„Nie trzeba smuć się i płakać,
Mój maleńki, mój maleńki...”*

Henryk też słuchał z pochyloną głową. Ktoś mu kiedyś tę piosneczkę śpiewał, śpiewał... Z komórkami pamięci nie jest tak, jak twierdzą lekarze. Bo w jednych się gromadzą złe, w innych dobre wspomnienia... A o śmierci wiemy tyle co wszyscy. To znaczy nic poza tym, że śmierdzi rozkładem. Nic więcej. Pod tym więc względem każdy człowiek jest naprawdę i idealnie równy papieżom, królom, prezydentom, wodzom, dyktatorom i nawet pierwszym sekretarzom partii.

LXXXI

Począwszy od pierwszej burzy zaczęło już pachnąć latem. Na kalendarzu był czerwiec.

Ta ostatnia podróż służbowa Henryka była wynikiem przypadku. W HKP panował rejwach, zamieszanie wywołane zbliżającym się frontem. Podobnie w resztkach tego, co jeszcze było

niemiecką Zivilverwaltung. Urzędnikowi, który miał jechać w jakowejś pilnej rzekomo sprawie, nawalił wóz, czy też mu go odebrano. Nie musiał to być wyższy urzędnik, raczej pośledniej rangi. Zwrócił się o pomoc do HKP. O żadnej maszynie wojskowej mowy być nie mogło w tym czasie. Topitsch, który był z Henrykiem na przyjacielskiej stopie, powiedział mu:

— Dzisiaj śliczna pogoda. Jak zrobiona dla wycieczki do lasu, co?

Henryk nie miał ostatnio dyspozycji z Podziemia. Wszędzie panował stan podgorączkowy, kontakty się rwały, nawiązywały przez ludzi pierwszy raz widzianych. Rozejrzał się po niebie, włożył pół-wojskową ciepłą wiatrówkę. W jej fałdach łatwiej dawał się umieścić „Walter 9”, którego sobie teraz przysposobił.

— Dokąd pójdzie droga?

— *Ins Grüne*, niedaleko, myślę. Prosił po znajomości.

Czasy dosłownie wisały na włosku. Choć lepiej powiedzieć by, na spuście automatu. Onegdaj jeszcze, człowiek przybyły z Naczy opowiadał, co było pod Ejszyszkami. Wierzyć mu, naturalnie, w każde słowo nie można było. Ale — opowiadał — litewski, po ichniemu virszininkas, Kozakiewicz, w Ejszyszkach, uznał, że utrzymać się dalej pod naporem polskiej partyzantki nie będzie w stanie. Ponoć nawet dostał pozwolenie od Niemców na wycofanie się do Oran. Po drodze partyzanci polscy otoczyli Litwinów, 12 policjantów zabito w walce, dwóch złapanych powieszono, a Kozakiewicza, że to już lato, rozebrano do gołego i puszczono, niech biegnie za tymi którym udało się przedrzeć do Oran... Niemcy, mówił, spalili całą wieś Pierczupie, czy jak one tam; 123 ludzi z kobietami i dziećmi spędzili do paru gumien i spalili w żywym ogniu. A kto uciekał, tego z automatu. Jedenaście, mówią, jednak uciekło. A później spalili sześć chutorów, ale ludzi przy tym, mówią, nie palili... To Litwini teraz mówią, że to prowokacja polska, umyślnie, bo wieś była litewska.

— Ale chutory to na pewno polskie?

— A co do chutorów, to już tak. To polskie były.

Trzeba było jeszcze podreperować przed wyjazdem skrzynkę biegów. I podczas tej reperacji opowiadał człowiek przybyły ze Świącian:

— Nie wiem — mówił — jak tam u was, pod Ejszyszkami. Nie moje strony. Ale koło wsi Mielegiany, co 22 kilometry od Starych Świącian, udało się Litwinom osaczyć oddział polski. Trzydziestu Polaków zabito w boju, a 40-tu rannych zabrano do

niewoli. I wszystkich czterdziestu zakłuto na śmierć. Bagnetami. Ot, jak.

— Orłowski!!

— Już, już!...

Pojechali rannym słonkiem, znaną z wakacyjnych wycieczek szosą brukowaną na Jerozolimkę, na Rzeszę, gdzie zjedli śniadanie. Na Pikiliszki, dawny majątek marszałka Piłsudskiego. Już od rogatek miasta poczawszy, wiało w twarz aromatem ziół i sosny; w parowach dyszało się wilgocią zapuszczonego parku. Wszystko w spotęgowanych dozach, jak zawsze przy pędzie otwartego auta. Rozsiadły wygodnie z nogą na pedale gazu, z łokciem wypartym na zewnątrz, palcami jednej dłoni na kierownicy, z oczami na wstędze połykanej szosy, Henryk słuchał jednym uchem o czym mówili tamci.

Kto był ten drugi, wysoki pan w cywilu, Polak, obok urzędnika niemieckiego? Mógł to być „Komar z Ostlandu”, mógł nie być, ale raczej tak. Grzeczny bardzo i dla Henryka, swobodny w ruchach, widać świetnie ułożony, władający niemieckim zaledwie z lekkim akcentem. Dokąd jechali nie miał pojęcia, a w jakim celu, jeszcze mniej. Na razie wprost na północ od miasta, z małym odchyleniem ku zachodowi. Mówili wyłącznie o polowaniu. Dlaczego ten kraj jest za surowy na bazanty, za niegościnnie na jelenie.

— A przecież zdarzają się łosie? — zagadnął Niemiec.

— Łosie, co innego. To związane z klimatem i naturą. Gdzie są nieprzebyte mszary. Łosie nie dają się sztucznie hodować. Ale co tylko wymaga sztucznego podkarmiania, ginie w naszym twardym klimacie, chociażby dlatego, że będzie zaraz wystrzelane przez kłusowników.

— Ba, kłusownictwo to plaga. U nas w Niemczech, kłusowników pakuje się do kacetów na równi z przestępcami kryminalnymi. Z tego zresztą wyszła ciekawa historia. Ostatnio z kryminalistów utworzono specjalny pułk Waffen-SS, głównie do zwalczania partyzantów. Pod wodzą Oskara Dirlewangera. Okropna zbierania. Ale wśród niej okazał się maksymalny procent „strzelców wyborowych”. To właśnie ekskłusownicy. Opowiadał mi kolega z Mińska... Oni teraz pod Mińskiem.

— A jak jest pod Mińskiem?

— Dobrze nie jest.

— Więc widzi pan, u nas bazanty zastępuje pardwa, również trzyma się niedostępnych mszarów. Poza tym jest zajac bielak, którego w Niemczech nie ma.

— Ryś?

— To rzadko. Gdzieś, pojedynczo.

Później rozmawiali o pogodzie i nowych metodach odchwasczania pól. Z Pikiliszek do Podbrzezia było dziewięć kilometrów. Ale za wsią Pietruńce droga się raptem popsuła fatalnie. To szła jakimś grzbietem bruku, to zapadała w dziury, to znów rozmyta była ostatnią nawałnicą. Henryk co chwila chwycił drugą ręką za kierownicę, która szalała mu w dłoni, zmieniał biegi. Posuwali się krok za krokiem. Raz koła zabuksowały w piasku i trzeba było wysiadać, zrywać świerkowe gałęzie, podkładać pod opony. Pchać.

W przeddzień musiało coś zająć w okolicy, o czym oni nie wiedzieli. Człowiek spotkany przypadkowo i rozpytywany o stan dróg, napomknął, jak to człowiek idący lasem który boi się za dużo powiedzieć, niewyraźnie: Ni to w Janiszkach, aż za Dubińskim jeziorem, ni to w pobliżu samego Podbrzezia, czy też w obydwóch miejscach naraz. Płatał nazwy, ale ktoś kogoś wymor-dował w każdym razie. A czy Litwini Polaków, czy Polacy Litwinów, Bóg jeden w tej strzelaninie rozezna... „rozbierze się”, jak mówił. Gołe trupy, owszem, widział. Z Podbrzezia, mówili ludzie, poszła w tym kierunku rota, jak oni nazywają, „samoobrony”. A on sam, nietutejszy, aż z Nowych Werek. To więc dał się bokiem, dalej od biedy, bo jak takiego obcego przyłapią, to zaraz wezmą albo za partyzanta, albo za szpiega i z pętlą na szyi na sosnę. Oni czasu nie tracą.

— Kto?

— A ktoniebądź. Człowiek żyje, jakby chodził w chomacie.

— To co mówisz, że z pętlą na szyi — Henryk cyknął śliną na bok. — Co pętlą, to nie chomąt.

— *Na, los!* — Skomenderował Niemiec, który niewiele rozumiał, mimo tłumaczenia.

W Podbrzeziu zastali słaby posterunek litewski, który przepuścił ich, spode łba hełmów niemieckich, milcząc, ponuro dostrzegając mundur urzędnika Zivilverwaltung. Skręcili na prawo. Kazano Henrykowi jechać szeroką, piaszczystą drogą na wieś Sużany. Zaczął się las sosnowy po obu stronach.

Niespodziewanie z leśnego zakrętu wychyłała naprzeciw rota litewskiego oddziału z oficerem na czele. Szli w całą szerokość drogi, pokryci kurzem, porozzpinani, złym jakimś, ciemnym rojem, i na widok samochodu już zdejmowali karabiny z ramion. Henryka ukłuło złe przecucie w chwili, gdy oficer, nie ustępując z drogi, dał ręką znak zatrzymania. Następnie podszedł do maszyny... Sekunda, i rozegrała się zaskakująca scena: gdy zobaczył na tylnym siedzeniu owego pana w cywilu, oczy mu się zwężyły, zęby zacisnęły w szparę ust i skóra zaczęła drgać na policzkach. Czy on znał

pana Komara? Bo Henryk go nie znał. Czy domniemany pan Komar znał tego oficera? Coś w każdym razie musiało być... Gdyż gwałtownym szarpnięciem wyrwał on drzwiczki i wrzasnął zachryple:

— Won z maszyny!

Stało się za szybko. Niemiec zerwał się i potoczył tak zawsze wypróbowaną „Kommandostimme”, prawą dłonią chwytając za futerał pistoletu. Ale gest ten nie odniósł już zwykłego wrażenia.

— *Halt Maul!* — odwrzasnął mu Litwin w twarz złym akcentem. Byli otoczeni kupą żołnierzy z gotowymi do strzału karabinami.

Henryk zdążył jeszcze zauważyć bladą jak papier twarz uprowadzanego do lasu, oraz szczegół techniczny, że Litwini uzbrojeni byli tylko w stare czeskosłowackie karabiny i żaden nie miał automatu... Później działał już odruchem instynktu: Wysiadł ociężałe, z szoferską obojętnością, szeroko rozstawiając przysiedziały nogi i, jakby go nic nie dotyczyło co wokół się dzieje, otworzył maskę chłodnicy. Tak pochylony zmierzył odległość do gęstej sośniny w prawo. Tamtego uprowadzono w lewo i tam się tłoczyli. Po prawej ich stronie stał tylko jeden żołnierz. Było trzy kroki. Niemiec krzyczał jeszcze z samochodu z pianą na ustach i to też odwracało uwagę. W tej chwili z lasu padły dwa strzały; to zamordowano uprowadzonego. Henryk skupił się cały w przygotowaniu, a instynkt go nie zawiodł... Bo w tym momencie i usłyszał, i wiedział że to pod jego adresem:

— I tego też!!!

Podniósł znad chłodnicy mętne, niewidzące w przedśmiertnej decyzji źrenice i jednym pchnięciem potężnych mięśni całego ciała, skoczył na prawo w gęstwinę, wyrывая jednocześnie „Waltera” spod wiatrówki.

— Trzymaaaaj!...

Żołnierz, który przedzielał go od lasu, próbował schwytać. Ale Henryk, w półzgięty, zastosował wypróbowany cios: pięścią i żelazem pistoletu jednocześnie, zadał mu straszliwe uderzenie w brzuch! Już był w gęstwinie, ale nie pobiegł zaraz, jeno odwrócił się i strzelił w twarz najbliższego, który chciał go gonić, położył trupem na miejscu! W drugiego! Trzeci raz na oślep, i dopiero wtedy rzucił się do ucieczki w gęsty las. O, on dobrze wiedział jak niebezpieczeństwo paraliżuje zapał pościgu. Gdyby nie to, złapałby go, jak pić dać! Teraz nikt się nie wyrwał na wypródkę, tylko poszła gęsta strzelanina między pniami. Ale nie słuchał gwizdających kul, bo to nie pomaga w biegu.

Wkrótce jednak las zaczął rzednąć. Wybierał więc skos za

większe drzewa, i w tej chwili dostał postrzał w łydkę... „To nic, to nic... To przetrzymam... To nic...” Istotnie, mógł biec dalej, i ta nagła świadomość napełniła go jedną z największych radości życia. A w walce o życie, najważniejsze jest nie upaść na duchu. Oto i mały parów, gęsto zakrzewiony. Nie, nie skorzysta z parowu, to byłoby za łatwe. Tam go będą zaraz szukać. Pobiegnie prosto. Strzały coraz rzadsze, już nie groźne, po omacku, stracili go z oczu. Nadśledzał. I nagle zimno przebiegło mu po skórze: usłyszał ujadanie psa... Puścili śladem psa. Skąd wzięli? Nie widział przed tym psa. Przypomniawszy sobie stary trick, którego wprawdzie dotychczas nie stosował, ale o którym słyszał od innych: wydobyl pudełko z tytoniem i od skraju tego parowu zaczął posypywać swoje ślady. Na szczęście wziął na drogę większy zapas. Szedł prędko lasem i sypał za sobą tytoń. Wysypał wszystko.

Teraz znowu trochę biegiem. Ale, co to z prawą nogą? Acha, postrzał. Przystanął na chwilę, przełożył pistolet do lewej dłoni, a prawą przesunął wzdłuż cholewy buta. Była we krwi.



Niemca wraz z nieuszkodzoną maszyną, komendant litewski zwolnił. Pałał on tylko straszłą nienawiścią do Polaków, spotęgowaną tym, co się akurat zdarzyło ubiegłej nocy. Ni to w Janiszkach za Dubińskim jeziorem, ni to gdzieś bliżej.

O tym się Henryk nie dowiedział, i nie dowiadywał. Jak też o tym, że w 24-ry godziny później przybył do Podbrzezia oddział SS-manów i rozstrzelał na miejscu komendanta litewskiego.



Henryk zajęty był czym innym. Mianowicie sobą. Las, za lasami las. Lato już było posunęło się tak daleko, że nieliczne tylko sikorki powtarzały przestarzałą od marca melodię: „Titi-e, titi-e, titi-e...” Zajęte już były czym innym. Mianowicie karmieniem dzieci.

Henryk pamiętał pierwszą twarz w którą strzelił. Była pokryta czarniawym, niegolonym zarostem i miała młode, przerażone śmiercią oczy. Drugiej ani rusz nie mógł sobie przypomnieć. A pierwszej nie potrafiłby wprawdzie opisać słowami, ale gdyby posiadał talent, potrafiłby odmalować z pamięci jak z fotografii. Tak sobie przynajmniej wyobrażał. Noga trochę spuchła. To było tylko draśnięcie. Las się skończył. Za lasem kwitnąca łąka. Za łąką pola wschodzącego żyta. Wsie omijał. I znowu las. Pachniało

tak mocno że można było, zdawało się, tym zapachem najeść jak strawą.

Teraz zechciało mu się palić, ale w pudełku nie ostało ani szczypty.

LXXXII

— Na czym polegają właściwie twoje ogromne zarobki? — spytał przy śniadaniu Leon swego kuzyna.

— Na znajomości rzeczy. To znaczy na szlifie. Bierzesz brylant, nawet żebyś obtarł zeń pół, czy cały karat, ale z niemodnego dajesz mu nowy szlif, i podbijasz cenę dziesięciokrotnie. Proste?

— Pro... — Leon ziewnął, gdyż wczoraj znów pili do późna. Julian Przyrostowski miał zwyczaj, zależnie od humoru, albo przemilczać wszystko w konspiracyjnej dyskrecji, albo raptem opowiadać mu najbardziej, zdawało się, tajne i zakulisowe sprawy i plotki z podziemnej „góry”. Zupełnie jak za czasów niepodległości opowiadało się konfidencyjne plotki z zakulis rządów, kularów sejmowych, z *antichambre*’ów i nawet buduarów, figur decydujących o losach kraju. — Chociaż słowa: „góra” i „podziemie”, mawiał, nie zupełnie się ze sobą rymują. Ale w czasach, gdy świat postawiony jest na głowie, dużo rzeczy się porymowało. — Podobnie i teraz z brylantów zjechał na temat onegdajszego telefonu:

— Wyobraź sobie niesamowity kij w mrowisko. Tam, w Londynie, wydaje się niektórym panom, że my jesteśmy taka chojracka Polska, jak ty na przykład, że chcemy prowadzić wojnę z całym światem.

Leon uśmiechnął się blade.

— O nienaruszalność granic, o traktat ryski, o antybolszewizm, nieomal robić wyprawę kijowską Piłsudskiego! Słowo daję. Przychodzi z Londynu szyfr ekstrapoufny do pana, nazwijmy go „Antoniego”, że Anglicy z pominięciem naszego rządu, wodza naczelnego etcetera, wysłali swego agenta powiernika: „Brzoza”, czy „Salamandra”, ma montować kompromis między Podziemiem i komunistami. Koordynować naszą akcję dywersyjną z akcją sowiecką. Słowem „wspólny wysiłek aliantów”. Ma przekonywać o konieczności takiego kompromisu. Jakbyśmy już dawno nie byli przekonani. Tymczasem on proponuje, by tego gościa zlikwidować. Możesz sobie wyobrazić: „powiernika Anglii!”. Ba! Teraz wylądowuje na „Dakocie” ta Salamandra, o której już wszyscy

wiedzą, że to dr Retinger, ze 150 czy dwustu tysiącami dolarów w posagu, to znaczy w pasach. I naturalnie ani nasz Bór, ani Soból, ani Grzegorz, ani inne najwyższe szyszki słyszeć nie chcą o tym, by mógł mu spaść włos z głowy. A „Zieliński” z całym swoim aparatem ludowcowym Kierownictwa Walki Cywilnej, naturalnie „Rejent” itp., ścielą się przed tym wysłannikiem w dywanik i podnózek. Więc inna rzecz, że mnie bierze obrzydzenie z jednej strony, a inna rzecz że gadanie o jego likwidacji jest śmieszne i niepoważne. Właśnie była gorąca debata. W której miałem zaszczyt uczestniczyć.

— No, i?

— Jest fakt, wytoczył ktoś argument, że w lutym Wielka Brytania oświadczyła oficjalnie, iż nie gwarantuje wschodnich granic Polski. A nieoficjalnie żąda od Polski, by odstąpiła ziemie wschodnie Rosji.. Z tym, powiada facet, przyjechał właśnie Retinger, aby nas do odstąpienia pół Rzeczypospolitej namówić.

— No i co ty?

— Zapytałem: a jeżeli pan Retinger nas „nie namówi”, to ziemie te nie będą odstąpione?... Powiedziałem: jeżeli Wielka Brytania, mocarstwa zachodnie, „nie gwarantują nam granic wschodnich” dziś, to pozostają one niemniej jedynym czynnikiem, który je nam gwarantować może jutro, pojutrze, czy kiedykolwiek. Które mogą nam w ogóle cośkolwiek gwarantować. Innego czynnika na świecie nie ma. Zabijanie więc ich wysłannika, jest zabawą nieletnich w Indian, ale nie polityką realnego sensu. Zgadzasz się?

Leon nie odpowiedział, tylko przewiesił nogę bokiem przez poręcz fotela.

— Z bardzo subtelną analizą wystąpił pewien, szkoda że go nie znasz... Powiedział: „Proszę panów, chwalimy się że naród w walce z Niemcami jest tak zjednoczony jak nigdy nie był od Mieszka I-go. I to jest prawda. Owszem, mamy się z czego chwalić. Ale to znaczy, w praktyce, że zlewają się w jedno wszystkie elementy kraju. To znaczy i antykomuniści, i prokomuniści, i w ogóle komuniści. Trzeba z tego wyciągnąć konsekwencje, a nie bawić się w niedomówienia. Nikt z nas nie wie z całą dokładnością, w jakim stopniu jesteśmy przepojeni elementami pro- i komunistycznymi. I mało nas to właściwie we wspólnej walce z Niemcami, w tej chwili może interesować. Przybywam powiedział, właśnie z Białegostoku i za bardzo słuszny uważam ostatni rozkaz K.G. z 14 kwietnia do komendanta okręgu „Pełnia”, który zachowanie w stosunku do tamtejszych komunistów poleca szczególnemu taktowi miejscowych dowódców. Jeżeli pan „Salamandra” chce nas nakłonić do współpracy z komunistami, to otwiera

drzwi *de facto* dawno otwarte. Niech się z tym zwraca do NSZ-tu, i do... samych komunistów. Ale nie do AK. I nie ma więcej o czym mówić. Ani o nim, ani o całej sprawie. Alternatywą nie-współpracy, byłaby kontrakcja. A ta, w zespoleniu całego narodu, jest w faktycznie wytworzonym stanie rzeczy, wykluczona”.

— Mówisz, jakbyś sam mówił.

— Wiem, że ci to nie pasuje. Ale czy to nie logiczne? Logiczne. I wiesz kogo oni wysyłają, czy już wysłali, do Londynu jako męża zaufania i znawcę spraw Podziemia, eksperta słowem? Tegoż, którego ci kiedyś wspomniałem. Zastępcę szefa sztabu AK do spraw operacyjnych. O którego prokomunistycznych przekonaniach, czy powiązaniach, wie co najmniej połowa komendy głównej. Logicznie? Logicznie.

Leon nie odpowiedział. Nalał sobie szklankę wody sodowej i wysuszył jednym tchem.

— A może dałeś się już przekonać logice wypadków?... Słuchaj, jest rzecz taka. Ja nie mogę wszystkiemu podołać. Bez twojej wiedzy „zarejestrowałem” ciebie jako mego pomocnika. Czy masz coś przeciwko pseudonimowi: „Kajetan Dobrowolski”?

— Nie mam — odpowiedział Leon i poczuł się podświadomie jakoś zaszczycony.

Odtąd głównym zajęciem „Kajetana” było gromadzenie i segregowanie dla Juliana określonych „wycinków” z prasy podziemnej, którą przynosiła starszawa pani, „pani Stefania”, w okularach, w chustce na głowie, zakamuflowana „pod sprzedawczynię”; zawsze pogodna, uprzejma i milcząca.

Interesowały go zwłaszcza materiały dotyczące PPR, gdzie w głównej teście figurowała na pierwszym miejscu „Deklaracja Programowa PPR”, wydana kilka miesięcy temu:

„... Polska o reakcyjnym obliczu społecznym i politycznym nie mogłaby się utrzymać na widowni międzynarodowej... Linia wewnętrznej i zagranicznej polityki musi być dostosowana do potrzeb i interesów całego narodu, musi wpadać w nurt tego nowego postępowego prądu rozwojowego, który znajdzie swój wyraz w dążeniach mas ludowych — również w innych krajach świata...”

Raz Julian wskoczył do domu na chwilę i, śpiesząc się dalej, rzucił mu na biurko maszynopis na bibułce:

— Schowaj to w skrytce: „szczególnie ważne”.

— Co to jest?

— Memoriał „Rejenta”, szefa Biura Informacji i Propagandy AK. Dostałem do przeczytania, dopiero teraz. Wróć późno. Serwus!

Leon przerzucił kilka kartek:

„15 marca 1944. — ...Dziś większość oddziałów AK nie jest wychowywana wcale... Karność nie jest silna nawet w kadrze oficerskiej, której wartość obniża ponadto brak zrozumienia zjawisk społecznych i politycznych i wyraźnie lewicowych tendencji rozwojowych społeczeństwa polskiego...

... W społeczeństwie nastąpiła niewątpliwie daleko idąca radykalizacja warstw i w ogóle przesunięcie się światopoglądów na lewo... Zgnębione społeczeństwo oczekuje ratunku od rządu i władz krajowych. Jeżeli zostanie zawiedzione... popadnie pod wpływ energiczniejszego i lepszego kierownictwa PPR. Dla niedoświadczonych przywódców pozostanie pogarda i latarnia...

... „Centralizacja Stronnictw Socjalistycznych i Demokratycznych” nie chce współpracować z prawicą, włącznie z SN. Jest zbrojną w hasła odpowiadające najgłębszym tęsknotom mas ubogich, głodnych...

... Naczelnym Wódz jest poinformowany o stanie kraju w stopniu zupełnie nie wystarczającym... Wciągnięcie opozycji prawicowej do obozu rządowego, grozi wojną domową...

... Jeszcze w listopadzie 1939, kiedy z „Grotem” zastanawialiśmy się nad przyszłością Polski, doszliśmy do przekonania, że musi ona iść na lewo, a rolę rozstrzygającą musi w niej odegrać obóz socjalistyczny... Nie zmieniłem zdania...”

Leon przerzuciwszy pobieżnie odłożył, gdyż bardziej interesował go artykuł z 27 kwietnia w „Biuletynie” AK, omawiający społeczno-polityczne deklaracje Rady Jedności Narodowej, oraz reakcje na ten artykuł. Organ Stronnictwa Narodowego, „Warszawski Głos Narodowy”, wskazywał wyraźnie na prokomunistyczne tendencje, i pisał:

„Artykuł w „Biuletynie” jest dla nas jednym więcej dowodem, że w komórcie Armii Krajowej, odpowiedzialnej za propagandę, przeważają ludzie związani z obcymi agenturami”...

Leon nie tylko z imienia przeistaczał się w „Kajetana”, jak to raz zażartował Julian. Żart ten, przyjęty za żart, miał wszelako coś z prawdy. Leon wciągał się coraz bardziej w to pulsujące gorącym tętnem życie politycznej Warszawy. Ale, czy to pod presją otaczającej atmosfery, czy pod wpływem swego kuzyna, warunków życia, ciągłego stykania z ludźmi o bezapelacyjnych poglądach, gaś w nim duch buntu, a zaczynał kiełkować rodzaj psychicznego konformizmu, chęci upodobnienia, czy może to był snobizm? Ludzkie pragnienie „czymś być” i odgrywać rolę wśród tych, którzy nadawali ton i panowali w społeczeństwie?... Gdyby mu ktoś na poważnie zarzucił zmianę przekonań, to by się bronił, zaprzeczał, i zaprzeczenie to uzasadniał przed samym sobą. Ale w gruncie cieszył się, że nie potrzebuje tego czynić.

Już go nie porywał taki na przykład opozycyjny ton „Głosu Narodowego”, ani oburzało, gdy czytał w organie Batalionów Chłopskich, „Żywią i Bronią”:

„... zbrodnie bratobójcze na oddziałach PPRowskiej Armii Ludowej, będą najhaniebniejszą plamą w historii walk narodu o wolność... Nigdy broń Batalionów Chłopskich i AK nie zwróciła się przeciw żołnierzowi komunistycznych oddziałów bojowych!”

Albo w podziemnej agencji prasowej rządzącego stronnictwa ludowego, „Wieś”:

„Wzywanie do zakazu współdziałania z wojskami sowieckimi jest niezgodne z rozkazami Komendanta Sił Zbrojnych w kraju. Jest to wyraźne szkoldnictwo”.

A jakby to oburzało go jeszcze niedawno. Jego, który w pierwszych dniach po przybyciu do Warszawy potrafił w ferworze polemicznym wykrzykiwać: „Nie w świecie złudzeń utrzymuje AK społeczeństwo w kraju, lecz w świecie łgarstwa”! A teraz w odpowiedzi na żart Juliana, odpowiedział żartem:

— Stotalizowałem się...

— Bardzo dobrze, bardzo słusznie. Przychodzą czasy antyindywidualne.

Był łagodny, majowy wieczór godziny policyjnej, miesiąca szczególnie poświęconego Matce Boskiej. Figura Jej na podwórzu kamienicy tonęła teraz codziennie w świeżych kwiatach. Mieszkańcy schodzili się ze wszystkich pięter. Wiaterek poruszał firanką otwartego okna.

*„Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi,
Niech Cię płacz sierot do litości wzbudzi...”*

Nie zapalali światła.

— Chcesz zobaczyć pewnego swego „rodaka” z Wilna? — zapytał pewnego dnia Julian.

— Kto taki?

— Nie mam pojęcia. Jutro rano ma być takie małe zebranko przy ulicy Czackiego.



Było kilkanaście osób. Nikt nikomu się nie przedstawiał. Większość zresztą znała się najwidoczniej wzajemnie. I w tym towarzystwie Leon ujrzał ku swemu zdumieniu „Konrada”. Nigdy go nie lubił, nie mówiąc już o tym że w ostatnich latach dzieliła ich zasadnicza różnica poglądów politycznych. Tamten dostrzegł go pierwszy, i przeprosiwszy zagradzających drogę, trochę z demonstracyjną serdecznością przepychał się w jego kierunku, wyciągając rękę jak do starego towarzysza broni. Być może dostrzegłszy Leona w tym towarzystwie, mniemał że należy on w Warszawie do jakiejś „góry”, czy innej kategorii wybrańców kariery podziem-

nej. I oto Leon, bez wewnętrznego przekonania, ale okazał również prawie wylewną radość ze spotkania, jakby podkreślając tym samym wspólną przynależność do zasługi, którą wzajemnie jeden o drugim mogą zaświadczyć wobec audytorium. Tak się też stało:

— Cieszę się — powiedział „Konrad” do zebranych we wstępie swego przemówienia — że spotkałem tu właśnie towarzysza naszych tam walk, który będzie mógł potwierdzić moją skromną relację.

Było to coś w rodzaju nie tyle sprawozdania, ale rzadko raczej praktykowanego, „prywatnego”, popularnego odczytu, naświetlającego działania partyzantki na Wileńszczyźnie, w kole osób ściśle dobranych.

Leon słuchał:

„... Powstanie naszej partyzantki było przedwczesne z wojskowego punktu widzenia. Ale powodem bezpośrednim jej stworzenia, było danie ochrony ludności. Ludność też nas żywiła. Wolała żywić nas, niż oddawać żywność okupantowi. Partyzantka polska była bardzo popularna wśród ludności. Wieś wileńska i nowogródzka rozumiała, że walka idzie o ich kraj, o ich domy. Spis ludności zarządzony przez Niemców, wykonany przez Litwinów, a więc element, który nie można posądzać o fałszowanie na korzyść Polaków, wykazał w roku 1941, że procent ludności podającej się za Polaków, był o wiele wyższy niż za czasów Polski niepodległej. A powiaty oszmiański i lidzki podały się w 100 procentach za Polaków...”

W tym miejscu Leon po raz pierwszy otworzył usta, gdyż o takim spisie nigdy nie słyszał. I tak, z rozchylonymi nieco wargami pozostał do końca odczytu.

„... Poza tym w Puszczy Rudnickiej grasowały bandy rozbójnicze, gnębiące ludność, któreśmy wytłukli. Nie należy ich jednak utożsamiać z partyzantką sowiecką, o walki z którą nas wielokrotnie posądzano. Wręcz przeciwnie. Pomiedzy nami istnieje najlepsze porozumienie. Pamiętam, jak pierwszy raz zetknąłem się z nią, gdy oddział partyzantki sowieckiej otrzymał pozwolenie przemarszu przez nasz teren. Ochraniały był przez plutony polskiej partyzantki. Na rynku miasteczka stawił się sztab polski przyjmując defiladę oddziału sowieckiego. Wzruszenie ścisnęło nas za gardło... Oto wreszcie ramię przy ramieniu walczyliśmy we wspólnej sprawie...”

... Przez Wileńszczyznę szły główne transporty niemieckie na front wschodni. Mieliliśmy i mamy zadanie przerwać je na dany sygnał. Dlatego Niemcy skoncentrowali przeciwko partyzantce polskiej, prosię panów, kilkadziesiąt dywizji wojska regularnego. A tak przecie potrzebują na froncie wschodnim. Wystarczy powiedzieć, że tylko przeciw naszym zgrupowaniom w Puszczy Nalibockiej, skoncentrowali oni trzy korpusy!... Może by te wojska wystarczyły im do przełamania ofensywy sowieckiej, i dziś byłiby już w Moskwie... Na szczęście, dzieje się odwrotnie... Ostatnio, za pomocą carskiego generała Plechawicziusa, zaczęli Niemcy organizować bataliony litewskie do walki z nami. Ale wkrótce przekonali się, że poprzez bitych i rozbijanych przez nas Plechawicziusów w dużym stopniu wyekwipują polskie oddziały partyzanckie w broń. Nie pozostało więc im nic innego, jak tylko rozbroić resztę oddziałów litewskich...

Chciałbym jeszcze powiedzieć o wielkiej roli BIPu, Biura Informacji i Propagandy AK, które czuwa nad morale narodu poprzez prasę podziemną, której naczelnym organem w Wilnie jest „Niepodległość”...

Odczyt ten zajął pół godziny czasu. Było gorąco w pokoju. Po skończeniu „Konrad”, wycierając chustką czoło podszedł znowu do Leona. Wyglądało, że czeka na słowa aprobaty. W każdym razie wszyscy widzieli, że rozmawiają ze sobą jak starzy przyjaciele.

— Zobaczymy się? — „Konrad” położył kordialnie dłoń na ramieniu Leona.

— Koniecznie. Kiedy wracacie?

— Jak tylko załatwię w Komendzie Głównej. Za kilka dni. No to serwus, bardzo się ucieszyłem. — Nie ustalili jednak ani terminu, ani adresów.

Gdy Leon zbierał się już do wyjścia, podszedł do niego starszy pan, dystyngowany, opierający na lasce, z uśmiechem na ustach tego rodzaju, który zdradzał uprzejmość doskonałego wychowania:

— Moje nazwisko Borkowski.

— Dobrowolski.

— Pan też z Wilna, nieprawdaż? Może mamy wspólnych znajomych. Bardzo mnie interesuje. Czy zechciałby się pan ze mną spotkać?

— Z przyjemnością. Gdzie i kiedy?

— Ja jestem przyjacielem pańskiego kuzyna, pana Juliana. Jeżeli to panu naprawdę nie robi trudności, to może jutro o dziesiątej rano, w ogródku kawiarni „Batawia”? Dobrze?

Leon obiecał. Wrócili piechotą z Julianem, milcząc przez całą drogę. Dopiero prawie dochodząc domu, Julian jakby się zbudził z zamyślenia:

— Dużo zełgał?

— Wszystko.

Jeszcze kilka kroków zrobili milcząc. Julian kupił na rogu pudełko greckich papierosów.

— No więc widzisz, mój drogi, i nie trzeba o tym głośno mówić. Bo przynasz chyba, że z drugiej strony, jeżeli się weźmie pod uwagę obiektywne warunki w jakich się walczy, i to co się osiągnęło w tych warunkach... Mój ty Boże...

LXXXIII

Tej nocy kuzyn znów nie nocował w domu, co mu się zresztą w ostatnich czasach coraz częściej zdarzało. O godzinie 6-tej wie-

czorem zadzwonił telefon. Leon rozpoznał głos Watrycego i ucieszył się ogromnie:

— No nareszcie! — wykrzyknął. — Próbowałem, ale nie mogłem ciebie odszukać! Jutro o dziesiątej rano będę w ogródku „Batawii”, to wiesz, byłego Philipsa. Mam tam spotkanie, ale spławię szybko. Może byś przyszedł o jakieś trzy kwadranse później?

— Jutro nie mogę. Przyjdź w czwartek do „Bukieta” na obiad. Pogadamy. Świetnie. — Odłożył słuchawkę.

Nazajutrz Leon wyszedł punktualnie o godzinie wpół do dziesiątej rano. Dzień był pogodny. W kawiarni kilka rozpiętych już, barwnych parasoli. Borkowski nie był sam. Przy stoliku, z ramieniem przerzuconym przez poręcz wyplatanej fotela trzciniowego, siedział pan w pozie niedbałej. Na twarzy jego malowało się znużenie. Niebawem przysiadł się jeszcze jeden młody człowiek o jasnych włosach wpadających w rudy odcień, który przedstawił się: Kłuszyński. Siedział zgarbiony, z łokciami na kolanach, pochylony ku przodowi. Czasem wyciągał dłoń, aby pomieszać w pół czarnej. Borkowski powitał Leona niezmiernie uprzejmie. Przeprosił, że powstawanie z krzesła robi mu dużą trudność, bo chorą nogę musi trzymać wyciągniętą.

— Mnie niezmiernie interesuje co się na naszych kresach dzieje, naprawdę. To znaczy... Wczoraj pana, zdaje się, kolega opowiadał. Proszę mi nie brać za złe... Ale na przykład z tym spisem ludności. Taki spis, z takim wynikiem pod okupacją niemiecką, był ale... w roku 1916, a nie 1941.

— Może trochę poplątał, już nie pamiętam — odparł wymijająco Leon.

— Zapewne. A teraz te: „kilkadziesiąt dywizji niemieckich skoncentrowanych przeciwko partyzantce polskiej”... I te kilka korpusów przeciwko Puszczy Nalibockiej. Ja nie wiem, ale czy pana doprawdy sympatyczny kolega, orientuje się dostatecznie w składzie liczbowym dywizji i korpusów? Czyż to możliwe?

Leon zawahał się.

— Bo widzi pan — ciągnął Borkowski — mnie chodzi o wyrobienie sobie samemu, że tak powiem na prywatny użytek, jasnego obrazu. Właśnie hrabia... — uczynił gest wskazujący pana o nonszalanckich manierach, nie dopowiadając wszakże nazwiska, którego Leon nie dosłyszał zresztą również przy przedstawieniu — wrócił z Wołynia i opowiadał nam...

— *A propos* Wołynia — przerwał, zwracając się do hrabiego Kłuszyński. — To istotnie fakt, że Rosjanie zrobili burmistrzem Łucka biskupa Szelążka?

— Dowiedziałem się o tym w Warszawie — odpowiedział tamten.

— Pyta pan, czy kilkadziesiąt dywizji... — zaczął powoli Leon. — Sądzę, kolega może przesadził trochę. Dokładne cyfry dziś... W każdym razie walczyliśmy tam z Niemcami, co się potocznie mówi: na śmierć i życie.

— Skąd właściwie geneza tego idiomu? — wtrącił znowu Kłuszyński. — Ja bym powiedział, że wystarczy sama śmierć. Nie sądzą panowie? — Uśmiechnął się łagodnie, sięgając łyżeczką do kawy. — Czy nie słusznie mówił Sikorski rok temu... Nie, to było jeszcze w styczniu tamtego roku: „Wojsko polskie nie daruje nikomu! Nie będzie oszczędzać ani kobiet ani dzieci niemieckich”. Słyszeli panowie o tym słynnym przemówieniu? Zdaje się w Szkocii, przed frontem wojska. Było w radio i tak dalej.

— Ja nie — odpowiedział Borkowski.

— Już pan Wiesław wie co mówi — wtrącił hrabia.

— Oczywiście — przytaknął z tym samym uśmiechem Kłuszyński. — Ja bym osobiście powiesił wszystkich Niemców na drzewach i koniec.

— Tylko bardzo proszę nie w moim lesie. — Hrabia uczynił gest: „wypraszam sobie”. — Pan, panie Wiesławie, ma zapewne rację, jak zresztą we wszystkim co pan mówi. Ale czasem za dużo gołębiego serca, a za mało realizmu. Czy wystawia pan sobie dewastację drzewostanu, gdyby na każdym drzewie wisiął trup?

Kulawy pan przysłuchiwał się pobłaźliwie tej replice.

— Ze fetor? — spytał Kłuszyński.

— Poza tym nie widzę potrzeby — hrabia zmienił nogę i inne ramię przerzucił przez poręcz. — Pan Wiesław, jako reprezentant obozu katolickiego, wie oczywiście o tych sprawach nieskończenie więcej ode mnie. Ale laikowi jak ja, wydaje się, że każde przebaczenie ma w sobie coś z arystokratyzmu. Natomiast nie istnieje nic bardziej chamskiego od nienawiści i zemsty. Hitler na przykład zawsze był rzeźnikiem, napisał chamską książkę i pozostał parobkiem rzeźnickim do dziś. Ale czy to jest dostateczna przyczyna, by go naśladować?

— Mnie się zdaje, że najważniejsze jest co innego — odezwał się Borkowski. — Mianowicie nazywania każdej rzeczy właściwym imieniem. Do tego potrzebne jest wzajemne porównanie tych rzeczy. Bez porównania, człowiek traci możliwość oceny, a tym samym grunt pod nogami. Jak ludzie, którzy żyją bez porównania swego czasu z kalendarzem, z zegarkiem, gubią świadomość punktu w którym stoją. Ileż mamy wypadków wśród analfabetów, którzy nie wiedzą nawet ile mają lat.

— Przepraszam, ale ja nie bardzo rozumiem do czego pan zmierza?

— Ciągłe do tego samego — kulawy pan zwrócił się z uprzejmym uśmiechem do Leona, dając tym do zrozumienia, że chętnie powróciłby do pierwotnego tematu. — Ustalenia stanu faktycznego.

Ale hrabia, mimo pozorów znudzenia które nadawał swej twarzy, okazał się bardziej elokwentny, i nie dopuścił do głosu Leona.

— To jest nierealne. Musiałby pan wytoczyć wojnę wszystkim legendom całego świata. Absurd. Może od biedy istnieje sztuka dla sztuki. Ale prawda dla prawdy? Komu to potrzebne! Można dochodzić rzeczy w imię interesu państwa, narodu, klasy, cywilizacji, kultury zachodniej, idei faszystowskiej, czy komunistycznej, bo ja wiem... idei chrześcijańskiej, w imię Kościoła, w imię Boga wreszcie i niezliczonych innych imion. Ale w imię samej prawdy? Kto na świecie zainteresowany jest w nagiej prawdzie? Nikt. Kogo ona obchodzi?

— Pewien znakomity filozof powiedział: „Lepiej niech zginie świat, niż bym ja, lub inna istota ludzka, miał wierzyć w kłamstwo”.

— Na pewno jeden z tych, który sam się tak załgał, że dalej nie może. Najbliższe łągarstwu jest każde deklamatorstwo.

— A czy — odezwał się Kłuszyński, po raz dwudziesty mieszając w swojej kawie — czy tak wyświechtany na pozór frazes, jak: „Bóg i ojczyzna”, nie zawiera dostatecznej dla każdego z nas ilości prawdy?

— Dla Polaka, chciał pan powiedzieć? *Got mit uns!* Drogi panie Wiesławie, kropka.

— Nie jest tak źle.

— Pewnie, że nie jest źle, dopóki cały świat walczy ze zbrodniarzem. Będzie źle dopiero, gdy zabroni walczyć ze zbrodniarzem. Ale mówiliśmy o poznaniu prawdy i związanych z tym trudnościami. Najprostszym przykładem: Podobno mamy znakomitego szefa drugiego oddziału AK. Ten, powiedzmy, dokonywuje wykrycia niezmiernie ważnej dla sojuszników tajemnicy, dotyczącej, powiedzmy, tajnej broni niemieckiej. Dostarcza tę rzecz na zachód, przez tajnego kuriera. Mówię w płaszczyźnie czysto teoretycznej. Wszystko jedno, jak się ten kurier nazywa: „Janek”, „Franek”, „Drych”, „Brych”, czy „Zych”. Słowem, po przybyciu na zachód, twierdzi, że on nie tylko przewiózł, ale z narażeniem życia sam wykrał te tajemnice. Szalone fetowanie. Król angielski zaprasza go na śniadanie, prezydent Roosevelt na obiad. Sława światowa, bohater narodowy. Cała Polska jest z niego dumna. Czy w takiej sytuacji może komu zależeć na zdemaskowaniu łapsa, że to lipa,

że to nie on a kto inny tego dokonał? Gdy ma już najpotężniejszych przyjaciół po swojej stronie, gdy takie zdemaskowanie groziłoby kompromitacją narodową? Jasne, że nikomu na świecie.

— Niech się pan nie gniewa — uśmiechnął się Borkowski — ale to banalny przykład.

— No to inny — odparł nie stropiony hrabia. — Pułkownik Wacław Lipiński, którego osobiście bardzo wysoko cenię, wymyślił, jako prawy piłsudczyk, że Piłsudski już w roku 1933, czyli jedenaście lat temu, proponował zachodowi wojnę rewolucyjną z Niemcami. Czyli, że był większym antyniemcem, niż wszyscy katolicy, endecy i ludowcy razem wzięci, którzy teraz tak na niego i sanację sobaczą. Ogłosił to w swoim *Tygodniu*, czy innym organie tegoż Konwentu, i puścił w świat. I jeżeli koniunktura się zmieni, może być tak, że z tego powstanie legenda, a z legendy przymusówka, a z przymusówki prawda ogólnonarodowa. I próbuj pan wtedy dochodzić prawdziwej.

— Będę próbował — z uśmiechem i robionym uporem odparł Borkowski.

— No bo pan jest taki uparty Kolumb, czy tołstojowiec. Już nie wiem. A nikt inny nie będzie. Wszyscy panowie znają nowelę Sienkiewicza o „Latarniku”, który rzekomo zaczytał się książką polską na swej wygnańczej skale. To wcale nie była legenda, to prawda. Tylko, że książką polską, którą się tak zaczytał, nie był „Pan Tadeusz” Mickiewicza, lecz „Murdelio” Zygmunta Kaczkowskiego. I któżby chciał teraz popsuć obrosłą narodową legendą nowelę, domagając się wprowadzenia do niej trochę kiczowatej prawdy.

— Ja o tym nie słyszałem. A pan się jednak o tym dowiedział. Brawo.

— *A propos* pułkownika Lipińskiego — wmieszał się Kłuszyński. — Jego Niemcy aresztowali, tak?

— Już dawno wypuścili — odparł hrabia.

— Ojej, to niedobrze — wyrwało się Borkowskiemu. — Żeby go teraz nie zadziobano, i nie zaszczuto.

— Co pan zrobi z Niemcami! — odparł ze sztuczną nonszalancją hrabia.

W tej chwili szybkim krokiem zbliżyła się do stolika kelnerka, i nachyliła do Leona. Wszyscy od razu spojrzeli w jego stronę, bo zdawało się, zapomnieli o jego obecności. Istotnie, nie brał on udziału w tym przerywaniu się pustymi słowami, i łatwo mógł być zapomniany. Teraz mimowoli został wyróżniony.

— Do pana ktoś — szepnęła kelnerka.

Leon był bardziej jeszcze zaskoczony od innych, bo nikt go tu nie znał. Zerwał się natychmiast.

W przejściu do ogródka kawiarni czekała na niego pani Stefania. Głosem prawie monotonnym powiedziała:

— Pański kuzyn aresztowany tej nocy. Niech pan nie wraca do domu. Udało mi się stwierdzić, że w mieszkaniu, od godziny 10-tej zasiada kocioł Gestapo. Istnieje jeszcze nadzieja, że został aresztowany za sprawę brylantów. Ale słaba nadzieja.

Leon stał przed nią z opuszczonymi rękami, prawie w postawie na baczość i naturalnie nie pytał o źródła i szczegóły. Nagle zaświtało mu pytanie, któremu nie potrafił się oprzeć:

— Ale skąd pani wiedziała gdzie mnie szukać?

— Wczoraj wieczorem, zanim zadzwoniłam do drzwi wejściowych, rozmawiał pan przez telefon. Gdy drzwi z gabinetu otwarte do przedpokoju, słyhać wyraźnie. Słyszałam każde słowo. Nie należy tak głośno rozmawiać przez telefon.

— A jednak tym razem, gdybym głośno nie mówił, byłbym zgubiony, nie?

— Zdarza się, naturalnie.

— Dziękuję.

Kiwnęła głową.

Leon wrócił do stolika, stanął przed nimi, chciał zdobyć się na jakiś pomysłowy zwrot, a powiedział prawie uroczyście, zwracając się do Borkowskiego:

— Kuzyna aresztowali. W mieszkaniu „kocioł”. — I rozwodząc rękami dodał: — Zostałem jak...

— Pójdzie pan do mnie — odpowiedział natychmiast, bez najmniejszego wahania kulawy pan, i już łapał za laskę by wstać.

Inni panowie wstali też od razu, i rozeszli się prawie bez pożegnania.

LXXXIV

Już w lutym Armia Czerwona zajęła Łuck na Wołyniu. W końcu miesiąca z „Reichskommissariat Ukraine” Gauleitera Kocha, nie zostało nawet strzepów. — W marcu wkroczyła do Galicji. 13 zajęła Chersoń, 19 osiągnęła Dniestr. Z początkiem kwietnia przekroczyła Prut, wchodząc na terytorium Rumunii. 8 dotarła do starej granicy czechosłowackiej. 10 zdobyła Odessę. W końcu

tegoż miesiąca opanowała Krym. Broni się tylko niemiecka załoga Sewastopola.

Wielkimi krokami kroczyło: Wyzwolenie.

I ludzie uciekali, uciekali, uciekali. Tysiące, dziesiątki tysięcy, setki tysięcy ludzi uciekało od Wyzwolenia, na zachód. Wszystkie drogi bite i niebite, zapchane były wozami. Duha za duhą, lub w ukraińskich szlejach zaprzężnięte konie, robiły bokami; opary z ich mokrej sierści zlewały się z mgiełką mokrej drogi. Krowy uwiązane z tyłu za rogi do wozów, targały rozpaczliwie głowami. Myczało wyczerpane, o zdartych racicach bydło. Człapali pobok wozów mężczyźni, jechały baby i dzieci, otulone w chusty tak szczelnie, że tylko w skrawek nieba przed sobą patrzeć mogły; grzane wełną skrepowanych w sianie owiec. Beczało. Darli się, zdzierając struny głosowe żandarmi, spychając podwozy na bok szosy, precz do rowu, na boczne drożyny, na grząską (żeby ona przepadła!), wiosenną rolę.

„*Rrraus mit Ihnen!!! Verfluchtes Pack!!* Drogi są dla wojska! *Weg hier! Ihr Schweinehunde!*”...

„Mać... mać... mać!!! Żeby jego cholera!... Nu, że, ty! Kab ciabie wouki!... Paszou, paszou! Dawaaaj! Hryćkooo!... Iwaan! Iwaan!...” — I tak szło.

O drogi wiosenne, kto was pamięta! Koleiny ucieczki! O roku Wyzwolenia!

Słońce rzadko świeciło. Wiatr zaciął deszczem i śniegiem na przemian, ciągnęły niskie chmury i zwyczajem chmur odbijały się w kałużach. Łamały się osie, szprychy, rwały postronki. Hołoble i dyszle wjeżdżały jedno w drugie, chomąta szły w górę szyi aż po uszy gwałtownie zatrzymanych koni, a przerażone ich oczy błyskały nad drogą nędzy.

Rozpaczny jest los nieposłusznych i niepokornego serca. Tych wszystkich, którzy nie są w zgodzie ni z władzą która odchodzi, ni z władzą która przychodzi. Boć każda władza pochodzi od Boga.

Rozpacz rodziła brutalność obejścia, zapiekłe dąsy i waśnie, wzajemne wyrzuty, zwalanie winy za przeszłość. I wszystko było złe, i wszystko na opak, cokolwiek robił mąż, żona, dzieci, starzy rodzice. Każdy był czemuś winien, że barachoł wziął na drogę, że za dużo, lub że za mało... Lub nie postępował przedtem tak, aby ta bez dobrego słowa droga okazała się zbędna. Bo przecież dużo ostało po chatach. Ostało, ostało. I odstawało dużo jeszcze w drodze; którym wozy się połamały, konie podechły. Których wyprzedziły czołgi sowieckie.

I wtedy ludzie łgali, łgali, łgali. Fałszywym uśmiechem, łgali wymuszonym gestem radości, łgali zapierając się w żywe oczy,

bożąc znakiem krzyża, łgali zwalając winę na innych. Gdyż straszny jest los kolaborantów, i zasłużona czeka ich kara.



Niebawem i mostem Poniatowskiego w Warszawie pociągnęły z dalekich ziem (dokąd sięgała i nie sięgała ongiś Rzeczypospolita Obojga Narodów) wózki i wozy pokryte płachtami, bryczki i drabinki, z związanymi krowami. Ludzie szli patrząc w bruk pod nogami. Baby podnosiły niekiedy wzrok, jakby chciały przeliczyć okna w wysokich kamienicach. Z chodników odpowiadał im twarde wzrok przechodniów; na skrzyżowaniach ulic nieprzeniknione twarze gapiącego się tłumu.

Na ruinach bitwy z 1939 roku, między ulicami Wierzbową i Trębacką, rozłożyły się obozem kocujące ludy, ścieląc rumowiska sianem i nawozem. Widziało się czerwone denka kozackich „kubanek” brzeżone czarnym barankiem, siwe papachy, zwyczajne czapki z daszkiem, jakie ongiś szyli wszędzie za Bugiem żydowscy czapnicy. Pod nakryciem głowy twarze wygarbowane na ciemno od zmian pogody, wyschłe, o spojrzeniu złym i dzikim. Jakby sam Bohdan Chmielnicki oblegał tu, zburzony teraz zamek królewski.

Warszawa była jeszcze pełna otwartych sklepów. Pączków i ciastek: napoleonek, eklerek, rurek z kremem, bezów, babeczek, makaroników, petifurek.



Już w lutym 1944 rząd polski w Londynie zdezawuował „Instrukcję dla kraju” wodza naczelnego z 27 października 1943, która głosiła, że: „Kraj z Sowietami współpracować nie będzie”. Wyłączną decyzję w tej mierze oddano w ręce dowódcy AK, który już poprzednio postanowił inaczej.

Oddziały AK majora „Tamy” i kapitana Trzcianickiego na Podolu, a na Wołyniu 27-ma dywizja AK w liczbie 6.500 żołnierzy, włączyły się do akcji partyzantów sowieckich, wspomagając je w dywersji na tyłach niemieckiego frontu. Następnie wwały się w zwycięski pochód Armii Czerwonej. Komunikat radia moskiewskiego z 19 marca, z uznaniem wymieniał oddziały AK, które okazały pomoc Armii Czerwonej przy zdobywaniu Równego. Ścisły kontakt nawiązany też został w powiatach ostrońskim i zdołbunowskim.

Dnia 13 kwietnia „Biuletyn Informacyjny” K.G. Armii Krajowej w Warszawie ogłosił:

„Dowódcy sowieccy stwierdzają, że wszędzie otrzymali pomoc, i wyrażają uznanie dla postawy bojowej i dowództwa AK”.

Ugrupowania dywizji wołyńskiej AK wsparły oddział sowiecki w walce o stację kolejową Stare Koszary na linii Kowel-Luboml. Pod rozkazy Czerwonej Armii oddał się oddział leśny majora Satanowskiego, działający w rejonie Polesia. Pewna ilość dowódców AK chlubnie odznaczona została orderami Czerwonej Gwiazdy, a następnie włączona do komunistycznej 1. Armii gen. Berlinga.



Wkrótce rozpoczyna się sowiecka ofensywa galicyjska. W takiej to, zdawało się ostatniej już chwili, 14-ta dywizja Broni-SS „Galizien”, ukraińska „Hałyczyna”, wysłana zostaje na front pod Brody. Zmiażdżona wraz z niemieckimi jednostkami, otoczona przez wojska sowieckie, przebija w końcu pierścień i ratuje 30 % swego składu, które stanowią będą kadrę Ukraińskiej Armii Narodowej, pod wodzą generała Pawła Szandruka. O trzy lata za późno.

Już teraz wszystko za późno.



Ale istotna katastrofa niemiecka rozpoczęła się akurat w trzecią rocznicę wojny wschodniej, 22 czerwca.

W ogromnym wybrzuszeniu niemieckiej grupy „Środka”, pod wodzą feldmarszałka Buscha — od Prypeci wzdłuż górnego Dniepru do Dźwiny — stoi 400 tysięcy żołnierzy. A naprzeciw 2 miliony 500 tysięcy żołnierzy sowieckich. Hitler, który dokonał przed kilku laty jednego z największych podbojów w historii świata (a więc sprawiedliwie postawiony być może obok Aleksandra Macedońskiego, Napoleona i wielu innych wodzów), wie lepiej co zamierza przeciwnik: „Zamierza z podstaw galicyjskiego frontu, olbrzymim lewym-sierpowym, uderzyć na północny zachód, z pominięciem Warszawy, w Królewiec, do morza! I odciąć wszystko, co leży na wschód i północ”. Narysował nawet na mapie kierunek oczekiwanego uderzenia. Rysunek leży na stole, przygożdżony pineskami. Generałowie nie śmieją oponować. Zgodnie z tym przewidywaniem pada rozkaz, aby wszystko co się da wycofać z frontu środkowego i przerzucić na południe od Polesia, na odparcie wyobraźalnego uderzenia sowieckiego.

Dnia 22 czerwca niemieckie armie Środka miały już tylko 34 dywizje. Natomiast sowieckie zgrupowania: 1-szy Bałtycki,

1-szy, 2-gi i 3-ci Białoruski Front — 200 dywizji. 7.000 samolotów przeciwko 40-tu... niemieckim.

Ale Hitler wiedział, że to tylko demonstracja „dla odciążenia uwagi wroga”. Z ogólnej liczby 34-ech zdolnych do boju dywizji, kazał wydzielić jeszcze 6 i zamknąć je w punktach obronnych: Witebsku, Orszy, Mohylowie, Bobrujsku. W pierwszej linii pozostało 28. Bez rezerw, bez odwodów.

Już w pierwszych dniach po uderzeniu czterech „frontów sowieckich”, niemiecka „grupa środka” poszła w rozsypkę. Laicy chwytały się za głowy: „Gdzie nasz wywiad?!”... Wywiad był silną stroną niemiecką. O tym sowieckie dowództwo wiedziało dobrze. Agenci spośród miejscowej ludności, agenci antybolszewickich organizacji rosyjskich, ciągle jeszcze zaprzańcy ojczyzny socjalistycznej z szeregów armii czerwonej, przebiegający na stronę niemiecką itd. Zastosowano więc środki niebywałe: kazano armiom kopać okopy, niby dla obronnych stanowisk... Zabroniono używać radia i telefonów, nawet maszyn do pisania... Najważniejsze rozkazy miały być pisane wyłącznie odręcznie i przekazywane doręcznie przez zaufanych kurierów... Wszystko dla zaskoczenia!

W początku czerwca zestrzelony jednak zostaje na odcinku 252-giej niemieckiej dywizji piechoty, samolot sowiecki. W nim major z teczką. W teczce odręczne rozkazy, odsłaniające tajemnicę strategiczną. Nie można było dłużej żywić złudzeń.

Ale Hitler wiedział lepiej, jak każdy genialny człowiek, dopóki nim być nie przestanie.



Generalny Komisarz Białorusi, SS-Gruppenführer i generał-lejtenant von Gottberg, uważał, że nic już nie ma znaczenia. Machnął ręką i zezwolił nie pytając, na „Drugim Białoruskim Kongres”, który miał być powtórką „pierwszego”, z roku 1918, zapowiadającego suwerenność Białorusi. Dnia 27 czerwca zjechało do Mińska 1039 delegatów. Olbrzymi znak „Pogoni”, symbol ongiś i herb Wielkiego Księstwa Litewskiego, nierozłącznie przez wieki związane z Orłem Białym Polski — dziś mieczem swego rycerza skierowany również przeciw Polsce — zawisł nad paradnym wejściem do gmachu kongresu. Obok narodowe flagi białoruskie. Marzenia przywódców narodowego ruchu białoruskiego ziszczyły się.

5-ta gwardyjska armia sowiecka pod wodzą generała Rotmistrowa, sforsowała już pradawną „bramę smoleńską” pomiędzy górną Dźwiną i górnym Dnieprem. Szła wprost na Orszę, Borysów, Mińsk...

W Mińsku, na sali „Kongresu Białoruskiego”, wysłuchiowano referatów o konieczności unieważnienia „Traktatu Ryskiego z roku 1921”. — „Nie zapominajmy, zainaugurował przemówienia prezydent Kongresu Kipel, że do naszych ziem pretendują wspólnie nasi wrogowie: kremlowscy bolszewicy i polscy panowie!” — (Huczne oklaski).

Było to wielkie zwycięstwo militarne Armii Czerwonej. O dwa dni wcześniej, 25 czerwca, Iwan Daniłowicz Czerniakowski, dowódca „3-go Białoruskiego Frontu”, zajął Witebsk, rozbijając doszczętnie pancerne zgrupowania niemieckie. Czołgi sowieckie szły na Mińsk również z północno-wschodniego kierunku.

27 czerwca na trybunę „Drugiego Białoruskiego Kongresu” w Mińsku wszedł wiceprezydent Białoruskiej Centralnej Rady, magister Szkielonek:

„... Naród białoruski nigdy nie uznał Traktatu Ryskiego... Wtedy pomiędzy Moskwą i Polską doszło do cichego porozumienia. Jednocześnie we wschodniej i zachodniej Białorusi następuje planowe wyniszczenia białoruskiej inteligencji. W Polsce pod zarzutem komunizmu, w Rosji pod zarzutem faszyzmu... Wybuch wojny niemiecko-polskiej uskrzydlił Białorusinów nadziejami na lepszą przyszłość. Po upadku Polski w 1939 roku, nie było już w zachodniej Białorusi żadnych przeszkód do osiągnięcia prawdziwej wolności... Ale wtedy pojawili się Rosjanie...”

Było to drugie, od roku 1918, wielkie polityczne zwycięstwo Armii Czerwonej. Kroczyła ona ku wyzwoleniu różnych narodów, których przywódcy polityczni nienawidzili się bardziej wzajemnie, niż, jak to mawiali czasami: „zarazy bolszewickiej”. — Walizki były już spakowane. Pociąg ewakuacyjny pod parą. Byle zdążyć jeszcze przedtem wyrzucić zapiekle nienawiścią słowa oskarżenia, pomsty pod adresem tych, z którymi byli związani wspólnym losem.

Nazajutrz, 28 czerwca, Hitler odwołuje feldmarszałka Buscha i mianuje na jego miejsce feldmarszałka Modela.

Tego samego dnia pada Mohylów. Następnego Bobrujsk.

3 lipca uroczyste salwy armatnie w Moskwie obwieszczają o wyzwoleniu Mińska, stolicy BSSR.

LXXXV

Henryk kierował się powoli na wschód, w rejon Podbrodzia. Spodziewał się natknąć gdzieś na zgrupowanie partyzanckie majora „Węgielnego”, o którym słyszał tyle, że ściąga z rejonu Bras-

ław-Kobylnik-Święciany bliżej Wilna. Zorientowany nie był, ale sądząc z ostatnich wypadków, jego to chyba oddziały musiały właśnie zahaczyć o Litwinów. Ktoś mu uprzednio mówił, że tam 1.600 ludzi. Na pewno, myślał, mniej, ale zawsze siła. Koło Podbrodzia nie zastał i niczego się konkretnego nie dowiedział. Kluczył dalej.

Jakoś sobie dawał radę w chatach ostrożnie wytypowanych na skraj wsi. W jednej opatrzono mu nogę. Tu przesiedział kilka dni. Postrzał był zewnętrznym draśnięciem, ale łydka spuchła. Poza tym spał przeważnie w lesie. W domach, choć w licznych wisiały i krzyż i święte obrazy, nie było bezpiecznie. W jednym na podejrzliwe spojrzenie gospodarza, opowiedział niewinną historię, do bojowej nie podobną. Chłop tylko westchnął:

— Ech, brat. Brieszi za bogacza, kopiejku dast... — Teren zaczynał się już białoruski. — Zjedz cokolwiek, a tam i ruszaj dalej, i mnie do biedy nie wciągaj. — Henryk przyznał mu rację.

A w polu nieustannie dzwoniły pasikoniki w uszach, niewidoczne; kwitły fioletowe dzwoneczki, czerwony łąkowy mak, rumianki. Bujnie poszła tego lata biała i czerwona koniczyna, przy której wieszały się wiecznie naburmuszone trzmielce. Zagłębiał się w las; gęsto brzęczały owady, gęściej pachniało smołą. A jednak nieprzytulny do wstępu był ten pobyt bez dachu.

I oto pewnego dnia przed wieczorem, gdy sosny jeszcze nie poszarzały, gdy z pobliskiego błotka silnie ciągnęło turzycą, osoką i bagienkiem, wyszedł na miękką drogę leśną i stanął jak wryty. Po drodze, ze skrzypem kół, zbliżała się karawana furmanek. Zdążyła z północy, dokąd właśnie kłoniło się słońce, w tych najdłuższych dniach roku. Stąd kurz spod kopyt i kół, prześwietlony płaskimi promieniami, stanowił ni to ochronę dymną, ni to aureolę złotawo-ceglastą. Słowem przesłaniał widoczność. Instykt nakazywał zejść normalnie w gęstwinę lasu, z drogi. A Henryk dla czegoś nie posłuchał tego instyktu. Widocznie w człowieku jest więcej niż jeden instykt, i co jeden każe, drugi zakazuje. Pozostał przy skraju drogi i nawet przesłonił ręką oczy, jakby wypatrywał znajomych. Drgnął wprawdzie, gdy dostrzegł kilka karabinów sterczących w kurzu powyżej furmanek, ale jednocześnie na pierwszej z nich starca o siwej brodzie. W tym oświetleniu wyglądał jak postać biblijna, a duha przed jego obliczem, jak wygięte ramy ikony. Coś, jakby znajomego...

— Prrr! — starzec ściągnął lejce, i też się dziwnie wpatrywał, rozpoznając-niepoznając. Aż zrobił znak krzyża, i wtedy Henryk poznał.

— Daj Boże w dobry czas, Bazyli Jakubowiczu — podszedł do furmanki. — Jakimi drogami?

— Dawiałośia czarwiaku na wiaku, i ot spotkanie! W jakim to lesie przyszło się znowu zobaczyć.

Był to stary Zacharow, a za nim cała wieś Znachorki. Wszyscy, i żona Jewstolia, przezywana Jaustolą, i młodsza córka Matruna, zwana Matrusią, na przedniej podwodzie. Z następnej, szalem od kurzu przesłoniwszy twarz, patrzyły nań oczy Nadzieždy, synowej, żony najstarszego, która rozmawiała z nim kiedyś długo, dawno, dawno nad kałużą między dwoma niebami. I mąż jej, Kuźma, zbliżył się powoli, wlokąc za sobą kolbę karabinu.

— A gdzie młodszy, Demian? — spytał Henryk.

— Zastrzelili po drodze.

Nie pytał kto. Z półumiechem powiódł wzrokiem po zatrzymanych furmankach. Oto zlął z jednej i podszedł Prochor, sąsiad. Nawet Wiktor Chamaniuk, chłopiec z Krasnołuków, był tu. Wszyscy zbrojni.

— Cóż, siadaj z nami — Bazyli otarł kurz z brody. — Skoro już spotkali się, jedziem razem. A?

— Nie można. Żona, dzieci w domu.

— A gdzie dom?

— W Wilnie.

— Nie dobrze.

Henryk wsparł się o bokówkę drabinki.

— Nie dobrze, mówisz?

— Jak w księgach pisano. Ogień z nieba. Sowieci, słyhać, nadlecieli w tysiąc samolotów, i pod Witebskiem zapaloną benzynę wprost z nieba leli. Gdzież utrzymasz się. Koniec.

— To dokąd teraz? — Henryk dojrzał na trzeciej podwodzie zielone oczy znachorki Zoi Gudaj, która go leczyła. („Dobrze by było jej nogę pokazać. Lek pewnie ma. Ale wstyd ciągle rannym się zgłaszać”). Stał wsparty o bokówkę wozu, jakby się po latach mógł wreszcie oprzeć o coś bliskiego, coś solidnego na świecie. Wygodnie było mu tak stać. Nie chciało się iść w samotność. Może jeszcze kilka chwil...

— Ech, drogi, drogi — westchnął Bazyli. — Pieśni wy, wolnych ludzi...

— Zapalić nie macie? Dziękować będę. Swego się pozbyłem.

— Nie palę ja tego diabelskiego ziela. Nie potrzebne ono dla zdrowia, ani duszy. A tyleż drogi przed nami. Dokąd, pytasz? Ech, drogi gdyby krańca wam nie było, drogi. Gdyby nie prowadziły wy do jakichś zasieków przez ludzi zbudowanych. Ja to mówię tak: czemu człowiek nie jest wolnym zwierzęciem, żeby mógł żyć w przestrzeni, a nie w drewnianych hołoblach. Za to jedno warto by duszę sprzedać. Nie diabłu, lecz sonej dali. Ale nie kupi ona, za nic nie kupi duszy ludzkiej. Po co ona jej potrzebna?

I ot, męczy się człowiek, szukając wiecznie dachu nad głową.

Prochor poczęstował go machorką. Henryk z lubością wciągnął dym, wypuścił grzecznie odwracając głowę w bok. Ale Kuźmie śnać nie w smak była dlawczego poezja ojca, bo przestąpił z nogi na nogę niecierpliwie.

— Jechać pora — mruknął.

— Trudno będzie przebić się wam do jakiegoś dachu — pokiwiał głową Henryk.

— A co nam zostało, jak nie trudności? Powiedz.

— I to prawda.

— Glejt na razie mamy. A tam... Bóg dał, Bóg wziął. Trzymalim się przez te lata.

„I po co?” chciał zapytać Henryk, ale tylko wychnął ostatni dymek, rzucił i przydeptał niedopałek.

— Zastrane życie — powiedział niespodziewanie dla siebie, wciąż trzymając się kurczowo bokówki wozu.

— Jechać z nami — usłyszał nagle śpiewny sopran Matrusi. W półgłosnym pogwarze ludzi, w przestępywaniu koni, bijących ogonami i głową dla odegnania napastliwych much, chrząście uprzęży, i otaczającej niemości lasu, w tym zapachu potu końskiego, rzemieni i kurzu, głos jej zabrzmiał mu w uszach jak głos rusalki wabiącej do rodzinnego domu. Domu, który się zapadł na same dno zielonego jeziora. Czuł przypływ dziwnej solidarności z tymi ludźmi. Podniósł oczy na Matrusię, bez uśmiechu, odepchnął się z wysiłkiem od bokówki wozu, uczynił krok wstecz, i powiedział czując ucisk w przełyku:

— Niech Bóg prowadzi.

— Zostawać z Bogiem... — Stary Zacharow podciągnął lejce.

— Tkk! — cmoknął na konia.

LXXXVI

Był ranek.

Wraz z kłaśnięciem karabinowego zamku w krzakach, usłyszał łagodnie wypowiedziane słowa:

— Odpierdol się kruszynkę na bok, młody wojaku. — Odsuwając stojącego na posterunku młodzieńca, wychyliła się z krzaków twarz, a za nią i cała postać Skowrońskiego. Pistolet zwisał mu niedbale u pasa; czapka polówka z Orłem zepchnięta w tył głowy. — Serwus. Poszłem odlać się na posterunek i trafnie uczyliłem. Co tu robisz, Orłowski, grzybów szukasz?

— Nie, pieniędzy za reperację maszyny. Serwus Skowroński. Jak dowiozłeś wtedy swoją budę?

— Na sto dwa.

— Moja robota.

— Krzyż tobie walecznych za nią. A żonie kura smakowała?

— Smakowała. Żonie i dzieciom.

— No widzisz. Ale poza pieniędzmi, których tu nie znajdziesz, skąd ty w tych krzakach, Orłowski?

— Spacerkiem. — Jakoś oni przypadli sobie do gustu, tając uśmiech. Henryk krótko opowiedział swoją przygodę. Skowroński wysłuchał i zamyślił się.

— To nie dobrze. Nie wiem dokładnie, ale to zdaje się nie dobrze.

— Daj ogolić się i umyć. To wy tu stoicie?

— Chodź na moją kwatere. Śniadanie stygnie.

Poszli. Po drodze Henryk zapytał:

— Jak leci w ogóle? — Przed nimi widniała wieś.

— Dobrze leci. Już od dwunastego zarządzona „Burza”. Ściągamy wszyscy na Wilno, szkopom skórę ściągając. Powolutku tylko.

— Aż podejdzie „sojuznik naszych sojuszników”.

— A ty skąd wiesz tyle?

— Roosevelt osobiście telefonował do mnie. Mam telefon pod łóżkiem obok nocnika.

— No, jeżeli taki wielki pan jesteś, że bez nocnika nie możesz się obejść, to znaczy masz dobre wiadomości.

— Znaczą, „włączacie się”?

— Nie my, tylko czerwona armia przyłącza się do nas, pomóc nam w wyzwoleniu Wilna. Panimajesz?

— Któż by nie rozumiał tak prostego rachunku. Dobrze, że nie będę potrzebował w tym równaniu maszerować z wami, z powodu ranna noga.

— Pokaż — Skowroński obmacał uważnie łydkę. — Hm, na punkcie opatrzą tobie.

Po umyciu Henryk zasiadł ze smakiem do śniadania, w wyjątkowo czystej, jasnej izbie. Jedli jakiś czas w milczeniu.

— Nie słyszałeś, co to za oddział, czy banda jakaś — zapytał Skowroński — przechodziła na zachód od nas? Tej nocy, jakoś, czy wcześniej. Nie spotkałeś czasami?

— Nie — odparł Henryk szczerze. — Ale skąd my właściwie doszliśmy do takiej poufałości, jakbyśmy się znali sto lat? A widzieli właściwie tylko godzinę.

— Bywa. W życiu wszystko bywa. „Pokrewieństwo dusz”.

We wsi panowała dyscyplina wzorowa wszędzie. Prawie na

przedwojennej stopie. Żandarmeria własna. Areszt, w którym siedziało kilku chłopów w oczekiwaniu na chłostę, za odmowę dostarczenia produktów, a jeden, bodaj, podejrzany o szpiegostwo, na rozstrzelanie. Oficer oświatowy oddziału partyzanckiego. Organizacja S.O.P., „Służba Ochrony Powstania”. Punkt sanitarny. Prowizoryczny szpitalik. Maszyny do pisania. Radio. Jakie stanowisko zajmował Skowroński, Henryk nie wiedział.

— Niemcy was nie ruszają? — spytał, zapychając jajecznicę z boczkami.

— Na razie. My ich ruchniemy. Co myślisz w ogóle?

— Zjeść i spać, spać.

— Ale zanim. Co powiesz na to? To otrzymaliśmy z Warszawy dla odczytania w szeregach i podniesienia na duchu. — Wyciągnął z portfela zapisany maszynowym pismem świstek. Był to odpis starego dokumentu z Londynu, datowany 13 maja 1944. Pismo brytyjskiego ministra Selborna do Naczelnego Wodza PSZ Henryk nie przestając jeść, przeczytał:

„Szanowny Generale, Dziękuję Panu bardzo za list z 28. IV. 1944 i za załączony meldunek komendanta AK. Przeczytałem ten meldunek z wielkim zainteresowaniem i podziwem... Jednakże teraz, gdy oddziały AK weszły w kontakt i współdziałanie z Armią Czerwoną w jej pochodzie naprzód, mam mocne przekonanie, że sprawie polskiej odda w oczach świata największą usługę rozgłaszanie faktów nieograniczonej pomocy, którą wojska sowieckie uzyskują bez zastrzeżeń od AK...”

Henryk odsunął papieraek trzonkiem noża. — Zabierz, bo jeszcze poplamię.

— Ty, zdaje się, należysz do pesymistów? — Skowroński schował do kieszeni.

Henryk jadł dalej, zagryzając razowcem miejscowego wypieku.

Po śniadaniu poszedł na punkt opatrunkowy, a dopiero później spać. Ktoś pod samym oknem kosił soczystą trawę dla koni oddziału. Właśnie pod równomierny zamach kosy zasnął. Spał 24 godziny.

A każda godzina była w tym czasie ważna.



Wypadki narastały z szybkością burzowej chmury. Na rozkaz K.G. w Warszawie nastąpiło przegrupowanie wszystkich brygad partyzanckich z terytorium Wileńszczyzny i Nowogródka, i skoncentrowanie ich w rejonie Wilna. Oficjalnie około 5.000 ludzi. Tu miały oczekiwać nadejścia wojsk 3-go Białoruskiego Frontu

pod wodzą Iwana Czerniakowskiego, aby wspólnie z Sowietami uderzyć i wyzwolić Wilno.



Generał-SS Hintze kazał aresztować i postawić przed sąd polowy gebietskomisarza „Wilna-Land”, Wulffa, pod zarzutem popierania i systematycznego zaopatrywania w broń partyzantki polskiej. Zwłaszcza przypisano mu winę, że w lutym i marcu 1944 roku, gdy było już wiadomo że partyzantka polska nawiązała kontakt i współpracę z partyzantką sowiecką, i otrzymała tajne instrukcje wsparcia armii czerwonej — interweniował jeszcze na rzecz wypuszczenia aresztowanych przywódców band polskich, pod pretekstem tajnych rozmów z nimi; oraz że jeszcze w kwietniu tegoż roku dostarczył na dwóch ciężarówkach z „Wehrmacht-Fahrtbereitschaft-Wilna”, broni ręcznej i amunicji partyzantce polskiej w rejonie Puszczy Rudnickiej.

Sąd polowy skazał Wulffa na karę śmierci przez rozstrzelanie. Wyrok wykonano.



Henryk spałby może dłużej, ale zbudził go donośny głos przez otwarte okno:

— Tu mieszka Orłowski?!

— Mieszka.

— Do dowódcy!

Henryk poszedł i wrócił po godzinie. Na ławce przed chatą siedział Skowroński i czyścił broń. Części rozłożone były obok na szmacie.

— No i co? — spytał.

— Nic.

Skowroński podsunął mu litewskie papierosy, i sam zapalił, milcząc. Niedaleki las stał nieruchomy na bezwietrze. Ostre szczyty świerków bodły granatowe niebo. Od kogo to słyszał powiedzenie: „Horyzont, jak okienica sklepowa na wałkach”?... Takie gadanie. Horyzont, myślał Henryk, jest zawsze daleki i siny. I przypomniła mu się twarz Matrusi... „Pojechać by z nimi w tę siną dal, jak mówił stary Bazyli... Ale jaka ona tam dal... Też gadanie... Halina w ostatnich czasach stała się prawie nieznośna...” To tylko myśli lecą w dal.

— Widział ciebie znajomek jeden, jak przechodziłeś wczoraj na punkt opatrunkowy — odezwał się Skowroński.

— No?

— Mówisz masz dzieci. Przecież dzieci nie masz.

— Nie moje.

— Żony?

— Niecee.

— To czyje?

— Po co tobie? Kuzynki jej.

Skowroński umazanymi w oliwie palcami dokręcał broń, i po chwili znów zapytał:

— Tyś przechodził koło Połoszy?

— Może to była i Połosza.

— Zwiad doniósł, że tamtędy, drogą na Bujwidze, jechała wielka zbrojna banda, jakiegoś Znachorki, czy jak ten kolaborant się nazywał. Pies jego... Tyś nie zauważył?

— „Jechała”! To jeżeli jechała to drogą. A ja szedłem na przełaj lasami.

Obydwaj nadstawili uszu: daleko, jeszcze bardzo daleko na wschodzie, słychać było huk armat.

— Po co tobie te informacje? To dzieci moje, to banda jadąca drogą? Drugi raz już o nią pytasz.

— To ty nie wiesz, że jest wyraźny rozkaz Komendy Głównej: „Przeciwdziałać ucieczce na zachód przed Rosjanami ludności z terenów wschodnich”?

Henryk splunął z rozmachem przed siebie. Skończył papierosa i przydeptywał niedopałek ze skoncentrowaną uwagą.

— Wiesz, Skowroński, co ja teraz tobie powiem. Ale tak, po raz pierwszy szczerze: czy ja nie widziałem, czy widziałem kogo koło Połoszy, tobie bym nie powiedział. Jasne?

— I więcej nic?

— Owszem. Więcej to, że ludzie uciekają przed bolszewikami. A wy chcecie ich zatrzymywać, i dalej co? Przyjdzie NKWD, i może ich jeszcze wydawać? Na order Czerwonej Gwiazdy zasłużyć? I depezę do twego lorda Selborna posłać? Ja bym na twoim, Skowroński, miejscu wstydzili się nawet wspominać o takiej instrukcji.

— Ale po co tak głośno krzyczysz?

— Brzydnie ciągle milczeć. Myślisz, że to nie hańba?

— A rozkaz wojskowy? Za wykonanie rozkazu wojskowego nikt nikogo nie hańbi. Nawet jak trafię do nieba i tam mnie zapytają: „Cóż ty, Skowroński, skurwysyn jeden, pchasz się tutaj, kiedy ludziom od bolszewików uciekać przeszkadzałeś?!” Odpowiem: „rozkaz wojskowy, proszę świętego Pietra!” I on wtedy rozłoży ręce i powie: „aaaa... to co innego”. Kape?

— Po pierwsze do nieba ty nie trafisz, to już na pewno. Po drugie takich słów tam nie używają.

— A ty skąd wiesz, byłeś?

— Nie byłem, ale słyszałem od ludzi.

— Ty słuchaj tylko, co ludzie mówią.

— Teraz ja chcę tobie zadać pytanie. Ale ściśle między nami „pokrewnymi duszami”.

— No.

— Wiesz ty dokładnie, czy chociaż mniej więcej, gdzie stoi teraz brygada „Łupaszkii”?

— Gdzieś grubo na zachód od nas. Może za Landwarowem, może czort wie... A na co tobie? Moje towarzystwo tobie nie dogadza? Nie pójde ja łapać twoich uciekinierów, możesz być pewny.

— Jestem pewny. Ale powiem dlaczego nie dogadza: pamiętasz naszą pierwszą rozmowę wtedy? Wykładałeś pięknie o tym, że bolszewicy, komuniści nie są straszni, bo raz-dwa da się im radę i te de. A moim zdaniem, nie tyle sami komuniści są straszni, co tacy jak ty, którzy rozpowszechniają wiarę że „komuniści nie są straszni”.

— Ee, tam.

— Był za okupacji sowieckiej u nas taki „Konrad”. Jeszcze wtedy ani w Londynie, ani Warszawie nie myślano o „sojuszu” z nimi, a on już wpadł na ten pomysł. I jak jego aresztowali, wystąpił w NKGB w roli „politycznego sojusznika”. Dostał tak w zęby, że potoczył się pod stół. Sam opowiadał później. Powiedział jemu wyraźnie: nam konkurentów, ani wspólników do podziału władzy nie potrzeba. Ot co. A wy chcecie „wspólnie” zdobywać Wilno! Tamten już raz dostał w zęby za to. A gdy uciekł z transportu w 41, to dziś znowu powtarza to samo. O tacy, to gorsi od zarazy.

— Zobaczym jeszcze, jak to będzie — schował wyczyszczony pistolet do futerału. — A co do „Łupaszkii”, to przyznam bezstronnie. Wspaniały człowiek, ten Szendzielarz, bez lipy. Tak, słyszałem, jakoby już odmówił wykonania rozkazu ujawnienia przed Sowietami. Myślę, że w naszej akcji na Wilno, jego piąta brygada udziału nie weźmie. Odmówił. Jego rzecz. Ale, że człowiek skrojony na miarę, jak to się mówi, bohatera, to fakt. Ty jego znasz?

— Chcę poznać.

— Tylko uważaj jedno: jak będziesz podchodził do niego, to żeby na kilometr nie było baby z pustymi wiadrami! Niech cię Bóg strzeże. Albo kot nie przebiegł drogi. Wyjmie pistolet i zastrzeli ciebie.

— Będę uważał i na baby i na kota.

Od tamtej rozmowy upłynęło kilka dni. Raz, wieczorkiem, gdy nikogo nie było w izbie, Henryk wyjął pistolet. Jedyne przyjaciółstwo na którym mógł bezwzględnie polegać. Prawie z czułością wysunął magazyn, przeliczył ładunki, nacisnął sprężynę, tak sobie, dla zabawy, której nikt nie jest świadkiem. Zdmuchnął pyłek, wpakował magazyn z powrotem, zarepetował i, z kulą w lufie, przesunął bezpiecznik. Wyszedł na próg, czekając na Skowrońskiego. Chłód przedwieczorny. Niewymierna świeżość. W koni-czynach krzyczały derkacze.

Poszli ze Skowrońskim spacerkiem. Las czernił się przed nimi, blisko, ręką podać. Ach, las, las! Ojciec i matka niepokornych synów. Zmierch się nawlekał ociągając. O tej porze w tamtych stronach zupełnej ciemności nie ma nigdy. Skowroński znał wszystkie hasła. Przeszli linie posterunków. Skowroński spojrzął w pierwsze gwiazdy.

— To mówisz, mnie do nieba nie wpuszczają?

— Boję się, że ciebie tam nie zastanę. — I Henryk wyciągnął rękę, i cieszył się nagle z ciemności, by nie zdradzić raptownego wzruszenia. A tak, uścisnął gorąco podaną dłoń, i po wszystkim.

— Daj Boże. — Rozstali się. Skowroński stał, patrzył jak rozplywa się w lesie postać człowieka. — Te! znowu zapomniałem zapłacić za reperację! — zawołał za nim cicho.

— Zapisz na moje konto! — Dwa razy w lesie chrótnęła sucha gałązka pod stopą. I cisza.



Jeszcze 12 lipca komendant główny AK zdążył wydać instrukcję dla oddziałów w terenie wschodnim:

„A. Położenie. Sowiety są faktycznym naszym kombatanem w walce z Niemcami...”

To już było dawno wiadome. Ale z niektórych odcinków dochodziły pogłoski o trochę zbyt może... jak to się wyraził ktoś w Komendzie z nieukrywanym rozdrażnieniem: „służalcym nadskakiwaniu sowietom”. I generał Bór uznał za stosowne dodać punkt 6-ty:

„Postawa żołnierzy AK w stosunku do Sowietów musi być pełna godności. Wykluczająca służalczość lub nadskakiwanie...”



Ech, nie przeżywał Henryk, w postawie pełnej godności, wiel-

kiego dnia 13 lipca, dnia wyzwolenia Wilna. Taki zawsze przeczorny i zrównoważony, ciężki, flegmatyczny, zawieruszył się gdzieś...

LXXXVII

„Kochany mój Hendryczku...” — pisała Halina śpiesznie na karcie papieru wyrwanej z zeszytu. Później zauważyła, że wskutek pośpiechu wstawiła „d” do imienia „Hendryczku”, ale po namyśle nie wykreśliła. Nie żeby było śmieszniej, tylko zdawało się jej nagle, że będzie czulej. — „... Byłam dla Ciebie w ostatnich czasach zła, niedobra jakaś. Wybacz! A teraz przyszły te straszne wiadomości. Przyniósł mi je Z. z miejsca Twojej pracy. Tyś kiedyś tak pięknie opowiadał o gołębiach. A ja Ci przerwałam! Czyś Ty kiedy pisał list do najbliższej na świecie osoby, o której byś nie wiedział, czy żyje ona jeszcze?! Hendryczku mój najmilszy na świecie! Ja nie wiem, czy Ty żyjesz? Mówią mi, żeś zginął. Ale ja w to nie wierzę. Z. opowiadał, że Wasz samochód otoczyli Litwini i Ciebie i podobno K. zabili. Miał to opowiadać jakiś Niemiec. Ja nie wierzę nie tylko dlatego, że wierzę w Ciebie, ale wierzę też w Boga. Może to śmieszne, bo przecie Bóg pozwolił dziś na zabicie milionów. Ale ja wierzę. Ja wiem, że Ty wrócisz. Więc chcę Ci tylko powiedzieć, że ja wcale nie jestem taką, jaką mogę Ci się wydawać. To po pierwsze. A teraz po drugie, bardzo śpiesznie. Tu się zaczynają przygotowania... Wszyscy mówią, że będzie strasznie! Ja się boję o dzieci. Więc zabieram je, kilka tłumoków i uciekam do Niemenczyna. Ty wiesz u kogo masz mnie szukać? Tam na Ciebie będę czekała, Hendryczku mój najdroższy, mój najdroższy... I jeszcze raz: wybacz mi. O to prosi Cię Twoja H.”.

Nie czytając napisanego przypięła kartkę pineską do stołu, zabrała spakowane rzeczy, dzieci i zamknęła mieszkanie. Klucz schowała w umówionym miejscu, w szparze za futryną drzwi.

— Lydzia! Uważaj, żeby Józio nie spadł ze schodów.

— Pani na długo? — wychylił się na półpiętrze krawiec o spłaszczonej, prawie lisiej mordce.

— Tylko dzieci oddam w opiekę na wsi i zaraz wracam.

— Czy na wsi bezpieczniej? — usłyszała za sobą, i nie odpowiedziała.

Tymczasem wypadki toczyły się utorowaną koleją.



13 lipca na baszcie, na szczycie góry Zamkowej, wysoko nad miastem załopotał sztandar czerwony ze znakami sierpa i młota.

Depesza d-cy Okręgu-Wilno AK. Ldz. 13199/tjn. 13. VII. 1944 brzmiała:

„W zależności od Sowietów zamierzam: 1) Pozostać w rej. Wilna, częścią wspierać armię sowiecką w jej walce z Niemcami. Chcę wywalczyć uznanie nas przez Sowiety jako AK”.

Na przyjęciu dla politruka 1-ej Armii Polskiej utworzonej w Sowietach, Jerzego Putramenta, zorganizowanym przez kierownictwo polityczne Podziemia przeciwniemieckiego i AK, nastrój był raczej nerwowy. W pewnej chwili podszedł do politruka mały, podniecony człowiek, o krótkich wąsikach i ruchliwych rękach.

— Proszę pana — powiedział głosem przyciszonym. — Jestem komendantem Armii Krajowej na województwo wileńskie. W jednym punkcie ma pan rację: to bydlę, ci obszarnicy!



Już było po wszystkim. Następnego dnia Halina spakowała te same rzeczy, zabrała dzieci i podwieziona przez sowiecki samochód wojskowy, powróciła do Wilna. Gdzieniedzie po drodze zastygła, z oniemiałą rurą armaty, rozbite czołgi, strącone do rowów wozy. Gdzieniedzie, rzadko zgłiszcza, resztki okopów, resztki drutów. Wszystko nieważne rzeczy. Kilka dymiących jeszcze ruin. Ale ich ulica, ich dom, nietknięty.

— Zostańcie na dole, dzieci... — nie wytrzymała i pobiegła schodami. Klucz na swoim miejscu w szparze. Ręka jej zadrżała, gdy otwierała drzwi. Już nie złe przecucie, już prawie pewność... Tak: na stole, przypięta pineską, nieporuszona leżała biała kartka papieru. Oparła się dwoma rękami o blat stołu, pochyliła głowę i zaczęła czytać:

„Kochany Hendryczku...”

W oknie wybita tylko jedna szyba. Później po papierze poszła mucha letnia. Szła na ukos poprzez litery, bez treści już. Ostrożnie odpięła kartkę i złożyła we czworo, schowała dłaczegoś za dekolt i zesza powoli schodami, po dzieci Klaudii.



Tłumy ludzi na ulicach. Roześmiane, rozradowane twarze. Kto

do takiej nie potrafił się zmusić, nie wychodził lepiej z domu. Wszędzie pełno jeszcze było żołnierzy AK ze znaczkami polskimi, z orzełkami na czapkach. Halina szła, ciągnąc Józia za rękę, który to się oglądał, to wsadzał palec do ust, gryzł paznokcie, podbiegał i coś prawił. Czy ona jedna w żałobie?

— Co pani taka smutna?! — zatrzymała ją na chodniku znajoma kobieta, ale kto ona była nie potrafiłaby przypomnieć.

— Mąż mój, zdaje się, zginął przy zdobywaniu Wilna. — To było dobrze odpowiedziane. Może przypadkowo. Ale trafnie.

— Och... Jakże mi przykro...

Ludzie coś pokazywali w górze. I Józio zapatrzył się w tamtą stronę. Na ruinach zamków Giedymina, wysoko pod błękitnym niebem, na wzgórzu zielonym od spiętrzonych drzew, łopotał nad miastem czerwony sztandar: „Łopot-łopot-łopot...” w lekkim wietrze. Nie słychać naturalnie z tej odległości, ale można się domyśleć po skrętach czerwieniejącej płachty, i błyskających znakach sierpa i młota, w lekkim wietrze: „Łopot-łopot-łopot”. I po tym jak Józio zaczął się ociągać, błękitnymi oczami wpatrzony w błękitne niebo, w plamę czerwieni na jego tle.

— Józiu! Wyjm palec z buzi. Ile razy ci mówiłam! To jest okropne, żeby taki duży chłopiec gryzł paznokcie.

Ech, nie wrócił, nie doczekał Hendryczek wyzwolenia.



Wyłapano trochę Litwinów, którzy nie zdążyli uciec. Trochę kolaborantów wydano w ręce NKGB i nowej organizacji kontrwywiadu SMIERSZ („Smierć Szpjonom!”). — Od 16 lipca żołnierze AK zaczęli znikać z ulic miasta.

Tego dnia dowódca „Wilk”-Krzyżanowski zarządził koncentrację w rejonie Taboryszki-Turgiele, a sam ze sztabem udał się na rozmowy z generałem Iwanem Czerniakowskim, dowódcą sowieckiego 3-go Białoruskiego Frontu. Tam został aresztowany. Ogółem aresztowano i zesłano do Kaługi około 50 oficerów AK, głównie pod zarzutem kolaboracji z Niemcami. Część żołnierzy zesłano również. Część się rozproszyła, lub próbowała przedzierać lasami do Polski. Poważna część włąła się dobrowolnie w szeregi tworzącego się komunistycznego wojska polskiego. Tych skierowano głównie w rejon Lublina.



W tym czasie V-ta Brygada pod dowództwem „Łupaszki”-Szendzielarza, która odmówiła wzięcia udziału we wspólnym z So-

wietami zdobywaniu Wilna — w zwartej formacji, z bronią w ręku, ze wszystkimi oficerami, przebijając lasami i lawirowała, dokonywując niezwykłego raidu między frontami, prawie trzysta kilometrów, spod Wilna w lasy białostockie.

LXXXVII

— Czy myśli pan, że polskiej racji stanu stało się jednak zadość? — Pan Borkowski okazał się człowiekiem niezmiernie gadatliwym. Być może był to też jeden z powodów, dla których tak chętnie zaprosił Leona na pobyt do swej willi w Mokotowie.

— Mówi pan o tak zwanym zdobywaniu Wilna?

— To znaczy ja mówię bez przekonania. Ja pytam. Sam szukam odpowiedzi.

Leon czasami popadał w nastrój, który żartobliwie nazywał: „reakcją myśli”. I wtedy potrafił odpowiedzieć, jak teraz:

— „Racja stanu” Murzyna który zrobił swoje.

— Ocenia pan w ten sposób? — zamyślił się Borkowski.

— Wczoraj spotkałem znajomego, któremu cudem udało się przedostać do Warszawy. Opowiadał mi, że ponoć w ataku na Wilno zginął największy mój przyjaciel.

— Och... Jakże mi przykro... Ale ja chciałem pana zapytać, dlaczego bolszewicy, Rosjanie chciałem powiedzieć, właśnie tak postępują jak postępują? Pan przecie ich zna.

— Jak „jak”?

— To znaczy aresztują tych, którzy im pomagają?

— Aresztowali Bucharinów i Zinowiewych, aresztowali Tuchaczewskich i własną generalicję. Dlaczego nie mieliby aresztować akowców, którzy stoją im na drodze? Trocki więcej im pomagał niż Komendant AK. Co w tym dziwnego?

— To ciekawe, co pan mówi. Ja szukam wciąż rozwiązania. Może zjemy trochę truskawek z cukrem?

— Z przyjemnością.

— Ale przecie oni musieli zmienić się od tego czasu — ciągnął Borkowski krzątając się koło wielkiej tacy truskawek, w czym znacznie przeszkadzała mu jego chora noga.

— Widocznie musieli, ale nie zmienili się.

Borkowski zaśmiał się swym krótkim, grzecznym śmiechem. Bo Borkowski był człowiekiem naprawdę dobrze wychowanym. Dobrego serca i gołębiego zamyślenia, jak mówił o nim hrabia.

Lubił też bardzo gawędzić o tym, o czym myśli. Ale czy lubił cośkolwiek czynić? Nie wydawał się człowiekiem czynu.

— Bo widzi pan, ja sobie myślę tak: co jest źródłem wszystkiego nieporozumienia na świecie? Moim zdaniem przekuwanie rzeczywistości w slogany. Jeżeli czytał pan kiedy Charles Péguy...

Leon, który nigdy o nim nie słyszał, zaprzeczył ruchem głowy znad swego talerzyka. Borkowski nie ruszył swoich truskawek, które osypał już cukrem i wstał, aby przy pomocy laski przejść się po pokoju.

— ... Pisał on słusznie, że największym błędem ludzkości jest wiara, że nigdy jeszcze — podniósł palec do góry — nigdy jeszcze nie osiągnęła ludzkość takich szczytów, z których widać przeznaczenie jak właśnie we współczesności! Najstarszy z błędów od Adama i Ewy. Najuparciej powtarzany. I co jest zdumiewające, że olbrzymie zmagazynowanie wiedzy i nauk jakie posiadamy, powinno by nas ustrzec przed tym najstarszym z błędów syntetycznych, że się tak wyrażę. I co jest jeszcze ciekawsze, to już jest moja poprawka, że ten starczo-zgrzybiały błąd powtarzany jest najuparciej przez tak zwaną młodzież, ba jest właściwością najcharakterystyczniejszą akurat corocznej, cowiekowej od wieków, młodzieży: Już ona jest na szczycie, i tylko ona widzi w dal, dopiero. Powtarzalność tej głupoty jest śmieszna. Nagromadzenie wiedzy przeczy temu. Ale my ulegamy tej głupocie, i z dumą patrzymy na naszą „przyszłość narodu”. Wie pan co ja chcę przez to powiedzieć? Że po tej strasznej wojnie może dojść do największego potknięcia, nie wskutek zbrodni zbrodniarzy, lecz wskutek głupoty głupców. Tego się najwięcej obawiam.

— To znaczy zakładając, że nie zbrodniarze lecz głupcy dojdą do władzy.

Borkowski znowu roześmiał się grzecznie, tym razem z odcieniem szczerzej serdeczności, i zabrał się wreszcie do spożywania truskawek.

— Panie Kajetanie...

— Ja się właściwie nazywam Leon.

— Panie Leonie. Ja wiem, że pan jest w trudnych warunkach materialnych. Proszę mi nie brać za złe. Ma pan u mnie sto dolarów.

— Dziękuję, bardzo serdecznie.

— Mówiliśmy poprzednio o władzy komunistów. Wskazał pan na monopol ich władzy. Ja się zgadzam, że w takim monopolu wierność prawdzie faktycznej może być postawą antypolityczną. Ale mnie się zdaje, że prawda polityczna, nie tylko u komunistów, ale zawsze ma charakter despotyczny. Politycy nie biorą, a może i nie mogą brać pod uwagę opinii innych ludzi, co jest właśnie

znamienną cechą myślenia politycznego. Otóż ja nie jestem politykiem, a tylko człowiekiem żyjącym. Zresztą Bóg wie po co.

Leon uśmiechnął się przyjaźnie. Cieszył go dar stu dolarów, bo nie miał nic.

— Ale trudność polega — ciągnął Borkowski — w zorientowaniu się w faktach życia. Niech pan weźmie, że już samo poczucie przynależności do większości, skłania często naoczny świadek do dawania fałszywego świadectwa. Stąd systematyczne upośledzenie prawdy faktycznej na rzecz *raison d'état*, czy innego *raison*. Kłamca, który kształtuje fakty tak, aby odpowiadały oczekiwaniom słuchaczy, zawsze będzie miał górę nad głosicielem prawdy, ale niewygodnej. Innymi słowy, nie tylko prawda monopolistyczna, ale i inne prawdy polityczne, są zawsze bardziej przekonujące od prawd faktycznych. Pod tym względem w zupełności przyznaję rację hrabiemu, jeżeli pan pamięta naszą rozmowę wtedy, w kawiarni. Ale mnie chodzi o moje prywatne, egoistyczne życie. Nie potrafię go sobie ułożyć inaczej jak w ten sposób, ażeby nawet kłamiąc innym, nie oszukiwać siebie samego.

— I po co to panu koniecznie potrzebne?

— No, inni gromadzą zielniki, motyle, zbiory numizmatyczne. Bo ja wiem.

— Ależ nie w takich czasach! — prawie wykrzyknął Leon.

W tej chwili zadzwonił telefon. Pan Borkowski podniósł słuchawkę z ugrzecznionym uśmiechem. Leon mimowoli patrzył na niego i widział jak wyraz jego twarzy ulegał przemianom.

— Co?! Ależ panie... To niemożliwe! Kiedy? Straszne. Więc zaraz... — Ale słychać było jak z tamtej strony już położono słuchawkę. Odkładał ją i Borkowski, jakoś powoli i, jeszcze z dłońią na telefonie, powiedział: — Dzwonił hrabia... Pana Juliana rozstrzelano.

Leon spotkał się, jak się był umówił z Watrycym. Nawiązali ze sobą ścisłą łączność. A niezadługo po tym mianowany został zastępcą komendanta Obwodu.



Zamach na Hitlera, dokonany 20 lipca przez spiskowców rekrutujących się z konserwatywno-kontrrewolucyjnych sfer niemieckich, nie udał się. Nie zmienił też w niczym dalszego biegu wypadków. Wszystkie wojujące strony przeszły nad tą nieudaną próbą obalenia hitleryzmu, do porządku. — Jak to określił Siłamiel, popijając z Antonem Panisienko w barze przy ulicy Górskiego: „Spłynął niby woda po gęsiorze”...

Armie sowieckie zbliżały się do Wisły.

W Chelmie utworzony został przez rząd sowiecki: Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN), który 22 lipca ogłosił manifest do narodu:

„RODACY! Wybiła godzina Wyzwolenia. Armia Polska obok Armii Czerwonej przekroczyła Bug... Wspólny jest wróg, wspólna walka, wspólne sztandary!

Krajowa Rada Narodowa, powołana przez walczący Naród, jest jedynym legalnym źródłem władzy w Polsce. Emigracyjny rząd londyński i jego delegatura w kraju jest władzą samozwańczą nielegalną, opierającą się na bezprawnej faszystowskiej konstytucji 1935 roku...

Dlatego KRN powołała POLSKI KOMITET WYZWOLENIA NARODOWEGO, jako legalną Tymczasową Władzę Wykonawczą...

PKWN wzywa ludność i wszystkie podległe mu władze do współdziałania i współpracy z Czerwoną Armią i do niesienia jej pomocy...

Ale i po ogłoszeniu tego „Manifestu Lipcowego”, ani rząd polski na emigracji w Londynie, ani jego podziemne agendy w kraju, ani dowództwo Armii Krajowej, w niczym nie zmieniło uprzednio wytyczonej linii politycznej. Zwłaszcza w najistotniejszym dla chwili bieżącej punkcie instrukcji, mianowicie współdziałania i współpracy z Armią Czerwoną.

Wprawdzie w prywatnych dyskusjach padały pojedyncze głosy sprzeciwu. Ktoś krzyknął na poufnym zebraniu: „Panowie! Znacie chyba rosyjskie przysłowie: „Na siłę mił nie budiesz”, na siłę nie staniesz się przecie miły komuś, kto tej miłości nie pragnie! — Ktoś inny w namiętnej debacie wskazywał, iż taka licytacja z agenturą komunistyczną jak PKWN, w okazaniu lojalności wobec jawnego teraz najeźdźcy sowieckiego — pomijając już godność narodową — sprzeczna jest z realnym interesem państwa i narodu, gdyż do niczego innego jak do kompromisowej akceptacji komunistycznego ustroju Polski prowadzić nie może! — Były to jednak wysoki sporadyczne, bez żadnego pokrycia w materialnej wartości, w niczym nie mogące wpłynąć na zmianę obowiązującej prawdy politycznej. Nie wyszły też przeważnie poza granice prywatnych rozmów, gdyż o prawdzie faktycznej nie należało, a nawet nie wolno było, głośno mówić.

W nocy na 31 lipca, 2-gi pułk piechoty AK stoczył na kierunku sandomierskim zaciętą bitwę z Niemcami. Szef sztabu pułku donosząc o tym Komendzie Głównej wskazywał, że ostonił przy tym prawe skrzydło nacierających wojsk sowieckich, ułatwiając im przez to posuwanie się na zachód w celu utworzenia ważnego przyczółka na Wiśle.

Tego samego dnia, dowódca AK, generał Bór, przesłał do Naczelnego Wodza w Londynie depezę, Ldz. 6420/tjn. 44. 31. VII. 1944:

„Wydalem dla Lwowa rozkaz, by w przymusowym poborze przez Sowiety, Polacy korzystali z uprawnienia wstępowania do armii Berlinga. Rozkazem tym potwierdziłem zarządzenie komendanta obszaru Lwów, wydane przez niego. Analogiczny rozkaz wydaję dla innych okręgów na wschód od tzw. Linii Curzona”.

Był to ostatni akt o zasięgu ogólnokrajowym zadekretowany przez Komendanta Głównego AK. Gdyż tego samego 31 lipca, zapadła ostateczna decyzja dokonania powstania zbrojnego w Warszawie, aby możliwie opanować ją jeszcze przed wkroczeniem wojsk czerwonych i, w charakterze gospodarzy politycznych, powitać je w stolicy Polski jako sojusznika we wspólnej walce, przeciwko wspólnemu wrogowi.

LXXXVIII

.....

W pierwszych dniach oddziały użyte do zwalczania powstania warszawskiego składały się niemal w większości z ludzi wschodniej Europy. Nawet budzący grozę pułk kryminalistów Dirlewangera, liczył 40 % — jak o tym ze skrzywieniem ust wyraził się generał Reinefarth: z „Hiwis”...

— To są prawdziwe „gołoworiezy”, ścinacze głów — nie bez odcienia uznania, ocenił ich Borys Mikołajewicz Siłamikiel.

Sam on, ze swoim kozackim pułkiem, jeszcze przed wybuchem powstania, przeniesiony został na Żoliborz. I chmurniał coraz bardziej, niemal z każdą upływającą godziną. A przyczyna była ta:

Anton poszedł z nim na Żoliborz, bo inaczej nie miałyby się gdzie podziąć. I wszystko byłoby zapewne dobrze na tej niezbyt eksponowanej i mało zagrożonej placówce, gdyby Siłamikiel nie dowiedział się był przedtem adresu Doroty. W jaki sposób do tego doszedł, nie zdradził, on taki zazwyczaj gadatliwy. I oto 1 sierpnia rano, zanim się to wszystko zaczęło, ubłagał Antona (wstyd było słuchać po prostu i powtarzać, w jak uniżonych i histerycznych słowach) — aby ten, w cywilnym przecie ubraniu, przedostał się na ulicę Rakowiecką, numer domu i mieszkania widniał na kopercie, i wręczył jej list. List był zapieczętowany. Po jakimś go sotnik napisał, też nie wiadomo. I w tej sprawie nie zwierzał się Antonowi, czy po rosyjsku, czy uprosił kogoś o tłumaczenie na polskie. Anton zjadł późne śniadanie i poszedł.

Powstanie miało wybuchnąć o godzinie 17-tej, i być zaskoczeniem. W istocie zaskoczeniem stało się tylko dla większości mieszkańców stolicy. Niemcy byli uprzedzeni. Jednym z tych, który uprzedził, był młody lotnik. Zadzwoił on do głównej komendy policji niemieckiej i powiadomił, że jego ukochana, Polka, zdradziła mu wyznaczony termin powstania; dokładnie godzina: 17-ta. (Musiała należeć do wtajemniczonej elity podziemnej; być może zakochała się w tym, od którego wydostać miała ważny materiał wywiadowczy, dotyczący lotnictwa niemieckiego na zapleczu frontu). O tym lotnik nie powiedział słowa, nie wymienił też ani swego, ani jej nazwiska. Polizeiführer Geibel daremnie wołał jeszcze w telefon: „Halo! Halooo!!...” Lotnik odłożył słuchawkę.

Anton doszedł do alei Niepodległości. Teraz zauważył wyraźnie niezwykle ruch na ulicach, który wzmagał się szybko. Na niektórych słupach przybite już były rozporządzenia władz podziemnych. Ludzie czytali. Anton przeszedł jeszcze kawałek, zatrzymał się na rogu i zapytał przechodnia o ulicę Rakowiecką. W tej chwili usłyszał strzały. Z jednej, z drugiej strony... Od wylotu bocznej ulicy gruchnęła salwa, wydziobując dziury w asfalcie... Przemknęła mu przez głowę daleka reminiscencja Moskwy, gdy ją opuszczał jesienią 41... Druga salwa obsypała mur domu gwiazdkami świeżego tynku... Brzęknęła gdzieś szyba... Ostatnie co usłyszał, było:

— Drygaj pan tędy!... — Koniec życia.

Zwalił się na chodnik. Sytuacja była nieprzejrzysta w krzyżującym się ogniu. Mogły to być strzały oddane przez Niemców z głębi przecznicy. Mogły to być powstańcze.

Anton nie wrócił. Przepadły nadzieje, rozmowy, miłość... Teraz już widać według wszystkiego, że cud tylko może zetknąć go na nowo z Dorotą. Ale nawet, żeby cudy bywały, to czyż Pan Bóg takimi się zajmuje? Takimi się nie zajmuje. Już by prędzej wyratował jakieś dziecko na ulicy. Ale nie stykał z cudzą żoną. To jasne. W ostatniej jeszcze chwili, w obłędnej namiętności, przyszło sotnikowi, właściwie tylko przemknęło w głowie rozpaloną igłą zazdrości: „A jeżeli ten Anton, sam kombinował z Dorotą?...” Nie wierzył w to ani przez chwilę. Ale na wszelki wypadek, sam do siebie przez zaciśnięte zęby wycedził: „Ech, sssso-baka...”



Najgorzej było 5-go, w sobotę. Na Woli, gdzie rozstrzelowano wszystkich: mężczyzn, kobiety i dzieci. Na osobisty rozkaz Himmlera. Mówiono, że kierował egzekucjami pewien kapitan Spilker

z SD. Wszakże inni twierdzili, że Spilker akurat w tym czasie miał pewne potajemne spotkania, i był za wycofaniem się z Warszawy i pozostawieniem powstańców samych w obliczu nadciągających sowieciarzy... Ach, nie było czasu na rozmowy! — O godzinie wpół do szóstej wieczorem rozkaz ten, na kontrozkaz von dem Bach-Zalewskiego wycofano. Od niedzieli 6-go rozstrzelivano tylko mężczyzn, i dopiero począwszy od 12-go, tylko mężczyzn z bronią w rękę.

Ale 5 sierpień był najgorszy. Na Ochocie przystąpiła do akcji Brygada Kamińskiego, cofnięta z drogi do Częstochowy. Podczas transportu — to fakt — obiecano ludziom, że będą mogli rabować i brać co się da. Zaczęło się od tego, że pochwycili i zgwałcili Niemkę telegrafistkę. Później omal nie zamordowali majora Wehrmachtu, który interweniował. Wyrwała go z ich rąk załoga przygodnego czołgu. Później poszli rabować dom po domu. To fakt, że takiego bogactwa jak w Warszawie, to w Briańskich lasach nawet ojcowie z carskich czasów i we śnie nie przyśnili. A co dopiero mówić o synach bolszewickiego dnia powszedniego! — „Dawaaaaj!”... — Gwałcić każdą kobietę, i młodą i starą. Tylko bierz! — Jak to ktoś przepowiedział: „Grab nagrabilnoje!... Biej ich! Sojuzszników krasnoj armii!”... — Ale ugrzęźli przy gorzelni, rozpili się i dalej nie posuwali...

„To straszni Ukraińcy”... — podawano z ust do ust po zapadającej w ruiny, w kurzu rumowisk i dymie, Warszawie. Komenda AK wydała rozkaz rozstrzeliwania na miejscu każdego złapanego z: policji, żandarmerii, SS, SD, SA, Hitlerjugend, Bahnschutz i wszystkich „Ukraińców” w niemieckich mundurach.

— Praaaaaawilno! A my ich, sobacze ich siemia! Jebi ich mat’!”...

Prochorczyk wyskoczył nachlany do białego słonia, na ulicę; piana z mordy płynie. Prochorczyk, Timofieja bezprizornego syn, uczeń kursów wieczorowych w Briańsku, niedoszły traktorzysta kołchozu „Krasnaja Zorka”. Oczy szklane, oszalałe, i drze się, bez krycia, jak rznięty kaban: „Biej ich! Ja ich znaju! Sawieckich ka-ła-ba-ran-toooooow!”... Od dziecka przywykły do zapiekłej nienawiści, strachu i łgarstwa. — Uiiit! gwiznęła z dachu kula wyborowego strzelca powstańczego i ułożyła Prochorczyka; nakrył się kopytami na zorany bruks, już zaiste jak ten kabaniuk pijany...

Generał Reinefarth żąda, żeby posuwali się dalej. A oni tylko grabią, piją i gwałcą kobiety. Mordują ojców i mężów. — RONA, „Russkaja Oswoboditielnaja Narodnaja Armia”, Bronisława Kamińskiego, syna Polaka i Niemki. — „To było wschodnie — mówi Reinefarth — zawsze było i będzie takie”.

... 5 sierpnia... Ale co z Dorotą? Nie, bardzo słusznie wyrozumował Siłamikiel, że nie ma cudów w takich sprawach. Szef Sicherheitspolizei, Hahn, wydzielił z zagarniętych w łapance kilkaset kobiet, i trzymał je pod gołym niebem niebem bez jedzenia i picia, sam jeszcze nie wiedząc dokładnie co z nimi zamierza począć. W tym czasie dowódca posterunku niemieckiego w urzędzie pocztowym przy ulicy Piusa, lejtenant Jung, bronił się jeszcze obleżony przez powstańców. Telefonicznie wzywał pomocy, bo telefony wciąż działały: „Ranni leżą, umierają, bez kropli wody!...” — ryczał w słuchawkę. Wtedy to Polizeiführer Geibel zarządził odcięcie posterunku przy ulicy Piusa. Wysłał sanitarny samochód, a przodem dwa czołgi. Osobiście, czy nie osobiście, to już nie ważne, kazał na czołgi naładować kobiety, Polki, w ochronie przed butelkami benzyny... Dowódca czołgów polecił niektóre kobiety uwiązać na maszynach, inne pędzić przodem... W tym gwizdzie kul, piekło pękających murów, chmurach miału tynkowego i brzęku tłuczonego szkła, zginęła Dorota.

Albowiem tamtego dnia, 1 sierpnia, gdy Anton szedł do niej z listem, była na mieście, szła ulicą i wpadła w przypadkową łapankę. W ten sposób dostała się za druty Sicherheitspolizei, a stamtąd do haniebnego skrępowania na czołgu. Kobieta, o której każdy, kto ją znał, mówił że jest śliczna.



Leon walczył początkowo na Mokotowie. (Kulawy Borkowski, kolekcjoner faktów, zawieruszył się gdzieś od pierwszego dnia). Gdy jeszcze nie było tak źle, Leon wysłany został z meldunkiem na ulicę Pańską. Tam nie zastał już Komendy. Wśród walącego się miasta pozostał w śródmieściu. Brał udział w końcowej fazie walk na odcinku zdobytej poczty głównej, następnie na barykadach u wylotu Czackiego na Traugutta. Raz, gdy bomba ze „Stukasa” spadła, gdy przechodził, na Mazowieckiej, miał jedyne w życiu wrażenie końca wszystkich rzeczy. Przeniesiony do T-wa Kredytowego, gdzie urządzono na poczekaniu szpital, ocknął się i nie pamiętał. Był tylko ogłuszony. Od tej chwili myśli zredukowane zostały do mechanizmu akcji, w których brał dalej udział. Wszystko inne stało się tylko cząstką wspomnień z cywilnego życia, jak „dobre czasy” dla starych ludzi. Mogło się już robić wyłącznie co robią inni, mówić co mówią inni, krzyczeć co krzyczą inni, i żywić nadzieje które żywią inni. Gwizd, łoskot, odwieczne chodzenie po rozbitym szkłe; smród, muchy oblepiające twarz i ręce. Dymy pożarów, i smak dymu w ustach. Jako

porucznik rezerwy dowodził plutonem przy zdobywaniu kościoła św. Krzyża. Bóg strzegł, jak mówią ludzie. Nie zginął i nawet nie ranny.

... „Dzicz wschodnia” — upierał się w dalszym ciągu generał Reinefarth. — „Można uwierzyć w teorię *Untermensch'a*”, zauważył generał Erich von dem Bach-Zalewski. — „To Ukraińcy”, twierdzili Polacy. — W każdym razie Brygada Kamińskiego nie posuwała się w ruinach; żądała posiłków. Polacy bronili każdego załamania muru. Von dem Bach, który dowodził całością sił zwalczających powstanie, postanowił rokować. Ale bez uprzedniego wycofania tej „hołoty” o rokowaniach nie mogło być mowy. Co za plot okoliczności! Właśnie Himmler okazał się teraz największym protektorem *Untermensch'ów*... I bez niego nie wolno było ruszyć Kamińskiego. Tymczasem Kamiński otoczył się gwardią przyboczną, ani go po cichu aresztować, ani zastrzelić. — Raptem ktoś szepnął, że generał SS, Herman Fegelein, ma być rzekomo dobrze usposobiony do Polaków? Fegelein, dowódca kawaleryjskiej dywizji SS-„Florian Geyer”, a od kwietnia 1943, oficer łącznikowy SS przy głównej kwaterze Hitlera?... — „*Wie kommen Sie darauf?*” — Żonaty z siostrą Ewy Braun, a więc poniekąd „szwagier” samego Hitlera. Ten może coś zrobić. Spróbowano interweniować przez niego, za plecami Himmlera. Udało się: 26 sierpnia Kamiński zawezwany został do Łodzi rozkazem wojskowym. Nazajutrz, 27-go, pod jego nieobecność, brygadę wycofano z Warszawy do Puszczy Kampinowskiej, dla walki z oddziałami AK, które stamtąd próbowały przyjść z pomocą powstańcom. Tymczasem w Łodzi sąd polowy skazał Kamińskiego na karę śmierci za niesubordynację. Zastrzelony został przez ludzi SD.

... Od chwili zajęcia przedmieścia Pragi przez oddziały komunistycznej armii polskiej gen. Berlinga, oczekiwano wyzwolenia z tej strony. Czyż nie pisał, nie zapowiadał „Biuletyn Informacyjny”, oficjalny organ Biura Informacji i Propagandy AK jeszcze 25 lipca, omawiając wypadki wileńskie, że polskie formacje Armii Czerwonej wkroczą do Warszawy z polskimi sztandarami i Matką Boską Częstochowską?... O spodziewanej odsieczy zawiadania Krajową Radę Ministrów sam generał Bór, i dostrecz można było cię ulgi na jego zmęczonej twarzy. Ale odsiecz nie nadchodzi, i walki trwają dalej.

... 1 września dowódca AK przesyła rozkaz do dowódcy Okręgu Lublin, Ldz. 7704/tjn. 44. 1. IX. 44:

„Za wszelką cenę nie dopuścić do wystąpień zbrojnych przeciwko Sowie-

tom. Nasza sprawa polityczna w trakcie rozwiązywania; na razie nie możecie liczyć na żadną pomoc, lecz konieczna cierpliwość i wytrwanie”.

... Dnia 11 września dowódca AK nie mając bezpośredniego połączenia z kwaterą sowiecką i, mimo zerwanych z Sowietami stosunków dyplomatycznych, uważa za stosowne wysłać depeszę do marszałka Konstantego Rokossowskiego, za pośrednictwem Londynu — Ldz. 8197/tjn. — zawierającą m.in. zwrot:

„Proszę Pana Marszałka o powitanie w imieniu moim i żołnierzy AK zbliżającej się do wrót Warszawy armii sowieckiej i znajdujących się w jej składzie oddziałów polskich...”

Naczelnny Wódz w Londynie, generał Sosnkowski, na którego ręce przyszła ta depesza, przekazał ją premierowi Mikołajczykowi, proponując skreślenie, jak się wyraził: „wstępu powitalnego”... Ale premier nadał ją do Moskwy bez żadnych skreśleń. — Pomoc jednak od Rokossowskiego nie nadeszła. Warszawa wali się w gruzy. Obszar powstania kurczy się coraz bardziej.

... Już nie ma mowy o: „bandytach polskich”. Rozpoczęły się rokowania z armią powstańczą. Jest już październik. Bach-Zalewski zgodził się na warunki honorowe kapitulacji, zgodnie z konwencją genewską. Odrzucił jednakże warunek polski, aby konwój jeńców objęły wojska Wehrmachtu, z wyłączeniem formacji SS. Wskazał, iż jest to zresztą warunek paradoksalny, gdyż rokowania kapitulacyjne prowadzone są właśnie z generałem SS. — W rezultacie Komenda AK przystała na konwój SS, lecz złożony wyłącznie z Niemców, zastrzegając się stanowczo przeciwko oddaniu pod straż jakimkolwiek oddziałom złożonym z ludów wschodniej Europy. W tym punkcie doszło łatwo do porozumienia. — „My, zachodni Europejczycy, to rozumiemy. To jednak dzicz...”, przytaknął Bach-Zalewski, z pobłażliwym kiwnięciem głowy. — „Tak ściśle między nami, szepnął na boku jeden z oficerów niemieckich, nie dziwię się Stalinowi, że on tych Karaczajów, Kabardyńców, Tatarów, Kałmuków, Dagestańców, czy jak oni tam wszyscy się nazywają, zegnał do kupy, *und mit Kind und Kegel*, zesłał całą bandę na Sybir...” — Pełnomocnicy polscy nie wdawali się w poufne rozmowy, ale stanowczo obstawali przy swoim. — Kapitulacja podpisana została w Ożarowie, dnia 2 października.

... W dwa miesiące po tamtym, najstraszniejszym 5 sierpnia, nastąpił 5 października wymarsz oddziałów AK do niewoli. Każdy brał co mógł i ile mógł. Leon nie miał dużo, poza darowanym mu onegdaj futrem przez kogoś, kto sam już nie mógł unieść. Bo cy-

wilni wychodzili wcześniej. Pan z siwą bródką pożałował w ostatniej chwili, odwrócił zmizerowaną głodem twarz, by spojrzeć raz jeszcze na poniesioną stratę, i kiwnął: „Może spotkamy się jeszcze, to pan mi odda...”

— Nie bądź frajerem, daj mu w zęby — zgrzytnął Marek, przyjaciel Leona od miesiąca walk.

— Bóg z nim, z kułakiem stołecznym. Nie mnie chodzić jego stroną ulicy. I tak mu nie oddam, po co jeszcze złym gestem przykrość sprawiać. — Zbliżały się chłody i futro było ważnym nabytkiem dla Leona. Miał poza tym zaszyty w pasku spodni 100-dolarowy banknot od kulawego Borkowskiego. Majątek. Kilka monet złotych i brylant starego szlif, które mu podarował kuzyn Julian, przepadło w jego mieszkaniu. Ale i tak z posagiem opuszczał Warszawę, choć wiedział, że wielu miało od niego więcej. Ale nie Marek, artysta malarz, pozujący na indywidualistę w zrujnowanych ramach, silnie zbudowany młody chłopak o ciemnych kędziorach. Ten byłby powiedział ile ma. Ogolili się brudną wodą bez mydła, starą żyłką, oparliśmy odłamek mieszczkańskiego *tremeau* o odłamek muru. Obładowany pochód w cywilnych i półwojskowych ubraniach, w polówkach, cyklistówkach i kapeluszach, z opaską czerwono-białą i czarnym nadrukiem: „AK” na niej, znaku kombatanckim, nie wyglądał imponująco, ale maszerował z podniesioną głową. W ostatniej chwili szef BIPu AK, pułkownik Rzepecki-„Rejent”, wystawiał masowo legitymacje AK członkom komunistycznych i prokomunistycznych formacji „Armii Ludowej”, „Polskiej Armii Ludowej”, „Korpusowi Bezpieczeństwa” podziemnych władz cywilnych, członkom PPRu i innych, którzy walczyli razem w powstaniu warszawskim ramię przy ramieniu. Minęli ostatnie barykady, weszli w Aleję Niepodległości.

— Kurwa mać... — mruknął Marek z niejakim zamyśleniem, na widok pierwszych posterunków niemieckich. Szli ulicami gruzów, przewróconych latarni, zerwanych drutów, patrzyły na nich puste oczodoły okien. Szli dalej koło szkieleatów kamienic, koło leżących na boku tramwajów. Szli ulicą Suchą, Filtrową, placem Narutowicza. Leje po bombach. Już teraz otoczeni silnym konwojem niemieckim.

Po generałów Bora, Pełczyńskiego, Sawickiego i Skroczyńskiego zajechały samochody osobowe. Każdy z generałów miał prawo zabrać ze sobą do towarzystwa jednego oficera sztabu i oficera ordynansowego.

Warszawa historyczna, Warszawa burżuazyjna, kapitalistyczna, Warszawa roku 1920, Warszawa dwudziestoletniej niepodległości i pięcioletniej walki z okupantem niemieckim, była rozwalona i oddalała się zwolna. W szpalerze stalowych hełmów niemiec-

kich szli na miejscowość Włochy. Marek odezwał się raz jeszcze, tym razem z lekkim sarkazmem:

— Przynajmniej nie ma koło nas grubych rysów i skośnych oczu, tych wszystkich plemion jakuckich, tunguskich, płaskich twarzy Kazachów, żółtoliczych, oliwkowych, ani czarnych Ormian, ani bladoliczych Gruzinów.

— Za kolorami tęsknisz?

— Ani muzyków moskiewskich — wyliczał dalej Marek — ani Ukraińców, ani Litwinów...

— Nie wygłupiajcie się, kolego — odezwał się spokojnie idący z tyłu młodzieniec w okularach, o inteligentnej, zmęczonej twarzy — wyliczaniem tych narodowości. Dla nas mają one raczej jednobarwne oblicze. A więcej nas nie obchodzi.

— Nie? — zapytał Marek raczej w przestrzeń. — Nie, to nie. I ja też wolę jak wy, maszerować pod niemieckim zabezpieczeniem, niż dostać kozacką szaszka po głowie. Ale zastanawiać się wolno, kolego? Etnografia, czy etnologia nie pokrywa się tu jakoś z przebiegiem aktualnych linii frontów. Wyście co studiowali, kolego?

— Jedno i drugie — odpowiedział tamten spokojnie.

— To będziecie mieli co dzieciom opowiadać.

Idący z prawej strony, czarniawy, barczysty jegomość, wtrącił z lekceważeniem:

— Żeby tylko samym przeżyć. A już tam o przyszłych dzieciach na drodze tej trajlować...

— Damy radę, panowie — dorzucił czwarty. — Trzeba tylko czaszką poruszać. Z pustego w puste nie przelewać. Ja od dziecięciu pokoleń marzę o szklance piwa.

— Proszę bardzo! — wykrzyknął któryś, dramatycznym gestem ręki zataczając wstecz ku miastu ruin. — Nawarzyliśmy go dosyć!

— Nie trzeba ani tak mówić, ani tak wykrzykiwać — odparł mu młodzieniec w okularach.

Leon milczał, choć przychodziły mu teraz różne myśli, i biegły przed nim przestrzenią październikową w dal. I nagle odczuł szum, huk w głowie. Po raz pierwszy od tamtego wypadku na Mazowieckiej. Lekarz powiedział wtedy: „Nie kontuzja, a takie ogólne ogłuszenie”. A on zażartował w odpowiedzi: „Ogłupienie, panie doktorze”. Widocznie takich rzeczy się nie zapomina, myśli teraz.

— Haaalt!

— Co tam? — dały się słyszeć zmęczone głosy.

— Zwyczajny szlaban kolejowy.

Po siedemnastu kilometrach dotarli do Szczęśliwicz. Było chło-

dno. Październikowe pola pokrytą grubą skibą niedokończonych robót polnych. Czarne ptaki o silnych, białych dziobach podnosiły głowę, patrzyły, oczekiwały czemuś i zrywały się leniwym machnięciem skrzydeł, odlatując tuż nad rolę. Zaczęło zmierzchać. I wtedy to Marek znikł. Udało mu się zbiec.

LXXXIX

Jeszcze daleko było do końca roku, a już wiadomo, jak się on skończy. Mówiono, że Hitlerowi po zamachu 20 lipca trzęsły się ręce, że chodził zgarbiony jak starzec. Wybuchy wściekłości powtarzały się częściej, były bardziej nieobliczalne, ale nie budziły już tej grozy.

Do Himmlera doszły mętne raczej pogłoski, że kilku zamachowców, a w niej mnoga ilość hrabiów, szlachty rodowej, tak zwanych „junkrów pruskich” i innych reakcjonistów, w swoich planach obalenia ustroju hitlerowskiego rzekomo wkalkulowało jakąś rolę, którą miałyby odegrać antybolszewickie formacje wschodnie. Pogłoska się nie dała sprawdzić. W pierwszej chwili podzielała jednak oziębiająco na własne plany Himmlera, które już powziął w stosunku do tych formacji. W tym samym dniu, w którym wybucha powstanie w Warszawie, odcięte zostają kraje bałtyckie od Prus Wschodnich. 23 sierpnia Rumunia przechodzi na stronę aliantów. 29-go wybucha powstanie w Słowacji, a armia Czerwona wkracza do Bukaresztu. — W takiej chwili rzucać hasło: „Oswobodzenia Rosji?” Z kim, z Własowym?! Śmiesznie... — I Himmler postanawia inaczej: zesłać Własowa do sanatorium w Ruhpolding, w Bawarii. Niech tam odpoczywa. Ale z drugiej strony: co dalej?

6 września Armia Czerwona osiąga granicę Jugosławii; 9-go kapituluje Bułgaria; 19-go Finlandia; 21-go pada Tallin. — Jakże błyskawicznie zmieniają się czasy! Jeszcze 1 sierpnia sam wydał rozkaz wymordować całą ludność Warszawy. Powstańców nie wolno było inaczej nazywać jak „polsnische Banditen”. A już 2 października zawiera się z nimi honorowy układ na podstawie konwencji genewskiej.

Generał Bór, po powrocie z rozmów z generałem SS von dem Bach-Zalewskim, zdając z tych rozmów sprawę na zgromadzeniu podziemnej Rady Jedności Narodowej, nie bez ironii opowiadał:

„Bach był wylewny i mówił z przejęciem: Musimy razem uratować waszych wspaniałych żołnierzy AK. Jest to naszym wspólnym przeznaczeniem, że kiedyś, w przyszłości, obojętnie pod jakim dowództwem, my Niemcy, i wy Polacy, będziemy walczyć przeciw wspólnemu wrogowi... Wówczas ci bohaterscy żołnierze będą potrzebni...”

Właśnie: „wspólny wróg” staje się hasłem naczelnym. Trzeba na gwałt szukać nowych sojuszników, skoro starzy odpadają jeden za drugim.

Tego więc samego 2 października zwolnieni zostają z więzienia Melnyk, Bandera, Borowiec, Stećko i inni ukraińscy nacjonalisci. Ale cóż oni zastają po wyjściu z więzienia...



Własow jedzie do Ruhpolding w Bawarii, z towarzyszącym mu kapitanem Strik-Strikfeld i swoim niemieckim adiutantem Sergiejem Fröhlich. Obydwaj stali się w gruncie jego zaufanymi i przyjaciółmi. Tam, nad jeziorem Taubensee leży uzdrowisko, które obecnie służy ciężko rannym. Właścicielką uzdrowiska jest pani Heidi Bidenberg. Atrakcyjna wdowa po poległym lekarzu, jasna blondynka, rozmiłowana w muzyce. Od tej muzyki się zaczyna. Heidi gra na fortepianie i na akordeonie. Ma poza tym nie duży, ale dobrze ustawiony głos. Jest doskonale zbudowana, uprawia sporty. Zna też sporo i niekiedy wpływowych ludzi w Trzeciej Rzeszy. Muzyka usposabia do marzeń. Kto jest Andrej Andrejewicz, i jaką rolę polityczną ma, jeżeli Bóg da, odegrać, Heidi wiedziała, a reszty dowiedziała się od jego adiutantów. Na razie zależy to wprawdzie od Himmlera, ale od czegoż zakulisowe sprężyny. Tak myśli piękna blondynka, może niezupełnie zdając sobie sprawę, że decydującą sprężyną są tu nie znajomości salonowe, lecz zwycięstwa armii sowieckich.

„Czy rzeczywiście Własow, jeszcze na kwadrans przed dwunastą, ma być przeciwstawiony Stalinowi? Skąd te marzenia? A jeżeli uda się! Jeżeli rzeczywiście, jak mówią ludzie, którzy nie utracili jeszcze nadziei, stanie na czele przyszłej Rosji?”

„Małoż to Niemek zasiadło na tronie wszechrosyjskim” — żartuje olbrzymi wzrostem Andrej Andrejewicz. — W odpowiedzi miała zwyczaj potrząsać blond fryzurą, odrzucać głowę w tył i śmiać się beztrudnie białymi zębami. — „Wielkiej, niepodzielnej Rosji?...”, mówi Własow.

— A co z żoną, z dziećmi?

— Jest wiadomość, straszna, że zostali wymordowani.

— Och, jakże mi przykro...

Kobiety kochają interesownie nie tylko dla interesu. Jeżeli interes, „warunki obiektywne” — jak mówią komuniści — grają dużą rolę, kochają całego mężczyznę razem z jego warunkami obiektywnymi, bez alienacji — jak mówią komuniści — interesu osobistego. Nad jeziorem Taubensee następuje harmonia, miłość, żaręczy. Heidi zostaje żoną Własowa.

Dnia 9 września dzwoni telefon z Berlina poprzez wszystkie zerwane bombardowaniem i naprawiane linie. Własow niech wraca do Berlina: Reichsführer Heinrich Himmler oczekuje go 16-go w swojej kwaterze koło Rastenburga. — Heidi sądzi, że i jej w tym zasługa, że i ona maczała palce w grze godnej Marie-Josephine de Beauharnais... Grze, która prowadzi na szafot, prowadzi na tron. Albo donikąd. Zależnie od „warunków obiektywnych”. Równie dobrze z Martyniki jak z Ruhpolding.

Himmler poprzednio rozmawiał z Hitlerem. Ale Hitler, mimo zgarbienia i trzęsących się rąk, upierał się przy starym: zgadza się na ten pomysł, ale wyłącznie jako chwyt propagandowy, bez zamiaru dotrzymania czegokolwiek. Himmler przytaknął z gotowością, ale jednocześnie pomyślał, że może być tak, że nie dotrzymać nie będzie już możliwości. To znaczy, gdy zajdzie sytuacja, w której nastąpi wybór pomiędzy dotrzymaniem, a niedotrzymaniem. Nadzieja na taką sytuację jest w gruncie znikoma. To widzieli już wszyscy chyba, wszyscy poza jednym Hitlerem. I dlatego właśnie można się z nim nie liczyć, jeżeli chodzi o plany na przyszłość. W jedno tylko wszyscy razem nie tyle wierzyli, ile chcieli wierzyć: w rychły konflikt świata zachodniego z jego bolszewickim sojusznikiem. I właśnie w tej jedynej jeszcze szansie która pozostała, karta „oswobodzenia Rosji” może się okazać ważnym atutem w ręku.

Rozmawiał z Własowem szczerze. Wyraził żal, że tak późno doszło do tej rozmowy. Własow ze swej strony zażądał utworzenia własnej armii jednoczącej wszystkie rozproszone oddziały, oraz powołania namiastki rządu rosyjskiego, przynajmniej w postaci Komitetu Wyzwolenia Rosji. — Himmler zgodził się w zasadzie ze wszystkim. Nie mówił do Własowa: „świnia”, jak mówił o nim niedawno, lecz: „Panie Generale”. Przewidywał jednak na razie dwie dywizje, gdyż na wyposażenie więcej broni i amunicji. — Własow zażądał dodatkowo ukrócenia działalności Ostministerium, które przez popieranie rozlicznych komitetów „narodowych separatystów”, rozprasza siły. — To zainteresowało Himmlera. Zapytał: czy pan generał sądzi, że cała akcja odniesie skutek po tamtej stronie? — Własow odpowiedział, iż sądzi że

nawet Rokossowski przejdzie na jego stronę. Nie zapomniał wybi-
tych mu w łągrze zębów. — To dobrze, zgodził się Himmler.
Dlaczego, zapytał, Tuchaczewski zawiódł? — Nie znał prawa
masy, odpowiedział Własow. — Rozmowa trwała długo.

22 września sekretarz stanu ministerstwa spraw zagranicznych
w Berlinie, Steengracht, wezwał do siebie dr. Bräutigama.

— Stawka na Własowa, panie doktorze, oznacza dla nas ko-
niec nadziei na pokój separatystyczny z Sowietami.

— Czy takie nadzieje istniały?

— Zawsze są, od początku każdej wojny aż do jej końca.
Bez tego nie ma wojen.

— Powiedzmy, to jest jedna strona medalu. A druga: co zrobią
teraz wszystkie komitety narodowe popierane przez Rosenberga,
w jego programie rozczłonkowania Rosji? Wybuchnie piekielne
zamieszanie.

— Sądzę, że Himmler nie bardzo orientuje się w sytuacji.

2 października Himmler zawezwał do siebie generała Köstrin-
ga, inspektora „oddziałów wschodnich”.

— Ile pan ma swoich Rosjan?

— To znaczy, o kim pan mówi? Ścisłe o Rosjanach, czy
en bloc, wszystkich narodowości byłych obywateli sowieckich?

— *En bloc*.

— Trudno powiedzieć dokładnie. Przy lotnictwie i marynar-
ce było przed inwazją aliancką na zachodzie, około 100 tysięcy.
Gros jednak jest przy wojsku. Sądzę 900 tysięcy, do miliona, nie
więcej.

Himmler odstawił gwałtownie filiżankę kawy, omal nie roz-
biwszy spodka:

— Tego mi dotychczas nikt nie powiedział!

W rzeczywistości było tego wiele więcej. Wielokrotnie więcej
niż wszystkie *Résistance* antyniemieckie w Europie, razem wzięte.

— Czy to jest źle? — spytał Köstring ostrożnie. — Rosjan
czystych będzie w tym ponad 400 tysięcy.

— *Donnerwetter!* Niech pan ich ściąga. Robimy jednolitą
armię rosyjską.

W tym czasie Własow, w oparciu o główną kwaterę rosyjskiej
organizacji NTS, przystąpił do organizacji Komitetu Wyzwolenia.
Natrafił na ogromne trudności, jak to przepowiedział Bräutigam:
Narodowe komitety tzw. „separatystów”, jeden za drugim wrę-
czały memoriały protestacyjne. Przebijała z nich nieukrywana nie-
nawiść do Rosji, i szczery zawód. Zwłaszcza ostro wystąpili kau-
kazczycy: Misza Kedia, Kantemir, Alibegow, Czamalian:

„Łączne siły Ormian, Azerbajdżanów, Gruzinów, północnych kaukazyków, wynoszą po stronie niemieckiej: 102.195 ludzi. Walczą na wszystkich frontach. To jest zdrada w stosunku do ofiar, które już poniosły!”

Teraz dopiero wyszło na jaw w całej pełni, na czym w istocie Rosenberg spekulował: ci ludzie nienawidzili Rosji wielokrotnie więcej niż komunizmu. — A czy nie do tego wszystko winno się sprowadzać? Czy sojusznicy zachodni nie bardziej nienawidzą Niemców, niż nazizmu? Żydzi mogliby o tym coś powiedzieć, jeszcze przed wojną. Gdy uciekając od terroru, z trudem tylko wielkim znajdowali przytułek na Zachodzie. W tej chwili było to mało ważne, że w roku 1938 „okręt widmo” wypełniony Żydami niemieckimi błakał się z portu do portu, a żadne demokratyczne, chrześcijańskie, humanistyczne państwo ich wpuścić do siebie nie chciało. Zanim nie nastąpił konflikt interesów państwowych... Dziś to nie ważne.

Ważne było co innego. Rozpalone do żaru namiętności, kłótnie, intrygi, memoriały, bieganina, konferencje, gestykulacja, personalne ambicje — to wszystko przesłaniało i pozwalało choć na chwilę zapomnieć o tych potęgach, które decydowały ostatecznie o losach ziem i ludów wschodniej i środkowej Europy, nie pytając o zdanie jej mieszkańców.



Churchill bawił w Moskwie z wizytą u Stalina. 9 października nadał stamtąd telefonogram do premiera emigracyjnego rządu polskiego w Londynie, Stanisława Mikołajczyka:

„Powiadomiłem Stalina, że odmowa Pana wzięcia udziału w rozmowach będzie uważana za ostateczne odrzucenie naszych rad i uwolni nas od wszelkiej odpowiedzialności wobec rządu polskiego w Londynie”.

Premier Mikołajczyk spakował walizkę i poleciał do Moskwy, jak mu kazał Churchill. Tam dowiedział się, że Polska ma uznać linię Curzona, potwierdzoną w roku 1939 przez pakt nazistowsko-bolszewicki, za wschodnią granicę Polski. Nadto uznać komunistyczny „Komitet Wyzwolenia Narodowego” w Lublinie, za trzon przyszłego rządu polskiego. — 15 października Mikołajczyk poszedł do Churchilla i powiedział, że w zasadzie godzi się na warunki, ale żeby chociaż Lwów i zagłębie naftowe zostały przy Polsce. — „Churchill potraktował Mikołajczyka, powiedział Adam Pragier, minister rządu polskiego, jakby nie śmiał traktować swego butlera, bo bałby się, że sobie pójdzie”.

W tym czasie rząd polski na emigracji dysponował po stronie

brytyjskiej siłami zbrojnymi, w brytyjskich mundurach, na rozlicznych frontach, w sile, około 150 tysięcy żołnierzy. Tzn. więcej niż było samych kaukazczyków po stronie niemieckiej.



Kaltenbrunner na rozkaz Himmlera powiadomił Misza Kedię, że będzie traktował za akt wrogi, jeżeli ten nie zechce nawet rozmawiać z Własowem. Kedia istotnie przybył. Rozmowa odbyła się w prywatnym mieszkaniu Własowa. Kaltenbrunner był obecny i zapytał:

— Jest pan gotów wziąć udział w organizowaniu rządu rosyjskiego pod przewodnictwem Własowa?

— Nigdy.

— Dlaczego?

— Wolę Stalina przed sobą, niż Własowa z tyłu. Nie po to walczyliśmy do dziś, aby iść pod nóż innego imperializmu rosyjskiego.

Kaltenbrunner nie kazał go ani aresztować, ani tym bardziej zesłać do kacetu. Do tego stopnia zmieniły się czasy pod każdym względem.

Następna rozmowa odbyła się z Radosławem Ostrowskim, przewodniczącym Komitetu Białoruskiego.

— Panie generale Własow — oświadczył Ostrowski. — Nasze drogi są różne. Pan walczy o wolną Rosję, a ja walczę o wolną Białoruś. — I poszedł zaraz do Rosenberga, aby złożyć sprawozdanie ze swej odpowiedzi.

Własow machnął ręką na dalsze rozmowy. Do „Komitetu Oswobodzenia Narodów Rosji” (KONR) przystąpił w imieniu Kaukazu Osetyniec Zogoł, od Kozaków generał Bałabin, od Ukraińców Musiczenko.

Był już listopad.



W tym czasie dr Arlt z Ostministerium rozwinął energiczną działalność na rzecz usamodzielnienia ukraińskiej dywizji. W zupełności podzielał on pogląd zarówno generała Szandruka, jak swego szefa ministra Rosenberga, iż należy ją czym prędzej rozbudować w ukraińską armię narodową. Założono ukraińską szkołę oficerską.



14 listopada, wczesnym rankiem, na dworzec stolicy Czech, Pragi, zjechał pociąg specjalny wiozący generała Własowa wraz

z otoczeniem. Jego generałowie: Zilenkow, Zakutny, Małyszkin, Truchin i inni, wszystko byli oficerowie Armii Czerwonej. Na placu przed dworcem niemiecka kompania honorowa prezentowała broń. Witął niemiecki komendant miasta Pragi, generał Toussaint. Przed hotelem „Alcron” stały już warty rosyjskie. Przybył gen. Köstring. Przedstawiciele ministerstwa spraw zagranicznych. Sekretarz stanu, wielkorządca Czech, Karl Hermann Frank wydał uroczysty obiad w rezydencji. Po obiedzie długie rzędy samochodów zajeżdżały na Hradczynę. Rosyjskie posterunki sprawdzały zaproszenia. Rosyjscy gospodarze wskazywali miejsca w udekorowanej odświętnie sali, pod flagą św. Andrzeja. Przybyło 500 delegatów rosyjskich od oddziałów, robotników przymusowych, którym w ostatniej chwili wydano przyzwoite ubrania; od organizacji politycznych.

— Nie za późno to wszystko? — szepnął pułkownik Herre do radcy Hilgera. — Entuzjazm nie zawsze jest towarem śledziowym na eksport.

— Za późno, w stosunku do czego? Gdybyśmy od tego zaczęli, musielibyśmy wyrzec się planów przeistoczenia Rosji w kolonię niemiecką. Z tym, tu, nie robi się kolonii. Führer po prostu chciał ją mieć, i dlatego nie robił tego, co robi dziś Himmler. A on dopiero teraz wyrzekł się widoków na kolonię. — Powiedziane było z dużym sarkazmem.

— Mówię, za późno w stosunku do sytuacji na froncie, a nie projektów Führera, które znam.

— Prawdopodobnie. Pan wie, co Laval powiedział Führerowi: *Vous voulez gagner la guerre pour faire l'Europe, mais faites donc l'Europe pour gagner la guerre...*

Powstał Własow, olbrzymi wzrostem, górował nad stołem prezydialnym, przy którym zasiadło sześciu byłych obywateli sowieckich i tylko jeden były poddany imperatora Wszechrosji.

Własow potępił ustrój monarchiczny dawnej Rosji. Nawiązał do rewolucji lutowej 1917 roku, ale skrytykował ostro ówczesny Rząd Tymczasowy za jego niezdolność przeprowadzenia istotnych reform. Wezwał do walki z bolszewizmem stalinowskim. Następnie odczytał uroczysty manifest, zawierający program przyszłego ustroju Rosji: „... Bez bolszewizmu, ale też bez kapitalizmu... Rozwiązanie kołchozów i przywrócenie własności prywatnej, ale nabytej prawem własnej pracy... Skupienie we współpracy wszystkich rewolucyjnych i opozycyjnych sił kraju, ale odrzucenie wszelkich reakcyjnych tendencji i zamiarów... etc. etc.”. Ani słowa o Żydach, o antysemityzmie. Natomiast manifest zawierał silne akcenty wzywające nierosyjskie narody podsowieckie do wspólne-

go wysiłku pod wspólnym, na razie, sztandarem. — Podpisało go 49 członków Komitetu Oswobodzenia Narodów Rosji.

Własow podniesiony został do rangi wojskowej generała armii.



Pierwsza dywizja ROA organizować się miała w Müssingen koło Ulm. Dowódcą jej mianowany został Sergiusz Buniczenko, były członek partii komunistycznej od 1919, absolwent moskiewskiej akademii sztabu, były komdiw dalekowschodniej dywizji czerwonej we Władywostoku. Czerstwy, średniego wzrostu, masywny, o gołej okrągłej czaszce i głęboko zapadniętych szparach oczu, syn chłopca spod Charkowa. Z nienawiścią patrzył jak wyładowywano na bocznicę kolejowej resztki bandy Kamińskiego, wycofane z powstania Warszawskiego. Szpary jego oczu zwięzły się jeszcze bardziej, zdawało się niemożliwe by przez nie mógł co zobaczyć.

— Do czego można doprowadzić ludzi... — wycedził wreszcie do swego szefa sztabu, pułkownika Nikołajewa, byłego oficera wojsk NKWD. — Je... mat'... Bydło nie ludzie.

Nikołajew milczący, wysoki, w eleganckim mundurze, pachnący wodą kolońską, patrzył bez mrugnięcia.

Zaczął się dalej ściąganie rozbitków rosyjskich ze wszystkich frontowych oddziałów, zarówno samodzielnych jak włączonych do niemieckich. Nikt nie chciał oddawać. Byli potrzebni w linii bojowej. Nie było transportu. Nie było węgla. Nie było broni i amunicji. Nie było baraków, mundurów, wyposażenia. Były ciągłe naloty. Buniczenko pił wódkę, tłukł kułakami, i wrzeszczał na przydzielonego doń pułkownika Wehrmachtu Herre:

— Żeby walczyć, trzeba mieć spodnie! Żołnierze nie mają spodni!



Tak kończył się rok 1944. W wilię Bożego Narodzenia rozpoczęło się oblężenie Budapesztu przez II-gi i III-ci Ukraińskie Fronty pod wodzą marszałka Malinowskiego i Tołbuchina. Czerniakowski stał w Prusach Wschodnich. Armie zachodnich aliantów zbliżały się do Renu.

A daleko było jeszcze do postawienia na nogi pierwszej dywizji „armii wyzwolenia Rosji”.

— Dlaczego nie zaniecha się tej śmiesznej zabawy?

— Ona nie jest śmieszna — odparł pułkownik niemiecki — jest tylko założona na błędzie. Rozmawiałem właśnie z Himmlerem.

- I co on powiedział?
— On? Nic zgoła nie powiedział.
— Więc?
— Są rzeczy, które się wnioskuje z milczenia.
— Tajemnicza „cudowna broń”?
— W nią nikt więcej nie wierzy. Natomiast wywnioskowa-
łem, że Himmler nie przestał wierzyć w konflikt zachodu z bol-
szewikami. Wtedy on zapłaci aliantom zachodnim Hitlerem, jak
zszarganym pfenigiem, sam stanie na czele, a pretekstem do man-
datu będzie posiadanie przez niego „rosyjskiej armii wyzwolenia”
w ręku. Ta armia ma się stać zadatkiem na przyszłą koncesję. Tak
sądzę... To znaczy przypuszczam, iż taki może być bieg jego myśli.
Nie jest śmieszny, tylko nieprawidłowy.

ROK 1945

XC

W obozie oficerskim dla jeńców, tak zwanym „Oflagu”, gdzieś pomiędzy Wisłą i Szczecinem, mówił „Prezes”, to znaczy były szef Biura Informacji i Propagandy AK, do osób zaufanych:

— Te stare pierdoły nie nauczyły się niczego. Panowie majorzy i pułkownicy, którzy tu kwaśniej od lat pięciu, liczą wyłącznie na „Zachód”. Nic nie zmieni ich reakcyjnego poglądu. Czeka ją trzeciej wojny, która w ich pojęciu ma przywrócić Polsce porządek.

— Jak to sobie oni wyobrażają? — bardziej mruknął do siebie niż otwarcie zapytał, towarzysz pułkownika Rzepeckiego, także członek wyższych władz AK.

— Bardzo prosto. Że na emigracji nastąpi wielka rozbudowa wojska, i na każdego pułkownika czeka co najmniej dywizja!

Leon przybył tu pod koniec października. Przykrości niewoli okazały się znośne. Chciało się tylko jeść. Początkowe, z otwartymi rękami, przyjęcie przez oficerów starych jeńców skończyło się wkrótce. Na Akowców zaczęto patrzeć trochę krzywo. Czasem z wyraźną podejrzliwością. Czasem uzasadnioną, czasem nie. W tym okresie dokuczały mu zwłaszcza noce. Budził się bliski utraty zmysłów. Zdawało mu się, że ma straszego kaca po pijaństwie, wyspał się, dłużej leżeć nie może i za wszelką cenę — bo każdy nerw, każdy mięsień, każde ścięgno domaga się rozprostowania, wstania — musi wyjść na świeże powietrze. Tymczasem znajduje oto w betonowej trumnie i nawet kolan zgiąć nie może; próbuje podnieść głowę, a ona uderza w pokrywę ka-

mienną! Jeżeli się nie wyprostuje w tej chwili, to oszaleje! A nie może się podnieść. W głowie dudni beton... Najstraszniejsze, że on wcale tego nie śni. On to sobie wyobraża na jawie, i zimny pot ścieka mu na poduszkę. Jest noc. Barak zamknięty. Wie, że to są skutki tego wstrząsu, jakiego doznał na ulicy Mazowieckiej. Ale to go nie pociesza.

Niebawem, najniespodziewaniej, zjawił się Marek. Jego historia była krótka i zawiła. Początek znany był Leonowi. Banalny: Marek podczas powstania spiknął się z dziewczyną, która nazywała się banalnie, jak w polskich bohaterskich powieściach: Krysia. Była bardzo dzielna. Szatynka; warkocz jej, którego nie chciała się pozbyć choć jej przeszkadzał, rozwiązywał się co chwila i wypadał spod chusteczki. Miłość wzajemna, w łoskocie walącej się stolicy. Krysia wyszła z Warszawy z ludnością cywilną. Być może umówiła się nawet tak z Markiem. Trafiła do obozu w Pruszkowie. Gdy Marek podczas wymarszu AK do niewoli zwiął z kolumny, Leon domyślił się że poszedł szukać Krysi. Ale nie odnalazł jej od razu. Kołował czas dłuższy. Ukrywał się, i z wolności usiłował nawiązać z nią kontakt. Na przemycane kartki nie otrzymał odpowiedzi, czy też jej ich nie dostarczono. Wtedy sam się przemycił do obozu w Pruszkowie jako osoba cywilna. Krysia była, owszem, ale spiknęła się już z innym. Marek opowiadał o tym urywkowo. Wtedy uciekł z Pruszkowa i znalazł się w Krakowie. A z Krakowa postanowił uciekać na zachód, do Włoch, do 2-go korpusu polskiego. Po drodze został przyłapany. Cudem nie trafił do Oświęcimia. Miał wprawdzie dokumenty, z którymi wymaszerował z Warszawy, ale przede wszystkim miał takie szczęście trafić na takiego Niemca... — „Konwencja genewska”, ty rozumiesz? — *Das ist eine grosse Lipe*, pokiwał głową Niemiec oglądając jego papiery; już on wiedział co to po polsku znaczy. Machnął ręką i kazał zaliczyć go do jeńców wojennych, i odstawić do oflagu. — „No trudno, jest bałagan”.

— Mówią, że wszystkich kacetowców mają przed kapitulacją zagazować.

— Miasta niemieckie rozbite w drebiezgi.

— Serce się raduje, jak o tym pomyśleć — odezwał się sąsiad z nar.

— Spać nie mogę, cholera. Głowa jak w betonie.

— Ach, nie długo już, koledzy.

Wszędzie było to samo. Koterie, zawiści ludzkie, ludzkie ambicje, ludzkie spory. Dzień taki, jak ten na przykład pogodny dzień styczniowy, wypełniony był gadaniem, gadaniem, gadaniem. Od rana do wieczora odchodziła polityka. Traciły znaczenie wy-

kłady, nauka języków, odczyty, wobec perspektywy nadchodzącego wyzwolenia.

Grupa wyższych akowców pracowała, jak się wyrażali: „nad zmniejszeniem dystansu między stanem umysłów w kraju i w obozie”. Postanowili oni oświecić starszych oficerów jeńców, i pomóc im w zrozumieniu olbrzymich zmian jakie zaszły w kraju przez czas ich tu izolacji. Zredukować przepaść, która dzieli te dwie psychiki, zestarzałą i nową. Powstało coś w rodzaju „kółka”, które uzgadniało między sobą swoje poglądy, by następnie zajmować jednolite stanowisko w rozmowach ze starszymi.

— Już mam tego dosyć — powiedział raz Leon. — Dwa razy skapitulowałem. Raz przed Podziemiem, drugi raz przed Niemcami. Trzeci, dajcie mi spokój.

— Nie rozumiem, co kolega chce przez to powiedzieć.

— To się zawsze tak zaczyna: wyodrębnienie uprzywilejowanych, domaganie się jedności narodowej, później narzucanie jej społeczeństwu, w końcu branie za mordę.

Marek jednak chodził na te rozmowy. Raz, czy dwa.

— Podobno oni nawiązali łączność z krajem. I funkcjonują sprawnie.

— Niech.



Przemycona depesza:

„Komendant Okręgu Radom. 13. II. 45. Ldz. 680: ... W Sandomierskiem w ciągu zaledwie kilkumiesięcznej okupacji sowieckiej aresztowano więcej Polaków, niż w przeciągu 5 lat okupacji niemieckiej...”

— Co za bzdurne określenie! „Polaków”. Kogo z Polaków? Jakich Polaków?

Leon może lepiej od innych wiedział, że uwaga jest słuszna. Ale nie zabrał głosu.



Marek podszedł kiedyś po rannym apelu, i mruknął do Leona:

— Chodź na chwilkę.

Wyszli na dziedziniec opatrzonej setki razy, a zdawało się setki tysięcy razy.

— Ty wiesz, co nasz szef opowiada, a inni z góry akowskiej wtórują?

— Już mnie to nie dotyczy.

— Ale posłuchaj. W zaufanej dyskusji postanowiono wreszcie otworzyć drażliwą kartę: stosunek do komunizmu. I wtedy nasz naczelny propagandzista, którego słuchaliśmy tyle lat w Podziemiu, nawet nie wiedząc że to on, powiada: „Komunizm jest

piękną ideą, do realizowania której nie dorośli jeszcze ani ci, których ma ona uszczęśliwić, ani ci, co zadanie to biorą pochopnie na siebie. Droga do celu jest jeszcze długa, kręta i ciernista. Niemniej nie należy tej idei zwalczać prostackim negowaniem. Wobec stanu umysłów w obozie należy głosić tezę, że nie taki diabeł czarny, jak go malują”...

— Pies go jebał.

— Nie myślisz, że wypadałoby dać replikę?

— Nie myślę.

— Czemu?

— Szkoda czasu.

— Czemu?

— I tak, gdzieś przecie musi być jakiś świat, nie?

— Ja ci powiem gdzie, tylko poczekaaj, muszę się pójść odlać.

Leon został sam.

Podszedł do niego dawny jeńiec, podporucznik rezerwy, z zawodu nauczyciel, przed wojną członek ZNP.

— Basiński jestem — przedstawił się. — Czy kolega nie przystąpiłby do naszego kółka „Postępców”? Nie, broń Boże, nie polityczne. Kółko czysto intelektualne.

— Dziękuję za propozycję. Ale skąd ja? Dlaczego wpadłem panu w oko?

— Tak jakoś, sądząc po pana zamysłonej twarzy... — uśmiechnął się podporucznik.

— Nigdy nie byłem. Nie parałem się intelektualizmem. Ale zaraz przyjdzie mój przyjaciel, który zawsze siebie uważał za intelektualistę. Jest nawet artystą malarzem, i filozofuje przytem dużo.

Od latryny wielkimi krokami szedł Marek.

— O co chodzi? O tę trochę awangardy? Ja wam powiem, kolego. A raczej zapytam: Kto dowiódł, że „postępowe”, „moderne” jest dobre albo złe, mądre albo głupie, piękne albo brzydkie, wzniosłe albo niskie? Wszystka moderna, „postępowość” jest tylko i wyłącznie, wiecie co? Jest tylko: awangardowe i postępowe. Nic poza tym. Jest moderną, i koniec. To bez znaczenia. Jak każda moda, raz wąskich raz szerokich spodni, czy spódnic. Raz takiego, raz drugiego wykroju kapelusza. Co to jest? To jest nic. Prawdziwa awangarda powinna polegać na obalaniu kategorii, a nie na ich stwarzaniu.

— Właśnie my chcemy obalić stare kategorie myślenia... — zaczął Basiński.

— Przepraszam — przerwał Marek — jaki jest pana stosunek do komunizmu?

— Nie taki diabeł straszny, jak go malują.

— Dziękuję. Do widzenia. — Marek wykręcił się na pięcie. Patrzyli za odchodzącym. Szedł pod odwilżowy wiatr, który zgarbiał śmiecie na podwórzu obozowym.

— I to ma być „intelektualista”? — zapytał Basiński Leona.

— Może w przyszłości.

— Chyba bardzo dalekiej. Cześć.

Leon odkiwnął głowę i poszedł z wolna za Markiem. Wiatr był od morza. Dyszało się jakoś łżej. Dyszało nadzieją na rychłą wolność.

— Marek!

— Acha?!

— Zaczekaj! — Poszli wzdłuż drutów kolczastych. Jak idą zwierzęta w obszernych klatkach zoologu.

— Pozwól sobie opowiedzieć — zaczął Marek — jedną marginesową opowiadkę. Teraz, jak byłem w Krakowie. Ta uliczka, Uniwersytecka się nazywa, co wybiega od Uniwersytetu na Plany? Mniejsza zresztą. Idą trzy czołgi niemieckie, widać że z frontu. Nagle pierwszy jak zgrzytnie wszystkimi hamulcami! Aż mnie zęby zabołały. Zatoczył się po asfalcie i omal nie rozduśił staruszki na chodniku. Myślę, co jest? Patrzę: ulicą przebiega wiewiórka. Małeńka, ruda wiewiórka. I żołnierz zahamował raptownie czołg, żeby jej nie zmiażdżyć. Rozumiesz? Ogromniasty czołg. Błachy pogięte od karabinów maszynowych. I taka, o, wiewiórka. Zatrzymałem się i pomyślałem: „To najpiękniejszy obrazek, jaki widziałeś w tej wojnie...” A namalujesz, wyjdzie kicz. Opowiadam z głupia frant w pewnym gronie. Jeden mówi: „Staruszki to by na pewno nie pożałował, taki skurwysyn!” Drugi: „Wiewiórka! A wiele oni ludzkich wiewiórek zagazowali w kacetach!” Trzeci kpi: „Hej, ła się kręci nad dolą wiewiórki, co! A jak kobiety Polki miażdżyli czołgami w Warszawie!” „Albo przywiązywali do tych samych czołgów!” dorzuca czwarty. Żałowałem, że opowiedziałem, bo niby oni mieli rację, a nie ja. Ale obrazek w oczach popsuli. Nie będę łął, że nie. „To co to zmienia, koledzy, bronie się; ja opowiadam pojedynczy fakt”. „Fakt nie nadaje się do opowiadania”, mówi pierwszy. „Dziś trzeba opowiadać inne fakty, typowe, prawdziwe, ale nie bajkowe”. „Dobrze, mówię, ale jeżeli się zdarzył? Czy znaczy, że nie jest prawdziwy? Nie mam prawa powiedzieć: raz jeden widziałem promyczek słońca w nocy”? „Przede wszystkim kiczowaty dobór słów, powiada piąty. A jeżeli już namalować, to wsadź wtedy do czołgu żołnierza polskiego, albo chociażby brytyjskiego, amerykańskiego, ależ nie szkopa, na miłość Boską!” „Dobrze, powiadam, zgadzam się. Malować ja tego i tak nie będę. Ale, jeżeli mnie typowość nie interesuje? Cóż wy mnie grzebykiem socrealizmu czeszecie”. Wtedy szósty,

ren co milczał dotychczas: „Wy, kolego... Wiewiórkowski... co robicie, właściwie, na bruku krakowskim?”

— I coś odpowiedział?

— „Pocałuj mnie w dupę”, odpowiedziałem. I dopiero później przyszło mi na myśl, że w gruncie rzeczy, jest to jedyna, autentycznie awangardowa odpowiedź na dzisiejsze czasy. Nie sądzisz?

— Bo ja wiem. Nie znam się na współczesnych kierunkach w sztuce.

— I postanowiłem zwać na zachód.

— Tylko z powodu tej wiewiórki?

— Mhm.

— Aleś głośno chyba o tym nie powiedział?

— Jasna rzecz, że nie. Tylko widzisz... — Marek idąc patrzył pod nogi. — Ja ci opowiadałem, że byłem w Pruszkowie?

— Opowiadałeś.

— Nie wszystko. Było potwornie w tym tłumie ludzkiej nędzy. Żebyś ty wiedział, jak strasznie przeklinano nas za powstanie. W Warszawie, pamiętasz też, ale jeszcze nie tak. W Pruszkowie na każdym kroku. Z pięściami do oczu, zwłaszcza ta mieszczańsko czarnogiędziarska gawiedź. Ale zresztą i matki i nie matki. Od „przekłętej jenteligencji” i „paniczków”! Wytrzymać nie można było. A przecież w gruncie rzeczy, powstanie było słusznie pomyślane, nie?

Leon chciał się wymigać od konkretnej odpowiedzi.

— Nie zawsze — powiedział — interes narodu pokrywa się z interesem ludzi. Znałem takiego, który tak twierdził.

— Może miał rację, może nie. Chodź do kawiarni.

Poszli do kawiarni obozowej. Ktoś tam głośno opowiadał, że na jakiejś wyspie holenderskiej zbuntował się jakiś batalion Gruzinów. Wyrznął niemiecki personel i nawiązał kontakt z Anglikami, aby im przyszedli z pomocą. Żądając w zamian zobowiązania, żeby nie wydano ich Sowiecom. Anglicy nie ruszyli palcem, i doczekali aż posiłki niemieckie wyrznęły Gruzinów. Podobno dwóch broniło się jeszcze dnie całe w latarni morskiej... Anglicy woleli to, niż mieć kłopot z narażaniem się Sowiecom. Czy to nie analogiczne zachowanie do zachowania Sowieców pod Warszawą? — Wśród słuchaczy wybuchła burza: „Oszczerstwo!” krzyczano, „kłamstwo!” „Anglicy są gentlemen!” „Kultura!” krzyczano. „Po co rozpowiadać bajdy!” — Aż, gdy jeden nazwał to Goebbelsowską propagandą, niefortunny opowiadacz zerwał się czerwony na twarzy. Być może doszłoby nawet do nieprzystojnej bój-

ki, niezależnie od sprawy honorowej na po wojnie, gdyby nie nadbiegł jakiś kapitan z podniecającą wiadomością: „Obóz rozładowują! Mają rozsyłać po innych!”...

Krótkie dni zimowe, wydały się piekielnie długie.

XCI

Ludzie we wschodniej Europie chcą akurat tego samego co ludzie w zachodniej Europie. Utrzymać się przy życiu. Do tego potrzebna jest nadzieja, a gdy ona zawiedzie to kłamstwo, a gdy i wyłganie grozi zawodem, to chwytają się rozpaczliwych czynów.

O takim czynie przemyślał dowódca 1-szej dywizji ROA generał Buniczenko już w Müssingen, gdy starał się opóźnić wymarsz dywizji na front wschodni, nad słuchując zbliżania się wojsk anglo-amerykańskich. Ale rozkaz wymarszu podpisał sam Własow, i nie było rady.

Własow nie wziął swojej blond Heidi ani do Berlina, ani później do Pragi, ani w dalsze postoje swego sztabu, mimo jej ustosunkowania. Ustosunkowanie straciło znaczenie. A on pił, i otoczył się całym harem rosyjskich dziewcząt wyłuskanych z rozmaitych obozów, lub przygodnie zbiegających się pod skrzydła „armii wyzwolenczej”. Były wśród nich autentyczne sekretarki, i tancerki, i robotnice. W dwa tygodnie po odczytaniu przez siebie wielkiego manifestu, wyglądało że załamał się psychicznie. Ciągle tkwił gdzieś gdzie nie można go było odszukać. Tymczasem rozproszone po frontach siły nie ściągały do kupy. A zbrojne oddziały „separatystów” trzymały się oddzielnie.

— Ach, gawno to wszystko razem! — Trzask szklanką wódki o podłogę.

Buniczenko z pierwszą dywizją uderzył na froncie Odry. Uderzenie nie odniosło skutku. Atak załamał się w chwili, gdy zażądał podtrzymania „Stukasów”. Ale tych kilka „Stukasów” nie miało benzyny. I Buniczenko, nie słuchając rozkazów niemieckich, zaczął cofać na południe, do Czech. Ignorował też dalsze rozkazy które go osiągnęły, głuchy był na prośby wreszcie, by zechciał zająć tę, czy inną linię bojową. Jego oficer łącznikowy, major Schwenninger, stawał kilkakrotnie błady przed strasznym obliczem generała feldmarszałka Schörnera, który już tylu ludzi rozstrzelał za tchórzostwo i niesubordynację.

— Niech pan powie, majorze, temu swojemu „ruskiemu”,

że ja wysłę eskadrę i rozpryskam go bombami! — pienił się Schörner. — Postawię go zaraz pod ścianę.

Ale nie było takiej eskadry, ani nie było już takiej ściany, pod którą można by było postawić Buniczenkę. Zdawało się, że wszystkie ściany leżały już w gruzach. I oto 29 kwietnia Schörner, najsurowszy z generałów niemieckich, ląduje na sztabowym samolocie, osiem kilometrów na południe od Łobozic, z flaszką wódki pod jedną pachą, i pudłem cygar pod drugą, prosząc Buniczenkę, aby zechciał zająć pozycję na odcinku Brünn. A jeżeli nie, to żeby chociaż maszerował... wskazał palcem na mapie... I nagle się zrelektował:

— Czy pan chce ze swoją dywizją w ogóle walczyć?

— Ma się rozumieć, że chcę walczyć — odpowiedział Buniczenko. Ale nie powiedział przeciw komu.

Schörner wstał, siadł do samolotu i odleciał, pozostawiając wódkę i cygara.



Tych czasów nie można porównać do poprzednich. Już miesiąc przedtem podpisał Rosenberg:

„Do Pana Generała Pawła Szandruka. Berlin-Scharlottenburg, Kant-Hotel. — 12 marca 1945.

Aby w decydującym stadium wojny z bolszewizmem i w celu prawdziwie narodowego uporządkowania Europy, wszystkie siły narodowe antybolszewickie mogły stanąć do czynu, uznaję w imieniu Rządu Niemiec powołany przez Pana do życia wykonawczy organ ukraińskiego przedstawicielstwa narodowego, pod nazwą Ukraiński Komitet Narodowy.

Stwierdzam:

1. — Że Ukraiński Komitet Narodowy jest uznany przez Rząd Rzeszy Niemieckiej za jedyne przedstawicielstwo ukraińskiego narodu. 2. — Komitet Narodowy ma prawo do ustalenia swoich poglądów co do przyszłości Ukrainy, oraz głoszenia ich w odezwach i manifestacjach.

Po wyjaśnieniu wszelkich okoliczności dołożę starań, aby wszystkich Ukraińców, którzy znajdują się w składzie niemieckich sił zbrojnych zebrać razem w celu utworzenia Ukraińskiej Armii Wyzwoleńczej. — Rosenberg.

Generał Szandruk nawiązał łączność z przedstawicielami innych komitetów narodowych: gruzińskim, kozackim, białoruskim, ormiańskim i wielu innymi.

Dnia 15 marca ogłoszony zostaje rozkaz: „Do Wojska Ukraińskiej Republiki Ludowej”:

„Artykuł 1. — Niniejszym mianuje się Generała-Porucznika, Pawła Szandruka, Dowódcą Ukraińskiej Armii Narodowej.

Podpisano: Andrij Liwyčkyj, Naczelny Ataman. — M. Sadowskyj po. Ministra Spraw Wojskowych. — Nosaczenko, podpułkownik.

Dnia 8 kwietnia w organie prasowym UKN, „Wiadomości Ukraińskie”, ukazała się odezwa:

„Żołnierze Ukraincy!... Ukraińska Armia Narodowa ma przed sobą jedno tylko zadanie — walkę o Naród, o własne suwerenne państwo. Czerwony wróg niesie śmierć i zniszczenie. Chodzi mu o zgubę przede wszystkim tych, co nie ugięli przed nim karku, bo grożą mu mocą swego ducha i swojej wiary w zwycięstwo...

Na oczach całego świata musimy wykazać naszą karność polityczną i wojсковą, być gotowi każdej chwili złożyć w ofierze życie, krew, majątek... Wzywam was do walki i zwycięstwa! — Pawło Szandruk, Generał-Porucznik”.

W tym czasie „oczy całego świata”, o których wspomina odezwa, skierowane były w zupełnie odmiennym kierunku.



19 kwietnia wyruszyła z Memmingen 2-ga dywizja ROA na wschód. Marszem pieszym. Nie było transportów.

Przy podejściu do Landsberga, słychać było we mgle zapadających ciemności: „Aaaa!... Aaaaaa!...” Wycia te przerywały padające strzały. Na wzgórzach przed miastem, gdzie już prawie niewidoczny we mgle płynął Lech, a z której jeszcze wysterczały wieżycy starożytnych kościołów, rozegrało się to spotkanie. Stąd drogi szły na Bodeńskie jezioro. Znad tego jeziora, wprost rozmokniętą rolę, pędzili SS-Manni szkielety kacetowców. Było wśród nich sporo Rosjan. Niektórzy próbowali uciekać, inni dopełznąć do Rosjan 2-giej dywizji. Eskorta zabijała ich na miejscu. Na tych wzgórzach o tak pięknym widoku w innych porach roku, żołnierze ROA zaczęli strzelać do SS-Mannów. Dopiero po dłuższym upływie czasu udało się rzecz załagodzić, a trupy pozostały gdzie leżały. Maszerowali dalej na wschód.

Własow nie wierzył w skuteczność. On przecie nigdy nie wierzył kapitalistom, ale uległ naleganiom i zgodził się wystać jako parlamentarzystę do Amerykanów najbardziej mu oddanego generała Małyszki.

— Więc pan twierdzi, że nie jest zdrajcą ojczyzny? — spytał go generał Patch. — Pierwszy raz słyszę. Muszę zapytać o to Eisenhowera.

Po czterdziestu ośmiu godzinach oczekiwania na odpowiedź Małyszki został aresztowany.

Własow pojechał do Reit im Winkl. Śliczna miejscowość. W górach, w lasach, w kwiatach łąkowych, w wiosnie cała. Stamtąd dał znać do Ruhpolding.

— Chciałem cię raz jeszcze zobaczyć — powiedział do żony.

— Więc nic z marzeń?

Uśmiechnął się w odpowiedzi przez wielkie, rogowe okulary. Jeszcze śniegi leżały w zacienionych stokach. W naświetlonych, przebijały śnieguliczki, krokusy; żółcił się żarnowiec. Dał Föhn. Heidi bolała od tego głowa. Ktoś mówił później, że to ona namówiła go by posłał parlamentariusza do generała Pattona. — Wysłannik wrócił z wiadomością, że Patton oczekuje Własowa w Spitzberg.

— Bądźmy dobrej myśli. — Z tym się rozstał z żoną.

W drodze jednak dowiedział się, że Patton zmienił zdanie i zrezygnował ze spotkania.



Wtedy to Buniczenko postanowił uciec się do czynu:

— Andrej Andrejewicz — mówił do Własowa. — Czechy przypadną Amerykanom. Ja wiem. Od tygodnia już jestem w kontakcie z czeskim podziemnym ruchem narodowym. To jest konkurencja czeskich prokomunistów. Uderzyć na Niemców przy pomocy Czechów, uderzyć na faszystów i komunistów jednocześnie. To będzie pod smak Anglosasów. Pan rozumie? I jak zrobi się czeskie państwo narodowe, Amerykanie nie *posmieją*, nie odważą się nas wydać.

— Nas cały świat ma za zdrajców. Więc dlatego zdradzić jeszcze Niemców?

— Kogo?! Tych sobaków, którzy nas zdradzili dziesięć razy, kopali, sprzedawali jak bydło! I pan ma jeszcze skrupuły!

— Jest inny plan.

Istotnie, był taki: zjednoczyć wszystkich Rosjan, Ukraińców, Białorusinów, Gruzinów, Kozaków, Turkmenów, kto tylko był, do kupy na Bałkanach, i oprzeć się na „czetnikach” Michajłowicza. Ktoś nawet projektował wysłać delegatów do 2-go polskiego korpusu we Włoszech, ale okazało się że Polacy nigdy na to nie pójdą. Plan! Śmieszny. Ktoś inny słuszną zrobił uwagę, że jest dziecinny. W tamtym rejonie jest więcej jeszcze regularnych wojsk niemieckich niż wszystkich połączonych antybolszewików, i też nie potrafią dać rady przeciwko Sowiетom i partyzantom Tity. Co więc już gadać o takiej zbieraninie!

— Racja — mrużył oczy Nikołajew. — Wszyscy poddają się bolszewikom jak masło. Jeden po drugim. Finowie, Słowacy, Rumuni, Węgrzy, o Polakach już gadać szkoda. Przegrana nasza sprawa. Pozostaje tylko „czeski wariant”.

Własow zdjął okulary, przeczyścił, nałożył. Rozmowa odbywała się w chłopskim czeskim domu, w Suchomościu. Ręką odrzucił leżący na stole projekt umowy z Komitetem Czeskim, mapy.

— Róbcie co chcecie.

5 maja ruszyli z Suchomostu na Pragę. Niemcy się poddawali, tylko grupy SS i SD stawiały zacięty opór. Hradczyna, Pałac Czernina i kilka bloków było w ich ręku. 6-go przeszli do przeciwnatarcia na Czechów. Ale 7-go podeszła dywizja ROA. O godzinie 17-tej flaga św. Andrzeja wzniosła się nad Pragę. W mieście szalał entuzjazm. Skądciś pojawiły się na poczekaniu powiększone portrety Własowa. Jego żołnierzy zapraszano do domów, obsypywano podarkami, karmiono, pojono.

— Zmyliśmy zniewagę — powiedział Buniczenko. — Odzyskaliśmy swój honor wobec zachodnich demokracji — i splunął w kąt.

8 maja nadeszła wiadomość, że Amerykanie dalej jak Pilno nie pójdą. 9-go Czesi zdarli portrety Własowa, flagi św. Andrzeja, i zastąpili je czerwonymi sztandarami. Zbliżał się marszałek Koniew.

Ten ostatni marsz, z powrotem na zachód, był straszny. Wśród zupełnego rozkładu, uciekinierów cywilnych, niemieckich oddziałów w stanie rozprzeżenia. Razem z niedobitkami SS, z którymi walczyli wczoraj w Pradze. Szli równoległymi drogami, stykając się ciągle. Nikt już nie strzelał.

Ktoś opowiadał, że Buniczenko, gdy osiągnęli z powrotem Suchomost, siedział w izbie i płakał. W rzeczywistości było tak, że na wspomniane przez kogoś imię Hitlera, pochylił się nad stołem, i łysą czaszką bił o drewno, powtarzając w napadzie hysterii:

— *Ach, skotina, skotina, skotina, skotina!*... — „*Skotina i sobaka*”, były to słowa których zawsze używał nadmiernie.

Na tym skończyło się niebywałe w dziejach zjawisko masowego udziału jeńców w walce przeciwko własnej armii, o wyzwolenie własnego kraju. — „Dziwni ludzie ci Rosjanie”, mówił Amerykanin patrząc jak rzucali na kupę broń. — Ale to nie ważne, co kto mówi. Ważne czym się ratować?

„Nasi przeistoczyli się w kapitalistów”. — Jak to rozumieć? — Jeden ich „kapitał”, kapitał *wozuraszczienca*, to donieść na możliwie dużo innych ludzi. Oficerowie sowieckiego Smerszu notowali skwapliwie. — Jak to miał powiedzieć Gorkij? „Człowiek, to brzmi: strasznie?” Co? — He, he, he... Jeden drugiego sprzedaje, a jak sprzeda milion, stanie się milionerem... He, he, he! — A ty nie śmiejesz się, ryło twoje okrwawione, h... tobie w zęby! Wyszczerez się raczej przymilnie i pełzaj jak wesz po mokrym...

Anglicy, Amerykanie, Francuzi wydawali na wypródki wszystkich, kogo wydać mogli bolszewikom. Żałować nie było kogo, a głównie nie było za co.

— Nie, poczekaj na próżno tak mówisz. Czy nie powiedział kiedyś pewien prawosławny pobożny stariec, tylko, że ot, imienia zapomniałem...

— Ale co powiedział?

— Powiedział, że gdyby przed człowiekiem otworzyć tajniki jego własnej duszy, to on by, człowiek, zwariował. I jeszcze, że: nie ma takiego przestępstwa, do którego nie byłby zdolny człowiek.

— A co Niemcy wyrabiali! Byłeś ty kiedy, bracie, w kacecie, w łagrze dla sowieckich wojennoplennych? A co z Żydami robili, z dziećmi...

— A czyż ich własny Marcin Luter nie obwiniął sam siebie, już wieki temu, we wszystkich grzechach jakie istnieją na ziemi?

— Człowiek, widać, na rzeczy się rozumiał.

— To po co Luter! A co powiedział Lew Tołstoj.

— No?

— Był taki jego biograf, Biriukow się nazywał, i chciał pisać o Tołstoju jeszcze za jego życia. To stary Lew spotkał go w salonie słowami: „Najmilejszy, najbardziej szacowny panie Biriukow. Upprzedzam pana, że wypadnie mu pisać o człowieku upodlonym do ostatnich granic najróżniejszymi, możliwymi przestępstwami”.

Gdybyż to na intelektualne rozmowy był czas i miejsce po temu! Ale nie było, nie. Ludzie żarli co im z amerykańskich konserw podrzucono za druty, a samych żarła rozpacz i strach. — Żart powiedzieć! Trzy miliony *displaced persons*, pięć milionów jeńców, i z tego półtora miliona z bronią w ręku... Nie licząc innych.

A wschodnia Europa? Ech, propadi ty propadom, bodaj byś ty przepadła, szczęła!



Tłumaczką u Amerykanów stała się jakimś sposobem Nastazja Ipolitowna. Ona nigdy nie była wysokiego mniemania o ludziach. Jej mała córeczka, Irmgarda, zginęła podczas bombardowania Berlina. Razem z ciotką z Szanghaju.

XCII

Legendy powstawały, zapadały się w zieloną rzeszę pokryte bagniska, znów wystrzelały pojedynczymi strzałami, i niosły echem po lesie. Niektóre rozchodziły się po kościach, inne, wyśrubowa-

ne mechanicznie, zwisały ciężko nad ziemią jak żelazne dźwigi fabryczne, ichtiozauiry nowej epoki, znieruchomiące, trwałe.

Co się stało z Henrykiem, nikt dokładnie nie wiedział i w gruncie rzecz, zdawało się, obojętne. Ale oto człowieka tak nieznacznie, na tak dalekim stojącego uboczu, do którego, bywało, mało kto miewał sprawę, co najwyżej drobną tylko instrukcją — zaczęła obwijać legenda. Poczęto o nim mówić dopiero, gdy znikł. Rzekomo tu i ówdzie go widziano.

V-ta Brygada przebiła się szczęśliwie idąc na Puszczę Rudnicką, Puszczę Bersztowską, Ruską, Lejpuńską, Augustowską, w okolice Białegostoku, by zapaść w tamtejsze masywy leśne. „Łupaszko” nie poddał się, nie złożył broni, nie ujawnił się wobec wyzwalającego ojczyznę sojusznika bolszewickiego. Z koncentracji Wojska Polskiego w dyspozycji komunistycznego rządu w Lublinie, posłano mu szpiegów i prowokatorów, aby go schwytać. Ale był za ruchliwy, za szybki. Zdany na siebie, bez żadnej pomocy z zewnątrz, na przekór największym potęgom globu ziemskiego, najeżył się w lasach, które Bóg łaskawie w tej części globu pozostawił. I wciąż strzelał jeszcze.

W pewnych oficjalnych komunikatach usiłowano go zaszeregować w nakazaną walkę z cofającymi się Niemcami. Ale to była legenda. *Conforme à la raison d'Etat*, niezgodna z prawdą faktyczną. W rzeczywistości rozpoczął walkę na własną rękę przeciwko fali zalewającego kraj bolszewizmu. Mimo podesłanych agentów, zdrad, wysyp, strat. A o tym nie należało głośno mówić. Tym bardziej nie wypadało dekorować za obronę Ojczyzny, orderem *Virtuti Militari*.

I otóż ludzie, którzy nawet nie znali nigdy „Grubego”, zaczęli mówić, że go spostrzegano w tamtym otoczeniu. I przypisywano mu niekiedy raz bohaterskie czyny, raz zbrodnie, choć nie wiadomo czy jedno lub drugie w istocie popełnił.

Brygada „Łupaszki” osiągnęła Białostockie już w końcu lipca 1944. Widziano jego ludzi i w Puszczy Białowieskiej, i w lasach Kurpiowskich, i na Jeziorach Mazurskich. Naturalnie, że w tym rozproszeniu i tempie trudno było coś prawdziwego ustalić. Z kolei mówiono, że posuwa się na Pomorze, w lasy Tucholskie. Tyle skłamano już po wszystkich frontach, że gdy ktoś jedynie chytrą, podstępem i umyślnym rozpowszechnianiem o sobie samym fałszywych wieści mógł ująć pościgu, żadna informacja nie mogła uchodzić za pewną. Zresztą co tu dużo kołować! Ludzie siam i tam jeszcze strzelali i bronili się w Polsce; tym razem nie płaceni, nie nagradzani, nie zaopatrywani i nie chwaleni przez żadną propagandę mianem „bohaterów”. A wręcz przeciwnie, potępiani zgodnie przez możnych tego świata.

Cóż więc dziwnego, że na tym tle powstawały nieraz tak dziekie pogłoski, jak ta na przykład dotycząca Henryka.

W styczniu 1945, w dawno już zajętych przez wojska sowieckie Wilnie nastąpiło coś takiego, co połowę mieszkańców miasta rzuciło na ziemię z przerażenia. Na dworcu kolejowym wyleciał w powietrze olbrzymi skład sowieckiego pociągu z amunicją. Siła wybuchu była tak potężna, że targnęła Wilnem jak trzęsienie ziemi. Nie porównać z żadnym dotychczasowym bombardowaniem z powietrza. Pękające przez długi czas granaty i inne materiały wybuchowe zniszczyły dworzec i okolice, zwłaszcza zaś położoną za dworcem dzielnicę Nowy Świat, prawie doszczętnie.

I wtedy ktoś — gdy się już uspokoiło — upierał się, że na własne oczy widział w Wilnie Henryka, który powrócił tu rękoma. Inny miał potwierdzać tę wersję: jakoby spotkał go w dzień poprzedzający wybuch, właśnie na Nowym Świecie. Okazało się jednak, że przedtem go nie znał osobiście, a tylko słyszał od znajomka jak wyglądał. Trzeci przekręcił w ogóle jego imię, i nazwał go „Tłustym” zamiast „Grubym”. A później opowiadano, że zwłoki takiego tłustego człowieka, rozszarpane do niepoznania, znaleziono w bliskości dworca. I dopiero po częściach ubrania i innych przedmiotach, ustalono kim on był. To była nieprawda. Nikogo takiego nie zidentyfikowano.

Pogłoski te zresztą nie pociągnęły za sobą złych następstw, gdyż Halina z dziećmi Klaudii — które przywykła uważać za swoje — o miesiąc wcześniej przeniosła się do Polski. A on sam nie miał ani krewnych, ani przyjaciół.

XCIII

Do obozu dla jeńców oficerów w Gross-Born trafił Leon w połowie stycznia. Udało się razem z Markiem. Gdy nie udało się znaleźć miejsca w dobrym baraku — zimno było, ciasno, „kwaśno”, jak się wyraził — Leon westchnął szczerze:

— Byle już dotrzeć. Boże, Boże...

— Ty do Boga nie miej pretensji — zwrócił mu uwagę Marek. — On zawsze obiecywał raj w niebie. Nigdy na ziemi. To Lucyfer obiecywał raj na ziemi. Nie trzeba być jego wyznawcą. Barak, byle nie przeciekał.

W tym baraku znalazł się pewien podpułkownik bardzo źle usposobiony do akowców. Na początku kampanii wrześniowej

trafił do niewoli, i siedział za drutami. Te lata wypełniły go go-ryczą. Starszy pan, ostrzyżony na jeża, z wydatnym brzuszkiem, którego ścisnąc pasem nie mógł, gdyż cierpiał na chroniczne wzdę-cia. Może dlatego drażnili go szczególnie ludzie młodzi ciałem i duchem. Ale czepiał się czego innego. Twierdził, że drażni go nadmiernie używane słowo: „bohater, bohaterski”...

— W ogóle cała nasza bohaterszczyzna. Dajcie panowie raz już z tym spokój. W Armii Krajowej byliście żołnierzami, czy czym?

— Żołnierzami.

— No i wystarczy. Jedna większa bitwa o Warszawę.

To było oburzające! On siedział w baraku, gdy oni walczyli. Gdy w każdym miejscu i każdej chwili narażeni byli na niebez-pieczestwo!

— Jakie?

— Jakto, „jakie”? Kula w łeb z za każdego rogu domu, za-łamania muru. W dzień i w nocy. W lesie, w partyzantce, przy wykonywaniu zadań, wszędzie!

Podpułkownik miał zdolność, czy też wadę poruszania skórą na głowie, od czego jego szczeciasta, na jeża przystrzyżona fry-zura biegła tam i z powrotem jak ruchomy las. Jednych to śmieszyło, innych złościło. Najczęściej w zależności od tego, co właśnie mówił:

— Ja — powiedział tym razem — przesiadziałem drugą woj-nę za drutami. 99 procent oficerów poszłoby stąd chętnie na każ-dy front, byle się z tych drutów wydostać. Ale to inna para kalos-zy. Natomiast całą pierwszą wojnę przebyłem w okopach. Pra-wie ciągle w pierwszej linii. Tam, żołnierz, który się na chwilę tylko zagapił, dostawał kulą w łeb. Który wygrał w karty, i z ra-dości podniósł głowę do wysokości „okienka” strzelnicy, nie zachowując ostrożności. Żołnierz, który chciał za brustwer wylać menażkę ze zgniłą fasolą. Żołnierz, który wyznaczony po kawę poranną, czy po codzienny obiad, nigdy nie wiedział czy wróci, czy zostanie z kulą w łbie. Śmierć, moi panowie, jest tylko jedna. Co za różnica, czy z załamania muru, czy załamania okopu. Lata. Dnie i noce. Spało się w błocie, pod przykryciem huraganowego ognia. Miliony żołnierzy po każdej stronie. W ataku i odwrocie. A że ktoś sypia nie w okopie, tylko od dziewczynki i biesiady wyrusza do boju, to jeszcze nie pasuje go na bohatera. Jeżeli jest żołnierzem. Kto strzela, jest strzelany. To takie prawidło żołnier-skie. Że wy chcecie od razu przeskoczyć przez nie do rangi boha-terów, to wasza rzecz. Tylko mnie się zdaje, że Polska dlatego od 250 lat przegrywa wszystkie wojny, że ma za dużo „boha-

terów”, a za mało żołnierzy. — Lasek włosów skoczył mu ku przodowi przy tych słowach.

Nikt się z nim nie zgodził, ze zgorzkniałcem.

— Stary pierdoła! — Mówili, przez grzeczność poza oczy, naturalnie.

Typowa konfrontacja dwóch pokoleń, które nie znajdują wspólnego języka. I wieczorami śpiewano młode pieśni akowskie.

W dzień handlowało się czym się dało. Pieniądze stanowiły papierosy, zawartości paczek Czerwonego Krzyża. Byli tacy, co sprzedawali nawet drzewo na opał. Działyły dobrze ugruntowane tajne organizacje, podsłuchy radiowe, kontakty ze światem zewnętrznym.

Wedle starej instrukcji Komendy AK, której tajnie podlegały te obozy podczas wojny — z chwilą zbliżania się frontu sowieckiego oficerowie polscy mieli wystąpić, opanować broń niemiecką, i działać na tyłach rozpadającej się armii niemieckiej, wspierając armię sowiecką. Plany były już dawno rozpracowane. Dowództwa, komendy i posterunki wyznaczone.



Front sowiecki zbliżył się raptownie. I równie raptownie Niemcy zapowiedzieli, że nastąpi ewakuacja obozu na zachód. Piechotą. Żadnych transportów. Nie ma wagonów, ani lokomotyw, a szyny rozwalone.

— Piechotą?!

— Kto chce niech zostaje. Żadnego przymusu. Wolna ręka.

Fakt, że niemieckie władze obozowe nie sprzeciwiały się pozostaniu, zaskoczył wielu. To już nie była teoria taktyczna, przez tyle lat omawiana w tę i wewtę w obozie, do znudzenia, do sporów, do wyjałowienia umysłowego. — Ktoś mówił, że zbliżają się na tym odcinku oddziały 1-szej armii Ludowego Wojska Polskiego...

Na 4.800 jeńców, mimo usilnej propagandy, już nie szeptanej a głośnej, tylko trzecia część, 1.200 zdecydowało się zostać i oczekiwać wyzwolenia sowieckiego. 3.600 wolało ruszyć pod eskortą niemiecką, byle na zachód, byle dalej od tamtego wyzwolenia.

— Ile można zabrać bagażu?

— Ile kto uniesie.

Nie było już mowy o wystąpieniu zbrojnym. Szyto plecaki, zbijano saneczki. Szkoda było „kapitału” więziennego, ciułanego w tak ciężkich warunkach.

O świcie wyruszyli w nieznaną. Trzeba było pilnować konwojentów niemieckich, żeby się nie rozbiegli.

— Nie maszerować nam przecie bezbronnym, bez konwoju, w mundurach! W tym chaosie. Jeszcze się natkniemy na ostatnich SS-Mannów, i ci gotowi powystrzelać.

Papierosy się przydały. Zachęcano nimi konwojentów do wytrwania.

— Ścierwo, takie. Gotowe zwiać.

Tak poszli po śniegu.

— Czy możesz sobie wyobrazić większy paradoks? — mruknął Leon.

— Nie — odparł Marek.

— Ludzie pięć lat siedzieli za drutami, i gdy przychodzi „wyzwolenie przez sojuszników”, wołają uciekać od sojusznika pod strażą wroga. Czytałeś ty kiedy o takim paradoksie historii? W jakim podręczniku?

— Nie. Chociaż historii czytałem mało.

— Tylko nie trzeba będzie o tym głośno mówić.

— Jasne — przyznał Marek. Nawalał mu brzuch akurat w ostatniej chwili. Ciężko mu było iść. Mimo zimna pot kropli się na czole. Gdy zapalał papierosa, gasił go zaraz. Nie odrzucał, bo było szkoda. Gasił i chował. Nie mógł palić na wietrze. Leon podtrzymywał przyjaciela na duchu.

— Bo wiesz — mówił — znałem jednego, który miał żonę, i gdy w roku 1941 skończyło się życie pod Sowietami, dał jej słowo honoru: „Nigdy więcej bolszewików”!

— Czemu?

— Ona powiedziała, że drugi raz już nie wytrzyma.

— Dlaczego?

— Z nudów.

— A co jej, tańców się zachciewało?

— Nie tańców, a tak.

— Mówisz, taka nuda?

— Bezbrzeeeeżna — odparł Leon.

— Ładnie nas wykierowali w tę śnieżną drogę. Jak przyjdzie pluchoć, nogi nie wyciągnę.

— Już niedługo.



Pewnego dnia w pewnym tygodniu, na jakiejś węzłowej stacji kolejowej, już w okupacyjnej strefie brytyjskiej, już po raz pierwszy wolni, dostali obfity obiad przy słusznie nakrytych stołach. Usługiwali jeńcy niemieccy z pobliskiego obozu, odziani w czyste białe kitle kelnerów. Po zupie przyszły kotlety z jarzynką... Nagle włączony został megafon, i rozległ się rozkaz komendy angielskiej do panów oficerów:

„*Gentlemen!* Proszę do kelnerów jeńców nie mówić: „dziękuję”, za usługę przy podawaniu potraw! *Thank you*”. — Chrobot głośnika i nastąpiło tłumaczenie na polski.

Milczenie. Ludzie przy stołach od razu schmurnieli, twarze przybrały surowy, nieprzystępny, a nawet przesadnie twardy wyraz, jakby chcieli wykazać, że zawsze wiedzieli jak dżentelmenom należy się przy stole zachowywać. Wyraz twarzy jest odbiciem wewnętrznego nastroju, usprawiedliwia go i potwierdza. Naturalnie, nikt tego przecie nie traktował za rekompensatę oddanej bolszewikom ojczyzny. Ale zawszeć.

Leon zerknął ukradkiem na Marka. Milczał i on wraz z innymi; pochylony nad talerzem, poruszał szczękami.

BIBLIOGRAFIA

Przy odmalowaniu tła historycznego tej powieści — między innymi — skonfrontowałem następujące źródła opublikowane drukiem:

- ALEKSEEW W. — *Pismo w redakciju („Westnik Instituta” nr 23)*, Monachium, 1957.
- ALEXEEV W. — *L’Eglise orthodoxe russe sous l’occupation allemande 1941-1944* („Irenikon” tome XXIX), Chevetogne, Belgia, 1956.
- ANDREJEW Wasilij — *Narodnaja wojna*. — Moskwa, 1952.
- Angaben zur deutschen Besatzungspolitik in Litauen 1941/44* — (nach Litauen Enzyklopaedie) — Maszynopis. — Monachium.
- A. Z. — *Ksenz Gadleuski, na fone gistorycznych padziejau*. („Baćkauszczyzna”, nr 5/632, 10. 1965) — Monachium.
- BABIŃSKI Witold — *Na marginesie polemik* (Kultura nr 127) Paryż, 1958.
- BAMM Peter — *Die unsichtbare Flagge*. — Monachium, 1952.
- BIBLIJOTEKA GAZETY „GOŁOS RADZIMY”: *U imia prawdy*, Minsk, 1959. — *Tak jany „służyli” narodu*, Minsk, 1960. — *Sled wiadze za miazu*, Minsk, 1962.
- BOŁDYREW W. — *Miestnyje sudy na Ukrainie w gody niemieckoj okkupa-cji* („Westnik Instituta” nr 21), Monachium, 1956.
- BUCHHEIT Gert — *Der Deutsche Geheimdienst*. Monachium, 1967.
- CARELL Paul — *Unternehmen Barbarossa*. Frankfurt/Berlin, 1963.
- CARELL Paul — *Verbrannte Erde*. Frankfurt/Berlin, 1966.
- CHURCHILL Winston — *Der zweite Weltkrieg*. Zürich, 1954.
- CZAPSKA Maria — *Dwugłos wspomnień*. Kartki z pamiętnika. Londyn, 1965.
- CZAPSKI Józef — *O paszkwili* (Kultura nr 140), Paryż, 1959.
- DALLIN Alexander — *German Rule in Russia 1941-1945. A Study of Occupation Policies*. New York, 1957.
- DALLIN J. David — *Die Sowjet-Spionage*. Köln, 1956.
- Drugi Usiebetański Kangres*. Wydanie Białoruskiej Centralnej Rady. Monachium, 1954.
- GAŁAJ N. *Partizanskoje dviżenije w SSSR w gody wtorej mirowoj wojny*. („Westnik Instituta” nr 4, 1953). Monachium.
- GEORGIJ (Igumien) — *Iz wosminanij o cerkownoj żizni w SSSR pri niemieckoj okkupacji*. („Westnik Instituta” nr 23). Monachium, 1957.
- GUDERIAN Heinz — *Erinnerungen eines Soldaten*. Heidelberg, 1951.
- HASSEL Ulrich — *Von anderem Deutschland*. Zürich, 1946.
- HAWEMANN Walter — *Achtung Partisanen*. Hannover 1953.
- HEYDENKORN Benedykt — *O rehabilitację Leona Kozłowskiego*. (Kultura nr 114), Paryż, 1957.

- HEYER F. — *Die orthodoxe Kirche in der Ukraine von 1917 bis 1945*. Köln, 1953.
- HOLMSTON A. — *Auf magischen Wegen*. Der Ostfeldzug. Buenos Aires, 1948.
- HOLMSTON W. A. — *Wojna i polityka*. New York, 1957.
- HOLMSTON W. A. — *Izbrannyje statji i reczi*. Buenos Aires, 1953.
- IVINSKIS Zenonas — *Lithuania During the War*. (Reprinted from „Portrait a Nation”). New York, 1965.
- KALINOV Cyrille — *Les Maréchaux Soviétiques Vous Parlent*. Paryż, 1950.
- KALUSH V. — *In the Service of the People for a Free Byelorussia*. Londyn, 1964.
- [KAKARIEKA Julius] — *Vilniaus lenku politinė veikla 1939-1944*. Maszynopis. Dr P. Reklaitis. Marburg/Lahn.
- KAROW D. — *Partisanskoje dviženije w SSSR w 1941/45*. Monachium, 1954.
- KASIAK I. — *Z gistoryi prawasławnej carkwy bełaruskaga narodu*. New York, 1956.
- KATELBACH Tadeusz — *Rok złych wróżb (1943)*. Paryż, 1959.
- KAZANCEW A. — *Tretja siła*.
- KAZANCEW A. — *Tajna majora Zykowa*. Limburg, 1951.
- KIRCHMAYER Jerzy — *Geneza powstania warszawskiego*. Warszawa, 1946.
- KITAJEW Michaił — *Russkoje oswoboditielnoje dviženije*. Monachium, 1949.
- KLEIST Peter — *Zwischen Hitler und Stalin*. Bonn, 1950.
- KOPAŃSKI Stanisław — *Wspomnienia wojenne 1939/46*. Londyn, 1961.
- KORBOŃSKI Stefan — *W imieniu Rzeczypospolitej*. Paryż, 1954.
- KOWPAK Sidor — *Od Putiwlia do Karpat*. Moskwa, 1945.
- KOZŁOWSKI Leon — *Pamiętnik*. (Kultura nrnr 120, 121, 122, 123/24, 125), Paryż, 1957-1958.
- KOZŁIŃSKI Jerzy — *Podziemie na Pomorzu*. Szczecin, 1959.
- KRANNHALS Hanns — *Der Warschauer Aufstand 1944*. Frankfurt/M., 1962.
- LEWYCKYJ Borys — *Sprawa dr. Oberlaendera (Kultura nr 147/48)*, Paryż, 1960. — *Jeszcze o Oberlaenderze (Kultura nr 149)*, Paryż 1960. — *Einsatzgruppen der Sicherheitspolizei (Kultura nr 150)*, Paryż, 1960.
- LINKOW G. — *Wojna w tyłu wraza*. Moskwa, 1956.
- LOCHNER Louis P. — *Goebbels Tagebücher*. Zürich, 1948.
- (LWIL) — *Oczernianie Akowców i płk. Wilka („Ostatnie Wiadomości”, 9. VII. 1961)*. Mannheim.
- MACKIEWICZ Józef — *Kontra*. Paryż, 1957.
- MANN Mendel — *Aux portes de Moscou*. Paryż, 1960.
- MANSTEIN Erich — *Verlorene Siege*. Bonn, 1955.
- MARINA M. — *Geroinia oteczestwennoj wojny („Rabotnica”)*, Moskwa, 1947.
- MARKIEWICZ Jerzy — *Paprocie zakwitły krwią partyzantów*. Warszawa, 1962.
- MESSE Giovanni — *Der Krieg im Osten*. Zürich, 1948.
- MITKIEWICZ Leon — *Z Gen. Sikorskim na obczyźnie*. Paryż, 1968.
- NOWACKI Tadeusz — *Ludowe Wojsko Polskie*. Cz I, Cz. II (*Zeszyty Historyczne*, nrnr 11, 12), Paryż, 1967. — *Miękkie podbrzusze Europy i sprawa polska. (Zeszyty Historyczne nr 9)*, Paryż, 1966. — *Stefan Mossor. (Zeszyty Historyczne nr 12)*, Paryż, 1967.
- NOWIKOW Iwan — *Darogi skrzyżawalisia u Mensku*. Mińsk, 1953.
- OLSZEWSKI Witold — *Od Grota do Bora („Horyzonty” nr 125)*, Paryż, 1966.

- PAWLAK Józef — *Pięć lat w szeregach armii podziemnej*. Warszawa, 1957.
- PIASECKI Sergiusz — *Dla honoru organizacji*. Londyn, 1964.
- PLIEVIER Theodor — *Moskau*. Monachium, 1952.
- PLĄTONOW S. P. — *Wtoraja Mirowaja Wojna*. Moskwa, 1958.
- Pokazowy proces A.K.-owców z Wilna*. (*Dziennik Polski* nr 210, 3. IX. 1949), Londyn.
- POLSKIE SIŁY ZBROJNE W DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ. Tom III. Armia Krajowa. Londyn, 1950.
- PRAGIER Adam — *Czas przeszły dokonany*. Londyn, 1966.
- PUACZ Edward — *Powstanie warszawskie w protokółach P.K.W.N.* (*Zeszyty Historyczne* nr 10), Paryż, 1966. — *Powstanie warszawskie w notatkach Adama Bienia* (*Zeszyty Historyczne* nr 13), Paryż, 1968.
- PUTRAMENT Jerzy — *Pół wieku (Wojna)*. Warszawa, 1963.
- REITLINGER Gerald — *The House Built on Sand*. Londyn, 1960.
- ROLAND Jan — *Partyzantka na Wileńszczyźnie* (*Zeszyty Historyczne*, nr 7), Paryż, 1965.
- RZEPECKI Jan — *Wspomnienia i przyczynki historyczne*. Warszawa, 1956.
- SCHLABRENDORFF Fabian — *Offiziere gegen Hitler*. Frankfurt, 1960.
- SIEMASZKO Zbigniew — *Wojenne kontakty z krajem* (*Kultura* nr 139), Paryż, 1959. — *Retinger w Polsce w 1944*. Załączniki i bibliografia. (*Zeszyty Historyczne* nr 12), Paryż, 1967. — *5 brygada Armii Krajowej (Tydzień Polski)*, Londyn, 1968.
- SOŁOWJEW Michaił — *Strasznoje bezmołwje Rossii (Wozroźdenije, listopad/grudzień, 1949)*, Paryż.
- STEENBERG Sven — *Wlassow, Verräter oder Patriot?* Köln, 1968.
- STEINER Felix — *Die Freiwilligen*. Göttingen, 1958.
- STUDNICKI Władysław — *Irrwege in Polen*. Göttingen, 1951.
- SZANDRUK Paweł — *Historyczna prawda o Ukraińskiej Armii Narodowej*. (*Kultura* nr 212), Paryż, 1965.
- SZATOW M. W. — *Materiały i Dokumenty ODNR, w gody 2-mirowoj wojny*. New York, 1966.
- Śledztwo przeciwko „Korpusowi Kałmyckiemu”* (*Życie Warszawy*, 21. IV. 1966). Warszawa.
- TELMANY Adam — *Dodatek do adiutanta* (*Kultura* nr 149), Paryż, 1960.
- THORWALD Jürgen — *Wen sie verderben wollen*. Stuttgart, 1952.
- TSANAWA L. — *Wsenarodnaja partizanskaja wojna w Bielarusji*. Mińsk, 1951.
- TUSZYŃSKI W. — *Walki partyzanckie w lasach*. Warszawa, 1954.
- UKRAJINA PID CZAS DRUHOJI SWITOWOJI WIJNY — *Encykłopedija Ukrainoznawstwa*. Monachium-New York, 1949.
- VALET Marek — *Armia Krajowa*. Londyn, 1944.
- WAGENER Carl — *Moskau 1941*. Bad Nauheim, 1965.
- Własowskoje dwizenije* (Bogatyrczuk F., Pozdniakow W., Szulec E. *Wozroźdenije XXVIII*), Paryż, 1953.
- WILMONT Chester — *The Struggle for Europe*. London, 1952.
- W OCZACH PISARZY, wybór opowieści wojennych. — Rzym, 1947.
- WOJCIECHOWSKIJ — *Tak i było* (*Czasowej* nr 279/80), Bruksela, 1948.
- W sprawie litewskiej* („Biuletyn Klubu Narodowego”, listopad nr 3), Londyn, 1942.
- Za Dżarżauunuju Nezależnaść Betarusi*. Dokumenty i Matarjały. Londyn, 1960.
- ZAŁUSKI Zbigniew — *U progę*. (*Życie Warszawy*, nr 85. 11. IV. 1966), Warszawa.
- ŻBIK-KANIEWSKI W. — *Bronię N.S.Z.* (*Kultura* nr 44), Paryż, 1951.

SPIS TREŚCI

PRZEDMOWA	9
ROK 1941	11
ROK 1942	101
ROK 1943	293 239
ROK 1944	379
ROK 1945	529
BIBLIOGRAFIA	549

PEŁNY WYKAZ WYDAWNICTW
«BIBLIOTEKI KULTURY»

1. Witold GOMBROWICZ . *Trans-Atlantyk i Slub* (wyczerpane)
2. George ORWELL *1984* (wyczerpane)
3. Czesław MIŁOSZ *Zniewolony umysł* (wyczerpane)
4. James BURNHAM *Bierny opór czy wyzwolenie?*
5. Czesław MIŁOSZ *Światło dzienne* (Poezje) (wyczerpane)
6. Czesław STRASZEWICZ *Turyści z bocianich gniazd* (wyczerpane)
7. Stefan KORBOŃSKI .. *W imieniu Rzeczypospolitej* (wyczerpane)
8. Józef ŁOBODOWSKI .. *Złota hramota* (Poezje)
9. Czesław MIŁOSZ *Zdobycie władzy* (wyczerpane)
10. Czesław MIŁOSZ *Dolina Issy* (wyczerpane)
11. Marian PANKOWSKI .. *Smagła swoboda*
12. Teodor PARNICKI *Koniec „Zgody narodów”, 2 tomy* (wyczerpane)
13. Stefan KORBOŃSKI .. *W imieniu Kremla...* (wyczerpane)
14. Raymond ARON *Koniec wieku ideologii* (wyczerpane)
15. Graham GREENE *Moc i chwała*
16. Leo LIPSKI *Dzień i noc* (Opowiadania) (wyczerpane)
17. Andrzej CHCIUK *Smutny uśmiech* (Opowiadania) (wyczerpane)
18. Jeanne HERSCH *Polityka i rzeczywistość*
19. Czesław MIŁOSZ *Traktat poetycki* (wyczerpane)
20. Józef MACKIEWICZ .. *Kontra*
21. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik (1953-1956)* (wyczerpane)
22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórkiem* (Francja 1940-1944), 2 tomy
23. Paweł ZAREMBA *Historia Stanów Zjednoczonych* (wyczerpane)
24. Aleksander HERTZ *Amerykańskie stronnictwa polityczne* (Mechanizm demokracji) (wyczerpane)
25. Daniel BELL *Praca i jej gorycze* (Kult wydajności w Ameryce)

26. Jan WINCZAKIEWICZ . *Izrael w poezji polskiej* (Antologia)
27. Milovan DŽILAS *Nowa klasa wyzyskiwaczy* (wyczerpane)
28. Marek HŁASKO *Cmentarze. Następny do raję* (wyczerpane)
29. Czesław MIŁOSZ *Kontynenty* (wyczerpane)
30. Jan KOWALIK *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956*
(wyczerpane)
31. Stanisław REMBEK *W polu*
32. Howard FAST *Król jest nagi* (wyczerpane)
33. Simone WEIL *Wybór pism*
34. Albert CAMUS *Człowiek zbuntowany* (wyczerpane)
35. James BURNHAM *Rewolucja menadżerska* (wyczerpane)
36. Tadeusz KATELBACH .. *Rok złych wróżb* (1943)
37. Jurij ŁAWRYNENKO .. *Rozstriliane wiodrodzennia* (Antologia)
38. Józef ŁOBODOWSKI .. *Pieśń o Ukrainie z tłumaczeniem na ukraiński*
Św. Hordyńskiego (wyczerpane)
39. Tadeusz NOWAKOWSKI *Syn zadżumionych* (wyczerpane)
40. — *Program Związku Komunistów Jugosławii*
(Seria „Dokumenty”, Zeszyt 5)
41. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Kultura Masowa* (Seria „Dokumenty”,
Zeszyt 6)
42. Marek HŁASKO *Hrbitowy* (wyczerpane)
43. Jan KOWALIK „Kultura” 1947-1957. Bibliografia „Kultury”
44. Borys PASTERNAK ... *Doktor Żiwago* (Wyd. 3-cie) (wyczerpane)
45. Wacław LEDNICKI *Glossy Krasińskiego do apologetyki rosyjskiej* (wyczerpane)
46. Abram TERC *Sąd idzie. Co to jest realizm socjalistyczny?* (wyczerpane)
47. Tibor DERY *Niki* (wyczerpane)
48. Wiktor SUKIENNICKI . *Kolumbowy Błąd* (Seria „Dokumenty”,
Zeszyt 7) (wyczerpane)
49. Wacław IWANIUK *Milczenia 1949-1959* (Poezje) (wyczerpane)
50. Czesław MIŁOSZ *Rodzinną Europa* (wyczerpane)
51. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI *Skrzydła ołtarza*
52. Halszka GUILLEY-CHMIELOWSKA *Spotkania na galerii*
53. Józef CZAPSKI *Oko*
54. Witold GOMBROWICZ . *Pornografia* (wyczerpane)
55. Leo LIPSKI *Piotruś*
56. Aldous HUXLEY *Nowy wspaniały świat poprawiony*
57. Kazimierz WIERZYŃSKI *Tkanka ziemi* (wyczerpane)
58. Stanisław KOT *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Ha-dziackiej*

59. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Węgry* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 8)
60. Artur Marya SWINARSKI *Sasza i bogowie*
61. Andrzej CHCIUK *Rejs do Smithton — Stary ocean.*
62. Adam CIOŁKOSZ *Róża Luksemburg a Rewolucja Rosyjska*
Róża Luksemburg *Rewolucja Rosyjska* (Seria „Dokumenty”,
Zeszyt 9) (wyczerpane)
63. Bogdan CZAYKOWSKI i
Bolesław SULIK *Polacy w W. Brytanii*
64. Danuta MOSTWIN *Ameryko! Ameryko!*
65. Paweł HOSTOWIEC ... *Eseje dla Kassandry*
66. Aleksander HERTZ *Żydzi w kulturze polskiej* (wyczerpane)
67. Andrzej STAWAR *Pisma ostatnie* (Seria „Dokumenty”, Ze-
szyt 10) (wyczerpane)
68. Abram TERC *Opowieści fantastyczne*
69. I. IWANOW *Czy istnieje życie na Marsie?*
70. Abram TERC *Fantastyczne Powieści* (wyczerpane)
71. I. IWANOW *Jest li ziemia na Marsie?*
72. Paweł ZAREMBA *Historia Polski. Cz. I.*
73. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 1-szy)
74. Adam CZERNIAWSKI . *Topografia wnętrza* (Poezje) (wyczerpane)
75. Władysław BRONIEWSKI *Wiersze* (wyczerpane)
76. Józef CZAPSKI *Na nieludzkiej ziemi* (wyczerpane)
77. Czesław MIŁOSZ *Człowiek wśród skorpionów*
78. Bernard SINGER *Od Witosa do Stawka*
79. Czesław MIŁOSZ *Król Popiel i inne wiersze* (wyczerpane)
80. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 2-gi) (wyczer-
pane)
81. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik. Tom II (1957-1961)*
82. Milovan DŽILAS *Rozmowy ze Stalinem* (wyczerpane)
83. Jerzy MOND *6 lat temu...* (Kulisy Polskiego Październi-
ka) (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 11-ty)
(wyczerpane)
84. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 3-ci)
85. Józef WITTLIN *Orfeusz w piekle XX wieku*
86. Zygmunt HAUPT *Pierścień z papieru*
87. Marek HŁASKO *Opowiadania*
88. Maria CZAPSKA *Polacy w ZSSR (1939-1942)* Antologia
(wyczerpane)
89. Witold JEDLICKI *Klub Krzywego Koła* (Seria „Dokumenty”,
Zeszyt 12-ty)
90. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 4-ty)
91. Abram TERC *Lubimow* (wyczerpane)
92. — *We własnych oczach.* Antologia współczesnej
literatury sowieckiej
93. Gustaw HERLING-GRU-
DZIŃSKI *Drugie przyjście oraz inne opowiadania i*
szkice

94. Jan KOWALIK *Materiały do historii prasy polskiej na ob-
czyźnie 1939-1962*
95. ... *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 5-ty)*
96. Marek HŁASKO *Brudne czyny. Wszyscy byli odwrócen*
97. Kazimierz WIERZYŃSKI *Kufer na plecach (Poezje) (wyczerpane)*
98. Bogdan CZAYKOWSKI . *Spór z granicami (Poezje) (wyczerpane)*
99. Wincenty WITOS *Moje Wspomnienia. Tom I/III*
100. Walter G. KRYWICKI . *Byłem agentem Stalina (Seria „Archiwum
Rewolucji”) (wyczerpane)*
101. Jan BIELATOWICZ *Gaude Mater Polonia (wyczerpane)*
102. Stanisław MACKIEWICZ *Polityka Becka*
103. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 6-ty)*
104. Ignazio SILONE *Wybór towarzyszy (Seria „Archiwum Re-
wolucji”)*
105. Wiktor SUKIENNICKI . *Biała Księga (Seria „Dokumenty”, Zeszyt
13-ty) (wyczerpane)*
106. Juliusz MIEROSZEWSKI *Ewolucjonizm (wyczerpane)*
107. Abram TERC *Mysli niespodziewane (wyczerpane)*
108. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 7-my)*
109. Wacław IWANIUK *Wybór wierszy*
110. Michał K. PAWLIKOW-
SKI *Wojna i sezon*
111. Gustaw HERLING-GRU-
DZIŃSKI *Inny świat (wyczerpane)*
112. Witold GOMBROWICZ . *Kosmos (wyczerpane)*
113. Borys LEWICKYJ *Terror i rewolucja (Seria „Archiwum Re-
wolucji”)*
114. Stanisław VINCENZ *Po stronie pamięci*
115. Danuta MOSTWIN *Olivia*
116. Czesław MIŁOSZ *Gucio zaczarowany (Poezje) (wyczerpane)*
117. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 8-my)*
118. Jerzy PIETRKIEWICZ . *Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne*
119. January GRZĘDZIŃSKI . *Maj 1926 (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 14-y)*
120. Mikołaj ARŻAK *Odkupienie i inne opowiadania*
121. Arthur KOESTLER *Fragmenty wspomnień (Seria „Archiwum
Rewolucji”)*
122. Michel GARDER *Agonia reżymu w ZSSR (Seria „Archiwum
Rewolucji”) (wyczerpane)*
123. Piotr GUZY *Krótki żywot bohatera pozytywnego*
124. — *Dialog polsko-niemiecki w świetle doku-
mentów kościelnych (Seria „Dokumen-
ty”, Zeszyt 15-ty) (wyczerpane)*
125. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 9-ty)*
126. Barbara TOPORSKA .. *Siostry*

127. — *Sąd idzie! Stenogram z procesu A. Siniawskiego i J. Daniela* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 16-ty)
128. Marek HŁASKO *Piękni, dwudziestoletni*
129. Borys LEWYČKYJ *Polityka narodowościowa w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
130. Mihajlo MIHAJLOV ... *Tematy rosyjskie* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
131. George J. FLEMMING .. *Polska mało znana*
132. J. KURON i K. MODZELEWSKI *List otwarty* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 17-ty) (wyczerpane)
133. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 10-ty)
134. Wacław LEDNICKI *Rosyjsko-polska entente cordiale 1903-1905*
135. Adam CZERNIAWSKI . *Sen — Cytadela — Gaj* (Poezje)
136. — *Schizmy* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 18-ty)
137. George J. FLEMMING .. *Czym to się je?* (wyczerpane)
138. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik III. Operetka*
139. Aleksander HERTZ *Refleksje amerykańskie*
140. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 11-ty)
141. Olga SCHERER *W czas morowy*
142. Alicja ZAWADZKA-WETZ *Refleksje pewnego życia* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 19-ty)
143. Bonifacy MIAZEK *Ziemia otwarta* (Poezje)
144. Juliusz MIEROSZEWSKI *Polityczne Neurozy*
145. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 12-ty)
146. Aleksander HERTZ *Szkice o ideologiach*
147. Wiktor SUKIENICKI . *Legenda i Rzeczywistość* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 20-ty)
148. Tomasz STALIŃSKI ... *Widziane z góry*
149. Galina SIERIEBRIAKOWA *Huragan* (Seria „Archiwum Rewolucji”) (wyczerpane)
150. Swietlana ALLILUJEWA *Dwadzieścia listów do Przyjaciela* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
151. Aleksander WEISSBERG-CYBULSKI *Wielka Czystka* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
152. Leopold TYRMAND *Życie towarzyskie i uczuciowe*
153. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 13-ty)
154. Kazimierz WIERZYŃSKI *Czarny Polonez* (Poezje)
155. Czesław DOBEK *Drugi rzut i inne opowiadania*
156. Wacław IWANIUK *Ciemny Czas* (Poezje)
157. Leon MITKIEWICZ .. *Z gen. Sikorskim na obczyźnie* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 21-ty).
158. Alicja IWANŃSKA *Świat przetłumaczony*
159. Piotr GUZY *Stan wyjątkowy*

160. Julian KULSKI *Stefan Starzyński w mojej pamięci* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 22-gi).
161. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 14-ty)
162. Andrej SACHAROW .. *Rozmyślenia* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 23-ci)
163. Jerzy ANDRZEJEWSKI . *Apelacja*
164. Eugenio REALE *Raporty. Polska 1945-1946* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 24-ty)
165. Stanisław WYGODZKI . *Zatrzymany do wyjaśnienia*
166. Henryk GRYNBERG .. *Zwycięstwo*
167. — *Wydarzenia marcowe 1968* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 25-ty)
168. Dominique DE ROUX . *Rozmowy z Gombrowiczem*
169. Iwan KOSZELIWEC .. *Ukraina 1956-1968* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 26-ty)
170. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 15-ty)
171. Kazimierz WIERZYŃSKI *Sen Mara* (Poezje)
172. — *Polskie przedwiośnie* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 27-my)

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 10 JUIN 1969
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 2^e trim. 1969

last ms

Cena 35 F (dol. 8,00)